

KELLI ESTES



*Jedwabna
opowieść*



KELLI ESTES

*Jedwabna
opowieść*

Przełożyła
ALEKSANDRA WEKSEJ



*Dla mojego męża Chada.
Bez Ciebie nie byłabym sobą.*

Prolog

Niedziela, 7 lutego 1886 – zaraz po zachodzie słońca
Zatoka Puget, Terytorium Waszyngtonu

Mei Lien poczuła, jak parowiec zadrgał pod jej stopami, i przez chwilę zastanawiała się, czy nie było to spowodowane drżeniem jej własnego ciała.

– Nie masz wyboru – syknął ojciec. Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, popchnął ją w kierunku zimnej barierki statku. – No dalej, Mei Lien.

Spojrzała na niego z przerażeniem. Nigdy nie kwestionowała jego poleceń. Ale teraz?

– Nie mogę. – Przycisnęła rękę do miejsca, w którym tłuło się jej serce, i wyczuła portmonetkę ukrytą pod opasującym piersi materiałem. – Proszę!

Jego twarz stężała.

– Nie rozczarowuj mnie, córko. Zrób to. Już!

Ton ojca odpędził strach Mei Lien na tyle, że zdołała usłyszeć głos własnego rozsądku. Mówił jej, że ojciec ma rację. Nie miała wyboru.

Wspięła się roztrzęsiona na barierkę i usiadła na niej, trzymając się mocno mokrego metalu. Pod prawą dłoń wyczuła zagłębienie – jakiś stary, zamalowany odprysk. Zaczęła się zastanawiać, czy będzie to ostatnia rzecz, jakiej dotknie przed śmiercią.

Zanim Mei Lien zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, ojciec przyłożył dłonie do jej pleców i zepchnął ją z parowca.

– *Bàba!* – Jej okrzyk odbił się echem od statku, gdy spadała. Uderzenie w przeraźliwie zimną wodę odjęło jej oddech. Lodowate palce wciągnęły ją w podwodną pustkę.

Jakimś cudem odnalazła w sobie siłę do walki. Rękami i nogami przedzierała się w górę, jej płuca płonęły.

W końcu przebiła się głową ponad powierzchnię, zaczęła na przemian kaszleć i wciągać powietrze głęboko do płuc. Kiedy udało jej się przetrzeć palcami zalane wodą oczy, zobaczyła przepływający niebezpiecznie blisko parowiec. Ojciec stał przy barierce, ale był odwrócony do niej plecami, tak jakby to nie on przed chwilą z okrucieństwem popchnął swoje jedyne dziecko w ramiona śmierci.

Fala zalała jej twarz i Mei Lien poczuła, że znowu tonie. Tym razem jej kończyny były sztywne, a w mięśniach, pod wpływem zlodowaciałej wody, zaczynała odczuwać skurcze. Instykt jednak zwyciężył i zmusił jej stopy do pracy, a ręce do ruchów, których ojciec nauczył ją wiele lat temu, tak że zaczęła powoli odciągać swoje ciało od statku. Wyłączyła myślenie i płynęła, nie mając pojęcia, dokąd zmierza.

W głowie pulsowało jej z zimna. Z każdym ruchem kończyny domagały się odpoczynku, chciały ulec sile, która ciągnęła ją w dół, obiecując spokój i ciepło.

Mei Lien spoglądała po raz ostatni w kierunku statku, ale był już teraz tylko odległą i wciąż malejącą plamką światła.

Straciła rodzinę. Straciła swoje dawne życie. Co takiego by się stało, gdyby uległa teraz nawoływaniu otchłani?

Przestała walczyć i zanurzyła się w lodowatym uścisku wody. Zapragnęła, żeby poniosła ją do

świata duchów. Zobaczyła nawet nadchodzącą śmierć. Pojawiła się ona pod postacią ogromnego, czarnego potwora morskiego z pojedynczym, świecącym, żółtym okiem, świdrującym jej zboląłą głowę. W chwili, w której potwór ją chwycił, poczuła, jak spływa na nią ciemność.

Powitała ją z wdzięcznością.

Rozdział pierwszy

Niedziela, 27 maja – czasy obecne
Wyspy San Juan, Waszyngton

Inara Erickson stała z siostrą przy burcie i patrzyła, jak kilwater statku rozbija się o wyspę Decatur, obok której przepływały. Ogarnął ją podmuch zimnego powietrza, który wypełnił jej nozdrza zapachami rozgrzanego w słońcu cedru, wilgotnego mchu i cierpkiej soli. Od razu wybiegła myślami naprzód, do posiadłości rodzinnej i do tego wszystkiego, co zostawiła tam wiele lat temu.

Nie była jeszcze gotowa zmierzyć się ze wspomnieniami, więc odepchnęła je od siebie, i próbując zignorować niejasne uczucie drżenia w sercu, skupiła całą swoją uwagę na starszej siostrze, Olivii.

– Nie jest ci zimno, Liv? Jeśli chcesz, to możemy wejść do środka. Pójść na kawę.

Wiatr wyrwał kosmyk długich blond włosów z koka Olivii. Założyła go za ucho i uniosła twarz w stronę mocnego jak na tę porę roku słońca.

– Boże, nie, tu jest jak w raju.

Mimo to owinęła się ciaśniej kurtką i skuliła z powodu przenikliwego zimna, które ciągnęło od wody.

– Dzięki, że płyniesz ze mną. Jesteś pewna, że Adam da sobie radę z dzieciakami?

Olivia otworzyła oczy i rzuciła Inarze spojrzenie, które mówiło, że tego dnia nie ma ochoty martwić się o swoją rodzinę.

– Poradzają sobie. Cieszę się, że poprosiłaś mnie, żebym popłynęła z tobą. Nie mogę uwierzyć, że nie byliśmy tam aż dziewięć lat.

Inara pokiwała głową, patrząc na stado morświnów, które płynęło wzdłuż promu. Łuki ich czarnych ciał raz po raz pojawiały się w skąpanych w słońcu falach.

– Powinnaś była odwiedzić ciotkę Dahlię, zanim umarła, ale... – Nie mogła znaleźć właściwych słów, więc tylko wzruszyła ramionami. – Nie wiem. To chyba było dla mnie zbyt trudne.

Słyszając to wyznanie, Olivia objęła Inarę i uścisnęła ją.

– Dla mnie też... Łatwiej było pójść dalej.

Inara przełknęła ślinę i powiedziałaaby coś jeszcze, gdyby nie hałaśliwa gromadka dzieci, które wybiegły przez jedne z bocznych drzwi promu. Chłopiec, na oko dziesięcioletni, wskazał na jednego z morświnów i wykrzyknął:

– Patrzcie! Orka!

Inara uśmiechnęła się do siostry. W dzieciństwie, kiedy każdego lata przyływały na wyspę Orcas, szczyliły się swoją znajomością tutejszej flory i fauny. Śmiały się z turystów, którzy tak jak te dzieci spodziewali się na trasie promu zobaczyć orki. Mieszkańcy wiedzieli, że trzymały się one na zachód od wyspy San Juan, w cieśninie Haro.

– Jakieś małe. – Niższa, żeńska wersja chłopca oparła piąstki na biodrach. – Jesteś pewien, że to orki?

Jej brat wyśmiał ją tak, jak tylko bracia potrafią.

– Nie jestem głupi.

W tym momencie Olivia szturchnęła Inarę łokciem i pokazała jej rdzewiejącą boję, na której odpoczywała tłusta foka.

Nagle Inara uświadomiła sobie, że wszystko dookoła wygląda tak, jakby czas się tutaj zatrzymał. Prom wślizgiwał się pomiędzy wyspy, a ona w życie, które kiedyś tu zostawiła. I zaskakująco dobrze się w nim czuła. Jedyne różnica polegała na tym, że teraz uważała swoją siostrę za przyjaciółkę, podczas gdy wtedy nie potrafiły do końca przejść do porządku nad dzielącymi je ośmioma latami różnicy.

W kieszeni kurtki Inary zabręczał telefon. Wyciągnęła go, żeby odebrać, wdzięczna hałaśliwym dzieciom za to, że postanowiły przejść na przód statku i zostawić boczny pokład w spokoju.

– To Nate – powiedziała do Olivii, zanim przyłożyła telefon do ucha. – Cześć, starszy bracie, zgadnij, gdzie właśnie jesteśmy z Liv.

– W Portland?

– Nie, bliżej. – Musiała przekrzykiwać hałas silników promu.

– Vancouver?

– Nie. Płyniemy promem na Orcas.

Cisza. Nate odchrząknął.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała, chociaż nie była pewna, czy to prawda. Nate miał świadomość, jak trudno jest jej tu wrócić po raz pierwszy po tylu latach. – Olivia odwraca moją uwagę.

– To dobrze. Słuchaj, mam pytanie do was obu. Ustalamy właśnie z tatą datę oddania parku poświęconego pamięci Duncana Campbella. Myślimy o szóstym października, bo tydzień wcześniej burmistrza nie będzie w mieście. Pasuje wam?

Duncan Campbell był ich praprapradziadkiem ze strony matki i człowiekiem, który samodzielnie rozkręcił handel morski w Seattle. Pod koniec dziewiętnastego wieku przeniósł się ze Szkocji do błotnistego miasteczka, które żyło z wycinki drewna, i praktycznie od zera stworzył międzynarodową spółkę zajmującą się transportem morskim. Dzięki niemu Seattle zasłynęło jako jeden z ważniejszych portów handlowych. Gdyby nie Duncan Campbell, miasta mogłoby w ogóle nie być na mapie, a świadomi tego mieszkańcy nazwali jego imieniem wiele budynków i poświęcili mu cały dział w Muzeum Historii i Przemysłu. Sukcesy Duncana umożliwiły mu zbudowanie na wyspie posiadłości, która została nazwana Rothesay, tak jak jego rodzinne miasto w Szkocji.

– Czy wtedy właśnie zostanie odsłonięty pomnik Duncana? – zapytała Inara. Rok wcześniej jej tata złożył zamówienie na rzeźbę z brązu, która miała być ustawiona na środku nowego parku publicznego, jaki jego firma zamierzała utworzyć na nabrzeżu, niedaleko terminalu promowego. Tata Inary prowadził założoną przez Duncana spółkę, Pierwszą Grupę Morską, znaną też jako PGM, odkąd ponad dziesięć lat temu przejął ją po swoim teściu. Rozszerzył działalność firmy o linie obsługujące Alaskę, Meksyk i Karaiby, co przyniosło mu wielki sukces.

– Tak. To co, szósty października?

– Czekaj chwilę. – Odsunęła telefon od ucha, żeby spojrzeć w kalendarz i powiedzieć Olivii o całej sprawie. Starsza siostra kiwnęła głową.

– Szósty pasuje nam obu – odpowiedziała bratu Inara.

Z głośników na promie rozległ się głośny sygnał, po którym nastąpił komunikat, że pasażerowie wysiadający na wyspie Orcas powinni wrócić do swoich pojazdów.

– Muszę kończyć – powiedziała Inara do Nate'a i skierowała się z Olivią w stronę drzwi prowadzących do wnętrza statku.

– Czekaj. Tata pyta, czy chcesz, żeby zadzwonił do swojego agenta od nieruchomości i zlecił mu przygotowanie dokumentów.

Inara uśmiechnęła się do siebie.

– Powiedz mu, że dziękuję, ale poradzę sobie sama.

Jej tata nie ukrywał ulgi na wieść o tym, że Inara zamierza sprzedać posiadłość, której nikt z rodziny już nie chciał.

– Powodzenia na Orcas. I daj znać, jak wam dzisiaj pójdzie.

– Dobrze. – Rozłączyła się i zeszła z Olivią po zielonych, metalowych schodach na pokład samochodowy, do starego BMW, które należało do niej, odkąd skończyła liceum. Patrzyła przez przednią szybę na zbliżającą się wyspę Orcas i czuła, jak z każdą sekundą jej serce przyspiesza. Między piersiami zbierał jej się pot.

Sto pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni czyniło wyspę Orcas największą w archipelagu San Juan, położonym w północno-zachodnim rogu stanu Waszyngton, jednak nie była ona najgęściej zaludniona – liczyła zaledwie pięć tysięcy stałych mieszkańców. Port promowy w Orcas Village znajdował się u dołu lewego ramienia podkowy, jaką wyspa tworzyła wokół zatoki zwanej East Sound. Oznaczało to, że Inara musi objechać wygięcie wyspy, przejechać przez miasto Eastsound – nazwane tak od zatoki – a potem pokonać jedną czwartą prawego ramienia podkowy, żeby dostać się do Rothesay. Po drodze minie miejsce wypadku.

To był błąd. Powinna była przysłać tu kogoś innego, żeby obszedł posiadłość i spakował osobiste rzeczy ciotki Dahlii, gromadzone przez ostatnich dziewięćdziesiąt siedem lat. Wystarczyłby jeden telefon, a przyjechałby tu agent od nieruchomości, zaś Inara siedziałaby teraz spokojnie w swoim domu w Seattle. I bez tego miała dużo na głowie – za parę tygodni zaczynała nową pracę.

Olivia zapewne dostrzegła jej panikę, ponieważ się odezwała:

– Inara, wszystko jest w porządku. Jestem tutaj i razem stawimy temu czoła. Nie bój się.

Inara poczuła się jak dziecko, które zaraz ma dostać szczepionkę na kozetce u Olivii, ale musiała przyznać, że uspokajający głos siostry pomagał. Spojrzała na nią.

– A ty wcale się nie boisz? Też nie byłeś tu od tamtej pory.

Olivia kiwnęła głową.

– Trochę. – Przez przednią szybę zobaczyła, jak samochód z przodu zapala światła, a to oznaczało, że już czas włączyć silnik i zjechać z promu. – Opowiedz mi o swojej nowej pracy. W marcu skończyłaś studia, a już niedługo zaczynasz karierę w Starbucksie. Pewnie bardzo się cieszysz, co?

Zjeżdżając ostrożnie z promu na wyspę, Inara podjęła siostrzaną taktykę odwracania uwagi.

– No, raczej tak. Będę w zespole odpowiedzialnym za globalny łańcuch dostaw. Mówiłam ci, że w ciągu pierwszych trzech miesięcy mogą mnie wysłać do Włoch?

– To dlaczego tylko „raczej” się cieszysz?

Siostra oczywiście zauważyła jej potknięcie. Inara rzuciła Olivii spojrzenie pełne frustracji, po czym poddała się i powiedziała:

– Wiem, że ta praca to wielka szansa, a tata jest ze mnie bardzo dumny... – Przez chwilę siliła się na znalezienie właściwych słów. – Po prostu nie jestem pewna, czy to rzeczywiście dla mnie.

– To popracuj tam przez parę lat, a potem znajdź sobie coś innego. Tata zrozumie.

– No tak – zgodziła się bez przekonania. I mimo że dalej rozmawiały o pracy, Inarę nagle ogarnęły wspomnienia.

Droga wyglądała dokładnie tak samo jak kiedyś. Promienie słońca przebijały się przez drzewa i rzucały plamy cienia na przednią szybę. Co jakiś czas Inara zauważała schowane w lesie chaty plażowe, które przycupnęły obok rezydencji wartych miliony. Piaszczyste drogi dojazdowe były często jedynym znakiem, że za drzewami znajduje się jakiś budynek. Inara opuściła szybę i poczuła zapach, o którym jej umysł już zapomniał, ale który trwał ciągle w duszy – rozgrzany w słońcu piach, kwitnące krzewy jeżynowe, słona woda morska. Odetchnęła nim i poczuła, jak coś przesuwają się w jej wnętrzu, jakby jakiś

element układanki wślizgiwał się właśnie na swoje miejsce.

Oddychając pełną piersią, wjechała na wzniesienie i dotarła do zakrętu, na którym zginęła ich mama. Kiedy tylko to spostrzegła, uszło z niej całe powietrze i zaczęła ciężko dyszeć.

– Po prostu jedź – wyszeptała Olivia. – Wszystko jest w porządku.

Inara miała piętnaście lat, gdy ich matka zginęła w wypadku samochodowym na tym zakręcie. Policja stwierdziła, że coś musiało wyskoczyć na drogę, jakiś jeleni albo szop, ich mama skręciła gwałtownie, żeby go nie potrącić, i straciła kontrolę nad kierownicą. Ale Inara wiedziała, że mama była superczujnym kierowcą i nigdy nie straciłaby kontroli nad swoim samochodem, gdyby nie to, że była zdenerwowana i rozkojarzona z powodu ich niedawnej kłótni.

Olivia nie była w stanie tego zrozumieć. Nie do końca. Kiedy to się stało, miała dwadzieścia trzy lata. Była już po ślubie i robiła specjalizację. Nie było jej w Rothesay, gdy miejscowy szeryf zajechał przed dom, błyskając reflektorami, i w geście współczucia przyłożył do piersi przemoczoną czapkę.

Inara zwolniła o wiele poniżej dozwolonych sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i skupiła całą swoją uwagę na oddychaniu, próbując patrzeć wyłącznie na jezdnię przed sobą.

Ale w pewnym momencie jej wzrok uciekł na pobocze drogi.

Na ogromnym cedrze nie pozostał żaden ślad po katastrofie. Rosły tam bujne, dziewicze pnącza jeżyn i leśne kwiaty, tak jakby nic złego się tu nigdy nie wydarzyło. Jakby żaden samochód nie wpadł na to drzewo i nie cisnął zmiażdżonym ciałem jej matki o szorstką korę.

Z tyłu ktoś zatrąbił i Inara zorientowała się, że zatrzymała samochód na środku drogi. Zmieszana podniosła przepaszającą rękę, ostrożnie wyjechała z zakrętu i przyspieszyła. Czarny SUV wyprzedził ją i zaczął się szybko oddalać. Jej palce zacisnęły się na kierownicy.

– Może powinnaś zjechać na bok.

Inara bez słowa usłuchała siostry, zwolniła i zatrzymała się na zwirowym poboczu. Potem zamknęła oczy i oparła się czołem o kierownicę. Po tym koszmarnym wydarzeniu wróciła z tatą do Seattle i próbowała żyć jak normalna nastolatka, ale wszystko było już inne. Normalne nastolatki nie doprowadzają do śmierci swoich matek.

Nate'a, który już studiował, też nie było wtedy z nimi, zatem w domu została tylko Inara i jej tata – dwa statki z uszkodzonym napędem, unoszone prądami życia, niezdolne, by odnaleźć drogę do portu. Związała się więc mocno z tatą i z jego planami na jej życie. Po skończeniu liceum rzuciła się w pogoń za dyplomem z zarządzania biznesem, żeby sprawić mu radość, mimo że wolałaby studiować coś innego, na przykład antropologię czy historię.

– Wiem, że jest to dla ciebie bardzo trudne, ale przebyłaś już długą drogę. – Olivia głaskała Inarę po plecach i przemawiała do niej łagodnie, jak do swojej zapłakanej trzyletniej córki. – Chcesz, żebym poprowadziła?

Inara uświadomiła sobie, że to pomaga. Głos siostry był czymś, czego mogła się chwycić, żeby wydostać się z otchłani, w którą pewnie by wpadła, gdyby była tu sama. Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech, podniosła wzrok na przednią szybę i z ulgą odkryła, że szosa nie wydaje się już nieprzejezdna. Mogła jechać dalej. Przebyła długą drogę, jak powiedziała Liv, i pojedzie dalej, nie dlatego, że odziedziczyła dom, którym musi się zająć, ale dlatego, że nadszedł czas, żeby zmierzyć się z przeszłością i zrobić krok naprzód.

– Już mi lepiej.

Wykręciła z powrotem na drogę i przez tylne lusterko rzuciła ostatnie spojrzenie na tamten zakręt, po czym ze wszystkich sił skupiła się na tym, co było przed nią.

A przed nią było Rothesay. Przed nią było też podjęcie wszelkich koniecznych decyzji dotyczących podupadającej posiadłości, którą zostawiła jej Dahlia. Treść testamentu zaskoczyła Inarę, chociaż była w pewnym sensie logiczna. Mimo że Dahlia była tak naprawdę babcią cioteczną jej matki, wydawało się,

że z Inarą jest związana bliżej. Spośród trójki rodzeństwa to właśnie Inara najbardziej kochała wyspę, a kiedy tu była, każdą chwilę spędzała z Dahlią. Nielogiczna była jednak druga część testamentu, czyli wyraźne życzenie Dahlii, żeby posiadłość została zamieniona w pensjonat, a Rothesay raz jeszcze wypełniło się radością i życiem.

Naprawdę? Pensjonat? Oczywiście Inara chciała uszanować ostatnie życzenie ciotki, ale teraz, kiedy wreszcie zdobyła dyplom magistra, miała przed sobą własną karierę. Była przekonana, że Dahlia zrozumiałaby, że w tym momencie bardziej potrzebuje pieniędzy ze sprzedaży majątku do spłacenia długów studenckich niż pensjonatu do spełnienia marzeń ciotki. Płatność pierwszej raty przypadała na wrzesień. Zostało jej już tylko kilka miesięcy.

Szkoda, że nie mogła zatrzymać posiadłości i korzystać z niej w wakacje, tak jak robiła to jej rodzina, kiedy Inara była dzieckiem. Dahlia mieszkała tu przez cały rok razem ze swoją partnerką Nancy, a willę i tereny dookoła niej pozostawiała do pełnej dyspozycji rodziny, podobnie jak robili to wcześniej jej rodzice i dziadkowie. Tutaj właśnie zjeżdżali się wszyscy na święta i tutaj Inara z rodzeństwem spędzali każde lato, podczas gdy ich rodzice pracowali w Seattle. Ich mama brała sobie zawsze urlop w lipcu, żeby spędzić z nimi trochę czasu na wyspie, a oprócz tego przyjeżdżała prawie w każdy weekend. Kiedy docierała tu w piątek wieczorem, wszyscy razem zbierali się na plaży wokół ogniska.

Zatrzymanie Rothesay w charakterze rodzinnego domu letniskowego miało sens, ale pensjonat? Szaleństwo.

Inara i Olivia przyплыnęły wczesnym promem, więc jeszcze przed dziewiątą dotarły do bliźniaczych kamiennych kolumn przy wjeździe do Rothesay. Inara zjechała na krętą leśną drogę i obie siostry zaczęły szukać wzrokiem willi. Kiedy Inara wreszcie ją spostrzegła, wyrwał jej się zduszony okrzyk.

Wszystko wyglądało na opuszczone. Zaniebane. Miała nadzieję, że wyczuje tu obecność mamy i ciotki Dahlii, lecz posiadłość wydawała się pozbawiona życia. Poczowała ucisk w gardle i przejmujący chłód, mimo że poranne słońce ogrzewało już wszystko dookoła. Zaparkowała przed fontanną, która kiedyś była wizytówką tego miejsca, ale teraz wyschła i pokryła się pleśnią.

– Utrzymywanie tego wszystkiego musiało w końcu przekroczyć siły Dahlii.

– Mhm – zgodziła się Olivia, wysiadając z samochodu. – Powinniśmy byli tu przyjechać i jej pomóc, a nie wierzyć jej telefonicznym zapewnieniom, że sobie radzi.

Inara zorientowała się, że Dahlia i Nancy są parą, dopiero kiedy dorosła. Nie był to temat do rodzinnych rozmów, ale z całą pewnością powód, dla którego ojciec Dahlii ukrył ją na wyspie przed złośliwymi językami mieszkańców Seattle z lat trzydziestych. Potem jednak Dahlia pokochała wyspę i zapragnęła tu zostać tak samo mocno, jak jej ojciec chciał, żeby pozostawała w ukryciu.

Inara wysiadła, a następnie obesza samochód, żeby stanąć koło Olivii i popatrzeć na miejsce, które przez całe życie uważały za swój dom. Śpiew ptaków w lesie dookoła powoli uśmierzał wewnętrzny ból i w końcu rozproszył mgłę rozczarowania, która przysłańiała Inarze widok. Ze zdumieniem zauważyła świeże ścinki trawy rozrzucone wzdłuż asfaltowej drogi.

Odkąd miesiąc temu umarła Dahlia, nikt nie powinien był tu zaglądać. Kto zatem skosił trawę?

– Chodźmy do środka. – Olivia ruszyła w kierunku podwójnych drzwi frontowych.

Inara została jeszcze przez chwilę na zewnątrz, żeby ponownie przyjrzeć się głównemu budynkowi. Tym razem poczuła, jak po jej plecach przebiega znajomy dreszcz. Kiedy zmrużyła oczy, poza łuszczącą się farbą i zapadniętym gankiem udało jej się dostrzec duszę tego miejsca, całą jego magię i obietnicę przygody.

Nagły zastrzyk adrenaliny popchnął ją naprzód i podążyła za siostrą w stronę willi. Znowu była dzieckiem, które przyjechało na wakacje i od razu chciało zrobić wszystko naraz, ale zmusiła nogi do spokojnego kroku, żeby móc chłonąć wszystko dookoła.

Główny budynek w stylu neokolonialnym dostojnie prezentował swoje trzy poziomy, a całość

dopełniały białe kolumny biegnące wzdłuż szerokiego ganku i wygięte w łuk schody, które zapraszały do środka. Po obu stronach fasady zakrzywione, dwupoziomowe galerie łączyły główny budynek z dwoma mniejszymi, zbudowanymi symetrycznie naprzeciwko siebie. Cała konstrukcja miała kształt szerokiej litery U z drogą dojazdową i fontanną pośrodku.

Po lewej stronie znajdował się garaż, a nad nim sala bilardowa i palarnia. Po prawej stał dom Dahlii, który początkowo stanowił samodzielny budynek. Kiedy Duncan Campbell budował swoją willę, przerobił go tak, żeby wtopił się w całość, co wymagało między innymi dostawienia kolumn na malutkim ganku. Dahlia powinna nadal tam siedzieć ze swoim kubkiem parującej herbaty.

Serce Inary przeszły ból. Już dawno powinna była zdać sobie sprawę z tego, jak ważna była dla niej Dahlia. Powinna była wymyślić jakiś sposób na spędzanie z nią czasu, niezależnie od tego, jak trudno było jej przyjechać na wyspę. To właśnie ciotka każdego lata zajmowała się jej rodzeństwem i nią samą. I to Dahlia tuliła ją do siebie przez cały ten straszny wieczór po śmierci mamy.

Ale nawet na długo przedtem Dahlia odgrywała w życiu Inary szczególną rolę, ważniejszą niż którekolwiek z dziadków. To Dahlia pozwalała jej włóczyć się za sobą, kiedy pielęła ogródek albo zbierała jagody w lesie. W deszczowe dni budowała dla Inary namioty z prześcieradeł, w słoneczne plotła wianki z polnych kwiatów, często też piekła ciasta i ciasteczka, po czym rzucała monetą o to, która z nich ma wylizać mieszadła. Inara była przekonana, że Dahlia oszukiwała, żeby zatrzymać dla siebie te po czekoladzie.

Czy Dahlia wiedziała, jak bardzo Inara ją kocha? Po wypadku opuściła wyspę i nigdy już nie wróciła. Cholera, powinna była przyjechać przynajmniej zeszłej wiosny, kiedy umarła Nancy. Inara przekonywała samą siebie, że Dahlia rozumiała, jak ciężko byłoby jej tu wrócić.

A jednak wróciła.

W zeszłym miesiącu, kiedy Dahlia odeszła, tata Inary załatwił przewiezienie ciała do Seattle, gdzie odbyło się nabożeństwo pogrzebowe i złożenie zmarłej do grobu rodzinnego. Jednak, będąc teraz tu, w Rothesay, i czując wszechogarniającą magię wyspy, Inara zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnili błędu.

Powinni byli pochować ją tu, na jej ukochanej wyspie, na cmentarzu publicznym obok kobiety, z którą Dahlia szczęśliwie się zestarzała, albo w ogóle gdzieś na ziemiach Rothesay.

Inara wzięła głęboki oddech i odwróciła się, żeby spojrzeć na dominującą ponad otoczeniem, porośniętą wiecznie zieloną roślinnością górę. Chciała ukoić zbolełe serce myślami, które nie wiązałyby się z Dahlią. Z miejsca, gdzie stała, nie widać było ukrytej za drzewami posesji sąsiada po drugiej stronie drogi, dzięki czemu miała wrażenie, że nic nie oddziela jej od stromego zbocza Mount Constitution, które zdawało się wyrastać z wód zatoki rozciągającej się teraz za plecami Inary.

Któregoś dnia pojedzie do obserwatorium na szczycie góry, jak to mieli w zwyczaju robić w dzieciństwie. Ale dzisiaj chciała poczuć się wtulona w jej podnóża, ukryta przed wszystkim i przed wszystkimi. Tak jakby dookoła była tylko ona, góra, woda i las, wśród których nie istniały takie sprawy jak pożyczki studenckie czy nowa praca.

Znowu poczuła ucisk w żołądku. Ucisk magii Orcas. Dzisiaj odczuwała ją nawet pomimo ciężących jej na sercu wspomnień po tym wszystkim, co tu straciła.

Im dłużej tu przebywała, tym bardziej czuła się jak wąż, który zrzuca skórę – jakby opadało z niej coś ciasnego i krępującego. Przez dziewięć lat całą swoją uwagę skupiała na studiach i planach, a teraz, kiedy stała u progu przyszłości, jedyne, czego pragnęła, to zanurzyć się w przytulnej przeszłości. W tej wyspie. Tutaj czuła się bardziej jak w domu niż u ojca w Seattle.

Jak wyglądałoby to miejsce, gdyby pensjonat jednak powstał?

Potrząsnęła głową i podeszła do Olivii, która stała przy podwójnych drzwiach frontowych. Wyciągnęła klucz z torebki i włożyła go do dziurki. Musiała się trochę naszarpać, ale w końcu zapadki

trafiły na swoje miejsca i zamek ustąpił.

Delikatnym pchnięciem otworzyła drzwi i siostry weszły na wyłożone bejcowanym drewnem dębowym półpiętro, znajdujące się pomiędzy pierwszą a drugą kondygnacją domu. Nawet w przyćmionym świetle wpadającym do środka przez otwarte drzwi i półokrągłe okienko ponad nimi Inara dostrzegła u dołu schodów wielki hol, który ciągnął się aż do zasłoniętych kotarą tylnych drzwi. Mimo pokrywającego wszystko kurzu w drewnie widać było rysy i zadrapania, które świadczyły o tym, że schody i podłogi będą wymagały remontu.

– Ścigamy się do narożnego pokoju? – zażartowała Olivia, ale nie ruszyła w kierunku schodów.

Inara roześmiała się na wspomnienie dzieciństwa, wymacała szereg włączników światła obok drzwi i nacisnęła wszystkie po kolei. Podniosła wzrok na rozświetlające się górne balkony i spojrzała na prawo, na rząd drzwi prowadzących do sypialni.

– Ja śpię dzisiaj w domu Dahlii, a patrząc na cały ten kurz, podejrzewam, że ty też będziesz wolała.

Bez ociągania przebiegły się z Olivią po głównym holu, podstaniały kotary, pootwieraly przeszkłone drzwi, żeby wpuścić do środka słońce i powietrze, pościągały także pokrowce z mebli, odsłaniając antyki, których jako dzieci nigdy nie doceniały.

– No, to jest dopiero Rothesay – powiedziała Olivia, opierając ręce na biodrach i ogarniając wzrokiem długi hol z dwiema stertami zakurzonych prześcieradeł na podłodze.

– Dużo lepiej – zgodziła się Inara, ale jej wzrok pomknął zaraz ku górze. – Jeszcze tylko jedno. – Popędziła schodami na piętro i dalej, przez długi balkon, aż dotarła na tył budynku, do otwartego salonu, w którym mieszkanki domu pijały popołudniową herbatę i spędzały całe godziny na robótkach ręcznych oraz plotkowaniu. Odsunęła kotary w oknach salonu – i aż zaparło jej dech w piersiach.

Widok był niesamowity. Za tylnym tarasem rozciągał się szeroki, zielony trawnik – tak jak przed domem świeżo skoszony przez jakiegoś tajemniczego dobroczyńcę – za którym rósł pas naturalnego lasu, oddzielający go od skał opadających stromo do zatoki. Pomiedzy jodłami, cedrami i chruściami błyskała woda, która przyzywała Inarę do siebie, sprawiając, że miała ochotę zapomnieć o oględzinach domu i pójść posiedzieć na czarnych kamieniach na plaży, popatrzeć na pełną brunatnic wodę, falującą aż po horyzont. Wszystkie jej zmysły nasyciłyby się tam i wreszcie by ożyła.

„Skąd mi się wzięła ta myśl?”. Przecież przez te ostatnie lata nie była martwa, tylko ciężko pracowała, żeby zdobyć wykształcenie i stać się kimś.

Potrząsnęła głową i odwróciła się od okien, obiecując sobie chwilę nad zatoką, zanim jutro rano z powrotem wsiądą na prom.

Przeszła obojętnie obok pokrowców na meblach, zbliżyła się do barierki balkonowej i spojrzała w dół na wielki hol. Olivia zniknęła, ale kilkoro drzwi wychodzących z holu było otwartych, więc domyśliła się, że siostra sprawdza parter.

Inara niemalże słyszała, jak w domu dźwięczą śmiechy jej rodziny i głos matki, która woła, żeby córka wzięła swoją torebkę, bo popłyną kajakami do Eastsound na lunch. Nastoletni głos Olivii, która protestuje przeciw takiemu przedsięwzięciu, i Nate'a, który błaga o jeszcze minutkę, bo rozmawia przez telefon z dziewczyną.

Za kilka miesięcy Inara przekaże klucze do posiadłości nowemu właścicielowi i odejdzie stąd na zawsze. Ta myśl momentalnie wywołała w niej przyływ paniki. Zaskoczyło ją to. Dlaczego tak się zmartwiła? Przecież tak długo całkiem niezłe sobie radziła bez tego miejsca.

Zawsze jednak wiedziała, że ono tu jest i czeka na nią. Chciała, żeby potomstwo, które kiedyś będzie mieć, poznało radość spędzania wakacji w Rothesay. Dzieci jej rodzeństwa na razie to traciły, ale były jeszcze małe i miały przed sobą dużo czasu, który mogły tutaj spędzić. Jeśli Inara sprzeda posiadłość, to pozbawi następne pokolenie należnego mu dziedzictwa.

Ale musiała sprzedać. Nie miała wyboru. Musiała zachować się jak odpowiedzialna, dorosła

kobieta i zrzucić ciężar tego miejsca na kogoś, kto będzie potrafił dobrze je wykorzystać. Poza tym będzie zajęta swoją nową pracą. Nie miała czasu na utrzymywanie posiadłości, której prawie w ogóle nie będzie odwiedzać.

Inara zeszła po schodach, żeby poszukać siostry i zabrać się za oględziny oraz zrobienie listy rzeczy, które wymagały naprawy przed wystawieniem willi na sprzedaż.

Trzy godziny później otworzyła drzwi prowadzące do kuchni Dahlii.

– Powinnaś przywieźć tu dzieciaki, zanim ktoś to kupi – powiedziała siostrze, kiedy wchodziły do środka, i w tym momencie stanęła jak wryta. Otaczające Inarę pomieszczenie przeniosło ją nagle w przeszłość, a jednocześnie boleśnie przeszło serce nieobecnością ciotki.

– O mój Boże...

– Zupełnie jakby Dahlia i Nancy dopiero co wyszły – wyszeptała Olivia.

Z wiklinowego kosza na laminowanym blacie wysypywały się numery „Seattle Times”, a stół kuchenny zdobił stos książek z pozaginanymi rogami. Obok zlewu rozsiadł się gruby, biały kubek na herbatę z różowym śladem w kształcie ust na brzegu. To był róż Dahlii. Ten ze złotej tubki, którą zawsze nosiła przy sobie. Taki sam jak różowe pasemko we włosach, które Dahlia zrobiła sobie tamtego lata, kiedy Inara kończyła dwanaście lat. Inara nie spotkała dotąd drugiej osiemdziesięciolatki, która miałaby tyle fantazji, żeby dobrać kolor włosów do szminki. Ten widok sprawił, że zapiekły ją oczy i musiała się odwrócić.

Schody prowadzące na piętro znajdowały się w kuchni. Na dolnym stopniu para żółtych, włochatych pantofli czekała na właścicielkę, przytrzymując róg podniszczonego chodnika, który kiedyś był przymocowany do schodów, ale teraz odwijał się od dołu.

W rodzinie krążyły opowieści o tym, jak to pod koniec dziewiętnastego wieku Duncan Campbell kupił posiadłość i zamieszkał właśnie tutaj, w domu zbudowanym przez poprzedniego właściciela, a jednocześnie zaczął dobudowywać do niego resztę willi, w której później organizował wystawne przyjęcia.

Były też inne historie, opowiadane tylko w wąskim gronie, które mówiły o rodzinnych dziwakach. Na przykład o żonie Duncana. Mieszkała tu przez okrągły rok, mimo że jej mąż spędzał większość czasu w Seattle, gdzie prowadził swoją firmę transportową. Ona – Gretna, jeśli Inara dobrze pamiętała – była podatna na nerwice, jak stwierdzili lekarze, więc wolała mieszkać na wyspie, gdzie nic poza licznymi przyjęciami męża nie mąciło jej spokoju.

W każdym pokoleniu pojawiał się kolejny dziwak, między innymi ulubienica Inary – Dahlia. Jako młoda, dwudziestokilkuletnia kobieta, która walczyła zaciekle o swoją niezależność i nie była zainteresowana znalezieniem sobie męża czy zdobyciem wykształcenia, skorzystała z okazji, żeby przeprowadzić się na wyspę, zostać strażniczką posiadłości i żyć tak, jak jej się podobało. Od tamtej pory, z tego, co wiedziała Inara, Dahlia rzadko opuszczała wyspę.

Teraz, w domu Dahlii, z dala od oczekiwania ojca, Inara uświadomiła sobie, że jest to jedyne miejsce, w którym miała kiedykolwiek odwagę być sobą. Ogarnęło ją niezbyt przyjemne poczucie, że po śmierci Dahlii to właśnie ona zajmie jej miejsce. Miejsce rodzinnego dziwaka.

Bo jak inaczej wytłumaczyć kompletnie szaloną myśl, która dręczyła ją, odkąd wysiadła z samochodu? W jakiś sposób czuła, że chce tu zostać. Miała ochotę rzucić pracę, za którą większość ludzi byłaby gotowa zabić, żeby spędzać każdy dzień na babraniu się w farbie i tynku oraz na zajmowaniu się całą resztą napraw, które przed chwilą wypisały z Olivią jako konieczne do złożenia posiadłości z powrotem do kupy.

Nagle, ku własnemu zaskoczeniu, zaśmiała się, a jej śmiech odbił się echem po kuchni.

Olivia wystawiła głowę z przylegającego do kuchni salonu.

– Co cię tak bawi?

Inara znowu się roześmiała, sięgnęła po różowo-fioletowy szal, który Dahlia powiesiła przy tylnych drzwiach, i owinęła się nim.

– Jak wyglądam? Jak kobieta, która mogłaby prowadzić pensjonat?

Jej zaskoczona siostra parsknęła śmiechem i chwilę później obie zaśmiewały się do rozpuku.

– Nie mówisz poważnie.

Inara przechyliła głowę na bok i zastanowiła się.

– A co, jeśli tak? Dahlia zostawiła mi segregator ze wszystkimi swoimi planami. Są w nim nawet rozrysowane schematy. Myślę, że najtrudniejszym elementem byłoby powiedzenie tacie, że rzucam Starbucks.

Olivia pokiwała głową i weszła do kuchni.

– Ale skąd wzięłabyś pieniądze na remont? Wiesz już przecież, ile pracy potrzeba, żeby willa nadawała się przynajmniej do mieszkania. A ty musisz jeszcze spłacić pożyczki studenckie.

– Może mogłabym przyjąć tamtą pracę na parę lat, a posiadłość zajmować się w weekendy i podczas urlopów – zastanawiała się na głos. Boże, to byłoby koszmarnie męczące.

Olivia przytaknęła, ale wyraz jej twarzy nie świadczył o tym, że jest przekonana co do tego pomysłu. A potem, jak przystało na zrównoważoną starszą siostrę, po prostu wzruszyła ramionami.

– Dobra, nie musisz podejmować decyzji akurat w tej chwili. Chodźmy obejrzyć resztę domu.

Inara przyznała jej rację, odwróciła się do odtwarzacza CD stojącego na blacie i nacisnęła przycisk play. Żadna z nich nie spodziewała się, że dom wypełnią krzykliwe dźwięki gitar z klasycznych kawałków zespołu Aerosmith, więc popatrzyły na siebie ze zdumieniem, a chwilę później wybuchnęły tak szaleńczym śmiechem, że kiedy udało im się wreszcie opanować na tyle, by wrócić do pracy, Inarę bolał brzuch. Otarła łzę z kącika oka, wyciągnęła z tylnej kieszeni zeszyt, w którym zapisywała sobie wszystkie konieczne naprawy, i potrząsnęła głową. Aerosmith. Boże, jak ona tęskniła za Dahlia.

Z notatnikami w ręku, tanecznym krokiem przemierzyły nieduży dom, spisując to, co się w nim znajdowało, a godzinę później spotkały się z powrotem w kuchni, obie wygłodniałe.

– Chyba powinniśmy pojechać na lunch do miasta – wymamrotała Olivia, zaglądając do pustej lodówki. – Jakiś sąsiad musiał to opróżnić po śmierci Dahlii.

Inara wsadziła głowę do spiżarni. Orzeszki ziemne, kilka paczek płatków owsianych, oliwa z oliwek, ocet balsamiczny.

– Co powiesz na herbatę i krakersy?

– Na razie może być – odpowiedziała Olivia i sięgnęła po czajnik, żeby napełnić go pod kranem.

Usiadły przy okrągłym stole kuchennym, opierając stopy na krzesłach, i zabrały się za krakersy.

– Mogłabym mieszkać w tym domu i wynająć robotników, żeby doprowadzili willę do porządku – myślała głośno Inara.

Olivia przymrużyła oczy.

– Ty naprawdę się nad tym zastanawiasz, co? A co ze Starbucksem?

Byłaby wariatką, gdyby rzuciła Starbucks. Dostała tam dokładnie takie stanowisko, na jakie ciężko pracowała przez ostatnich siedem lat studiów.

Ale przez wszystkie te lata, nawet wtedy, kiedy otrzymała tę ofertę, ani razu nie poczuła się tak pełna życia i pomysłów na przyszłość, jak teraz. Ani razu, dopóki nie stanęła ponownie na tej ziemi i nie uświadomiła sobie, że przez cały ten czas żyła jakby w uśpieniu. Obudziła się, dopiero kiedy tu przyjechała. Nie chciała znowu pogrążyć się we śnie.

– Chyba od bardzo dawna nie zastanawiałam się nad tym, czego naprawdę chcę – odparła w końcu, nie wiedząc za bardzo, co powiedzieć.

– A teraz chcesz otworzyć pensjonat?

– Nie. – Poczwała, jak coś zaczyna w niej buzować, wyprostowała się na krześle, a jej umysł wypełniła wizja. – Nie pensjonat. Hotel butikowy. Mogłabym zrobić z tego miejsca wiodący ośrodek na całym Wybrzeżu Północno-Zachodnim.

Olivia pokiwała głową i zdawała się poważnie nad tym zastanawiać. W tym momencie, ponad muzyką, która nadal płynęła z odtwarzacza CD, usłyszały wyraźny dźwięk telefonu dobiegający z piętra.

– Holender, musiałam zostawić komórkę w pokoju Dahlii.

Poderwała się i pobiegła na schody, ale nie weszła dalej niż na pierwszy stopień, kiedy zaczepiła stopą o podwinięty chodnik. Upadła ciężko i uderzyła nogami o krawędź kolejnego schodka.

– Auć!

Inara aż podskoczyła.

– O mój Boże, nic ci się nie stało?

Olivia obróciła się i usiadła na schodach, trzymając się za poobijane piszczele. Jej oczy miały w siostrę sztyletami.

– Jeśli naprawdę zamierzasz tu mieszkać, musisz coś zrobić z tą śmiertelną pułapką.

Inara stała pochylona nad siostrą i oglądała jej stłuczenia, ale na te słowa znieruchomiła i spojrzała jej w oczy.

– Myślisz, że powinnam to zrobić? – Obie wiedziały, że nie pyta o naprawę chodnika.

Olivia chwyciła Inarę za rękę i ścisnęła ją.

– Myślę, że powinnaś zrobić to, co cię uszczęśliwi. A ty nigdy nie przepadałaś za kawą. – Przerwała, odchrząknęła, wypuszczając rękę Inary z uścisku, i zaczęła z powrotem masować sobie piszczele. – Chociaż nie będzie ci łatwo przekonać tatę. Wydawał się zachwycony myślą, że w końcu będziemy mogli na dobre zapomnieć o tym miejscu.

Inara natychmiast spoważniała i przytaknęła.

– Wiem. – Nie chciała teraz o tym myśleć. Popatrzyła groźnie na odwijający się chodnik. – Naprawdę muszę coś z tym zrobić.

Kiedy Olivia poszła na górę, żeby poszukać telefonu, Inara złapała podwinięty róg wykładziny i pociągnęła z całej siły. Chodnik trzymał się dolnego stopnia tylko z jednej strony, więc oderwanie go przyszło jej bez trudu. Odsłonięty fragment schodów był wykonany z twardego drewna o złocistym odcieniu, ale szpeciły go rysy i zadrapania, które musiały powstać na przestrzeni wielu lat.

Inara chwyciła chodnik kawałek dalej i jeszcze raz pociągnęła. Drugi stopień przysporzył jej więcej problemów. Stała nad nim okrakiem, podpierając się jedną stopą o pierwszy, a drugą o trzeci schodek, i mocno szarpnęła. Olivia właśnie zaczęła schodzić. Chodnik ustąpił na tyle, żeby nie zniechęcić jej do kolejnych prób.

– Poszukam młotka – zaproponowała Olivia, obchodząc ją dookoła.

Inara nie chciała czekać, więc zebrała się w sobie i jeszcze raz pociągnęła. Tym razem chodnik odskoczył z trzaskiem. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że oderwała nie tylko fragment wykładziny. Został jej w rękach cały stopień, który nadal trzymał się chodnika. W miejscu, gdzie powinien być drugi schodek, ziała czarna dziura.

– Trzeba było poczekać. – Olivia odwróciła się od szafki i zaprzestała poszukiwań młotka.

Inara westchnęła i zabrała się do odkładania schodka na miejsce, zamierzając powierzyć zadanie oderwania chodnika komu innemu, ale w tym momencie coś przykuło jej uwagę.

– W tej dziurze coś jest.

– Pewnie mysie gniazdo.

Inara wzdrygnęła się na samą myśl.

– Zostaw młotek. Potrzebuję latarki. I gumowych rękawiczek.

Nie ma mowy, żeby wsadziła gołą rękę w mysie gniazdo. Chwilę później Olivia wróciła z latarką i rękawiczkami. Podała je Inarze z miną, która mówiła: „Wariatka z ciebie”.

Inara wsunęła dłonie w rękawiczki, po czym uklękła na dolnym schodku i skierowała światło latarki do dziury.

Pod warstwą kurzu, pajęczyn i – właśnie tak – mysich odchodów (fuj!) leżało jakieś zawiniątko. Zdecydowanie dzieło człowieka. Nie gryzonia.

Ale mysz odpowiedzialna za odchody mogła nadal tam być.

Z jednej strony Inara bała się włożyć rękę do środka, jednak z drugiej nie mogła tak po prostu zostawić tej ukrytej paczuszki, nie dowiedziawszy się, co w niej jest, więc wstrzymała oddech i dłonią w rękawiczkę powoli sięgnęła do dziury.

Zawiniątko było miękkie. I zaskakująco lekkie.

– Co to jest? – Poczła oddech Olivii na swoim karku.

– Uważaj. – Inara szybko złapała paczuszkę i wyciągnęła ją z kryjówki. Potem, wciąż myśląc o myszach, odsunęła ją od siebie i skierowała się do stołu, podczas gdy Olivia z hukiem upuściła schodek z powrotem na miejsce.

Wolną ręką Inara wzięła plik gazet z koszyka na blacie i rozłożyła je na kuchennym stole, a następnie położyła na nich brudną paczuszkę.

Cokolwiek było w środku, ktoś zawinął to w kawałek materiału i związał brązowym sznurkiem. Całość miała kształt kwadratu i rozmiary niedużego melona. Inara złapała za sznurek i pociągnęła. Wysunął jej się z palców w rękawiczkach, a węzeł ani drgnął.

– Masz. – Olivia podała jej nóż do mięsa ze stojaka na blacie.

Chwilę później rzemyk był już rozcięty, a poplamiona cerata rozwinięta.

W środku znajdowała się poślóka tkanina w niebieską kratę. Z pewnością nie była to jedyna zawartość zawiniątka.

– Po co ktoś miałby pakować i ukrywać stary kawałek materiału?

– Może zawinął w niego coś bardziej wartościowego, na przykład naszyjnik z drogich kamieni. – Olivia przysunęła się tak blisko, że Inara poczuła zapach jej kokosowego kremu do ciała.

– Albo sakiewkę pełną złota, albo może pamiętnik pełen pikantnych opowieści.

Inara spojrzała w błyszczące z podekscytowania oczy Olivii i wiedziała, że obie przypomniały sobie poszukiwania skarbów, które ciotka Dahlia wymyślała dla nich, kiedy były dziećmi.

– Rozwiń to – ponagliła ją Olivia.

Inara wyciągnęła ręce, ale zatrzymała je, kiedy zobaczyła, że cały czas ma na nich brudne rękawiczki.

– Potrzyj to przez chwilę, ale poczekaj. Nie otwieraj.

Olivia z powagą podniosła kraciasty materiał z brudnej ceraty. Inara zwinęła szybko ceratę z gazetami i wyrzuciła je do kosza pod zlewem razem z rękawiczkami. Potem umyła ręce i pospieszyła z powrotem do stołu, gdzie siostra oddała jej skarb.

Inara ostrożnie pociągnęła za koniec bawełnianego materiału i zaczęła odwijać każde zgięcie, aż wreszcie cały materiał leżał rozłożony na stole.

– To męska koszula robocza.

– Skąd Dahlia mogła wziąć męską koszulę?

I wtedy zobaczyły to, co kryło się wewnątrz.

Nie było to złoto, drogic kamienie ani żadne tajemnice, ale Inara nie miała wątpliwości, że był to prawdziwy skarb. Przed nią leżał kawałek niebieskiego jedwabiu złożony w kwadrat wielkości dłoni, wyszywany kolorowymi nićmi w skomplikowane wzory.

Powoli i ostrożnie podniosła delikatny materiał z koszuli i rozłożyła go.

Kiedy to zrobiła, nie pozostało jej nic innego, jak tylko wpatrywać się w jedwab z podziwem. Olivii również odjęło mowę.

Był to rękaw. Nie cały strój, tylko pojedynczy, długi rękaw z mankietem o dziwnym kształcie. Został najwyraźniej odcięty od ubrania, do którego kiedyś należał. Ale, co ciekawe, każdy skrawek rękawa był pokryty skomplikowanym wzorem, wyhaftowanym nićmi o głębokich kolorach, które układały się w obrazy tak szczegółowe, jakby były namalowane.

Inara nie знаła się kompletnie na tekstyliach ani na szyciu, jednak nawet ona widziała, że ten rękaw to nie tylko część jakiegoś ubioru, ale też prawdziwe dzieło sztuki.

– Jak myślisz, co to jest? – zapytała siostrę, nie spodziewając się tak naprawdę odpowiedzi. Zmrużyła oczy i oglądała materiał ze wszystkich stron, starając się rozpoznać, co przedstawia haft i z jakiego rodzaju ubrania może pochodzić rękaw.

– Dlaczego Dahlia schowała stary rękaw pod schodami? – Olivia pochyliła się, chcąc się lepiej przyjrzeć. Inara przesunęła się tak, żeby nie zasłaniać światła i móc lepiej zobaczyć wyhaftowany obraz.

Scena wymalowana nićmi zdawała się koncentrować wokół dużego parowca płynącego przez wzburzone morze. Dookoła statku pływali ludzie, a może były to morskie stworzenia podobne do syren?

Z dala od parowca, w dole rękawa, zobaczyła postać mężczyzny, który stał w małej łódce i trzymał w górze żółte światło.

– Może to nie Dahlia go schowała, tylko ktoś przed nią – zastanawiała się Inara. – Duncan Campbell często pływał do Azji. Może to należało do niego.

Rękaw zdecydowanie miał w sobie coś azjatyckiego. Przypominał japońskie albo chińskie malowidła, które widziała w muzeach. Udało jej się nawet dostrzec coś, co wyglądało jak znaki z jakiegoś azjatyckiego języka wplecione w scenę.

– To może być wartościowe, zwłaszcza gdybyśmy znalazły resztę tego ubrania schowaną gdzie indziej.

– Wartościowe czy nie, po co odcinać rękaw i ukrywać go pod schodami? To nie ma sensu. – Inara opadła na krzesło i popatrzyła na znalezisko. – I co ja mam z nim zrobić?

Olivia usiadła obok niej i przechyliła głowę na bok.

– Teraz to już chyba twoje, więc decyzja należy do ciebie.

Inara wpatrywała się w statek na rękawie. Był niezwykle intrygujący, ale coś jej mówiło, że powinna ukryć go z powrotem tam, gdzie znalazła, i zapomnieć o całej sprawie.

Rozdział drugi

Niedziela, 7 lutego 1886 – przed świtem
Seattle, Terytorium Waszyngtonu

W mieście pełnym hazardu, alkoholu oraz opium, huk i krzyki, które w nocy obudziły Liu Mei Lien nie wydawały się niczym niezwykłym. Przekręciła się na bok w wąskim łóżku, które dzieliła z babką, i naciągnęła szary, szorstki koc aż pod szyję, żeby odgrodzić się od wilgotnego chłodu, jaki zdawał się nie ustępować o tej porze roku. W chwili kiedy zaczynała znów zasypiać, tuż pod oknem rozległ się męski głos, który krzyczał po chińsku:

– Nadchodzą!

Burcząc cicho pod nosem, żeby nie obudzić babki, Mei Lien podniosła się z łóżka i odsunęła worek z juty, który służył im za zasłonę. Przez unoszącą się mgłę spojrzała w dół, na błotnistą ulicę.

Trzech mężczyzn ubranych w *samfu* – tradycyjny chiński strój, składający się z sięgającego do bioder, wiązanego po boku kaftana i luźnych spodni – biegło z portu pod górę, a ich długie, ciemne kucyki, które opadały im spod czapeczek, powiewały za nimi. Jeden z mężczyzn potknął się, a dwóch pozostałych podniosło go, nawet się nie zatrzymując. Odwrócili głowy, żeby spojrzeć za siebie, ich oczy były rozszerzone, a twarze pełne napięcia.

Mei Lien pokręciła głową. Kiedy wreszcie ci bracia Yeung nauczą się, żeby nie oszukiwać w karty? Wciąż uciekali przed kłopotami i prosili ojca albo pana China o pokrycie ich długów.

Dziewczyna opuściła zasłonę i stwierdziła, że właściwie to może się już ubrać, żeby zacząć dzień. Sięgnęła po pas bawełnianego materiału, którego używała na co dzień do spłaszczania piersi, i z wprawą owinęła go ciasno wokół pokrytego gęsią skórką ciała, a końce zabezpieczyła, wsuwając je pod spód.

Miała siedemnaście lat, czyli więcej niż jej matka, gdy wychodziła za ojca, i tylko rok mniej, niż kiedy umarła przy porodzie. Mei Lien wiedziała, że od jakiegoś czasu ojciec zastanawia się nad zaaranżowaniem dla niej małżeństwa, ale jej to nie interesowało. Bardzo lubiła pomagać mu rano w prowadzeniu sklepu, a popołudnia spędzać na haftowaniu z babką. Nie chciała tego zostawiać.

Teraz, kiedy rozbudziła się w pełni, miała ochotę dołożyć do ognia w piecu na dole i rozgrzać się poranną herbatą. Poruszając się nadal najciszej, jak tylko mogła, wsunęła zeszywniałe z zimna nogi w bawełniane spodnie, fu, narzuciła na siebie kaftan, sam, i włożyła czapkę, która ostatecznie przekonywała ludzi na ulicach Seattle, że jest chłopcem. Jako chłopiec mogła poruszać się swobodnie po mieście i pomagać ojcu w dostarczaniu zamówień ze sklepu. Jako chłopca nie niepokoił jej samotni chińscy kawalerowie ani ciekawscy biali mężczyźni. Dzięki tej swobodzie nauczyła się mówić po angielsku, więc mogła słuchać wiadomości i plotek, którymi dzieliła się później z babką, nieustannie zmartwioną, że jej wnuczka nie zachowuje się jak porządna chińska dziewczyna.

Mei Lien wsunęła stopy w buty na płaskiej podeszwie i zawiązała kawałek czerwonego sznurka na końcu kucyka, który opadał jej aż do pasa. Sznurek ten był jedynym kobiecym akcentem, na jaki sobie pozwalała, ale wiedziała, że nie wzbudzi on niczyich wątpliwości, a już na pewno nie teraz. Czerwień była kolorem szczęścia. A ona, podobnie jak wszyscy pozostali chińscy mieszkańcy Seattle, przez cały ten tydzień po cichu świętowała Nowy Rok, czego przejawem było wieszanie po zewnętrznej stronie

drzwi znaków podwójnego szczęścia i palenie czerwonych świeczek, żeby uczcić przodków i odpędzić demony. Trzy dni temu siedziała wieczorem przy oknie z babką i klaskała w dłonie, kiedy bracia Yeung do późna w nocy odpalali petardy.

Drżąc nadal z zimna, zbiegła po schodach do izby znajdującej się za sklepem ojca, w której stał przyjemnie ciepły piec. Drzwiczki zaskrzypiały przy otwieraniu i wiedziała, że będzie to dla ojca znak nadchodzącego poranka. Wsunęła szybko kilka szczap do wnętrza pieca, postawiła czajnik na palniku i zajęła się zapalaniem świeczek i kadziła na domowym ołtarzyku, po czym szeptem pozdrowiła przodków słowami pełnymi szacunku. Był to trzeci dzień nowego roku, Roku Psa, i ojciec obiecał, że tego dnia dostanie jedną z suszonych śliwek, które zamówił na święta, a które się nie sprzedały.

Ślinka jej pociekła na myśl o słodkiej, mięsistej śliwce. Może, jeśli szybko wykona swoje prace domowe, ojciec da jej obiecany przysmak jeszcze przed otwarciem sklepu.

Pierwszy obowiązek – poranny posiłek. Zakrzętnęła się po małej izbie i wzięła słoik kiszzonej kapusty z cebulą, żeby zmieszać je z ryżem oraz bulionem z wczorajszej kolacji. W chwili kiedy przekładała mieszankę na patelnię ustawioną na gorącym piecu, usłyszała dobiegające od strony sklepu echo dalekiego łomotu, a następnie pełne niepokoju okrzyki, które przypomniały jej o trzech przestraszonych braciach biegnących w górę ulicy. Zatrzymała się, żeby posłuchać, ale nie mogła rozpoznać żadnych słów ani nawet stwierdzić, czy były one wypowiedziane po angielsku czy po chińsku. Ton głosu wystarczył jednak, żeby mocniej ścisnęła trzonek drewnianej łyżki i wstrzymała oddech, próbując usłyszeć więcej.

Przez cienkie drewniane ściany dobiegł ją dźwięk brzmiący jak wielkie poruszenie, które podchodzi coraz bliżej. Krzyki wydawały się natarczywe, a nawet gniewne.

I wtedy zrozumiała.

Ale nie chciała rozumieć. Nie. To nie mogło się dzieć. Nie tutaj. Nie teraz.

Z łyżką od ryżu w zaciśniętej dłoni otworzyła drzwi łączące pomieszczenia mieszkalne z ciemnym sklepem. Przez okna wychodzące na Washington Street zobaczyła tłum białych ludzi, którzy nieśli broń i coś, co wyglądało na ciężkie kije. Kilku niosło też lampy, ale i bez tego gromada ludzi była dobrze widoczna pod rozjaśniającym się niebem. Kiedy tak patrzyła, z tłumy wyszedł mężczyzna ubrany w czarny garnitur i kapelusz. Podszedł do zamkniętych drzwi. Jego ciemne oczy zdawały się patrzeć prosto na Mei Lien pod nazwą sklepu namalowaną na szybie. Zimny dreszcz strachu targnął jej ciałem. Uchwyt łyżki wbijał jej się w dłoń.

– Pakuj się, Chinolu! – wrzasnął do niej mężczyzna. – Dzisiaj wracasz do Chin!

– Mei Lien! Odejdź stamtąd. – Ojciec złapał ją za ramię i odciągnął od drzwi na tyle, żeby zamknąć je z powrotem i zasłonić tłum razem z mężczyzną.

– Pogłoski były prawdziwe, *Bàba* – zawołała, odwracając się twarzą do niego, i zobaczyła, że nadal ma na sobie nocny strój. – Wypędzają nas z miasta!

– Cicho, córko. – Ujął ją ciepłymi dłońmi za ramiona i spojrzał z bliska w oczy. – Nie pokazuj im, że się boisz. Dopóki jesteśmy razem, nic nam się nie stanie.

Potem puścił ją i popchnął lekko w stronę schodów.

– Idź obudzić babkę i ubierz ją. Zapakuj, co tylko możesz. Nie wiem, czy jeszcze tu wrócimy.

Chciała zaprotestować, ale ojciec już zniknął w malutkim tylnym pokoju, w którym spał. Ze ściśniętym boleśnie żołądkiem wspięła się po schodach i uklękła przy łóżku babki.

– *Nāinai*, obudź się. Musimy przygotować się do drogi. – Mei Lien potrząsnęła babkę za ramię, bo wiedziała, że od kilku ostatnich miesięcy słuch staruszki stopniowo się pogarsza. Powtórzyła swoje słowa po chińsku, ponieważ babka nigdy nie nauczyła się angielskiego, i dalej delikatnie nią poruszała.

– Muszę powiedzieć służącej, żeby się pospieszyła – wykrzyknęła babka, prostując się nagle. – Matka nie lubi na nikogo czekać w dniu targu. – Jej oczy były równie mgliste jak jej słowa.

Mei Lien, przyzwyczajona do tego, że babka śni o dawnym życiu w Chinach, poklepała ją po ramieniu i odwróciła się, żeby otworzyć ustawioną przy łóżku skrzynię, w której znajdowały się ubrania staruszki. Ale w tym momencie usłyszała krzyk ojca dobiegający ze sklepu na dole, a zaraz potem trzask i łomot.

Rzuciła na łóżko pierwsze ubranie, jakie wpadło jej w ręce, i zbiegła po schodach, czując, że jej stopy stały się nagle ociężałe. Kiedy dotarła do drzwi prowadzących do sklepu, zatrzymała się jak wryta. Ojciec klęczał na podłodze przed dwoma białymi mężczyznami. Zawartość rozciętego worka ryżu leżała rozsypana dookoła niego. Wyższy mężczyzna trzymał karabin na wysokości piersi, a niższy miał w rękach pomalowany na czarno kawał drewna – wyglądał jak fragment obramowania okien sklepowych.

Obaj mężczyźni byli ubrani w ciemne garnitury i kapelusze, jakie widywała często wśród białych ludzi, chociaż ten niższy z przodu wyglądał, jakby od wielu dni się nie przebierał, tak pomarszczona i poplamiona była jego marynarka. Obaj mieli błysk szaleństwa w oczach, co sprawiło, że Mei Lien nagle zaschło w ustach. Jej wzrok przeniósł się na drzwi wejściowe do sklepu. Potłuczone szkło leżało rozsypane na podłodze. Dookoła otworu, który wybili w drzwiach mężczyźni, widać było strzaskane drewno. Zamek nadal mocno trzymał się ściany.

– Proszę. Nie krzywdzić rodziny – błagał ojciec łamaną angielszczyzną, ciało miał skulone, a głowę opuszczoną. Nigdy dotąd Mei Lien nie widziała go tak przestraszonego albo tak słabego. Jej żołądek skurczył się i musiała mocno przełknąć ślinę, żeby nie zwymiotować.

Pomimo grożącego im obojgu niebezpieczeństwa podbiegła do ojca, pilnując, żeby przez cały czas mieć spuszczonego wzrok. Chwyciła go za ramię.

– *Bàba*, wstań.

Ojciec podniósł gwałtownie głowę w jej stronę. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia i natychmiast zrozumiała, że powinna była zostać na górze. Dźwignął się ciężko i oboje zrobili kilka kroków w tył. Mei Lien nadal trzymała go za ramię. Zasłonił ją swoim ciałem.

Mężczyzna z drewnianym drągiem uderzył nim o dłoń i splunął na podłogę, zostawiając brzydki brązowy ślad w miejscu, które zaledwie wczoraj Mei Lien wyszorowała do czysta.

– Odpuśćcie dzisiaj wszyscy promem o pierwszej po południu. Wracacie do Chin, zółtki.

– Ale to jest nasz dom – zaprotestowała Mei Lien bez zastanowienia. Urodziła się w Seattle. Nie znała innego życia. – Nie chcemy wyjeżdżać. – Ojciec poklepał ją po dłoni, ale nic nie powiedział.

Grubszy mężczyzna obejrzał się na kolegę. Ich twarze rozciągnęły się w szerokich uśmiechach, które nie odbiły się jednak w ich oczach, a potem ten niższy odwrócił się z powrotem w stronę Mei Lien i jej ojca.

– To akurat nie ma już znaczenia, wiecie? Decyzja została podjęta. Nikt nie chce, żebyście wy, Chinole, zabierali pracę i pieniądze nam, Amerykanom. – Zrobił krok w ich kierunku, a Mei Lien poczuła, jak ojciec sztywnieje. – Tak sobie myślę... Nie chce mi się wierzyć, że zapakujecie swoje tyłki na tę łódź, więc lepiej sam was na nią wsadzę.

Zanim Mei Lien i jej ojciec zdążyli się zorientować, złapał dziewczynę za ramię.

– Puść mnie! – krzyknęła, ale on jeszcze zacieśnił uścisk, odciągnął ją od ojca jednym szarpnięciem i popchnął w kierunku drzwi.

– No dalej, Chinolu.

– Poczekajcie! – Ojciec znalazł się nagle przed nią i odgrodził ją własnym ciałem od mężczyzny. – My pójść. Proszę, zabrać tylko nasze rzeczy i stara matka. Ona nie chodzić.

– *Bàba!* – Mei Lien syknęła mu po chińsku do ucha. – Dlaczego mamy odejść? W Chinach nic dla nas nie ma. Sam mi to wiele razy mówiłeś.

Ojciec odwrócił twarz w jej stronę, jego oczy nakazywały jej posłuszeństwo.

– Synu – powiedział po angielsku, przyzwyczajony do komedii, którą odgrywali przed obcymi. –

Nie ma wyboru. Idź zabrać swoje rzeczy i pomóc *Nǎinai*. Ja zapakować, co się da.

– Macie pięć minut. Ani sekundy więcej. Każdy Chińczyk, który zostanie na brzegu po odpłynięciu parowca, będzie zastrzelony. – Jakby na potwierdzenie słów mężczyzny z ulicy dobiegł odgłos wystrzału.

Podczas gdy biali podbiegli do okna, żeby popatrzeć, ojciec pchnął Mei Lien w kierunku schodów i pouczył szeptem po chińsku:

– Szukają pretekstu, żeby nas zabić. Nie dawaj im go. Zbierz wszystko, co mamy wartościowego. Pospiesz się!

Na te słowa Mei Lien potknęła się na schodach. Jak to w ogóle możliwe? Jak ci mężczyźni mogli wtargnąć do ich mieszkania i zmusić do odpłynięcia „do domu”, do kraju, w którym Mei Lien nigdy dotąd nie była? Kraju, który jej ojciec pożegnał, nie zamierzając nigdy wracać?

Kiedy weszła do pokoju, zobaczyła, że babka siedzi na łóżku, a na jej niedużej, bladej twarzy dostrzegła rozszerzone oczy. Staruszce udało się samej ubrać w najlepsze, czerwone *mang ao* i marszczoną spódnicę w tym samym kolorze – strój, który miała na sobie w dniu ślubu. Ubrania wisały luźno na jej drobnym ciele. I jakby wiedziała, że mieli właśnie wyruszyć w podróż, wcisnęła swoje malutkie, skrupowane stopy w najlepsze, czarne wyszywane buty.

Widząc strach wymalowany na pomarszczonej twarzy babki, Mei Lien poczuła, jak zamiera w niej serce, ale nie traciła czasu na pocieszenie. Z krzesła przy łóżku podniosła torbę na zakupy i zaczęła wrzucać do niej ubrania, szczotkę do włosów oraz pieniądze, które szczęśliwie dostała zaledwie parę dni temu. Kiedy torba była pełna, złapała tę, w której babka trzymała przybory do haftowania, i wyrzuciła na podłogę wszystkie kordonki, igły i niedokończone portmonetki. Do worka wepchnęła trochę ubrań babki, jej pamiątkową szpilkę do włosów i pieniądze, które trzymała w sakiewce wciśniętej za ich wspólną umywalkę w pokoju. Wreszcie zwróciła się do niej:

– *Nǎinai*, musimy iść – powiedziała. – Bok Guey zmuszają nas, żebyśmy odpłynęli dzisiaj do Chin. *Bàba* czeka na dole.

Oczy babki rozjaśniły się na wspomnienie Chin, ale szybko z powrotem spochmurniały.

– Nie zapomnij o moim pudrze, Mei Lien. Nie mogę się pokazać bez pudru.

Mei Lien szybko, ale delikatnie rozprowadziła biały puder na cienkiej jak papier skórze babki, następnie musnęła jej policzki i dolną wargę czerwienią, po czym wrzuciła pojemniczki do torby hafciarskiej.

– Masz piękne *mang ao*, *Nǎinai* – powiedziała, zawiązując torbę. – Te smoki i feniksy na pewno będą nas chronić podczas podróży.

Babka uśmiechnęła się szeroko i podniosła wysoko głowę. Często opowiadała Mei Lien, jak to czerwony jedwab kaftana przynosi szczęście, i z dumą podkreślała, że osiem wyszywanych smoków oznacza rangę urzędniczą jej zmarłego męża. Emblemat ze srebrnym bażantem wyhaftowany na przodzie był już podniszczony i wyblakły, ale ściąg wykonany własnoręcznie przez babkę był tak drobny, że trzeba było dokładnie się przyjrzeć, żeby stwierdzić, czy wzór nie został namalowany. Mei Lien miała nadzieję, że tego dnia ozdobny strój nie ściągnie na nich niechcianej uwagi.

W drzwiach stanął ojciec, a za nim wyższy biały mężczyzna.

– Musimy już iść – powiedział, a w jego głosie słychać było napięcie.

Mei Lien pokiwała głową.

– Dobrze, *Bàba*. Czy możesz wziąć nasze rzeczy? Ja wezmę *Nǎinai*.

Babka musiała być wszędzie noszona ze względu na swoje zdeformowane stopy, które nie wytrzymały dużego obciążenia. Mei Lien przywykła do noszenia jej na plecach po mieszkaniu, co zazwyczaj wystarczało, ponieważ babka od lat nie wychodziła z domu. Ale chociaż staruszka była drobnej postury, zanieśenie jej do portu trzy przecznice dalej mogło okazać się trudne.

Z babką na plecach Mei Lien podążyła za mężczyznami na dół, gdzie od zapachu spalonej kapusty

zaczęły jej łzawić oczy. Płomienie świec tańczyły na rodzinnym ołtarzyku i oświetlały fotografię matki Mei Lien – której dziewczyna nigdy nie poznała – w taki sposób, że wydawało jej się, że tamta patrzy prosto na nią.

– *Bàba*, zdjęcia – wyszeptała, przypominając ojcu, żeby dopakował je do ich rzeczy, a on wrzucił je natychmiast do torby babki. Z rezygnacją spojrzeli na wszystko, co musieli zostawić, i skierowali się do sklepu na przodzie budynku.

Kiedy weszli, niższy biały diabeł napełniał sobie właśnie kieszenie puszkami opium i tabaki. Mei Lien minęła go bez słowa, jej buty zachrząściły na potłuczonym szkle. Gdy wyszła z zacienionego wnętrza na drewniany chodnik, instynktownie odsunęła się na bok, przyciskając siebie i babkę, ciężącą jej na plecach, do szyby sklepu.

Tłum, który zebrał się na ulicy, wyglądał jakby żywcem wyjęty z koszmaru sennego, oderwany od reszty świata, spowity podnoszącą się mgłą i słabo oświetlony słońcem przenikającym przez szare od mżawki niebo. Mężczyźni o bladych twarzach, poubierani w czarne i brązowe garnitury oraz kapelusze, krążyli dookoła ponad niższymi od nich Chińczykami, którzy mieli na sobie takie same luźne kaftany i spodnie jak Mei Lien i jej ojciec. Strój babki na pewno wyróżniał się jako jedyna plama koloru w ten straszny poranek, chociaż Mei Lien widziała tylko rękawy owinięte wokół swojej szyi. Skuliła się przy budynku, nagle przerażona niczym niezawinioną nienawiścią, jaką wyczuwała w tłumie.

Pomimo chłodu powietrze było ciężkie od drażniącego odoru przybrzeżnych mokradeł i zapchanego kanału, z którego wylewały się na ulicę ścieki. Co jakiś czas podmuch słonego powietrza przynosił z portu zapach smoły, który wzmagał ogólnie panujący smród. W dole ulicy, tak daleko, jak pozwalała zobaczyć mgła, widać było Chińczyków przeganianych niczym bydło pomiędzy kolumnami gniewnych, białych mężczyzn, którzy potrząsali bronią i kijami.

– Wyciągnę nas z tego – wyszeptał po chińsku ojciec, zatrzymując się przy Mei Lien na chodniku z desek. – Trzymaj się blisko mnie.

Jego słowa dodały jej odwagi, której potrzebowała, żeby wejść razem z nim w rzekę ludzi płynącą po błotnistej ulicy. Trafiała stopą na śliski koński nawóz i poczuła, jak zaczyna się przewracać. Ciężar babki wytrącał ją z równowagi na tyle, że uniknięcie upadku wydawało się niemożliwe.

Ale w tym momencie złapały ją dwie silne dłonie i postawiły z powrotem na nogi, a babka nadal trzymała się bezpiecznie na jej plecach. Mei Lien podniosła wzrok, żeby zobaczyć, kto jej pomógł, i odkryła, że to najmłodszy z braci Yeung. Uśmiechnęła się do niego w podziękowaniu, ale on tylko zmarszczył brwi i odwrócił się, szturchany końcem karabinu.

Ten sam karabin dźgnął ją teraz w bok.

– Ruszaj się, chłopcze.

Mei Lien nie miała wyboru, musiała usłuchać. Czując palący ból w mięśniach nóg i pleców, a w piersi jeszcze bardziej wyniszczający ogień strachu, zaczęła iść w dół, w stronę morza, razem z pozostałymi powyciąganymi z domów Chińczykami.

– Synu, tutaj! – wołanie ojca dobiegło z alejki pomiędzy jego sklepem a sąsiednią pralnią. Poza domem nigdy nie używał jej imienia, ale rozpoznała go po głosie.

Najszybciej jak tylko pozwalał jej na to ciężar babki i białe diabły poganiające wszystkich dookoła, przedostała się do alejki i dotarła do ojca, który opierał się plecami o wilgotny, drewniany szalunek i rzucał ponad nią niespokojne spojrzenia.

– Szybko, tędy. – Oderwał się od ściany i podążył dalej w głąb alejki, prowadząc ich, jak miała nadzieję Mei Lien, w stronę bezpieczeństwa i możliwości pozostania na tej ziemi.

– Hej, wy tam. Stójcie!

Pod wpływem tego okrzyku przyspieszyli kroku. Mei Lien zebrała resztki sił, żeby iść dalej naprzód, chociaż ciężar babki sprawiał, że czuła się jak we śnie, w którym próbuje biec, ale nogi jej nie słuchają.

Usłyszała odgłos kroków za plecami i wyteżyła siły. Kroki się zbliżały.

Zobaczyła tylko ciemną plamę, która przesunęła się obok niej, i ojca upadającego w błoto. Mei Lien zatrzymała się gwałtownie, żeby się o niego nie potknąć, i zobaczyła, jak biały mężczyzna chwyta go i podnosi do góry dłońmi wielkości twarzy ojca.

– Gdzie się wybieracie? – Mężczyzna nie czekał na odpowiedź, tylko walnął ojca pięścią w policzek, aż głowa odskoczyła mu z chrzęstem do tyłu. Czarne wąsy mężczyzny zadrgały w uśmiechu, który sprawił, że zimny dreszcz przeniknął Mei Lien do szpiku kości.

– Bok Guey! Puść go! – krzyknęła staruszka, czym dała upust swojej złości na białego diabła, chociaż on nie zrozumiał ani słowa z jej tyrady. Mei Lien zaczęła zsuwać babkę z pleców, żeby pomóc ojcu, ale ona ścisnęła ją mocniej za szyję, niemalże ją dusząc.

– Nie, Mei Lien. Ciebie też uderzy – ostrzegła.

Wiedząc, że babka ma rację, Mei Lien podsadziła ją sobie wyżej na plecach i wciągnęła powietrze, którego zaczynało już jej brakować, głęboko do płuc.

Ojciec był najłagodniejszym człowiekiem, jakiego znała. Nigdy nie podniósł głosu na nią ani nawet na młodych ludzi, którzy przychodzili do sklepu w dniu wypłaty, wygłaszali swoje żądania i zachowywali się jak świnie. Nigdy w życiu się z nikim nie bił. Patrzenie jak jest teraz bity i znieważany przysparzało Mei Lien większego bólu, niż gdyby to ona sama dostawała ciosy. Nie mogła tak stać i się przyglądać. Musiała coś zrobić.

Zgięła się w pasie, żeby utrzymać babkę na plecach, i chwyciła mężczyznę za ramię, zanim zdążył jeszcze raz uderzyć ojca pięścią w zakrwawioną twarz.

– Proszę – zaczęła błagać najlepiej, jak umiała po angielsku. – Niech pan przestanie go bić. Pójdziemy na statek z innymi. Nie będziemy sprawiać więcej kłopotów.

W tym momencie w alejce rozległ się huk wystrzału. Mei Lien ogarnęło przerażenie i popatrzyła na ojca, szukając śladu po kuli. Jego rany wskazywały na pobicie, ale nie na postrzał, a poza tym nadal oddychał. Babka dalej krzyczała jej do ucha, więc nie mogła być ranna. Mei Lien z ulgą zamknęła oczy i wypuściła z płuc drżący oddech.

Kiedy z powrotem otworzyła oczy, zobaczyła, że biały mężczyzna nadal trzyma kaftan ojca w zakrwawionych pięściach, ale patrzy w stronę Washington Street za plecami Mei Lien, skąd dobiegł wystrzał. To, co zobaczył, przywołało na jego usta nieprzyjemny uśmieszek, ale dziewczyna nie obejrzała się, żeby spojrzeć, co to było. Musiała wydostać ich z tej alejki żywych.

– Proszę – powiedziała znowu. – Naprawdę pójdziemy.

Kiedy jego czarne oczy spoczęły na niej, zobaczyła w nich tak czystą nienawiść, że aż zadrżały jej kolana. Wyprostowała się na tyle, na ile pozwalał jej ciężar babki, mając nadzieję, że ukryje w ten sposób dreszcze przerażenia.

Mężczyzna rzucił ojca na ziemię z pomrukiem obrzydzenia i podniósł się, otrzepując potężne dłonie, a jego twarz znowu powoli rozciągnęła się w uśmiechu.

– A żebyście wiedzieli, że pójdziecie, do cholery. – Kopnął ojca. – No już, bydlaku, zanim zmienię zdanie.

Mei Lien zrobiła, co tylko w jej mocy, żeby pomóc ojcu wstać. Jedno oko zasłaniała mu opuchlizna, a z nosa i z rozcięcia na policzku spływała krew. Wezbrała w niej złość, która odsunęła na bok strach. Przecież on nic złego nie zrobił. Żadne z nich nie uczyniło nic złego. Ich jedynym występkiem było to, że urodzili się Chińczykami, których biali Amerykanie uważali za gorszych niż zwierzęta hodowlane. Nieważne, że Chińczycy budowali im tory kolejowe, rąbali drewno i pakowali łososia do puszek. Chińczycy pracowali tak samo ciężko, jeśli nie ciężej niż jakikolwiek biały człowiek na tych ziemiach, a teraz byli stąd wyrzucani. Niechciani. Nieczyści. Byli przeszkodą.

– Synu, musimy iść. – W słowach ojca pobrzmiwało ostrzeżenie i Mei Lien wiedziała, że dostrzegł

jej wściekłość. Nie miała zaufania do własnego głosu, bała się, że zdradzi się ze swoim gniewem na białego mężczyznę, a przez to tamten jeszcze bardziej skrzywdzi ojca. Albo go zabije. Ta myśl otrzeźwiła ją, więc tylko kiwnęła głową i zrównała się z ojcem, który kuśtykał z powrotem w stronę ulicy.

Kiedy dotarli do drewnianego chodnika, zatrzymała się nagle i musiała mocno się postarać, żeby ustać na chwiejących się niebezpiecznie nogach. Przed nimi leżał rozciągnięty w błocie najmłodszy z braci Yeung, ten, który wcześniej jej pomógł. Z tyłu głowy miał wielką, krwawą ranę po postrzale i uświadomiła sobie, że ten widok będzie ją odtąd prześladował za każdym razem, kiedy zamknie oczy. Patrzył niewidzącym wzrokiem w alejkę, z której dopiero co wyszli. Mijający ich właśnie Chińczyk odwrócił spojrzenie.

– No dalej – nakazał wąsaty mężczyzna, popychając ich od tyłu.

Ojciec pociągnął ją za ramię i w końcu jej nogi zaczęły współpracować, choć czuła, że jej ciało przytłacza nieznośny ciężar. Ciężar, w którym wyczuwała więcej niż tylko niesioną na plecach babkę. Okrążyli razem ciało postrzelonego i poszli ulicą w kierunku furgonu, który miał zawieźć ich na statek.

Rozdział trzeci

*Niedziela, 27 maja – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas*

Olivia poszła na górę, żeby zadzwonić do domu, a Inara nadal przyglądała się wyszywanemu rękawowi, kiedy nagle usłyszała odgłos silnika samochodu na zewnątrz. W tym momencie przypomniała sobie, że drzwi do willi zostały z siostrą szeroko otwarte. Każdy mógł wejść.

Zawinęła rękaw z powrotem w kraciasty materiał i zostawiła na kuchennym stole, po czym pospieszyła do salonu, żeby odsunąć fi rankę i wyrzucić przez okno.

Obok jej auta stał zaparkowany poobijany zielony pick-up z narzędziami na pace. W stronę wejścia do willi szedł postawny mężczyzna o krótkich, rdzawych włosach, ubrany w kurtkę roboczą.

Pomimo rosnącego niepokoju Inara wysliznęła się z domu i zawołała:

– Dzień dobry! W czym mogę panu pomóc?

Nie zamierzała pozwolić obcemu człowiekowi wejść tak po prostu do jej rodzinnej rezydencji.

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę, a jego zmęczone oczy się zwęziły.

– Kim pani jest?

Podniosła głowę.

– Inara Erickson. Właścicielka Rothesay. A kim pan jest? – celowo odpowiedziała w podobnym, wyzywającym tonie.

Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu, jakby zza chmur wyszło słońce. Podeszedł do niej i wyciągnął rękę.

– Przepraszam, myślałem, że jest pani ciekawską turystką, dziką lokatorką albo jeszcze kimś innym. Tom Gardner. Mieszkam z żoną po drugiej stronie drogi.

Ucisnęła mu dłoń, puściła ją i cofnęła się o krok.

Zdawał się nie zauważać tego celowego powiększenia dystansu, włożył ręce do kieszeni.

– Pomagaliśmy Dahlii i Nancy z posiadłością. Często o pani wspominały, wie pani? Ale mniejsza z tym. Kiedy... odeszły... – Przerwał i odchrząknął. – Kiedy odeszły, dalej zajmowaliśmy się tym miejscem i zastanawialiśmy się, co się z nim stanie.

Widząc, jak ten potężny człowiek walczy z emocjami na wspomnienie o utracie Dahlii, Inara przestała się obawiać i pozwoliła sobie na uśmiech.

– Miło pana poznać. Czy to pan skosił trawę?

Tom pokiwał głową. Odwrócił zaczerwienioną twarz z powrotem w stronę willi.

– Co zamierza pani zrobić z posiadłością?

Inara podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła to, co on zapewne widział – zaniedbany pochłaniacz pieniędzy.

– Przyjechałam, żeby sprawdzić, co trzeba tu zrobić przed wystawieniem na sprzedaż.

– Czyli sprzedaje pani? A co z pensjonatem?

Spojrzała ponownie na Toma.

– Wie pan o tym? – Inara dowiedziała się o planach Dahlii dopiero parę tygodni wcześniej, kiedy prawnik wręczył jej zgromadzone przez ciotkę materiały.

Uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał pick-upa.

– Zapomniałem wspomnieć, że jestem budowlańcem. Dahlia bezlitośnie zarzucała mnie pytaniami. – Przerwał i dodał ciszej: – Mądra z niej była kobieta.

Zanim Inara zdążyła odpowiedzieć, Tom podjął znowu, nie zważając na to, że jego głos zachrypł nieco od emocji:

– Czyli nie zamierza pani tego zrobić? Otworzyć tego pensjonatu?

Inara spojrzała na willę i spróbowała wyobrazić sobie gospodę, jaką Dahlia stworzyła w swoich planach. Uchwyciła się myślami tych wizji i zaczęła je rozbudowywać, jak robiła to nieustannie, odkąd tu przyjechała. Obraz hotelu butikowego stał jej przed oczami tak żywy, jakby formował się w niej przez całe dotychczasowe życie.

– Wie pan co, mam chyba lepszy pomysł. Hotel butikowy.

– A co to takiego?

Wpatrywała się nadal w budynek, w którym widziała swój hotel.

– Proszę sobie wyobrazić elegancję, nienaganną obsługę, intymność, nowoczesne wyposażenie i indywidualne podejście do gości.

– Brzmi jak coś, co spodobałoby się mojej żonie.

Inara zamrugała, po czym z powrotem ujrzała willę taką, jaką była teraz, ze wszystkim, co będzie musiała w niej zrobić. Odwróciła się do Toma.

– Teraz muszę tylko wymyślić, jak to wszystko osiągnąć.

Mało brakowało, a przygnębienie całkiem zniszczyłoby jej wizję. To będzie coś więcej niż praca na pełny etat. To będzie całkowita zmiana sposobu życia. A to oznacza, że będzie musiała odrzucić ofertę Starbucksa. Czy naprawdę tego właśnie chciała?

Będzie to też wymagało dużych nakładów pieniędzy, których ona nie posiadała. Spojrzała dookoła na wyboistą drogę i fontannę obrośniętą mchem, pomyślała o długiej liście spraw, które wymagały załatwienia, a jednocześnie miała świadomość, że pojawi się jeszcze dużo nowych, jakich dotąd nie brała pod uwagę. Ale przede wszystkim trzeba będzie zmienić układ pokoi, dodać łazienki i unowocześnić instalacje.

– Zastanawiam się, ile będą kosztowały renowacje – szepnęła do siebie.

– Mogę pani w tym pomóc – powiedział Tom.

Zmrużyła oczy.

– W jaki sposób?

– Jestem najlepszym wykonawcą na wyspach, a może i w całej okolicy. – Kopnął kamień leżący na chodniku. – Gdyby chciała pani zacząć jakoś niedługo, to jestem akurat wolny. Przegrałem właśnie przetarg na zlecenie, na które liczyłem.

Inara poczuła, jak na jej twarz wypływa uśmiech. Oczywiście będzie musiała sprawdzić jego referencje, ale coś jej mówiło, że Dahlia od zawsze miała taki plan.

– Może wejdzie pan na herbatę i porozmawiamy o projekcie? Poznałby pan też moją siostrę.

Tom spojrzał na słońce i pokręcił głową.

– Bardzo bym chciał, ale mam robotników po drugiej stronie wyspy i muszę sprawdzić, jak im idzie, zanim skończą pracę. Wróciłem tylko po jedną rzecz do domu i wtedy zobaczyłem tu panią.

– To może da mi pan na siebie namiary, a ja zadzwonię jakoś w tygodniu?

Tom wyciągnął z kieszeni mocno zużyty notes i ołówek stolarski. Napisał swoje dane na wierzchniej kartce, oderwał ją i podał Inarze. Chwilę później był już w samochodzie, a kiedy wyjeżdżał

z posiadłości, zatrząbił jeszcze krótko i pomachał jej przez okno.

Inara odmachnęła, po czym spojrzęła na kawałek papieru, który jej dał, podekscytowana tym, że znalazła kogoś, kto chce jej pomóc.

Kartka zatrzepotała na delikatnym wietrze, a Inara zadrżała z zimna i uświadomiła sobie, jak szybko zleciał czas. Powinna wziąć Liv i pojechać do miasta na obiad, zanim się ściemni. Planowały zostać tu na noc, a jutro wcześniej rano wsiąść na prom, żeby uniknąć tłumów, które pojawią się później w związku z Dniem Pamięci Narodowej.

Wiedziała, że rano będzie chciała przejść się jeszcze raz po willi, więc teraz tylko przez nią przebiegła, pogasiła światła i pozamykała drzwi.

Przez cały ten czas wyobrażała sobie to, co wkrótce ją czeka, a jej serce biło z niecierpliwości.

Kiedy wróciła do domu Dahlii, wzięła klucze ze stołu kuchennego i zawołała w górę schodów:

– Liv, jedziemy do miasta?

– Już schodzę!

Czekając na siostrę, Inara jeszcze raz rozpakowała wyszywany rękaw, a wyraziste szczegóły na wyhaftowanych obrazach uderzyły ją z nową siłą. Ta tkanina musiała mieć jakieś znaczenie, chociażby dlatego, że ktoś ukrył ją pod schodami. Postanowiła, że zajmie się tym w wolnym czasie. Będzie pracować nad renowacją hotelu, a przy okazji dowie się, skąd wziął się ten rękaw, kto go wyhaftował, kto go schował i dlaczego.

Zapowiadało się fascynujące lato.

*

Inara wstała przed wschodem słońca, owinęła się w koc i usadowiła na ganku z gorącą herbatą i laptopem. Podczas gdy dookoła niej budził się las, ona wpisywała wszystkie hotelowe pomysły, jakie kłębiły jej się w głowie, do kilku arkuszy kalkulacyjnych.

Kiedy w końcu wszystko spisała i poczuła coś w rodzaju kontroli nad całym projektem, podniosła rękę nad głowę i się przeciągnęła. Zamarła z rękami uniesionymi do połowy.

Po drugiej stronie podjazdu stał jeleń i skubał przydrożne krzewy. Inara przyglądała mu się w ciszy i starała się nie ruszać, dopóki nie poszedł dalej. Spotkanie z rogaczem wydało jej się znakiem, że decyzja o zamieszkaniu w Rothesay jest właściwa.

Już w pełni rozbudzona weszła do środka, żeby dolać sobie herbaty i zobaczyć, czy Olivia się obudziła. Nadal spała. W drodze powrotnej na ganek Inarze rzucił się w oczy rękaw leżący na kuchennym stole. Złapała go i wróciła do laptopa, po czym wstukała w wyszukiwarkę słowo „haft”. Szybko zorientowała się, że było to zbyt szerokie pojęcie. Potem spróbowała „haft azjatycki”. To dało bardziej obiecujące rezultaty. Wkrótce zatopiła się w lekturze i prawie nie zauważyła, jak wystygła jej herbata.

Zdjęcia i opisy, które znalazła, potwierdziły jej podejrzenie, że rękaw pochodzi z Azji, choć nie była pewna, z którego dokładnie państwa.

Uważając, żeby nie dotknął warstwy kurzu, jaką pokryte były meble na ganku, rozwinęła go, żeby jeszcze raz mu się przyjrzeć i porównać go z wyszywanymi ubraniami na ekranie.

Rękawy niektórych chińskich strojów były utrzymane w podobnym stylu, ale wzór był zupełnie inny. Japońskie kimona miały dużo dłuższe rękawy, znowu z odmiennymi wzorami. Odkryła znaczne różnice pomiędzy wyszywanymi sukniami, szatami oraz kaftanami z Korei, Wietnamu i Indii.

Do niczego nie doszła, a w dodatku marnowała czas.

Nie mogła jednak tak po prostu schować gdzieś tego rękawa i zapomnieć o nim. Otworzyła nowe okno i zaczęła szukać dalej.

– Łał, zapomniałam, że poranki są tu takie śliczne.

Inara przywitała się z siostrą i dopiero wtedy zauważyła promień słońca, który wystrzelił z Mount Constitution i odbijał się w kropelkach rosy pokrywającej ściętą trawę u dołu schodów gankowych. Nagle poczuła się znowu jak dziecko, które wstaje wcześniej, żeby pójść na kajaki z mamą. Mama mawiała, że najbardziej lubi poranki, ponieważ wtedy nawet wiatr jeszcze śpi, a woda jest gładka jak lustro.

Nie było wówczas lepszego miejsca, z którego można by oglądać, jak budzi się świat, niż tafla wody. Inara czuła się wyróżniona, że to właśnie ją mama brała do swojego dwuosobowego kajaka. Uwielbiała też migdałowe croissanty, które kupowała w piekarni, w mieście, gdzie zatrzymywały się na śniadanie.

Inara spojrzała w kierunku wody, chociaż nie mogła jej stąd zobaczyć, bo zasłaniała ją willa.

– Chcesz się wybrać na kajaki, zanim wrócimy do domu?

Olivia opadła na wyściełaną dwuosobową sofę tuż koło niej, ledwo omijając rękaw.

– Nie bardzo – odpowiedziała, pocierając sobie dłońmi twarz. – Spałam dłużej, niż zamierzałam, a Adam już dzwonił, żeby się dowiedzieć, o której będę w domu.

– Myślisz, że zdążymy na prom o ósmej pięćdziesiąt?

Olivia zerknęła na zegarek i skoczyła na równe nogi.

– Tylko jeśli się pospieszę.

Gdy Olivia pobiegła z powrotem do środka, Inara zrobiła szybki przegląd spraw, które powinna załatwić, zanim stąd wyjedzie, i stwierdziła, że skoro planuje niedługo tu wrócić, jedyne, co tak naprawdę musi zrobić, to zabrać swoją torbę podróżną. Miała więc jeszcze trochę czasu na poszukiwanie dalszych informacji o rękawie, skoro i tak musiała zaczekać, aż Olivia weźmie prysznic.

Tym razem wstukała do wyszukiwarki hasło „symbolika azjatycka”, ponieważ pomyślała o niezwykłych obrazach i znakach wyhaftowanych na rękawie. Większość wyników dotyczyła chińskich i japońskich symboli języka pisanego. Przewinęła stronę w dół i napotkała nieco bardziej obiecujące treści. Po przejrzeniu kilku stron natknęła się wreszcie na coś o charakterze naukowym.

Był to artykuł, w którym autor tłumaczył, jak to w chińskiej kulturze pewne symbole oznaczają pozycję społeczną, zapewniają ochronę lub szczęście albo zawierają przekaz moralny. Inara wpisała nazwisko autora – Daniel Chin – w wyszukiwarkę i dowiedziała się, że jest on profesorem na Uniwersytecie Waszyngtońskim w Seattle, czyli na jej byłej uczelni.

Idealnie. Był na miejscu i mogła się założyć, że będzie potrafił powiedzieć jej coś na temat rękawa.

Zapisała jego namiary w zeszycie. Potem rzuciła okiem na zegarek i zorientowała się, że już prawie czas, żeby jechać na prom.

– Liv! Jesteś gotowa? – zawołała do wnętrza domu przez otwarte drzwi. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, więc uznała to za znak, że ma jeszcze kilka dodatkowych minut. Tego właśnie potrzebowała.

Szybko napisała do profesora mail, w którym opowiedziała mu o znalezionym materiale, opisała wyhaftowany na nim wzór i zapytała, czy mógłby rzucić na tę sprawę trochę światła. Zakończyła prośbą o jak najszybszą odpowiedź i podała swój numer telefonu. W ostatniej chwili postanowiła zrobić zdjęcie rękawa i dołączyć je do wiadomości. „To powinno przyciągnąć jego uwagę”.

Następnie zamknęła laptopa, zebrała swoje rzeczy i weszła do środka.

– Olivia, czas na nas!

Postanowiła, że wróci jeszcze w tym tygodniu, żeby zacząć pracę nad renowacją willi. Dzięki temu będzie mogła spotkać się z Tomem i od razu ruszyć z całym przedsięwzięciem.

I wtedy uderzyła ją kolejna myśl, od której natychmiast zastygły jej dłonie. Tata. Nie będzie zadowolony z jej planów. Był z niej bardzo dumny, a każdemu, kto tylko chciał go słuchać, chwalił się, że córka idzie w jego ślady i wchodzi w biznes międzynarodowy.

Hotel też można uznać za biznes międzynarodowy. Prawda? W końcu będzie miała gości z całego

Świata.

Myśl ta nie pocieszyła jej zbyt. Weszła na górę po swoją torbę i po Olivię. Najlepiej jeśli przekona tatę do swojej decyzji jeszcze tego wieczoru. Chciała mieć to szybko za sobą.

*

Słońce wisiało nisko nad Górami Olimpijskimi, gdy weszła do domu, w którym mieszkała z ojcem przez ostatnie dwa lata, od kiedy miał zawał. Zniosła torbę do swojego pokoju, po czym poszła go poszukać. Zastała go przed komputerem.

– Tato, jest Dzień Pamięci Narodowej. Wolne. Zrób sobie przerwę.

Jego szaroniebieskie oczy rozbłysły na jej widok, a usta rozszerzyły się w kpiącym uśmiechu.

– Nie w Szanghaju, Naruniu.

Wiedziała, że jest w trakcie negocjacji dotyczących wykupienia spółki, która rozszerzy ofertę rejsów wycieczkowych firmy na południową Azję, więc nie była zdziwiona, że pracuje. Zdziwiła się za to, kiedy wstał od biurka i usiadł koło niej na skórzanej kanapie przed kominkiem.

– Było tak źle, jak się obawiałaś? – zapytał.

Milczała przez chwilę, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Nie aż tak źle. Ale posiadłość wymaga trochę pracy.

– A ty jak? – Odchrząknął. – Wszystko w porządku?

Zaskoczył ją tak dużą empatią. Spodziewała się, że będzie unikał rozmów o emocjonalnym aspekcie jej wizyty na wyspie. On też nie był tam od czasu wypadku, ale nigdy nie mówił o takich sprawach. Wiedziała, że ją kocha, ale ich rozmowy obracały się zazwyczaj wokół bezpiecznych tematów, takich jak jego firma, jej nowa praca, ich rodzina.

– Po drodze nie było łatwo – przyznała, pocierając sobie palce. – Olivia bardzo mi pomogła. Ale kiedy dotarłam do Rothesay, poczułam się taka szczęśliwa, że wróciłam, jakby to był mój prawdziwy dom. W zasadzie to planuję pojechać tam znowu za parę dni. Powinieneś przyjechać na weekend.

– Jestem z ciebie dumny, kochanie. – Ojciec oparł dłonie na kolanach, jakby miał zaraz wstać. – Jestem pewien, że nowemu właścicielowi tak samo się tam spodoba.

Zauważyła, że nie skomentował jej sugestii, ale zignorowała to i położyła mu rękę na ramieniu, żeby jeszcze nie wstawał.

– Właściwie to chciałabym z tobą o tym porozmawiać. Masz chwilkę?

Oparł się o poduszkę.

– O co chodzi?

Przesiadła się naprzeciwko niego.

– Tato, Dahlia była genialna. Kiedy spojrzałam na Rothesay pod kątem jej projektów na pensjonat, zobaczyłam, że wszystkie są jak najbardziej wykonalne. Pamiętasz ten hotel koło Bordeaux, w którym nocowaliśmy w wakacje, kiedy kończyłam czternaście lat?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– A pamiętasz, jak podobała ci się indywidualna obsługa, którą nam zapewniono, i to, że codziennie wieczorem podawali w bibliotece wino i sery? – Starła się zbudować nastrój, zanim wyskoczy ze swoim pomysłem.

– Twojej mamie bardzo się to podobało. – W jego głosie wyczuwała podejrzliwość.

Musiała iść na całość.

– Chcę zrobić coś podobnego w Rothesay. Chcę zamienić willę w hotel butikowy.

Pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Z jego twarzy mogła wyczytać, co o tym myśli. Zanim zdążyłby odrzucić jej pomysł, zaczęła mówić dalej.

– Razem z Liv obeszyliśmy dom i stwierdziłyśmy, że idealnie się nadaje. Mam nawet na oku budowlanica, który może zająć się renowacją. Oczywiście muszę z nim jeszcze porozmawiać, ale zakładam, że hotel będzie gotowy na przyszłe lato.

Im więcej mówiła, tym bardziej była podekscytowana.

– Rothesay ma w sobie coś wyjątkowego, tato. Uwielbiam to miejsce. Zdążyłam już zapomnieć, jak bardzo, ale naprawdę poczułam się tam jak w domu. To mogłaby być wielka szansa, wiesz? Wyspy stają się coraz popularniejsze wśród turystów, a mój hotel zapewniłby im jedyne w swoim rodzaju miejsce na nocleg. Goście będą chcieli wracać tam co roku. Nawet ty będziesz chętnie przyjeżdżał.

– A co z twoją pracą? – zapytał, jakby była małą dziewczynką, która chce wyjść na zakupy z przyjaciółkami, a powinna zająć się lekcjami.

Przełknęła ślinę i wbiła wzrok w kolana.

– Odrzucę ofertę.

Uderzył dłońmi o uda tak mocno, że aż podskoczyła.

– Po moim trupie! Wiesz, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żebyś dostała się na tę rozmowę? Nie możesz wyrzucić tego w błoto tylko po to, żeby bawić się w oberżystkę na jakiejś zabitej dechami wyspie!

W jednej chwili z pokoju uszło całe powietrze. Inara była pewna, że zdobyła tę pracę własnym wysiłkiem.

– Nie – zakrzuszyła się. – Nie wiedziałam, że ciągnąłeś za sznurki.

Rzucił jej poirytowane spojrzenie.

– Zrobiłem to, co każdy ojciec zrobiłby na moim miejscu, a ty powinnaś być mi wdzięczna.

Wpatrywała się w zadrapanie na skórzanym siedzeniu i próbowała się uspokoić. Przekonywała samą siebie, że musi skupić się teraz na tym, co istotne.

– Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, tato. Naprawdę. Ale w Rothesay czuję się taka pełna życia. Mam tyle pomysłów na renowację i jestem podekscytowana na samą myśl o prowadzeniu hotelu...

– A co ty wiesz o prowadzeniu hotelu? Nic.

– To nie do końca prawda. Robiłam praktyki w Rome Cavalieri i bardzo mi się to podobało.

– Dwa tygodnie to jeszcze nie doświadczenie zawodowe.

„Auć”. Teraz celowo ściszyła głos i zmieniła taktykę:

– Myślę, że ciotka Dahlia zostawiła posiadłość właśnie mnie, ponieważ wiedziała, że pasuję do tego miejsca i że mam szansę tchnąć w nie nowe życie. Chcę to zrobić. Dużo bardziej niż pracować z dostawcami kawy dla Starbucksa.

Ojciec milczał przez dłuższą chwilę.

– A skąd weźmiesz na to pieniądze? Nawet gdybyś nie musiała spłacać długu studenckiego i tak byś ich nie miała.

Inara zamknęła oczy i postanowiła zadać ostateczny cios, zanim opuściłaby ją odwaga.

– Pomyślałam o tobie, tato. Chciałabym, żebyś został moim partnerem finansowym. Pomyśl tylko. Dzięki swoim liniom wycieczkowym wiesz wszystko o turystyce. Hotel butikowy na wyspie Orcas to idealna inwestycja dla człowieka takiego jak ty.

– Oj, Inara. – Pokręcił głową.

– Mamie na pewno spodobałby się ten pomysł. Rothesay to jej rodzinne dziedzictwo, i gdybyśmy je sprzedali, serce by jej pękło. – Stała bez ruchu i czekała na słowa ojca, wiedząc, że mogła posunąć się za daleko.

Jego ramiona opadły, a wzrok przeniósł się na oprawione w ramkę zdjęcie zmarłej żony, które stało na kominku. Jednak zamiast przyznać Inarze rację, skupił się na interesach.

– Nie mogę wejść w tak ryzykowną inwestycję właśnie teraz, kiedy mam na głowie przejęcie spółki i całą resztę. Wiesz o tym.

– W takim razie wystarczy indywidualne dofinansowanie – powiedziała, zanim zdążył odmówić. – Pożyczka na pokrycie kosztów renowacji i osobistych wydatków, którą spłacę z odsetkami, kiedy otworzę hotel.

– A co, jeśli to nie wypali? Jeśli nigdy nie wyjdiesz na plus?

– Nadal będę właścicielką posiadłości. – Nie podobało jej się to, co miała teraz powiedzieć. – Weź ją w hipotekę. Jeśli hotel nie wypali, sprzedam ją, żeby spłacić twoją pożyczkę.

Zadzwoił telefon, więc ojciec szybko wstał i podszedł do biurka, żeby podnieść słuchawkę.

– Muszę odebrać – powiedział do córki. Inara słuchała, jak prosi rozmówcę o chwilę cierpliwości. Potem zacisnęła wargi i zdawał się intensywnie o coś myśleć. Kiedy podniósł na nią wzrok, zobaczyła błysk w jego oku.

– Co ja poradzę na to, że chcę, żeby moja córka była szczęśliwa? O szczegółach porozmawiamy później, ale dam ci pożyczkę pod warunkiem, że co miesiąc będę dostawał pełne rozliczenie z każdego wydanego grosza. Zgoda?

Podbiegła do niego i objęła go ramionami.

– Dziękuję! Nie będziesz tego żałował. Obiecuję.

Przytulił ją wolną ręką.

– Ale jeśli coś mi się nie spodoba, zastrzegam sobie prawo do zażądania zwrotu pożyczki w każdej chwili. Będziesz musiała od razu sprzedać posiadłość – ostrzegł ją. – Jesteś gotowa podjąć takie ryzyko?

Była przekonana, że do tego nie dojdzie. Już postanowiła, że Hotel Rothesay zostanie otwarty w następne wakacje.

– Tak. Dziękuję, tato.

– Nie dziękuj mi jeszcze, Naruniu. Zobaczymy, jak ci pójdzie z renowacją.

Rozdział czwarty

Niedziela, 7 lutego 1886 – późne popołudnie
Seattle, Terytorium Waszyngtonu

—Wygodnie ci, *Nāinai*? – zapytała jeszcze raz Mei Lien, chociaż babka za każdym razem zapewniała ją, że jest w porządku. Obie wiedziały, że pytanie jest bezcelowe. Kiedy wsiadali na pokład „Księcia Pacyfiku”, powiedziano im, że wszystkie dolne prycze są już zajęte i jedyne, co zostało, to kabiny pierwszej klasy na górnym pokładzie. Następnie kazano im zapłacić po dwanaście dolarów za bilety, co oczywiście zrobili ze strachu przed ewentualną alternatywą. Nie zostało im więc zbyt dużo pieniędzy na rozpoczęcie nowego życia w Chinach. Ale ojciec pocieszał, że przynajmniej przeżyją i będą razem.

Kiedy już zajęli swoją kabinę, Mei Lien opatrzyła rany ojca, a następnie stanęła w drzwiach i zaczęła zatrzymywać każdego przechodzącego członka załogi z prośbą o jedzenie. Nikt im nie pomógł. Od ubranych na biało chłopców, których praca polegała najwyraźniej na dbaniu o idealną czystość statku, po oficerów w niebieskich strojach, którzy wyszczekiwali różne rozkazy – wszyscy w równym stopniu ją ignorowali. Kiedy o godzinie czwartej, długo po planowym czasie, statek opuścił port, zdobyła się wreszcie na odwagę, żeby zejść pod pokład. Znalazła w spiżarni bochenek czerstwego chleba, który ukryła pod kaftanem i zniosła rodzinie. Głód nadal im jednak doskwierał.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała na pytanie Mei Lien babka, która siedziała na podwójnym łóżku oparta o ścianę kabiny. – Jestem tylko zmęczona. Ty też powinnaś odpocząć. – Przesunęła się i położyła obok śpiącego ojca. Dla Mei Lien nie było łóżka, ale nie przeszkadzało jej to, ponieważ nie zamierzała spać.

Dziewczyna pochyliła się jeszcze raz nad ojcem, zmartwiona, że tak długo śpi. Skóra wokół jego oka i z boku twarzy była napuchnięta, zsiniała. Mei Lien opatrzyła rozcięcia najlepiej, jak mogła, ale krew nadal sączyła się na kawałek materiału podłożony pod policzek. Ojciec nie skarżył się, jednak fakt, że zasnął prawie natychmiast po zjedzeniu swojego kawałka chleba, dowodził, że jego obrażenia były poważniejsze, niż pokazywał to córce.

Wyczerpana niepokojem i strachem, Mei Lien opadła na jedyne krzesło i oparła głowę o ścianę z tyłu. Wyczuwała dudnienie silników parowca, który płynął powoli przez zatokę Puget, oddalając się od Seattle i od jej domu. Przez pojedyncze okrągłe okienko zobaczyła ostatnie promienie słońca, które zabarwiły na czerwono mijaną właśnie wyspę. Zbliżał się zmrok, a ona nie mogła już dłużej odsuwać od siebie prawdy. Nigdy więcej nie zobaczy swojego domu. Płynęli do Chin.

Z łóżka dobiegł ją cichy jęk. Mei Lien poderwała się z krzesła i pochyliła nad leżącymi. Szybki rzut oka pozwolił jej stwierdzić, że babka zapadła w spokojny sen, ale poobijana głowa ojca porusza się gwałtownie na boki.

– *Ćśś, Bāba*, jesteś bezpieczny – wyszeptła, kładąc mu dłoń na zdrowej stronie głowy, w miejscu, gdzie ogolona skóra stykała się z kruczoczarnymi włosami, związanymi w kucyk i zwiniętymi pod jego plecami. Przerazał ją widok skrzywdzonego ojca. Nie miałyby pojęcia, co robić, gdyby go straciła. Przez całe dotychczasowe życie jej jedynymi towarzyszami byli ojciec i babka.

Białe dzieci nie bawiły się z nią, bo nie pozwalały im na to ich matki i opiekunki, a skośnookie

dzieci, takie jak ona, spotykała rzadko. Większość Chińczyków w Seattle stanowili samotni mężczyźni, którzy przyjechali, żeby pracować i wysyłać pieniądze do domu, do Chin. W mieście mieszkała tylko garstka chińskich rodzin i żadna z nich nie miała dzieci w wieku Mei Lien. Babka zapoznała ją ze wszystkim, co powinna wiedzieć o chińskiej kulturze, o tym, jak dbać o dom i o rodzinę. Dzięki pracy w sklepie ojca nauczyła się mówić, czytać i pisać po angielsku. Stamtąd też wyniosła to wszystko, co wiedziała o kulturze amerykańskiej. Rodzina była całym jej życiem. Ojciec musiał wyzdrowieć.

Jęknął przez sen. Chciała coś zrobić, cokolwiek, żeby ulżyć mu w cierpieniu.

I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Słyszała, że na pokład parowca weszli wszyscy chińscy mieszkańcy Seattle. Gdzieś tutaj musiał być też Jong Li.

– *Bàba*, pójdę po pomoc dla ciebie. Wrócę najszybciej, jak się da – wyszeptła do niego. Potem podeszła pospiesznie do drzwi i wysliznęła się w chłodne wieczorne powietrze z zamiarem odnalezienia zielarza, który leczył wszystkich chorych i rannych Chińczyków z Seattle. Postanowiła, że go znajdzie, nawet jeśli miałyby przeszukać każdy kąt statku.

Ruszyła przed siebie, przechodząc obok drewnianych szalup przykrytych płótnem, w stronę schodów, którymi schodziła wcześniej, kiedy szukała jedzenia. Ale zanim do nich dotarła, kilka metrów przed nią otworzyły się drzwi i wyszło przez nie dwóch umundurowanych członków załogi. Przyszedł jej do głowy pomysł, który mógł okazać się lepszy niż poszukiwania Jong Li.

Młodzi mężczyźni wydawali się pogrążeni w rozmowie i nie zauważyli jej, ale pamiętając, że wygląda jak chłopiec i że może robić tego typu rzeczy, Mei Lien stanęła im na drodze i zmusiła ich, żeby się zatrzymali i zwrócili na nią uwagę.

– Proszę panów – odezwała się błagalnie swoją najlepszą angielszczyzną, spuszczając z szacunkiem oczy. – Mój ojciec jest ranny i potrzebuje pomocy. Czy na statku znajduje się lekarz? – Zerknęła do góry, żeby zobaczyć ich reakcję.

Żaden z nich nie wydawał się poruszony jej słowami. Mężczyzna o piegowatej twarzy odwrócił się w stronę barierki i udawał, że nikt nic do niego nie mówił. Drugi odchrząknął, ale się nie odezwał. Powtórzyła swoje pytanie głośniejsze.

Znowu ją zignorowali, ale tym razem przeszli koło niej i jak gdyby nigdy nic kontynuowali swoją rozmowę.

Patrzyła za oddalającymi się mężczyznami, a krople lodowatej morskiej wody spływały jej po twarzy. Nie dbała o to. Czuła, że jej skóra płonie od furii szalejącej w jej wnętrzu.

Od rana, od kiedy się obudziła, z rąk białych ludzi spotykało ją tylko okrucieństwo, wynikające z ich przekonania, że są lepsi. Słyszała mnóstwo historii o pobiciach, wieszaniu, rozstrzelaniu i okrutnych niesprawiedliwościach, jakich biali dopuszczali się względem Chińczyków od Kalifornii po Wyoming. Pozwoliła im więc wyprowadzić się siłą z własnego domu i wsiadła na ten statek. Zapłaciła nawet za bilet, za który nie chciała płacić, na podróż do kraju, do którego nie chciała płynąć. Ale przecież to, że ona jest Chinką, a ci mężczyźni nie, w ogóle nie powinno mieć znaczenia. Jedni i drudzy byli ludźmi i już samo to dawało ojcu prawo do otrzymania pomocy.

Nie zdając sobie sprawy z ewentualnych konsekwencji tego, co robi, podążyła za oddalającą się parą i klepnęła rudowłosego w ramię.

– Przepraszam. Mój ojciec potrzebuje lekarza. Teraz. Gdzie mogę go znaleźć?

Mężczyźni spojrzeli na nią, potem na siebie nawzajem i wybuchnęli śmiechem.

– Zdaje się, że lekarz jest niedostępny – powiedział wysoki brunet, szturchając swojego towarzysza.

– Idź po prostu na dół do reszty Azjatów. Tam jest cieplej – powiedział jej ten, którego klepnęła. Jego oczy były bardziej przyjazne i zobaczyła w nich błysk czegoś, co wyglądało na wstyd.

– Chętnie pójdę tam, gdzie jest ciepło, kiedy tylko mojego ojca obejrzy lekarz.

Zamiast odpowiedzieć, starszy, nieprzyjemny mężczyzna wyprostował się i złapał swojego

towarzysza za ramię.

– Chodź, Ralph. Mamy swoje rozkazy.

Ralph się zawahał.

– Przykro mi – powiedział do niej cicho. – Kazali nam się nie wdawać... – Zanim zdążył dokończyć to, co miał powiedzieć, jego koledze udało się pociągnąć go dalej.

Mei Lien żałowała, że naprawdę nie jest chłopakiem. Gdyby była, mogłaby ich dogonić i wdać się z nimi, na tym ich niecierpiącym zwłoki obchodzie, w pospolitą bójkę. Najwyraźniej było to jedyne, co przemawiało do białych ludzi.

Odwróciła się i skierowała z powrotem w stronę schodów, żeby zrealizować swój pierwotny plan, czyli odszukać Jong Li. Jej uwagę zwróciły jednak drzwi z tabliczką „Mostek kapitański” i z oświetlonym od wewnątrz okienkiem. Nie miała wątpliwości, że tam właśnie znajdzie człowieka, który tutaj rządzi. Może mogłaby przekonać go, żeby pomógł ojcu. W końcu zapłacili za podróż.

Nie przejmując się tym, co mogło jej się stać, podeszła do drzwi i podniosła rękę, żeby nacisnąć na klamkę. Ale zanim zdążyła jej dotknąć, powstrzymał ją głos dobiegający ze środka.

– Czy jest pan pewien co do wyrzucenia ładunku? – zapytał ktoś przyciszonym głosem, który dał Mei Lien do zrozumienia, że jego właściciel nie chce być usłyszany.

– A jakże, kapitanie – odpowiedział inny głos. Pobrzmiewał w nim wyraźnie obcy akcent, którego Mei Lien nigdy wcześniej nie słyszała: z zaśpiewem na końcu wyrazów i z twardszym brzmieniem samogłosek, co sprawiało, że trudno je było rozróżnić. – Nie stać mnie na przewożenie tego pługastwa na moim statku. Żadyn szanujący się człowiek nie mógłby świadomie spać na tyj samyj pryczy, na któryj leżał wcześniej jakiś brudny Azjata. Im szybcij się ich pozbyndziemy, tym lepij. Kiedy byndzie można wyrzucać?

– Musimy najpierw wypłynąć z cieśnin – odpowiedział kapitan. – Nie chcemy, żeby prądy zaśmieciły plaże zatoki ciałami.

– Jasna sprawa, kapitanie. Ale im szybcij pozbyndziemy się ładynku, tym lepij.

Chłód, który nie miał nic wspólnego z lodowatym wiatrem, przeniknął ciało Mei Lien, tak że zastygła bez ruchu. Wyrzucić ładunek... ciała...

Ładunkiem była ona i pozostali Chińczycy z Seattle.

Prawda uderzyła w nią jak fizyczny cios. Zatoczyła się do tyłu, odsuwając się od metalowych drzwi, ale jej ręka nadal wisiała w powietrzu, jakby miała za chwilę chwycić klamkę.

Nie płynęli do Chin.

Nigdzie nie płynęli, tylko mieli pójść na dno.

Nie. Na pewno źle zrozumiała. Musiała źle zrozumieć. Ludzie nie wyrzucali statków pełnych innych ludzi do oceanu. Nawet *Bok Guey*, te białe diabły, nie mogły popełnić masowego morderstwa tylko dlatego, że nie lubiły Chińczyków.

Ale przecież zdarzało się to już wcześniej. W ciągu ostatnich dwudziestu lat wzdłuż całego wybrzeża zabijano grupy Chińczyków, szczególnie od czasu, kiedy cztery lata temu uchwalono akt o ich wykluczeniu. Dlaczego więc tak trudno było jej w to uwierzyć?

Drżąc na całym ciele, odsunęła się jeszcze dalej od drzwi i od zła, które czaiło się po drugiej stronie.

Przed upływem nocy zostanie zabita razem ze swoją rodziną. Prawda była zbyt przerażająca, żeby mogła w pełni dotrzeć do świadomości Mei Lien.

Pomyślała o babce, która spała w kabinie. Była uparta i surowa w kwestiach odpowiedniego zachowania, ale mimo to Mei Lien czerpała siłę z jej obecności. Nie знаła innej matki. To babka nauczyła ją gotować, sprzątać i dbać o dom. Nauczyła ją wyszywać piękne portmonetki, które sprzedawali w sklepie ojca i dzięki którym rodzina co niedzielę mogła sobie pozwolić na kupno całego kurczaka. To

także babka zdecydowała, że Mei Lien powinna ubierać się jak chłopiec, kiedy dziewczyna zaczęła nabierać kształtów i przyciągać uwagę mężczyzn w mieście.

No i ojciec! Ojciec, który przywiózł swoją ciężarną żonę i swoją matkę do Ameryki, gdzie planował odnieść sukces kupiecki i wychować silnych synów. Zamiast tego stracił żonę i wychował córkę, ale ani razu się nie poskarżył i zawsze dawał Mei Lien poczucie, że jest kochana. Mawiał, że jest dla niego warta tyle co tysiąc złotych monet. I chociaż nie znała za dużo chińskich dzieci w Seattle, wiedziała, że rzadko się zdarza, żeby córka czuła się tak ważna dla swojego ojca. Świadomość, że taki silny, szlachetny mężczyzna skończy niedługo życie – a ona nie może zrobić nic, żeby temu zapobiec – sprawiła, że Mei Lien poczuła się, jakby z jej ciała zniknęły kości.

Słabym, chwiejnym krokiem zbliżyła się do barierki, a chwilę później żołądek podszedł jej do gardła i raz po raz zaczął zwracać swoją niewielką zawartość. Patrzyła przez łyzy, jak ślina i treść żołądkowa, które wydobywały się z jej ust, unoszą się na wietrze i wpadają w czarną, skłębioną wodę. Pomimo zimowego chłodu jej spocone ręce ślizgały się po metalowej poręczy.

Nagle jej uwagę przyciągnął jakiś hałas i Mei Lien odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć, jak drzwi mostka kapitańskiego zaczynają się otwierać. Szybko pobiegła do cienia obok szalupy, skuliła się najbardziej, jak mogła, i wstrzymała oddech.

Nie chciała stawać z nimi twarzą w twarz. Nie chciała tracić honoru, błagać o życie dla siebie i dla rodziny. To nie byli ludzie tylko demony. Demony nie słuchają żadnych argumentów.

Usłyszała te same głosy, ale tym razem rozmawiały one o milach morskich i prądach. Mei Lien uchwyciła się obiema rękami liny przywiązanej do szalupy i zmusiła się do zachowania ciszy pomimo rozedrganego oddechu i skrzęcającego się w niej żołądka.

Kiedy mężczyźni przechodzili obok jej kryjówki, odwróciła się, żeby przyjrzeć się ludziom, którzy zakończą jej życie. Obaj byli zaskakująco młodzi, mogli być starsi od niej o jakieś dziesięć lat. Jednego trudno było zobaczyć, bo miał postawiony kołnierz kurtki, a czapkę kapitańską naciągniętą głęboko na oczy. Ale dużo bardziej interesował ją ten drugi. Ten z dziwnym akcentem. Ten, który był zwierzchnikiem kapitana. To on ponosił za wszystko winę.

Szedł krokiem człowieka, który ma świadomość sprawowanej władzy. Latarnie na pokładzie dawały wystarczająco dużo światła, żeby mogła dokładnie zobaczyć rysy jego twarzy, mimo że patrzyła na niego z boku. Nie miał na głowie kapelusza, a jego krótkie rude włosy były rozdzielone na środku głowy i opadały prawie do uszu. Brwi tego samego koloru rysowały się prostymi liniami na czole ponad oczami, które wyglądały na martwe, mimo że mężczyzna śmiał się właśnie z czegoś, co powiedział kapitan. Prosty nos kończył się tuż nad wąskimi, poruszającymi się teraz ustami, ale szum w głowie Mei Lien nie pozwalał jej usłyszeć, co mówili mężczyźni.

Rzadko miała powód, żeby gardzić drugim człowiekiem, ale w stosunku do tego mężczyzny odczuwała palącą nienawiść. Po raz kolejny pożałowała, że nie jest chłopakiem, bo wtedy miałaby siłę, żeby go złapać i wyrzucić za burtę parowca, zanim on zrobi to z jej rodziną i z resztą niewinnych ludzi pod pokładem.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem jej wzroku, pobiegła do swojej kabiny.

– Synu, co się stało?

Podniosła gwałtownie głowę i zobaczyła, że ojciec opiera się słabo o otwarte drzwi kabiny, tak jakby zamierzał ruszyć na poszukiwanie córki, ale nie miał siły pójść dalej. Niepokój, który malował się na jego twarzy, uciął gniew Mei Lien jakby ostrzem noża.

Jej kroki osłabły. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Musiała mu powiedzieć. Może on wymyśli jakiś sposób na ratunek. Kiedyś już płynął parowcem, więc może będzie wiedział, gdzie mogliby się schować do czasu, aż statek przybije do portu.

Podeszła do niego szybkim krokiem i nagle zapragnęła wspiąć mu się na kolana, tak jak robiła to

w dzieciństwie, i poczuć, że on obroni ją przed wszelkim złem. Zamiast tego podniosła rękę, delikatnie pogłaskała go po zdrowej stronie twarzy, spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich ból, do którego nigdy by się przed nią nie przyznał.

– Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

Na krótką chwilę poddał się jej dotykowi, co sprawiło, że Mei Lien poczuła jeszcze większą udrękę w sercu. Ten łagodny, dzielny człowiek nie zasługiwał na los, jaki miał go spotkać. On, bardziej niż ktokolwiek inny, na to nie zasługiwał.

– Powiedz mi, córko. Co sprowadza na twoją twarz takie zmartwienie?

Mei Lien zamknęła oczy, chcąc przedłużyć tę chwilę, zanim wypowie słowa, które wszystko zmienią. Teraz byli rodziną, która troszczyła się o siebie nawzajem. Kiedy powie mu to, co wie, będą rodziną, która walczy o przeżycie albo rozpacza nad niemożnością decydowania o własnym losie.

Łzy popłynęły, zanim zdążyła je powstrzymać, więc tylko zacisnęła mocniej oczy.

– Wybacz mi, *Bàba*. Muszę powiedzieć ci coś, czego nie da się wyrazić.

Poczuła, jak ojciec sztywnieje pod jej dotykiem, i otworzyła oczy. Sprawiał wrażenie, jakby na nowo wypełniła go energia. Zerknął za siebie, na swoją śpiącą matkę, po czym zamknął za sobą drzwi.

– Czy ktoś cię skrzywdził? Jakiś mężczyzna? – Przesunął dłonie po jej głowie i ramionach, szukając wzrokiem śladów zranień. Nawet w słabym świetle rzucanym przez lampy pokładowe widziała, że krew odpłynęła mu z całej twarzy, z wyjątkiem posiniaczonych miejsc.

Miała ochotę zaprowadzić go z powrotem do łóżka, ale wiedziała, że nie pozwoliłby na to. Potrząsnęła głową w odpowiedzi na jego pytanie.

– Nie, nie o to chodzi.

– Powiedz mi. – Pomimo bladości jego głos był tak silny, jak zazwyczaj, co dodało Mei Lien odwagi, której potrzebowała.

Obejrzała się za siebie i na boki. Chociaż wyglądało na to, że znajdują się sami na wilgotnym, zacienionym pokładzie, przysunęła się bliżej ojca.

– Usłyszałam rozmowę kapitana z jego zwierzchnikiem. Nie zabierają nas do Chin.

– A gdzie? Do Victorii? Do San Francisco?

Potrząsnęła głową.

– Nigdzie nas nie zawiozą. Słyszałam, jak mówili o wyrzucaniu ładunku tam, gdzie prądy nie zniosą ciała na plażę.

Jego oczy zaczęły się rozszerzać, aż w końcu Mei Lien zobaczyła pełne, brązowe okręgi tęczy z wąską, białą obwódką.

– Nie. Nie, musiałaś się pomylić.

– *Bàba*, zastanów się. – Złapała go za rękę, chcąc, żeby jej uwierzył. – Nie dalej jak zeszłej jesieni trzech Chińczyków zostało zaatakowanych i zabitych tylko dlatego, że byli zatrudnieni na farmie chmielu w Squak Valley, na której chcieli pracować biali. W ciągu ostatnich kilku miesięcy z tego samego powodu wypędzono Chińczyków z Tacomy i z tamtejszych kopalni. Oni nas tu nie chcą. Po co mieliby marnować czas i pieniądze, żeby zawieźć nas aż do Chin? Dla nich nie różni się to od wywożenia śmieci.

Ojciec spojrzał ponad jej ramieniem, a Mei Lien odwróciła się i zdążyła zobaczyć, jak wzdłuż pokładu, z tylnej części statku, idzie w ich stronę kapitan, tym razem sam.

Minął ich bez jednego spojrzenia, a dziewczyna poczuła, jak jej ciało się kurczy. Patrzyli w ciszy, jak znika na mostku.

– Co zrobimy? – zapytała szeptem ojca, gotowa wprowadzić w życie każdy plan, jaki przyszedłby mu do głowy.

Zwrócił ku niej twarz, a w jego oczach było coś, co sprawiło, że poczuła się, jakby miażdżono jej

pierś.

– *Bàba*?

Głosem tak cichym, że musiała wyteńczyć słuch, aby usłyszeć go wśród hałasu silników i wody uderzającej o statek, zapytał:

– Czy jesteś pewna, Mei Lien? Jesteś pewna, że wiesz, jaki los nas spotka?

Tak bardzo pragnęła się mylić.

– Tak, *Bàba*, jestem pewna. Co zrobimy? – zapytała ponownie.

Zamiast odpowiedzieć, wpatrzył się w mknącą wzdłuż statku czarną wodę i zdawał się zastanawiać. Potem bez słowa odwrócił się, wszedł do kabiny i podniósł torby, które wcześniej rzucił na podłogę.

Mei Lien stała w drzwiach i z rosnącym przerażeniem patrzyła, jak ojciec wyciąga portmonek ze swojej torby, a następnie otwiera bagaż babki. To, że ośmielał się przeglądać rzeczy swojej matki i naruszać jej prywatność, dało Mei Lien do zrozumienia, że nie spodoba jej się to, co ma się zaraz wydarzyć.

Skończył i stanął z własną wyszywaną portmoneką w rękach. Jego dłonie drżały, kiedy wyciągnął je w stronę córki i podał jej sakiewkę.

– Schowaj to pod materiałem, którym obwiązujesz piersi, żebyś nie zgubiła. Już, pospiesz się!

Mei Lien usłuchała go, nie zadając pytań. Najszybciej jak potrafiła, zgrabiłymi z zimna i ze strachu palcami rozwiązała kaftan i wsunęła portmonek w rozcięcie koszuli, którą miała pod spodem. Potem wcisnęła ją pod materiał ukrywający dowód jej kobiecości. Kiedy skończyła wiązać z powrotem kaftan, ponownie spojrzała z całkowitym zaufaniem na ojca.

– Co teraz?

Patrzył na nią przez długą chwilę z mieszaniną niewypowiedzianych myśli i uczuć, które mąciły jego rysy. Potem podniósł stwardniałe dłonie do jej twarzy i spojrzał jej w oczy.

– Córko, żyj szczęśliwie i kochaj mocno. Tego ci życzę. – Następnie, zanim Mei Lien zdążyła zapytać, dlaczego jej to mówi, puścił ją i zrobił krok w tył. – Teraz musisz iść, zanim będzie za późno.

Iść?

– Gdzie idziemy, *Bàba*? Wiesz, gdzie możemy się schować?

Jego twarz pociemniała.

– Twoja babka i ja pójdziemy do twojej matki i do mojego ojca. Los doprowadził nas aż tutaj i przyjmiemy go, kiedy przyjdzie czas. Co do ciebie, córko, nie zgadzam się, żeby cię to spotkało. Pospiesz się! – Poprowadził ją z powrotem przez drzwi, do barierki, zza której widać było czarne odmęty.

Mei Lien nie rozumiała.

– O czym ty mówisz? Gdzie mam iść?

Ojciec zwrócił twarz w kierunku wody i pokazał jej coś ruchem głowy.

– Tam. Widzisz tamtą czarną masę? To wyspa. Prawdopodobnie ostatnia, jaką mijamy przed wypłynięciem na otwarte morze. Możesz tam dopłynąć, Mei Lien. Jesteś silną pływaczką. Pamiętasz, jak uczyłem cię latem w jeziorze, pięć lat temu?

Na samą myśl o wskoczeniu w czarną jak atrament, skłębioną pianę Mei Lien poczuła, że za chwilę straci kontrolę nad żołądkiem.

– Nie mogę. Nie, *Bàba*, nie mogę tego zrobić. – Potrząsnęła głową, odsuwając się od barierki i od przerażającej czerni w dole.

– Córko, spójrz na mnie. – Ojciec chwycił ją za ramiona i zbliżył swoją krwawiącą twarz do jej twarzy. – Nie masz wyboru. Jeśli chcesz żyć, musisz skoczyć. – Spojrzał na ląd za wodą, a potem zwrócił się znowu do niej. – Niedługo miniemy wyspę. Musisz skakać teraz.

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę. Nie mogę.

– Skoczysz. – Przyciągnął ją do siebie i mocno uścisnął. – Niech przodkowie nad tobą czuwają.

Mei Lien poczuła, jak parowiec zadrgał pod jej stopami, i przez chwilę zastanawiała się, czy nie było to spowodowane drżeniem jej własnego ciała.

– Nie masz wyboru – syknął ojciec. Zanim zorientowała się, co się dzieje, popchnął ją w kierunku zimnej barierki statku. – No dalej, Mei Lien.

Rozdział piąty

Czwartek, 31 maja – czasy obecne
Centrum Seattle

—Cześć Zoé, jest tam gdzieś mój tata? – powiedziała Inara do zestawu głośnomówiącego, manewrując przez centrum Seattle. Jechała z powrotem na wyspę, a samochód miała wypakowany po sam sufi t, ale właśnie sobie uświadomiła, że przez cały ostatni tydzień ciągle zapomniała zapytać ojca o rękaw. Każdą chwilę wypełniało jej pakowanie i załatwianie różnych spraw związanych z rozpoczęciem prac nad hotelem. Wczoraj spotkała się w końcu ze swoim rekruterem ze Starbucksa, żeby poinformować go, że nie przyjmuje oferty. Spotkanie było krótkie i mało przyjemne, ale chociaż było to dla Inary trudne doświadczenie, czuła, że to, co robi, jest dla niej dobre.

Choć jednocześnie ją to przerażało. No bo co, jeśli popełniła właśnie wielki błąd?

– Przykro mi, Inaro – odpowiedziała asystentka ojca. – Powiedział, żeby pod żadnym pozorem nie przeszkadzać mu w trakcie spotkania z zarządem Yōu Yi. Są w krytycznym momencie negocjacji.

– Ach, no tak. Zapomniałam, że przyjechali. No nic, w takim razie złapię go później. – Inara rozłączyła się, spojrzała na zegarek i stwierdziła, że ma dobry czas. Nawet jeśli drogi będą zakorkowane albo prom się spóźni, powinna dotrzeć na wyspę wczesnym popołudniem. Nie mogła się doczekać.

Jednak kiedy zjeżdżała z Olive Way na autostradę I-5 na północ, ciągle myślała o rękawie. Nie dostała odpowiedzi na maila wysłanego do profesora. Uniwersytet Waszyngtoński, na którym pracował, był zaraz po drugiej stronie mostu. Mogłaby szybko tam wstąpić i porozmawiać z nim osobiście. A potem znowu ruszyć w drogę i raz na zawsze zapomnieć o rękawie, żeby skoncentrować się wyłącznie na hotelu.

Tak, tak właśnie zrobi. Włączyła prawy kierunkowskaz i zwolniła, zjeżdżając do dzielnicy uniwersyteckiej. Miała nadzieję, że profesor nie wyjechał jeszcze na wakacje.

Kiedy tylko udało jej się zaparkować na kampusie, wyciągnęła telefon i weszła na stronę uniwersytetu, żeby zorientować się, gdzie profesor ma swój gabinet. Dziesięć minut później zapukała do drzwi z tabliczką „Dr Daniel Chin. Zakład sinologii”.

Żadnej odpowiedzi.

Zapukała jeszcze raz i wtedy zauważyła wywieszony na ścianie obok drzwi rozkład zajęć. Profesor powinien się właśnie znajdować w budynku Bagley Hall i wykładać historię współczesnych Chin. Zajęcia kończyły się o dwunastej dwadzieścia.

Sprawdziła godzinę na telefonie i zorientowała się, że jeśli poczeka do końca wykładu, to spóźni się na prom, którym planowała płynąć. Zdecydowała jednak, że rozwiązanie męczącej zagadki jest tego warte. Wyszła z powrotem na zewnątrz.

Dobrze знаła kampus uniwersytecki i Bagley Hall, gdzie odbywały się niektóre jej zajęcia na studiach. Skierowała się tam i już niedługo znalazła się przy fontannie Drumheller, za którą roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na Mount Rainier w oddali. Jak każdy miejscowy, zatrzymała się na chwilę, żeby podziwiać widok na górę, która akurat nie chowała się za chmurami, a potem weszła do zaciśniętego, kamiennego budynku po drugiej stronie fontanny.

Zajrzała do pierwszej sali i zobaczyła, że zajęcia prowadzi kobieta. Następna sala, audytorium, była wypełniona studentami wsłuchanymi w słowa stojącego przed nimi mężczyzny o azjatyckiej urodzie, który z pewnością był profesorem Chinem. Przez te wszystkie lata, jakie tu spędziła, ani razu nie natknęła się akurat na tego profesora. Jedno spojrzenie na słuchaczy pozwoliło jej stwierdzić, że najwyraźniej dużo straciła, ograniczając swoje studenckie zainteresowania do Europy.

Był młody jak na profesora. Mógł mieć koło trzydziestki, ale widać było, że jest ekspertem w swojej dziedzinie. Chciał przyciągnąć uwagę studentów ciekawostkami i materiałami wyświetlanymi na ekranach za swoimi plecami, ale jego rozemocjonowany głos sprawiał, że wszyscy skupiali się wyłącznie na nim.

Wśliznęła się do trzeciego rzędu od góry, przemykając obok dwóch dziewczyn pochylonych nad notatkami na laptopach. Obie rzuciły jej groźne spojrzenia, kiedy przechodziła. Zajęła wolne miejsce, rozejrzała się wokół siebie i zauważyła, że sala jest wypełniona prawie wyłącznie kobietami.

– Jak myślicie, co dla narodu Han oznaczało przejście kraju przez Mandżurów? – profesor zapytał w taki sposób, jakby za chwilę miał im zdradzić jakiś pikantny sekret, a Inara zorientowała się, że pochyła się do przodu w oczekiwaniu na to, co mężczyzna powie dalej.

W ciągu kolejnych dziesięciu minut dowiedziała się o historii Chin więcej niż kiedykolwiek. Profesor tryskał energią, która elektryzowała całą salę, i nawet siedzący z tyłu studenci, którzy zwykle byli pogrążeni w półśnie, siedzieli wyprostowani i słuchali. Profesor Daniel Chin prowadził wykład tak, jakby opowiadał ploteczki z Hollywood.

Kiedy tylko skończył, na sali zaczął się ruch. Inara czekała na swoim miejscu, podczas gdy studenci zbierali swoje rzeczy i wylewali się na korytarz. Na podwyższeniu wokół profesora zebrał się wianuszek dziewczyn – zadawały mu pytania, kiedy się pakował, odłączał komputer od projektora i wkładał go do torby, którą przewiesił przez ramię. Grupa studentek z profesorem pośrodku przesunęła się w stronę schodów, a Inara wstała, żeby zatrzymać go, zanim dotrze do drzwi.

– Przepraszam pana, profesorze Chin. Czy mogę zabrać panu chwilę?

Jego orzechowe oczy na ułamek sekundy zatrzymały się na jej twarzy, a potem zwróciły się z powrotem na dziewczynę obok niego.

– Britto, napisz do mojej asystentki i umów się na spotkanie w ramach dyżuru, dobrze? Będę mógł ci to wtedy szczegółowo wyjaśnić. – Potem podniósł wzrok i objął nim wszystkie otaczające go kobiety, łącznie z Inarą. – To samo dotyczy was wszystkich. Umówcie się na dyżur, a ja z radością odpowiem na wasze pytania. Teraz spiesz się na spotkanie.

Wysunął się z kręgu dziewcząt i zanim Inara zdążyła go dogonić, był już przy fontannie.

– Profesorze Chin, proszę tylko o krótką chwilę.

Zatrzymał się, spojrzał na nią i nawet się uśmiechnął, pokazując równe białe zęby, ale wokół jego oczu zobaczyła napięcie, które wskazywało na poirytowanie.

– Przepraszam, pani godność?

– Inara Erickson. – Wyciągnęła rękę, a on ją uścisnął.

Ale zanim udało jej się wyjaśnić, kim jest i czego chce, on już się odwrócił.

– Mam dyżur od drugiej do czwartej. Proszę przyjść do mnie w tych godzinach.

Zaczął się szybko oddalać po brukowanej ścieżce, a ona ruszyła za nim.

– Profesorze Chin, nie jestem studentką. Znalazłam wyszywany rękaw i miałam nadzieję, że będzie mógł mi pan coś o nim powiedzieć albo przynajmniej skierować do kogoś, kto będzie w stanie mi pomóc. Przesłałam panu zdjęcie mailem.

Zatrzymał się tak gwałtownie, że była już dwa kroki przed nim, zanim się zorientowała i odwróciła do niego.

– Pani Erickson, oczywiście. Proszę o wybaczenie. Widziałem pani mail, ale nie miałem jeszcze

okazji, żeby na niego odpowiedzieć. Posiada pani fascynujący przedmiot.

Nic nie mogła poradzić na to, że poczuła satysfakcję – co z pewnością było bardzo niedojrzałe – na myśl o tym, że udało jej się zainteresować profesora.

– Mam go przy sobie. – Poklepała swoją torbę.

Profesor zerknął na zegarek.

– Myślę, że mogę się chwilę spóźnić na spotkanie. Chodźmy do mojego biura.

Kiedy znaleźli się w zagraconym pomieszczeniu, odsunął na bok stos książek, żeby zrobić miejsce na biurku, i rozłożył czysty, biały materiał. Inara rozwinęła niebieską, kraciastą koszulę i podała mu rękaw.

– Znalazłam go pod schodami w rodzinnej posiadłości na wyspie Orcas. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął ani jak długo tam leżał.

Profesor Chin nie spuszczał wzroku z rękawa, wkładając jednocześnie białe, bawełniane rękawiczki.

– Dobrze by było nie dotykać go za często. Substancje, które mamy na dłoniach, mogłyby zniszczyć delikatne nici.

Inara zagryzła wargi w uśmiechu. Poczwała, jak mimo woli pociąga ją to jego maniactwo.

– Będę o tym pamiętać, profesorze.

– Proszę mi mówić Daniel. – Jego wzrok opuścił w końcu rękaw, usta rozciągnęły się w uśmiechu, a w ich kąciku ukazał się pojedynczy dołeczek. – W końcu nie jest pani studentką.

Jej uśmiech rozszerzył się jeszcze bardziej.

– A ja jestem Inara.

– Czy to imię z tradycją rodzinną? – W jego oczach coś błysnęło, ale opuścił wzrok z powrotem na rękaw, zanim zdążyła stwierdzić, co to było. Ostrożnie wziął od niej wyszywany materiał i rozłożył na przykrytym stole.

Inara skrzyżowała ręce zmieszana.

– Nie, tak naprawdę to arabskie imię. Kiedy matka była ze mną w ciąży, pracowała z kobietą z Libanu, która powiedziała jej, że to imię znaczy „świetlana” albo „łśniąca”.

– Piękne.

Tym razem wiedziała, co zobaczyła w jego oczach, bo jego wzrok zatrzymał się na jej twarzy z niewątpliwym błyskiem zainteresowania. Poczwała, że zareagowała na to przyspieszonym oddechem, ale zmusiła się do uśmiechu, który rozluźnił narastające między nimi napięcie.

– Dziękuję.

Zamrugał i odwrócił się gwałtownie, żeby zdjąć szkło powiększające z półki nad biurkiem, po czym pochylił się nad rękawem. Przez kilka długich minut przyglądał się haftowi w milczeniu.

– To niesamowite – powiedział wreszcie z takim entuzjazmem, że zaczęła się zastanawiać, czy to, co przed chwilą między nimi zaszło, nie było dziełem jej wyobraźni. – Nigdy dotąd nie widziałem tak kunsztownych szczegółów wyhaftowanych w takiej skali. Technika wygląda na ścieg przypadkowy, który rozwinął się w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku. Polega to na tym, że linie nici przecinają się i są dodawane warstwa po warstwie, od bardzo cienkich po bardzo grube, co daje efekt przypominający malarstwo olejne. Na przykład tutaj... – Wskazał na miejsce, gdzie woda rozbijała się o kadłub statku. – Cechą charakterystyczną haftu przypadkowego jest to, że poszczególne ściegi różnią się od siebie długością, kierunkiem, kolorem i grubością nici. Nie ma w tym, oczywiście, nic przypadkowego, ale jeśli porównać to do tradycyjnego haftu, ściegi wyglądają na chaotyczne.

Przesunął rękaw i wyprostował się, jakby chciał teraz spojrzeć na całość, a nie na szczegóły.

– Niejasne jest dla mnie tylko to, że choć ścieg wskazuje na pochodzenie rękawa z lat dwudziestych,

to jego krój sugeruje czasy dynastii Qing w Chinach, która zakończyła panowanie w tysiąc dziewięćset dwunastym roku. Poza tym same wzory są bardzo nietypowe.

– Co to znaczy? – Przysunęła się do niego i spojrzała na rękaw, próbując zobaczyć to, o czym mówił.

– Chodzi o to, że nie przypomina mi to chińskich haftów, z jakimi dotąd się spotkałem, a jednak niektóre symbole wyraźnie sugerują chińskie pochodzenie. – Wskazał na część nadgarstkową. – Na przykład tu jest coś, co przypomina miecz wyhaftowany między drzewami w lesie. Miecz to atrybut jednego z Ośmiorgu Nieśmiertelnych taoizmu. A tu – ciągnął, przesuwając szkło powiększające w lewo – wyraźnie widać kwiat lotosu, mimo że wtapia się on w skłębioną wodę. Lotos to prawdopodobnie najbardziej popularny symbol buddyzmu.

Przerwał. Inara czekała, czując, jak ogarnia ją coraz większe podekscytowanie, i zastanawiała się, czy usłyszy jeszcze coś ciekawego.

Usłyszała.

– Mankiet w kształcie końskiego kopyta wskazuje na to, że rękaw został odcięty z chińskiej smoczyczej szaty, ale wzór zupełnie się nie zgadza.

– Jak to się nie zgadza?

– Za czasów dynastii Qing urzędnicy cesarscy wkładali smocze szaty, czyli *ch'i-fu*, na każdą okazję z wyjątkiem największych uroczystości. Szaty te były zwykle ozdobione emblematem rangi urzędnika na piersi i dwunastoma smokami wyhaftowanymi w konkretnych miejscach ubioru, na przykład na obu ramionach. Na tym rękawie w ogóle nie ma smoków. Poza tym kunsztowne zdobienia smoczyczych szat kończyły się zwykle ponad łokciem, a przedramię wypełniał prosty wzór, za to mankiet był tak samo misternie zdobiony jak główna część stroju. Ten rękaw w ogóle nie wpisuje się w tę konwencję.

– Co to może oznaczać?

– Nie wiem. Nigdy dotąd nie spotkałem takich wzorów, może z wyjątkiem jedwabnych parawanów pokojowych, ale nawet tam nie widziałem tak skomplikowanych szczegółów ani tak wyszukanej techniki. Takie hafty zazwyczaj przedstawiają przyrodę albo sceny z baśni chińskich... – Nagle przerwał, jak gdyby właśnie przyszła mu do głowy jakaś myśl. – To zupełnie tak, jakby...

– Tak, jakby co?

Kiedy na nią spojrzał, jego oczy były szeroko otwarte, a głos się pogłębił.

– To zupełnie tak, jakby ten haft opowiadał jakąś historię, której nigdy wcześniej nie słyszałem. A, proszę mi wierzyć, znam chińskie opowieści.

Poczuła, jak jego głos porywa ją i sprawia, że pragnie usłyszeć od niego te historie. Była tym tak pochłonięta, że dopiero chwilę później uświadomiła sobie, jak blisko siebie stoją.

Odsunęła się w lewo, żeby zrobić trochę przestrzeni między nimi.

– Nie mogę uwierzyć, jak dużo można powiedzieć po tak krótkich oględzinach.

Uśmiechnął się.

– Ja dopiero zacząłem, pani... em, Inaro. – Odchrząknął. – Czy byłabyś skłonna zostawić mi ten rękaw? W zamian za pożyczanie go uniwersytetowi mogę ci zaproponować ubezpieczenie i niewielkie wynagrodzenie. Poza tym obiecuję, że osobiście zadbam o to, żeby był traktowany z należyty szacunkiem. Możemy też sprecyzować datę zwrotu, jeśli chcesz.

Niewielkie wynagrodzenie. Mogłaby przeznaczyć te pieniądze na hotel.

– Myślisz, że ten rękaw jest wartościowy?

– W tym momencie trudno mi to stwierdzić – wykręcił się. – Na pewno byłby więcej wart, gdybyś miała też cały strój, od którego został odcięty.

– A właśnie – powiedziała, ostrożnie zawijając rękaw z powrotem. – Po co ktoś miałby odcinać rękaw od szaty, a potem go chować?

– Jestem pewien, że miał dobry powód. Chętnie skorzystałbym z okazji, żeby się tego dowiedzieć.

Zastanowiła się nad jego propozycją. Był najwyraźniej zafascynowany rękawem, a ona na pewno będzie miała pełne ręce roboty przy hotelu i nie będzie miała czasu, żeby samej próbować dowiedzieć się czegoś więcej. Poza tym – dlaczego nie?

– Oczywiście, możesz go zatrzymać.

– Świetnie! Będę się nim dobrze opiekował. Na bieżąco poinformuję cię o wszystkim, czego się dowiem. Obiecuję. – Ostrożnie zawinął rękaw w bawełniany materiał i zamknął go w szufladzie biurka. Potem wypełnił kwit i dał jej do podpisania, zerkając na zegarek. – Przepraszam, ale naprawdę muszę iść na to spotkanie.

– A ja muszę zdążyć na prom. – Wyszli razem z budynku i uścisnęli sobie dłonie. Jego profesjonalne zachowanie przekonało ją, że zainteresowanie, które, jak jej się zdawało, zobaczyła w jego oczach, istniało tylko w jej wyobraźni.

– Miło było cię poznać, Inaro. Odezwę się w sprawie rękawa.

– Dziękuję. Będę zobowiązana. – Patrzyła, jak odwraca się i odchodzi, potem obróciła się na pięcie i skierowała do samochodu, a następnie w stronę swojego przyszłego hotelu butikowego, który czekał na nią na wyspie.

Kiedy półtorej godziny później dotarła do Anacortes, okazało się, że spóźniła się na pierwszy prom i musiała czekać w kolejce do drugiego, a to oznaczało, że nie zobaczy Rothesay wcześniej niż o dziewiątej wieczorem. Słońce już zaszło, ale wyspa nadal była pogrążona w tej niebiesko-czarnej chwili tuż przed zmrokiem, która równie mocno przypomina ciche westchnienie, co gwałtowne bicie serca. Kiedy wносиła swoje torby do domu Dahlii, poczuła zapadającą wokół siebie noc i uświadomiła sobie, że nie zastanawiała się, czy będzie tutaj bezpieczna. Zupełnie sama. Na opuszczonej posiadłości. Otoczona czterema hektarami upiornego lasu.

Pozamykała drzwi, po czym weszła na górę i otworzyła okno w sypialni. Jej uszy wypełnił szum przypominający ruch samochodów na autostradzie i dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że to odgłos wiatru, który porusza drzewami. W ciemnym bezruchu rozlegał się co chwilę krzyk jakiegoś ptaka – pohukiwanie sowy dobiegające z lasu, nawoływanie nura znad wody. Samotność w takim miejscu byłaby zdolna przerazić każdego, a jednak nocne odgłosy, paradoksalnie, łagodziły jej strach. Była tu bezpieczna, tak bezpieczna, jak kiedyś w ramionach matki.

Mimo że te ramiona zostały jej tak nagle odebrane.

Zostawiła otwarte okno, żeby wpadał przez nie delikatny, nocny wiatr, i zaczęła się przygotowywać do snu. Tom przyjedzie jutro z samego rana, żeby zacząć pracę. Nie mogła się doczekać.

Kiedy zasypiała wsłuchana w odgłosy nocy, złapała się na tym, że myśli o profesorze. Zaczęła się zastanawiać, kiedy do niej zadzwoni.

Ale wynikało to przecież wyłącznie z tego, że chciała dowiedzieć się czegoś więcej o rękawie.

Rozdział szósty

Wtorek, 9 lutego 1886

Wyspa Orcas, Terytorium Waszyngtonu

Coś było nie tak.

Może to zapach mokrego drewna i dymu z kominka jako pierwszy ostrzegł Mei Lien, że nie znajduje się we własnym łóżku, obok babki. A może był to tylko tępy, zimny ból w klatce piersiowej, który zamienił się w atak kaszlu i wyrwał ją z ciepłych objęć snu. Cokolwiek to było, zanim jeszcze otworzyła oczy, wiedziała, że wcale nie ma ochoty zmierzyć się z tym, co ją czeka.

Przestała kaszleć, ale nadal mocno zaciskała oczy, próbując zatrzymać sen, w którym pływała z ojcem w Lake Union. Tamtego dnia była taka szczęśliwa!

Ktoś zaszurał. I chrząknął.

Chrząknął jak mężczyzna.

Obraz ojca zniknął, a ona gwałtownie otworzyła oczy.

Leżała na sienniku wciśniętym w kąt ciemnej, drewnianej chaty. Nad nią, jak potwór, który miał ją zaraz pożreć, stał potężny biały mężczyzna o twarzy pokrytej splątanymi, brązowymi włosami.

Nagle wróciła jej pamięć. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, był chwytający ją potwór morski. Jak się tu znalazła? Podniosła się z krzykiem i zaczęła przesuwać się szybko do tyłu, aż uderzyła w szorstką, drewnianą ścianę. Nie mogąc już bardziej się odsunąć, złapała poduszkę i osłoniła się od przodu jak tarczą, gotowa rzucić nią w razie potrzeby w mężczyznę i uciec. Drzwi. Gdzie są drzwi?

– Ciesz się, że już nie śpisz. Martwiłem się, że nie przeżyjesz.

Zamiast się na nią rzucić, potwór-mężczyzna stał bez ruchu koło łóżka. Jego łagodne, pełne troski słowa tak bardzo nie pasowały do jego wyglądu, że musiała minąć dłuższa chwila, zanim zrozumiała, co powiedział. To nie potwór. To tylko człowiek.

Biały człowiek.

Przyglądała mu się, nadal kurczowo ściskając poduszkę.

Miał ciemne włosy, opadające luźno do brody, gdzie rośło jeszcze więcej włosów, które zasłaniały mu usta. Był ubrany w brązowe spodnie i niebieską koszulę w kratę, zapinaną z przodu. Jedną rękę opuścił wzdłuż tułowia, a w drugiej trzymał parujący kubek. Znowu odchrząknął, a ona spojrzała z powrotem na jego twarz. Przyglądał jej się tak samo, jak ona przyglądała się jemu. Jego oczy normalnie wydałyby jej się przyjazne. Teraz wiedziała jednak, że nie może im zaufać.

Mężczyzna uciekł wzrokiem w bok, tak jakby nie czuł się dobrze, patrząc na nią. „Bo jestem Chinką” – pomyślała Mei Lien i wiedziała, że ojciec skarciłby ją przede wszystkim za to, że spojrzała temu człowiekowi w oczy.

– Nie wiem, czy mnie rozumiesz, czy nie, ale masz tu kawę. – Podsunął jej kubek. – To cię rozgrzeje.

Mei Lien nigdy dotąd nie piła kawy, ale zimny ból w piersi domagał się czegoś ciepłego. Wzięła kubek, uważając, żeby nie dotknąć palców mężczyzny, a kiedy odchodził, powąchała napój. Nie miał ziemistego zapachu, jak herbata, którą zawsze piła. To było coś mocniejszego, gryzącego. Ciepłego.

Malutkimi łydkami spróbowała napoju, po czym się wzdrygnęła. Miał smak popiołu. Ale kiedy kawa spłynęła jej do gardła, poczuła, jak uśmierza przykry ból. Pociągnęła kolejny łyk. W sumie może być.

Wypiła cały kubek wstrętnego napoju, który wypełnił ją ciepłem, i przyglądała się, jak mężczyzna porusza się po sąsiednim pokoju. Chata była tak naprawdę prostokątnym pomieszczeniem podzielonym na dwie części przez otwarty z obu stron piec. Z łóżka, na którym siedziała Mei Lien, widać było główną izbę ze stołem roboczym ustawionym w przeciwległym rogu. Nad stołem wisiały trzy półki zavalone różnymi przyborami kuchennymi i blaszanymi naczyniami.

Przesunęła się na kolana, żeby zobaczyć większą część izby i poszukać wzrokiem żony albo innych członków rodziny tego człowieka.

W tym właśnie momencie mężczyzna wyłonił się znowu zza pieca, w rękach niósł talerz pełen jedzenia. Szybko wróciła na swoje miejsce pod ścianą, w dłoniach nadal trzymała kubek po kawie. Zapach ciepłego posiłku sprawił, że zaburczało jej w brzuchu. Wolną ręką chwyciła znowu poduszkę i przycisnęła ją do żołądka w nadziei, że stłumi kłopotliwy odgłos. Nie chciała, żeby ten obcy człowiek dostrzegł jej słabość. Ukryła twarz za kubkiem i jednym łykiem wypiła to, co w nim zostało.

– To dla ciebie. – Mężczyzna bezceremonialnie postawił talerz na łóżku, przed jej zgiętymi nogami, i odsunął się, tak jakby on też chciał zostawić między nimi dystans. – Nie wiem, czy lubisz smażoną szynkę i ziemniaki z suszonymi jabłkami, ale to przynajmniej coś gorącego i wypełni ci żołądek. A na pewno jest mu to potrzebne po tych dwóch dniach snu.

Dwóch dniach? Ale to oznacza, że ojciec i babka są już...

Nie mogła dokończyć tej myśli. Na pewno ojciec znalazł jakiś sposób na ucieczkę przed okrutnym losem. Poza tym pewnie to ona czegoś nie zrozumiała, a oni płynęli teraz bezpiecznie do swojego ojczystego kraju.

Ojciec musi się strasznie o nią martwić! Będzie musiała wymyślić, jak przesłać mu do Chin wiadomość, że przeżyła i jest teraz... Gdzie ona właściwie była?

– Po twojej reakcji widzę, że rozumiesz mnie trochę – powiedział mężczyzna, podsunął niski stółek do łóżka i usiadł na nim z własnym talerzem. Nie czekając na nią, zabrał się za jedzenie. – Jestem Joseph McElroy. Wracałem właśnie z Victorii, kiedy zobaczyłem, jak wypadasz z parowca. Masz szczęście, że rejs był opóźniony, bo inaczej nie byłoby tam nikogo, kto mógłby cię uratować. Jak się nazywasz?

Zaskoczyło ją to pytanie. Żaden biały człowiek nie zapytał jej nigdy o imię, a wszyscy Chińczycy, jakich spotykała, zwracali się do niej po prostu *nánhái*, czyli „chłopcze”, ponieważ poza domem zawsze ubierała się po męsku. Dobrze się czuła w męskich spodniach i kaftanach, a poza tym nie miała innych strojów.

– Liu Mei Lien.

– Miło cię poznać, Liu. Możesz mówić mi Joseph.

Była przyzwyczajona do tego błędu u białych ludzi.

– Liu to moje nazwisko. Imię to Mei Lien.

Wyglądał na zdezorientowanego, ale zamiast cokolwiek powiedzieć, tylko kiwnął głową i jadł dalej.

Spojrzała na swój talerz i wtedy spostrzegła, że ma na sobie tylko długą, bawełnianą koszulę, której nigdy wcześniej nie widziała. Brakowało nawet materiału, którym owijała ciasno piersi.

Postawiła pusty kubek na łóżku, koło talerza, i przesunęła obiema rękami wzdłuż ciała, żeby się upewnić. Nie było wątpliwości, jej ubrania zniknęły. Razem z portmonetką ojca!

– Moje... moje ubrania? – Fatalnie się czuła z tym, że musi go zapytać, zaufać człowiekowi, który może postanowić, że wrzuci ją do oceanu albo pobije tylko ze względu na jej chińskie pochodzenie.

Kolejna myśl, jaka przyszła jej do głowy, zmroziła ją bardziej niż morska woda. Ten mężczyzna ją rozebrał. Wiedział, że nie jest chłopcem. Babka wiele razy ją ostrzegała, co mężczyźni mogą zrobić

bezbronnym kobietom.

Uśmiechnął się, słysząc jej pytanie, ale kiedy na nią spojrział, jego uśmiech momentalnie zgasł, a on szybko odstawił swój talerz na łóżko obok jej talerza i wstał.

– Nie bój się. Nie chcę cię skrzywdzić. – Wyjął coś z komody stojącej w nogach łóżka, której wcześniej nie zauważyła. – Musiałem zdjąć z ciebie mokre ubrania i ogrzać cię, bo inaczej nie przeżyłabyś tego. Ale mam je tutaj. Widzisz?

Pokazał jej stosik ubrań. Na wierzchu leżała wyszywana portmonetka ojca. Kiedy ją zobaczyła, stanęła jej przed oczami scena, jak ojciec pakuje do niej wszystkie oszczędności i jej podaje. Zapragnęła, żeby był tu teraz z nią. On wiedziałby, co robić. Obroniłby ją przed tym dziwnym białym człowiekiem.

Ze łzami w oczach pochyliła się w jego kierunku i wzięła zawiniątko. Upuściła ubrania na łóżko, chwyciła portmonetkę i przysunęła ją do twarzy. Z zamkniętymi oczami wciągnęła głęboko powietrze, chcąc poczuć zapach ojca, jego bliskość.

Ale jedyne, co poczuła, to ostry, słony zapach morza. Woń ojca została w oceanie, tak jak na pewno i on sam.

Przycisnęła portmonetkę do oczu, rzuciła się na bok i zanurzyła twarz w pościeli, nie dbając już o to, co ten człowiek może jej zrobić.

Dlaczego jej rodzinę spotkało coś takiego? Dlaczego nie mogli zajmować się dalej sklepem ojca i żyć sobie w spokoju? Nie zrobili nic złego. Nic. A teraz ojca już nie było. Nie było babki.

Ona też powinna umrzeć. Jej ciało powinno spocząć na dnie morza. Jej duch powinien unosić się wśród przodków.

Musiała znowu zasnąć, bo kiedy otworzyła oczy, w chacie było jaśniej. Białe światło przenikało przez zasłonięte papierem okno nad łóżkiem. Jej talerz i kubek zniknęły, a ubrania zostały przesunięte na koniec łóżka. Mężczyzna musiał ułożyć ją z powrotem pod kocami, bo leżała w cieple na poduszce. Nadal trzymała w dłoniach portmonetkę ojca.

Jak ten człowiek miał na imię? Przedstawił się, ale wtedy nic jej to nie obchodziło. James? John? To było jedno z tych często spotykanych imion białych ludzi. Joe? Joseph. Tak, to było to. Joseph.

– Panie Josephie? – zawołała, nie dlatego, że chciała, by przyszedł, tylko dlatego, że zanim wstanie, chciała zobaczyć, gdzie jest. Nie doczekała się odpowiedzi, więc odrzuciła koce i usiadła. Nagły atak kaszlu zmusił ją do odpoczynku. Z każdym kasznięciem palący ból w piersi i w gardle zamieniał się w ogień, a płomienie podchodziły jej do głowy, wywołując ból. Czy tak właśnie czuł się ojciec po tym, jak został pobity?

Kiedy kaszel wystarczająco osłabł, wstała, walcząc z bólem, i musiała oprzeć się ręką o ścianę, żeby złapać równowagę. W końcu jej nogi zaczęły współpracować i przeszła powoli do sąsiedniej izby, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście jest w chacie sama.

Większą część pomieszczenia zajmował porysowany, kwadratowy stół z czterema krzesłami. Po tej stronie przed piecem stała długa, drewniana ława, na której leżała wypchana płócienna torba.

Ani śladu Josepha. Miała całą chatę dla siebie.

Wróciła do sypialni i najszybciej, jak pozwalały jej na to słabe mięśnie, ściągnęła pożyczoną koszulę i wsunęła się we własne ubranie. Był to dla niej tak duży wysiłek, że musiała usiąść na łóżku i przez chwilę spokojnie oddychać, żeby nie wywołać kolejnego ataku kaszlu. Nie mogła znieść poczucia własnej bezradności ani świadomości, że potrzebuje pomocy tego dziwnego białego diabła, w którego chacie spała.

W końcu udało jej się włożyć wszystko z wyjątkiem butów, których nie mogła znaleźć.

W chwili kiedy szła z powrotem do głównej izby, żeby poszukać jedzenia, drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł przez nie Joseph z naręczem drewna. Mei Lien zamarła.

Stanął w otwartych drzwiach i wpatrywał się w nią.

– Wstałaś – powiedział w końcu i unikając jej wzroku, zamknął drzwi, po czym klęknął, żeby ułożyć drewno w stos na palenisku. – Zjesz coś teraz?

Pokiwała głową i rozejrzała się w poszukiwaniu talerza, który mężczyzna przyniósł jej wcześniej.

– Usiądź. Nałożę ci.

Usiadła powoli przy stole, na krześle, które jej wskazał, i patrzyła, jak kawałkiem materiału owija długą rączkę garnka ustawionego w popiele w rogu paleniska. Postawił go na kamiennym piecu, wstał i zdjął blaszany talerz z półki na ścianie.

– Cieszę się, że jesteś już na nogach – powiedział, nakładając jedzenie, i postawił przed nią talerz szynki z ziemniakami. – Muszę dostarczyć pocztę mieszkańcom wyspy, a bałem się zostawiać cię samą na tak długo.

Patrzyła, czy sobie też nałoży. Nie zrobił tego, więc poddała się uczuciu głodu, złapała palcami kawałek szynki i wsunęła go sobie do ust. Słone mięso rozpuściło jej się na języku, a wewnątrz ust zabolęło od nagłego przyływu śliny. Cudowne uczucie.

Na stół koło jej talerza spadł z brzękiem widelec.

– Masz – burknął mężczyzna, minął ją i podszedł z powrotem do paleniska, gdzie przykucnął i zaczął skrobać dno garnka metalową szpatułką. – Bo widzisz – podjął, jak gdyby nic nie przerwało jego wywodu – w tym roku dostałem umowę na roznoszenie poczty i aż do dzisiaj, ale nie bierz tego do siebie, nigdy nie spóźniałem się z dostarczaniem listów pocztowym mieszkańcom wyspy Orcas. Liczą na mnie, a poza tym to dobry sposób, żeby poznać ludzi. Któregoś dnia zostanę członkiem rady, a może nawet burmistrzem.

Nie rozumiała wszystkich słów, jakich używał, ale jedno z nich się wyróżniało. Ten dziwnie brzmiący wyraz wydawał się ważny. Przełknęła kawałek suszonych ziemniaków, który właśnie przeżuwała, i zapytała:

– Co to jest Orcas? Czy to nazwa tego miejsca?

Przez gęste włosy, które pokrywały jego twarz, przebił się uśmiech, a jego oczy otworzyły się szerzej, odsłaniając zielone tęczówki koloru drzew, jakie rosły na wzgórzu górującym nad Seattle.

– Wiedziałem, że twój głos nie był tylko dziełem mojej wyobraźni. – Wyskrobał resztki przypalonego jedzenia, wrzucił je do ognia i postawił garnek na piecu, po czym spojrzał na nią. – Tak, to nazwa tego miejsca. Wyspa Orcas. Znajdujemy się w archipelagu wysp San Juan, czyli części Terytorium Waszyngtonu, ale blisko Kolumbii Brytyjskiej. Mieszkam tu od sześciu lat, przyjechałem z Indiany. Któregoś dnia przywiozę tu swoją żonę. Jak tylko ją spotkam.

Nie był żonaty! Czyli sprawy wyglądały gorzej, niż przypuszczała. Chińska dziewczyna siedzi bez przyzwotki z białym kawalerem. Jasne, powiedział, że nie chce jej skrzywdzić, ale ona słyszała, z jakim pożądaniami biali mężczyźni patrzyli na dziewczyny o obcej urodzie, takie jak ona. Będzie musiała zachować dużą ostrożność aż do momentu, kiedy opuści to miejsce.

Joseph też najwyraźniej pomyślał o jej odejściu, bo przechylił głowę na bok i popatrzył na nią.

– Dokąd płynęłaś tym parowcem, zanim z niego nie wypadłaś?

Nie odpowiedziała od razu, więc usiadł na ławce obok płóciennej torby, którą wcześniej zauważyła, i oparł łokcie na kolanach.

– Zrobię wszystko, żeby pomóc ci dotrzeć tam, dokąd się wybierasz, ale muszę wiedzieć, gdzie to jest.

Mei Lien patrzyła na niego z widelcem – tym dziwnym narzędziem, które sprzedawali w sklepie ojca, ale którego nigdy nie używali w domu – leżącym jej bezwładnie w ręku i uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze ten człowiek nie miał pojęcia, co wydarzyło się w Seattle. Po drugie ona mu tego nie powie.

– Miałam płynąć do Chin – odpowiedziała mu w końcu, bo nie przestawał się w nią wpatrywać.

– Stamtąd pochodzisz? Z Chin?

Potrząsnęła głową i wbiła wzrok w talerz.

– Nigdy dotąd nie opuściłam Seattle. Nie chcę jechać do Chin. – Nie zamierzała mu powiedzieć już nic, co byłoby bliższe prawdy.

– Masz rodzinę?

Przed oczami stanął jej obraz ojca stojącego przy barierce statku i musiała zacisnąć powieki, żeby powstrzymać łzy. Nie ufała swojemu głosowi, więc tylko pokręciła głową w odpowiedzi.

Wyglądał tak, jakby się nad czymś zastanawiał. Po dłuższej chwili zapytał:

– To gdzie chciałabyś pojechać? Tutaj nie możesz zostać.

Wzrok miała nadal spuszczoney.

– Wiem. Dziękuję za uratowanie mi życia i za... – Zawahała się, nie wiedząc, jakich użyć słów. – Za to – powiedziała w końcu, wskazując głową na jedzenie przed sobą.

– Nie ma za co. – Odchrząknął, co, jak się domyśliła, należało do jego zwyczajów, i wstał. Przerzucił torbę pocztową przez ramię. – Muszę iść. Czuj się jak u siebie, kiedy mnie tu nie będzie. Jeśli chcesz się umyć, to po drugiej stronie podwórka, przy skarpie, jest strumień, a balia wisi za drzwiami.

Zdjął kapelusz z gwoździa obok drzwi i włożył go na głowę.

– Nie wrócę na kolację, więc częstuj się wszystkim, co znajdziesz w ziemiance i w pomieszczeniu na mleko. A jeśli będziesz chciała wejść do wody w zatoce, to bądź ostrożna. Szybko robi się głęboko.

Kiedy otworzył drzwi chaty, do środka wpadł zimny podmuch wiatru, który przyniósł ostry zapach cedru i ciągnącą od ziemi woń piżma. Kojarzyło jej się to z zapachem Seattle, tylko ten był czystszy. Przez otwarte drzwi dostrzegła polanę otoczoną wysokimi drzewami i wielką, brązową stodołę, wyglądającą zza niedalekiego lasu. Koło stodoły leżał stos świeżego drewna, który wystarczyłby na wzniesienie dużego budynku.

– Jeszcze jedno – powiedział, odwracając się do niej. – Nie spodziewam się, żeby ktoś tu zaglądał, ale, hm, lepiej by było, żeby w razie czego nikt cię nie zobaczył. Znaczący, gdyby jednak ktoś zajrzał. – Jego wzrok uciekł na bok, co jeszcze bardziej niż wcześniejsze szuranie nogami ujawniło jego zakłopotanie. – Gdybyś jednak potrzebowała pomocy, to za wzgórzem mieszka mój sąsiad, Duncan Campbell. On sam dużo podróżuje, ale jego żona i stary ojciec na pewno tam będą. To dobrzy ludzie.

Mei Lien pokiwała głową, wiedząc, że prędzej umrze, niż poprosi o coś białych.

Na twarzy Josepha odmalowała się ulga, a mężczyzna podniósł dłoń do góry, jak się domyśliła, w geście pożegnania. Potem zamknął za sobą drzwi i odszedł.

Przez kilka długich minut Mei Lien siedziała bez ruchu i myślała. Gdzie mogłaby się udać? Na pewno nie z powrotem do Seattle, bo tam albo wpakowaliby ją na kolejny parowiec do morskiego grobu, albo zabiliby ją od razu na ulicy. Do Chin? Szybko odrzuciła ten pomysł. Może i wygląda, jakby tam pasowała, ale byłaby obca. Terytorium Waszyngtonu to jedyna część świata, jaką знаła. Musi być jakieś inne miejsce, gdzieś w jego obrębie, gdzie mogłaby znaleźć pracę i schronienie.

Wzięła do ust kawałek ziemniaka i żuła go, przyglądając się swoim ubraniom. Będzie musiała pozostać chłopcem. Nikt nie zatrudni samotnej, chińskiej dziewczyny do żadnej przyzwoitej pracy.

Jako chłopak będzie miała więcej możliwości. Może zostać służącym albo pracować w wytwórni konserw. Mogłaby nawet zostać kucharzem.

Z takim postanowieniem skończyła posiłek i wybrała się na zwiedzanie majątku Josepha, przy czym robiła sobie częste przerwy, ilekroć tylko złapał ją atak kaszlu. Nieustannie nasłuchiwała też odgłosów ludzi, którzy mogliby nadejść od strony lasu. Nikt nie przyszedł.

Joseph najwyraźniej wrócił, kiedy Mei Lien spała, bo następnego ranka znalazła obok łóżka parę butów w swoim rozmiarze. Nie było go w chacie, więc wsunęła lodowate stopy do butów i szybko skończyła się ubierać, zanim straciłaby szansę na odrobinę prywatności.

Potem, niezdolna do siedzenia bezczynnie, zajęła się tym, co zwykle robiła w domu, w Seattle. Zamiotła podłogę słomianą miotłą, która stała w kącie, po czym przygotowała poranny posiłek. Zanim Joseph wrócił z miejsca, w którym był, miała już gotowe warzywa korzenne na parze i gorący bekon. Nie powiedział ani słowa, ale jego milczenie – i uznanie w oczach, kiedy siadał do stołu – przypominało jej ojca, dzięki czemu zaczęła go lubić.

Wbrew samej sobie już się go nie bała.

I tak zaczęły się kształtować ich wspólne dni. Ustalili się między nimi dziwny, ale wygodny układ, w którym dzielili ze sobą posiłki, obowiązki i ciche chwile pod koniec dnia. Pomagała mu mierzyć, ciąć i przybijając deski, które zauważyła pierwszego dnia. Joseph powoli budował z nich porządny dom dla swojej przyszłej rodziny. Jedynym zajęciem, w którym nie chciała mu towarzyszyć, było zarzynanie zwierząt na posiłki. Takie sceny za bardzo przypominały jej głowę Yeung Luma po postrzale.

Godziny zamieniły się w dni, dni przeszły w tydzień. Kaszel Mei Lien ustąpił, a obrazy z tamtej nocy prześladowały ją głównie we śnie, a nie, jak przedtem, przez cały czas. Względnie odległe położenie ziem Josepha dawało jej poczucie bezpieczeństwa, nieważne, czy rzeczywiste, czy też złudne. Ku własnemu zaskoczeniu często zdarzało jej się śmiać z zabawnych historyjek, które mężczyzna opowiadał.

Drzewa otaczające farmę trzymały ją mocno w swoich objęciach, chroniąc przed okropieństwami świata zewnętrznego, podobnie jak robiła to babka, kiedy Mei Lien była dzieckiem.

A potem, ósmego dnia jej pobytu na farmie, w chwili, gdy wieszala ścierkę do wycierania naczyń na kołku na ścianie i właśnie miała się odwrócić, żeby życzyć Josephowi dobrej nocy, w końcu się to stało. Nie usłyszała, jak mężczyzna zbliża się do niej od tyłu, a kiedy sięgnął po kankę z mlekiem na półce, dokładnie w momencie, w którym się odwracała, ich ciała się spotkały. Była to tak krótka chwila, że dopiero później, kiedy leżała już w łóżku w pograżonej w ciszy chacie, uświadomiła sobie, dlaczego to dotknięcie tak bardzo wytrąciło ją z równowagi. Dotknięcie Josepha w niczym nie przypominało dotknięcia ojca. Jej zaskoczone ciało poczuło nagle coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyło, a Mei Lien zapragnęła poczuć to jeszcze raz. Miała wrażenie, że jej skóra stała się otwarta i ożywiona, że lgnęła do niego.

Potem dziewczyna zaczęła odczuwać w jego obecności nerwowość, choć nie był to strach. Zastanawiała się, czy on też poczuł w swoim ciele takie samo ożywienie jak ona, ale nie było to coś, o co mogłaby go zapytać. Rozmawiali o gospodarstwie i jego planach dotyczących posiadłości, ale nigdy nie rozmawiali o tym, dlaczego Mei Lien ubierała się jak chłopak, i jak się to stało, że znalazła się w jego chacie. Mimo że rozebrał ją tamtej nocy, kiedy znalazł ją w wodzie, jedynym, co dawało Mei Lien pewność, że zdawała sobie sprawę z swojej płci, było to, że oddał jej swoje łóżko, a sam spał w stodole, i że zawsze pukał przed wejściem do chaty. Gdyby naprawdę była chłopcem, z pewnością to ona spałaby na podłodze.

Wiedziała, że już niedługo będzie musiała odejść i myśl ta napełniała ją smutkiem. Joseph był z nią przez cały czas od chwili, kiedy wszystko straciła. W dniu, w którym opuści jego farmę, utraci tę ostatnią nić łączącą ją ze starym życiem. Zostanie na świecie sama.

Jednak Josephowi najwyraźniej nie spieszyło się, żeby wysłać ją w drogę. Zagadywał ją o jej życie i rodzinę, ale jeśli nie odpowiadała od razu, mówił dalej, tak jakby jego pytanie w ogóle nie padło. Przeważenie i wszechogarniający ból sprawiały, że nie była w stanie odpowiedzieć na większość jego pytań. Ale na jedno z nich nie odpowiadała tylko dlatego, że sama nie знаła odpowiedzi.

– Dlaczego codziennie o zmroku chodzisz nad wodę?

Zamrugnęła gwałtownie i się odwróciła.

Począwszy od dnia, kiedy Mei Lien obudziła się w tej chacie, a Joseph poszedł roznieść pocztę, wraz z zapadnięciem zmroku, gdy świat stawał się najpierw niebieski, a potem czarny, dziewczyna czuła w sobie przyzywanie wody. Nawet kiedy w zimnym, lejącym deszczu nie dawało się rozróżnić kolorów wieczoru, co zdarzało się dosyć często, i tak szła nad wodę i ostrożnie stawała w miejscu, w którym nie mogły jej dosięgnąć rozbijające się o brzeg fale. Wpatrywała się w zatokę ze świadomością, że ojciec i babka nie dopłynęli do Chin, tylko znajdowali się teraz gdzieś pod tą poruszającą się powierzchnią. Modliła się do wszystkich bogów i przodków, o jakich kiedykolwiek słyszała, żeby nie odczuwali już bólu ani strachu. Czasami modliła się, żeby zabrali ją ze sobą.

Trzeciego wieczoru, gdy szukała w ciemnej wodzie jakiejś wizji, znaku, czegokolwiek, wyskoczyła z niej nagle jakaś czarna głowa i spojrzała prosto na nią. Mei Lien krzyknęła, myśląc, że to potwór morski, którego widziała w dniu, kiedy ojciec zepchnął ją ze statku, i że wrócił, aby ją pożreć.

Ale w tym momencie czarna głowa zanurkowała z powrotem pod wodę, a za nią podążyło wygięte w łuk lśniąca ciało. Nie było to ciało potwora morskiego, tylko foki, takiej jak te, które brudziły plażę nad zatoką Elliott Bay w Seattle.

Później Mei Lien zaczęła szukać innych stworzeń morskich i zastanawiała się, czy foka – a może jeszcze pomarańczowa rozgwiazda i wyskakujący z wody łosoś – nie była wcieleniem ojca, który nadal nad nią czuwał. Albo czy krzyżująca na wietrze mewa nie była tak naprawdę upominającą ją babką.

Przebywanie blisko wody, mimo że sama prawie w niej zginęła, a jej bliscy zginęli w niej prawie na pewno, sprawiało, że czuła się bliżej nich. Wracała więc co wieczór.

Ale nie mogła tego powiedzieć Josephowi. I tak niełatwo jej było z poczuciem, że jej ciało tęskni za jego dotykiem, a jednocześnie jej umysł ją od niego odpycha.

Któregoś wieczoru Mei Lien cicho umyła swój talerz po kolacji i odłożyła go na półkę, po czym sięgnęła po ciepły płaszcz, który pożyczył jej Joseph. Zapadał zmrok i był to czas, kiedy wychodziła zwykle nad wodę. Ten wieczór był jednak inny. Tego wieczoru przypadała pierwsza pełnia nowego roku. W Seattle w ramach obchodów Święta Lampionów poszliby razem z ojcem nad wodę i puszczaliby łódki z zapalonymi ogarkami, żeby podarować światło wszystkim duchom mieszkającym w podziemiach i żeby w sposób szczególny uczcić tych, którzy utonęli. Ojciec jej ojca zginął w ten sposób, kiedy w czasie powstania tajpingów został pojmany i wpadł do Jangcy, więc w jej rodzinie tradycja ta była mocno kultywowana.

A teraz Mei Lien miała jeszcze więcej członków rodziny, którzy utonęli. Ojciec i babka potrzebują światła lampionów, więc zrobiła je z kory i ukryła w stodole.

W chwili, kiedy sięgała do klamki, z drugiej strony drzwi rozległo się głośnie pukanie. Cofnęła gwałtownie rękę, a jej wzrok pobiegł w stronę Josepha. Kiedy wstawał, jego usta zacisnęły się w ponurą linię. Powiedział szeptem:

– Idź do sypialni. Nie pokazuj się, dopóki cię nie zawołam.

Pukanie rozległo się ponownie, a Mei Lien posłusznie wsunęła się za piec do części sypialnej, przyłgnęła plecami do ciepłego kamienia i starała się wstrzymać oddech.

– Duncan! – zawołał Joseph, otwierając drzwi. – Nie wiedziałem, że wróciłeś. Jak tam podróż?

– Niezgorzuj, dzinkuję – odparł gość. W jego głosie było coś, co poruszyło jej pamięć, więc zamknęła oczy i słuchała dalej.

– Wróciłem dopiero dzisiaj. Przyjechałem pociągiem z San Francisco, a mój kapitan płynie dalej na Wschód. Mam do Ciebie interes. – Jego głos był pełen arogancji i Mei Lien zaczęła się zastanawiać, dlaczego Joseph uważa tego człowieka za przyjaciela. Mężczyzna ciągnął dalej: – Wróciłem i zobaczyłem, że moja kobita i ociec nie zorali pola. Dałbyś rady pomóc mi jutro?

Pod nagłym uderzeniem wspomnień Mei Lien straciła władzę w nogach i osunęła się na podłogę, choć jej umysł krzyczał, żeby stąd uciekała. Ten głos. Znała ten głos, przeciągnięte końcówki, urwane

dźwięki. Był to głos pewnej śmierci.

A teraz знаła też imię Śmierci – Duncan Campbell, sąsiad Josepha.

Nie była tu bezpieczna, nigdzie nie będzie już bezpieczna.

Oparła się czołem o szorstkie deski podłogi i zmusiła się do zachowania ciszy, żeby słuchać dalej.

Zaskrzypiało krzesło.

– Słyszałeś, że wygonili Azjatów z Seattle? Rychło w czas, jeśli chcysz znać moje zdanie. Mówiłem ci, że dobrze robimy, kiedy w zysłym roku przepędziliśmy ich z naszej wyspy.

Joseph odchrząknął.

– Nie, nie powiem, żebym o tym słyszał. Wiesz, zrobiłem spore postępy w budowie nowego domu. Masz ochotę zobaczyć?

Zadudniły buty, zaskrzypiała podłoga. Chwilę później za mężczyznami zatrzasnęły się drzwi, odgradzając Mei Lien od pełnych nienawiści słów Campbella.

Dziewczyna nie poruszyła się. Nadal starała się oddychać szybko i płytko. Zostanie tu, ukryta, dopóki Joseph nie wróci i nie zapewni jej, że widział, jak tamten opuszcza posiadłość. Myśl o tym, co ten diabeł Campbell zrobiłby jej, gdyby ją zobaczył, była zbyt przerażająca, żeby mogła zagościć w jej głowie, więc odpychała ją od siebie.

Mimo to strach chwycił ją za gardło, a umysł krzyczał porażony świadomością, że została uratowana od śmierci z rąk tamtego człowieka przez jego własnego sąsiada. Los nie mógł być tak okrutny, żeby ocalić jej życie tylko po to, by kilka dni później wydać ją beztrosko na taki sam koniec.

A co, jeśli Joseph wiedział o jej sytuacji więcej, niż dawał po sobie poznać? To tłumaczyłoby, dlaczego nigdy nie naciskał, żeby odpowiadała mu na pytania dotyczące tamtej nocy – on po prostu o wszystkim wiedział. Mógł nawet pomagać Campbellowi. Czy nie mówili przed chwilą o tym, że sami wygonili Chińczyków z tej wyspy?

A ona mu zaufała. Nawet gorzej, tęskniła za jego dotykiem!

Zbyt łatwo straciła czujność. Zbyt szybko.

Od chwili, kiedy obudziła się w tej chacie, Joseph był przy niej, troszczył się o nią, dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Ale teraz znała już prawdę.

Nie była bezpieczna.

Była całkiem sama.

Woda. Przyzywała ją woda. Ona na pewno pomoże jej zdecydować, co teraz zrobić.

Nagle ogarnęła ją szaleńcza potrzeba pójścia nad zatokę, więc usiadła, a następnie podniosła się z trudem. Cicho, drżąc na całym ciele, podeszła na palcach do drzwi chaty. Ostrożnie, żeby nie wywołać najmniejszego hałasu, przycisnęła kciuk do zatrzasku i otworzyła drzwi na szerokość niewielkiej szpary.

Nie zobaczyła ani nie usłyszała mężczyzn. Powoli otworzyła drzwi na tyle szeroko, żeby się przez nie wysliznąć, i cicho je za sobą zamknęła. Potem popędziła między drzewami, w kierunku, z którego dochodziło coraz głośniejsze wołanie wody.

Tym razem nie zatrzymała się bezpiecznie na brzegu. Wbiegła po łydki do wody, nie zwracając uwagi na ostre kamienie, które wbiły jej się w nogę, kiedy się pośliznęła. Chciała poczuć wodę, uczyć się od niej. Dopiero teraz, stojąc w lodowatej toni, spojrzała w górę i zorientowała się, że wieczór jest pogodny. Najpogodniejszy od czasu tamtej nocy na parowcu.

Księżyc wisiał nisko na niebie, wielki, pełny, okrągły i świecił prosto na nią. Zawisł na szczycie góry po drugiej stronie wąskiej zatoki, wyznaczającej granicę ziem Josepha, i posyłał w jej kierunku smugę światła, która biegła po powierzchni wody niczym droga. Joseph pokazywał jej mapę wyspy, więc wiedziała, że ta długa zatoka nazywa się East Sound. Gdyby popłynąć łódką w lewo, można by dotrzeć do innych wysp, kanałów, a w końcu na otwarte morze.

Ale to nie ono ją przyzywało. Wołanie dobiegało od strony księżyca.

Ciemność dookoła niej zamarła wpatrzona w księżyc. Patrzyła też na Mei Lien, która z kolei miała poczucie, że opuściła własne ciało. Zewsząd napierały na nią pytania o własny los.

Odpowiedzi nie nadchodziły, ale spływały wspomnienia. W księżycowej drodze, która biegła po wodzie, Mei Lien zobaczyła, jak roześmiany ojciec uczy ją mah-jonga przy koślawym stole przed sklepem. Patrzyła, jak pomarszczone dłonie babki cierpliwie prowadzą jej palce przez krótkie, precyzyjne, czarne ściegi na czerwonym jedwabiu, a w powietrzu unosi się zapach imbiru i cebuli. Uśmiechnęła się na widok ojca, który stał za ladą w sklepie, wydawał jej się taki wysoki i silny. Klienci pytali go o radę i prowadzili z nim rozmowy, pokrzepieni tym, że mogą używać własnego języka w kraju, który był dla nich dziwny i wrogi.

Wspomnienia płynęły jedno za drugim, coraz szybciej i szybciej, potem zatrzymywały się nagle na jakimś obrazie, ale tylko po to, żeby zaraz rzucić się znowu naprzód, pociągając ją za sobą i uspokajając.

Woda zabrała jej wszystkich. Ją też powinna zabrać. W wodzie będzie przebywać znowu ze swoją rodziną. Zostawi za sobą ból samotności i strach przed życiem, który spłyca każdy jej oddech. Woda wydała jej bitwę, a tego wieczoru Mei Lien pozwoli jej wygrać.

Dziewczyna owinęła się wspomnieniami i nie zważając na chłód ani na drżenie własnego ciała, zaczęła wchodzić coraz głębiej do zatoki. Szła krok za krokiem, aż woda sięgnęła jej po szyję. Nawet gdy czuła odrętwienie, jej ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze. Wyciągniętą do przodu stopą poszukała oparcia dla kolejnego kroku. Ale zamiast kamieni natrafiła tylko na otwartą głębię. To był koniec.

– Idę, ojcie – szepnęła, posuwając się do przodu, i celowo zwalczyła odruch nabrania oddechu.

Zimna woda zakręciła się wokół niej i wśliznęła jej się nad głowę, zaczęła szarpać za ubrania i ciągnąć w dół. Mei Lien nie walczyła. Nie próbowała się odpychać ani rękami, ani nogami. Tonęła z szeroko otwartymi oczami.

Jej płuca domagały się oddechu. Walczyła z tą potrzebą tak długo, jak mogła, aż wstrząsnęły nią drgawki, które wymusiły otwarcie ust i wpuszczenie wody tam, gdzie powinno znaleźć się powietrze. Zobaczyła wijącą się czerń, która złapała ją za głowę. Powitała ją z radością, poddała się jej ciepłym mackom. Odpuściła.

Następne, co poczuła, to jak jej głowa przebija się przez powierzchnię, a ciałem wstrząsa fala wymiotów, przerywana atakami rwącego kaszlu, i wypycha z niej całą słoną wodę. Jedna uparta macka potwora morskiego trzymała ją jeszcze za brzuch, ale zamiast wciągać ją w głębinę, wyciskała jej wodę z płuc. Palilo ją w piersiach, palilo ją w gardle, jej ciało trzęsło się i drżało.

Poczuła bolesne uderzenie kolanem o kamień i zorientowała się, że ktoś ciągnie ją na brzeg. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie złapały jej macki śmierci, tylko ręce Josepha. Jakimś cudem mężczyzna zobaczył, jak wchodzi do wody, a teraz ją z niej wyciągał. Znowu. Ratował ją przed jej przeznaczeniem, przed losem, który został dla niej wybrany.

Położył ją na kamienistej, pokrytej muszlami plaży.

– Mei Lien, powiedz coś. Oddychaj!

Uderzył ją w plecy.

Poczuła skurcz żołądka i przechyliła się gwałtownie na bok, żeby zwrócić jego zawartość na kamienie. Z jej płuc wydobyła się woda. Kaszła tak długo, aż w końcu znowu mogła zaczerpnąć oddechu bez krztuszenia się przy tym.

Cudownie było czuć powietrze w płucach, choć dla skóry nie było ono przyjemne. Zadrzała, nadal kaszląc i plując słoną wodą.

– Co tam robiłaś? Mogłaś się utopić. – Jego wielkie dłonie odgarnęły jej włosy z twarzy i przesunęły się wzdłuż jej rąk i nóg, żeby sprawdzić, czy się nie zraniła. Ciepły ślad, jaki po sobie zostawiały, sprowadził Mei Lien z miejsca, do którego zabrał ją wcześniej księżyc, z powrotem do

własnego ciała.

Usiadła i oplotła ręce wokół siebie. Księżyc nadal przyzywał ją do wody, ale droga powoli znikła i oddalała się od niej w poczuciu odrzucenia. Teraz to ona odrzucała Mei Lien.

– Trzeba było mnie zostawić.

– Co? – Jego ręce oderwały się od jej ciała.

– Trzeba było pozwolić wodzie mnie zabrać.

Odpowiedział milczeniem, które wzięła za zastanawianie się nad tą możliwością. Myśl, że mógłby stać beczynnym obok i pozwolić jej umrzeć, przebiła jej pierś tak boleśnie, że nie była w stanie powstrzymać jęku, i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jakaś część niej samej cały czas wierzyła, że zależało mu na niej.

Ale najwyraźniej się myliła. Opanowując ból, rzuciła:

– Woda jest moim przeznaczeniem, a ty dwa razy mnie z niej zabrałeś. Nie wtrącaj się już więcej. – Zanim zdążyła zastanowić się nad swoją decyzją albo zatrzymać w cudownym poczuciu, że powietrze znowu wypełnia jej płuca, wstała i ruszyła w stronę wody.

– *Zài jiàn*, Joseph.

Szła zdecydowanie, aż znalazła się po kolana w wodzie. Nogi i stopy miała poranione od kamieni, ale niedługo przestanie czuć ten czy jakikolwiek inny ból.

Joseph złapał ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie. W świetle księżyca wyraźnie zobaczyła jego rysy, a w nich, pod tymi wszystkimi okropnymi włosami, dostrzegła coś, co ją zaskoczyło. Strach.

– Dlaczego chcesz się zabić? – Potrząsnął nią. – Powiedz!

Spokojnie spojrzała w jego rozgorączkowane oczy.

– Dwa tygodnie temu razem z rodziną zostałam wyrzucona przez białych ludzi z domu i wsadzona na statek. Powiedzieli, że wysyłają nas do Chin, ale wtedy... – Przerwała, przypominając sobie tego diabła Campbella i to, że jest przyjacielem Josepha.

Przypomniała sobie, że nie może nikomu ufać. W głowie jej pulsowało, kiedy zaczęła przeszukiwać wzrokiem drzewa.

– Gdzie on jest? Gdzie się schował?

– Ten mężczyzna, który był tu wcześniej? Mój przyjaciel Duncan Campbell? Co on ma z tym wspólnego?

– Gdzie on jest? – zapytała ponownie, wpatrując się w ciemność.

– Campbella już nie ma. Poszedł do domu.

Pokiwała głową, bo z nieznanym sobie powodów uwierzyła mu. Jej strach ustąpił na tyle, że kiedy Joseph pociągnął ją za rękę, pozwoliła mu wyprowadzić się znowu z wody na ostre kamienie i muszle, którymi zasypana była plaża. Wzrok miała jednak nadal utkwiony w drzewach, skąd, jak wiedziała, w każdym momencie mógł wyłonić się Campbell.

Joseph przyciągnął Mei Lien do piersi i objął ją potężnymi ramionami, a dłońmi zaczął energicznie rozcierać jej plecy i ręce, żeby ją rozgrzać. Była zmęczona, więc poddała mu się, przyciągana poczuciem bezpieczeństwa, jakie jej dawał. A choć wiedziała, że nie powinna mu ufać, i tak mu ufała.

– Znasz tego człowieka, który przyszedł dzisiaj do chaty? – Głos Josepha rozległ się głośno koło jej ucha, zagłuszając szum drzew i wody rozbijającej się o brzeg.

Pokiwała głową przy jego ramieniu.

– Skrzywdził cię?

Campbell nigdy jej nie dotknął, o czym na pewno pomyślał teraz Joseph, ale mimo to ją skrzywdził. W sposób niemożliwy do zniesienia dla duszy.

Nie odpowiadała, więc Joseph zadał jej kolejne pytanie.

– Skąd wiesz, że to on? Jest już ciemno, a kiedy wszedł do chaty, byłeś w drugim pokoju...

Wysunęła się z jego ramion.

– Jestem pewna. Głos go zdradza.

Joseph pokiwał głową, a ręce spuścił bezwładnie wzdłuż tułowia.

– Przypuszczam, że masz rację.

Mei Lien odwróciła się w stronę wody i zobaczyła, że księżyc wspiął się wysoko na niebo.

– Co on ci zrobił? – Pytanie Josepha było tak ciche, jak las dookoła nich, ale mimo to na nowo przeszło ją strachem, tak jakby wspomnienie tamtej nocy mogło sprowadzić Campbella z powrotem.

– To mój przyjaciel. Muszę wiedzieć, co zrobił.

– Nie mogę. – Zrobiła krok w kierunku wody, wiedząc, że tylko ona jest w stanie ulżyć jej w cierpieniu.

– Mei Lien, nie idź do wody. – Jego łagodny, błagalny głos rozległ się tuż koło niej, chociaż Joseph jej nie dotknął. Jej stopy się zatrzymały. – Pozwól sobie pomóc. Znajdziemy ci miejsce, w którym będziesz bezpieczna. Obiecuję. Nie chcę, żeby ktoś cię znowu skrzywdził.

Nie wiedziała dlaczego, ale mu uwierzyła. Żaden inny biały mężczyzna nie pokazał jej się od tej strony, jednak z jakiegoś powodu wierzyła, że ten akurat ma w sobie dobro. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, a w jego oczach zobaczyła potwierdzenie tej życzliwości. Ujął jej dłoń i delikatnie ścisnął.

Trzymając go nadal za rękę, odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na wodę i poszukać obrazów, które wcześniej tak ją pociągały. Jedyne, co zobaczyła, to puste światło księżycy, które tańczyło na poruszającej się czarnej powierzchni. Jakikolwiek duchy były tu wcześniej, teraz odeszły. Woda już jej nie chciała.

Podniósł się delikatny wiatr i przeniknął ją przez mokre ubrania aż do szpiku kości. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. W płucach poczuła ogień, który wywołał kolejny atak kaszlu. Kiedy ustał, poczuła się wyczerpana. Teraz przyciągał ją ogień na palenisku Josepha.

Zrobiła krok w stronę drzew, ale zaraz stanęła i spojrzała na mężczyznę.

– Dziękuję, Josephie – powiedziała w nadziei, że domyśli się wszystkiego, za co mu dziękuje.

Ścisnął ją za rękę.

– Nie ma za co, Mei Lien.

Rozdział siódmy

Czwartek, 4 marca 1886

Zatoka East Sound, wyspa Orcas, Terytorium Waszyngtonu

Ścierpłymi z zimna palcami Mei Lien trzymała się boków drewnianej łodzi, którą Joseph przeprowadzał przez wody East Sound długimi pociągnięciami wiosł. Patrzyła prosto przed siebie, na kanał prowadzący do miasteczka Orcas i do parowca, którym miała popłynąć w swoje nowe życie. Na myśl o wejściu na pokład kolejnego statku poczuła gwałtowny ucisk w żołądku. Zamrugła i postanowiła nie myśleć o tym, tylko skupić się na celu podróży, mieście Port Townsend.

Każdego wieczoru, odkąd Joseph wyciągnął ją z wody, rozmawiali o tym, gdzie powinna zamieszkać, gdzie pracować i w jaki sposób mogą zapewnić jej bezpieczeństwo.

Choć ona wiedziała, że już nigdy więcej nie poczuje się bezpieczna.

– Na Orcas ani na żadnej z wysp San Juan nie znajdziesz pracy, nawet przebrana za chłopca – powiedział Joseph. – W zeszłym roku okoliczni mieszkańcy wygonili wszystkich Chińczyków z wysp i podjęli uchwałę o zakazie ich zatrudniania.

Mei Lien nie była tym zaskoczona. Czytała gazety, które Joseph przynosił do domu. Podobnie działo się w całym kraju. Linie kolejowe rozciągały się od wybrzeża do wybrzeża, dzięki czemu rozkwitały nawet tak odległe miasta jak Seattle, więc biali ludzie nie chcieli już dzielić się pieniędzmi ani ziemią z Chińczykami, których wysiłkiem wszystko to powstało.

– To gdzie mogłabym pójść? – zapytała go.

Joseph tylko potrząsnął głową i zaczął grzebać w ogniu, a na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki.

Ale któregoś ranka, po tym, jak odebrał pocztę z Orcas, wrócił do domu szeroko uśmiechnięty.

– Sprawy nie mają się aż tak źle, jak myśleliśmy, Mei Lien. Chodź. – Zamknęli się w chacie i Joseph przekazał jej plotkę, którą przypadkowo usłyszał od pasażerów wysiadających z parowca SS „Dauntless”, zacumowanego tuż obok statku pocztowego.

– Wygląda na to, że na skutek wydarzeń w Seattle wszyscy Chińczycy uciekli z miasta, ale podobno w zeszłym tygodniu otworzyła się tam nowa chińska pralnia i sklep z suszoną żywnością, które należą do jakiegoś Chińczyka, i nikomu to nie przeszkadza. – Pochylił się w stronę Mei Lien. – Wiesz, co to znaczy? Możesz wrócić do Seattle i tam zamieszkać.

Mei Lien poczuła podniecenie, które zniknęło tak szybko, jak się pojawiło, a w głowie został jej po nim ból.

Nie chciała wracać do Seattle, nie chciała mieszkać tam bez ojca i babki. Sama. Przestraszona.

– Nie – odpowiedziała Josephowi nieswoim głosem. On nie wiedział, że była jedną z tych, których wygoniono z miasta, a już na pewno nie wiedział, że wszyscy pozostali leżeli teraz na dnie morza. W Seattle nigdy nie będzie czuła się bezpieczna.

Minęło jeszcze kilka dni, aż w końcu Joseph przyszedł do niej któregoś razu, kiedy doiła krowę, czego zresztą sam ją nauczył.

– Zbliża się moja comiesięczna wyprawa do Port Townsend po zakupy. Wypływam w czwartek.

Powinnaś wybrać się ze mną.

– Nie żartuj sobie, Josephie. – Wstała. – Ludzie nie mogą cię ze mną zobaczyć. Zaczęliby cię unikać. A poza tym, co by sobie pomyślała twoja przyszła żona? – Uśmiechnęła się na znak, że się z nim droczy. Opowiedział jej o swoich zamiarach znalezienia idealnej chrześcijańskiej kobiety, którą poślubi i która da mu tyle dzieci, ile się tylko da, żeby pomagały mu w prowadzeniu gospodarstwa, i jak to wyrosną wszystkie na szanowanych członków wyspiarskiej społeczności. Lubiła patrzeć na radość, jaką sprawiały mu te plany, ale nie potrafiła nie myśleć przy tym, że teraz, kiedy nie ma już ojca, sama straciła jakąkolwiek możliwość na znalezienie męża. Została pozbawiona szansy na wychowanie dzieci. Nie miała przed sobą nic poza długimi, samotnymi latami mozolnej pracy.

Joseph położył dłoń na ramieniu Mei Lien, a przez jej ciało przeszedł znajomy już dreszcz.

– Nikt nie zwróci na mnie uwagi, jeśli będzie przekonany, że jesteś moim służącym. Chłopakiem. Szczególnie w Port Townsend. Popytałem ludzi. Nastroje antychińskie nie są tam aż tak silne. – Opuścił rękę i zajął jej miejsce na stołku do dojenia. – Popłyniemy parowcem pocztowym Beechera. To on pomógł mi wyciągnąć cię z wody tamtej nocy i wysadził nas na mojej plaży zamiast w Orcas. Inaczej pewnie byś nie przeżyła. Obiecał, że nic nie powie. Możemy mu zaufać.

Mei Lien poklepała krowę po długim pysku i przemyślała to jeszcze raz.

– A po co miałabym płynąć?

– Z tego, co słyszałem, w Port Townsend istnieje silna społeczność chińska. Może mogłabyś zostać, urządzić sobie życie.

– Zobaczę cię jeszcze kiedyś?

Pokiwał głową, ale wzrok miał utkwiony w krowich wymionach.

– Możesz być tego pewna.

Plan działania został więc ustalony i teraz, trzy tygodnie po tym, jak się poznali, była w drodze do Port Townsend i do reszty swojego życia. Kamieniste ziemie diabła Campbella zostawili już za sobą – nie dostrzegła tam ani jego, ani nikogo innego. Joseph nadal nie wiedział, co zrobił Duncan, ale przepłynął wzdłuż jego wybrzeża tak szybko, jak pozwalały mu na to siły, a jego czujny wzrok przenosił się to na nią, to na brzeg. Mei Lien wiedziała, że jest mu winna wyjaśnienie, jednak nie udało jej się jeszcze znaleźć w sobie odwagi potrzebnej do opowiedzenia o tamtej nocy.

Joseph wyprowadził ich z East Sound i płynął dalej wzdłuż brzegu wyspy Orcas, trzymając się blisko lądu, z dala od białych grzyw, które pieniały się na Harney Channel. Wszędzie, gdzie spojrzała Mei Lien, znajdowały się wyspy, wszystkie pokryte pierzyną mgły, która wiła się pomiędzy zielonymi cedrami, jodłami i nielicznymi nagimi gałęziami olch, dębów i chruścin. Z głębokiej, czarnej wody, w której odbijało się przytłaczająco szare niebo, sterczały ostre, ciemne skały.

– Już prawie jesteśmy – poinformował ją Joseph, wkładając wszystkie siły w wiosłowanie. – Naciągnij mocniej kapelusz.

Zrobiła, jak kazał, pamiętając też o chłopięcym przygarbieniu ramion, które miało dopełnić fałszywego obrazu.

– Pamiętaj – powiedział cichym głosem – że ludzie będą ode mnie oczekiwali, żebym traktował cię jak służącego. Jeśli będę nieprzyjemny, to nie bierz tego do siebie.

Sam fakt, że przejmował się jej uczuciami, sprawił, że zrobiło jej się ciepło na sercu. Spojrzała na niego spod krawędzi charakterystycznego dla białych mężczyzn kapelusza, który jej dał.

– Wszystkich Chińczyków traktuje się jak służących. Przyzwyczyłam się.

Dno łodzi zachrobotało o kamienie i Joseph wyskoczył, żeby zacumować ją do drzewa na plaży. Mei Lien nie czekała na pomoc, bo żaden służący nie mógłby się jej spodziewać, tylko wyskoczyła za Josephem, i nie zwracając uwagi na lodowato zimną wodę, która chwyciła ją za stopy, sięgnęła do łódki po torbę z rzeczami, jakie Joseph kazał jej zabrać – dodatkowe ubrania, koc, bułeczki zawinięte

w kawałek ceraty i dwa jabłka przechowane w ziemiance od jesiennych zbiorów. Portmonetka ojca znowu była bezpiecznie ukryta przy jej sercu, pod pasem czystego materiału, który Joseph wręczył jej z zakłopotaniem, żeby mogła owinąć nim piersi.

Niedługo później znajdowali się już na pokładzie pocztowca „Hope” i oddalali się od miasteczka Orcas i od tłumu ludzi czekających na parowiec pasażerski do Seattle, który według Josepha miał co prawda rozkład, ale nigdy się go nie trzymał.

– Po drodze z Whatcom widziałem statek strażniczy – powiedział kapitan, którego Joseph przedstawił jej jako Herberta Beechera. Mężczyzna obejrzał się na Mei Lien, żeby sprawdzić, czy go słucha. Długie szare wąsy oparły mu się przy tym na ramieniu. – Lepiej się schowaj, jeśli będzie węszył w pobliżu naszej trasy. Przypuszczam, że nie masz papierów?

Zmrużył oczy, osadzone głęboko w cieniu grafitowych brwi, jakby raziło go słońce, mimo że niebo było zasnuwane chmurami.

Mei Lien spojrzała na Josepha.

– Papierów?

Joseph stał z założonymi rękami i opierał się o ścianę ciasnej sterówki. Odwrócił zatroskany wzrok od rozciągającej się przed nimi wody i spojrzał na Mei Lien, a potem z powrotem na morze, po czym wyjaśnił:

– Przemysł z Kanady jest powszechny w tych stronach. Wełna z Victorii, sprzedawana jako surowiec pochodzący z wysp, osiąga cztery razy wyższe ceny. To samo dotyczy alkoholu. Ale od czterech lat, od czasu uchwalenia Aktu o Wykluczeniu, zaczęła rozkwitać całkiem inna gałąź przemysłu. – Uśmiechnął się do niej smutno. – Za pięćdziesiąt dolarów od głowy przemysłowicy przewożą łodzie pełne Chińczyków, których wyrzucają na plażach na stałym lądzie. Odtąd mają już sobie radzić sami. Chińczycy za to płacą... To znaczy, jeśli dotrą tam żywi.

– No już, Josephie, nie rozpowiadaj plotek – ostrzegł go kapitan Beecher zza swoich urządzeń sterowniczych. – Przestraszysz nam chłopaka.

– Masz rację, Herbercie. To tylko pogłoski – przyznał Joseph, siadając koło Mei Lien na jedynej ławce w kabinie. – Jednak ludzie mówią, że podobno, jeśli strażnicy podpłyną zbyt blisko, przemysłowicy wyrzucają swój ładunek za burtę, niezależnie od tego, czy są to ludzie, czy nie.

Mei Lien zadrżała, otuliła się ciasniej płaszczem i resztę podróży spędziła odwrócona w stronę morza.

Kiedy dwie godziny później dotarli do gwarnej przystani w Port Townsend, była wyczerpana, a wiedziała, że najtrudniejsze dopiero przed nią. Schodząc z pokładu „Hope”, usłyszała, jak kapitan Beecher doradza cicho Josephowi:

– Jeśli potrzebuje papierów, to idź do Barona.

Joseph podziękował mu, odwrócił się i poprowadził Mei Lien do miasta.

– Idź tuż za mną – powiedział do niej przyciszonym głosem. – Jeśli się rozdzielimy, a ja tego nie zauważę, zawołaj mnie „panie McElroy”, nie „Josephie”. W najgorszym wypadku wróć tą samą drogą i spotkamy się tutaj, przed budynkiem przedsiębiorstwa Zee Tai. Rozumiesz?

Pokiwała głową.

– Rozumiem.

Zmarszczył brwi.

– Uważaj, jak mówisz.

– Rozumiem – niemalże wyszeptała.

Jego usta drgnęły.

– Nie, chodzi mi o to, żebyś brzmiała bardziej jak chłopak.

– A! – Powstrzymała wybuch śmiechu, po czym odchrząknęła. – Rozumiem – powiedziała tak nisko,

jak tylko pozwalał jej na to głos.

– Nieźle. – Joseph obrócił się na pięcie i ruszył w stronę głównej ulicy miasta, oglądając się tylko raz, żeby sprawdzić, czy Mei Lien za nim idzie.

Z trudem udawało jej się dotrzymać mu kroku. Port Townsend tętniło życiem. W porcie stał co najmniej tuzin żaglowców, parowców i holowników, które załadowywały i rozładowywały swój towar. Niezliczone mniejsze łodzie, jak kajaki i łodzie wiosłowe, były przycumowane do siebie nawzajem między statkami. Kiedy Mei Lien doszła za Josephem do ruchliwej głównej ulicy, Water Street, zobaczyła falujący tłum brodatych mężczyzn, którzy szli naprzód zdecydowanym krokiem, a także mnóstwo ubranych w surowe czarne suknie kobiet niosących koszyki i trzymających dzieci za rączki. Piesi musieli ostrożnie manewrować między końmi i powozami. Sprzedawcy ustawieni przed sklepami i przy otwartych straganach zachwalali swoje towary – najwyraźniej nie zamierzali chować się do środka, mimo że z ciemnej masy chmur nad nimi zaczął padać drobny deszczyk.

Mei Lien pomyślała, że gdyby odważyła się zamknąć oczy, mogłaby z powrotem poczuć się jak w domu, w Seattle, w drodze do handlarza warzywami, albo jak gdyby szła z paczkami do klientów ojca.

Ale nie miała odwagi zamknąć oczu, ponieważ mogłaby zgubić Josepha. Przyspieszyła kroku, żeby za nim nadążyć. Bez niego nie wiedziałaby, gdzie pójść ani co robić. Potrzebowała go.

Zamyślona, potknęła się na chodniku, a przechodzący obok mężczyzna cofnął się, jakby w obawie, że dziewczyna się go złapie.

Potrzebowała Josepha. Była to najbardziej absurdalna myśl, jaka kiedykolwiek przyszła jej do głowy, a jednak była to prawda. W ciągu tego krótkiego czasu, od kiedy się poznali, zaczęła odnajdywać oparcie w jego towarzystwie i przyjaźni. Czuła się przy nim bezpieczna, nawet go lubiła. Był wszystkim, co miała.

Teraz nie mogła sobie jednak pozwolić na takie uczucia, bo począwszy od jutra, już nigdy go nie zobaczy. On planuje odejść czym prędzej i znaleźć sobie chrześcijańską żonę, a ona zostanie tu i będzie żyła wśród ludzi o skośnych oczach, jak ona sama. Taka była kolej rzeczy.

Weszli do sklepu trzy razy większego niż ten, który należał do ojca, i Mei Lien bez trudu wcieliła się w rolę uległego służącego. Czuła się, jakby ciemne chmury znad miasta spowiły jej serce.

– Fitam, fi tam, miły panie! – Gromki głos dobiegał z tylnej części sklepu. Dziwny akcent zmusił Mei Lien, żeby mocno skoncentrowała się na słowach. Ledwo zdążyła poukładać je sobie w głowie, a z wnętrza sklepu wyłonił się pękaty mężczyzna, ubrany w fikuśny, niebieski garnitur, i uśmiechając się szeroko, ujął twarz Josepha w dłoń. – Miałem nacieję, sze fróci do mojeko sklepu. Samafi am potfójną ilość nasion siemniaków, tylko tła pana.

Joseph roześmiał się i uwolnił z rąk mężczyzny.

– Dziękuję, Baronie. Ale potrzebuję tylko tyle, ile zamówiłem, a do tego jeszcze te rzeczy. – Wyciągnął z kieszeni płaszcz starannie spisana listę i podał ją Baronowi. – Chciałbym, żeby to wszystko znalazło się w porcie jutro z samego rana. – Przerwał i rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt się nie przysłuchuje. Na moment zatrzymał wzrok na Mei Lien i zrobił nieznaczny ruch głową. – I jeszcze jedno. Chodzi o niezbędną papierkową robotę.

Mei Lien zaczęła wiercić się niespokojnie, kiedy obaj mężczyźni zmierzyli ją wzrokiem. Miała ogromną ochotę podnieść wzrok i spojrzeć Baronowi w oczy, ale zmusiła się do odgrywania swojej roli. Szybko zbliżyła podbródek do klatki piersiowej i ponownie przygarbiła ramiona, przyjmując pozę niewidocznego służącego.

Mężczyźni rozmawiali przez chwilę półgłosem, po czym Baron przeprosił i wyszedł na tył sklepu. Joseph wymamrotał do niej, że teraz muszą poczekać, i zaczął w tym czasie udawać, że ogląda przyprawy i ziarna poustawiane w dużych beczkach pod ladą. Pięć minut później wrócił Baron.

– Oto fszystko, czeko potrzepuje, panie McElroy. Sapłaci pan, kiety pęcie mókł.

Joseph przyjął od niego niedużą paczkę, podziękował i obiecał, że zapłaci rano, kiedy tylko odbierze resztę zamówienia. Następnie wyprowadził Mei Lien ze sklepu.

– Nie wierz, jak mówi, żebym zapłacił, kiedy będę mógł – powiedział, idąc dwa kroki przed nią po chodniku. – Robi się dosyć natarczywy, jeśli nie dostanie pieniędzy we właściwym czasie. Trzymaj, schowaj to w bezpiecznym miejscu.

Mei Lien wzięła od niego paczuszkę.

– Papiery?

Pokiwał głową.

– Papiery. Pewnie już niedługo będziesz ich potrzebowała. Przepraszam. – Zatrzymał przechodzącego Chińczyka o zapadniętych oczach, który niósł dwa koszyki wypakowane dynią i grzybami. – Gdzie znajduje się chińska dzielnica?

Mężczyzna odpowiedział w chińskim dialekcie, że nie zna angielskiego. Mei Lien wysunęła się na przód, zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył stracić cierpliwość, co często widywała w Seattle.

– Proszę nam wybaczyć, że odrywamy pana od spraw niecierpiących zwłoki – powiedziała w jego ojczystym języku. – Zastanawiam się, czy w tym pięknym mieście jest obszar, gdzie nasi rodacy gromadzą się, aby mieszkać i pracować. Czy jest tu takie miejsce? Może na wzgórzu nad skarpią?

Mężczyzna ożywił się i zaczął wyrzucać z siebie nazwiska i nazwy przedsiębiorstw, a drogę wskazywał ruchami głowy, ponieważ obie ręce miał zajęte. Mei Lien podziękowała mu z lekkim ukłonem, a on poszedł w swoją stronę.

– Powiedział, że to tu, w centrum. Na wzgórzu biali ludzie budują swoje pałace.

Joseph ściągnął brwi i popatrzył przez zmrużone oczy na południe, w dół Water Street, a potem na północ.

– Jedynym chińskim zakładem, jaki tu kiedykolwiek widziałem, jest przedsiębiorstwo Zee Tai. Chodź, tam zaczniemy.

Nie uszli dalej niż jedną przecznicę, kiedy zauważyli, jak w stronę plaży na północy miasta biegnie grupka podekscytowanych ludzi. Dwaj mężczyźni, którzy wybiegli z saloonu, tak się spieszyli, że prawie przewrócili Mei Lien, po czym wskoczyli do powozu czekającego na nich znajomego i odjechali na północ.

– Pewnie jakiś długo oczekiwany statek zawinął do portu, nic więcej – stwierdził Joseph, prowadząc ją dalej naprzód.

Ale w tym momencie obok Mei Lien przebiegła grupa młodych mężczyzn, mniej więcej w jej wieku, i dziewczyna usłyszała słowa: „martwe ciało”.

Nagle przyszło jej do głowy wspomnienie owijających się wokół niej macek wodnego demona, które przyniosło ze sobą złe przeczucia. Zatrzymała się na środku chodnika i drżącymi palcami chwyciła Josepha za rękaw.

– Musimy iść na plażę.

Zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się.

– Chcesz zobaczyć statek?

Potrząsnęła głową, jej niepokój wzrastał.

– Josephie, musimy tam natychmiast iść. Powiedzieli, że na plaży przy Point Hudson znaleziono ciało.

– Władze się tym zajmą. To nie nasza sprawa.

Podeszła do niego bliżej i podniosła wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, nie przejmując się, co ktoś może sobie pomyśleć o jej zachowaniu.

– Nie rozumiesz. Ci mężczyźni na statku Campbella martwili się, żeby morze nie wyrzuciło ciał na

brzeg. Myśle, że to się właśnie stało.

Kiedy uświadomił sobie, że dziewczyna mówi o nocy, w której ją znalazł, jego oczy wypełniły się przerażeniem. Otworzył usta, tak jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale zamiast tego złapał ją za rękę, a następnie zaczął przepychać się między ludźmi i końmi w stronę plaży na północy miasta.

Mei Lien starała się za nim nadążyć i walczyła, żeby nie puścić ani swojej torby, ani jego ręki, a przy tym przez cały czas modliła się szeptem do przodków, żeby jej podejrzenia nie okazały się słuszne.

Drewniany chodnik już niedługo ustąpił piaszczystej drodze, a potem kamienistej plaży, która rozciągała się pod wysokim klifem. Przed nimi, w miejscu, gdzie plaża się rozszerzała, spory tłum, w którym Mei Lien zauważyła też kobiety i małe dzieci, zebrał się wokół czegoś, co musiało być wspomnianym ciałem, choć Mei Lien jeszcze go nie widziała, bo ludzie zasłaniali jej widok. Pozwoliła Josephowi pociągnąć się wzdłuż plaży, mimo że każdy krok wydawał jej się coraz trudniejszy do zrobienia.

Coraz gorzej jej się oddychało i wiedziała, że nie wynika to tylko z fizycznego zmęczenia. Pomyślała, że powinna zawrócić, uciekać. Natychmiast. Ale właśnie w tym momencie ktoś się przesunął i dostrzegła skrawek jasnoczerwonego materiału.

Wszystko w niej zamarło.

Nie. To niemożliwe.

Joseph pociągnął ją za rękę. Spojrzał na nią zaniepokojony i pociągnął jeszcze raz, mocniej. Zmusiła swoje stopy do sztywnych kroków.

W tym właśnie momencie wiatr zmienił kierunek, a zapach, jaki ze sobą przyniósł, sprawił, że i tak już roztrzęsiony żołądek dziewczyny podszedł jej do gardła. Puściła rękę Josepha, żeby zakryć sobie usta i nos.

– Wygląda zupełnie, jakby kraby zjadły jej stopy! – rozległ się zafascynowany, chłopiący głos.

Mei Lien zamarła. Czerwony kaftan. Kobieta. Zdeformowane stopy.

Powoli, bojąc się poruszać zbyt szybko, bo jej organizm na pewno by tego nie wytrzymał, Mei Lien przeciskała się przez tłum, aż wreszcie udało jej się zobaczyć całe ciało.

Leżała na plecach, ręce i nogi miała rozciągnięte, jak gdyby wzburzone fale uniosły ją i wyrzuciły na plażę niczym wodorosty. Piękny, czerwony kaftan z wyhaftowanymi zielonymi i złotymi smokami oraz niebieskimi feniksami wisiał luźno na jej ciele, a materiał był miejscami postrzępiony i ubłocony. Czerwona spódnica, którą powinna mieć na sobie, zniknęła. Długie, czarne spodnie, noszone zwykle pod spódnicą, skręciły się wokół jej wiotkich nóg i podeszły aż do kolan, odsłaniając miniaturowe, nagie stopy, które od dzieciństwa były ciasno owijane, żeby nie urosły, a zniekształcone palce były tak daleko zagięte pod spód, że niemalże dotykały pięt. Większość skóry zniknęła, odsłaniając gnijące ciało i kości.

Mei Lien przeniosła w końcu spojrzenie na jej twarz. Babka wpatrywała się pustym wzrokiem w szare niebo. Krople wody zbierały się w zagłębieniach, gdzie powinny znajdować się oczy, i rozbijały na splątanych siwych włosach i na spuchniętej twarzy, z której zwierzęta morskie poodrywały duże kawałki ciała, biorąc je za pożywienie.

Mei Lien poczuła w sobie eksplozję bólu. Był tak dojmujący, że musiała dać mu upust, ponieważ inaczej rozerwałby ją na strzępy. Wyszedł z niej w rozpaczliwym krzyku i rzucił na kolana tuż obok ciała babki. Później przez dłuższy czas nie wiedziała już, co mówi ani co robi, tak bardzo zatraciła się w czarnej otchłani cierpienia.

Czas nie miał znaczenia. Ludzie, którzy na nią patrzyli i o niej mówili, nie mieli znaczenia. Chciała tylko wrócić do domu w Seattle, do tamtego koszmarne poranka, kiedy to wszystko się zaczęło. Wzięłaby babkę na plecy, pociągnęłaby za sobą ojca i pobieglaby schować się w lesie, zanim którykolwiek biały diabeł zdążyłby przyjść, żeby ich zabrać i zamordować. Babka nie zasłużyła sobie na taki koniec.

A jeśli babce przydarzyło się coś takiego, to Mei Lien wiedziała, że to samo, albo coś jeszcze gorszego, spotkało ojca. W piersi wezbrał jej ból i wydobył się z niej w kolejnym rozpaczliwym okrzyku, którego nie była w stanie powstrzymać.

Ostatni promyk nadziei zgasł w niej jak rozżarzone węgle pozostawione na deszczu.

Żołądek jej się ścisnął, a potem gwałtownie podszedł do gardła razem z całą zawartością. Odwróciła się w samą porę i zwymiotowała na kamienie obok stóp babki.

Kiedy już nic w niej nie zostało, a skurcz osłabł, upadła bezwładnie na zimne, mokre kamienie, wiedząc, że to ostatni raz, gdy może być blisko babki. Już nigdy więcej nie usłyszy jej oddechu obok siebie na łóżku. Nie usłyszy też głosu ojca wołającego do niej: „Mój synu!”, co w jego ustach zawsze brzmiało pieszczotliwie.

Nie czuła kamieni, deszczu, przenikliwego wiatru ani nawet spojrzeń ludzi, którzy ją otaczali, kiedy tak leżała obok gnijącego ciała staruszki. Z zamkniętymi oczami chwytiała się kurczowo każdego wspomnienia, jakie tylko miała ze szczęśliwego życia w Seattle. Owijała się obrazami i chwilami, zagrzebując się w to, co było i co nadal powinno trwać.

Leżała tak do momentu, kiedy nie została w niej już ani jedna łza. Kiedy nic w niej nie zostało. Kiedy wspomnienia dogoniły teraźniejszość i nie chciały już ustąpić. Dopiero wtedy zaczęło do niej docierać to, co działo się dookoła.

– Proszę pozwolić mi przejść! Mogę pomóc go uspokoić. Zaśnie i przestanie urządzać tu takie sceny.

Mei Lien odwróciła się, żeby zobaczyć właściciela głosu, który, jak wiedziała, mówił o niej. Wysoki mężczyzna, tak chudy i blady, że przypominał jej maszt żaglowca, próbował przejść obok Josepha i dostać się do niej. W jednej ręce trzymał czarną torbę lekarską, a w drugiej białą chusteczkę, którą co rusz przyciskał do nosa.

– Ja się nim zajmę – odpowiedział Joseph głosem nieznoszącym sprzeciwu. – To mój służący. Nikomu nie pozwalam go dotykać, a jeśli przyszedł pan tutaj, żeby zająć się ciałem, to zrobi to pan z równym szacunkiem, co w stosunku do każdego innego obywatela Port Townsend. Rozumiemy się?

Na te słowa Mei Lien poczuła w sercu odrobinę ciepła. Joseph przeciwstawił się temu mężczyźnie ze względu na nią. Nikt oprócz ojca nigdy nie stanął w jej obronie.

Przestała słuchać ich dalszej rozmowy, wiedząc, że Joseph ją obroni i załatwi sprawy związane z ciałem babki. Dopiero teraz zauważyła, że tłum się rozszedł, pewnie rozpędzony przez Josepha albo znudzony mało istotnym, chińskim ciałem. Cieszyła się z tego. Potrzebowała prywatności w tej ostatniej chwili z babką.

Podniosła się na kolana i wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić się przed tym, co musiała zrobić. Potem, starając się nie zastanawiać, co może się stać z ciałem, które tak długo było w wodzie, delikatnie wysunęła nogawki spodni spod staruszki i naciągnęła je na nogi tak, żeby zakryły stopy. Babka nie zniosłaby tego, że wygląda tak niegodnie przy ludziach, którzy ją znaleźli.

Ze względu na smród dziewczyna znowu nabrała oddechu przez materiał własnego rękawa, po czym wyciągnęła palce, żeby wygładzić włosy babki. W chwili, kiedy dotknęła miękkiej, nabrzmiałej głowy, cofnęła się z przerażeniem. Wydawało się, że skóra na głowie babki może w każdym momencie ześliznąć się z kości, gdyby Mei Lien zbyt mocno ją poruszyła. Wzdrygając się, dziewczyna z największą delikatnością dokończyła to, co chciała zrobić, choć każdy mięsień jej ciała się przed tym buntował.

– Mei Lien. – Joseph stał obok niej i mówił tak cicho, że lekarz z pewnością nie mógł ich usłyszeć. Położył jej ręce na plecach i na ramieniu, przynaglając ją do wstania. – Chodź. Musimy już iść. Lekarz zadba o to, żeby stosownie ją pochowano. Załatwiłem to.

Mei Lien spojrzała po raz ostatni na babkę i zobaczyła ją taką, jaka była ostatniego dnia, który spędziły razem na haft owaniu. Staruszka nalegała, żeby Mei Lien zaczęła przygotowywać się do swojego przyszłego ślubu, więc pracowały nad pantoflami, które według tradycji składało się w darze rodzicom

pana młodego. Babka opowiadała jej o własnym weselu i małżeństwie, a dziewczynie wydawało się, że jej twarz staje się wtedy młodsza, oczy jaśniejsze, a uśmiech łagodniejszy. Mei Lien postanowiła, że właśnie ten obraz zabierze ze sobą. Nie ten, na który teraz patrzyła.

– Żegnaj, babciu – wyszeptła po chińsku. – Będę otaczać cię szacunkiem do końca swoich dni.

Pozwoliła, żeby Joseph ją podniósł, odwróciła się i ruszyła w stronę miasta. Nawet nie obejrzała się na ciało, tak mocno uczepliła się obrazu żyjącej babki, który miała w pamięci.

– Chodź – powiedział Joseph, kiedy wrócili na ruchliwą Water Street. – Zanim cokolwiek się zajmiemy, zatrzymamy się tu na ciepły posiłek. – Otworzył ciężkie drzwi i przytrzymał je, puszczając dziewczynę przodem.

Pomyślała, że pewnie zapomniał udawać, że jest jego służącym. Była jednak zbyt zmęczona, żeby mu o tym przypomnieć. Skinęła głową i weszła do środka – ale zatrzymała się gwałtownie, kiedy gwar rozmów nagle ucichł. Podniosła wzrok i zobaczyła, że wszyscy obecni się w nią wpatrują.

Joseph wpadł na nią od tyłu. W następnej chwili poczuła, jak jego ciało sztywnieje, kiedy zauważył, ile uwagi na siebie zwrócili.

Budynek wyglądał na pensjonat, a to pomieszczenie było najwyraźniej jadalnią. Stały tu rzędy stołów, prawie całkowicie zajętych przez mężczyzn o bladych twarzach, niektórych w towarzystwie żon. Zobaczyła dwie indiańskie kobiety, określane w Seattle jako squaw, które siedziały przy stole z dwoma białymi mężczyznami i trójką małych dzieci. Nawet one na nią patrzyły.

– Przepraszam. Czy mogę panu pomóc? – Postawna kobieta zbliżyła się do nich, wycierając ręce w wykrochmalony fartuch, i skierowała pytające spojrzenie na Josepha.

– Tak, proszę pani. – Joseph zdjął kapelusz z głowy, ale Mei Lien nie zrobiła tego, wiedząc, że jej przebranie wiele by na tym straciło. – Chcielibyśmy prosić o kolację.

Kobieta zacisnęła usta i uniosła brwi wysoko pod linię włosów. Obejrzała Mei Lien od stóp do głów.

– Czy mówiąc „my”, ma pan na myśli siebie i towarzysza, który niedługo do pana dołączy?

– Nie, proszę pani. Chodzi tylko o mnie i o mojego służącego.

Twarz kobiety skamieniała.

– Z przyjemnością podam panu kolację, ale pański służący będzie musiał zjeść w kuchni.

Mei Lien była zbyt zmęczona, żeby odczuwać cokolwiek poza akceptacją własnej sytuacji. Najzwyczajniej w świecie odwróciła się i wyszła tymi samymi drzwiami, którymi przed chwilą weszli. I tak nie była głodna. Joseph nie poszedł za nią od razu, więc zatrzymała się na rogu ulicy, żeby na niego poczekać. Wypatrywała go uważnie, ponieważ bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby zostali rozdzieleni, zanim mężczyzna pomoże jej znaleźć miejsce zamieszkania i pracę.

W końcu Joseph wyszedł z pensjonatu, a Mei Lien domyśliła się, że odbył ostrą rozmowę z tamtą kobietą. Miał zaczerwienioną twarz, a zmięty kapelusz nałożył z powrotem na głowę. Nie powiedział ani słowa, tylko uśmiechnął się do niej nieznacznie i poprowadził na drugą stronę ulicy, a potem chodnikiem.

Spróbowali w jeszcze jednej jadalni, a potem nawet w saloonie, ale w końcu Joseph się poddał i do następnej restauracji wszedł sam. Dziewczyna została na zewnątrz i oparła się o drewniany szalunek, a brzeg kapelusza opuściła tak, żeby ukrywał jej twarz przed przechodniami.

Kiedy Joseph wyszedł z dwoma posiłkami zapakowanymi w papier, odsunęła się od ściany i zrównała z nim. Żadne z nich się nie odezwało. W milczeniu brnęli przez kałuże, których pełno było w całym mieście, po czym wspięli się na strome schody prowadzące na wzgórze ponad klifem. Mei Lien zatrzymała się na szczycie, żeby złapać oddech, i zobaczyła zupełnie inny widok, niż się spodziewała. W promieniu wielu mil wycięto wszystkie drzewa poza nielicznie pozostawionymi kępami. Tu i ówdzie widać było plamki okazałych domów i ogrodów, połączone ze sobą drogami wysypanymi świeżym żwirem.

Joseph bez słowa szturchnął ją łokciem, więc znowu podążyła za nim, aż doszli do rozległego, błotnistego pola, z dala od wszelkich domów, przedsiębiorstw i oceniających spojrzeń. Pod samotną jodłą, która osłoniła ich od deszczu, wśród ciernistych krzewów jeżynowych znaleźli skrawek ziemi na tyle suchej, żeby na niej usiąść i zjeść lunch złożony z bułki i pozbawionej smaku szynki.

Jedząc w ciszy, Mei Lien pomyślała, że przyzwyczajenie się do tego miasta zajmie jej ogromnie dużo czasu. Może i mieszkańcy nie wygonili stąd chińskiej społeczności, ale z całą pewnością nie byli do niej przyjaźnie nastawieni. Jak ona będzie się tu utrzymywać i gdzie zamieszka?

I dokąd tamten lekarz zabrał ciało babki?

Gdzie był teraz ojciec?

Pytania te tak długo kotłowały się w myślach Mei Lien, że w końcu rozboleła ją głowa i nie mogła już zmusić się do przełknięcia ani jednego kęsa. Odłożyła resztę posiłku na bok i spojrzała w stronę wody. Ze swojego miejsca widziała całą zatokę, a po drugiej stronie ląd, który biegł daleko na południe w stronę Seattle. Miasto wydawało się tak odizolowane od wszystkiego, że gdyby nie małe holowniki, który zmierzał w jego stronę, mogłaby pomyśleć, że dalej na południe nie ma już żadnych innych miejscowości.

Gdyby tylko mogła wsunąć się do swojego łóżka, obok babki, w pokoju na piętrze w Seattle i zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło!

Rozdział ósmy

Czwartek, 5 lipca – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas

Inara już od miesiąca prowadziła prace nad hotelem i z podekscytowaniem patrzyła na postępy, jakie udało jej się do tej pory zrobić. Nadal nie mogła uwierzyć, że miała szczęście trafić na Toma już pierwszego dnia. Był on potężnym mężczyzną o tubalnym śmiechu, a jego umysł zdawał się działać dwa razy szybciej niż u innych ludzi. Miał rękę do robotników, tak że każdy chciał pracować przy nim jak najlepiej.

Kiedy po raz pierwszy spotkali się, żeby porozmawiać o interesach, natychmiast zrozumiał, jaką Inara ma wizję hotelu i jakie zmiany chciałaby wprowadzić do planów ciotki Dahlii. Cztery dni później wrócił z pozwoleniami, z uaktualnionymi projektami od architekta, ze szczegółowym zestawieniem kosztów i z grupą dziesięciu robotników, którzy mieli zacząć pracę. Za każdym razem, gdy pojawiała się coś nowego do zrobienia, okazywało się, że ma w telefonie mnóstwo kontaktów do pracowników i podwykonawców, jakich tylko potrzebowali.

Przez pierwsze dwa tygodnie Inara kręciła się całymi dniami po placu budowy, odpowiadała na pytania i upewniała się, czy wszystko idzie zgodnie z planem. Ale nie upłynęło wiele czasu, zanim zorientowała się, że tylko przeszkadza. Tom miał wszystko pod kontrolą.

Odtąd nabrała zwyczaju zaglądania do głównego budynku rano, żeby przywitać się z Tomem, i po południu, przed końcem dnia pracy robotników. W międzyczasie siedziała w domu Dahlii, czy raczej w swoim domu – będzie musiała pamiętać, żeby tak go teraz nazywać – przeglądała oferty, składała zamówienia na takie rzeczy jak farba czy profesjonalny sprzęt kuchenny i uzupełniała wydłużającą się listę przedmiotów, które dopiero będzie musiała zamówić, między innymi kafelki prysznicowe czy gałki do drzwi. Wieczorami wertowała stertę książek, które sobie zamówiła, na temat zarządzania hotelami.

Uwielbiała to. Wszystko. Nawet ciężarówki stojące rzędem na podjeździe i muzykę country pomieszaną z hitami z lat osiemdziesiątych, dobiegającą z różnych części willi. Nic nie mogło zepsuć jej zabawy, nawet pojawiające się bez przerwy niespodziewane wydatki, jak na przykład zakup pieca o sile przemysłowej, który musiał zostać zamontowany w piwnicy pod kuchnią.

Od momentu przebudzenia nad ranem do późnej nocy, kiedy w końcu zmęczyła się na tyle, żeby mogła zasnąć, w jej żyłach tętniła krew. Czuła, że żyje. Każdego dnia odkrywała na nowo, że w końcu robi to, na co przez te wszystkie lata nieświadomie czekała. Hotel sprawiał, że miała wrażenie, jakby w końcu prowadziła takie życie, jakiego chciała dla niej mama. Tylko mała częśćka niej samej miała wyrzuty sumienia, że tak łatwo odrzuciła karierę w międzynarodowym biznesie. Jej tata nadal wracał do tego za każdym razem, kiedy rozmawiali, i pytał, czy nie wolałaby być teraz w głównej siedzibie Starbucksa. Za każdym razem jej odpowiedź brzmiała: „Nie”.

Ale zaczęło ją to martwić. Może i ojciec dał jej błogosławieństwo na ten projekt, jednak jego rozczarowanie tym, co wybrała, stwarzało realne zagrożenie, że w każdej chwili może bez ostrzeżenia odebrać jej fundusze. Z tego właśnie powodu spędziła prawie dwa dni na szukaniu innych możliwości finansowania, jak na przykład kredyt hipoteczny, pożyczka dla małych firm czy pożyczka osobista

w lokalnym banku... Jednak w żadnym przypadku nie spełniała koniecznych warunków. Nie mogła obejść faktu, że miała dług studencki w wysokości kilku tysięcy dolarów, a przy tym żadnych dochodów. Nie miała innego wyjścia, jak tylko liczyć na tatę.

Bolało ją, że był tak wyraźnie nią rozczarowany, ale trzymała się myśli, że jeszcze zaimponuje mu tym, czego tu dokona. Kiedy to zobaczy, zrozumie.

Z jakiegoś powodu przebywanie tu, na wyspie, sprawiało, że czuła się bliżej mamy, co było tym bardziej dziwne, że przez te wszystkie lata, które upłynęły od wypadku, stała się prawdziwą córeczką tatusia. Miała wrażenie, jakby te dziewięć lat wyparowało, a jej mama była tylko na którymś ze swoich wyjazdów służbowych i w każdej chwili mogła wrócić, żeby włączyć się do prac nad hotelem. Mama oczywiście zamieniłaby to miejsce w sierociniec albo coś w tym stylu, ale i tak byłaby dumna z córki.

Każdego dnia Inara musiała podejmować mnóstwo decyzji. Najpierw patrzyła na nie przez pryzmat pierwotnych planów ciotki Dahlii, a potem zastanawiała się, co spodobałoby się jej mamie. Jakaś część siebie samej czuła, że robi to dla niej, tak jakby przywrócenie posiadłości do życia poprzez dzielenie się nią z innymi ludźmi mogło cofnąć pełne nienawiści słowa, jakie wypowiedziała do matki. Jakby mogło zabrać ból, z jakim mama umierała.

Jakby.

Jej mama też na pewno byłaby zaintrygowana rękawem. W swoim zbyt krótkim życiu zwiedziła kawał świata i może pomogłaby rozszyfrować historię znaleziska. Nie żeby Inara się tym teraz zajmowała. Hotel pochłaniał cały jej czas, więc zostawiła zbadanie sprawy rękawa wyłącznie Danielowi, który wysyłał jej co tydzień maile z nowymi informacjami, chociaż nie odkrył jeszcze niczego godnego uwagi. Mimo to czekała niecierpliwie na jego zabawne sprawozdania i anegdotki z uniwersytetu.

Poza tymi mailami nie koncentrowała się zbyt na rękawie – aż do poprzedniego dnia, kiedy zdarzyło się coś, co zmieniło jej nastawienie. Teraz nie mogła już myśleć o niczym innym.

Poprzedniego dnia przypadał Dzień Niepodległości, więc postanowiła, że skorzysta z propozycji taty i poleci wodnosamolotem do Seattle, żeby spędzić wolny dzień z rodziną, jak mieli to w zwyczaju. Zwykle spędzali to święto w domu ojca w dzielnicy Magnolia – robili grilla, a o zachodzie słońca wypływali jachtem na Lake Union, zarzucali kotwicę na środku jeziora i oglądali pokaz sztucznych ogni.

Pod względem organizacyjnym dzień przebiegał tak jak zawsze, ale Inara czuła, że coś jest nie tak, chociaż na początku nie wiedziała, co to może być.

Zaczął się podczas lunchu, kiedy siedziała z rodzeństwem i ich małżonkami przy stole na tarasie, podczas gdy dzieci bawiły się na trawie. Tata poszedł zagrać wczesną partię golfa i Inara jeszcze się z nim nie spotkała. Nie po raz pierwszy musiała przekonywać Nate'a, że nie popełniła błędu, wybierając hotel jako swój wielki projekt i życiową karierę.

Im więcej im opowiadała o swoich planach, tym bardziej jej brat wydawał się przekonany albo przynajmniej wycofywał się ze sporu. Olivia była o tyle pomocna, że z podekscytowaniem przyjmowała wszystko, co mówiła Inara. Kiedy tata wrócił do domu i do nich dołączył, wyraził zdumienie tempem, w jakim posuwała się renowacja, i niczemu się nie sprzeciwił, więc Inara przyjęła to jako wsparcie.

A potem powiedziała im o rękawie, opisała go szczegółowo i pokazała zdjęcie, które miała w telefonie. Wszyscy byli zafascynowani zagadką, jaką stanowił haftowany materiał, a jednocześnie zaskoczeni, że przez tyle lat leżał schowany w domu Dahlii i nikt go nie znalazł.

Zafascynowani byli wszyscy z wyjątkiem jej taty, który odezwał się kpiąco:

– Wygląda mi to na śmieć, który zostawił jakiś chiński służący. Wyrzuć to.

Jego reakcja wydawała się mocno przesadzona, a Inara zaczęła się zastanawiać, czy ojciec nie wie przypadkiem więcej, niż to po sobie pokazuje. Jego słowa o chińskim służącym nie dawały jej spokoju.

Siedziała teraz z komputerem przy kuchennym stole Dahlii – ekhm, przy jej stole – i ponownie

rozmyślała o tym, czy kiedyś w Rothesay mógł mieszkac chiński słuźący. Moźe rzeczywiźcie ktoś taki schował tu ten rękaw.

Zamknęła arkusz z wydatkami, nad którym pracowała, i otworzyła przeglądarkę, Źeby poszukać czegoś o byłych mieszkańcach domu i dowiedzieć się, czy mieli jakichś chińskich słuźących. Stwierdziła, Źe na początek najlepszym Źródłem będą spisy powszechne.

Znalazła odpowiednią stronę i zaczęła od wpisania nazwiska Dahlii i adresu Rothesay w pole wyszukiwania dla spisu z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego, najpóźniejszego, jaki był dostępny ze względu na przepisy o ochronie danych osobowych.

Wyskoczyła jej informacja, Źe mieszkała tu wtedy dwudziestopięcioletnia Dahlia Campbell z kilkoma białymi słuźącymi. Źadnych Chińczyków.

Zarówno w spisie z tysiąc dziewięćset trzydziestego, jak i z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku jako mieszkańcy wymienieni byli tylko słuźący, z których Źaden nie był Chińczykiem, ale Inara nie była tym zdziwiona. Tradycja, którą zapoczątkował Duncan Campbell – Źeby mieszkać w Seattle, a Rothesay wykorzystywać do organizacji wystawnych przyjęć – musiała być silna aź do jego śmierci w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, a przez resztę rodziny była zapewne podtrzymywana nawet dłużej.

Inara odsunęła się od komputera. Daniel powiedział, Źe rękaw został wyhaftowany jakoś pomiędzy tysiąc dziewięćset dwudziestym a tysiąc dziewięćset trzydziestym rokiem, więc logicznie byłoby przyjąć, Źe został schowany w tym samym czasie albo niedługo później. Nikt z ludzi wymienionych w spisach nie wydawał się odpowiednią do tego osobą, ale nie oznaczało to, Źe jakiś chiński słuźący nie przewinął się przez posiadłość w roku, w którym nie sporządzono spisu, i nie ukrył tu tej tkaniny. Poza tym możliwe, Źe ten ktoś, kto schował rękaw, wcale nie wyhaftował go sam. Moźe kupił go od kogoś innego albo nawet ukradł.

Pojawiało się zbyt duźo znaków zapytania, a dane ze spisów powszechnych nie były do końca jasne. Potrzebowała bardziej szczególowych informacji o historii Rothesay i o ludziach, którzy się przez nie przewinęli.

Zanim zdążyła nabrać wątpliwości co do swojego pomysłu, podniosła telefon i wybrała numer do taty – udało jej się złapać go w biurze.

– Szybkie pytanie – powiedziała po krótkim przywitaniu. – Wiesz coś o jakichś rodzinnych pamiętnikach, dziennikach albo jakichkolwiek zapiskach, które mogłyby powiedzieć mi coś więcej o historii Rothesay? – Juź miała wspomnieć o rękawie, ale przypomniała sobie, Źe tata juź raz kazał jej go wyrzucić i skupić się na hotelu. Skłamała więc. – Chciałabym znaleźć opisy oryginalnej bryły i zdobień, Źeby wykorzystać je w trakcie renowacji.

– Nie słyśzałem o niczym takim. A nawet jeśli coś było, to juź tego nie ma. – Wydawał się rozproszony, co działało na jej korzyść. Wiedziała, Źe w przeciwnym wypadku przejrzałby jej kłamstwo. – Wiele lat temu powiedziałem Dahlii, Źeby pozbyła się wszystkich staroci. A u siebie na pewno nic takiego nie mam.

– Aha, no dobrze. – Pomyślała o pudełkach, które widziała na strychu Dahlii pierwszego dnia, kiedy oglądały dom z Olivią. Teraz chciała jak najszybciej skończyć rozmowę. – To nie przeszkadza ci juź w pracy. Dzięki, tato.

Zanim zdążyła się rozłączyć, miała juź w ręku latarkę i szła po schodach na górę, przekroczywszy ostroźnie poluzowany drugi schodek i odwinięty chodnik.

Strych był malutki, pokryty przynajmniej dwudziestoletnią warstwą kurzu. Nie był to tak naprawdę strych, tylko niewielka przestrzeń pod dachem, która została zamieniona w składzik przez jakiegoś niezbyt dalekiego krewnego – Inara nie przypuszczała, Źeby w czasach, kiedy budowano ten dom, istniały składane drabiny strychowe.

Wcisnęła się między stosy pudeł i zaczęła je po kolei przeszukiwać. Dokumenty podatkowe,

bankowe, rachunki za wszystko, począwszy od butów, przez nową kuchenkę, po starego Pontiac, którym jeździła Dahlia. Był nawet list i zdjęcie od lokalnego artysty, któremu ciotka zleciła namalowanie ogromnej fioletowej dalii z boku samochodu. Na zdjęciu młodsza o kilkanaście lat z promiennym uśmiechem pokazywała dzieło sztuki. Inara nadal słyszała w głowie głos Nancy, która narzekała pod nosem na starego grata, ale Dahlia go uwielbiała.

Znalazła zdjęcia Dahlii i Nancy na wakacjach w Nowym Jorku, z koronami Statuy Wolności na głowach, niemowlęce zdjęcia swoje i rodzeństwa, a nawet kilka fotografii, na których była ich matka. W jednym z pudełek znajdowały się dokumenty z czasów, kiedy zakładano w budynkach instalację elektryczną i wodno-kanalizacyjną. Inara pomyślała, że mogą się przydać, więc odłożyła je na bok, żeby dać później Tomowi.

Nic z tego, co znalazła, nie przybliżyło jej do odkrycia tożsamości osoby odpowiedzialnej za ukrycie rękawa.

W kieszeni bluzy zabrzączał jej telefon, więc Inara odebrała, nie przerywając przeglądania starych billingów.

– Inara, tu Tom. Od pięciu minut pukam do twoich drzwi. Jesteś w domu?

– Ojej, całkiem zapomniałam! Już schodzę. – Inara wrzuciła papiery z powrotem do pudełka i nałożyła pokrywę. Potem zeszła po drabinie i zbiegła po schodach do drzwi frontowych, żeby wpuścić swojego budowlańca. – Tak mi przykro, Tom. Całkiem straciłam rachubę czasu.

Zaprowadziła go do kuchni i wskazała na schody.

– Doceniam, że to robisz. Od kiedy po raz pierwszy tu przyjechałam, ciągle się o to potykam.

Postawił skrzynkę z narzędziami na podłodze, odsunął się i z rękami na biodrach przyglądał się pracy, jaka go czekała.

– Żaden problem. Zerwanie chodnika i wyniesienie go stąd nie powinno mi zająć zbyt dużo czasu. Mówiłaś, że drugi schodek odpadł, tak?

– Tak, ale tego jeszcze nie naprawiaj.

Inara opowiedziała mu o schodku i o tym, co pod nim znalazła, obiecując, że pokaże mu rękaw, jak tylko odbierze go od Daniela.

– Ani Dahlia, ani Nancy nie wspominały ci nigdy o tym, prawda?

– Nie. – Tom wyjął ze skrzynki młotek ciesielski i klęknął na dolnym stopniu. – Zdziwiłbym się, gdyby w ogóle o tym wiedziały.

Budowlaniec zabrał się do pracy nad chodnikiem, a Inara wróciła do swojego laptopa na kuchennym stole i do finansów, którymi się zajmowała, zanim zaczęła przeszukiwać spisy powszechnie. Parę minut później Tom chrząknął, a Inara zerknęła na niego i zobaczyła, że mężczyzna przygląda się czemuś, co trzyma w dłoni.

– Co tam masz?

– Kiedy powiedziałaś mi, że drugi schodek ma o wiele więcej gwoździ niż pozostałe, pomyślałem sobie, że pewnie zostały dodane przez późniejszych mieszkańców. Ale one wyglądają dokładnie tak samo. I są stare.

Wstała, żeby zobaczyć. Gwoździe, które Tom trzymał na swojej stwardniałej dłoni, były grube, a kwadratowy koniec z jednej strony zwężał się do spiczastego z drugiej. Nie przypominały żadnych gwoździ, jakie dotąd widziała.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Tom podał jej gwoździe, żeby mogła im się lepiej przyjrzeć, po czym usiadł na dolnym schodku i oparł ręce o szeroko rozstawione kolana.

– Gwoździe, jakich użyto do budowy domu, mogą sporo powiedzieć o jego wieku. Można dowiedzieć się też czegoś o właścicielu albo przynajmniej o budowniczym tego domu. – Zrobił ruch

głową, jakby wskazywał na willę. – Wszystkie gwoździe w dużym domu to druciaki, z wyjątkiem tych, których użyto do murarki, co jest całkiem zrozumiałe. Roboty murarskie wymagają zastosowania gwoździ kwadratowych, takich jak te, które trzymasz w ręku, ze względu na ich dużą wytrzymałość. Osoba, która budowała willę, wykorzystywała najnowsze materiały i metody budowlane dostępne około tysiąc dziewięćsetnego roku, czyli między innymi druciaki, które w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku stały się szeroko dostępne i których używa się do tej pory. Wcześniej wszystko było budowane przy pomocy gwoździ kwadratowych, takich jak te, które trzymasz. – Przerwał, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Wiesz co, wygląda na to, że właśnie rozwiązałem część twojej zagadki. Jeśli chcesz znaleźć tego, kto schował rękaw, musisz dowiedzieć się, kto tu mieszkał, zanim wybudowano willę. Najpóźniej koło tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku.

Inara zdębiała. Poczła się zdezorientowana. Jakim cudem rękaw wyhaftowany po roku tysiąc dziewięćset dwudziestym mógł zostać schowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym?

Musiała porozmawiać z Danielem. Może pomylił się co do daty.

Tom wrócił do pracy, a ona przeszła do salonu, żeby zadzwonić. Niestety Daniel nie odebrał i musiała zostawić mu wiadomość. Potem, wiedząc, że nie będzie już w stanie skupić się na finansach, postanowiła wrócić do przeszukiwania spisów powszechnych przy kuchennym stole, żeby nie wchodzić w drogę Tomowi, który nadal pracował nad schodami.

Mając na uwadze, co powiedział jej Tom, kliknęła w link do spisu z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku, ale wyskoczyła tylko informacja, że prawie wszystkie dokumenty z tego roku zostały zniszczone w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, podczas pożaru budynku Departamentu Handlu w Waszyngtonie.

– A niech to. – Na wszelki wypadek jeszcze raz wstukała dane, żeby zobaczyć spis z tysiąc osiemset osiemdziesiątego, ale tym razem dostała informację, że dokumenty z tego roku nie są dostępne. – Tom?

Skrzypienie gwoździ wyciąganych z drewna ustało na chwilę.

– Tak?

– Orientujesz się w spisach powszechnych?

– Moja żona robiła w zeszłym roku drzewo genealogiczne swojej rodziny. A co?

– Dlaczego spis mieszkańców posiadłości z tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku jest niedostępny?

Tom zszedł ze schodów, trzymając w jednej ręce czapkę z daszkiem i wycierając pot z czoła drugą.

– To zależy. Może to oznaczać albo że spisujący nie dotarli na wyspę, albo że nikt tu wtedy nie mieszkał. Wiesz, Waszyngton był w tamtych czasach tylko terytorium, nie stanem.

Inara się zastanowiła. Kiedy Duncan Campbell kupował posiadłość, stał już na niej nieduży dom i stara chata. Ktoś mieszkał tu przed jej rodziną. Tylko kto? I kiedy?

– A dokumenty dotyczące ziemi i budynków? Coś o tym, kiedy zostały zbudowane albo dobudowane i kim byli poprzedni właściciele. Gdzie mogę znaleźć takie rzeczy?

– To akurat proste. Wejdz na stronę okręgu San Juan albo może po prostu tam zadzwoń. W Internecie nie ma jeszcze wszystkiego. – Sięgnął do skrzynki z narzędziami i wyjął butelkę z wodą. – Na początku poszukaj aktu przekazania własności, dzięki temu dowiesz się, do kogo należały te ziemie. – Przez długą chwilę pił wodę z butelki, po czym spojrzał na Inarę i się uśmiechnął. – Pomóc ci?

Usiadł koło niej przy stole i poprowadził ją przez stronę okręgu administracyjnego.

– Bingo – powiedział, odchylając się na krześle z wyrazem zadowolenia.

Inara spojrzała na ekran. Obok adresu Rothesay widniało nazwisko właściciela, o którym nigdy dotąd nie słyszała.

– Joseph McElroy? Kiedy te tereny do niego należały?

Tom przejrzał podane informacje.

– Wygląda na to, że kupił ziemię w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku, a w tysiąc osiemset

osiemdziesiątym siódmym wprowadził się do domu, który tu wybudował, razem ze swoją żoną, Mei Lien.

Inara nabrała powietrza tak szybko, że aż zakrztusiła się własną śliną. Kiedy odzyskała głos, zapytała:

– Mei Lien? To chińskie imię, prawda?

Tom spojrział na nią dziwnie.

– Pewnie tak.

– I była jego żoną? – Inara zastanawiała się nad tym przez chwilę. Osobą, która ukryła rękaw i prawdopodobnie też wyhaftowała na nim wzór, musiała być właśnie Mei Lien. Musiała. Kto inny w całej historii domu mógłby być za to odpowiedzialny? Nikt. Była jedyną mieszkanką, która miała jakiegokolwiek powiązania z chińską kulturą, a ten, kto wykonał haft, na pewno je miał, wskazywały na to symbole, które odkrył Daniel. – Co jeszcze o niej wiadomo?

Tom wzruszył ramionami i się podniósł.

– A bo ja wiem. Zadzwoń do mojej żony. Ona uwielbia tego typu sprawy. – Przerwał, cały czas trzymając w ręku butelkę z wodą. – Albo nie, lepiej zadzwoń do Kiry, mojej znajomej z urzędu. Pomaga mi za każdym razem, kiedy czegoś potrzebuję przy budowie.

Wyjął z kieszeni swój nieodłączny notes z ołówkiem stolarskim i zapisał numer telefonu, po czym podał kartkę Inarze. – Ona na pewno udzieli ci wszelkich informacji na temat historii budowy domu, jeśli tak cię to interesuje.

Inara miała ochotę go uściskać, ale się powstrzymała.

– A rejestr podatników, urodzeń, ślubów, zgonów? Gdzie to znaleźć?

Tom tylko pokiwał głową i ruszył w stronę schodów, do miejsca, gdzie przerwał pracę nad chodnikiem.

– Kira wszystko ci powie.

Nie chcąc tracić ani chwili, Inara wzięła telefon, poszła do salonu i zadzwoniła do Kiry, która odebrała po trzecim sygnale. Inara wyjaśniła jej, dlaczego dzwoni i czego próbuje się dowiedzieć.

– Pomoże mi pani?

– Żaden problem – odpowiedział przyjazny głos po drugiej stronie słuchawki. – I tak niedużo się tu dzisiaj dzieje. Niech mi pani powie wszystko, co pani wie, i zostawi swój numer telefonu oraz adres mailowy. Oddzwonię, jak tylko coś znajdę.

Inara rozłączyła się i przytuliła telefon do piersi. Wytropienie czegoś, co może okazać się zupełnie nieistotne, robiło się bardzo pracowite. Wiedziała, że powinna się skupić na renowacji hotelu, a nie na szukaniu wskazówek do rozwiązania stuletniej zagadki.

Ale to byli przecież ludzie z krwi i kości. Ludzie, którzy wybudowali jej dom i spędzili część życia w tych samych pomieszczeniach, w których ona teraz mieszka. I, co zaskakujące, pierwszą kobietą, która zamieszkiwała jej dom, była chińska żona jednego z pierwszych osadników wyspy. A on był prawdopodobnie biały, ponieważ jego nazwisko wydawało się wskazywać na szkockie albo irlandzkie pochodzenie. Chociaż nazwisko nie musi przecież o niczym świadczyć – mógł równie dobrze być czarny, mieć azjatyckie korzenie albo jeszcze jakieś inne. Mimo wszystko scenariusz zakładający, że zawarli małżeństwo międzyrasowe w czasach, kiedy ludzie burzyli się na tego typu związki, stawiał wiele nowych pytań. Musiała opowiedzieć o tym Danielowi.

Ponownie nie odebrał od niej telefonu, więc zostawiła mu kolejną wiadomość: „Danielu, tu znowu Inara Erickson. Udało mi się wytropić imię Chinki, która mieszkała kiedyś w moim domu. Mei Lien. Nie znam jej nazwiska panińskiego, ale wyszła za Josepha McElroya. Zadzwoń, jak będziesz mógł”.

W momencie, kiedy odłożyła słuchawkę, ktoś zapukał do drzwi frontowych. Otworzyła i zobaczyła, że patrzy na nią mężczyzna z pasem na narzędzia wokół bioder.

– W czym mogę panu pomóc?

– Czy, hm, zastałem Toma? Mamy problem z dostawą.

Odwróciła się, żeby go zawołać, ale on już stał w drzwiach od kuchni.

– Jaki problem?

– Różowe sedesy.

Na początku Inara nie miała pojęcia, o czym mężczyzna mówi. Ale zaraz przypomniała sobie, że tego dnia miały przyjść sedesy do pokoi gościnnych, wszystkich szesnaście.

– Jak to różowe?

– Sedesy są różowe – wyjaśnił młodszy mężczyzna, tak jakby za pierwszym razem nie usłyszała, co powiedział.

Tom spojrzał na nią.

– Takie chciałaś?

– Oczywiście, że nie. Powinny być białe. – Czy to znak, że powinna bardziej się skupić na hotelu, a nie przejmować strzepem czyjeś starej sukni?

Tom zrobił energiczny ruch głową w stronę drzwi.

– Chodź. Mam przecucie, że będę cię potrzebował do załatwienia tej sprawy.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Inara zobaczyła ogromną ciężarówkę zaparkowaną tyłem do frontowych drzwi willi. Między naczepą a gankiem rozciągnięto metalową rampę. Na ganku stały cztery duże, nieotwarte pudła. Za to przed szerokimi drzwiami wejściowymi ustawiony był jasnoróżowy sedes, dookoła którego leżały porzrzucone fragmenty opakowania.

– Co tu się dzieje, Josh? – Tom zapytał mężczyznę nadzorującego rozładunek.

– Ten facet – Josh machnął kciukiem w stronę kierowcy – twierdzi, że w zamówieniu są podane różowe sedesy, nie białe. Odmawia zabrania ich z powrotem, jeśli nie dostanie takiego polecenia od szefa.

Inara rozejrzała się dookoła.

– Gdzie jest jego szef?

Kierowca, studencik w podartym T-shircie i w granatowej czapce z daszkiem, ozdobionej godłem drużyny Seahawks, odpowiedział:

– W magazynie. W Renton.

Wyciągnęła telefon z kieszeni i podała mu go.

– Zadzwoń. Porozmawiam z nim.

Studencik usłuchał i oddał jej komórkę.

– Ma na imię Carlos.

Inara wzięła telefon i przyłożyła go do ucha, starając się za wszelką cenę nie okazywać swojej frustracji.

– Dzień dobry, Carlosie, tu Inara Erickson z Rothesay. To ja złożyłam i opłaciłam zamówienie na szesnaście sedesów w kolorze białym, nie różowym.

– Przepraszam za zamieszanie, pani Erickson. Proszę zaczekać, zerknę na to zamówienie. – Usłyszała odgłos stukania w klawiaturę.

– O, jest – powiedział w końcu Carlos. – Wygląda na to, że rzeczywiście osiemnastego czerwca zamówiła pani szesnaście białych sedesów, ale dzisiaj, z samego rana, kolor został zmieniony na różowy. Ma pani szczęście, że złapała nas pani jeszcze przed załadunkiem.

Inara spojrzała na Toma.

– Dzwoniłeś dzisiaj rano do tej firmy?

Potrząsnął głową.

– Carlosie, nikt nie dzwonił i nie zmieniał zamówienia. Ktoś musiał się pomylić.

– Nie, psze pani, to nie pomyłka. Mam tu zapisane, że pan Erickson dzwonił o ósmej rano i zmienił kolor na tulipanowy róż.

Kiedy dotarły do niej te słowa, przestała nagle widzieć cokolwiek dookoła siebie. Pan Erickson. Znała dwóch panów Ericksonów i tylko jeden z nich mógł mieć czelność, żeby jej to zrobić.

– Niezależnie od tego, co jest podane w zamówieniu – powiedziała do Carlosa, starając się nie okazywać złości – będziemy zwracać dostarczony towar i prosimy o przywiezienie pierwotnych szesnastu białych sedesów do końca przyszłego tygodnia. Nie, chwileczkę. Do poniedziałku. Rozumiemy się?

Kiedy Tom to usłyszał, podszedł do niej bliżej.

– Będziemy przez to do tyłu z robotami.

Zasłoniła mikrofon telefonu.

– Przykro mi. Masz lepszy pomysł? Nie zamontujemy różowych sedesów.

Potrząsnął głową i wrócił do kierowcy ciężarówki.

– Będzie to panią kosztowało – powiedział Carlos, przyciągając jej uwagę z powrotem do rozmowy telefonicznej.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Nie mam wyboru. – Po zakończeniu rozmowy i upewnieniu się, że wszyscy rozumieją, że różowe sedesy mają wrócić do magazynu dostawcy, Inara odwróciła się od chaosu na placu budowy i skierowała na ścieżkę, która wiodła przez las, koło rozpadającej się chaty, na plażę. Pomimo drobnej mżawki potrzebowała ciszy i spokoju, żeby wykonać kolejny telefon, a plaża idealnie nadawała się do tego celu.

Plaże takie jak ta były rzadkością na wyspach. Większą część linii brzegowej stanowiły tu ostre skały, które jak ściana wyrastały z ciemnej wody. Jeśli już trafiały się plaże, to były krótkie, pokryte wyrzuconym na brzeg drewnem i brunatnicami, często dostępne tylko od strony wody.

Jej plaża była długa i ciągnęła się łukiem wzdłuż prawie całej zatoczki zwanej Rothesay Bay, wtulonej między dwa wysokie klify na wschodnim brzegu głównej zatoki. Sama plaża pokryta była czarno-szarymi kamieniami i białymi muszlami, a tu i ówdzie wystawały większe i ostrzejsze czarne skały. Dalej w głąb lądu przechodziła łagodnym zboczem w leśne krzewy i drzewa, a granicę wyznaczało drewno wyrzucone na brzeg przez sztormy. Podczas przypływu plaża miała szerokość nie większą niż trzy metry, ale w czasie odpływu rozciągała się na dobrych dziesięć metrów i widać było większe, pokryte skorupiakami skały.

Skały te stanowiły zagrożenie dla prywatnych jachtów – największych łodzi, jakie zapuszczały się w głąb East Sound – ale nie przeszkadzały kajakom ani mniejszym łódkom. Zaledwie parę metrów dalej dno opadało stromo i tworzyło głęboką zatoczkę, w której mógł zarzucić kotwicę nawet jacht ojca. Teraz jednak nie było tu żadnych łodzi. Plaża była opustoszała i spokojna, idealna na spędzenie czasu w samotności.

Deszcz przypominał bardziej mgłę, ale Inara i tak schowała się pod gałęziami wysokiej jodły, która rosła na skraju plaży. Rzuciła torebkę obok suchego głazu, po czym usiadła na nim, żeby zadzwonić.

– Tato, to ja – powiedziała w momencie, kiedy ojciec odebrał telefon. – Wiem, że te sedesy to twoja sprawa.

– Nie musisz dziękować – odpowiedział ku jej zaskoczeniu.

– Jak to „nie musisz dziękować”? Straciłam przez ciebie tydzień pracy i dużo pieniędzy. Są różowe! Jego westchnienie odbiło się echem w słuchawce.

– Inara, różowe są bardziej uzasadnione historycznie, lepiej się wpisują w okres rozkwitu Rothesay. Poza tym są tańsze. Oddałem ci przysługę.

Inara pokręciła głową, a na jej twarzy odmalował się niesmak, chociaż tata nie mógł tego zobaczyć.

– Nie szukam uzasadnień historycznych, tato. A ty oddałeś mi kontrolę nad tym projektem,

pamiętasz? To oznacza, że masz się odczepić.

– Przypominam ci, że idą na to moje pieniądze.

– Wiem, tato, i doceniam to. Wszystko ci oddam. – Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić i nie powiedzieć czegoś, czego mogłaby potem żałować. – Ale muszę zrobić to po swojemu. Rozumiesz? Potrafisz zaufać, że zrobię tu, co trzeba?

Nastąpiła chwila ciszy, ale kiedy w końcu się odezwał, jego słowa brzmiały tak, jakby chciał ją udobruchać – zupełnie nieprzekonująco.

– Pewnie, Naruniu. Odczepię się. Przepraszam za sedesy. – Przerwał na moment, po czym powiedział coś, co ją oszołomiło: – Cieszę się, że zadzwoniłaś. Mam dobre wieści. Zapomniałem ci wcześniej powiedzieć, że wpadłem niedawno na Aarona. Wiesz, tego kierownika HR-u ze Starbucksa. Zgodził się przetrzymać twoją posadę do końca września.

Zaskoczenie uderzyło w nią jak fizyczny cios.

– Moją posadę? W Starbucksie? Tato, rzuciłam tę pracę. I zrobiłam to świadomie. Marnujesz ich czas, jeśli każesz im na mnie czekać.

– Inara, palenie za sobą tego mostu to błąd. Nie odwracaj się od takiej szansy.

Potrząsnęła głową, mimo że nie mógł tego zobaczyć, i starała się nie poddawać poczuciu zranienia, które zatrzepotało jej w piersi.

– Tato, przykro mi, że nie wierzysz we mnie ani w mój hotel, ale właśnie tym się teraz zajmuję. I jestem szczęśliwa. Nie przyjmę pracy w Starbucksie. Nigdy.

Wydał z siebie jakiś niesprecyzowany odgłos, po czym zamilkł na kilka chwil.

– Przyjeżdżasz do domu na weekend? – zapytał, zmieniając temat.

– Co? – Czy ona czegoś tu nie rozumie? – Nie. Tato, wiesz, że tego lata mam dużo pracy przy hotelu. Nie mogę sobie pozwolić na wolny dzień.

– Wczoraj przyjechałaś.

– Bo to był dzień ustawowo wolny od pracy. Moi robotnicy nie pracowali. – W tym momencie usłyszała piknięcie, które oznaczało, że ktoś inny do niej dzwoni. – Muszę kończyć, tato. Odezwę się niedługo.

Pożegnała się i z ulgą przełączyła rozmowę.

– Halo?

– Inara, tu Daniel. – Jego ciepły głos zadziałał na nią uspokajająco, tak że w końcu była w stanie głęboko odetchnąć oczyszczonym przez deszcz leśnym powietrzem.

Potem przypomniała sobie o Mei Lien. Ogarnęło ją nagłe podekscytowanie, które sprawiło, że musiała wstać.

– Dostałeś moją wiadomość? Wyobrażasz sobie, że ją znalazłam?

Jego głęboki śmiech spowodował, że przez ciało Inary przebiegł zaskakujący dreszcz emocji.

– Właśnie takiej wiedzy potrzebowaliśmy.

Nie zważając na mżawkę, zaczęła przemierzać plażę wzdłuż brzegu.

– To ona, prawda? Kobieta, która zrobiła ten haft ?

– To musi być ona, tym bardziej w świetle informacji, które sam zdobyłem.

Zatrzymała się i spojrzała niewidzącym wzrokiem na wodę.

– Czego się dowiedziałeś?

– Ze względu na haft ścięciem przypadkowym podejrzewałem, że rękaw został wykonany jakoś po tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, ale powiedziałaś, że Mei Lien mieszkała w tym domu najpóźniej do tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku, tak?

– Tak. Wtedy mój praprapradziadek kupił te ziemie.

– No właśnie, a w kolekcji Wing Luke znajdują się trzy wyszywane chińskie portmonetki, które, jak udało się ustalić, zostały kupione w pewnym sklepie w pierwotnej chińskiej dzielnicy Seattle, jakoś przed Wielkim Pożarem z tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

– Czekaj, co to jest Wing Luke?

– Oficjalna nazwa to Muzeum Pacyfiku i Azji Wing Luke. Muzeum jest stowarzyszone z Instytutem Smitha i znajduje się w Międzynarodowej Dzielnicy w Seattle. Jestem członkiem zarządu.

– No dobrze. A co te trzy portmonetki mają wspólnego z rękawem?

– Technika wykonania rękawa i portmonetek jest tak podobna, że zdecydowałem się je porównać i zapytałem o zdanie Yong Su, specjalistkę w dziedzinie wschodnioazjatyckiej sztuki włókienniczej. Zgodziła się ze mną. Najprawdopodobniej wszystkie te przedmioty zostały wykonane tą samą ręką.

– Czyli mamy potwierdzenie, że rękaw powstał wcześniej, niż myśleliśmy. I mówisz, że Mei Lien McElroy mieszkała w Seattle wcześniej albo później niż na Orcas?

– Na to wygląda. Ale najprawdopodobniej nie dłużej niż do tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, bo po pożarze nie znaleziono już żadnych jej prac. I jest coś jeszcze. Po tym, jak godzinę temu dostałem od ciebie wiadomość z imieniem Mei Lien, poszperałem trochę i znalazłem niejaką Liu Mei Lien, która została wymieniona jako pracowniczka i tłumaczka w pewnym sklepie w chińskiej dzielnicy, należącym do Liu Huang Fu, czyli prawdopodobnie do jej ojca, ponieważ według tradycji Chinki nie przejmowały nazwiska po mężu. Nie ma żadnych informacji na temat tego, co się z nimi stało. Pomyślałem, że może opuścili Seattle po pożarze, ale wygląda na to, że Mei Lien zrobiła to jeszcze przed tym wydarzeniem.

– Skąd wiesz? – Krople deszczu stawały się coraz większe, więc Inara schowała się z powrotem pod drzewo.

– Znalazłem akt zawarcia ślubu między nią a Josephem McElroyem. Pobrali się w Port Townsend. Nie wiem, jak się poznali ani kiedy i dlaczego Mei Lien przeprowadziła się do tego miasta, ale właśnie tam czwartego marca tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku wzięli ślub. Wyspa Orcas jest wspomniana jako ich miejsce zamieszkania.

Inara nie mogła usiedzieć na kamieniu, jednak deszcz, który zaczął teraz gęściej padać, powstrzymywał ją przed wyjściem spod drzewa. Chodziła więc niespokojnie w obrębie niedużego, suchego koła.

– Słuchaj, Daniel, mamy to. Znaleźliśmy ją!

Roześmiał się.

– Tak. A poza tym mam parę hipotez co do obrazów z rękawa, ale chciałbym z tobą o tym porozmawiać osobiście. Dałabyś radę spotkać się jakoś niedługo?

Inara jęknęła, przypominając sobie o sedesach.

– Nie mogę teraz opuścić wyspy. Mieliśmy dzisiaj małą katastrofę z dostawą i jak tylko skończę z tobą rozmawiać, idę naradzić się z moim budowlańcem nad zmianami planów, żebyśmy nie stracili za dużo czasu. – Zastanowiła się przez chwilę. – Może mogłabym przyjechać na jeden dzień w przyszłym tygodniu, ale nie wiem jeszcze na pewno.

– A gdybym to ja przyjechał do ciebie?

– Na Orcas? Naprawdę?

– Jasne. Mam cały weekend wolny. Przyślę pierwszym sobotnim promem.

– Nie musisz aż tak zmieniać swoich planów. Słuchaj, zerknę w kalendarz i zaplanuję spotkanie na przyszły tydzień.

– Inara, z przyjemnością cię odwiedzę – wypowiedział te słowa głębszym głosem, co wzbudziło w niej gwałtowne emocje.

„Uspokój się, Inara. Przyjedzie tu tylko w interesach”.

– Zatem niech będzie sobota. – Przynajmniej nie mógł zobaczyć głupkowatego uśmiechu, który na pewno pojawił się na jej twarzy.

Powiedziała mu, jak dojechać do Rothesay, po czym się rozłączyła.

„Mój Boże, zadurzyłam się w nim” – uświadomiła sobie, patrząc na deszcz, który lał teraz jak z cebra. Postanowiła poczekać jeszcze chwilę pod drzewem. Jediną niezmienną cechą pogody na Wybrzeżu Północno-Zachodnim było to, że ciągle się zmieniała.

Czyli zadurzyła się w profesorze. Wielka rzecz. Nie musiała przecież nic z tym robić. A już na pewno nie potrzebowała teraz niczego, co odciągałoby jej uwagę od hotelu.

Skrzyżowała ręce na piersi. Rozegra to spokojnie i utrzyma na poziomie zawodowym. Poza tym on pewnie niczego więcej nie oczekuje. Przyjeżdżał nie po to, żeby się z nią spotkać, tylko po to, żeby zobaczyć, gdzie znalazła rękaw. Tak, to musiało być to.

Odtworzyła sobie jeszcze raz w głowie ich rozmowę i zatrzymała się na informacji, którą odkrył Daniel. Liu Mei Lien pracowała w sklepie swojego ojca w czasach, kiedy Seattle było dopiero niewielkim miasteczkiem, żyjącym z wycinki drewna. W tym samym czasie Duncan Campbell zaczynał prowadzić swoją firmę. Możliwe, że wpadli na siebie kiedyś na ulicy i nie wiedzieli nawet, że oboje wylądają w końcu na wyspie Orcas.

W jaki sposób Mei Lien tu dotarła? I dlaczego pokryła rękaw haftem, a potem schowała go pod schodami? I czy pozostała część ubioru też była gdzieś tu ukryta?

W tym momencie z wody wyskoczyła błyszcząca, nakrapiana głowa fok, która zdawała się patrzeć prosto na Inarę. Dziewczyna wstrzymała oddech, żeby nie przestraszyć jej żadnym ruchem.

Zwierzę nie poruszało się. Unosiło się tylko na wodzie i wpatrywało w postać na brzegu, jakby było tak samo zafascynowane Inarą, jak kobieta nim. W końcu, po kilku długich minutach, foka odwróciła się i zanurkowała w czarną wodę.

Inara czekała, ale foka nie wypłynęła już na powierzchnię.

Pomyślała sobie, że woda przypomina zagadkę jej rękawa. Powierzchnia wydaje się czysta i nieskomplikowana, ale pod nią kryją się różnorodne tajemnice.

W rękawie tkwiła jakaś wiedza. Wiedza o życiu Mei Lien, którą Inara będzie musiała dopiero odkryć. Poza tym ten haftowany materiał miał coś wspólnego z Rothesay, a to oznaczało, że również z jej rodziną, i co za tym idzie, z nią samą. Była przekonana, że Danielowi uda się odkryć, co to takiego. I kto wie? Może będzie to coś na tyle porywającego, że uda jej się to wykorzystać w materiałach marketingowych hotelu.

„Jakie to dziwne, że w ciągu kilku miesięcy życie może się zupełnie odmienić” – rozmyślała, patrząc na wodę i na jej zmarszczoną deszczem powierzchnię. Została właścicielką posiadłości, niedługo będzie właścicielką hotelu, a na dodatek z pomocą niezwykle intrygującego profesora tropi zagadkę tajemniczego wyszywanego rękawa.

Dahlia dobrze zrobiła, zmuszając ją do powrotu.

Rozdział dziewiąty

Sobota, 7 lipca – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas

Mężczyzna, który wysiadł z zielonego volvo, prawie wcale nie przypominał ubranego w garnitur profesora, którego poznała miesiąc wcześniej. Był nawet atrakcyjniejszy, niż pamiętała. Tego dnia jego czarne włosy były w delikatnym nieładzie, co sprawiało, że miała ochotę wsunąć w nie palce. Miał na sobie wygodną, czarną koszulę typu henley z długim rękawem, dzinsy i czarne buty.

– Inaro, tu jest przepięknie.

Zeszła z ganku i przywitała go uściskiem dłoni. „Utrzymaj to na poziomie zawodowym” – powtarzała sobie.

– Dziękuję. Doceniam to, że przyjechałeś. Długo musiałeś czekać na prom?

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, który przeszył ją do głębi. Nic dziwnego, że na jego wykłady przychodziło pełno dziewcząt.

– Godzinę – odpowiedział, obdarzając ją ciepłym spojrzeniem. – Nie aż tak długo.

– Oprowadzić cię? – zaproponowała pod wpływem impulsu, bo musiała się ruszyć i zejść z powrotem na poziom zawodowy, zanim sytuacja zrobi się niezręczna. – Przerabiam wille na hotel butikowy, który chciałabym otworzyć do przyszłego lata.

Uniósł w górę brwi.

– Imponujące. Z przyjemnością to zobaczę. Na pewno masz czas?

– Znajdę chwilę. – Wprowadziła go na schody frontowe i dalej przez główne drzwi, opowiadając cały czas o historii budynku i pokazując zmiany, jakie właśnie wprowadzali robotnicy Toma. Czterdzieści pięć minut później byli już w kuchni Dahlii i zagłądali do dziury, w której Inara znalazła rękaw.

– To niesamowite, że leżał tu przez sto lat i zachował się w tak dobrym stanie. – Daniel pokręcił głową i poświecił do dziury latarką, którą podała mu Inara. – Zastanawiam się, dlaczego myszy go nie zjadły.

– Też o tym pomyślałam. Obrzydliwe, prawda? – W tym momencie Inara zderzyła się z nim biodrem i nagle przestała myśleć o rękawie czy o myszach.

Daniel stał nadal pochylony i zagłądał pod schody, ale spojrzał na chwilę w jej stronę i uśmiechnął się w taki sposób, że Inara nabrała gwałtownie powietrza. Chcąc ukryć swoją reakcję, skoczyła na równe nogi i zabrała się do nastawiania wody na herbatę.

– Przywiozłeś ze sobą rękaw, prawda?

Podniósł się i zgasił latarkę.

– I jeszcze portmonetki, o których ci mówiłem. Pójdę po to wszystko.

Podczas gdy on pobiegł do samochodu, Inara przymocowała z powrotem schodek, umyła ręce, zrobiła herbatę i wyłożyła na talerz kupione w sklepie ciastka, zastanawiając się przez cały czas, czy on też czuje, jak między nimi iskrzy, czy może dzieje się to tylko w jej wyobraźni. Kiedy Daniel wrócił z dwoma płaskimi, czarnymi pudełkami i przewieszoną przez ramię torbą sportową, zabrała ze stołu talerz z ciastkami i postawiła go na blacie, żeby nie przeszkadzał.

– Jeśli chcesz je gdzieś rozłożyć, to stół jest czysty.

– Dzięki. Najpierw pokażę ci portmonetki. Zobaczysz, co miałem na myśli, kiedy mówiłem ci, że są podobne do rękawa. – Postawił pudełka na krześle i wyciągnął z torby bawełniany materiał. Rozłożył go na stole, wyjął dwie pary białych, bawełnianych rękawiczek, jedną podał Inarze, a w drugą wsunął dłonie.

– Wbrew temu, czego można by się spodziewać, tego typu portmonetki nie były używane przez kobiety, tylko przez mężczyzn. Przyczepiali je sobie do pasków i nosili w nich pieniądze, wachlarze, tabakę, opium, okulary, a nawet pałeczki do jedzenia. – Otworzył górne pudełko i wyciągnął z niego trzy jedwabne portmonetki o różnych kształtach i kolorach, ozdobione z przodu i z tyłu haftowanym wzorem. Dwie z nich miały po bokach frędzle. Położył je wszystkie na materiale. – Uważa się, że tak bogato zdobione portmonetki były kupowane przez mężczyzn zamieszkałych tutaj, w Stanach, którzy następnie wysyłali w nich pieniądze i prezenty rodzinom w Chinach.

Podniósł czerwoną i podał ją Inarze.

– Tutaj wzór jest dużo bardziej tradycyjny niż ten z rękawa, ale jeśli przyjrzyś się uważnie, możesz zobaczyć w tle taki sam ścieg przypadkowy. Byłem przekonany, że ta technika została stworzona dużo później, ale portmonetki i znaleziony przez ciebie rękaw świadczą o czymś innym.

Przyjrzała się portmonetce i rozpoznała na niej symbol, który ją zaskoczył.

– Czy to jest swastyka?

Daniel pokiwał głową.

– Nie martw się. To nie ma nic wspólnego z Hitlerem. Swastyka to symbol pomyślności spotykany w wielu kulturach na całym świecie od czasów starożytnych. Oznacza szczęście lub powodzenie. Nie ma w niej nic złego.

– Aha. – Odłożyła portmonetkę i delikatnie dotknęła węższej, niebieskiej. – Są piękne. Mówisz, że były sprzedawane w Seattle przed Wielkim Pożarem?

Pożar z tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku zniszczył dużą część dzielnicy handlowej Seattle i zmusił władze miasta do stworzenia nowego planu przestrzennego. Projekt zakładał wznoszenie budynków ceglanych, odpornych na ogień, a także powtórne wyrównanie terenu pod ulice, żeby jak najbardziej obniżyć strome wzniesienia, które musieli pokonywać pierwsi mieszkańcy.

– Tak, w chińskim sklepie, który znajdował się przy Washington Street, pomiędzy trzecią a czwartą przecznicą. Należał on do mężczyzny o nazwisku Huang Fu Liu, czy raczej, biorąc pod uwagę chiński zwyczaj podawania nazwiska przed imieniem, Liu Huang Fu, który zajmował też małe mieszkanie ponad sklepem. Według dokumentów imigracyjnych przybył do Seattle wiosną tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku z żoną i matką. Księgi stanu cywilnego odnotowują narodziny córki w sierpniu tego samego roku i niedługo później zgon matki.

Podniósł niebieską portmonetkę i, nie przestając mówić, wręczył ją Inarze.

– Co ciekawe, według wszystkich informacji, jakie mój zespół badawczy znalazł w ogłoszeniach z gazet i w dziennikach osadników, właściciel sklepu miał syna.

Inara przyglądała się niebieskiej, wyszywanej portmonetce, niepewna, czego właściwie ma szukać w hafcie.

– Masz zespół badawczy?

– Tak. Zebrałem kilkoro swoich studentów, żeby pomogli mi w poszukiwaniach. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. – Przechylił głowę na bok, a kosmyk czarnych włosów zsunął mu się na oko.

Inara uświadomiła sobie nagle, że sprawa rękawa jest całkiem poważna.

– Dlaczego to wszystko robisz? Przecież ci za to nie płacę.

Na jego twarzy pojawił się zamyślony uśmiech.

– Już dawno nic mnie tak nie wciągnęło – przyznał i ruchem głowy odrzucił kosmyk włosów z czoła.

– Pochodzę z rodziny, która szczeni się tym, że jej korzenie sięgają wiele wieków wstecz, do czasów starożytnych Chin. Dodaj do tego fakt, że jako dziecko spędzałem dużo czasu w Wing Luke. Pracował tam mój nieżyjący już ojciec i często pozwalał mi włączyć się za sobą. Dorastałem w otoczeniu historii. Przez to mam teraz manię na punkcie historii Azji. Twój rękaw to zagadka, którą muszę rozszyfrować. Zamierzam pracować nad tym, dopóki nie dowiemy się wszystkiego albo dopóki będziesz mi na to pozwalać.

Pokiwała głową, a jej myśli pobiegły do tego, co powiedział wcześniej.

– No dobrze, ale skoro według wszystkich źródeł właściciel sklepu miał syna, to myślisz, że w akcie urodzenia jest błąd?

Potrząsnął głową.

– Nie wiem. Być może akt jest w porządku, jednak z jakiegoś powodu rodzina skłamała i przedstawiła dziecko jako syna. Ale możliwe też, że to tylko błąd w akcie.

– Dlaczego ktoś miałby podawać swoją córkę za syna?

Daniel skrzyżował ręce.

– Dawniej, chociaż obecnie też się to zdarza, rodzina wolała, żeby jej nazwisko poniósł dalej męski potomek, ponieważ mógł on podejmować się cięższych prac, a poza tym opieka nad rodzicami w podeszłym wieku należała zwyczajowo do syna. Kiedy córka brała ślub, stawała się częścią rodziny męża, a przestawała należeć do własnej. Może ojcu nie podobało się to, że stracił już żonę, a kiedyś straci też córkę. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku Seattle było prymitywnym miastem, zamieszkiwanym głównie przez rybaków, drwali i traperów. Gdyby chodziło o mnie, bałbym się o bezpieczeństwo swojej córki w takim miejscu.

– Więc skłamali, żeby ją chronić?

Daniel wzruszył ramionami.

– Może. A może to rzeczywiście był chłopiec.

Inara ostrożnie odłożyła portmonetkę z powrotem na materiał.

– Czyli nie mamy pewności. Ale chyba dobrze rozumiem, że osoba, która wyszywała portmonetki sprzedawane w sklepie w chińskiej dzielnicy, to ta sama, która stworzyła rękaw? A skoro dziecko miało na imię Mei Lien i wiemy, że Mei Lien McElroy mieszkała tutaj jako żona Josepha, to prawdopodobnie była to ta sama dziewczyna, tak?

W tym momencie oboje sięgnęli po trzecią portmonetkę, ich ręce się spotkały i na chwilę zamarli. Inara zobaczyła w jego oczach, że nie tylko ona wyczuwa wzajemne przyciąganie. Jej serce zaczęło bić szybciej i chociaż próbowała, nie mogła odwrócić wzroku.

– Tak – powiedział z lekkim zająknięciem. – Takie jest moje zdanie. – Zamrugał, zrywając dzięki temu kontakt wzrokowy, i podniósł złotą portmonetkę. – A Yong Su przyznała mi rację. Imię Mei Lien nie było popularne, więc to, że pojawia się w obydwu miejscach, w których trafiliśmy na tego rodzaju haft, nie może być przypadkowe.

Inara zastanowiła się nad jego słowami.

– Czyli teraz musimy się dowiedzieć – powiedziała, starannie unikając patrzenia na Daniela, żeby utrzymać bicie serca pod kontrolą – dlaczego uszyła szatę, a potem odcięła od niej rękaw. I gdzie jest pozostała część stroju.

– Może powie nam to sam temat haftu. Wyjmę rękaw. – Daniel ostrożnie zawinął portmonetki i włożył je z powrotem do płaskiego pudełka, które następnie przełożył pod spód. Otworzył drugie pudełko i z szacunkiem podniósł rękaw. Rozłożył go na bawełnianym materiale razem z bibułą, na której spoczywał. – Yong Su zgodziła się ze mną, że ten wzór opowiada jakąś historię.

Odsunął się na bok, wyraźnie zapraszając ją, żeby pochyliła się nad materiałem.

– Spójrz tutaj, wygląda na to, że niebo jest pokryte jakimiś ciemnymi kłębowcami, co może oznaczać

mgłę albo noc. – Wskazał coś palcem. – Popatrz. To jest chiński znak, który oznacza kłamstwo, kłamanie, oszukiwanie. Zobaczyłem go dopiero, kiedy Yong Su mi pokazała.

Zaczął mówić szybciej.

– A tutaj, na kadłubie statku, widać symbol, który według nas odzwierciedla napis, jaki widniał na parowcu, jeśli istniał on w rzeczywistości. Dodatkowo pomiędzy ściegami ukryte są znaki, które mówią coś o wyrzucaniu ładunku. No i są jeszcze te postacie demonów, które pływają w wodzie razem z ludzkimi ciałami albo chodzą po pokładzie. W chińskiej mitologii węże i złe duchy często pojawiają się w wodzie, ale żeby chodziły po statku jak ludzie? – Potrząsnął głową. – Niespotykane.

Inara przestała go słuchać, ponieważ jej uwagę przykuł napis na kadłubie parowca. Znała ten symbol. Nie ten ukryty, tylko ten widoczny. Ten, który prawdopodobnie widniał na rzeczywistym statku.

Znała go, rozpoznała stylizowane litery L i C. To nie była nazwa statku, tylko całej firmy transportowej.

Statek należał do Duncana Campbella. Pierwsza Grupa Morska, firma, którą jej tata przejął od swojego teścia, kiedy tamten przeszedł na emeryturę, nosiła kiedyś nazwę Linie Campbella – LC.

Na tym dziele sztuki był przedstawiony statek jej własnej rodziny!

Otworzyła usta, żeby powiedzieć o tym Danielowi, ale w tym momencie jej spojrzenie padło na demony i martwe ciała. Przełknęła ślinę i nie powiedziała ani słowa. Mei Lien nie stworzyłaby tak przerażających postaci na statku Duncana Campbella, gdyby nie miała po temu dostatecznego powodu.

Ciałem Inary wstrząsnął dreszcz.

„Co to może oznaczać?”. Nie wiedziała, ale nie mogło to być nic dobrego.

Może w historii Duncana Campbella było coś, o czym nie wspominały ani opowieści rodzinne, ani książki historyczne.

– Jak sądzisz, dlaczego Mei Lien wyhaftowała ten parowiec? – Usłyszała, jak głos jej drży, więc uśmiechnęła się w nadziei, że odwróci tym uwagę Daniela.

Ale on był zbyt zaabsorbowany historią rękawa i tylko rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem odwrócił materiał na drugą stronę, na której znajdowała się dalsza część obrazu.

– Myślę, że na tym statku przydarzyło jej się coś ważnego. Wiemy, że odbyła podróż z Seattle do Port Townsend, a potem na wyspę Orcas. Może właśnie na pokładzie poznała swojego przyszłego męża, Josepha. Może w tym związku doświadczyła przemocy, co tłumaczyłoby obecność demonów. Ale wydaje mi się, że chodzi o coś innego.

– Dlaczego tak uważasz?

– Spójrz tutaj. Na dziobie statku widać litery KP.

– KP? Co to znaczy?

– W historii Seattle dosyć istotną rolę odegrał oceaniczny parowiec o nazwie „Książę Pacyfiku”, w skrócie KP. – Po tych słowach Daniel wysunął krzesło i usiadł. Potem zdjął rękawiczki i obiema rękami przecesał włosy, jakby dopiero się obudził. – Siódmego lutego tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku, rano, wszyscy Chińczycy, którzy mieszkali w Seattle, jakieś trzysta pięćdziesiąt osób, zostali zebrani i zmuszeni do wejścia na pokład „Księcia Pacyfiku”, który tamtego dnia po południu odpłynął do San Francisco.

Widząc, że zapowiada się długa historia, Inara też wysunęła sobie krzesło i usiadła.

– Dlaczego ich do tego zmuszono?

– Działo się to w czasach, kiedy obowiązywał Akt o Wykluczeniu Chińczyków z tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku, czyli ustawa imigracyjna, w myśl której Chińczycy, z wyjątkiem bardzo nielicznych grup, nie mieli wstępu do Stanów Zjednoczonych. Robotników nie wpuszczano w ogóle. Jednak naród ten spotkały wtedy o wiele większe cierpienia. – Spojrzenie Daniela stało się nieobecne, tak jakby w głębi duszy pamiętał dawny ból, mimo że sam go nie przeżył. – Wzdłuż całego Zachodniego

Wybrzeża Amerykanie pochodzenia europejskiego, czyli biali, próbowali, często z powodzeniem i z okrucieństwem, wypędzić Chińczyków ze swoich społeczności.

Oparł stopę na kolanie i bawił się rękawiczkami, które trzymał w dłoniach.

– W kulturze białych Chińczycy, łącznie z urodzonymi już na amerykańskiej ziemi, byli postrzegani jako tymczasowi mieszkańcy, którzy wysysali z ich kraju zasoby materialne. Kiedy tylko linie kolejowe zostały ukończone, chińscy robotnicy zaczęli się osiedlać i szukać nowych zajęć. Wystarczy dodać do tego kryzys gospodarczy z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, strach białych przed utratą pracy na rzecz ciężko pracujących i nisko opłacanych Chińczyków, i siedzimy na bombie.

Inara przesunęła się do przodu na krześle.

– Więc postanowili zmusić Chińczyków do opuszczenia kraju wbrew ich woli? Jak oni mogli to zrobić?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu to zrobili.

Inara spojrzała na rękaw, na demony wypędzające Chińczyków z miasta, które było ich domem, i poczuła wstyd.

– Powinno się mówić o tym w szkole. Powinniśmy wiedzieć, że coś takiego się wydarzyło.

W tym momencie jej wzrok spoczął na wodzie. Była ciemna i skłębiona, pełna wirów, na wpół zanurzonych demonów i czegoś, co wyglądało na węże. Ale były tam też ciała. Dziesiątki ciał unoszących się na wodzie, niektóre miały usta otwarte jakby w krzyku, inne były wyraźnie odrętwiałe i pozbawione życia.

A na środku, dokładnie w miejscu, w którym w rękawie znalazłby się łokieć, widniała jedyna postać kobieca z rozpostartymi rękami i nogami i z zaskakującym uśmiechem na twarzy.

– Widzisz to? – ciągnął Daniel, wskazując na znaki wyszyte na rękawie, nieświadomy wewnętrznego wzburzenia, jakie ogarnęło Inarę. – Tutaj, nad tą kobietą, widać chińskie symbole, które oznaczają ojca i babkę. Nie wiem, dlaczego są w wodzie.

Cokolwiek to oznaczało, Inara poczuła smutek.

– Czy statek dotarł do San Francisco?

– Tak. A stamtąd popłynął do Chin. – Daniel klasnął w dłonie, aż Inara podskoczyła. – Myślę, że potrzebujemy przerwy. Dasz się zaprosić na lunch? Słyszałem, że w Eastsound jest świetna, nowa restauracja.

Inara z trudem przełknęła ślinę i zmusiła się, żeby odwrócić wzrok od rękawa. Przywołała na twarz uśmiech.

– Z przyjemnością. Daj mi tylko chwilę.

Z nieustępującym poczuciem niepokoju pobiegła do swojej sypialni na górze. Jakakolwiek historię Mei Lien opowiadała na tym rękawie, Inara wiedziała, że jest smutna i ma coś wspólnego z Duncanem Campbellem, bohaterem jej rodziny.

Wyjrzała przez okno w stronę willi – dziedzictwa po tym bohaterze, które przypadło jej w udziale.

Potrząsnęła głową i zmusiła się do uśmiechu, żeby poprawić sobie samopoczucie. To głupie, że pozwala wyszywanemu obrazowi tak na siebie oddziaływać. Jakakolwiek historię opowiadał, nie mogła być znowu taka koszmarna. Prawda?

*

„Dlaczego ja się na to zgodziłam?” – nie po raz pierwszy zapytała samą siebie Inara, kiedy godzinę później kelnerka z New Leaf Cafe zaprowadziła ich do stolika. Musiała przecież zamówić kafelki, które wybrała w końcu do wyłożenia pryszniców w pokojach gościnnych, a poza tym podjąć ostateczną

decyzję, czy rozszerzyć część restauracyjną i tym samym zamknąć z jednej strony główny hol. Robotnicy Toma będą gotowi do pracy w poniedziałek rano, kiedy tylko skończą stawiać ściany, które zamienią górny salon w pokój gościnny. Naprawdę lepiej by zrobiła, gdyby poświęciła swój czas na realizowanie planów związanych z hotelem.

Ale z drugiej strony, co jej szkodzi zjeść szybki lunch z atrakcyjnym mężczyzną?

– Skąd się dowiedziałeś o tym miejscu? – zapytała go, kiedy kelnerka zostawiła ich z kartami.

– Właściwie to mama mi o nim powiedziała. Jest właścicielką i szefową kuchni w restauracjach Toisan w Seattle i w Bellevue. Pracowała kiedyś z człowiekiem, który założył tę restaurację.

Inara upuściła swoją kartę.

– Twoja mama jest właścicielką Toisan?

Daniel tylko się uśmiechnął.

– Przypomnij mi, żebym nigdy dla ciebie nie gotowała. Nie mam przy niej szans. – Dlaczego to powiedziała? Miała nadzieję, że Daniel nie odbierze tego tak, jakby planowała jakiś przyszły związek pomiędzy nimi, więc ciągnęła dalej. – W Toisan jest niesamowite jedzenie. Moja rodzina ciągle tam chodzi.

– To pewnie widziałeś też moją matkę. Ona praktycznie mieszka w swoich restauracjach.

Pojawił się kelner, żeby przyjąć od nich zamówienia na napoje. Kiedy odszedł, Inara poprosiła:

– Powiedz mi coś o swojej rodzinie.

Rysy Daniela złagodniały, dając jej do zrozumienia, jak bardzo mężczyzna kocha swoich bliskich.

– Mam tylko mamę, babcię, która z nią mieszka, i siostrę, Cassie. Moi dalsi krewni mieszkają gdzie indziej.

Rodzina składająca się z kobiet mogła świadczyć o tym, że ma łagodne usposobienie, jak jej brat, Nate.

– A jaka jest Cassie? Dobrze się dogadujecie?

– Jest upierdliwa, ale i tak ją kocham. – Oczy mu zabłysły. – Jest ode mnie młodsza o cztery lata i pracuje jako adwokat. W prawie rodzinnym.

– Imponujące. – Przeglądała kartę, podtrzymując jednocześnie rozmowę. – Wspomniałeś, że twoja babcia mieszka z matką?

Pokiwał głową, odkładając kartę na bok.

– Tak, na Beacon Hill, w domu, w którym dorastałem. Wie wszystko o każdym członku rodziny Chinów, jaki się kiedykolwiek urodził. Jest lepsza niż portale genealogiczne.

Kelner przyszedł z winem i przyjął od nich zamówienia. Kiedy się oddalił, Daniel przechylił kieliszek w jej stronę.

– Twoja kolej. Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Powoli napiła się wina i sięgnęła do koszyka po paluszek chlebowy, zastanawiając się cały czas, jak dużo może mu powiedzieć. Dopóki nie dowie się więcej, nie będzie gotowa, żeby wyznać, że statek na rękawie należał do jej rodziny. Jednak niewielu ludzi wiedziało, że PGM nosiło kiedyś nazwę Linii Campbella, więc mogła bezpiecznie opowiedzieć mu kawałek historii.

– No dobrze, mój tata prowadzi firmę transportu i żeglugi morskiej, spółka nazywa się Pierwsza Grupa Morska. Przejął ją po ojcu mojej matki, a teraz szkoli mojego starszego brata Nathana, żeby mógł kiedyś przejąć od niego wodze. Moja siostra Olivia jest lekarzem. Oboje są już po ślubie i mają cudowne dzieci. – Ugryzła paluszek chlebowy.

– A twoja mama?

Przeżuwała powoli, zwlekając z odpowiedzią. Nigdy nie lubiła opowiadać o swojej matce ludziom, którzy jej nie znali. Zazwyczaj zbywała to pytanie i mówiła o czymś innym, ale Daniel siedział i czekał

na jej odpowiedź, tak jakby miał nieskończenie wiele czasu.

Popiła chlebek winem.

– Zmarła, kiedy miałam piętnaście lat. Właśnie tutaj, na Orcas. Wypadek samochodowy.

Zacisnął usta w wyrazie współczucia, ale potem ją zaskoczył. Zamiast niezręcznych słów współczucia powiedział:

– Ja straciłem ojca osiem lat temu. Rak.

Zrozumiała.

– Przykro mi. – Teraz to ona wyszła z niezdarnymi kondolencjami.

– Nadal codziennie o nim myślę. – Przechylił głowę na bok. – Opowiedz mi o niej. O twojej mamie.

Ogarnęło ją zaskakujące pragnienie, żeby się przed nim otworzyć, choć wiedziała, że ryzykuje. Mama i wszystko, co wiązało się ze wspomnieniami o niej, było zbyt głęboko wyryte w jej duszy, żeby traktować to jak każdy inny temat do rozmowy z kimś, kogo ledwo znała.

Ale Daniel wydawał się szczerze zainteresowany. No dobrze, powie mu, przynajmniej część. Może to wystarczy.

– Cóż. – Wytarła dłonie w serwetkę rozłożoną na kolanach, zastanawiając się przy tym, jak zacząć. – Wszystko, co robiła, było wielkie. Prowadziła dobroczynną gałąź PGM i była ciągle w ruchu, zbierała fundusze na wsparcie osieroconych dzieci z Korei Południowej albo ofiar wybuchów min z Rwandy. Często sama odbierała nowo przybyłych uchodźców z lotniska i pomagała im osiedlić się w Stanach. Tego typu sprawy. Ale mimo to w domu potrafiła sprawić, że razem z moim rodzeństwem czuliśmy się całym jej światem.

– Wydaje się niesamowita.

– Była niesamowita. – Spojrzała na niebieską świeczkę, która stała między nimi. – Jej śmierć była dla mnie strasznym ciosem. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie ojciec. To on sprawił, że skupiałam się na szkole i w dużej mierze pod jego wpływem zdecydowałam się iść w kierunku biznesu międzynarodowego.

– Pracowałaś w PGM?

– Nie. On tego chciał, ale ja zawsze wiedziałam, że muszę robić coś swojego. Tata twierdzi, że jestem zbyt niezależna.

– Niezależność nie jest złą cechą.

– Masz rację – przyznała. – Chociaż przy tych kilku okazjach, kiedy ją przejawiałam, tata nie zgodziłby się z twoją opinią. – Roześmiała się, żeby rozluźnić atmosferę. – Ale to się rzadko zdarza. Od tamtego wieczoru, kiedy mama umarła, staram się nie kłócić z tatą częściej niż to konieczne. Chociaż ostatnio zaczął grać mi na nerwach.

„Na przykład różowymi sedesami”.

Daniel oparł przedramiona na lnianym obrusie.

– Co się wtedy wydarzyło – tego wieczoru, kiedy zmarła twoja mama?

„Zmień temat” – pomyślała, ale kiedy otworzyła usta, wyszły z nich słowa, których nie zamierzała wypowiadać.

– Pokłóciłyśmy się. – Jak on to z niej wyciągał?

Pociągnęła parę łyków wina, a potem zdała sobie sprawę z tego, że Daniel nie patrzy na nią z przerażeniem. Bardziej z litością. Nie wiedziała, co jest gorsze. Spojrzała przez okno na skrzynkę z kwiatami i westchnęła.

– Mama miała wrócić do Seattle, żeby spotkać się z rodziną, która przeprowadzała się z Somalii, i chciała, żebym pojechała z nią i jej pomogła. Ja wolałam zostać na wyspie, bo chłopak, w którym byłam wtedy zakochana, organizował następnego wieczoru imprezę. Rozegraliśmy to tak, jak potrafi ą tylko

matki i nastoletnie córki. Ja wykrzyczałam jej w twarz, że jej nienawidzę, i w tamtym momencie naprawdę tak myślałam. Ona powiedziała mi, że jestem samolubna, no bo byłam, a potem wyszła bez jednego słowa więcej i odjechała.

Przerwała, żeby nabrać oddechu.

– „Nienawidzę cię” to były ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszała.

Nakrył jej dłoń swoją ciepłą ręką i ścisnął ją, wywołując przyjemne dreszcze w jej ciele.

– Na pewno wiedziała, że tak nie myślisz.

Inara spojrzała na jego dłoń i na białe półksiężycy jego paznokci.

– Nie powinnam była tego mówić i muszę wziąć na siebie odpowiedzialność za to, że moja matka, która była najostrożniejszym kierowcą, jakiego znałam, prowadziła wtedy w zdenerwowaniu i rozproszeniu. Powiedzieli nam, że najprawdopodobniej jakiś jeleni albo inne zwierzę wyskoczyło jej na drogę, a samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni, ale ja jechałam z nią wcześniej kilka razy, kiedy coś takiego się zdarzało, i zawsze świetnie sobie radziła. Jedyna różnica była taka, że tamtego wieczoru się pokłóciliśmy.

Daniel gładził kciukiem jej dłoń. Nie mogła oderwać od tego wzroku, tak jakby to nie jej własna ręka spoczywała w jego dłoni.

Nagle zrobiło jej się nieswojo z tym, jak dużo mu powiedziała, dlatego zabrała rękę i zajęła się kieliszkiem do wina.

– Jej! – Przywołała na twarz promienny uśmiech. – Zmieńmy temat. Jesteś sam czy masz kogoś?

Jednak on nie podjął tej gry. W zamian za to przechylił głowę na bok, jakby próbował ją rozgryźć, ale potem na jego twarz powoli wypłynął uśmiech, a na lewym policzku pojawił się pojedynczy dołeczek.

– Lubię cię, Inaro Erickson.

A więc tak chciał to rozegrać. Przechyliła głowę, naśladując go.

– Ja ciebie też, Danielu Chin.

Pojawił się kelner z ich lunchem, a temat rozmowy zszedł na mniej osobiste sprawy, choć oboje byli niezmiernie wyczuleni na swoją wzajemną obecność.

Później, kiedy Daniel prowadził samochód z powrotem do Rothesay, w pewnym momencie się odezwał:

– Na pewno musisz wracać do pracy. Ale gdybyś miała jednak chwilę, to zamierzam teraz poszperać przez parę godzin w archiwach Muzeum Historycznego Wyspy Orcas, zanim pojedę na prom. Masz ochotę się do mnie przyłączyć?

Zaproszenie było kuszące, choćby dlatego, że mogłaby spędzić z nim więcej czasu.

– Bardzo bym chciała, ale masz rację, muszę wracać do pracy.

– Dam ci znać, czy znalazłem coś ciekawego. – Jechali dalej w ciszy, dopóki Daniel nie zaparkował przed jej domem. Wyłączył silnik, ale wyglądało na to, że nie zamierza wysiadać z samochodu. Przekręcił się na siedzeniu kierowcy tak, żeby na nią spojrzeć.

– Nie mam, tak na marginesie.

Sięgała właśnie do klamki, ale zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Czego nie masz?

Jego oczy zatańczyły.

– Nikogo, jestem sam.

Poczuła, jak na jej usta wkłada się uśmiech i nic nie mogła na to poradzić.

– Dobrze wiedzieć.

– Dasz się zaprosić na kolację następnym razem, jak będziesz w Seattle?

Tak łatwo byłoby zakochać się w tym facecie, ale to był bardzo zły czas na takie rzeczy.

– Nie szukam teraz związku.

– Ja też nie, ale spójrz na nas. – Na policzku błysnął mu dołeczek, który przyciągnął jej wzrok do jego ust.

Rzeczywiście, wystarczyło na nich popatrzeć. A niech tam, następnym razem będzie w Seattle najwcześniej za jakieś parę miesięcy. Co jej szkodzi zgodzić się na jedną kolację?

– Z przyjemnością spotkam się z tobą.

Przysunął się bliżej, momentalnie rozgrzewając powietrze między nimi.

Inara przełknęła ślinę i chociaż próbowała się powstrzymać, wysunęła koniuszek języka i zwilżyła nim usta.

Daniel pochylał się jeszcze bliżej, tak blisko, że poczuła zapach jego wody kolońskiej. Czas zwolnił. Nie istniało już nic poza nimi dwojgiem i odgłosem ich oddechów. Jej wzrok wędrował po jego delikatnie rozchylonych wargach i niczego nie pragnęła teraz bardziej, niż żeby poczuć ich smak.

Kiedy jego usta znalazły się o parę centymetrów od jej własnych, coś przeskoczyło w jej umyśle, tak że cofnęła się, wymacała klamkę i otworzyła drzwi.

– Dzi-dziękuję za lunch. – Wyszła z samochodu, nie patrząc na niego, a potem sięgnęła do środka po swoją torebkę.

– Nie ma za co.

Po jego głosie poznała, że się uśmiecha, ale nadal nie potrafiła na niego spojrzeć. Już miała zatrzasać drzwiczki samochodowe i uciec, kiedy przypomniała sobie o rękawie i o portmonetkach, które zostały w domu.

– Poczekaj chwilę – powiedziała i popatrzyła w końcu w jego rozbawione oczy. – Pobiegnę do domu po twoje pudełka.

– E tam – odpowiedział, przechylając się przez siedzenie. W jego spojrzeniu zobaczyła żartobliwe oskarżenie o tchórzostwo, ale on tylko się uśmiechnął i powiedział: – Możesz je przywieźć, jak będziesz się wybierała do miasta. Mój zespół skupi się teraz przez jakiś czas na Mei Lien i na Josephie. Spróbujemy rozpracować ich historię.

– Dobrze. – Odsunęła się i położyła rękę na drzwiczkach, gotowa je zatrzasać, ale zwlekała jeszcze, bo czuła się niezręcznie, jakby powinna się była wytłumaczyć. Nie wiedziała tylko, co miałyby powiedzieć. – Jedź ostrożnie.

Zobaczyła błysk dołeczka.

– Do zobaczenia niedługo, mam nadzieję.

Zamknęła drzwiczki auta, odsunęła się i pomachała, mając nadzieję, że jej uśmiech nie wygląda głupkowato, bo chociaż wiedziała, że powinna utrzymać tę relację na poziomie zawodowym, to jednak naprawdę go lubiła.

Nie czekała, aż Daniel zniknie za zakrętem. Odwróciła się i poszła w stronę willi. Czas na starą, dobrą, ciężką pracę, która oczyści jej umysł.

*

Następnego dnia rano, wcześniej niż zjawiali się zwykle robotnicy Toma, Inarę obudził odgłos silnika samochodowego i pisk hamulców przed domem.

Wstała zaspana i przez okno w salonie na górze wyjrzała na podjazd.

Koło fontanny zaparkował biały sedan. Przy otwartym bagażniku stała pulchna kobieta z krótkimi blond włosami i patrzyła przez wizjer aparatu skierowany na willę. Inara obserwowała, jak kobieta opuszcza aparat, podchodzi kilka metrów bliżej do fontanny i ponownie podnosi go do oka.

„Co do diaska?”. Inara wróciła do sypialni i narzuciła na siebie ubrania z poprzedniego dnia, po czym zeszła na dół i wysliznęła się przez drzwi frontowe.

– Przepraszam. Czy mogę w czymś pani pomóc?

Kobieta zerknęła na nią, zatrzymała się, pstryknęła jeszcze jedno zdjęcie willi, a następnie odwróciła się już zupełnie w stronę Inary. Wyciągnęła rękę.

– Pani Erickson, jak się domyślam. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Chciałam zrobić parę zdjęć, zanim przyjadą pani robotnicy. Nazywam się Lacey Gray, pracuję w agencji Luxe Real Estate w Seattle. Pani ojciec prosił mnie, żebym rzuciła okiem na posiadłość i zrobiła wycenę rynkową. Dzięki temu będzie mogła się pani przekonać, ile by pani dostała za to miejsce. Swoją drogą posiadłość jest przepiękna. Podoba mi się to, co pani z nią robi.

Inara nie byłaby w stanie się poruszyć, nawet gdyby chciała.

– Wycenę rynkową?

Uśmiech Lacey był jaśniejszy niż słońce, które świeciło znad Mount Constitution.

– Z przyjemnością przeszedłabym się po willi i po całym terenie, jeśli ma pani czas mnie oprowadzić. Z tego, co na razie widzę, moglibyśmy skierować ogłoszenie zarówno do prywatnych, jak i do komercyjnych nabywców. – Pstryknęła kolejne zdjęcie skrzydła z garażem.

Inara nadal nie mogła się poruszyć. Ani wydobyć z siebie głosu.

– Oczywiście jeśli weźmiemy pod uwagę stan domu, znalezienie nabywcy może chwilę potrwać, ale proszę się nie martwić, jesteśmy najlepsi. – Lacey nie przestawała mówić ani robić zdjęć, nieświadoma wewnętrznego wzburzenia Inary.

Inara zdała sobie sprawę, że znowu to zrobił. Jej ojciec nie brał jej na poważnie, tylko próbował wtłoczyć ją w to, co sam uważał za najlepsze. A ewidentnie sądził, że powinna sprzedać posiadłość.

Co on sobie myślał? Czy Starbucks naprawdę był taką świetną opcją, że ojciec nie mógł zaakceptować tego, że Inara ją odrzuciła? A może było to coś bardziej osobistego? Może próbował ją chronić przed porażką, którą uważał za nieuniknioną?

„Czy rzeczywiście była nieunikniona?”.

Nie. Oczywiście, że nie. Jej tata nie miał prawa siać w niej takich wątpliwości.

A potem przypomniała sobie różowe sedesy. Prawdopodobnie dokładnie wiedział, co robi, kiedy zmieniał zamówienie, a ona już ani trochę nie wierzyła, że chciał tylko pomóc. Ojciec po prostu rzucał jej kłody pod nogi, żeby skłonić ją do dobrowolnego wycofania się. I wkurzało go, że tego nie robiła, więc podkreślił tempo gry.

Inara kochała swojego ojca, ale ta jego bezwzględność zaczynała ją przerastać.

Bez słowa pobiegła z powrotem do domu i skierowała się prosto po komórkę, żeby zadzwonić do ojca i podzielić się z nim swoimi odczuciami.

Ale zanim odebrał, zmieniła zdanie i się rozłączyła.

Nie, rozmowa przez telefon nie przyniesie właściwego skutku. Musiała spotkać się z ojcem osobiście, jak profesjonalna bizneswoman, jaką była, i zmusić go do zrozumienia jej wizji. Jeśli on nie uwierzy w ten projekt równie mocno, jak ona sama, to wycofa swoje fundusze i nie pozostawi jej wyboru.

Zbierając rzeczy potrzebne do wyjazdu, Inara spojrzała na czarne pudełka zostawione na kuchennym stole. W jednym z nich leżał wyszywany rękaw i jego smutna historia, która miała coś wspólnego z jej rodziną. Gdyby tylko wiedziała co.

To będzie też idealna okazja, żeby dowiedzieć się, co zaszło na „Księżcu Pacyfiku”. Tak, wracała do Seattle wcześniej, niż mogłaby się spodziewać.

Rozdział dziesiąty

Czwartek, 4 marca 1886

Port Townsend, Terytorium Waszyngtonu

— To był ktoś z rodziny? – Głos Josepha wyrwał ją z zamyślenia.

Mei Lien pokiwała głową, wiedząc, o kogo mu chodzi, ale wzrok miała nadal zwrócony na wodę.

– Moja babka.

– Co się wydarzyło, Mei Lien? Powiesz mi?

Wiedziała, że nie pyta o to, co przydarzyło się babce, tylko o nich wszystkich. I chociaż miała zamiar mu odmówić, słowa zaczęły się z niej wylewać jakby zza zerwanej tamy.

– Było wcześniej rano – zaczęła – tak wcześniej, że słońce jeszcze nie wstało, kiedy obudziły mnie krzyki. Nie przejęłam się tym, bo w nocy często było słychać takie odgłosy. Nic dziwnego, skoro przecnicę dalej znajdowały się saloony i domy publiczne.

Pod napływem wspomnień zamknęła oczy i najlepiej, jak potrafiła, zaczęła opisywać Josephowi to, co się wydarzyło.

– Wiedziałałam, że przyszli po to, żeby nas wypędzić, tak samo jak Chińczyków z Tacomy w listopadzie zeszłego roku.

– Siostra pisała mi o tym, co się tam zdarzyło – powiedział Joseph, a Mei Lien aż się wzdrygnęła. Siedział z nogami wyciągniętymi przed siebie i opierał się na jednej ręce. Pozycja wyglądała na swobodną, ale druga ręka, którą położył na kolanach, była zaciśnięta w pięść. – Mieszka w Tacomie. To była paskudna sprawa, pobicia, wszystko spalone na popiół.

Mei Lien podciągnęła nogi, oparła podbródek na kolanach i mówiła dalej, patrząc, jak z gałęzi kapie woda.

– Słyszeliśmy relacje ludzi wypędzonych z Tacomy, więc tamtego ranka wiedzieliśmy, że trzeba się bać. Ale nie baliśmy się tak bardzo, jak powinniśmy.

I opowiedziała mu całą historię, wszystko, co wydarzyło się tamtego ranka, nie pomijając niczego. Od czasu do czasu Joseph kładł rękę na jej dłoni, żeby dodać jej otuchy, albo wydawał z siebie pomruki oburzenia, wywołane tym, co słyszał, ale Mei Lien nie przerywała. Teraz, kiedy w końcu zaczęła mówić, nie mogła przestać, aż nie wyjawি mu wszystkiego.

– Jak nazywał się ten statek? – przerwał jej Joseph.

Nigdy nie zapomni tej nazwy, na zawsze wyryła się w jej pamięci.

– „Księżę Pacyfiku”. Dlaczego pytasz?

Twarz Josepha poczerwieniała, tak że stała się niemalże purpurowa. Jego pierś szybko podniosła się i opadła, a potem – ni z tego, ni z owego – poderwał się przed dziewczyną na równe nogi.

– „Księżę Pacyfiku” to statek Campbella. Nic dziwnego, że się go boisz. – Złapał ją nagle i przyciągnął do siebie, tak że słyszała, jak wali mu serce. – Och, Mei Lien. – Wziął długi, powolny wdech, po czym zapytał cicho: – Co ten drań ci zrobił?

Nie odpowiedziała od razu, tak oszałamiające było dla niej poczucie, że Joseph przyciska ją do swojego ciała i bezpiecznie otula ramionami.

– Mei Lien?

Wzięła głęboki oddech i odsunęła się od niego, żeby móc jasno myśleć i dokończyć swoją opowieść. Usiadła znowu na ziemi, podwinęła nogi i ciągnęła dalej – tym razem Joseph nie przerywał jej, dopóki nie skończyła.

– A potem obudziłam się w twojej chacie.

Mei Lien zamrugnęła. Tak bardzo wciągnęła ją własna opowieść, że nie zauważyła, jak Joseph zaczął chodzić niecierpliwie przed nią. Biła od niego taka wściekłość, że wyobraziła sobie, jak przestrzeń pod drzewem rozgrzewa się do czerwoności.

– Josephie?

Zatrzymał się, żeby na nią spojrzeć, jego ręce spuszczone wzdłuż tułowia zacisnęły się w pięści.

– Nie mogę uwierzyć, że przez te wszystkie lata mieszkałem po sąsiedzku z człowiekiem zdolnym do takiego okrucieństwa. Mei Lien, musisz mi zaufać. Gdybym wiedział, co on robi, to bym go powstrzymał. Powinienem być to zrobić.

Dziewczyna ponownie wstała, chwyciła go za dłonie i przytrzymała je mocno.

– Nie wiedziałeś, Josephie. Nie winię cię za to.

Wypuścił powietrze z płuc, uwolnił jedną rękę, ujął dziewczynę za kark i przyciągnął delikatnie jej czoło do swojego.

– Tak mi przykro, Mei Lien. Naprawdę.

Zamknęła oczy i dała sobą zawładnąć poczuciu, że Joseph ją przytula i troszczy się o nią.

Przez długą chwilę mężczyzna nic nie mówił, chociaż emocje, które odbijały mu się na twarzy, świadczyły o tym, że jeszcze raz przewija mu się przed oczami wszystko, o czym właśnie mu powiedziała. Kiedy się odezwał, usłyszała w jego głosie z trudem powstrzymywany gniew, od którego zjeżyły jej się włosy na karku.

– Musi zapłacić za to, co zrobił.

Mei Lien nie chciała się z nim spierać, ale nie chciała też wdawać się w przegraną z góry bitwę.

– Co się stało, to się nie odstanie. Zostaw to.

– Campbell i wszyscy, którzy są za to odpowiedzialni, powinni zostać postawieni przed sądem.

– Nie, nie wolno ci nikomu o tym mówić. – Mei Lien zmusiła swoje ciało do zmiany pozycji, tak żeby spojrzeć Josephowi prosto w oczy. – Nikt ci nie uwierzy. Nie mamy dowodu na to, że moja babka została wyrzucona za burtę. Powiedzą, że sama skoczyła, tak jak ja, tylko nie miała wystarczająco dużo siły, żeby przeżyć.

Joseph przechylił głowę na bok.

– A możliwe, że naprawdę tak było?

Mei Lien zrozumiała: nadal miał nadzieję, że jego przyjaciel nie był do końca winien całego tego okrucieństwa.

– Nie – odpowiedziała, zmuszając się do zachowania spokoju w głosie. – Babka miała skrupowane stopy i nie mogła chodzić. Nie byłaby zdolna do tego, żeby wspiąć się na barierkę statku. Ktoś musiałby ją przez nią przesadzić.

– Wybacz mi, ale czy twój ojciec nie mógł tego zrobić?

Mei Lien zamilkła zszokowana tą myślą. Podejrzewała, że ojciec byłby zdolny do tego, żeby podnieść swoją własną matkę i popchnąć ją w ramiona śmierci, próbując ją uratować, tak jak zrobił to z Mei Lien. Było to możliwe.

Ale nie, nie było to prawdopodobne. Ojciec miał świadomość, jak słaba jest babka, a woda zimna. Wiedział równie dobrze jak Mei Lien, że staruszka nie byłaby w stanie dopłynąć do brzegu. Jeśli wypchnął ją za burtę, to tylko po to, żeby uchronić ją przed jeszcze okrutniejszym losem, który mógłby ją

spotkać z rąk białych ludzi – w takim wypadku wina nadal leżała po stronie białych. I Campbella.

Nie chciała już dłużej rozmawiać o śmierci babki. Robiło jej się przez to zimno i niedobrze, a akurat w tym momencie mieli inne zmartwienia. Zaczęła pakować to, co zostało z ich posiłku.

– Lepiej się pospieszmy, jeśli do wieczora mam znaleźć pracę i miejsce zamieszkania.

Joseph pokiwał bezwiednie głową i zaczął jej pomagać. Jednak kiedy wszystko było już zapakowane, nie skierował się w stronę miasta, jak się spodziewała. Zamiast tego odwrócił się do niej i delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

– Mei Lien – powiedział z zaciętym wyrazem twarzy. – Pozwól mi się sobą zaopiekować. Zapewnię ci bezpieczeństwo.

– Jak miałbyś to zrobić, Josephie?

– Będziesz bezpieczna, jeśli zostaniesz moją żoną. – Pogłaskał ją kciukiem po ramieniu. – Powinniśmy się pobrać.

Rozdział jedenasty

Czwartek, 4 marca 1886

Port Townsend, Terytorium Waszyngtonu

Pobrać się.

Słowa te były tak nieoczekiwane, że Mei Lien musiała kilka razy powtórzyć je sobie w myślach, zanim zrozumiała, o co mu chodzi.

– Pobrać się? – Potrząsnęła głową. – Nie bądź *shǎ*, niemądry, Josephie. To niemożliwe. Chodź, musimy już iść.

Przeszła obok niego, zamierzając poprowadzić go z powrotem do miasta, ale w tym momencie złapał ją za ramię.

– Mówię poważnie, Mei Lien. – W jego oczach dostrzegła wyzywający błysk. – Wiem, że nie jestem takim mężczyzną, jakiego planowałaś poślubić. Nie wpisuję się w odpowiednią religię ani tradycję, nie rozumiem wszystkich twoich słów, ale mogę się tobą zaopiekować i zapewnić ci bezpieczeństwo. Mogę dać ci dobre życie.

Mówił poważnie. Naprawdę uważał, że powinni wziąć ślub. Poprawiła torbę na ramieniu, po czym zdołała uwolnić się z jego uścisku i przejść obok niego.

– Nie mogę ci na to pozwolić, Josephie. Ty masz już dobre życie na swojej wyspie i niedługo znajdziesz sobie chrześcijańską pannę, z którą założysz rodzinę. Nie potrzebujesz mnie i tak naprawdę wcale mnie nie chcesz.

– Mylisz się. – Jego głos zabrzmiał władczo, ale nie to ją zatrzymało, tylko jego słowa. Nadal stała jednak plecami do niego. – Chcę cię i potrzebuję, Mei Lien.

W tym momencie się odwróciła.

– Do czego?

Stał tam, gdzie go zostawiła, pod gałęziami, z których kapała woda, a jego ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała.

– Przez te ostatnie tygodnie, kiedy mieszkaliśmy razem w mojej chacie, zacząłem tęsknić do dźwięku twojego głosu, który wita mnie wieczorami w domu. Podczas pracy w polu pragnę czuć obecność twojego ciała tuż przy moim. Często zastanawiam się nad tym, czy twoja skóra rzeczywiście jest tak delikatna, jaką ją zapamiętałem z tamtej nocy, gdy rozebrałem cię po wyciągnięciu z wody. Kiedy myślę o swoich dzieciach, wyobrażam je sobie z twoimi czarnymi włosami i brązowymi oczami.

Nie miała pojęcia, że Joseph też to czuje. Była przekonana, że tylko ona cokolwiek odczuwa, kiedy przebywają razem. Przez kilkanaście minut, jak jej się zdawało, nie była w stanie zrobić nic poza wpatrywaniem się w niego. Wyglądało na to, że jego własne słowa zaskoczyły go równie mocno, jak ją, bo twarz zapaliła mu się kolorem, którego nigdy przedtem nie widziała u mężczyzny. Nie spuszczał z niej wzroku, ale sposób, w jaki przestępował z nogi na nogę z kapeluszem w rękach, wskazywał na to, że rzeczywiście czuje się nieswojo.

– A co z dobrą, białą kobietą, która będzie stała u twojego boku w społeczności wyspy? – udało jej się w końcu powiedzieć, kiedy przewyciężyła pociągającą moc jego wyznania. – Co będzie, jeśli

spotkasz ją kiedyś, a będziesz uwiązany do mnie?

Na te słowa wyszedł spod drzewa, podszedł do niej i ujął obie jej ręce w swoje dłonie. Zapomniany kapelusz upadł na błotnistą ziemię.

– Nie wyobrażam sobie, że jakakolwiek biała kobieta mogłaby być piękniejsza albo bardziej odpowiednia dla mnie niż ty. Nie chcę jakiejś kobiety, której nawet nie znam. Chcę ciebie. Wyjdiesz za mnie, Mei Lien?

– A co z ludźmi, którzy zaczną cię unikać, kiedy tylko dowiedzą się, że wzięłaś ze mną ślub? Będziesz obiektem kpin. I nie zostaniesz członkiem rady miasta, a już na pewno nie burmistrzem. – Ze sposobu, w jaki opisywał jej wcześniej te stanowiska, domyślała się, jak dużą wagę do nich przywiązywał.

Teraz już z pewnością przekona go, żeby porzucił swój pomysł.

Ale on potrząsnął głową.

– Nie dbam o to, co ktoś sobie pomyśli. Po tych kilku tygodniach spędzonych z tobą zacząłem inaczej patrzeć na ludzi i na wydarzenia. Życie obywatelskie wcale nie wydaje się takie podniosłe, kiedy ci, którym się służy, depczą innych tylko po to, żeby sami mogli skorzystać. Jesteś wszystkim, czego mi potrzeba.

Nie odpowiedziała, więc ścisnął jej dłonie.

– Jaka jest twoja decyzja?

Próbowała wyrwać ręce, ale nie pozwolił jej na to. Wtedy, sfrustrowana, powiedziała już ostatnią rzecz, jaka mogła ich powstrzymać przed popełnieniem tego błędu.

– Ale, Josephie, ja cię nie kocham.

Jeszcze zanim skończyła wypowiadać te słowa, uświadomiła sobie, jak absurdalnie muszą brzmieć w ustach kogoś takiego jak ona. Gdyby nadal mieszkała w Seattle, miałyby przed sobą perspektywę zaaranżowanego małżeństwa, w którym pojęcie miłości nie było zupełnie brane pod uwagę. Czy ona w ogóle wie, co to znaczy kogoś kochać?

Jego usta wygięły się w uśmiechu.

– Nie szkodzi. Może kiedyś mnie pokochasz.

– Ale ty też mnie nie kochasz.

– Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien.

Nagle jego usta dotknęły jej warg. Na początku czuła się, jakby oglądała tę scenę z boku. Ale potem miękkość jego warg, ciepło oddechu na jej policzku i uścisk dłoni na jej ramionach zawęziły jej spojrzenie tak, że wkrótce nie istniało dla niej już nic poza Josephem. Jego usta były słone, jak szynka, którą wcześniej jadł, ale wyczuła też inny, głębszy smak, którego nie potrafiła określić. W momencie, w którym rozchyliła usta i przesunęła głowę tak, żeby lepiej się do niego dopasować, uświadomiła sobie, że jest to po prostu jego smak. Smak Josepha. I chciała go więcej. Pragnęła więcej.

Jego wargi przesunęły się na jej policzek i szyję. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, zapominając zupełnie, że stoją na otwartej przestrzeni, gdzie każdy może ich zobaczyć. Coś gorącego i wilgotnego przesunęło się wzdłuż jej szyi aż do ucha i wywołało w jej ciele dreszcz rozkoszy, od którego wyrwało jej się nagłe westchnienie. Nigdy nie przypuszczała, że język można wykorzystać w taki sposób.

– Spróbuj mi teraz powiedzieć, że nie byłoby nam razem dobrze – Joseph wyszeptał jej do ucha między pocałunkami.

W jego słowach uchwyciła wyzwanie i obietnicę, a jej ciało odpowiedziało na nie falą gorąca, które napłynęło jej nisko do brzucha. Musiała się zastanowić. Odsunęła się, żeby wprowadzić między nimi trochę dystansu, i uświadomiła sobie, że cała drży, choć nie jest jej zimno.

Usta Josepha wydawały się nabrzmiące, a jego oczy były półprzymknięte, jakby właśnie się obudził

z długiego snu. Koniuszkami palców dotknęła własnych ust, żeby sprawdzić, czy są równie napeęczone. Były.

Na jego twarz powoli wypląnął leniwy uśmiech, który strzelił jej prosto w kołana, tak że nagle zmiękły jej nogi. Uczucie to nie było do końca przyjemne, ale spodobało się jej.

Chciała powiedzieć „tak”, chciała otulić się bezpieczeństwem, jakie roztaczał, i pozostać w nim na zawsze. Chciała, żeby jeszcze raz ją pocałował.

Z drżącym oddechem ogarnęła wzrokiem jego sylwetkę i zastanowiła się, jak by to było pozwolić mu dotykać się tak, jak mąż dotyka żonę. Słyszała o tych sprawach, kiedy obracała się jako chłopiec wśród mężczyzn z Seattle.

Duże, stwardniałe dłonie Josepha wydadzą się pewnie szorstkie na jej skórze, ale są ciepłe i delikatne. Przypominał jej pod tym względem ojca. Obaj byli troskliwymi mężczyznami i darzyli swoje rodziny głęboką miłością. A ona i Joseph stanowili już rodzinę, niezależnie od ewentualnego ślubu.

Ale on był taki duży. Większy niż ojciec. Większy niż Yeung Lum czy jakikolwiek Chińczyk, jakiego znała. Na pewno zrobi jej krzywdę.

Chociaż może niekoniecznie. Widziała kiedyś, jak tuli w ramionach dzikiego królika, a potem puszcza go wolno, mimo że mógłby zjeść go na kolację. Doświadczyła jego delikatności, kiedy podczas pracy w polu stawał za nią z rękami zaciśniętymi na jej dłoniach i uczył, jak trzymać motykę. Teraz też obejmował ją tak delikatnie, że czuła całą jego troskliwość. Może i jest duży, ale nie skrzywdzi jej. Nie był taki jak inni biali.

Joseph patrzył na nią swoimi łagodnymi, zielonymi oczami i czekał na odpowiedź, a czerwień jego ust powoli bladła. Mei Lien pomyślała o jego chacie i ziemi, o miejscu po drugiej stronie łąki, w którym zaczął już budować porządny dom, jak sam to określał. Był to na razie tylko szkielet, ale pracował nad nim w każdej wolnej chwili i planował przeprowadzić się pod koniec lata. Mogłaby wprowadzić się tam razem z nim i byłby to największy dom, w jakim dotąd mieszkała. Potrafiła wyobrazić sobie, jak przygotowuje Josephowi kolację w kuchni, która zajmuje całą tylną część pierwszego piętra. W myślach widziała siebie, jak uprawia ogród, który urządziliby na poletku przy tylnym wejściu do domu. Mogłaby nawet pomagać Josephowi przy zwierzętach w oborze, chodzić z nim na ryby nad zatokę albo towarzyszyć w polowaniach na sarny na zboczach góry za gospodarstwem.

Ale jeszcze bardziej zaskakujące było to, że potrafiła sobie wyobrazić, jak siedzi z Josephem na ganku już jako staruszka. Widziała, jak leży u jego boku pod kołdrą. Ich dzieci miałyby jego cierpliwość i jej odwagę. Jego zielone oczy i jej czarne włosy.

Mieliby dobre życie. Wiedziała, że Joseph nie myli się co do tego. Ale czy ona kiedykolwiek go pokocha? Może i zbliży się do tego uczucia, jednak pamiętała, że w chwili, kiedy zobaczyła ciało babki na plaży, poczuła, jak pewna część niej samej kurczy się i umiera. W całym swoim życiu kochała tylko dwie osoby, ojca i babkę, a gdy została od nich oderwana, straciła to wszystko, co się z nimi wiązało. Nie była pewna, czy to, co w niej pozostało, wystarczy, żeby kogokolwiek pokochać. Jej serce zostało zmiażdżone pod obcasem tego białego diabła Campbella. Wydała z siebie zduszony okrzyk:

– Campbell!

– Gdzie? – Joseph przyciągnął ją do siebie i objął opiekuńczo ramieniem, a wzrokiem zaczął przeszukiwać otaczające ich pole.

– Nie, nie ma go tu. – Wysunęła się z jego objęć. – Ja... Ja tylko sobie przypominałam, że on mieszka obok ciebie. Kiedy dowie się, że tam jestem, będzie chciał mnie zabić, dlatego że wiem, co zrobił. Do końca życia musiałabym się przed nim ukrywać i zastanawiać, kiedy znowu uderzy. Nigdy nie poczuję się bezpieczna.

– Będę przy tobie. Ochronię cię.

Potrząsnęła głową i otuliła się własnymi ramionami.

– Nie uda ci się. Nie będziesz przy mnie bez przerwy każdego dnia. Musisz uprawiać swoje pola i sady, robić zakupy, sprzedawać plony. Roznosić pocztę.

– Campbell przez większość czasu mieszka w Seattle. Na wyspę przyjeżdża tylko na kilka dni, raz na parę miesięcy. Poza tym na parowcu wyglądałaś na chłopca, prawda?

Mei Lien pokiwała powoli głową.

– No właśnie – ciągnął Joseph. – A ja przywiozę cię na wyspę jako kobietę, moją młodą żonę z Port Townsend. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby powiązać cię ze statkiem Campbella.

O tym nie pomyślała. Ale mimo wszystko...

– Campbell i jemu podobni od razu mnie znienawidzą tylko dlatego, że wyglądam inaczej. Nawet jeśli nie będzie wiedział, że byłam na jego statku, nie ochroni mnie to przed nim.

W oczach Josepha zobaczyła zrozumienie, które uświadomiło jej, że się nie myli. Zmieniła temat, żeby oszczędzić mu kłopotu związanego z cofnięciem oświadczeń.

– Liczę na to, że uda mi się znaleźć pracę w charakterze chłopca do posług – powiedziała i ruszyła przez pole w stronę najbliższego budynku, nie czekając, aż Joseph pójdzie za nią. – A może lepiej kucharza. W każdym razie powinno to być coś, co pozwoli mi się ukrywać przez większość czasu w jednym pomieszczeniu.

Na ramieniu Mei Lien spoczęła ręka Josepha, która powstrzymała ją przed odejściem. Kiedy się odwróciła, żeby na niego spojrzeć, zobaczyła jego zmarszczone czoło.

– Ochronię cię przed Campbellem i przed każdym, kto będzie chciał wyrządzić ci krzywdę. – Głos mu się urwał, więc przerwał na chwilę i zacisnął usta, po czym ciągnął dalej. – Obiecuję, że będziesz bezpieczna. Tylko proszę, powiedz, że zostaniesz moją żoną.

Mogłaby sobie wmówić, że przekonał ją wyraz bezbronności wypisany na jego twarzy albo to, że niemalże ją błagał, albo po prostu brak innych możliwości. Ale wiedziała, że prawdziwym powodem był ogień, jaki Joseph rozpalał w jej ciele. Pragnęła dowiedzieć się, gdzie prowadzi to uczucie, i wiedziała, że tylko on może jej to pokazać. Nigdy wcześniej nie była tak pełna życia i sił – doznania te były jej prawie zupełnie obce, ale bardzo mile widziane.

W przypiływie nagłego onieśmienia spuściła wzrok na ziemię.

– Tak, wyjdę za ciebie.

Joseph uniósł palcami podbródek Mei Lien, żeby spojrzeć jej w twarz. W tym momencie wszystko dookoła wydało jej się obrazkiem z jednej z fotografii, jakie widziała poustawiane w oknie hotelu Occidental w Seattle. Zdawało jej się, że cały świat się zatrzymał i zostało tylko ich dwoje, uchwyconych w scenie, która już na zawsze pozostanie wryta w jej umyśle.

Na twarz Josepha powoli wypłynął uśmiech, który rozszerzył się tak, że zdawał się rozświetlać go całego od środka. Jakby w odpowiedzi, blask ten zaczął wypełniać także wnętrze Mei Lien, a kiedy Joseph podniósł ją i zakręcił dookoła z radosnym okrzykiem, poczuła, że ona sama też się śmieje. W tej chwili nie pamiętała już, jakie wydarzenia doprowadziły ją do tego miejsca. Zamknęła oczy i poddała się przyjemnemu drzeniu, w jakie wprawiał ją uścisk Josepha.

Kiedy postawił ją znowu na ziemi, złożył jeszcze jeden szybki pocałunek na jej ustach, a potem, zatrzymując się tylko na krótką chwilę, potrzebną do zebrania ich rzeczy, niemalże zaciągnął ją z powrotem do miasta.

Ustalenie wszystkich szczegółów zajęło ponad godzinę. Joseph zapłacił Baronowi za pomoc w znalezieniu odpowiedniego człowieka – kapitana z Tacomy, który czekał, aż jego statek zostanie rozładowany, i który nie miał skrupułów, żeby za odpowiednią cenę udzielić ślubu białemu mężczyźnie i chińskiej kobiecie – Joseph kupił też w jego sklepie obrączki z czystego złota, a także suknię i buty dla Mei Lien.

Dziewczyna nie chciała przyjąć sukni, ponieważ wolała nosić spodnie i kaftan, ale Joseph

przypomniał jej, że powinna ubierać się jak kobieta, żeby Campbell jej nie rozpoznał. A potem dotknął dłonią jej policzka i powiedział, że zasługuje na to, żeby wyglądać i czuć się pięknie w dniu swojego ślubu. I chociaż akurat ta suknia nie odpowiadała jej wyobrażeniu piękna, przyjęła ją i pozwoliła zabrać się pospiesznie dwa domy dalej od sklepu Barona, żeby przygotować się do ceremonii. Mei Lien nie wpuszczono by do żadnego szanującego się hotelu ani domu prywatnego, ale Baron znalazł dom publiczny, w którym zgodzono się udzielić jej pomocy, choć niechętnie.

Nawet teraz, kiedy stała przed wysokim lustrem w jednej z sypialni na piętrze, włosy miała upięte w kobiecy kok, a na sobie kilka warstw halek i czarną, wykrochmaloną, jedwabną suknię z turniurą, nadal nie czuła się piękna. Czuła się po prostu głupio w tym stroju, w lnianej bieliźnie i w ciasnym, fiszbinowym gorsecie. Nigdy w życiu nie była tak ubrana i nigdy więcej nie chciała tego powtórzyć, jeśli miało to oznaczać, że będzie się czuła jednocześnie tak skępowana i obnażona. W jaki sposób kobieta może wykonywać swoje codzienne obowiązki, jeśli chodzi tak ciasno zapakowana?

– Nie widzę powodu, żeby tak się z nią cackać.

Mei Lien obrzuciła spojrzeniem nadąsaną prostytutkę, która wylegiwała się na łóżku zajmującym większą część małego pokoju. Kobieta miała surowy wygląd, splątane rude włosy i za dużo różu na obwisłych ze starości policzkach. Zielona, jedwabna suknia zwisała jej luźno z ramienia upstrzonego piegami.

– Cicho, Perło. Płacą nam, a to już wystarczający powód. – Młodsza kobieta, która przedstawiła się jako Szafira, stała za Mei Lien i starannie zapinała małe guziczki biegnące rzędem wzdłuż jej kręgosłupa. Spojrzała w oczy Mei Lien w lustrze i uśmiechnęła się, ukazując brak przedniego zęba. – Nie zwracaj na nią wcale uwagi. Jest po prostu zazdrosna.

– Zazdrosna o śmierdzącą Chinolkę? – Z odgłosem obrzydzenia Perła skoczyła na równe nogi i zniknęła za drzwiami sypialni.

– No. Gotowe. – Szafira odsunęła się i oparła ręce na biodrach. Potem przechyliła głowę na bok. – Może powiniśmy upudrować ci skórę, żeby nie wydawała się taka ciemna.

Mei Lien nie zwróciła uwagi na te słowa, bo przyglądała się swojemu odbiciu i zauważyła właśnie, jak jej sylwetka zmieniała się pod wpływem sukni. Skrzyżowała ręce i osłoniła się nimi jak tarczą. Czy naprawdę ma wyjść do ludzi w takim stroju i pozwolić, żeby wszyscy zobaczyli, żeby Joseph zobaczył, jak... jak jej piersi odstają od reszty ciała? Przecież te dwa wzgórciki tak strasznie rzucają się w oczy, że równie dobrze mogłaby być naga. No i talia! Wyglądała na nienaturalnie wąską, a to sprawiało, że biust wydawał się jeszcze większy. Szafira powiedziała nawet coś o tym, że mąż Mei Lien będzie mógł objąć jej talię samymi dłońmi, co było absurdalnym pomysłem.

– Baron mówi, że już czas – bąknęła Perła w drzwiach, po czym znowu zniknęła.

Mei Lien zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest ubrana w swoje zwykłe sam oraz fu i od razu poczuła, jak z jej ciała znika napięcie. Wolała męskie ubrania, ale wiedziała, że od tego dnia to, co ona woli, będzie musiało ustąpić przed życzeniami jej męża. A on chciał, żeby chodziła w sukniach. Poza tym suknie pomogą jej ukrywać się przed Campbellem.

Z westchnieniem otworzyła oczy i zmusiła się do opuszczenia ramion. Potem zeszła za Szafirą po schodach do salonu, w którym czekał Joseph z Baronem i kapitanem. Kiedy Joseph ją zobaczył, jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia i podziwu. Posłał jej ciepły uśmiech, który trochę rozładował napięcie.

Mei Lien bez słowa stanęła obok przyszłego męża i spuściła głowę, żeby nie dostrzegł zażenowania, które malowało się na jej twarzy. Nie był to ślub, o jakim zawsze marzyła. Pomimo ręcznie robionych serwet na meblach i koronkowych fi raneck w oknach nadal był to dom publiczny. A ona powinna przyjechać do domu rodzinnego swojego przyszłego męża w barwnej lektyce i mieć na sobie czerwone, jedwabne *hung kwa*. Zamiast kobiet lekkich obyczajów i kupców, którzy przyszli ubić interes, nowożeńców powinni otaczać członkowie rodziny i przyjaciele.

Kapitan zaczął mówić, a Mei Lien odsunęła od siebie nieprzyjemne myśli. Przyszedł czas, żeby pożegnać się z przeszłością i z nadzieją spojrzeć w przyszłość. Nawet jeśli nie ze względu na siebie samą, to ze względu na Josepha.

Za zachętą kapitana powtórzyła jego słowa. Uśmiechnęła się do Josepha, kiedy składał jej przysięgę, i przez cały czas próbowała uwierzyć, że związek ten przyniesie im szczęście.

Kiedy było po wszystkim, a kapitan ogłosił ich mężem i żoną, Joseph pocałował ją delikatnie w usta, na co panie obecne w pokoju zaczęły gwizdać i wznosić rubaszne okrzyki, które miały im dodać odwagi. Joseph zignorował je i uśmiechnął się do Mei Lien.

– Miło mi panią poznać, pani McElroy.

Pani McElroy. Poczowała się dziwnie, kiedy zwrócił się do niej tym nazwiskiem. W jej kulturze kobiety nie przyjmowały nazwiska po mężu. Ale uśmiechnęła się ze względu na Josepha.

– Dziękuję.

Ścisnął ją za rękę.

– Pięknie wyglądasz, Mei Lien.

Poczowała, jak na jej twarz wypływa gorąco. Odwróciła wzrok, chcąc ukryć zaskakujące pragnienie i towarzyszące mu zawstydzenie, jakie wzbudziły w niej słowa Josepha.

Wkrótce znaleźli się z powrotem na ulicach miasta i szli pospiesznie na parowiec, który miał zawieźć ich do domu, bo nawet Baron nie był w stanie zapewnić im przyzwoitego pokoju na noc poślubną, a słońce szybko chyliło się ku zachodowi. Kiedy dotarli do portu, gdzie czekały na nich zamówione towary, za które Baron kazał sobie więcej zapłacić ze względu na przyspieszoną dostawę, Mei Lien poczuła, jak jej wzrok wędruje ponad oświetlonymi ulicami na północ, w kierunku pogrążającej się w mroku plaży, gdzie znaleziono ciało babki. Fala przyływu zakryła już całkowicie skały, na których wcześniej leżała staruszka.

Po babce zniknął wszelki ślad, a Mei Lien wiedziała, że jej życie sprzed tamtej koszmarnej nocy również odeszło na zawsze. Już nigdy nie dotknie, nie poczuje, nie zobaczy ani nie usłyszy niczego, co pochodziłoby z tamtych czasów. Nigdy.

Kiedy patrzyła na zalaną wodą plażę, poczuła, jak wkrada się w nią cichy, palący gniew. W myślach obiecała swojej rodzinie, że nigdy nie zapomni krzywdy, jaka została im wyrządzona.

Zadba o to, żeby kiedyś, w jakiś sposób, prawda wyszła na jaw. Opowie tę historię albo zginie, próbując to zrobić.

Rozdział dwunasty

*Poniedziałek, 9 lipca – czasy obecne
Siedziba PGM, Seattle*

W podziemiach budynku PGM Inara wysunęła kolejną szufladę z kartotekami i zaczęła przeglądać zakurzone dokumenty w poszukiwaniu czegokolwiek z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego. Zajmowała się tym już od godziny i zostało jej tylko czterdzieści pięć minut do umówionego spotkania z ojcem.

Mogła porozmawiać z nim poprzedniego dnia w domu, jak tylko przyjechała, ale chciała, żeby ich spotkanie miało charakter zawodowy. Właściwie to nie powiedziała mu nawet, że jest w mieście, tylko przenocowała w pokoju gościnnym u siostry, mimo że Olivia była z rodziną na wakacjach na Hawajach. Z samego rana Inara zadzwoniła do asystentki ojca, Zoé, żeby umówić się na spotkanie.

Następnie skierowała się prosto do siedziby PGM, a ochroniarz, który ją znał, nawet nie mrugnął okiem, kiedy powiedziała mu, że musi poszukać czegoś w archiwach firmy.

Miała nadzieję, że szybko znajdzie to, czego szuka, i dowie się, czy przytłaczający ją wewnętrzny ciężar ma jakieś uzasadnienie, czy też nie. Na razie przypuszczała, że Mei Lien przedstawiła „Księcia Pacyfiku” na swoim rękawie przez przypadek, a obecność statku na hafcie nie miała większego znaczenia.

Ale i tak musiała się upewnić.

Dziesięć minut przed umówioną godziną znalazła teczkę z ręcznie pisany dziennikiem okrętowym „Księcia Pacyfiku”, opatrzonym datą siódmego lutego tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku, kiedy to według Daniela Chińczycy zostali wypędzeni z Seattle. Duncan Campbell, właściciel statku, był wymieniony jako dowodzący rejsem, a kapitan pełnił funkcję zastępcy.

W Seattle na pokład weszło trzysta czterdzieści siedem osób, wszystkie pochodzenia chińskiego, a ich podróż została opłacona po obniżonych stawkach, po części przez samych Chińczyków, a po części przez obywateli Seattle skłonnych do wszelkich poświęceń, żeby tylko pozbyć się z miasta całej niechcianej grupy etnicznej.

Następny wpis pochodził z kolejnego dnia, z Astorii w stanie Oregon. Mimo że nic nie zostało tam wyładowane, „Księżę Pacyfiku” przyjął na pokład jeszcze dwustu siedemdziesięciu sześciu pasażerów, ich bagaże i dziewięćset ton łososia w puszkach, które miały dotrzeć do San Francisco.

Niemożliwe, żeby wszystko to zmieściło się na statku razem z ponad trzystoma pasażerami, którzy już na nim byli.

Przyjrzała się dokładniej atramentowym gryzmołom. Kiedy parowiec przybił do Astorii, nic nie zostało wyładowane, a żadnych wcześniejszych postojów nie odnotowano. Gdzie się podzieli wszyscy Chińczycy? Nie mogli tak po prostu zniknąć.

Nagle ją olśniło.

A razem z olśnieniem przyszła tak gwałtowna fala mdłości, że Inara spłynęła potem i musiała usiąść tam, gdzie stała, na zakurzonej, cementowej podłodze.

Zostali wyrzuceni za burtę. Przez jej praprapradziadka.

Ogarnęło ją przerażenie i wstyd, które sprawiły, że złapała się dłońmi za głowę. Jej myśli wirowały.

Gdyby statek zacumował gdzieś, żeby wysadzić pasażerów, zostałoby to odnotowane w dzienniku okrętowym. Poza tym w tamtych czasach nagły napływ Chińczyków do jakiegokolwiek społeczności wywołałby poruszenie. A fakt, że w dzienniku nie znajdowało się żadne logiczne wyjaśnienie ich zniknięcia, dowodził tylko tego, że firma wolała zatrzeć po sobie ślady. Na statku wydarzyło się coś nielegalnego i nieludzkiego.

Sceny wyhaftowane na rękawie nie były metaforą czy wyolbrzymieniem, jak zakładał Daniel. Przedstawiały rzeczywiste zdarzenie – morderstwo, jakiego Duncan Campbell i jego pracownicy dopuścili się na setkach niewinnych ludzi poprzez wyrzucenie ich ze statku. I mimo że ludzie ci po prostu zniknęli, przez te wszystkie lata nikomu z jej rodziny nie wydało się to podejrzane.

Wiedziała, że jeśli będzie dalej szukać, to znajdzie dowody na to, że obywatele Seattle byli przekonani, jakoby Chińczycy dotarli bezpiecznie do San Francisco albo do Chin. To znaczy jeżeli w ogóle zastanawiali się później nad ich losem. Krewni i przyjaciele zabitych byli prawdopodobnie zbyt przestraszeni, żeby pytać, dlaczego od tamtej pory ich bliscy nie dawali znaku życia. Albo oni również założyli, że tamci przenieśli się do Kalifornii i jakoś się tam urządzili.

Ale Mei Lien знаła prawdę. I wykorzystała haft, żeby opowiedzieć światu o tym, co się stało. O Boże, czy ona też została wyrzucona za burtę? I jakimś cudem przeżyła? Czy właśnie w ten sposób znalazła się na Orcas?

Alarm w telefonie Inary odbił się głośnym echem w zakurzonej podziemi, aż się wzdrygnęła. Nadszedł czas na spotkanie z tatą. To dobrze. On będzie wiedział, co z tym wszystkim zrobić. Pospiesznie schowała teczkę do torby, wstała i wsunęła z powrotem szufladę, po czym skierowała się do windy.

Nie minęły cztery minuty, a stała już na najwyższym piętrze budynku, przed biurkiem ojca, skąd roztaczał się widok na zatokę Elliott Bay migoczącą sześćdziesiąt siedem pięter niżej w promieniach słońca, które przebijało się przez chmury.

Charles Erickson wydawał się zadowolony z tego, że ją widzi.

– Myślałem, że przez jakiś czas nie zamierzasz przyjeżdżać – powiedział i oparł się dłońmi o blat, żeby wstać. Podniosła rękę, powstrzymując go przed obejściem biurka i przytuleniem jej na powitanie. Usiadł z powrotem z pytającym spojrzeniem.

Przeszła od razu do rzeczy.

– Czy kiedy firma zaczynała działalność, zdarzało nam się przewozić ludzi, a szczególnie Chińczyków, z Seattle do San Francisco?

Siedział dziwnie nieruchomo.

– Oczywiście. Przewoziliśmy wszystko, co wymagało transportu z jednego miejsca do drugiego.

Zawahała się, nie wiedząc, jak jej ojciec przyjmie tę wiadomość. Pewnie będzie tak samo zdruzgotany jak ona.

– Tato – zaczęła łagodnie – martwi mnie szczególnie jeden rejs. Siódmego lutego tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku „Księżę Pacyfiku” opuścił port pełen pasażerów. Chińskich pasażerów.

Ojciec mocno oparł dłonie na wypolerowanej powierzchni biurka.

– Mów dalej.

Inara przełknęła ślinę.

– Ci Chińczycy nigdzie nie dotarli. Tak jakby zniknęli. Następnym portem, w jakim zatrzymał się statek, była Astoria, i nie wysiadł tam ani jeden pasażer. A jednak przyjęli na pokład kolejnych ludzi i towary.

Jej ojciec wstał, odwrócił się do niej plecami i spojrzął przez okno na Elliott Bay, gdzie jeden z kontenerowców PGM był właśnie holowany do doków na Harbor Island. Poczowała wyrzuty sumienia. Może nie powinna go tym obarczać.

Ale musiał się przecież dowiedzieć.

– Wydaje mi się... że Duncan Campbell ich zamordował.

Ojciec spuścił głowę, co sprawiło, że Inara chciała cofnąć swoje słowa.

Jednak w momencie, kiedy otworzyła usta, żeby powiedzieć, że pewnie się myli i że to jakieś nieporozumienie, ojciec powiedział:

– Wiedziałem, że nie powinnaś się tu kręcić.

Zamknęła usta i patrzyła na ojca. Jego słowa nie miały sensu. Kiedy bezskutecznie próbowała je zrozumieć, zabręczał interkom i odezwała się Zoé.

– Panie Erickson, właśnie dzwonił kierowca. Odebrał ludzi Yōu Yi z lotniska i powinien tu być w ciągu dwudziestu minut.

Ojciec podszedł do biurka i nacisnął przycisk.

– Dzięki, Zoé. Daj znać, jak tylko przyjadą.

Rozłączył się, włożył ręce do kieszeni w spodniach i spojrzał na Inarę nad szerokim biurkiem.

– Twoja babcia opowiedziała mamie o tym zdarzeniu, które Duncan określał jako „pozbycie się zbędnego balastu”. Wiedział, że nie należy opowiadać o tym publicznie, ale prywatnie szczycił się tym, co zrobił. Twierdził, że uratował swój statek przed ruiną, do jakiej z pewnością by go doprowadził, gdyby pozwolił brudnym Azjatom zostać na pokładzie. Potem zgodnie z rozkładem popłynął do Astorii po pasażerów i towar, więc nikt się niczego nie domyślił.

Jej uwagę przykuło pierwsze zdanie.

– Mama wiedziała?

Pokiwał głową.

– I każdego dnia do końca swojego życia próbowała naprawić to własną pracą.

Inara poczuła ucisk w gardle i osunęła się na jedno z krzeseł przed biurkiem. Jej rodzice przez cały czas o tym wiedzieli i pozwolili, żeby ona i reszta Seattle czcili Duncana Campbella jako wielkiego ojca-założyciela, podczas gdy w rzeczywistości był on rasistowskim mordercą. Pisała o nim wypracowania w szkole i z dumą oglądała szkolne występy, w których Duncan był głównym bohaterem. Gdyby wiedziała, to... to... Opuściła głowę na pierś. Nie miała pojęcia, co by zrobiła. Może nic, tak jak jej rodzice.

– Tato, dlaczego? – Nie wiedziała, czy pyta o to, dlaczego Duncan to zrobił, czy o to, dlaczego rodzice aż dotąd nie wyjawili jej prawdy. Może o jedno i drugie.

– W tamtych czasach było inaczej. Ludzie nic nie wiedzieli o innych kulturach i narodowościach. Wiedzieli tylko, że Chińczycy bardzo się różnią od wszystkiego, do czego przywykli, i to ich przerażało. Lęk może doprowadzić ludzi do potwornych rzeczy.

– Ale większość ludzi nie morduje niewinnych rodzin ze strachu. – Inara zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Nadal nie mogła zrozumieć tego, że jej rodzice przez cały czas o wszystkim wiedzieli.

– Kiedy zaczęłaś mówić o tym chińskim rękawie, który znalazłaś, domyśliłem się, że jest on w jakiś sposób związany z tym, co zrobił Duncan. – Spuścił głos o oktawę niżej. – Powinnaś się go pozbyć, Inaro. Spal go.

Nagle szeroko otworzyła oczy.

– I dalej mam opowiadać kłamstwa na temat naszej rodziny? Mówić, jacy to jesteśmy wspaniali, tak jak ty to robisz od tak dawna? – Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem po biurze, trzymając się z daleka od taty. – Mam stanąć za kilka miesięcy przed kamerami i oddać Park Duncana Campbella mieszkańcom Seattle, wiedząc, że zamordował setki z nich? Nie. Nie mogę tego zrobić. Nie zrobię.

– Musisz, Inaro. Prawda wyrządzi więcej krzywdy, niż jest tego warta.

Zatrzymała się.

– Naprawdę, tato? Nie sądzisz, że krzywda została wyrządzona ponad sto lat temu, a ty, mama, dziadek i cała reszta tylko pogorszyliście sprawę kłamstwami?

Usiadł znużony w swoim skórzanym fotelu. Jego twarz zrobiła się blada.

– Mówisz jak twoja matka. Ona też uważała, że prawda powinna wyjść na jaw, ale rozumiała, jaką szkodę przyniosłoby to naszej firmie i rodzinie. Właśnie wtedy zaczęła poświęcać tak wiele swojego czasu i naszych pieniędzy na cele charytatywne. Misją jej życia stało się przynajmniej częściowe naprawienie krzywd, jakie wyrządził jej prapradziadek.

– Nie wiedziałam o tym. – To tłumaczyło, dlaczego matka tak ciężko pracowała.

– Nikt nie wiedział, kochanie.

Inara poczuła się przytłoczona ilością spraw, jakie musiała przemyśleć. Stała obok ojca przy oknie, spojrzała w dół na wodę i zaczęła się zastanawiać, jak miasto wyglądało tego dnia, kiedy Mei Lien i jej rodzina zostali wsadzeni na parowiec, żeby już nigdy tu nie wrócić. Jej duszę paliło poczucie winy. Może i nie żyła w tamtych czasach, ale czuła się odpowiedzialna za to, co się stało. Tak jak jej mama, chciała znaleźć jakiś sposób, żeby to naprawić. Żeby oczyścić swoją rodzinę z hańby.

– Mamie to pomogło? Ta praca charytatywna?

– Trochę. – Nie rozwinął tego, ale Inara wiedziała, że kiedy jej mama umierała, poczucie winy nadal mocno jej ciążyło.

– W domu Dahlii, jeszcze zanim Campbell go kupił, mieszkała kiedyś pewna Chinka. Wiedziałeś o tym? – Ojciec otworzył szerzej oczy, więc domyśliła się, że nie wiedział. – Nazywała się Mei Lien i była żoną Josepha McElroya. To ona wyhaftowała rękaw. Była świadoma tego, co Duncan zrobił tamtej nocy, ale nie wiadomo, co łączy ją z tamtymi wydarzeniami ani w jaki sposób znalazła się na wyspie. Ty wiesz?

– Nie. I pewnie nigdy się nie dowiemy, a ty powinnaś to zostawić. Przestań to drążyć i nie próbuj wydobywać na światło dzienne dawno pogrzebanych tajemnic. Masz na głowie wystarczająco dużo spraw związanych ze swoim hotelem. – Wstał i oparł się rękami o biurko. – Pomyśl o swoim bracie, przygotowującym się na dole do przyjęcia chińskich biznesmenów, którzy sprzedają nam swoją firmę, powierzają nam majątek, pracowników i reputację. Kiedyś Nathan przejmie po mnie firmę. Chcesz zniszczyć jego przyszłość? I przyszłość swojej siostry? Nikt nie będzie przyprowadzał dzieci do jej kliniki, jeśli prawda wyjdzie na jaw. Musisz to przemilczeć, Inaro.

Przygana, jaką słyszała w jego głosie, ugodziła ją prosto w serce, ale odepchnęła od siebie to uczucie.

– Tak, wiem – powiedziała wymijająco. – Musisz iść na spotkanie, więc nie będę ci już zawracać głowy.

Wróciła do krzesła, żeby zabrać swoje rzeczy. Gniew, który palił ją jeszcze chwilę wcześniej, zmienił się teraz w dojmujący smutek. Wiedziała, że chociaż tak długo udało się zachować tajemnicę, znalezienie rękawa wszystko zmieni, niezależnie od tego, jak bardzo jej tacie zależało na ukrywaniu przeszłości.

Chyba że Inara go usłucha i przestanie drążyć sprawę rękawa i Mei Lien. Powie Danielowi, żeby zakończył poszukiwania. Spali rękaw.

– Mówię poważnie, Inaro. Jeśli piśniesz choć jedno słowo, będę zmuszony przestać finansować twój hotel. – Zaczynał się czerwienić na twarzy i wyglądał na spoconego.

Wiedziała, że silne zdenerwowanie nie robi dobrze jego sercu, ale musiała zadać to pytanie:

– Naprawdę byś mi to zrobił?

– Jeśli będziesz się upierać, żeby skrzywdzić resztę naszej rodziny, to nie będę miał wyboru.

Nie była już w stanie nic zrobić, więc tylko wpatrywała się w dywan i rozważała możliwe wyjścia

z sytuacji. Ale oczywiście nie wymyśliła żadnego. Została pokonana.

– Nie wyjawię prawdy. I masz rację. Powinnam skupić się na hotelu.

Jego czoło się wypogodziło, jednak kiedy usiadł w swoim fotelu, wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął niedużą fiolkę z pigułkami. Widziała, że próbuje ukryć przed nią tabletkę nitrogliceryny, którą włożył sobie pod język, ale ona i tak ją zobaczyła. Zmartwiła się.

– Wszystko w porządku, tato?

– Tak, tak, wszystko dobrze. – Podniósł się i sięgnął po marynarkę.

– Kiedy byłeś ostatnio u doktora Kozłowskiego?

Włożył marynarkę i skierował się do drzwi.

– Parę tygodni temu i powiedział, że jestem zdrow jak ryba. Nie martw się. Chodź, odprowadzę cię.

W samą porę Inara przypomniała sobie drugi powód swojej wizyty i podniosła rękę.

– Czeka, to nie wszystko.

Tata już sięgał do klamki, ale zatrzymał się na te słowa i odwrócił się do niej z westchnieniem.

– Słucham. – Zdawał się wyczerpany.

– Luxe Realty? Naprawdę?

Włożył ręce do kieszeni, a przez twarz przemknęło mu poczucie winy. Bez słowa wrócił do biurka, oparł się o wypolerowany, dębowy blat i skrzyżował ręce na swojej potężnej piersi.

– Jedyne, o co ją prosiłem, to żeby zrobiła analizę rynkową. Dzięki temu, jak przyjdzie co do czego, będziemy wiedzieli, ile jest warta posiadłość.

Jego cera nabrała zdrowszych kolorów, więc Inara nie miała skrupułów, żeby mu się przeciwstawić.

– Jak przyjdzie co do czego? Więc zwyczajnie zakładasz, że mi się nie uda?

– Martwię się o ciebie, kochanie. Nie masz wystarczająco dużo doświadczenia życiowego, żeby dobrze pokierować tym przedsięwzięciem, a nie pozwalasz mi zatrudnić kogoś, kto je ma.

– Bo dam radę, tato. Chcę zrobić to po swojemu, to dla mnie ważne.

– Ale wydajesz mnóstwo moich pieniędzy i nie jestem pewien, czy zobaczę je kiedyś z powrotem. – Poruszył się i skrzyżował kostki. – W każdej innej sytuacji pozwoliłbym ci na eksperymenty, ale tym razem stawka jest o wiele większa. Próbuję uchronić cię przed długami, z których musiałabyś potem wychodzić dosłownie do końca życia.

Nie dopuszczał możliwości, że jej się powiedzie. Boże, jak to bolało. Opadła na krzesło, które miała za plecami, wdzięczna za to, że tam stoi.

Tata zawsze ją wspierał, zawsze wprawiał ją w przekonanie, że może osiągnąć wszystko, co sobie zamierzy. Jego wiara w siły córki pozwoliła jej pokonać każde wyzwanie, przed jakim dotąd stawała. Jeśli on nie dopuszcza tego, że może jej się udać z hotelem, to może naprawdę nie ma takiej możliwości? Czy ona siebie oszukuje?

I kiedy tak patrzyła na swojego ojca, uświadomiła sobie, że oczekiwała od niego, że się wycofa, przeprosi i da jej wszystko, czego będzie chciała.

„Boże. Inara, dorośnij”. Paliło ją w gardle.

– Skąd te różowe sedesy? – Musiała się dowiedzieć.

Nie poruszył się, tylko podniósł brwi.

– Dałem ci pretekst potrzebny do tego, żeby zamknąć całą sprawę. Jesteś zbyt dobrze wykształcona, żeby mieszkać na tej odludnej wyspie i robić za karczmarkę. Pomyśl, jaką karierę mogłabyś zrobić w międzynarodowej firmie typu Starbucks, która, tak *à propos*, nadal ma dla ciebie otwarte stanowisko. Mógłbym też wybadać, gdzie jeszcze kogoś szukają.

Dokładnie tak, jak się spodziewała. Nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać, czy może na niego nakrzyczeć. Otworzyła usta, ale potem zamknęła je bez słowa. Nie przyjmie pracy w Starbucksie – ani

żadnej innej, jaką ojciec jej znajdzie. Wybuduje hotel, będzie go prowadzić i będzie to, do cholery, najlepszy hotel butikowy w całej okolicy.

Wyspa była jej powołaniem, podobnie jak biznes hotelarski. Może pierwotnie było to marzenie ciotki Dahlii, lecz teraz zamieniło się już zupełnie w jej własne. To było właśnie to, co chciała robić do końca swojego życia. Była tego pewna.

Ale nie miała kapitału potrzebnego do zrealizowania projektu, a pożyczki studenckie i chwilowy brak dochodów uniemożliwiały jej uzyskanie kredytu od kogokolwiek poza tatą. Bez niego jej się nie powiedzie.

– To dlaczego w ogóle dałeś mi pieniądze?

Jego wzrok złagodniał.

– Nic na to nie poradzę. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Ale nie wierzę, że wyspa to twoje przeznaczenie.

– Przyjedź, żeby ją zobaczyć. Wtedy zrozumiesz.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł brat Inary, Nate, obdarzając ją szerokim uśmiechem.

– Zoé powiedziała mi, że tu jesteś. Wszystko gra?

Uścisnęła go z roztargnieniem i spróbowała się uśmiechnąć.

– Tak, wszystko dobrze. Po prostu rozmawiam z tatą.

– Może mogę w czymś pomóc? – W firmie zajmował miejsce zaraz po ojcu. Oczywiście był gotów pomóc jej z każdym problemem, finansowym czy jakimkolwiek innym. Ale Inara nie chciała prosić go o pożyczkę. Sklep jego żony Jennifer odbijał się dopiero od dna, a musieli jeszcze posłać na studia dwóch synów.

– Dzięki, Nate, ale niczego nie potrzebuję. Naprawdę. Miło cię zobaczyć.

Przyglądał jej się przez chwilę z wyraźnym niedowierzaniem, a potem ścisnął ją za ramię.

– Ciebie też. – Potem odwrócił się w stronę ojca i przeszedł z powrotem na ton biznesowy. – Właśnie przyjechali ludzie z zarządu Yōu Yi. Bądź gotowy za pięć minut. – Następnie zwrócił się do Inary: – Są już prawie gotowi, żeby podpisać zgodę na przejęcie. Trzymaj kciuki, żeby dzisiaj zaakceptowali naszą ofertę.

Podniosła do góry dłoń z zaciśniętym kciukiem.

– Trzymam.

– Zobaczymy się na spotkaniu, Nate. – Tata nie poruszył się od momentu, kiedy wszedł jego syn.

Nate skierował się do wyjścia, a Inara i jej ojciec odprowadzili go milczeniem. W momencie kiedy zamknęły się za nim drzwi, Inara poczuła w piersi rosnące napięcie.

– Spojrzysz na moje plany? Mam przy sobie kilka rysunków i zestawienia finansowe. Dopiero zaczynam, ale myślę, że da ci to dobre wyobrażenie o całości. – Zdawała sobie sprawę z tego, że chwytła się ostatniej deski ratunku.

Nie odpowiedział, więc wyprostowała się i spróbowała jeszcze raz.

– W takim razie możemy jeszcze bardziej sformalizować naszą umowę. Co powiesz na to, żebym przepisała na ciebie część posiadłości, tak żebyś dostał nie tylko zwrot pożyczki z odsetkami, ale też udział w przyszłych zyskach z hotelu albo – wzięła głęboki oddech – w zyskach ze sprzedaży posiadłości, jeśli do niej dojdzie.

Mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego oczach błysk zainteresowania.

– Wiem, że miałeś względem mnie inne oczekiwania, ale możesz mi wierzyć, że wszystko, czego nauczyłam się na studiach, wykorzystam w pracy przy hotelu. To dla mnie wyzwanie, które sprawia, że czuję się szczęśliwa i pełna życia. Ten hotel ze wszystkimi komplikacjami, jakie ze sobą niesie, jest właśnie tym, do czego zostałam stworzona, a ty zgodzisz się ze mną, jak tylko go zobaczysz.

– Bawisz się dużymi pieniędzmi, Inaro. – W jego głosie pobrzmiwało zmęczenie.

– To nie jest zabawa. – Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, więc wróciła do krzesła, wyjęła z torby telefon i spojrzała w swój kalendarz. – Może przyjedziesz i sam obejrzysz hotel po skończeniu pierwszego etapu renowacji, czyli zgodnie z planem w weekend, na który przypada Święto Pracy? Zobaczysz to na własne oczy i wtedy zdecydujesz, czy dalej chcesz być moim partnerem biznesowym, czy wolisz zrezygnować. Jeśli się wycofasz, oddam ci od razu wszystkie pieniądze, nawet jeśli miałyby to oznaczać wystawienie posiadłości na sprzedaż. – Przełknęła ślinę. – Ale do tego czasu masz mi dać uczciwą szansę. Co ty na to?

Nic nie odpowiedział, tylko podniósł swoje siwiejące brwi i spojrzał na nią, jakby nadal była nastolatką, która prosi o zgodę na późny powrót do domu. Przygryzła wargę.

W końcu potrząsnął głową, a ona poczuła się, jakby jej serce roztrzaskało się o podłogę.

– Nie przyjmę udziałów – powiedział ku jej zaskoczeniu. – Trzymajmy się naszej pierwotnej umowy. Ale podoba mi się pomysł ze Świętem Pracy. Masz czas do pierwszego weekendu września. Wtedy podejmę zobowiązującą decyzję.

– A przestaniesz się mieszać do moich zamówień i odeślesz agentkę od nieruchomości?

– Tak. – Obdarzył ją uśmiechem, który zawsze sprawiał, że czuła się jego ukochaną córeczką.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Spodoba ci się. Obiecuję.

Wyciągnął do niej ręce, a ona przytuliła się do niego. Potem, wiedząc, że ojciec musi iść na spotkanie, zebrała swoje rzeczy i się pożegnała.

Przejechała sześć przecznic, upajając się odniesionym sukcesem, ale potem przypomniała sobie pierwszą część rozmowy. Czy ona naprawdę zgodziła się przerwać badanie historii haftowanego rękawa?

Jeśli tego nie zrobi, tata może wycofać fundusze pomimo umowy, jaką właśnie zawarli.

Nie mogła podjąć takiego ryzyka. Musiała odpuścić sobie rękaw. Będzie też musiała jakoś wytłumaczyć Danielowi tę nagłą zmianę decyzji.

Bez rękawa nie będzie miała dobrego powodu, żeby się z nim dalej spotykać, a to sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej przygnębiona. Ale gdyby nadal się z nim widywała, musiałyby kłamać, nie mogłaby mu powiedzieć tego, czego dowiedziała się o morderstwach, ani tego, że w ogóle do nich doszło. Daniel o niczym nie wiedział, a jako profesor uniwersytecki i wielbiciel historii na pewno zechciałby ujawnić prawdę całemu światu.

Bo właśnie tak powinno się stać. Tylko nie kosztem jej własnej rodziny.

Nie miała wyboru, musi powiedzieć Danielowi, że to koniec.

Rozdział trzynasty

Niedziela, 8 sierpnia 1886

Farma McElroyów, wyspa Orcas

Mei Lien obudziła się wcześnie rano i bardzo ostrożnie wysunęła się z łóżka, tak żeby nie obudzić Josepha, który poprzedniego wieczoru wrócił późno do domu, bo odbierał pocztę z parowca w Orcas Village. Nie rozumiała, dlaczego statek pocztowy nie może przyplłynąć do East Sound, dokąd Joseph miałby dużo bliżej, ale on tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami, kiedy go o to zapytała.

Wyszła na palcach z sypialni i delikatnie zamknęła za sobą drzwi, po czym zbiegła po schodach do kuchni i przeszła dalej do salonu, gdzie w koszyku z przyborami do szycia zostawiła swoją niespodziankę.

Rozejrzała się wokół siebie i przeszedł ją przyjemny dreszcz. Od czasu ślubu poświęcali każdą wolną minutę na wspólne wykańczanie nowego domu i w końcu w zeszłym tygodniu się tu wprowadzili. Uwielbiała to miejsce. Dom wydawał się solidny i okazały. Miał więcej pokoi, niż byli w stanie zagospodarować.

– Zapełnimy je dziećmi – droczył się z nią Joseph. W głębi duszy cieszyła się, że jej mąż chce mieć dzieci, bo ona też tego pragnęła. I to bardzo.

Uśmiechnęła się teraz, patrząc na okna salonu ozdobione zasłonami, które sama uszyła z worków po mące. Wzdłuż dolnej krawędzi każdej z nich wyhaftowała czerwonego smoka, który miał przynieść jej i Josephowi szczęście oraz powodzenie. Babka byłaby dumna z jej pracy.

Wciąż się uśmiechając, Mei Lien sięgnęła do koszyka i wyciągnęła niespodziankę, którą skończyła przygotowywać poprzedniego wieczoru. Rozłożyła sobie na kolanach nową torbę pocztową dla Josepha i przyjrzała się uważnie wzorom, które wyszyła na mocnym płótnie. Zamiast tradycyjnych chińskich symboli postanowiła wyhaftować scenę ze świata swojego męża. Na torbie widniała ta sama imponująca góra, która wystrzeliwała w niebo tuż za ich farmą – Mount Constitution, jak nazywał ją Joseph. Wzdłuż dolnej krawędzi rozciągał się pas niebieskiej wody – East Sound. A pomiędzy górą a wodą Mei Lien wyhaftowała całe gospodarstwo, z ich nowym domem, który był na wpół schowany między wiecznie zielonymi drzewami.

Nie mogła się jednak oprzeć i dodała kilka niedużych symboli, które miały pomóc Josephowi w jego wędrówkach z pocztą. Przy bocznej krawędzi domu wyszyła ochronną winorośl. W wodzie ukryła złote rybki, których nie można było spotkać w rzeczywistych wodach zatoki, ale wyhaftowane na torbie miały przynieść jej mężowi bogactwo i dobrobyt. Na górze, schowany za drzewami, leżał tygrys dla zapewnienia Josephowi odwagi i męstwa, których potrzebował czasami w trakcie swoich podróży i których na pewno będzie potrzebował w nadchodzących dniach, ponieważ coraz liczniejsi mieszkańcy wysp dowiadawali się o ich ślubie.

Ale ulubionym ukrytym symbolem Mei Lien były grzyby, jakie wyhaftowała w lesie na znak męskości, ponieważ postanowiła, że nadszedł czas na założenie rodziny, o którą Joseph tak ją nagabywał.

– Mei Lien?

Podskoczyła na dźwięk dobiegającego z kuchni głosu męża, po czym wrzuciła torbę z powrotem do

koszyka.

– Co tam masz? – zapytał Joseph, wypełniając nieduży salon swoją potężną sylwetką. Podszedł do niej, przykucnął koło koszyka i poklepał torbę, której nie udało jej się całkiem schować, a kącik jego ust powędrował do góry.

– Co to jest?

Uśmiechnęła się do męża i po raz kolejny uświadomiła sobie, jak wielkie ma szczęście, że trafił jej się taki mężczyzna.

– To niespodzianka.

Joseph przechylił głowę, wyciągnął torbę z koszyka i podniósł ją przed sobą.

– Torba pocztowa?

W nagłym onieśmieleniu Mei Lien wbiła wzrok w swoje kolana.

– Tak. To nasza farma.

– Widzę. Jest piękna. – Podniósł żonę i wziął ją w ramiona, zgniatając torbę między nimi. – Masz wielki talent. A ja jestem zaszczycony.

Potem przełożył sobie torbę przez ramię i kroczył dumnie po całym salonie, żeby jej się pokazać, a ona śmiała się, bo oprócz tego miał na sobie tylko spodnie i podkoszulkę.

Wieczorem w dniu ślubu zaskoczył ją tym, że zgolił brodę i wąsy, a potem golił się każdego ranka. Nie powiedziała mu nigdy, że bardziej lubi jego pocałunki, kiedy włosy nie łaskoczą jej w twarz, ale jakoś się tego domyślił. Pokochała dotyk jego gładkiego podbródka na swojej szyi, kiedy całował ją czule rano, przed wyruszeniem do codziennych obowiązków.

Ta gładka twarz uśmiechała się teraz do niej.

– Ja też mam dziś dla ciebie niespodziankę.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Naprawdę?

– Pani McElroy, robimy sobie dzień wolny. Wejdziemy na górę, żeby zobaczyć widok ze szczytu. Będiesz mogła podziwiać ośnieżone szczyty gór na lądzie. – Przygryzł sobie od środka policzek, co było nieomylnym znakiem, że nie jest do końca pewien, czy spodoba jej się taki plan.

Ona też nie była pewna, czy jej się to podoba, ale nie chciała go rozczarować.

– Pozwól mi tylko przygotować najpierw śniadanie. – Skierowała się do kuchni, upinając po drodze swoje długie włosy na czubku głowy. – Zrobię więcej bułeczek, żebyśmy mogli zabrać trochę ze sobą. Aha, mógłbyś pójść za dom i zebrać trochę jeżyn? Dodam je do lemoniady z tych cytryn, które przywiozłeś w zeszłym tygodniu z Victorii... – Przerwała z piskiem, bo Joseph oplótł ją ramieniem wokół talii i przyciągnął z powrotem do swojej piersi.

– Czyli podoba ci się pomysł wycieczki? – zapytał, wtulając usta w jej szyję, co bardzo lubiła. – Nie będą ci przeszkadzali turyści z parowców? Ani mieszkańcy wyspy?

Przez te pięć miesięcy, które upłynęły od ich powrotu z Port Townsend, ani razu nie opuściła farmy. Kiedy tylko któryś z sąsiadów przychodził zobaczyć się z Josephem, chowała się w chacie, w stodole albo nad wodą – gdziekolwiek, byle tylko zniknąć do czasu, aż gość sobie poszedł. Joseph nabrał wprawdy w pospiesznym wyprawianiu ludzi w drogę.

Wiedziała jednak, że nie może chować się do końca życia, a spokojny dzień spędzony z mężem wydawał się zbyt kuszący, żeby mogła mu się oprzeć.

– Będzie dobrze. Naprawdę. A teraz mnie puść, żebym mogła cię nakarmić!

*

Złociste promienie słońca ogrzewały Mei Lien i Josepha, którzy stali ręka w rękę na szczycie Mount

Constitution, zmęczeni po długiej wędrówce. Pod piersiami Mei Lien i na środku jej pleców zebrał się pot, a ona zatęskniła za cienkim, przewiewnym materiałem męskich ubrań, w których kiedyś chodziła. Suknie były ciepłe i ograniczały jej ruchy, ale widziała, jak wiele przyjemności sprawia Josephowi, kiedy ubiera się jak kobieta z jego kultury, więc nadal bez skargi to robiła. Poza tym rzadko podejmowała taki wysiłek jak tego dnia. Była pewna, że już niedługo przyzwyczai się do sukien.

Teraz jednak skupiła się na widoku. Pod nimi rozciągały się pozostałe wyspy archipelagu San Juan, porozdzielane wodami tak intensywnie niebieskimi, że samo patrzenie na nie sprawiało Mei Lien ból. Z miejsca, w którym się znajdowali, widać było wyspy kanadyjskie na północy, na wschodzie, na lądzie, hrabstwo Whatcom, a na południowym zachodzie Półwysep Olimpijski. Nad lądem górowały dwa ośnieżone szczyty – Mount Baker na północy i Mount Rainier na południu. Stąd Mount Rainier wyglądała na mniejszą niż z Seattle, gdzie w pogodny dzień góra zdawała się wznosić tuż za miastem. Mei Lien zobaczyła ją po raz pierwszy, odkąd opuściła Seattle, i przypomniało jej się życie, jakie tam prowadziła. I ludzie, których straciła.

Ze zdecydowaniem odwróciła się od miasta i od życia, które musiała porzucić. Skierowała wzrok na zachód i ponad wyspami zobaczyła wody cieśniny Juan de Fuca, przez którą parowiec poniósł jej ojca i babkę ku śmierci. Stało się to gdzieś tam, pośród tego bezmiaru błękitu, który ciągnął się tak daleko, że znikał dopiero w białej mgłę na horyzoncie. Czy ciało ojca znajdowało się pod tą spokojną powierzchnią, poruszane prądami i pływami? Czy raczej wypłynął gdzieś na brzeg, tak jak babka, a jego ciało zostało okrutnie potraktowane przez zwierzęta albo, co gorsza, przez ludzi?

– Przyjemny wiatr, prawda? – zapytał Joseph, przerywając jej myśli.

Powiew przynosił ulgę od sierpniowego upału.

– Cudowny – odpowiedziała, uśmiechając się, żeby ukryć melancholię. – Gotowy na piknik?

Rozłożyli się na kocu, który Mei Lien zapakowała do kosza piknikowego, wniesionego przez Josepha na szczyt. Pomiedzy kęsami marchwi i ogórków z ogrodu, łososia w puszcze i bułeczek ze śniadania mąż opowiedział jej historię swojego poprzedniego wejścia na tę górę, które miało miejsce w pierwszym miesiącu jego pobytu na Orcas. Pewien turysta z Tacomy zaproponował mu zapłatę za wprowadzenie go na szczyt, a Joseph nie chciał stracić okazji na zrobienie interesu, więc zgodził się, nie mówiąc mężczyźnie, że sam jeszcze tu nie był.

– Musiałem praktycznie biec, żeby być cały czas przed nim i wyszukiwać drogę, zanim go gdziekolwiek poprowadzę. Wtedy ścieżka nie była aż tak wydeptana jak teraz. – Potrząsnął głową i roześmiał się. – To było najbardziej wyczerpujące dwadzieścia dolarów, jakie kiedykolwiek zarobiłem.

Mei Lien też się roześmiała i poczuła, jak ból w jej piersi trochę ustępuje. Wspomnienia o rodzinie towarzyszyły jej bez przerwy, podobnie jak obawa, że będzie tu przebywała tylko do momentu, kiedy Campbell albo ktoś jemu podobny postanowi ją stąd przepędzić, ale mimo to przez większość czasu była teraz szczęśliwa. Patrzyła, jak jej mąż opowiada kolejną historię, pomagając sobie rękami i całym ciałem, i pożałowała, że jej ojcu nie dane było go poznać. Na pewno pokochałby Josepha, mimo że nie był on Chińczykiem.

W tym momencie uświadomiła sobie coś, co wywołało w jej umyśle taką burzę, że przestała słyszeć słowa męża.

Kochała tego mężczyznę.

Za wszystko, co jej dał i z czego dla niej zrezygnował, za czułość i za radość, jakie wniósł do jej rozbitego życia – za to wszystko go kochała.

Odepchnęła tę myśl na bok i z powrotem skupiła się na jego opowieści, pełna radości, jakiej nie spodziewała się już nigdy poczuć. Kiedy resztki z pikniku zostały już spakowane, Joseph wyciągnął do niej rękę.

– Czas na łatwą część wycieczki. Schodzenie z góry.

Ze śmiechem skierowali się w dół ścieżki i wymyślili sobie grę, która polegała na tym, żeby znaleźć jak najwięcej gałęzi drzew przypominających kształtem litery alfabetu.

Kiedy doszli do litery „M”, usłyszeli głosy odbijające się echem w lesie.

– Ktoś idzie. – Do tej pory nikogo nie spotkali, a Mei Lien zapomniała, że istnieje w ogóle taka możliwość. Zapomniała o czujności i gotowości do schowania się albo ucieczki. Pod wpływem ogarniającego przerażenia jej stopy odmówiły wykonania kolejnego kroku. – Josephie, ktoś idzie!

– Kochanie, wszystko jest w porządku – uspokoił ją mąż i poklepał delikatnie po ręce, zachęcając do dalszej drogi. – To tylko ludzie, którzy wybrali się na taką samą wycieczkę jak my. Nikt, kim trzeba by się przejmować, jestem tego pewien.

Pozwoliła mu pociągnąć się w dół ścieżki, chociaż jej nogi nie chciały współpracować. Trzymała go mocno za rękę, żeby dodać sobie odwagi.

„Joseph nie pozwoli, żeby coś mi się stało. Joseph zapewni mi bezpieczeństwo”. W myślach powtarzała sobie w kółko te słowa i wiedziała, że są one prawdziwe, ale nie była w stanie odczuć ukojenia, jakie powinny jej przynieść.

– Patrzcie, patrzcie. Czy to nie pan listonosz we własnej osobie?

Stopy Mei Lien znowu stanęły w miejscu, a ona wstrzymała oddech, patrząc, jak zza zakrętu wychodzą dwaj mężczyźni z żonami i ukazują się kawałek niżej na ścieżce. Jedna z kobiet była ubrana w suknię w kolorze głębokiego błękitu przypominającego Mei Lien wodę, jaką widziała ze szczytu. Ponad ramieniem kobieta trzymała koronkową parasolkę, która zdawała się bardziej pasować do spaceru po brukowanej ulicy niż do wycieczki po lesie.

Druga kobieta miała na sobie suknię tak czarną, jak spojrzenie, którym obdarzyła Mei Lien. Jej nieskazitelna, choć zgorzkniała, twarz wydawała się ściągnięta od koka ciasno upiętego z tyłu głowy, tuż pod kapeluszem ozdobionym koronkami i sterczącymi piórami.

Mei Lien poczuła się nagle zawstydzona swoim wyglądem. Chcąc uczcić wyjątkową okazję, zdecydowała się włożyć suknię, którą Joseph kupił jej w Port Townsend w dniu ich ślubu. Nigdy nie była zbyt dobrze dopasowana, mimo że Mei Lien podszyła jej dolną krawędź. Obok tych dwóch białych kobiet, dla których tego typu suknie zostały stworzone, Mei Lien czuła się głupio i nie na miejscu. Może powinna wrócić do zwyczaju noszenia męskich ubrań i przestać się przejmować.

– Państwo Honeycutt, miło mi znowu państwa zobaczyć – mówił Joseph, wymieniając z mężczyzną uścisk dłoni i uchylając kapelusza kobiecie, podczas gdy Mei Lien stała sama z boku. – Panie Talmidge, domyślam się, że to pańska urocza żona?

Cała czwórka przywitała Josepha ciepłymi uśmiechami, a następnie zwróciła ciekawe, choć ostrożne spojrzenia w stronę Mei Lien.

– A kogo my tutaj mamy, panie McElroy? – zapytała kobieta w niebieskiej sukni.

Joseph stanął z powrotem u boku Mei Lien, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– To jest moja droga żona, pani McElroy – odpowiedział z taką dumą w głosie, że Mei Lien poczuła nagle, jak oczy pieką ją od napływających łez. – Jak państwo może słyszeli, ożeniłem się minionej wiosny.

Obydwie pary zaczęły przestępować w miejscu i kątem oka spoglądać na siebie nawzajem. Mężczyzna, którego Joseph nazwał panem Talmidge'em, podniósł brwi, a jego żona ściągnęła usta tak mocno, że wyglądała jak ryba rozdymka, którą dwa lata temu ojciec Mei Lien powiesił pod sufitem w sklepie. Pan Honeycutt odchrząknął i powiedział:

– No cóż. Wiem już, dlaczego przez te wszystkie miesiące trzymał ją pan schowaną na farmie.

Mei Lien zacisnęła zęby i wbiła wzrok w ziemię.

Obie kobiety zachichotały, zakrywając usta dłońmi w rękawiczkach.

– Proszę pana – warknął Joseph i wysunął się przed Mei Lien, tak jakby chciał osłonić ją przed

atakami. – Proszę pamiętać, że mówi pan o mojej żonie.

Pan Talmidge prychnął.

– Na naszej wyspie nie lubimy takich jak ona.

Pani Honeycutt zakręciła parasolką.

– Może nie słyszał pan o przepisach i rozporządzeniach zaproponowanych przez Antychińskie Stowarzyszenie na wyspie Orcas i podpisanych przez jej mieszkańców?

– Ależ wręcz przeciwnie, pani Honeycutt. Doskonale znam przepisy, które zabraniają nam zatrudniania Chińczyków. Ale może to pani nie słyszała, że żona nie jest służącą?

Parasolka przestała się kręcić, a kobieta wydała zduszony okrzyk i cofnęła się parę kroków, aż jej wykwinna, niebieska suknia oparła się o powalony pień. Mei Lien miała nadzieję, że mrówki z drzewa wejdą jej pod spódnicę.

– Panie McElroy – powiedział pan Honeycutt, postępując do przodu z rękami uniesionymi w geście poddania. – Niech się pan nie złości. Kobieta nie miała nic złego na myśli. Jesteśmy po prostu zaskoczeni, to wszystko. To znaczy słyszałem, jak ludzie narzekają, ale nie dawałem im wiary.

Joseph zacisnął pięści i porzucił pozory uprzejmości.

– Jak to narzekają?

Pan Talmidge zdjął melonik i przetarł czoło wierzchem dłoni.

– Skąd mamy wiedzieć, czy nie wysłała pan pieniędzy – tych, które poczciwi mieszkańcy Orcas płacą panu jako naszemu listonoszowi – jej krewnym w Chinach, zamiast zainwestować je ponownie w naszym kraju? Albo jeszcze gorzej, skąd mamy wiedzieć, czy nie sprowadzi pan tu całej jej rodziny, żeby zaśmiecała nasze społeczeństwo swoimi brudnymi zwyczajami? Nie wiem jak ty, Honeycutt, ale ja się cieszę, że nie mieszkam koło McElroya, bo bałbym się spadku wartości mojej ziemi.

Mei Lien poczuła, jak wybucha w niej tak wielka złość, że jedynie ogromnym wysiłkiem woli udało jej się pozostać tam, gdzie była, o kilka kroków od tych koszmarnych ludzi. O, pokazałaby mu swoje brudne zwyczaje. Zaczęłaby od grudy ziemi rzuconej między jego małe, świdrujące oczka!

– Powinien się pan wstydzić swojej niewiedzy i uprzedzeń. – Joseph odwrócił się plecami do obu par i spojrzał na żonę z troską, która pomogła jej znowu się wyprostować. Stojąc tyłem do tamtych, powiedział: – Proszę przyjść na farmę, kiedy będzie pan gotowy, żeby nas przeprosić.

Wziął Mei Lien za rękę i zszedł razem z nią ze ścieżki, a potem poprowadził naokoło drzewa, żeby ominąć ludzi, którzy nie zniżyliby się do przepuszczenia na drodze kogoś takiego jak ona.

Mei Lien i Joseph nie zdążyli przejść trzech kroków, kiedy w ciszy rozległ się głos pana Honeycutta:

– Złożę petycję do głównego naczelnika poczty, żeby zwolnił pana z obowiązków. Ja na przykład nie chcę, żeby moje listy przechodziły przez pańskie ziemie, zanim dotrą do mnie.

Pozostała trójka wydała z siebie szmer poparcia.

Joseph zachwiał się, a jego ręka drgnęła w jej dłoni, ale nic nie powiedział. Przez całą drogę w dół żadne z nich się nie odezwało.

Kiedy dotarli na farmę i weszli do chłodnego zacisza swojego nowego domu, Mei Lien zaczęła się martwić tym, co Joseph może teraz myśleć i odczuwać. Nie pasował do niego taki stoicyzm. Od chwili, kiedy obudziła się w jego chacie, nie przestawał mówić. Nie wiedziała, że jest zdolny do tak głębokiego milczenia.

– Josephie – zaczęła, kiedy usiadł przy kuchennym stole ze szklanką wody w dłoni. – Ze względu na ciebie przykro mi, że tak bardzo różnię się wyglądem od innych kobiet na wyspie. Czuję się dumna z tego, że jestem Chinką, ale dla ciebie chciałabym móc się zmienić. Nie zasługujesz na to, co powiedzieli. – Przestała chodzić tam i z powrotem i zatrzymała się koło niego. – Proszę, powiedz coś.

Odstawił szklankę na stół, ujął jej ręce w swoje dłonie i przyciągnął ją do siebie tak, żeby usiadła mu na kolanach.

– Och, May – powiedział, używając zdrobnienia, jakie sobie dla niej wymyślił. – Ani trochę nie dbam o to, co ci idioci mogą mi powiedzieć albo zrobić. Przejmuję się tylko tym, że ranią cię i oceniają, chociaż nie znają cię ani trochę. To ja powinienem przeprosić. Nigdy nie próbuj się zmieniać ze względu na nich, na mnie ani na nikogo innego. Obiecasz mi to?

Schyliła głowę i przytuliła się do jego piersi. Odgłos bicia jego serca przynosił jej ukojenie.

– Obiecujesz? – zapytał jeszcze raz Joseph.

Spojrzała na niego, żeby odpowiedzieć, ale nagle ogarnął ją strach. Pozwalając sobie na miłość do Josepha, znowu otworzyła się na cierpienie. I teraz nic już nie mogła zrobić, żeby się chronić.

– Obiecuję, że się nie zmienię, Josephie – odpowiedziała mu w końcu. – Ale to ja przepraszam. Gdyby mnie tam nie było, ci ludzie nie potraktowaliby cię z takim okrucieństwem. – Podniosła się i zaczęła rozpakowywać kosz piknikowy z zamiarem zajęcia się czymś, żeby wyciszyć swoje rozgorączkowane myśli.

– Może powinniśmy się przeprowadzić. Zamieszkać gdzieś, gdzie ludzie mają bardziej tolerancyjne nastawienie.

Ręce Mei Lien znieruchomiały, a ona spojrzała na męża, żeby przekonać się, czy nie żartuje. Nie uśmiechał się.

– Josephie, nie mówisz chyba poważnie. Kochasz tę ziemię. Dopiero co wprowadziliśmy się do domu, który budowałeś przez cały rok.

– To nie ma żadnego znaczenia, jeśli ty nie jesteś szczęśliwa.

– Ale gdzie byśmy się przeprowadzili?

Potrząsnął głową i wyjrzał ponad jej ramieniem przez wschodnie okno, za którym rozciągał się sad jabłkowy.

– Nie wiem. Może do Tacomy? Tam mieszka moja siostra z rodziną.

– Do tej samej Tacomy, z której w listopadzie zeszłego roku wypędzono trzystu pięćdziesięciu Chińczyków, a ich domy i sklepy spalono na popiół?

– No to może do Victorii?

Pokręciła głową. Stamtąd też wygoniono Chińczyków.

– Na południe, do San Francisco?

Wysunęła sobie krzesło obok niego i usiadła, skręcając w dłoniach jedną z piknikowych serwetek.

– Naprawdę myślisz, że bylibyśmy lepiej traktowani w którymkolwiek z tych miejsc? I Amerykanie, i Kanadyjczycy boją się Chińczyków. Wyglądamy inaczej, mówimy inaczej. Nawet myślimy w inny sposób. Nie ma znaczenia, gdzie byśmy mieszkali, bo nikt w całej Ameryce nie będzie chciał mieć mnie za sąsiadkę.

Joseph potarł twarz dłońmi.

– Oczywiście masz rację. W tym momencie jest mi cholernie wstyd, że jestem Amerykaninem. – Jego ręce opadły z plaśnięciem na kolana. – To co zrobimy?

Mei Lien ponownie wstała i zdjęła z półki największą miskę.

– Zrobimy to, czego nauczył mnie mój ojciec. Będziemy ciężko pracować i schodzić wszystkim z drogi. – Skierowała się do tylnych drzwi. – Teraz na przykład idę nazbierać więcej jeżyn i zrobię ci na kolację cobbler.

Zostawiła zmartwionego Josepha przy kuchennym stole i poszła na tył ich posiadłości, gdzie rosły dzikie krzewy jeżynowe. Mei Lien i jej mąż bardzo się różnili w jednej podstawowej kwestii. On lubił rozmyślać i mówić o wszystkim, co mogło pójść nie tak, i o każdym możliwym rozwiązaniu problemu. Ona wcześniej się nauczyła, że zmartwienie i rozmyślanie na niewiele się zdadzą, kiedy ma się do wykonania jakąś pracę.

Więc pracowała, zbierając jeżyny w gorących promieniach słońca, aż jej palce zrobiły się fioletowe, a dłonie i ramiona pokryły się krwawiącymi zadrapaniami od cierni. Kiedy tylko pojawiała się w niej myśl o ludziach spotkanych na górze, odpychała ją od siebie i skupiała się na zapiekanych owocach, które zaraz przygotuje, albo na dzemie, który robi następnego dnia, albo jeszcze na dziecku, które spłodzą razem z Josephem.

Nabrała dużej wprawy w unikaniu myśli, z którymi nie chciała się mierzyć.

*

Trzy dni później Joseph wybrał się na cotygodniowe roznoszenie poczty – nie pojawił się nikt, kto by mu tego zabronił – a Mei Lien spędzała popołudnie na pracy w ogródku warzywnym. Zrywała dojrzałe pomidory z krzaków, zbierała sałatę i groszek. Wszystko to leżało zmieszane w koszyku obok niej, podczas gdy ona przykłękała, żeby poprawić pnącza fasoli. Jeśli Joseph wróci dzisiaj do domu na kolację, zrobi mu świeżą sałatkę do gotowanej ryby z marynowanymi oliwkami, którą planowała przyrządzić.

Była tak pochłonięta pracą, że nie usłyszała, jak ptaki przestały ćwierkać. Dopiero gdy dotarł do niej charakterystyczny chrzęst butów na kamieniach, zrozumiała, że nie jest już sama.

W jednej chwili skoczyła na równe nogi i obróciła się, cały czas trzymając w ręku łopatkę ogrodniczą. Kiedy zobaczyła mężczyznę, który szedł w jej kierunku przez grządkę z ziemniakami, jej jedyną myślą było, żeby pobiec do domu i zaryglować drzwi. Wolną ręką uniosła spódnicę i poderwała się do biegu.

– Ale nie ma potrzeby się bać! – zawołał Campbell. – Nie mam złych zamiarów. Chcy się tylko przywitać, tak po synsiedzku.

Słyszając te słowa, Mei Lien uświadomiła sobie dwie rzeczy, które powstrzymały ją przed ucieczką. Po pierwsze Campbell nie miał pojęcia, że go znała. A po drugie nadarzyła jej się okazja, żeby zniechęcić go do ponownego przychodzenia.

Wzięła głęboki oddech, w duchu poprosiła przodków o odwagę, po czym odwróciła się do niego z tak szczerym uśmiechem, jaki tylko mogła przywołać.

– Proszę mi wybaczyć. Po prostu mnie pan przestraszył. Czyli jest pan naszym sąsiadem?

Zaczął się do niej zbliżać, stąpając ponad rzędami warzyw.

– Moje nazwisko Duncan Campbell. Mieszkam tu nidałeko z żoną, synem i ocem w podyszłym wiku. – Kiedy stanął wreszcie obok Mei Lien, uchylił kapelusza i błysnął zębami, choć zauważyła, że uśmiech nie sięgnął jego oczu. Zapragnęła zapaść się pod ziemię pod jego uporczywym spojrzeniem, ale nie poruszyła się.

– Miło mi pana poznać, panie Campbell. – Nazwisko to pozostawiło nieprzyjemne uczucie w jej ustach, jak skwaśniałe mleko, które ma się ochotę wypluć. – W czym mogę panu pomóc?

Zsunął z głowy czarny kapelusz z szerokim rondem i zmrużył oczy, patrząc ponad jej ramieniem na dom, a potem przez łąkę w stronę stodoły.

– Zastałem Josepha? Chciałbym się z nim przywitać, skoro już tu jestem.

W głowie zaczęło jej szumieć, ale zignorowała to.

– Nie, mój mąż roznosi pocztę. Powiem mu, że pan był.

Campbell włożył kapelusz z powrotem na głowę i oparł obie ręce na biodrach, rozsuwając przy tym poły marynarki. U pasa wisiał mu groźnie wyglądający pistolet.

– Tak proszy zrobić. – Już zaczął się odwracać, ale zatrzymał się nagle. – A, i niech przykaże mu pani ode mnie widomość. Mojej żonie zachciało się posadzić sad moryłowy, a gdyby pani nie widziała, naszą ziemię otaczają kaministe pagórki. Niech pani powie Josephowi, że chciałbym zrobić nam obu przysługę i kupić jego farmę, birąc pod uwagę to, że lydzie w miście nie są do was zbyt przyjaźnie nastywieni, jeśli wie pani, co mam na myśli. Joseph na pywno z ulgą się dowie, że znalazł się chętny

nabywca, który mieszka tyż obok i złoży mu uczciwą ofyrę.

– Nigdzie się nie wybieramy, panie Campbell.

Nie poruszył się, ale zaszła w nim jakaś zmiana, tak że sprawiał teraz wrażenie większego i groźniejszego.

– Jeśli wiesz, co dla Ciebie dobre, Chinolko, to się wybirzecie – powiedział to tak cicho, że zaczęła się zastanawiać, czy dobrze usłyszała. – A jeśli tyń twój mąż ma trochę rozsądku, chociaż mam przyd sobą dowód, że nie ma, to przyjmie moją ofyrę i sobie pójdziecie, zanim przystanie to od was zaliżyć.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, mimo że wszystko jej mówiło, żeby się wycofała, spuściła wzrok na ziemię i uciekła.

– Nikt nie zmusi nas do opuszczenia naszej ziemi. A na pana, panie Campbell, już czas.

Wbił w nią wzrok, jego oczy się zwęziły, a pod nosem pojawiła się wilgoć. Robiła co w jej mocy, żeby nie mrugać.

– Uważaj, Chinolko. – Potem pociągnął wyniośle nosem, odwrócił się i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł, tym razem deptając po wszystkich jej warzywach.

Nie rozpoznał jej. Nie miał pojęcia, że była tamtej nocy na jego statku. Plan Josepha się powiódł.

Ale i tak jej nienawdził. Nienawdził jej co prawda wszyscy mieszkańcy wyspy, ale Campbell chciał ją do tego skrzywdzić. Zobaczyła to w jego oczach.

Mei Lien patrzyła za nim, aż zniknął za drzewami. Potem cała roztrzęsiona upuściła łopatkę, którą, jak sobie w tym momencie uświadomiła, nadal trzymała w ręku, i pobiegła do domu, po czym po raz pierwszy w życiu zaryglowała drzwi i opadła na kolana w kącie, w którym nikt nie mógł jej zobaczyć przez okna.

Pot spływał jej po plecach, a ręce się trzęsły. „Campbell nie może mnie tu skrzywdzić” – powiedziała sobie w myślach. A potem, kiedy to nie pomogło, wypowiedziała te słowa głośno do pustego pokoju:

– Campbell nie może mnie skrzywdzić. Campbell nie może mnie skrzywdzić. Campbell nie może mnie skrzywdzić.

Powtarzała to w kółko. Objęła rękoma kolana i kiwała się w przód i w tył do tej mantry. Kiwała się i kiwała schowana w kącie, a cienie na podłodze się wydłużały. Nasłuchiwała kroków na zewnątrz i wyobrażała sobie głos ojca, który mówił jej, żeby była dzielna.

Nie była dzielna. Nie była silna. Nie była w stanie przeciwstawić się Campbellowi ani zmusić go do pozostawienia jej w spokoju. Jeśli zechce przepędzić ją z wyspy, będzie mógł to zrobić. Dobrze wiedziała, że pozbycie się jej nie byłoby dla niego zbyt wielkim problemem.

Myśl ta sprawiła, że jej ciało ogarnęła nowa fala przerażenia. Skuliła się jeszcze bardziej i położyła głowę na chłodnej podłodze.

Później, po paru godzinach, choć równie dobrze mogło to być parę minut, spojrzała na siebie z góry, tak jakby stała z boku, ponad swoją żalną, szlochającą postacią. Obraz ten napełnił ją wstydem.

Dość! Usiadła, zmuszając się do wyprostowania kręgosłupa i podniesienia głowy, choć odczuwała przy tym fizyczny ból. Nic nie osiągnie, jeśli będzie tu tak leżeć jak ofiara.

Poza tym słońce już zachodziło. Josepha nie było, więc tego wieczoru mogła spędzić więcej czasu niż zwykle z duchami ojca i babki nad wodą.

Mei Lien podjęła decyzję i na odrobinę jeszcze drżących nogach przeszła do kuchni, gdzie zabrała się za przygotowywanie prowiantu, który chciała wziąć ze sobą nad wodę. Dwa jabłka. Zimny ryż, który zawinęła w liście olchy, jak nauczyła ją babka – ponieważ nie rósł tutaj tradycyjnie wykorzystywany bambus – i związała pięcioma sznurkami, każdy w innym kolorze: czerwonym, niebieskim, białym, żółtym i czarnym, które miały symbolizować pięć żywiołów. Wodne smoki przestraszą się takiego amuletu i zostawią w spokoju paczuski dla duchów ojca i babki. Potem wzięła dwa ogarki, zapalki

i włożyła to wszystko do koszyka. Po drodze nad wodę odłupała dwa duże kawałki kory z daglezi, zaokrąglone i podłużne jak kajaki, i też dorzuciła je do koszyka.

Na brzegu stanęła bez ruchu i w milczeniu zaczęła się wsłuchiwać w odgłosy powietrza i wody. Czasami, kiedy tu przychodziła, widziała parowiec płynący do Eastsound Village albo któregoś z osadników, wiosłującego do miasta. Chowała się wtedy za krzewami paproci, golterii czy mahonii i czekała, aż znowu zostanie nad wodą sama.

Sama z duchami, które przypominały jej, kim jest i skąd pochodzi.

Tego wieczoru nad wodą było pusto. Słońce już prawie zaszło i kolory przechodziły powoli w odcienie błękitu, a woda zrobiła się czarna, tak że tylko płaska jak lustro powierzchnia pobłyskiwała srebrzyście. W powietrzu, nawet teraz, w środku lata, czuła zapach wilgotnego mchu i woń lasu płynącą od drzew, które przez cały dzień prażyły się w słońcu, a teraz szumiały z ulgą. Ojciec uwielbiał takie wieczory w Seattle i szedł wtedy z Mei Lien nad jedno z pobliskich jezior, żeby łowić ryby i porozmawiać o całym dniu, a potem wracali po ciemku okrężną drogą, omijając dzielnice białych.

Zanurzając się w tym wspomnieniu, Mei Lien zapaliła świece i umieściła je ostrożnie na środku łódek z kory. Do każdej z nich włożyła jabłko i paczuszkę z ryżem i pożałowała, że nie ma kadzidła, którym mogłaby uzupełnić te dary. Postawiła łódki na wodzie i odepchnęła je delikatnie od brzegu, żeby zabrał je prąd. Oświecą one drogę duchom członków jej rodziny i wszystkich innych, którzy zginęli razem z nimi.

Potem zrobiła to, co robiła każdego wieczoru. Zaczęła wypatrywać dookoła siebie znaków od duchów ojca i babki. Widziała je w nurach, krukach, wydrach morskich, a raz nawet w samej wodzie. Tego wieczoru jej cierpliwość została nagrodzona lotem czapli modrej, która zanurkowała w powietrzu, zeszła nisko nad zatokę, a potem przysiadła na skale wystającej z wody tuż nad brzegiem. Czapla spojrzała na nią swoimi mądrymi, ciemnymi oczami, po czym otworzyła dziób, wydała z siebie pojedynczy krzyk i odleciała w stronę zachodzącego słońca.

– Mei Lien!

„Ojczy? Słyszysz cię, ojczy” – odpowiedziała w myślach, wiedząc, że duch nie potrzebuje jej głosu.

– Mei Lien! Złap linę!

Wzdrygnęła się i spróbowała skoncentrować. Nie wołał jej duch ojca, tylko Joseph, który stał w swojej łodzi wiosłowej i przygotowywał się do rzucenia jej zwoju liny, żeby mogła przyciągnąć go do brzegu.

Wyciągnęła rękę i złapała sznur, ale odwróciła twarz od męża. Była przerażona tym, że obserwacja czapli pochłonięła ją do tego stopnia, że nie zauważyła, jak Joseph wypływa zza klifu i wchodzi do zatoczki. To mógł być ktokolwiek inny, a ona nie zwróciłaby na niego uwagi.

Ale nie był to jedyny powód, dla którego nie chciała patrzeć na męża. Odwróciła się, bo uświadomiła sobie, że był on świadkiem tego, jak przeżywa jedną ze swoich najintymniejszych chwil. Często proponował jej, że pójdzie z nią wieczorem nad wodę, jednak ona zawsze odmawiała, bo wolała spędzać ten czas w samotności i intymnej łączności ze swoją rodziną. Może i Joseph stanowił teraz jej jedyną rodzinę, ale nie był częścią tamtej.

Nie powiedział ani słowa o darach wypływających właśnie na środek zatoki, choć widziała, że na nie patrzył, kiedy wyciągał łódź z wody.

– Udało mi się popłynąć stąd do Orcas Village, zabrać pocztę i dotrzeć do Olgi, zanim mnie zatrzymali – powiedział, mając na myśli małą osadę w dole zatoki, skąd zawsze zaczynał roznoszenie listów. Owinął linę wokół drzewa i nie przestając opowiadać, zaczął zabezpieczać ją węzłami. – Byli Honeycuttowie, Talmidge'owie i jeszcze z pół tuzina innych rodzin. Powiedzieli mi, że od teraz James Tulloch przejmuje moją trasę. Przekazałem mu listy i odpłynąłem bez słowa. Dobrze się stało.

– Ale przecież ty kochasz swoje wędrowniki pocztowe. A ja dopiero co zrobiłam dla ciebie nową

torbę.

Joseph szarpnął mocno za linę, żeby zacisnąć węzły, potem rzucił jej koniec na plażę i odwrócił się do żony, wycierając jedną rękę o drugą.

– Nigdy nie chodziło mi o samo roznoszenie poczty. Chodziło o to, żeby poznać sąsiadów i przysłużyć się wspólnemu dobru. W chwili, kiedy postanowili ukarać mnie za miłość do osoby, której nie akceptują, moja posługa się skończyła. Nie mam ochoty poznawać takich ludzi i mogę znaleźć inne sposoby służenia społeczeństwu.

Mei Lien wtuliła się w otwarte na powitanie ramiona.

– Wróciłeś wcześniej, niż się spodziewałam, ale i tak późno, skoro nie roznosiłeś poczty.

Joseph wypuścił ją z objęć i podszedł do łodzi, żeby zabrać swoje rzeczy.

– Byłbym wcześniej, ale Campbell przywołał mnie z brzegu. Odkąd wiem to, co teraz mi wiadomo, staram się trzymać od niego z daleka, ale w tym momencie stwierdziłem, że posłucham starego powiedzenia: „Przyjaciół trzymaj blisko, ale wrogów jeszcze bliżej”. – Położył rękę na jej plecach i poprowadził przez las z powrotem do domu stojącego na polanie. Zauważyła, że nadal niósł torbę, którą dla niego zrobiła, tylko teraz była pusta.

– Powiedział mi, że słyszał, jakobym stracił pozycję listonosza. A potem, że jeśli sprawy przybiorą dla nas bardzo zły obrót, zaoferuje mi uczciwą cenę za naszą ziemię.

Mei Lien zeszczywniała.

– Mnie też to dzisiaj powiedział. On coś planuje.

Joseph zatrzymał się przed schodami prowadzącymi na ganek.

– Był tutaj?

Pokiwała głową i w obawie, że zauważy jej przerażenie, spuściła głowę i schyliła się, żeby wyrwać chwasty z kwietnika.

– Przedstawił się i zachowywał się przyjaźnie, dopóki nie dowiedział się, że cię nie ma. Przyrzekł mi, że mnie stąd przepędzi. Potem sobie poszedł.

Joseph ścisnął ją za ramię.

– Nie pozwolę mu cię skrzywdzić, May. I nie pozwolę mu przepędzić nas z naszej ziemi. Powiedziałem mu o tym.

Joseph poszedł na górę, żeby się przebrać, a Mei Lien weszła za nim do kuchni i spojrzała przez okno na ogród, próbując uspokoić roztrzęsione nerwy. Przed oczami ponownie przewijały jej się wydarzenia tego dnia.

Jednego była pewna – nie był to ostatni raz, kiedy widziała Campbella. Ale teraz przynajmniej nie będzie tak często zostawała sama.

Rozdział czternasty

*Poniedziałek, 9 lipca – czasy obecne
Południowe wybrzeże Lake Union, Seattle*

Inara czekała na Daniela w restauracji Chandler's Crabhouse nad Lake Union. To miała być ich pierwsza oficjalna randka – i ostatnia.

Potem Inara wróci na Orcas i skończy z tym nieszczęsnym dniem – podobnie jak ze sprawą rękawa i z Danielem.

Po opuszczeniu gabinetu ojca przez parę godzin jeździła bez celu po mieście i myślała o swojej matce, o rękawie, o Mei Lien i o wszystkich zamordowanych. Wyjawienie prawdy przyniosłoby hańbę jej rodzinie i ujęłoby wartości całemu dobru, jakiego dokonała jej matka. Ale utrzymywanie tego w tajemnicy oznaczało brak szacunku dla wszystkich tych zmarłych i dla ich rodzin.

Z jednej strony Inara była przekonana, że Daniel ma prawo znać prawdziwy powód, dla którego nie będzie się z nim więcej spotykała. Z drugiej strony upominała samą siebie, że obiecała ojcu zachować milczenie.

Nie miała pojęcia, co mu powie.

– Przepraszam za spóźnienie. Korki. – Daniel pochylił się i pocałował ją w policzek, a jego dotyk wywołał burzę w jej i tak już zszarganych nerwach. To będzie trudniejsze, niż jej się wydawało.

Gdyby tylko mogła dalej rozwijać to, co było między nimi, i zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Żaden problem. Nie spóźniłeś się aż tak. – Uśmiechnęła się i pouczyła jednocześnie samą siebie, że ma szybko załatwić sprawę i sobie pójść. Im szybciej, tym lepiej. – Mam nadzieję, że twoja mama wybaczy ci, że nie spotkasz się z nią dzisiaj wieczorem.

Wzruszył tylko ramionami.

– Wpadnę do nich później. Nic im się nie stanie. Zaskoczyło mnie, że dzisiaj przyjechałaś.

– Nie planowałam tego, ale wypadła mi jedna sprawa i musiałam zobaczyć się z tatą. – Postanowiła, że zrelacjonuje mu połowę tego spotkania i dojrzeje w tym czasie do wypowiedzenia tego, co ją tu sprowadziło. – Nasłał na mnie agentkę od nieruchomości, żeby nakłonić mnie do sprzedaży Rothesay.

Jego oczy się rozszerzyły.

– Nie zrobisz tego, prawda?

– Przekonałam go, żeby poczekał do Święta Pracy. Jeśli do tego czasu nie spodoba mu się mój hotel, zażąda zwrotu pożyczki i będę musiała sprzedać posiadłość.

– No, to już coś. Przy twoim tempie za dwa miesiące nikt nie będzie w stanie wycofać się z tego przedsięwzięcia. Nawet twój tata. Na twoim miejscu nie martwiłbym się tym.

Na te słowa poczuła, jak ciepło rozlewa się po jej ciele, i miała ochotę pochylić się w jego stronę, żeby wzmocnić się jeszcze bardziej jego obecnością. Zamiast tego wyprostowała się i spuściła wzrok na kolana.

– Dzięki.

„Inara, teraz albo nigdy”. Wzięła oddech, ale w momencie, kiedy otworzyła usta, Daniel się

odezwał.

– Mam nowe wiadomości. – Kącik jego ust uniósł się do góry, a on oparł ramiona na stoliku i pochylił się w jej stronę. – Znalazłem spis powszechny z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku. Mieli syna.

Inara zamrugała, usiłując za nim nadążyć.

– Kto? Mei Lien i Joseph?

Pokiwał głową i zauważyła, że z trudem powstrzymuje swoje podekscytowanie. Wzbudziło to w niej dreszcz podniecenia, ale coś jej się nie zgadzało.

– Czy spis powszechny z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku nie spłonął podczas pożaru?

– Dokumenty federalne tak, ale nie stanowe.

I wtedy to do niej dotarło: Mei Lien z mężem mieli dziecko. Syna. Chłopca, który prawdopodobnie sam założył potem rodzinę. Nagle podniosła się stawka tej całej gry.

– To oznacza, że gdzieś może żyć jakiś potomek Mei Lien, który mógłby nam powiedzieć, co się z nią stało.

Daniel pokiwał głową i sięgnął po kartę dań, ale nawet na nią nie spojrział.

– Ich syn nazywał się Yan-Tao McElroy. W spisie z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku figuruje jako dwulatek, więc poszperaliśmy w rejestrach urodzeń i znaleźliśmy akt urodzenia Yan-Tao Kennetha McElroya, który przyszedł na świat dwudziestego siódmego lipca tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego roku na Terytorium Waszyngtonu.

– Półtora roku po ich ślubie. – Przeliczyła to sobie w głowie. – To znaczy, że miał jakieś siedem lat, kiedy moja rodzina kupiła posiadłość. Jak możemy się dowiedzieć, gdzie się przeprowadzili McElroyowie?

Daniel opuścił kartę z powrotem na stolik.

– Moi studenci już się tym zajmują. Przeszukują stare numery gazet i dzienniki innych osadników, które zostały przekazane uniwersytetowi, archiwom państwowym, Muzeum Historycznemu Wyspy Orcas czy Bibliotece Publicznej Wyspy Orcas w Eastsound. Kazałem im też przejrzeć spisy powszechne z tysiąc dziewięćsetnego roku z sąsiednich okręgów, żeby zobaczyć, czy McElroyowie gdzieś tam się nie pojawiają, i przepytąć wszystkich McElroyów, jacy obecnie mieszkają na tych terenach.

Pokiwała głową w podziwie, że pomyślał o tak wielu sprawach. Niedługo znajdą potomków Mei Lien i prawdopodobnie dowiedzą się o niej więcej, niż można było wyczytać z haftu.

– Szkoda, że Mei Lien nie zostawiła przy rękawie jakiegoś dziennika. Nie byłoby wtedy tak wielu pytań bez odpowiedzi.

W tym momencie przypomniała sobie, po co tu przyszła tego wieczoru – żeby powstrzymać Daniela przed dalszymi poszukiwaniami. Musieli zapomnieć o Mei Lien.

Ale jak mogli to zrobić, szczególnie teraz, kiedy wiedzieli, że prawdopodobnie miała potomków, którzy mogliby powiedzieć im więcej o niej samej i o tym, co jej się przydarzyło?

Daniel skupił się teraz na karcie, więc Inara też spojrzała na swoją, ale nie dostrzegła wydrukowanych na niej słów. Czy naprawdę tak źle by zrobiła, gdyby nadal próbowała się dowiedzieć, co się stało z Mei Lien i z jej rodziną? Wszystkie informacje, jakich by szukali, dotyczyłyby wydarzeń z czasów po tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku i w żaden sposób nie powinny nikogo zaprowadzić do odkrycia prawdy o morderstwach.

Ale Inara obiecała tacie, że zapomni o całej sprawie.

I robi to. Jeśli jednak zaczną się interesować tym, co się stało po wydarzeniach przedstawionych na hafcie, to wszystko będzie w porządku, prawda? Będzie mogła odłożyć rękaw na bok i dotrzymać słowa, a mimo to dowie się, co przydarzyło się Mei Lien i jej rodzinie.

Nadal będzie mogła spotykać się z Danielem.

Odłożył kartę i uśmiechnął się do niej ponad stolikiem.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Podjęła szybką decyzję i też odłożyła swoją kartę.

– Ja też.

Daniel, jak zawsze swobodny, sięgnął przez stolik i chwycił ją za rękę.

– Powiedz mi coś więcej o swoim hotelu. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę po wykończeniu.

– W każdej chwili możesz przyjechać i przekonać się, jak nam idzie. – Jego kciuk zataczał kółka na dłoni Inary, przez co trudno było jej się skupić. – W przyszłym tygodniu będą stawiać ścianki działowe.

– Brzmi ciekawie. – Przerwał. – A może w ten weekend?

Spojrzała na niego, żeby sprawdzić, czy nie żartuje, ale on tylko wpatrywał się w nią swoimi orzechowymi oczami, w których miała ochotę cała się zanurzyć.

– Hm, pewnie. Możesz nawet przenocować w pokoju gościnnym.

Jego oczy pociemniały.

– Z przyjemnością.

Była zbyt oszołomiona, żeby wymyślić jakąkolwiek odpowiedź, więc się nie odezwała.

– Mogę coś doradzić, czy są już państwo gotowi?

Kelner pojawił się tak nagle, że gwałtownie odskoczyli od siebie. Inara podniosła kartę i wybełkotała swoje zamówienie, czując, jak jej twarz zaczyna płonąć. Kiedy kelner odszedł, sięgnęła po kieliszek wina, chociaż nie pamiętała, żeby je zamawiała, i zaczęła je saczyć, próbując zająć czymś ręce.

– Nocujesz dzisiaj u swojego ojca?

Potrząsnęła głową.

– Nie. O jedenastej mam prom, na który planuję zdążyć.

Zerknął na zegarek i uśmiechnął się do niej.

– Czyli mamy mnóstwo czasu.

Przy kolacji nie rozmawiali o rękawie ani o Mei Lien, z czego Inara była bardzo zadowolona. Żle się czuła z tym, że ukrywa przed Danielem wszystko, czego się dowiedziała, i łatwiej jej było wyrzucić to po prostu z głowy, żeby przez godzinę zachowywać się normalnie.

Rozmawiali o swoich rodzinach i o tym, gdzie studiowali (ona na Uniwersytecie Waszyngtońskim, on na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, a doktorat robił w Pekinie), o tym, że on chciał kiedyś uprawiać pływanie na desce na stojąco, ale miał poważne problemy z utrzymaniem równowagi, a także o jej słabości do czekolady.

Inara niechętnie zbierała się do wyjścia, kiedy przyszedł na nią czas. Daniel odprowadził ją do samochodu i tam, na parkingu zabarwionym na różowo przez zachodzące słońce, odnalazł dłonią środek jej pleców i delikatnie przyciągnął ją do siebie, tak że stanęli twarzą w twarz. Przytrzymał jej wzrok i zaczął powoli schylać głowę, a jego usta były coraz bliżej. W końcu nie mogła już dłużej wytrzymać i zamknęła oczy, poddając się temu, na co, jak sobie dopiero teraz uświadomiła, czekała przez cały wieczór.

Daniel przyciągnął ją jeszcze bliżej siebie, a ona objęła go ramionami za szyję, zdumiona tym, jak doskonale do siebie pasują. Przechyliła głowę, żeby pogłębić pocałunek, i rozkoszowała się tą chwilą, jego smakiem, cudownym uczuciem, że poza nimi nic więcej się nie liczy. Ani ich rodziny, ani rękaw, ani hotel.

Zupełnie straciła rachubę czasu. Kiedy przerwali pocałunek, żeby zaczerpnąć powietrza, Daniel oparł głowę o jej czoło i powiedział:

– Chciałem to zrobić, odkąd po raz pierwszy cię zobaczyłem.

Uśmiechnęła się i jeszcze raz go pocałowała.

Nieopodal rozległo się pikanie samochodu otwieranego przez właściciela, które przypomniało im, gdzie się znajdują, więc odsunęli się od siebie niechętnie.

– Bardzo się cieszę, że tu dzisiaj byłaś – powiedział Daniel, a kosmyk włosów opadł mu przy tym na oko.

Inara odgarnęła mu go delikatnie.

– Naprawdę zamierzasz przyjechać na wyspę w przyszły weekend?

Zerknął na parę, która wsiadała do swojego auta dwa miejsca dalej, i wsunął rękę do kieszeni spodni.

– Tak – odpowiedział po prostu.

Uśmiechnęła się.

– To dobrze.

Dużo później, kiedy siedziała w samochodzie zaparkowanym na pokładzie promu, dostała od Daniela SMS-a, który przyprawił ją o głośny wybuch śmiechu:

Naprawdę zamierzasz przenocować mnie w pokoju gościnnym?

Odpisała:

Zobaczymy, jak już przyjedziesz.

Przyjechał w piątek po południu i został do niedzieli. Nie skorzystał z pokoju gościnnego.

Rozdział piętnasty

Środa, 27 lipca 1887

Farma McElroyów, wyspa Orcas

Mei Lien powoli otworzyła oczy i zobaczyła światło słoneczne wlewające się do sypialni przez zachodnie okno. Ciepło, jakie panowało w pokoju, wskazywało na to, że już dawno powinna być na nogach, ale mimo to była zadowolona z odpoczynku. Nie chciała jeszcze wstawać, więc starała się nie poruszyć, żeby nie spowodować, że jej nabrzmiały brzuch naciśnie na tę część ciała, która wymusiłaby spacer do nocnika. Zamiast tego pozwoliła swoim myślom płynąć swobodnie.

Ostatnia zima była ciężka. Nie z powodu pogody – śnieg padał tylko w okolicach Nowego Roku według kalendarza Josepha i utrzymywał się zaledwie przez dwa tygodnie. Poza tym było po prostu zimno, szaro i mokro. Nie, zima była ciężka z powodu wewnętrznego napięcia. Od zeszłego lata, od dnia, w którym mieszkańcy wyspy zmusili Josepha do oddania torby pocztowej, a Duncan Campbell jej groził, Mei Lien czuła się ścigana i obserwowana.

Nie lubiła opuszczać farmy, ale kiedy musiała to zrobić, żeby udać się do Eastsound Village, Port Townsend albo Victorii po większe zakupy, zawsze trzymała się blisko Josepha. Oboje słyszeli szepty i obelgi. Oboje zauważali, że ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy albo wychodzą ze sklepu, żeby uniknąć spotkania z nimi. Przeważnie nie chcieli zwracać się bezpośrednio do Mei Lien, woleli ją ignorować i udawać, że Joseph jest sam – jeśli w ogóle się do niego odzywali.

Wiedziała, że to z jej powodu Joseph nie jest już zapraszany na obiady do sąsiadów czy na polowanie albo łowienie ryb z przyjaciółmi. On już nie miał przyjaciół.

Ludzie przychodzili czasami do ich domu, żeby zobaczyć się z Josephem z dala od spojrzeń innych mieszkańców wyspy. Ale, jak zauważyła, zawsze powodem wizyty było to, że czegoś od niego potrzebowali. Dodatkowej pary rąk do młócenia pszenicy. Klaczy Josepha do pociągnięcia pługa. Jego siły do pomocy w stawianiu ścian nowej stodoły. Jego plaży do zacumowania wynajętej barki pełnej materiałów budowlanych.

Zawsze pomagał.

Ani razu przez cały zeszły rok – a śledziła to uważnie – nie zdarzyło się, żeby ktoś przyszedł do nich z pomocą, z żywnością czy z dobrym słowem. Ani razu nie zdarzyło się, żeby ktoś obdarzył ją uśmiechem. Ludzie zawsze ją ignorowali, tak jakby nie była żoną Josepha, tylko jego psem czy może raczej jego umazaną błotem świnią.

Była w stanie poradzić sobie z tym, że jest ignorowana, ale męczyło ją to, że jej mąż był wykorzystywany i źle traktowany z powodu przestępstwa, jakim było wzięcie z nią ślubu. Co to kogo obchodziło, jak ona wygląda albo gdzie urodzili się jej przodkowie? Póki była pracowitą i troskliwą żoną Josepha, dlaczego mieliby się skarżyć?

Powiedziała to kiedyś Josephowi, ale on tylko pokręcił głową i uśmiechnął się do niej smutno.

– Nie ma znaczenia, co myślą ludzie – odpowiedział jej. – Ja jestem szczęśliwy i mam nadzieję, że ty też. Jesteś, prawda?

– Tak, jestem szczęśliwa – przyznała.

– To w takim razie nie potrzebujemy nikogo więcej.

I tak żyli sobie dalej, troszcząc się o swoje gospodarstwo i o wzajemną, coraz głębszą relację. Ale Mei Lien nadal martwiła się, że Joseph tęskni do tego, co mogłoby go spotkać, gdyby nie pojawiła się w jego życiu.

Podobnie jak zastanawiała się, co by było, gdyby nic się nie wydarzyło.

Czy nadal wyszywałaby portmonetki z babką i pomagała ojcu w sklepie? Czy raczej ojciec zaaranżowałby dla niej małżeństwo z jakimś Chińczykiem, z porządnym kupcem, takim jak on sam, albo z kimś w rodzaju Yeung Luma? Czy nadal nosiłaby męskie spodnie, czy spódnice i fartuchy jak babka? Czy może przejęłaby ubiór białych kobiet, tak jak zrobiła to teraz?

Dlaczego marnuje poranek, leżąc w łóżku i rozmyślając o sprawach, które nie mają znaczenia albo których nie da się zmienić?

Z rezygnacją przetoczyła się na bok i zmusiła swoje umęczone ciało, żeby usiadło. Spuściła z łóżka stopy, które ostatnio były nieustannie spuchnięte. Zatrzymała się, jak zwykle, żeby pomasować swój ogromny brzuch i poczuć w środku ruch.

Syn Josepha – była pewna, że dziecko będzie chłopcem – miał się niedługo urodzić, więc byli już przygotowani na to spotkanie. Joseph skonstruował kołyskę, która stała teraz po jej stronie łóżka. Na dole, na blacie kuchennym, leżał stos czystych prześcieradeł, a na piecu Mei Lien trzymała największy garnek wypełniony bez przerwy wodą gotową do zagotowania. Kilka miesięcy temu odwiedziła zielarza w Port Townsend i kupiła zioła, które miały jej pomóc podczas porodu, a także inne, mające przyspieszyć późniejszy powrót do sił. Zapłaciła mu za to czterema wyszywanymi portmonetkami, które sama zrobiła w zimie, żeby Joseph nie musiał dawać jej nic ze swoich kurczących się zasobów gotówki.

Wobec braku pomocy sąsiadów przy zeszłorocznych jesiennych zbiorach, Joseph nie miał wyboru, jak tylko pozwolić, żeby jabłka i gruszki zgniły na drzewach. Pozostałe plony, które zabrał do Port Townsend, zapełniły jedynie pół barki.

Ale w tym roku będzie inaczej – postanowiła, podnosząc się w końcu z wypiętym do przodu brzuchem. Musi być inaczej, jeśli mają przeżyć.

W chwili kiedy wstała, ostry ból przeszył jej plecy i okręcił się wokół brzucha.

Zgięła się i oparła jedną ręką o ścianę przed sobą, a drugą rozmasowała brzuch, żeby złagodzić ból.

Bóle, skurcze, kłucie, ciągnięcie... Tak wyglądało teraz jej życie. Skorzystała z nocnika, ubrała się i poczłapała po schodach na dół, żeby zacząć robić śniadanie. W momencie, w którym dotarła do kuchni, przez tylne drzwi wszedł Joseph z wiadrem pełnym mleka.

– Przyszła poczta – powiedział, wstawiając wiadro do zlewu.

– Tak wcześnie?

Zdjął rękawiczki i spojrzał na nią z uniesionymi brwiami.

– Już prawie południe, May. Pomyślałem, że dobrze ci zrobią dodatkowe godziny snu.

Podeszła do tylnych drzwi, żeby spojrzeć w niebo i samej ocenić porę dnia. Nie było wątpliwości, słońce wyszło już zza Mount Constitution i niedługo miało sięgnąć najwyższego punktu na niebie.

– Powinieneś był mnie obudzić. Mam dzisiaj mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Zaczęła krzątać się po kuchni i przygotowywać śniadanie, podczas gdy Joseph usadowił się przy stole, żeby przejrzeć listy, które wyciągnął z kieszeni. Usmażenie bekonu okazało się praktycznie niemożliwe bez opryskania przy okazji brzucha tłuszczem. Potem, kiedy chciała wyjąć bułeczki z pieca, próbowała zgiąć się w pasie, ale poczuła, jak ciężar dziecka wytrąca ją z równowagi. Spróbowała znowu, tym razem zginając kolana, i już prawie trzymała blachę w owiniętej rękawiczką ręką, kiedy wtrącił się Joseph.

– Chodź tu. Usiądź. Ja skończę robić śniadanie. – Zaprowadził ją do krzesła i nacisnął na jej ramiona, aż w końcu poddała się i usiadła.

– Nie mogę tak tu siedzieć i nic nie robić. – Drażniło ją, że tak się z nią cackał. Jak dotąd nikt nigdy tego nie robił, a ona była w pełni zdolna do tego, żeby zatroszczyć się o siebie i o męża. – Nie ma potrzeby, żebyś wypełniał za mnie moje obowiązki.

Odwrócił się od pieca z widelcem w dłoni, a jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Wiem, że nie chciałaś okazać mi niewdzięczności, więc nie będę zwracał na to uwagi. A ty odpoczniesz. Nosisz moje dziecko.

– Jak mogłabym zapomnieć? Ten maluch nie przestaje się ruszać, kiedy próbuję spać, a kiedy wstaję, moje ciało mnie nie słucha. Oj! – Poczwała w kręgosłupie ponowne ukłucie bólu.

– Co? Czy to już? – Joseph znalazł się nagle obok niej, przykucnął i położył rękę na jej brzuchu. Rozszerzonymi oczami patrzył to na nią, to na jej brzuch.

– Nie, jeszcze nie. Po prostu wszystko mnie boli od zbyt długiego leżenia w łóżku.

Spojrzał na nią wzrokiem, który wyraźnie mówił, że jej nie wierzy, ale i tak wrócił do pieca.

– Jeśli koniecznie chcesz coś robić, to możesz przeczytać mi list od mojej siostry.

Listy jego siostry były zawsze pełne przechwałek na temat jej perfekcyjnych bliźniaczek i tego, jak to jej mąż buduje w swojej stoczni w Tacomie statek, który ma się okazać najwspanialszy w historii. Mei Lien nigdy nie spotkała tej kobiety i była z tego zadowolona, bo w rzeczywistości Elizabeth okazałaby się bez wątpienia taka sama jak w swoich listach – arogancka, zarozumiała, odnosząca się z lekceważeniem do Josepha i zupełnie ignorująca fakt istnienia jego żony.

Mei Lien wzięła list ze stosu na stole i rozłożyła papier perfumowany olejkiem różanym. Elizabeth miała drobne, zwarte pismo, a tu i ówdzie wstawiała zawijasy, tak jakby niektóre słowa darzyła szczególną sympatią. Mei Lien zaczęła powoli czytać, interpretując najlepiej, jak potrafiła, niektóre z nagryzmołonych wyrazów.

– „Najdroższy Josephie. Ufam, że ten list zastanie cię w takim samym zdrowiu, jakim my cieszymy się tutaj, w mieście”. – Przerwała czytanie i podniosła wzrok. – Dlaczego ona zachowuje się tak, jakby Tacoma była jedynym miastem w okolicy?

Joseph wzruszył ramionami.

– To jest centrum jej świata, więc dla niej jest to jedyne miasto w okolicy.

Potrząsnęła głową, ale wróciła do czytania.

– „Marcus przyjął nowego współpracownika, więc ma w końcu możliwość wzięcia urlopu. Uprzedziłam go, że chciałabym odwiedzić swojego brata i poznać jego żonę, więc niedługo to zrobimy. Przypłyniemy dwunastego sierpnia porannym promem i zostaniemy na weekend”. – Mei Lien poczuła w gardle przyływ mdłości i przerwała, żeby policzyć w myślach, kiedy to wypada.

– Josephie! To za dwa tygodnie! Do tego czasu dziecko już się na pewno urodzi. To będzie ponad moje siły, żeby gościć tu jeszcze twoją rodzinę. Musisz natychmiast jej odpisać, żeby nie przyjeżdżała jeszcze przynajmniej przez miesiąc. – Przerwała. – Czy ona wie, że jestem w ciąży?

– Tak, wie. Napisałem jej to parę miesięcy temu. – Postawił przed nią talerz i wrócił do pieca po swój. – Dlaczego nie miałyby przyjeżdżać? Mogłaby okazać się bardzo pomocna.

Mei Lien wpatrywała się w swój posiłek.

– Mogłaby. Albo dodałaby mi tylko pracy w momencie, w którym i tak będę miała ręce pełne roboty. – Podniosła kromkę, którą Joseph posmarował grubo dżemem truskawkowym zrobionym przez nią w zeszłym miesiącu, i odgryzła duży kęs. List leżał koło jej talerza, więc Mei Lien pochyliła się i podjęła czytanie. – „Słyszeliśmy, że twoja mała wyspa staje się coraz bardziej popularna wśród mieszkańców Seattle, więc po prostu musimy być pierwszymi ludźmi z Tacomy, którzy sprawdzą, czy te doniesienia nie są przesadzone”.

Joseph chrząknął, siadając po drugiej stronie stołu ze swoim śniadaniem.

– Wygląda na to, że oczekuje, żeby ktoś ją oprowadził jak turystkę.

Mei Lien spuściła głowę.

– Proszę, obiecaj, że napiszesz do niej i poprosisz, żeby jeszcze nie przyjeżdżała. Najlepiej by było po zbiorach, chyba że planują nam w nich pomóc.

Joseph starannie przeżuł bekon, po czym popił go kubkiem mleka nabranego z wiadra, które nadal stało w zlewie.

– Napiszę do niej.

– Dziękuję.

Kończąc śniadanie, przejrzeni razem resztę listów. Był wśród nich między innymi rachunek od Barona, który wydawał się mocno poirytowany tym, że Joseph nie zapłacił jeszcze za towary otrzymane trzy miesiące temu, pomimo że sam wielokrotnie powtarzał Josephowi: „Sapłaci pan, kiety pęcie mókł”.

– Mamy jak mu zapłacić? – spytała Mei Lien, podnosząc się ciężko od stołu, i podeszła powoli do zlewu, żeby pozmywać.

– Tak. Częściowo. Nie za wszystko.

Już wkrótce owoce w sadzie dojrzeją na tyle, żeby je zbierać, ale Mei Lien będzie wtedy zajęta dzieckiem. Możliwe, że będą zmuszeni znaleźć inne źródło dochodów. I to niedługo.

– Myślisz, że Marcus i Elizabeth daliby się przekonać do pomocy przy zbiorach?

Joseph się roześmiał.

– Mieliby ubrudzić sobie ręce?

Mei Lien skrzywiła się i z powrotem skupiła na sprzątanii kuchni. Kiedy tylko skończyła, skierowała się do drzwi.

– Oporządziłeś dzisiaj rano zwierzęta? – zapytała swojego męża. Pokiwał głową. – A ogród? Sprawdziłeś, czy jelenie albo króliki nie przeszły w nocy przez ogrodzenie?

– Wszystko jest w porządku. – Wstał i położył ręce na jej ramionach, powstrzymując ją przed wyjściem przez tylne drzwi i zabranie się do obowiązków. – Poczekaj. Mam jeszcze jedną sprawę.

Co jeszcze mogło mieć znaczenie poza długami, które musieli spłacić, i ich jedynym źródłem dochodów, które wymagało, żeby się o nie zatroszczyć?

– O co chodzi, Josephie? Już i tak jestem dzisiaj do tyłu.

Zacisnął wargi, próbując powstrzymać unoszące się kąciki ust. Wyraźnie coś szykował.

– Poczekaj tutaj – powiedział, naciskając rękami jej ramiona, tak jakby próbował osadzić ją w miejscu na środku kuchennej podłogi. – Zaraz wracam.

Podszedł do tylnego wyjścia, ale obejrzał się, żeby sprawdzić, czy się nie poruszyła. Mei Lien uniosła tylko brwi.

Z uśmiechem otworzył drzwi i wyszedł na ganek, gdzie na Mei Lien czekała oparta o ścianę balia i wyzymarka do ubrań. Joseph zostawił otwarte drzwi i na moment zniknął za rogiem, a chwilę później pojawił się z owiniętą w brązowy papier paczką.

Podszedł do niej z wyciągniętymi do przodu rękami, trzymając pakunek tak, jakby składał go w ofierze, a uśmiech wypełnił mu całą twarz.

– To dla ciebie – powiedział i nogą zatrzasnął za sobą drzwi. – Dla ciebie i dla dziecka.

Mei Lien nie była w stanie sobie wyobrazić, co takiego mógł dla niej zamówić, co przysłoby zawinięte w papier.

– Co to jest, Josephie? I jak za to zapłaciłeś?

Kiedy usłyszał to pytanie, przez twarz przemknął mu grymas, ale zaraz znowu ustąpił podekscytowanemu uśmiechowi.

– To nie ma znaczenia. Otwórz.

Mei Lien wzięła od niego paczkę i od razu poczuła, jak boczne krawędzie się zapadają, co

oznaczało, że w środku znajduje się coś miękkiego.

Położyła paczkę na stole, ostrożnie rozcięła woskowany sznurek nożem kuchennym i rozwinęła papier, myśląc sobie, że znajdzie później dla niego jakieś zastosowanie. W ich domu nic się nie marnowało.

W chwili, kiedy odwinęła ostatnią warstwę papieru, wydała zduszony okrzyk.

W środku znajdował się najwspanialszy błękitny jedwab, jaki kiedykolwiek widziała, delikatniejszy niż którykolwiek z jedwabów sprzedawanych przez ojca. Był ciasno utkany z tak cienkich nici, że kiedy przesunęła po nim palcami, wydał jej się miękki jak woda. Od razu stanęła jej przed oczami scena, którą będzie mogła wyhaftować na tej delikatnej powierzchni. Sklep ojca przy Washington Street, ojciec stojący w otwartych drzwiach. Babka w oknie na piętrze ze swoją własną robótką w rękę.

– Piękne – westchnęła, choć nie wiedziała, czy ma na myśli sam jedwab, czy obraz, który na nim stworzy.

– To nie wszystko. Zajrzyj pod materiał.

Mei Lien podniosła z zaciekawieniem zwój materiału i znalazła paczuszkę igieł do haftowania i jedwabne nici w przynajmniej dwudziestu różnych kolorach. Była wśród nich szczęśliwa czerwień, bogate złoto, czerń nocy, morski błękit, biel obłoków, ziemisty brąz i odcienie, których nie była w stanie określić, bo wahały się między dwoma kolorami, ufarbowane przez utalentowane ręce z wieloletnim doświadczeniem.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała męża, dopiero teraz uświadamiając sobie, że płacze, bo kiedy na niego spojrzała, zobaczyła tylko rozmazaną twarz.

Potrząsnął głową.

– Nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że zręcznie posługujesz się igłą, po tym, jak zobaczyłem torbę, którą dla mnie zrobiłaś. Widzę też, jak poprawiasz na sobie suknie, tak jakby nie było ci w nich wygodnie...

– Jest mi niewygodnie, bo jestem w ciąży – przerwała mu. – Suknie są w porządku. – Nie chciała, żeby się dowiedział, że po prostu nie mogła się do nich przyzwyczaić. Że z każdym dniem ubierania się w krępujące, bezbarwne stroje białych kobiet czuła się coraz mniejsza. Czuła, jak ztraca siebie i swoją historię.

Ciągnął dalej, tak jakby się nie odezwała.

– A potem zobaczyłem, jak oglądasz jedwabie w Port Townsend, kiedy wybraliśmy się, żeby kupić ci zioła. Chciałem zrobić ci ten prezent już wtedy, ale to było zaraz po tym, jak przyszedł pastor Gray i namówił mnie do złożenia ofiary na nowy kościół.

– Cały czas uważam, że powinieneś był mu odmówić.

– Żałuję, że tego nie zrobiłem. – Oboje wiedzieli, że nigdy nie pojawią się w kościele episkopalnym w Eastsound. – Szczególnie po tym, jak zobaczyłem cię przy tych jedwabkach. – Przesunął palcami po błękitnym materiale. – Naprawdę ci się podoba?

– Tak. Bardzo.

– Uszyciesz sobie suknię albo coś, co będziesz mogła z dumą nosić?

Przyjrzała mu się uważnie. Unikał jej wzroku, a oczy miał spuszczone na materiał i nici rozłożone przed nimi. Uświadomiła sobie, że on wie. Pomimo jej usilnych starań, na pewno wie, jak bardzo nie lubi ubierać się w stroje białych kobiet.

– Tak – odpowiedziała w końcu. – Zrobię suknię dla siebie i jeszcze coś dla dziecka. – Podeszła do niego i przytuliła się. Brzuch uniemożliwiał jej przysunięcie się tak blisko, jak by tego chciała, ale odwróciła się bokiem i dzięki temu mogła przyłożyć policzek do jego piersi. Dobrze znany odgłos bicia serca sprawił, że jej własne przeszył ból. To nie był człowiek, jakiego wybrałaby dla siebie, gdyby życie potoczyło się inaczej, ale kochała go każdą cząstką swojego istnienia. Może któregoś dnia zdobędzie się

na odwagę, żeby mu to powiedzieć.

Nagły ból uderzył ją w plecy, a potem przeszył brzuch, aż do ud. Złapała gwałtownie oddech i odsunęła się od Josepha, żeby się pochylić i oprzeć ręce o kolana.

– May? – Joseph położył jej na plecach rękę, której drzenie zdradzało strach.

Ból ustąpił, a Mei Lien zmusiła się do śmiechu, żeby dodać mu odwagi i wygładzić bruzdy, jakie utworzyły mu się wokół oczu i ust.

– To nic takiego. To pewnie dlatego, że przechyliłam się przez ten wielki brzuch, żeby cię przytulić. Jestem pewna, że jeszcze niejednokrotnie to dziecko będzie nas powstrzymywać przed okazywaniem sobie uczuć.

Roześmiał się razem z nią.

Ból zagnieździł jej się nisko w brzuchu, a dziecko wybrało sobie akurat ten moment, żeby się przekręcić i dźgnęło ją stopą albo łokciem we wrażliwe miejsce. Ukryła grymas, odwracając się w stronę stołu, żeby ostrożnie zawinąć jedwab i nici z powrotem w papier.

– Odłożę to do swojego przybornika do szycia, a potem wezmę się w końcu do pracy. Ty też powinieneś, panie McElroy.

Jej uwaga przyniosła zamierzony efekt. Roześmiał się, pocałował ją szybko w policzek i wyszedł na zewnątrz. Kiedy została sama, usiadła ostrożnie na krześle i rozmasowała brzuch.

– Czy ty chcesz dzisiaj wyjść, maluchu? – odezwała się cicho w pustym pomieszczeniu. – Czy to właśnie o to chodzi?

Za każdym razem, kiedy myślała o zmierzeniu się z porodem bez akuszerki, która mogłaby ją poprowadzić, czuła, że powietrze ulatuje jej z płuc, jak teraz. Paliło ją w gardle. Będzie sama i nikt poza Josephem nie pomoże jej wydać tego dziecka na świat. W najlepszym wypadku syn urodzi się zdrowy. W najgorszym – dzień ten będzie ostatnim w jej życiu.

Od wielu miesięcy modliła się do przodków, żeby dziecko nie zostało bez niej. Skośnooki, czarnowłose malec potrzebował matki, żeby poradzić sobie w tym bladym świecie.

*

Bóle przychodziły i odchodziły przez cały dzień. Po kolacji, kiedy od paru godzin Mei Lien nie poczuła żadnego skurczu, zostawiła Josepha w salonie nad księgami rachunkowymi i zeszła nad wodę na swoją wieczorną wizytę u duchów rodziny.

Na zewnątrz było nadal jasno. Wiedziała, że upłynie jeszcze przynajmniej godzina, zanim słońce zajdzie do morza po drugiej stronie wyspy. Uwielbiała takie wieczory jak ten, kiedy liście i jagody oddawały ciepło całego dnia i wypełniały otoczenie słodkimi zapachami, a ona zamykała oczy, wciągała powietrze głęboko do płuc i rozkoszowała się każdą wonią, jaką w nim wyczuwała, żeby przywoływać je potem w chłodne, zimowe wieczory.

Im bliżej była wody, tym bardziej zapachy się zmieniały. Koło domu czuła suchą, słoneczną woń trawy i rozgrzanej ziemi, a nad wodą wszystko pachniało żywiej. Wyczuwała wilgotne, cierpkie zapachy grzybów rosnących w poszyciu lasu, gdzie słońce rzadko zaglądało, i słoną woń wodorostów i glonów rozrzuconych jak plamy farby na skałach na plaży.

O tej porze dnia, przed zachodem słońca, zatoka prawie zawsze stawała się szklista, jakby jakaś niewidzialna ręka uciszyła wiatr, a zwierzęta i prądy morskie skierowała na spoczynek, tworząc lustrzaną powierzchnię, w której odbijało się błękitne niebo, poprzecinane smugami pomarańcza i różu. Widok ten sprawiał, że Mei Lien miała ochotę otworzyć ramiona i chłonąć to wszystko każdym najdrobniejszym skrawkiem skóry.

Opuściła swoje zbolące ciało na ulubiony gład i pomyślała o ojcu i o babce. Ich twarze traciły w jej wspomnieniach wyraźne rysy. Czas wygładzał ich obraz jak niewidzialna ręka wodę. Przez ostatnie

półtora roku patrzyła tylko na białe twarze. Czasami w Port Townsend czy w Victorii zauważała azjatycką, ale jej właściciel prawie zawsze odwracał się, widząc Josepha u jej boku.

Gdyby nie posrebrzane lustro, które Joseph jej kupił, nie pamiętałaby o swoich skośnych oczach, o czarnych smugach brwi pod czarną linią włosów, o swojej okrągłej, gładkiej twarzy. Zapominała. Stawała się jedną z nich. Ale w swoim własnym odbiciu dostrzegała twarze ojca i babki. Niedługo będzie mogła popatrzeć na swoje dziecko, zobaczyć w nim utraconą rodzinę i zachować pamięć o przeszłości.

Może wtedy przestanie wpatrywać się każdego wieczoru w wodę w poszukiwaniu poczucia pełni tylko po to, żeby za każdym razem wracać do domu rozbita.

– Nie powinna pani przypadkiem czegoś tyraz szorować?

Mei Lien wzdrygnęła się na dźwięk głosu. Nie dalej niż trzy metry od brzegu ten diabeł Campbell siedział w swojej łodzi wypełnionej czymś, co wyglądało na skrzynki z gwoździami, narzędziami i paczkami nasion. Zbyttno zatraciła się we własnych myślach, żeby usłyszeć, jak nadpływa. Powinna być bardziej czujna.

Co za głupota! Wystawić siebie i dziecko na takie niebezpieczeństwo!

Strach wypełnił jej usta i nie pozwolił odpowiedzieć na pytanie. Najszybciej, jak potrafiła, wstała ze skały i ruszyła na drugi koniec plaży, w kierunku ścieżki, która zaprowadzi ją do domu i do Josepha. Do bezpieczeństwa.

„Szybciej, Mei Lien!”. Ostrożnie przestępowała przez kamienie. Gdyby tylko mogła pobiec. Ale ten brzuch, te bóle, to klucie w biodrach i w nogach – jedyne, co mogła zrobić, to sunąć w tempie zbliżonym do marszu. Gdyby Campbell zechciał ją skrzywdzić, to teraz miałby po temu najlepszą okazję.

„Szybko! – poganiała się w myślach. – Nie zwracaj uwagi na skurcze. Nie zwracaj uwagi na ból”. Była w połowie drogi do leśnej ścieżki, kiedy stopa pośliznęła jej się na luźnym kamieniu i uderzyła mocno w ostry głąz, pokryty zeschniętymi skorupiakami. Ból przeszył jej nogę i zwinął się w brzuchu jak wąż gotowy do skoku.

W tym momencie jej brzuch ścisnął się mocno i z takim impetem posłał ból z powrotem do nóg, że musiała zatrzymać się i pochylić, chwytając się za niego rękoma. Dopóki ból nie ustąpił, nie była w stanie się poruszyć.

– Nie powinna pani sama tu przychodzić, pani McElroy – zadrwił Campbell, zbliżając się, ale ona nie miała siły, żeby się odwrócić i na niego spojrzeć.

Mogła tylko skupić się na napełnianiu płuc powietrzem i na wypychaniu z siebie bólu wraz z wydechem.

– Ale czy to ładnie tak traktować synsiada? Ignorować go?

Usłyszała plusk i wiedziała już, że podpłynął do brzegu i szedł w jej kierunku. Na przekór bólowi zmusiła swoje stopy do ruszenia naprzód. Krok za krokiem, choć była to dla niej męka, zaczęła przesuwać się w stronę ścieżki.

Jednak Campbell ją dogonił. Najpierw zobaczyła jego buty na kamieniach tuż obok.

– Źle się pani czuje? – Jego głos był pełen odrazy i zrozumiała wtedy, że mężczyzna jej nie dotknie. Była za to wdzięczna swojemu nabrzmiałemu ciału.

– Czego pan chce? – udało jej się zapytać, kiedy żelazna pięść, jaka ścisnęła jej wnętrzności, rozluźniła się na tyle, żeby Mei Lien mogła wydobyć z siebie głos.

– Chcę waszej ziemi. – Kopnął butem kamień, który potoczył się i uderzył ją w stopę. – Nie wiem, jak to pani zrobiła, ale nastawiła pani Josepha przeciwko mnie, tak że nie chce ze mną rozmawiać. Proszę go namówić do przyjęcia mojej ofiary. Idźcie sobie gdzie indziej. Gdzieś, gdzie byndą chcieli waszego dziaciaka.

Jęknęła z bólu, który chwycił jej ciało, i słuchała go tylko jednym uchem.

Odsunął się na tyle, że nie widziała już jego butów.

– Proszę powiedzieć Josephowi, że złożyłem uczciwą propozycję. I żeby przyjął ją, zanim byndzie za późno.

– Niech sam mu to pan powie – udało jej się odpowiedzieć pomiędzy sapaniami.

– Zrobiłbym to, gdyby nie zwróciła go pani przyciwko mnie.

Żelazna pięść zacisnęła się mocniej i wykręciła jej wewnętrzności, tak że upadła na kolana z hańbiącym okrzykiem. Całe jej ciało, łącznie z mięśniami twarzy, zeszywniało. Oddychała z trudem, skupiając myśli na chwili, w której ból ustąpi. Wyczekiwała z nadzieją, żeby wrócić wreszcie do domu i do Josepha. I właśnie w tym momencie po udach spłynęła jej ciepła ciecz. Czuła się koszmarnie z tym, że Campbell jest świadkiem tak intymnej chwili, ale nic nie mogła na to poradzić. Mogła tylko oddychać przez ból.

Nie usłyszała chrzęstu butów Campbella na muszlach i skorupiakach ani plusku wody, kiedy wracał do łodzi. Nie usłyszała, jak uderza wiosłami o powierzchnię zatoki. Ale kiedy ból zmniejszył się na tyle, żeby mogła podnieść wzrok i popatrzeć na otoczenie, już go nie było. Po jego wizycie nie pozostało ani śladu, tak że zaczęła się zastanawiać, czy nie był on tylko wytworem jej wyobraźni. A może dręczył ją jego diabelski duch.

– May!

Odwróciła się i zobaczyła, jak Joseph biegnie do niej przez plażę. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że stoi na czworaka na kamieniach, a po jej twarzy spływają łzy.

Zanim Joseph zdążył do niej dotrzeć, chwycił ją kolejny skurcz. Zacisnęła powieki i spróbowała znowu skupić się na oddychaniu, ale ból był zbyt silny i jedyne, co była w stanie robić, to cierpieć i mieć nadzieję, że przeżyje.

– Chodź, zaprowadzę cię do domu – usłyszała głos Josepha, który, jak jej się zdawało, dochodził z bardzo daleka.

Poczuła, jak kładzie jej ręce na plecach, próbując ją poruszyć i podnieść.

– Nie dotykaj mnie! – syknęła, bo wiedziała, że jeśli teraz ją poruszy, to ona z pewnością rozpadnie się na kawałki. – Poczekaj. – „Oddychaj. Oddychaj”.

W końcu ból ustąpił na tyle, że mogła spojrzeć na męża.

– Teraz mogę się ruszać, ale chyba nie będę w stanie iść.

Z jego twarzy natychmiast zniknął strach, który wcześniej na niej zauważyła. Jego oczy zwęziły się, a linia podbródka się wyostrzyła, po czym Joseph kiwnął głową. Sprawiał teraz wrażenie gotowego na wszystko, a jego wrogiem był w tym momencie jej ból. Po raz pierwszy Mei Lien poczuła, jak jej własny lęk maleje. Nie była sama. Joseph będzie walczył razem z nią. Pomoże jej.

Podniósł ją i oparł o swoją pierś, a ona objęła go rękami za szyję.

– Przepraszam, że jestem taka ciężka.

– Kochanie, nawet z dzieckiem w brzuchu jesteś drobniutka. Nie martw się, za chwilę będziemy w domu.

Zamknęła oczy i oparła głowę o ramię męża, bojąc się kolejnego skurczu, który, jak wiedziała, musiał niedługo nadejść.

Nadszedł dokładnie w momencie, kiedy wyszli z chłodnego lasu na polanę, gdzie na wysokiej, rozgrzanej słońcem trawie kładły się cienie, które podchodziły aż pod dom. Krzyknęła.

– Co mam robić? – zapytał Joseph i podrzucił ją gwałtownie, przyspieszając kroku.

– Przestań. Nie ruszaj się – wycedziła przez zęby. Natychmiast znieruchomiał, a ona skupiła całą uwagę na swoim wnętrzu. Oddychać. Oddychać. Wyobrazić sobie, jak dziecko ustawia się w odpowiedniej pozycji, przygotowuje się do porodu.

– Dobrze, możesz iść – powiedziała kilka minut później, kiedy tylko ból się zmniejszył. Miała

ochotę położyć się tam, gdzie była, ale zacisnęła zęby i popędziła Josepha. Nie położy się, dopóki nie znajdzie się w swoim domu, we własnym łóżku. Jej dziecko nie urodzi się w brudnym polu, jak zwierzę, za jakie biorą ją mieszkańcy wyspy.

Joseph zrobił, jak kazała, i przyspieszył, a każde podrzucenie czy szturchnięcie przeszywało jej wewnątrz poobijane ciało nieznośnym bólem. Ale nie skarżyła się. Im szybciej dotrą do domu, tym szybciej będzie mogła się zabrać za wydawanie tego dziecka na świat.

Weszli do kuchni przez tylne drzwi, usłyszała trzaśnięcie, po czym zaczęli się wspinać po wąskich schodach do sypialni na piętrze. Czuła, jak ramiona Josepha drżą pod nią, ale wiedziała, że nie da rady wejść na górę sama, więc pozwoliła mu nieść się dalej, a sama mocno trzymała się jego szyi.

Brzuch zaczął jej się napinać.

– Nadchodzi skurcz – powiedziała mężowi i zamknęła oczy, żeby się przygotować. Położył ją na łóżku, a ona przekręciła się na bok, objęła brzuch ramionami i poczuła, jak twardnieje pod jej dłońmi. Ponownie skupiła się na tym, żeby oddychać i doczekać do końca tej tortury.

– Zagotuj wodę – powiedziała, kiedy tylko znowu była w stanie mówić. – Prześcieradła.

Czuła się posiniaczona, poobijana i przerażona, ale zdołała na leżąco rozpiąć suknię i zrzucić buty. Z resztą poczekała na Josepha.

Niedługo był z powrotem przy niej, pomógł jej się rozebrać i ułożyć w łóżku z poduszkami za głową i dodatkowymi prześcieradłami pod nią.

– Widziałaś kiedyś rodzącą kobietę? – zapytał Joseph, zdejmując z łóżka kołdrę i kładąc ją na komodzie pod oknem. – Wiesz, czego się spodziewać?

Potrząsnęła głową.

– Wiem tylko tyle, ile powiedział mi zielarz z Port Townsend. – Przerwała, bo przypomniała sobie o czymś. – Ach, znajdź paczuszkę z napisem „przed” i zaparz mi z tego herbatkę.

Pokiwał głową i poszedł.

Ale napar okazał się w końcu niepotrzebny. W chwili kiedy Joseph wyszedł z pokoju, chwycił ją kolejny skurcz, tym razem inny. Tym razem poczuła, że powinna przeć.

– Joseph! – krzyknęła, kiedy tylko mogła z powrotem złapać oddech.

Wbiegł do pokoju, a z jego twarzy natychmiast odpłynęła krew.

– O mój Boże – powiedział, podbiegając do niej. – Widzę główkę.

– Pomóż mi. Nie wiem, co robić! – Pomimo wiedzy, jaką przekazał jej zielarz, uczucie, że jej ciało rozrywa się od środka, przeraziło ją bardziej niż cokolwiek, czego wcześniej doświadczyła.

– Jestem przy tobie, kochanie. Pomogę ci. To nie może się za bardzo różnić od porodu krowy czy owcy, prawda?

Nie spodobało jej się to porównanie, ale nie miała siły odpowiedzieć. I tak była wdzięczna za pomoc Josepha. Mężczyzna wziął ręcznik ze stosu obok łóżka i rozmawiał z nią przez cały czas, gdy wypychała ich dziecko ze swojego ciała.

Kiedy w wyczerpaniu usłyszała pierwszy krzyk dziecka, poczuła, jak jej serce porusza się w odpowiedzi.

– To chłopiec! – Głos Josepha był ochryply ze wzruszenia.

Pokiwała głową. Zamknęła oczy, żeby odpocząć, a Joseph wytarł malucha do czysta. Kiedy położył jej na piersi syna, jeszcze przez chwilę ich nie otwierała, tylko rozkoszowała się dotykiem jego delikatnej skóry i łagodnym ciepłem, jakie od niego biło. Potem podniosła powieki i po raz pierwszy spojrzała na swoje dziecko.

Wpatrywały się w nią szeroko otwarte oczy chłopca, ciemne i głębsze niż ocean. W tym momencie poczuła, jak między nią a synem coś się dokonuje. Było to coś w rodzaju porozumienia, które nie potrzebuje słów. Nigdy wcześniej go nie widziała, ale w tym momencie uświadomiła sobie, że zna go od

zawsze.

– Witaj, mały – wyszeptała po chińsku przez ściśnięte gardło. Koniuszkiem palca delikatnie pogłaskała czarną czuprynę na główce i obejrzała go uważnie od malutkiego noska po czubki dziesięciu palców u stóp. Był idealny.

I od tej chwili był już na zawsze pod jej opieką.

Niespodziewanie pojawiła jej się przed oczami umęczona twarz ojca spychającego ją ze statku. Wtedy była przekonana, że cierpiał z powodu ran. Teraz wiedziała, że odczuwał ból ogromnej miłości do drugiej osoby.

Ona nigdy nie odepchnie od siebie tego dziecka.

Kilka godzin później, kiedy Mei Lien i jej syn nauczyli się już karmienia piersią i byli po drzemce, która wydawała jej się za krótka, leżeli wszyscy we trójkę w łóżku, przytuleni do siebie. Dziecko było ciasno zawinięte w miękką, zielony kocyk, który Joseph kupił za skrzynkę gruszek.

– Jak go nazwiemy? – zapytał, patrząc czule na syna.

– Yan-Tao – odpowiedziała, nagle onieśmielona tym, że dla swojego syna nie brała nigdy pod uwagę imienia, które nie byłoby chińskie. – To znaczy: „przystojny”.

Joseph pokiwał głową i przesunął palcem po policzku dziecka. Jego ręka wydawała się ogromna przy tej malutkiej twarzyczce.

– Podoba mi się Yan-Tao. A możemy wybrać dla niego jeszcze drugie imię, które pomoże mu w kontaktach z innymi dziećmi na wyspie?

Wiedziała, że ma na myśli imię, które pomoże Yan-Tao sprawiać wrażenie bardziej białego, a nie Chińczyka. Zapięły ją oczy i nie była w stanie wypowiedzieć słów, które on chciał usłyszeć, więc tylko pokiwała głową, zgadzając się na to, co musiało się stać.

– Podoba ci się imię Kenneth? – Jego palce przesunęły się z dziecka na jej ramię i delikatnie je pogłaskały. – Tak nazywał się mój ojciec. Był dobrym człowiekiem.

Dziecko, które już na zawsze będzie stało pomiędzy dwoma światami, chińskim i białym, spotka przywilej noszenia imienia po białym dziadku. Mei Lien poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Ich syn ma szczęście – otoczą go opieką duchy obu dziadków. I ma szczęście, że jego ojciec patrzy na niego tak samo, jak jej ojciec patrzył kiedyś na nią.

– Dopilnuję, żeby z dumą nosił to imię.

Rozdział szesnasty

Piątek, 12 sierpnia 1887

Farma McElroyów, wyspa Orcas

Kolejne tygodnie Mei Lien zapamiętała jako bezładną mieszaninę opieki nad dzieckiem, troski o swoje własne ciało, wracające do sił, ale wciąż obolałe, jedzenia, kiedy mogła, spania, kiedy mogła, i płakania razem z Yan-Tao, kiedy nie mogła go uspokoić.

Tęskniła do jakiejś innej kobiety, doświadczonej w wychowywaniu dzieci, z którą mogłaby porozmawiać. Nigdy nie miała kontaktu z noworodkami, a głupio jej było pytać o wszystko męża, który kiedyś w domu rodzinnym w Indianie pomagał przy swoich licznych młodszych kuzynach i potrafił zapiąć pieluszkę czy przytrzymać dziecku główkę. Czy to nie matka powinna wiedzieć takie rzeczy?

Ale powoli się uczyła i czasami nawet zaskakiwała samą siebie, gdy instynkt kierował ją w dobrą stronę i udawało jej się samodzielnie uspokoić Yan-Tao, kiedy Joseph był w sadzie. Powoli odzyskiwała pewność siebie i siły.

Brak snu dawał jej się jednak we znaki. Dziecko budziło się głodne z płaczem co trzy godziny, a Joseph nie mógł pomóc w karmieniu. Poza tym codziennie zajmował się zbieraniem jabłek w sadzie, więc musiał przesypiać noce.

Przed południem, dwa tygodnie po narodzinach Yan-Tao, Mei Lien zagniała w kuchni ciasto na chleb, który powinna była przygotować parę godzin wcześniej, lecz zamiast tego została w łóżku z Yan-Tao i próbowała odzyskać trochę straconego snu.

Chłopiec leżał teraz w kołysce, którą Joseph zmontował i postawił w kuchni, żeby podczas pracy Mei Lien mogła mieć oko na dziecko. W tej chwili mały się nie awanturował, ale wiedziała, że to tylko kwestia czasu, więc pracowała szybko – zeskrobała ciasto na blat, po czym zaczęła je wyrabiać rękami, składając i formując, aż było gotowe, żeby przełożyć je do miski i postawić za piecem do wyrośnięcia.

Przez otwarte okno do kuchni napłynęły odgłosy rozmowy i Mei Lien zamarła. Campbell. Była tego pewna. Jakimś cudem zawsze pojawiał się wtedy, kiedy Josepha nie było w pobliżu, a tego dnia jej mąż zbierał owoce akurat w najbardziej oddalonej od domu części sadu.

Modląc się, żeby dziecko pozostało cicho, wytarła pokryte mąką ręce w ściereczkę i podkradła się do okna w salonie. Ostrożnie wyjrzała na podwórko, skąd dochodziły głosy, uważając, żeby nie poruszyć zasłon bardziej, niż było to konieczne.

Rzeczywiście był to Campbell, a oprócz niego na wozie siedział jeszcze inny mężczyzna, kobieta i dwie dziewczynki. Joseph będzie wściekły, kiedy zobaczy Campbella na swojej ziemi. Do tej pory udawało mu się prawie całkiem go unikać, a kiedy był zmuszany do rozmowy, dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie są już przyjaciółmi, choć w żaden sposób tego nie wyjaśniał. Campbell nie prosił już Josepha o pomoc w gospodarstwie i z wyjątkiem tamtego dnia na plaży, kiedy Mei Lien zaczęła rodzić, trzymał się z daleka od nich obojga.

Patrzyła, jak Campbell zatrzymuje się przed domem i zeskakuje na ziemię. Drugi mężczyzna też zeskoczył i wyciągnął ręce, żeby zdjąć z wozu dziewczynki.

Campbell rozmawiał z nim, tak że runda ich kapeluszy niemalże się dotykały, ale Mei Lien nie była

w stanie rozpoznać słów. Zobaczyła, jak mężczyzna podnosi rękę i wskazuje na sady po drugiej stronie drogi, gdzie, jak wiedziała, pracował właśnie Joseph – tylko skąd wiedział o tym Campbell?

W tym samym czasie kobieta podawała torby swoim, jak domyślała się Mei Lien, córkom, a one z kolei rzucały je na rosnącą stertę na ziemi. Dziewczynki wyglądały identycznie, od długich blond loków po takie same sukienki w kolorze zgaszonego błękitu, czarne pończochy i czarne skórzane buty. Ich matka była postawną kobietą o kasztanowych włosach ściągniętych w surowy kok i nakrytych modnym, jak wywnioskowała Mei Lien, kapeluszem. Kobieta obdarzyła mężczyznę poirytowanym spojrzeniem, po czym chwyciła skraj swojej szarej spódnicy i sama zeszła z powozu, skoro oni byli tak zajęci rozmową.

– Idź do domu i rozpakuj nas – powiedział drugi mężczyzna do swojej żony. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Campbell, choć nieco tęższy. – Pan Campbell zaprowadzi mnie do sadu i poszukamy twojego brata.

Brata?

Mei Lien wyrwał się zduszony okrzyk. Joseph nie napisał swojej siostrze, żeby nie przyjeżdżała!

Kobieta spojrzała na dom, a Mei Lien odskoczyła od okna, nie chcąc, żeby przytapała ją na podglądaniu. Co ona miała teraz zrobić z gośćmi? Ledwo wystarczało jej energii, żeby przetrwać dzień opieki nad synem, a co dopiero gotować, sprzątać i rozmawiać z ludźmi, których nie zna.

Usłyszała kroki na ganku i wiedziała, że nie może się już dłużej ukrywać. Szybko wygładziła fartuch na wciąż napuchniętym brzuchu, odgarnęła włosy do tyłu i założyła je za uszy, bo nie miała już czasu, żeby upiąć je w porządną kok.

Drzwi otworzyły się bez pukania i do środka wkroczyła kobieta, a tuż za nią jej córki. Siostra Josepha była ubrana w delikatny, szary jedwab, skrojony wyraźnie z myślą o niej, w odróżnieniu od bezkształtnych strojów, które nosiła Mei Lien. Kobieta trzymała się sztywno, a podbródek miała tak uniesiony, że pióro na jej kapeluszu opadało do tyłu zamiast do przodu. Dookoła niej unosił się zapach wody różanej, o którą Mei Lien nigdy nie dbała.

Kobieta ogarnęła wzrokiem zabałaganione wnętrze, a jej twarz się ściągnęła. Stos poplamionych ubrań leżał na podłodze koło wejścia i od dwóch tygodni czekał, aż Mei Lien zabierze się do prania. Przez drzwi do kuchni widać było brudne naczynia ze śniadania, stojące na omączonym blacie, którego dziewczyna jeszcze nie wytarła.

W tym momencie Yan-Tao obudził się z płaczem. Mei Lien poderwała się i rzuciła do kuchni, żeby wyciągnąć go z kołyski. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że kobieta przyszła za nią. Siostra Josepha objęła wzrokiem cały bałagan, jaki panował w kuchni, a następnie ściągnęła usta i zatrzymała spojrzenie na niej.

Ich oczy spotkały się, a Mei Lien zapało dech w piersiach. Poczła się, jakby patrzyła na Josepha. Kobieta miała identyczne zielone oczy, delikatnie migdałowate w kształcie, ale brakowało w nich Josephowego ciepła i humoru.

– Możesz zawiadomić swoją panią, że przyjechali jej goście. – Słowa były urywane i brzmiały protekcjonalnie.

Dopiero po chwili Mei Lien zrozumiała, o co jej chodzi. Zawstydzona ukryła twarz za policzkiem Yan-Tao, potem wyprostowała plecy i zmusiła się do uśmiechu.

– Pani jest pewnie siostrą Josepha, Elizabeth. Tak mi przykro. Zupełnie zapomnieliśmy, że przyjeżdżacie. Dwa tygodnie temu urodził nam się syn, a Joseph był bardzo zajęty zbiorami... – Słowa jej uciekły.

– No cóż, dzięki Bogu, że ten uroczy pan Campbell podwiózł nas z portu. Gdyby nie on, to nie wiem, co by się z nami stało! – Prychnęła, tak jakby to była wina Mei Lien, że Joseph nie czekał na swoją siostrę na nabrzeżu. Elizabeth położyła dłonie na ramionach córek, jakby chciała powstrzymać je przed zbliżeniem się do dziewczyny.

– Bardzo mi przykro – powtórzyła Mei Lien, wiedząc, że nic, co mogłaby powiedzieć, już nie pomoże. Stała w milczeniu, podczas gdy Elizabeth mierzyła ją wzrokiem, a jej twarz pociemniała z odrazy.

„To oczywiste, że nie podoba jej się to, co widzi” – pomyślała Mei Lien, pocieszając samą siebie. Jej ubrania i włosy były w nieładzie, a na ramieniu miała pewnie zeschnięte mleko, które ułało się Yan-Tao.

No i do tego była Chinką.

– Proszę – powiedziała, kołysząc Yan-Tao na ramieniu, żeby odsunąć jeszcze porę kolejnego karmienia. – Chodźcie za mną. Pokażę wam, gdzie będziecie spać, żebyście mogły się rozpakować.

– Kim pani jest? – zapytała bezceremonialnie Elizabeth.

To pytanie zatrzymało Mei Lien. A kim mogłaby być? Zmusiła się do zachowania uśmiechu na twarzy i odwróciła się do swojej szwagierki.

– Jestem Mei Lien McElroy. Joseph mówi do mnie May, pani też może, jeśli pani woli. Bardzo się cieszę, że mogę w końcu poznać jego siostrę, bo sama nie mam już żadnej rodziny.

– A to? – Wskazała na Yan-Tao.

Mei Lien poczuła, jak jej uśmiech gaśnie, i nie mogła nic zrobić, żeby go zatrzymać. Poczła gwałtowną potrzebę stanięcia w obronie dziecka i przycisnęła je mocniej do siebie. – To jest syn Josepha i mój, Ya... – Przerwała, przypominając sobie „białe” imię syna. – Kenneth. Po waszym zmarłym ojcu. Mówimy na niego Ken.

Dziewczynki wyrwały się z uścisku matki, podeszły bliżej, żeby zobaczyć kuzyna, zaczęły wymieniać się uwagami na temat jego malutkiego noska i muszelek uszu i zdawały się wcale nie zauważać jego ciemniejszej skóry oraz włosów ani zaokrąglonej, chińskiej twarzy, wciśniętej w ramię Mei Lien. Ich matka stała jednak nadal po drugiej stronie kuchni ze zmarszczonym nosem.

– Pewnie jest... skośnooki – wybąkała.

Skośnooki. Mei Lien poczuła w sobie palący ból, który nawiedzał ją często od dnia, kiedy została wyrzucona ze swojego domu w Seattle. To oczywiste, że jej syn ma skośne oczy, jest przecież pół-Chińczykiem. I nikt nie sprawi, że ona zacznie się tego wstydzić. Nikt. Nawet rodzina.

Wysiłkiem woli powstrzymała się od odpowiedzi. Zamiast tego odwróciła się w stronę schodów, żeby poprowadzić kobietę do pokoju, w którym zamieszka Yan-Tao, kiedy wyrośnie z kołyski. Nie przejmowała się, czy kobieta rzeczywiście za nią idzie.

Poszła, oczywiście, razem z dziewczynkami.

– Pani z mężem może spać tu, w tym łóżku – powiedziała Mei Lien, wygładzając kołdrę jedną ręką, wdzięczna samej sobie, że posprzątała ten pokój kilka dni przed urodzeniem Yan-Tao. – Nie mamy drugiego łóżka dla dziewczynek, ale mogę rozłożyć im koce i poduszki na podłodze.

– Moje dzieci to nie psy, żeby spały na podłodze.

Mei Lien wyprostowała się i wbiła wzrok w ścianę, podczas gdy krew z całego ciała zdawała się napływać jej do głowy. Akurat w tym momencie poczuła skurcz w brzuchu i ogromną ochotę, żeby usiąść i odpocząć, ale nie pozwoliła jej na to duma. Wiedziała, że w ciągu kolejnych trzech dni czeka ją jeszcze wiele takich chwil.

Mei Lien spojrzała na swojego gościa.

– Jest jeszcze chata, którą Joseph zbudował na początku, jak tylko tu zamieszkał. Stoi wśród drzew po drugiej stronie łąki, ale to na tyle blisko, że można przychodzić do domu na posiłki i całą resztę.

Elizabeth klasnęła w dłonie.

– No to ustalone! Ty i Joseph będziecie tam spali, a nasze córki położymy w waszym łóżku. Chodźcie, dziewczynki. Przyniesiemy nasze rzeczy.

Cała trójka zeszła z powrotem po schodach, pozostawiając Mei Lien w pokoju z otwartymi ustami.

Właśnie wyrzucono ją i jej nowo narodzone dziecko z ich własnego domu.

Trzy dni – przypomniawszy samej sobie, zmuszając nogi do ruchu. Trzy dni i już ich nie będzie. Da radę. Dla Josepha.

*

Elizabeth udało się jakimś sposobem namówić brata, żeby przerwał pracę w południe i zaprowadził ich na słynną górę Mount Constitution. Chciała zobaczyć widok, który, jak jej ktoś powiedział, rozciągał się od Kanady po Oregon. Mei Lien nie miała siły na wspinaczkę i z zadowoleniem patrzyła, jak wszyscy sobie idą i zostawiają ją samą na całe popołudnie, żeby mogła uporządkować dom, przygotować obiad i przenieść potrzebne rzeczy do chaty.

Kiedy wrócili, Mei Lien czekała już z obiadem na stole. To, co robili później, utrwaliło się jako stały program na kolejne dni. Elizabeth i jej mąż Marcus siedzieli i rozmawiali z Josephem, a bezpośrednio do Mei Lien zwracali się tylko w razie konieczności. Joseph robił co w jego mocy, żeby włączyć żonę do rozmowy albo do gry w karty, ale ona wiedziała, że jej obecność krępuje gości, więc grzecznie odmawiała i zabierała się do zmywania naczyń albo do karmienia Yan-Tao.

Przyglądała się wszystkim uważnie i widziała, że Marcus starał się nie zauważać Yan-Tao, nawet kiedy dziecko było na rękach u Josepha i wydzierało się wniebogłosy. Elizabeth przynajmniej na nie patrzyła, choć zawsze z surowym wyrazem twarzy. Ani razu go nie dotknęła.

Jednak ich córki, które, jak dowiedziała się Mei Lien, miały po dziesięć lat, zdawały się nie zauważać odrazy czy obojętności rodziców. Przysiadły na kolanach przed Yan-Tao, rozmawiały, szczebiotały nad nim, chichotały między sobą i co chwilę chciały brać go na ręce.

Mei Lien była obolała i wyczerpana, co pogłębiało się jeszcze z powodu napięcia, jakie chwyciło ją za ramiona, gdy przebywała z gośćmi. Elizabeth ani razu nie zaoferowała jej pomocy przy domowych obowiązkach czy posiłkach i zostawiała wszystko na głowie Mei Lien, razem z rozkapryszonym dzieckiem.

Jednak na korzyść Elizabeth przemawiał fakt, że kochała swoją rodzinę i brata. Było to wyraźnie widoczne i w dużej mierze przyczyniło się do tego, że Mei Lien tolerowała jej obecność. Kiedy Joseph opowiadał o życiu na wyspie, o planach sprzedania zbiorów w Seattle i wykorzystania zysków do rozbudowy domu, a kiedyś, w przyszłości, do wybudowania pomostu na nabrzeżu, Elizabeth słuchała go uważnie i wpatrywała się w brata z uwielbieniem.

W nocy, kiedy leżeli razem w starej chacie z Yan-Tao w kołysce obok, Joseph opowiedział Mei Lien, jak to on i Marcus byli najlepszymi przyjaciółmi w czasach młodości w Indianie i jak Elizabeth wszędzie za nimi chodziła, aż w końcu Marcus poprosił ją o rękę i przenieśli się na zachód, do Tacomy. Listy, które przysyłali do domu, przekonały Josepha, żeby też się tam przeprowadzić, ale kiedy przez przypadek zatrzymał się na wyspach, stwierdził, że woli osiedlić się właśnie tutaj, a nie w gwarным mieście przemysłowym, położonym jeszcze dalej na południe.

Mei Lien słuchała go z zamkniętymi oczami. Była tak zmęczona, że w głowie jej pulsowało. Przez cały wieczór zmuszała się, żeby nie zasnąć, tylko podawać obiad, deser, a potem słuchać, jak Elizabeth gra na mandolinie, którą ze sobą przywiozła. Bolało ją całe ciało.

Bolało ją serce.

Widziała, jak Joseph zachowuje się w towarzystwie siostry i szwagra. Widziała, jak uśmiecha się, śmieje, opowiada dowcipy i przekomarza się z przyjacielem. Zobaczyła go od strony, której istnienia nie przypuszczała, i uświadomiła sobie, że była to ta część jego samego, którą porzucił, biorąc z nią ślub. Gdyby wybrał sobie białą żonę, przez cały czas miałby wokół siebie przyjaciół i rodzinę, przy których mógłby się śmiać. W zamian za to dostał ciche, samotne dni, spędzane tylko w towarzystwie jej i ich syna.

Zasługiwał na więcej.

Gdyby tylko mogła uwolnić go od tego małżeństwa... Choć jednocześnie czuła w sobie pewność kogoś, kto kochał i stracił, że nigdy nie pozwoli mu odejść. Potrzebowała go teraz bardziej, niż on kiedykolwiek potrzebował jej, choćby nie wiadomo jak się tego wypierał. Widziała swój egoizm w tym, że zatrzymuje go dla siebie, zamiast go uwolnić i pozwolić znaleźć sobie inną żonę i inne życie. Ale egoizm był lepszy od samotności.

Wyciągnęła rękę pod kołdrę i odszukała jego dłoń, która leżała wzdłuż jego ciała. Splotła palce z jego palcami, ścisnęła je, a kiedy odwzajemnił uścisk, poczuła, jak jej serce z powrotem zwalnia do spokojnego rytmu, i znowu miała pewność, że Joseph jest przy niej i zapewni jej bezpieczeństwo.

Zasnęła kołysana jego cichym, mocnym głosem, który wypełniał całą chatę opowieściami.

*

W poniedziałek rano Mei Lien uśmiechnęła się, jeszcze zanim otworzyła oczy. Tego dnia Marcus i Elizabeth wyjeżdżają do Tacomy, a ona, Joseph i Yan-Tao będą mogli wrócić do swojego spokojnego życia, które tak lubiła.

Joseph już wstał, ubrał się i właśnie wyjmował Yan-Tao z kołyski. Kwilenie dziecka oznajmiło im, że było ono gotowe na karmienie, a do tego całkowicie świadome, że ojciec nie może zaspokoić tej potrzeby.

Mei Lien oparła się o poduszki i wyciągnęła rękę.

– Daj, wezmę go. – Wzięła dziecko i przystawiła je do piersi. – O której jest parowiec?

Joseph pochylił się i pocałował ją delikatnie w czoło, wypełniając jej zmysły zapachem dopiero co umytego mężczyzny i dymu z paleniska. Zamknęła oczy, żeby przez chwilę się nim rozkoszować.

– Według rozkładu o jedenastej, ale wiesz równie dobrze jak ja, że przyplynie później.

– Tak, ale mimo to zawieszysz tam swoją siostrę na jedenastą, prawda?

Joseph uśmiechnął się do niej i się wyprostował.

– Bądź spokojna, nie przegapią dzisiejszego promu. – Odwrócił się i zrobił dwa kroki w stronę sąsiedniego pokoju, ale w tym momencie się zatrzymał i zwrócił z powrotem do niej. – May?

Przebiegła wzrokiem jego szczupłą sylwetkę i po raz pierwszy od paru tygodni zaczęła się zastanawiać, kiedy poczuje się znowu gotowa do zbliżenia. Miała nadzieję, że już niedługo, ale ból między nogami podpowiadał jej, że musi minąć jeszcze wiele dni. – Tak?

Spuścił głowę.

– Wiem, że przez tych kilka ostatnich dni było ci ciężko. Dziękuję, no wiesz, za wszystko.

Serce zabiło jej mocniej i się uśmiechnęła.

– Nie ma za co.

Na jego twarz wrócił uśmiech.

– Do zobaczenia w domu – powiedział, puszczając do niej oko. I poszedł.

Mei Lien skończyła karmić Yan-Tao, po czym ubrała siebie i małego. Poświęciła jeszcze parę minut na uporządkowanie chaty, zdjęła pościel i położyła ją koło drzwi, zostawiając do wyprania na później, kiedy już wszyscy pojedą. Zebrała kosmetyki do miednicy i postawiła ją koło stosu pościeli, żeby zanieść potem do domu.

Kiedy już wszystko było gotowe, wzięła Yan-Tao w ramiona i skierowała się do głównego domu, uświadamiając sobie, że nie odwiedzała duchów przodków, odkąd chłopiec się urodził. Może jeśli upora się szybko z obowiązkami domowymi, będzie mogła zostawić Yan-Tao z Josephem i pójść nad wodę. Albo może weźmie go ze sobą, żeby przedstawić przodkom.

Będzie musiała opowiedzieć mu o nich i o tym, skąd pochodzi. Nie może pozwolić, żeby ich

chińskie korzenie zagubiły się w białym świetle, w którym teraz żyją.

Po drodze przypomniała sobie o jedwabkach, które dał jej Joseph i które schowała w swoim przyborniku do szycia. Zrobi z nich piękny kaftan dla syna.

A potem przyszedł jej do głowy inny pomysł, tak doskonały, że aż wstrzymała oddech. Nie kaftan, tylko odświętną szatę, podobną do tych, które, jak mówiła jej babka, nosili urzędnicy w Chinach. Mogłaby wyhaftować na niej obrazy przedstawiające ich przodków i historię rodzinną. Ta szata stałaby się łącznikiem między Yan-Tao a jego ludem i jego przeszłością. Założy ją na swój ślub, a ona stanie tego dnia u jego boku, dumna ze szlachetnego młodego człowieka, jakim się stał.

Uśmiechnęła się. Znowu ma przed sobą wolne wieczory, więc zacznie pracować nad szatą już dzisiaj. Przyspieszyła kroku.

Kiedy dotarła do domu, od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Przed wejściem stała uwiązana nieznana klacz, a ze środka dobiegały podniesione głosy.

Weszła do domu przez kuchnię i podążyła za głosami do salonu, gdzie zastała Josepha, Marcusa, Elizabeth i mężczyznę, którego nie знаła. Kiedy weszła, rozmowa się urwała, a wszystkie oczy zwróciły się na nią.

Pomimo panującego już gorąca nieznajomy miał na sobie pełny garnitur, kamizelkę i koszulę, a w rękach trzymał kapelusz z szerokim rondem. Nawet wąsy wiszące nad jego ustami sprawiały wrażenie ciężkich i gorących. Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

Joseph skoczył na równe nogi i przemierzył pokój trzema szybkimi krokami. Otoczył ją ramieniem w opiekuńczym geście.

– Panie Izett, to jest moja żona, May McElroy – powiedział, po czym zwrócił się do Mei Lien: – May, to jest pan Izett. Urzędnik imigracyjny z Roche Harbor. Ktoś doniósł, że na mojej farmie mieszka przemycona Chinka z podrobionymi papierami.

Mei Lien poczuła, jak po jej ciele przebiega dreszcz. Joseph mówił jej, że od czasu przyjęcia Aktu o Wykluczeniu Chińczyków są oni przemycani do Stanów Zjednoczonych, ale nigdy nie przypuszczała, że sama mogłaby być wzięta za jedną z nich.

– Jak... Kto... Kto mógłby coś takiego zrobić? – wyjąkała.

Joseph ścisnął ją za ramiona.

– Panie Izett, tak jak mówiłem panu, zanim przyszła moja żona, zostaliśmy legalnie zaślubieni w Port Townsend przez kapitana Barnes'a. Na górze mam wszystkie konieczne dokumenty. Zanim poznałem swoją żonę, była ona praworządną mieszkanką Seattle razem ze swoim ojcem, który zajmował się kupiectwem.

– Urodziłam się w Seattle.

Izett wbił w Mei Lien pozbawione emocji spojrzenie.

– Czy ma pani na to dowody?

Mei Lien nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy jeśli poda temu mężczyźnie nazwisko ojca, będzie wiedział, że powinna się znaleźć na parowcu, który, jak doniesiono, dotarł szczęśliwie do San Francisco, chociaż ona wiedziała, że było inaczej? Czy ten mężczyzna był przyjacielem Campbella? Czy Campbell dowiedział się w jakiś sposób, że była tamtego wieczoru na statku i przysłał pana Izetta, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia?

– Jak powiedziałem, mam na górze akt i świadectwo naszego ślubu. Jakiego oczekuje pan dowodu na jej pochodzenie z Seattle?

Mężczyzna podniósł swoją masywną sylwetkę.

– Gdzie jest teraz pani ojciec, pani McElroy?

Mei Lien zacisnęła ramiona wokół Yan-Tao i spojrzała na męża w nadziei, że on będzie wiedział, jak odpowiedzieć. Joseph wpatrywał się w mężczyznę, jego twarz była zaczerwieniona, a mięśnie szczęki drgały.

– Czy naprawdę chce się pan dowiedzieć, gdzie jest jej ojciec, panie Izett? – warknął.

Mei Lien wiedziała, że nie może pozwolić, żeby Joseph powiedział choćby słowo o parowcu i o tamtym wieczorze. Naraziłoby ją to na kolejne niebezpieczeństwa, a teraz, kiedy miała pod opieką Yan-Tao, musiała być ostrożna.

– Wrócił do Chin – odpowiedziała szybko, zanim Joseph zdążył się znowu odezwać. – Dwa lata temu, kiedy wzrastały napięcia między naszymi narodami. Miałam płynąć razem z nim, ale gdy nasz statek przybił do Port Townsend, żeby uzupełnić zapasy, znalazłam tam rodzinę, która zatrudniła mnie jako kucharkę, więc zostałam. Ojciec był stary i schorowany. Chciał zobaczyć jeszcze swoją ojczyznę, zanim byłoby za późno.

Poczuła, jak Joseph sztywnieje, słysząc jej kłamstwo. Uważała, żeby nie spojrzeć mu w oczy.

– Przysłał mi jeden list po tym, jak dotarł do Chin – ciągnęła. – Od tamtej pory nie miałam od niego żadnych wieści.

– Czy ta rodzina z Port Townsend może potwierdzić pani słowa? – zapytał pan Izett, a wąsy zatrzęsły mu się przy tym nad ustami.

– Oczywiście – odpowiedział opryskliwie Joseph.

W tym momencie wstała Elizabeth.

– Panie Izett. Mój brat to uczciwy człowiek, który nigdy nie upadłby tak nisko, żeby żenić się z nielegalną Azjatką.

Mei Lien nie była pewna, co Elizabeth ma na myśli, bo połowa tego opisu do niej pasowała. Mimo to była jej wdzięczna za próbę pomocy.

– Czy naprawdę mój brat musi wygrzebać te dokumenty, żeby udowodnić swoją niewinność? Bo jeśli tak, to spóźnimy się przez pana na parowiec, a to będzie dla mnie wysoce irytujące.

Ku zaskoczeniu Mei Lien pan Izett zbladł na te słowa. Przez kilka długich minut obracał w palcach kapelusz, po czym w końcu się odezwał:

– Myślę, że nie będzie to konieczne, skoro, jak widzę, są państwo porządnymi ludźmi. – Odchrząknął. – Mój informator najwyraźniej się pomylił.

– Tak, najwyraźniej. – Joseph jeszcze raz ścisnął Mei Lien za ramiona, po czym puścił ją i popchnął delikatnie w stronę kuchni, żeby, jak się domyślała, zeszła urzędnikowi z oczu.

Z radością się podporządkowała i poszła do kuchni, gdzie usiadła od razu na jednym z krzeseł, bo nie mogła już dłużej ustać na nogach. Z salonu dobiegł ją głos Josepha, który mówił panu Izettowi, że go odprowadzi.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Elizabeth wparowała do kuchni, potrząsając głową.

– Boże mój, jakie to przykre, że Joseph musi zadawać się z takimi ludźmi.

Czego nie musiałby robić, dopowiedziała sobie Mei Lien, gdyby nie ona. Spuściła głowę, żeby ukryć łzy, które wezbrały jej w oczach, i miała nadzieję, że szwagierka weźmie to tylko za dogłądanie Yan-Tao.

Ku jej zaskoczeniu Elizabeth porwała blachę do pieczenia z półki nad piecem i trzasnęła nią o blat.

– Gdzie trzymasz sodę oczyszczoną? Zrobię bułeczki.

Zamiast odpowiedzi Mei Lien przełknęła ślinę, żeby zmniejszyć ucisk w gardle.

– Dziękuję – udało jej się powiedzieć.

Elizabeth przerwała krzątanie i spojrzała Mei Lien prosto w oczy. Po długiej, krępującej chwili odezwała się w końcu.

– Nie wiem dlaczego, ale Joseph cię kocha. Nie chcę, żeby cierpiał. – Już miała się odwrócić, ale zatrzymała się. – Jesteś nielegalna?

– Nie.

Elizabeth pokiwała głową, po czym bez komentarza wróciła do przygotowywania śniadania.

Mei Lien wiedziała, że ona i ta kobieta nigdy się nie zaprzyjaźnią, ale obie kochały Josepha i uznała, że to jej wystarczy.

Rozdział siedemnasty

Wtorek, 17 lipca – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas

Inara pstryknęła włącznik i odcięła dopływ prądu od przycinarki, której używała do pracy nad żywopłotem wzdłuż tylnego patio. Przedramieniem otarła pot z czoła i odsunęła się, żeby ocenić to, co zrobiła.

Lato w końcu przyszło – w samą porę, bo była już połowa lipca – do zachodniej części stanu Waszyngton. Zeszłotygodniowy deszcz odszedł już w zapomnienie, a kwiaty i trawa zdawały się rosnać po dziesięć centymetrów w ciągu jednej nocy. Czerwona kora chruściny zaczęła już na dobre odchodzić od pni. Bezchmurne, błękitne niebo odbijało się w lustrzanej powierzchni zatoki, której spokój był przerywany tylko od czasu do czasu przez samotnego kajakarza albo pojedynczą mewę. Na południowym wybrzeżu miasteczka Eastsound nie było już portu, więc ruch na wodzie wzdłuż posiadłości był nieznaczny. Inarze bardzo to odpowiadało.

W piątek po południu zabrała Daniela nad zatokę, żeby pokazać mu plażę, i od tamtej pory wracała na nią każdego wieczoru. Zawsze kiedy ogarniał ją chłód, jaki ciągnął od wody, i dojrzałe, ziemiste zapachy morza, czuła, jak opada z niej napięcie całego dnia. Poprzedniego wieczoru odkryła, że na czubku pobliskiego drzewa uwił sobie gniazdo bielik, i domyśliła się, że siedzą tam jego młode, bo ptak latał tam i z powrotem z rybami albo innymi zdobyczami w szponach. Może je także Inara już niedługo zobaczy.

Pot przesiąkał jej przez bluzkę i spływał wzdłuż kręgosłupa, tak że zatęskniła za chłodną plażą, ale jeszcze nie mogła tam pójść. Miała przed sobą zbyt dużo pracy.

Pewnie, mogła zatrudnić profesjonalnych ogrodników, a wolny czas poświęcić na dochodzenie prawdy o zbrodni sprzed stu lat albo na zamawianie sprzętu oświetleniowego, ale kosztowałyby to kilka tysięcy dolarów, których nie miała. Postanowiła przekonać ojca, że hotel to poważna inwestycja i że jest w stanie sama nią zarządzać, a skoro pieniądze są jego największym zmartwieniem, to ona postara się wydawać je z jak największą odpowiedzialnością. Oznaczało to wprowadzenie cięć do pierwotnego planu. Poza tym wiele razy pomagała ciotce Dahlii w pracach ogrodniczych i sporo się o nich dowiedziała, więc logiczne było, żeby wzięła na siebie akurat to zadanie.

Zadowolona z żywopłotu, który wyglądał teraz na równy i zadbany, skierowała się do ogródka warzywnego, wciśniętego pomiędzy główny budynek i boczną ścianę jej domu. Patrzyła na niego każdego ranka, kiedy piła herbatę na tylnych schodkach, a tego dnia postanowiła sprawić, że będzie to odtąd przyjemny widok. Poza tym podejrzewała, że wśród wybujałych pnączy i chwastów znajdzie parę dorodnych warzyw, które pozwolą jej oszczędzić na zakupach spożywczych i jedzeniu na mieście.

Zostawiła przycinarkę na trawie i poszła do garażu, który znajdował się na przeciwległym ramieniu willi w kształcie litery U, żeby wziąć stamtąd taczkę, łopatę i sekator. W połowie drogi zauważyła Toma na ganku i zboczyła z drogi.

– Cześć, Tom! – Pomachała do budowlańca, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Mężczyzna wyłączył elektryczną szlifierkę, której używał do wygładzania desek ganku, i podszedł

do barierki.

– Cześć. Powiem chłopakom, żeby pomalowali te deski, póki jest pogoda. Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym przeszlifował całość? – Zrobił ruch ręką w stronę części ganku za jego plecami.

Musieli odnowić jego fragment, bo przy bliższych oględzinach okazało się, że deski są zbutwiałe, ale pozostała część była w porządku i mogła przetrwać jeszcze przynajmniej kilka lat.

– Nie chcę. Te szczyrby i bruzdy nadają mu charakteru. Powiedz tylko swoim chłopakom, żeby go odmalowali, i będzie idealnie. – Spojrzała znacząco na szlifierkę, próbując znaleźć odpowiednie słowa. – Dzięki, że... że to robisz.

Kiedy w zeszłym tygodniu wróciła z Seattle, spotkała się z Tomem i wyjaśniła mu, na co umówiła się ze swoim ojcem i jak ważne było teraz dla niej, żeby szukać jak najwięcej oszczędności. Poobcinali koszty tam, gdzie tylko mogli, i określili zadania, które Inara może wykonać sama, jak na przykład zadbanie o ogród. Tom postanowił chyba wziąć na siebie trochę pracy, której normalnie by nie wykonywał.

Oczy zapiekły ją od łez. Wiedziała, że w odróżnieniu od jej ojca wierzył w powodzenie tego przedsięwzięcia i pomagał jako sąsiad. Sprawiał, że czuła się mile widziana w niedużej społeczności wyspy.

Tom wzruszył ramionami, które okrywał T-shirt z widocznymi plamami potu.

– To nic takiego. A właśnie, zapomniałbym. Sophie prosiła, żebym zaprosił cię dzisiaj do nas na obiad. Wpadniesz?

Inara się uśmiechnęła.

– Jasne. Dzięki.

Pomachała mu i skierowała się w stronę garażu, ale pod tym swobodnym zachowaniem kryło się prawdziwe podekscytowanie. W Seattle знаła swoich sąsiadów, jednak wszyscy trzymali się raczej osobno. Na wyspie Orcas było inaczej. Sąsiedzi zapraszali ją na obiad, mieszkańcy wyspy rozmawiali z nią w sklepie spożywczym czy na poczcie i machali do niej na drodze. Czuła, że coraz głębiej zapuszcza tu korzenie.

Kiedy otworzyła drzwi do garażu, żeby zebrać potrzebne narzędzia, uderzył ją duszny zapach stęchlizny i pleśni, przypominając jej, jak wiekowa jest ta posiadłość. Ale zanim wybudowano Rothesay, w tym miejscu znajdowało się podwórko Mei Lien albo może jej stodoła.

Czy Mei Lien też czuła się na wyspie jak u siebie? Czy sąsiedzi zapraszali ją na obiad? Raczej nie.

Zasmuciła ją ta myśl i postanowiła sobie, że kiedy Daniel zadzwoni wieczorem, zapyta go, jak najprawdopodobniej wyglądało życie Mei Lien. Inara starała się dowiedzieć jak najwięcej o tamtym okresie na własną rękę i pożyczyła nawet kilka książek z miejskiego muzeum historycznego. W jednej z nich przeczytała o grupie mieszkańców wyspy, którzy założyli Antychińskie Stowarzyszenie na wyspie Orcas, a ich jedynym celem było zabezpieczenie się przed „najazdem rasy obcej nam we wszystkim”. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Chińczycy zostali wypędzeni z Tacomy i Seattle, grupa ta wygnała ich również z wyspy Orcas. Możliwe, że Mei Lien była pierwszą Chinką, która przybyła na wyspę po tych wydarzeniach. Jeśli tak, to czy jej biały mąż był jedynym powodem, jaki powstrzymywał innych mieszkańców wyspy przed zmuszeniem jej do opuszczenia tych terenów?

Mei Lien nie było z tym pewnie łatwo i prawdopodobnie czuła się bardzo samotna. Nic dziwnego, że znalazła czas, żeby tak misternie wykonać haft y na rękawie.

Inara wzięła narzędzia, których potrzebowała, i z ciężkim sercem wróciła do ogrodu.

Kiedy klęczała na ziemi i okopywała półmetrowy oset, żeby dostać się do jego korzeni, zadzwonił jej telefon.

– Daniel! Skończyłeś już zajęcia? – Nie spodziewała się, że zadzwoni wcześniej niż wieczorem, bo we wtorki przez cały dzień prowadził wykłady.

– Mam tylko przerwę, ale musiałem do ciebie zadzwonić.

W jego głosie było coś, co odwróciło jej uwagę od ogrodu.

– Co się stało?

– Znaleźliśmy ciała Chińczyków. W gazetach z tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku.

Takie jak na rękawie.

Poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

– Co masz na myśli?

– Wszystkie te ciała, które pływają w wodzie obok statku. Nie mogłem przestać o nich myśleć, więc przejrzałem jeszcze raz gazety z tamtego czasu. W ciągu tygodnia znaleziono trzy chińskie ciała wyrzucone na brzeg niedługo po tym, jak Chińczycy zostali wypędzeni z Seattle. Jedno niedaleko Port Townsend, dwa na wyspie Whidbey. Zaczynam podejrzewać, że miało miejsce jakieś tragiczne wydarzenie.

Inara zamknęła oczy. Oczywiście, że znaleziono ciała. Zdziwiła się, że nie więcej niż trzy. Ale z drugiej strony w cieśninie Juan de Fuca występowały silne prądy, szczególnie w lutym, a do tego żyło tam mnóstwo zwierząt, które mogły dobrać się do ciał niewyrzuconych wcześniej na brzeg.

– To nie wszystko – ciągnął Daniel. – Zdaje się, że dokumenty firmy transportowej z tamtego okresu akurat przypadkowo zaginęły.

Inara otworzyła szeroko oczy.

– Byłeś w siedzibie firmy?

– Nie, jedna z moich asystentek tam poszła. Namęczyła się, żeby ich znaleźć. Chyba zmienili nazwę czy coś. Doszła w końcu do tego, kto to jest, i uzyskała dostęp do archiwum, ale mówi, że teczki brakuje, a ich rejestry elektroniczne nie sięgają tak daleko wstecz.

Inara przełknęła ślinę. Oczywiście, że brakuje teczki. Leży przecież u niej na kuchennym stole. Skoro Daniel zostawił sprawę firmy transportowej swojej asystentce, to mógł się jeszcze nie zorientować, że jest to spółka należąca do rodziny Inary, ale była to tylko kwestia czasu. Musi mu powiedzieć.

– Hm, Daniel?

Zaczął już jej opowiadać historię opisaną w jednej z gazet, ale zatrzymał się, kiedy mu przerwała.

– Tak?

Musi to zrobić. Jeśli nie powie mu teraz, to kiedy indziej dostanie tym prosto w twarz.

– Chodzi o tę firmę transportową. Ona należy do mojej rodziny. Linie Campbella zmieniły nazwę na Pierwszą Grupę Morską.

– O. – Milczał przez długą chwilę. – Nie pomyślałaś wcześniej, że warto by mi o tym powiedzieć?

Przełknęła ślinę i ścisnęła mocniej telefon.

– Powinnam była to zrobić, jak tylko do tego doszłam, ale zapomniałam. Poza tym nie myślałam, że może to mieć jakieś znaczenie. – Przerwała. – Może ja bym się tym zajęła? Mogę porozmawiać z tatą i zapytać, czy wie o jakimś wypadku z tamtego okresu.

– Dobrze. Byłoby super. Ja skupię się na tym, co stało się z McElroyami. Wygląda na to, że po prostu zniknęli.

– Jak to?

– Mój zespół przejrzał stare pamiętniki i gazety. Znaleźli wzmianki o Josephie McElroyu, jego chińskiej żonie i synu, zwykle utrzymane w prześmiewczym albo wręcz szyderczym tonie. Ale dziwne jest to, że nie możemy znaleźć żadnego z McElroyów po tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Sprawdzaliśmy na listach pasażerów statków i pociągów, w spisach powszechnych z całego Waszyngtonu, Oregonu, Kalifornii i Kolumbii Brytyjskiej, dosłownie wszędzie.

Nic od roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego. Rodzina Inary wprowadziła się tutaj

w styczniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego. W głowie zaczęła jej kołatać jakaś myśl, choć jeszcze nie do końca ukształtowana.

– Jak mogę pomóc w poszukiwaniach?

– Nic nie musisz robić. Mam wystarczająco dużo pomocników na uniwersytecie, a ty masz pełne ręce roboty przy hotelu. Chciałem ci tylko powiedzieć, czego się dowiedzieliśmy.

Wiele wysiłku kosztowało ją, żeby zachować spokój do końca rozmowy.

Mimo że Daniel miał się skoncentrować na tym, gdzie przenieśli się McElroyowie, wiedział już, że zginęli ludzie. Teraz tylko kwestią czasu było, kiedy odkryje, że wszyscy pasażerowie statku zostali zabici, a odpowiedzialność za to ponosił jej przodek. I co ona wtedy robi?

Po głowie krążyła jej nadal tamta uporczywa myśl. Coś związanego z przeprowadzką Duncana Campbella do tego domu w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku.

Zawsze wiedziała, że ziemia Campbella na wyspie była początkowo dużo mniejsza niż obecnie. Na początku lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Duncan przeniósł się ze Szkocji na wyspę Orcas, gdzie zbudował małą chatę z ogródkiem warzywnym. Zostawił tu swojego ojca w podeszłym wieku i młodą żonę, podczas gdy sam zajął się rozkręcaniem interesów w Seattle. Przez te kilka pierwszych lat, kiedy jego firma rozpoczynała działalność, bardzo rzadko widywał się ze swoją rodziną, ale wydawało się, że taki układ pasuje wszystkim zainteresowanym.

Tereny, które pierwotnie do niego należały, nadal były częścią Rothesay i znajdowały się po południowej stronie, schowane za lasem i za niedużym wzniesieniem.

Inara stwierdziła, że nadszedł czas na przespacerowanie się tam.

Otrzeпаła dżinsy z ziemi, obeszła dom i skierowała się na leśną ścieżkę po drugiej stronie podjazdu. W miejscu, gdzie dróżka skręcała w stronę plaży, weszła w zarośla i poszła dalej na południe, zastanawiając się przy tym, dlaczego ona i jej rodzeństwo nigdy nie zapuścili się za to wzgórze, kiedy jako dzieci biegali jak szaleni po lesie.

Niedługo później, po niespełna dziesięciu minutach energicznego marszu, znalazła się na szczycie wzniesienia, na polanie, na której zobaczyła coś, co było zapewne kamienną podbudową dawno zrujnowanego budynku. Uznała, że tu właśnie musiała stać pierwsza chata Duncana Campbella.

Była mała. Mniejsza niż chata położona w pobliżu Rothesay, gdzie Joseph i Mei Lien mieszkali przed wybudowaniem domu, który przeszedł później na Dahlię. Odwróciła się plecami do fundamentów i się rozejrzała.

Cały teren obniżał się tu w kierunku stromego klifu, oddalonego o jakieś trzydzieści metrów. Nigdzie nie było łatwego dojścia do wody. Na lewo, między grzbietem, na którym stała Inara, a Mount Constitution leżała nieduża dolina, w której widać było zarastający lasem dawny sad. Sad miał południową wystawę, co oznaczało, że pomimo niewielkich rozmiarów był dobrze nasłoneczniony.

Pozostała część polany była pozbawiona drzew i prawdopodobnie był tam kiedyś warzywniak, choć teraz zarosła go pierwotna roślinność, która za kolejnych kilkaset lat stanie się znowu lasem.

Inara kopnęła przed siebie kamień i stwierdziła, że pierwsza ziemia Duncana Campbella była po prostu kiepska. Kamienista, położona na zboczu góry, z trudnym dojściem do wody – niełatwo było dostać się do gospodarstwa albo się z niego wydostać. Nic dziwnego, że Duncan skorzystał z okazji do przeprowadzki, kiedy tylko ziemie McElroyów stały się dostępne.

A może on sam przyczynił się do ich udostępnienia.

Inara ruszyła z powrotem do domu, zastanawiając się, jak zdobyć więcej informacji. Kiedy weszła na leśną ścieżkę, przypomniała sobie o znajomej Toma z Friday Harbor, która pracowała w urzędzie. Mogła się założyć, że Kira będzie w stanie znaleźć coś więcej na temat zmiany właściciela ziemi.

Wyciągnęła telefon, przewinęła historię rozmów do właściwego numeru i czekała, aż ją połączy. Kiedy Kira odebrała, Inara wyjaśniła jej, czego potrzebuje, po czym się rozłączyła. Teraz mogła tylko

czekać.

Wykorzystała swoje podenerwowanie i włożyła całą energię w pielenie warzywniaka Dahlii, zastanawiając się znowu, jak można było w ogóle coś wyhodować na tamtym skrawku kamienistej ziemi na południu.

Do czasu, kiedy Kira oddzwoniła, Inara zdążyła powyrywać chwasty z połowy ogródka.

– Wydawało mi się, że kilka tygodni temu dałam ci rejestry podatkowe, ale wygląda na to, że nie – powiedziała Kira bez zbędnych wstępów. – Przepraszam.

– Nie ma problemu – odpowiedziała Inara. – Co znalazłaś?

– No cóż, nie udało mi się znaleźć żadnych dokumentów związanych z przejściem własności z Josepha McElroya na Duncana Campbella ani w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym, ani w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym, ale możliwe, że dokumenty zostały po prostu zgubione albo włożone nie tam, gdzie trzeba. Jeśli chcesz, mogę szukać dalej. Znalazłam za to oficjalny akt własności sporządzony na Duncana Campbella w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Płacił podatek od tej ziemi od roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego.

Inara nie była zdziwiona, że nie udało się znaleźć dokumentów przekazania własności. Nie miała też wątpliwości, że Duncan zapłacił komuś za sporządzenie ich z opóźnieniem.

– Dzięki, Kira. Następnym razem, jak będę we Friday Harbor, zabiorę cię na kawę czy coś.

Kira się roześmiała.

– Dziękuję. Chętnie skorzystam, ale wiesz, że nie musisz tego robić.

Inara przypomniała sobie jeszcze jedną rzecz, o którą chciała zapytać Kirę.

– A znalazłaś coś o rodzinie McElroyów po roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym?

– Nie. Musieli wynieść się z regionu, po tym jak sprzedali ziemię Campbellowi.

– Rozumiem. Jeszcze raz dziękuję.

Inara zakończyła rozmowę, ale dalej siedziała na ziemi. Kątem oka dostrzegła ruch i zobaczyła ponad sobą bielika lecącego do gniazda. Był zbyt wysoko, żeby mogła dostrzec, czy niesie jedzenie dla młodych.

Gdzie mogli się podziąć McElroyowie?

Dręcząca myśl w końcu się wyklarowała: Duncan mógł ich zabić, żeby przejąć ich ziemię.

Inara przytuliła kolana do piersi, zła na siebie, że mogła pomyśleć coś takiego o swojej rodzinie. Ale jeśli zamordował z okrucieństwem setki innych, to jakie znaczenie miała dodatkowa trójka? A jeżeli ich zabił, to kiedy zobaczył w gazetach notki o wyrzuconych na brzeg ciałach, na pewno nie próbował wrzucić ich do cieśniny, jak to zrobił poprzednio.

Czy to oznaczało, że zakopał ich gdzieś w Rothesay? Może w lesie, koło rozpadającej się chaty, w której bawiła się kiedyś z rodzeństwem. Albo po drugiej stronie drogi, na ziemi Toma, gdzie rosły kiedyś sady należące do Rothesay. A może w swoim własnym sadzie, w kamienistej ziemi, w której od tamtej pory nikt nie chciał kopać.

Musiała tego dociec. Nie mogła mieszkać tu i tego nie wiedzieć. Nie mogła przekopywać ogródka i zastanawiać się, czy nie natrafi na ludzkie kości.

Musiała poznać prawdę – i to jeszcze przed Danielem.

Rozdział osiemnasty

Poniedziałek, 1 października 1894
Farma McElroyów, wyspa Orcas

Yan-Tao zbiegał z ogródka warzywnego w dół zbocza, wymachując zawzięcie swoimi szczupłymi ramionami, które zbrązowiały w ciągu lata spędzonego prawie w całości na świeżym powietrzu. Roześmiał się głośno, pokazując białe zęby, i chwilę później zanurkował w wysoką trawę. Podniósł się, nadal roześmiany, i zerwał się znowu do biegu, nieświadomy, że do ubrania i do włosów poprzyczepiały mu się liście i trawa.

Mei Lien patrzyła na syna przez okno nowego salonu. Nie był on już taki „nowy”, bo Joseph dobudował go prawie trzy lata temu, ale ona nadal tak myślała o tym pokoju.

Szyba w oknie była w niektórych miejscach grubsza niż w innych i zniekształcała widok na tyle, że kobieta musiała przesuwać głowę w poszukiwaniu miejsca, z którego widać było wyraźnie. Poza jej synem z jego nieprzebraną energią cały świat wydawał się odzwierciedlać samopoczucie Mei Lien – zmęczenie i rozmycie.

Trawa była wciąż zielona, ale straciła już swój blask, czemu bez wątpienia był winien biały szron, który od dwóch tygodni codziennie rano ją pokrywał. Drzewa właśnie zaczęły zmieniać barwy i upstrzyły zielone zbocza góry krzykliwymi plamami koloru. I choć widok tych barw podnosił ją na duchu, wiedziała, że to tylko iluzja, która odwodzi jej myśli od prawdy – już niedługo nie zostanie nic poza nagimi gałęziami i uspioną ziemią. Nawet słońce pochyliło się na południe i w środku dnia rzucało długie cienie na podwórko.

Yan-Tao wybiegł z cienia stodoły w jasną plamę słońca, które błysnęło w jego czarnych jak smoła włosach, takich jak jej własne, ale przyciętych krótko, jak u ojca. Usłyszała jego śmiech, kiedy czarny labrador, którego Joseph sprowadził do domu na piąte urodziny syna, przemknął koło niego, szczekając zapewne na jakieś zwierzę ukryte w trawie. Chłopiec napiął swoje zdrowe, siedmioletnie ciało, skoczył, podbiegł i zanurkował po to coś, co obaj z psem próbowali złapać.

Lata upływały zbyt szybko – pomyślała nie po raz pierwszy Mei Lien. Jej dziecko już niedługo stanie się młodym mężczyzną.

Próbowali z Josephem dać mu rodzeństwo. Tak na dobrą sprawę nadal nie przestali próbować, choć stracili już dwie ciążę. Jej cykle miesięczne stały się teraz nieregularne, a na prawym boku zrobiło jej się bolesne wybrzuszenie. Skończyła dwadzieścia sześć lat i odczuwała je wszystkie w swoich obolałych nogach, plecach i spuchniętych dłoniach. Mimo to całymi dniami pracowała, pomagając Josephowi przy zwożeniu plonów i ładowaniu ich na pożyczoną barkę, zacumowaną przy ich nowym pomoście, żeby jej mąż mógł sprzedać później te zbiory w jednym z miast na lądzie.

Kiedy kończyła prace gospodarskie, skupiała swoją uwagę na prezencie, który przygotowywała dla syna. Co wieczór do późna w nocy wyszywała ich historię na szacie, którą podaruje Yan-Tao, gdy będzie się żenił i zakładał własną rodzinę.

W chwili kiedy o tym pomyślała – o wkraczaniu Yan-Tao w dorosłość – nisko w brzuchu poczuła ukłucie ostrego bólu. Jęknęła cicho i położyła ciepłą dłoń w miejscu, gdzie pojawił się ból, próbując

przepędzić go stamtąd siłą woli.

Nie mogła czekać z dokończeniem haftu aż Yan-Tao dorośnie. On ma przed sobą jeszcze wiele lat, ale ona już nie. Nie potrzebowała lekarza, żeby wiedzieć, że umiera. Od czasu kiedy urodziła Yan-Tao, jej ciało nigdy już nie było takie jak przedtem i miała świadomość, że najwyraźniej odziedziczyła tę samą dolegliwość, która zabrała jej własną matkę, zanim w ogóle zdążyła ją poznać.

Czuła, jak bryła, która utworzyła się w jej łonie, rośnie i wije się, wysysając z niej powoli życie.

W odróżnieniu od swojej matki Mei Lien poznała własne dziecko.

Kiedy tak obserwowała syna, czuła, jak wypełnia ją tęsknota. Życie Yan-Tao powinno być inne. Powinien mieszkać w miejscu, gdzie byłyby inne dzieci, z którymi mógłby się bawić. Powinien móc swobodnie towarzyszyć ojcu w jego podróżach handlowych. Powinien być traktowany z szacunkiem i życzliwością.

Od czasu koszmarnego dnia obchodów święta państwowego w Eastsound Village, kiedy inni mieszkańcy wyspy nie kryli swojej odrazy do nich, Mei Lien i Yan-Tao nie wychodzili na krok poza własną farmę. Joseph zajął się całym ich handlem i zakupami. Ona była dzięki temu szczęśliwsza, ale czy Yan-Tao też?

Jedynymi towarzyszami jego zabaw była ona i Joseph (kiedy znajdowali na to czas), zwierzęta gospodarskie i leśne oraz jego kuzynki, Priscilla i Penelope, córki Elizabeth, które odwiedzały ich każdego lata, odkąd się urodził.

Mei Lien robiła co w jej mocy podczas tych tygodniowych wizyt w sierpniu, żeby zagryźć zęby i być miłą dla szwagierki, która nadal traktowała ją jak służącą. Córki Elizabeth wyrosły jednak na urocze młode kobiety i zawsze były uprzejme wobec niej, a Yan-Tao traktowały jak młodszego brata. Dzięki temu Mei Lien była w stanie wybaczyć ich matce prawie wszystko.

Coś skręciło jej się w brzuchu i zaczęło ją ciągnąć, aż zgięła się w pół, żeby uśmierzyć ból. Oddychała głęboko, próbując go pokonać, ale uświadomiła sobie jednocześnie, że za każdym razem, kiedy się pojawiał, był coraz silniejszy. Niedługo stanie się nieznośny. Nacisnęła na guz w brzuchu, skąd rozchodził się ból, i jęknęła. Czas usiąść. Czas skupić uwagę na czymś innym.

Niechętnie odwróciła się od okna i ostrożnie przeszła do pokoju dziennego, w którym stała rama hafciarska. Mimo że od precyzyjnych, powtarzalnych ruchów na palcach utworzyły jej się zgrubienia, a nadgarstki miała tak obolałe, że na noc musiała owijać je w chłodne szmatki, nadal uwielbiała każdą chwilę, którą spędzała na haftowaniu. Z każdym ściegiem była o krok bliżej do powierzenia synowi jego dziedzictwa. Każdy ścieg łączył ją z babką, a nawet z jej własną matką i ze wszystkimi innymi kobietami z rodziny, które utraciła na zawsze.

Zdjęła ochronny bawełniany materiał i wzięła igłę, żeby wykonać kolejny ścieg. Fragment, nad którym teraz pracowała, opowiadał, jak wzięła ślub z Josephem i jak pokochali się wzajemnie na farmie.

Potrząsnęła głową. Miłość to bardzo dziwne uczucie. Kiedyś kochała ojca i babkę każdym oddechem, który ożywiało jej ciało, a kiedy zostali jej oni zabrani, straciła też oddech. Jednak w ciągu tych wszystkich lat, które przeżyła jako żona Josepha, jakimś cudem zaczęła znowu oddychać. Jej serce podskakiwało z radości, kiedy słyszała jego kroki na stopniach, i topniało w niej, kiedy patrzyła, jak łagodnie prowadzi ręce Yan-Tao przy nauce trzymania za lejce albo podrzuca chłopca wysoko w powietrze i łapie go z powrotem wśród wybuchów śmiechu, które przeplatają się jak w muzyce.

Z każdym dniem kochała go coraz mocniej. Mocniej niż wydawało jej się to kiedyś możliwe.

Nadal jednak czuła w sobie ciężar apatii, która podpowiadała jej, że nie odzyskała w pełni tej części swojej duszy, jaka umarła tamtego dnia, kiedy zobaczyła ciało babki na plaży i uświadomiła sobie, że została całkiem sama. Może to właśnie ta martwa część niej samej usadowiła się w jej brzuchu i zaczynała się rozkładać. Ten diabeł Campbell zabił najpierw ojca i babkę, a teraz zabijał ją.

Oparła się, uświadamiając sobie z roztargnieniem, że ból ustąpił, i przez moment rozciągała sobie

szyję. Kiedy była już gotowa, odcięła zieloną nić, której przed chwilą używała, następnie sięgnęła po brzoskwińnię i skręciła dokładnie z różową, żeby jak najlepiej oddać kolor skóry Josepha. Zanim przebiła materiał, przymierzyła do niego kordonek, żeby sprawdzić, jak będzie wyglądał na zielonym tle lasu otaczającego farmę.

Zadowolona przekłuła igłą jedwab i zaczęła wyszywać fragment, na którym niedługo pojawi się twarz jej męża, rozkoszując się tym pierwszym momentem, gdy materiał stawia opór, żeby za chwilę ustąpić i pozwolić nici prześliznąć się na drugą stronę. Przebiła igłę z powrotem od tyłu i zaczęła raz po raz powtarzać ten ruch, wykonując pozornie przypadkowe ścięgi, z których każdy miał jednak ściśle określony cel.

Poczuła kolejne ukłucie w brzuchu, ale zareagowała tylko pochyleniem się do przodu, żeby złagodzić napięcie. Nie miała czasu się kłaść. Poprzedniego dnia zmarnowała godzinę przez to, że się położyła.

Twarz Josepha powoli zaczynała rysować się na jedwabiu. Pokazywała się jego różowa skóra, którą golił dla niej dokładnie od dnia ślubu. Jego intensywnie zielone oczy, które zawsze zdawały się do niej uśmiechać. Mocna szczęka, gęste brwi, prosty nos. Czym ona sobie zasłużyła na takiego mężczyznę?

Niczym.

Nie zasługiwała na niego.

Ale Yan-Tao tak. I dlatego, ze względu na nich obydwu, opowiadała nicią historię miłości, która ich połączyła. Dziś wieczorem opowie ją Yan-Tao słowami, chińskimi słowami, żeby mógł poćwiczyć sobie ten język, a dzięki temu któregoś dnia spojrzeć na haft i przypomnieć sobie, co znaczy każdy z symboli i obrazów.

Nic z tego, co wyszyła na tym jedwabiu, nie było pozbawione celu.

– Mamo, mamo! – Yan-Tao wpadł przez drzwi frontowe i pognął do pokoju, a tuż za nim wbiegł pies. Okrągłe policzki chłopca były zaróżowione i wydawało się, że zaraz pękną od szerokiego uśmiechu. W swoich szczupłych ramionach trzymał kłębek szarego futerka. – Złapałem zająca! Chcesz go pogłaskać?

– Trzymaj go z daleka od moich jedwabi! – odpowiedziała mu, starając się nie rozeźmiać, bo w rzeczywistości niemalże kochała takie niesforne zachowania syna, dzięki którym wiedziała, że jest szczęśliwy i dobrze się rozwija. – Na pewno jest brudny!

– Wykąpię go – powiedział, podnosząc podbródek w sposób, który przypominał Mei Lien jej ojca. – Będę się nim dobrze opiekował. Obiecuję.

Mei Lien zastygła z igłą do połowy wbitą w materiał.

– Jak to zaopiekujesz się nim? Przecież to nie zwierzę domowe.

Yan-Tao przełknął ślinę. Pokiwał głową.

– Masz już zwierzaka. – Zrobiła ruch głową w stronę kundla wyciągniętego na podłodze u jego stóp. – Nie potrzebujesz kolejnego. Poza tym zając to nie zwierzę domowe. To obiad.

Jego usta wykrzywiły się w sposób, który zawsze zapowiadał zbliżające się łzy. Wziął głęboki oddech i jeszcze raz przełknął ślinę, wyraźnie walcząc z płaczem. Ramiona mu zeszywniały i podniósł zająca do twarzy.

– Ale ja go kocham. Mogę, mamo?

Mei Lien spojrzała na syna z obydwoma zwierzętami i zaczęła się zastanawiać, czy może się z tego wykręcić, każąc mu zapytać ojca. Ale natychmiast odrzuciła ten pomysł, bo wiedziała, że Joseph na wszystko mu pozwala.

Nie potrzebowali w domu zająca. Yan-Tao nie potrzebował kolejnej rzeczy, która będzie go odrywała od nauki i obowiązków. A już na pewno nie potrzebował kolejnego zwierzęcia.

Jednak najbardziej martwił ją prosty fakt, że któregoś dnia zając umrze albo zostanie zjedzony przez

psa czy kojota, a wtedy jej synowi pęknie serce. Musiał to kiedyś przeżyć, ale skoro to od niej zależało, wołała, żeby nie nastąpiło to już teraz.

– Nie. – Zmusiła się do dalszego wyszywania. – Ale zamiast zabijać go dla nas na kolację, pozwolę ci go wypuścić, chociaż gulasz z zająca sprawiłby przyjemność twojemu ojcu. Wiesz, jaki głodny wraca zawsze z podróży do Port Townsend.

– Tak, mamó – wymamrotał Yan-Tao, odwracając się w stronę drzwi wejściowych. Bez słowa poczłapał na zewnątrz z psem przy nodze i zamknął cicho drzwi.

W pokoju unosił się ciężki obłok namacalnego wręcz rozczarowania.

Mei Lien potrząsnęła głową i palcami lewej ręki roztarła prawy nadgarstek. Postąpiła właściwie. Farma to nie miejsce dla oswojonego zająca.

Drzwi znowu się otworzyły, więc podniosła wzrok, spodziewając się, że Yan-Tao jeszcze raz będzie ją prosił o zatrzymanie szaraka. Zamiast tego zatrzasnął drzwi za sobą i przebiegł przez salon do kuchni. Jego buty załomotały na schodach i poruszyły lampę zawieszoną na ścianie. Trzask drzwi oznajmił jej, że chłopiec schował się w swoim pokoju.

Kilka minut później, kiedy znowu była pochłonięta wyszywaniem, skomlenie psa zaalarmowało ją, że jednak nie wszystko jest w porządku. Usłyszała je przez sufit z pokoju Yan-Tao, położonego dokładnie nad nią.

Starannie wbiła igłę w jedwab tak, żeby się trzymała, zostawiła ją tam i naciągnęła na całość bawełniany materiał, chroniący jej pracę przed kurzem i światłem.

Potem, nie zwracając uwagi na buntujący się brzuch, wstała i przeszła do kuchni, a później powoli wspięła się po schodach na piętro i zapukała do zamkniętych drzwi pokoju syna.

– Yan-Tao? Coś ci jest?

– Nie – usłyszała stłumioną odpowiedź.

Mei Lien westchnęła i poruszyła się, żeby uśmierzyć ból w brzuchu.

– Wiem, że jesteś na mnie zły, ale tylko dla twojego dobra nie chcę, żebyś brał sobie kolejne zwierzę. Nie potrzeba nam kolejnych ust do wykarmienia.

Czekała przez chwilę na odpowiedź.

Nic nie usłyszała, więc ciągnęła dalej.

– Poza tym musisz być ostrożny w rozdzielaniu swoich uczuć. Zwierzęta umierają i jeśli oddasz im swoje serce, to... – Szukała odpowiednich słów, żeby wyjaśnić dziecku coś, czego sama w pełni nie rozumiała. – To stracisz je razem z nimi.

Drzwi uchyliły się z delikatnym trzaskiem.

Popchnęła je, żeby całkiem się otworzyły, i zajrzała do pokoju. Chłopiec zapalił małą lampkę, którą dał mu Joseph, i leżał skulony na poduszkach rozłożonych na podłodze w kącie, a pies opierał się o jego plecy.

– Wszystko w porządku, mamó. Wcale nie kocham tego zająca.

Żelazna determinacja, jaką zobaczyła na jego twarzy, sprawiła, że poczuła się, jakby coś pękło jej w piersi i próbowało wypchnąć z niej serce.

– Przykro mi, że musiałeś go wypuścić.

– Nie wypuściłem go. – Potarł pięścią oczy.

– To gdzie jest?

– Na ganku. Możesz go wziąć i zrobić gulasz dla ojca.

Mei Lien nigdy by nie przypuszczała, że tak młody człowiek może się wykazać większą odwagą niż dorosły. W jednej chwili stanął jej przed oczami obraz szlachetnego mężczyzny, jakim stanie się kiedyś jej syn, i poczuła w sobie przypływ emocji.

Może postąpiła nierozważnie. Może powinna była pozwolić mu zatrzymać zajaca.

– Nadal chcesz go zatrzymać? – zapytała, wiedząc, że to głupie pytanie. Oczywiście, że chce mieć tego zwierzaka.

Ale ku jej zaskoczeniu chłopiec potrząsnął głową.

– Już za późno, mamó. On nie żyje.

*

Mei Lien przygotowała gulasz z zająca, a do tego ulubione bułeczki Josepha, ale on nie wrócił na kolację z podróży do Port Townsend. Postawiła garnek na ciepłym piecu, po czym położyła Yan-Tao do łóżka i pocałowała go na dobranoc, jeszcze raz dziękując mu za zająca, choć oboje wiedzieli, że powinna była pozwolić mu go zatrzymać. Nie zjadł więcej niż dwa kęsy, a ona widziała, że nawet tyle trudno było mu przełknąć.

Kiedy jedli, rozpętała się burza i deszcz walił w dom jak w bęben. Przez okno sypialni Yan-Tao widać było drzewa wściekle szamotane wiatrem. Jakaś gałąź albo szyszka uderzyła w dach tak, że oboje podskoczyli.

– Nie bój się synku. To tylko burza. Dobranoc.

– Gdzie jest ojciec?

Mei Lien zatrzymała się w drzwiach pokoju i uśmiechnęła się w nadziei, że go tym uspokoi.

– Jak się obudzisz, to na pewno już będzie. Śpij.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie czołem. „Proszę” – pomodliła się z zamkniętymi oczami do przodków – „miejcie Josepha w swojej opiece”.

Kiedy zeszła na dół, poczuła ciężar zmęczenia na ramionach. Mimo to doprowadziła kuchnię do porządku, po czym otuliła się szczelnie i wyszła w burzę, żeby wprowadzić na noc zwierzęta do boksów w budynku stodoły. Konie dostały po kilka garści lucerny, a świnie, koza, krowa i owce po kubku ziarna. Mei Lien napełniła jeszcze koryta wodą przyniesioną w wiadrze ze strumienia, zamknęła stodołę na noc i poszła w stronę domu, przez cały czas wypatrując i nasłuchując znaków powrotu męża.

Tęskniła za tym, żeby wsunąć się obok niego do łóżka i spać przez wiele godzin. Zrobi to, jak tylko Joseph wróci do domu.

Burza sprawiła, że wieczór był bardziej mroczny niż zazwyczaj. O tej porze chodziła kiedyś nad wodę, żeby odwiedzić duchy ojca i babki. Nie robiła tego, odkąd urodził się Yan-Tao, czyli od ponad siedmiu lat, ale tego wieczoru poczuła, jak woda ją przyciąga, jak duchy przyzywają ją nad zatokę. Pomimo burzy, pomimo wiatru, błota i własnego wyczerpania jej kroki skierowały się w stronę wody.

Wiatr gwizdał jej w uszach, a gałęzie drzew obijały się o siebie, zmuszone do wygrywania upiornej muzyki. Nie zwracała na to uwagi, podobnie jak na zimny deszcz, który szczypał ją w policzki.

Pośliznęła się na błotnistej ścieżce i oparła o szorstką korę cedru, żeby złapać równowagę. Coś sprawiło, że zatrzymała się w miejscu i zaczęła nasłuchiwać całą sobą.

Dlaczego Joseph jeszcze nie wrócił?

W cieniu szarpanych wiatrem drzew nic się nie poruszało. Nie błyskały żadne światła. Nie słychać było żadnych głosów. Powietrze wypełniał tylko zapach mokrego lasu. Czekala i wypatrywała znaku od tego, co wywołało jej niepokój, ale nic się nie zmieniało. A przecież coś tam było. Coś kazało jej się zatrzymać i po raz pierwszy od siedmiu lat pójść nad wodę. Coś ją tam dzisiaj wzywało, choć nie wiedziała co ani dlaczego.

Coś było nie tak.

Kiedy jej syn przyszedł na świat, a ona zaczęła pracę nad haftem, przodkowie rozluźnili uścisk, w którym ją trzymali. Dlaczego mieliby ją przyzywać akurat dzisiaj?

Chyba że to nie duchy ojca i babki wołały do niej z wody, tylko coś innego. Ktoś inny.

Z łomoczącym sercem odwróciła się plecami do wody i pobiegła do domu tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to burza i ból w brzuchu. Już ani na chwilę dłużej nie zostawi Yan-Tao samego, niezależnie od tego, jak mocno woda będzie ją przyciągać. Może tam pójść, kiedy Joseph wróci do domu.

Ale on jeszcze nigdy aż tak się nie spóźniał. Wyjechał poprzedniego dnia wcześniej rano i planował spędzić jedną noc w Port Townsend, żeby wrócić następnego dnia przed południem. Czasami udawało mu się nawet załatwić wszystko w ciągu jednego dnia i złapać parowiec albo prywatną łódź z powrotem, tak że nie musiał w ogóle nocować poza domem. Nigdy nie zajmowało mu to dwóch pełnych dni. Nigdy.

Kiedy Mei Lien znalazła się już w środku i wysuszyła się, próbowała zabrać się do pracy nad haftem, ale ściegi wychodziły jej luźne i niedbałe, a wzór zaczął zanikać, więc musiała powyciągać nici i zacząć jeszcze raz. Po godzinie dała za wygraną i zaczęła chodzić od okna salonu, które wyglądało na zatokę, do okna w pokoju dziennym, przez które widać było drogę, tęsknie wypatrując znaków powrotu Josepha. Przez cały czas starała się nie zwracać uwagi na przyciąganie wody.

W końcu uległa zmęczonemu ciału i położyła się na kanapie, skulona wokół zimnego, przeszywającego bólu w brzuchu, który walczył o jej uwagę z palącym strachem, jaki odczuwała w gardle. Zasnęła przy zapalonych świecach.

Pies pierwszy ostrzegł ją, że ktoś jest na podwórku. Labrador zbiegł po schodach z pokoju Yan-Tao, szczekając i wyjąc, jakby u progu stał sam diabeł. Mei Lien podniosła się z kanapy jeszcze bardziej obolała niż przed zaśnięciem i rozejrzała się dookoła.

Promienie słońca wpadały nieśmiało przez okna i rozбивały się na dywanie węzełkowym pod jej stopami. Był ranek. Burza przeszła, a Joseph nadal nie wrócił.

Pies skakał przy drzwiach wejściowych i czekał na nieznanego po drugiej stronie. Szczekał tylko na obcych, co oznaczało, że to nie Joseph jest na zewnątrz.

Tego tylko potrzebowała. Gościa.

– Czy to ojciec?

Odwróciła się tam, skąd dochodził głos jej syna, i zobaczyła, że stoi już ubrany w drzwiach kuchni z włosami zmierzwionymi jeszcze od snu.

Pokręciła głową.

– Nie, *hūzǐ*. To nie on.

Podeszła do okna i ostrożnie rozsunęła białe zasłony.

Dwóch mężczyzn, białych mężczyzn, zeskoczyło z koni i uwiązywało lejce do barierki ganku. Ten, który stał przodem do niej, był średniego wzrostu oraz budowy i miał na sobie ciemny garnitur. Coś na jego płaszczu, prawdopodobnie metalowy guzik, błysnęło w porannym słońcu, kiedy sięgał do juków po manierkę wody.

Drugiego mężczyznę, choć nie zwrócił twarzy w jej stronę, rozpoznałaby wszędzie. Campbell. Mei Lien nie widziała jeszcze nikogo innego, kto by się tak nosił. Wyobrażała sobie, że taką postawę mógłby mieć cesarz albo król – głowa podniesiona, żeby patrzeć z góry na poddanych, choć większość ludzi była wyższa od niego, ramiona ściągnięte do tyłu, wypięta klatka piersiowa.

– Zostań w kuchni – szepnęła do Yan-Tao i popchnęła go przed sobą, biegnąc do tylnych drzwi po strzelbę, którą Joseph trzymał zawieszoną na ścianie obok wejścia. – Bądź cicho. Nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteś, choćby nie wiem, co się działo. Rozumiesz?

Pokiwał głową, a jego oczy rozszerzyły się ponad okrągłymi policzkami.

– Gdzie jest ojciec? – zapytał szeptem.

Potrząsnęła głową, sprawdzając, czy strzelba jest naładowana.

– Nie wiem. Nie martw się. Poradzę sobie z tymi mężczyznami.

Właśnie w tym momencie jeden z nich załomotał do drzwi, aż oboje podskoczyli. Mei Lien

spojrzała na syna, przyłożyła palec do ust i podniosła brwi. Kiwnął drżącą głową, podbiegł truchtem do kąta za piecem i wcisnął się do niego.

Zadowolona z kryjówki syna, uniosła broń przed siebie i cicho przesunęła się w stronę drzwi.

– Kto tam? – zawołała najgłośniejszym głosem, jaki tylko mogła.

– Duncan Campbell, proszę pani – usłyszała głos, który sprawił, że wszystko się w niej skurczyło. – Jest ze mną szeryf Keppler. Miał miejsce wypadek. Proszę otworzyć drzwi.

Żołądek podszedł jej do gardła, zimny i ciężki jak głaz z zatoki.

– Jaki „wypadek”?

– Pani McElroy – odezwał się głos, który musiał należeć do szeryfa. – Chodzi o pani męża. Czy możemy wejść?

Mei Lien rzuciła wzrokiem w stronę kuchni. Choć nie zobaczyła ani śladu syna, wiedziała, że nadal tam jest. Musiała chronić go przed tymi ludźmi.

Spojrzała znowu na drzwi i wyprostowała się na tyle, na ile pozwalało jej napięcie w brzuchu. Nie przestając ścisnąć broni, odryglowała drzwi i wyszła na zewnątrz, po czym zamknęła je za sobą.

Campbell i szeryf stali ramię w ramię na ganku. Kiedy szeryf ją zobaczył, cofnął się o krok, a ona zdziwiła się na widok tej subtelnej odrazy. Od pięciu lat nie znalazła się tak blisko innego białego człowieka niż Joseph. Przez ten czas zdążyła zapomnieć, na jak wiele sposobów ludzie mogą dawać jej do zrozumienia, że jej nie akceptują.

Podniosła podbródek, spojrzała wyzywająco w nieufne oczy szeryfa i poczuła chwilową satysfakcję, kiedy jego obwisłe wąsy zadrżały.

Odpuściła mu na moment i zwróciła się w stronę Campbella. Na sam jego widok mocniej ścisnęła strzelbę. Duncan się nie uśmiechał, ale w jego oczach było coś triumfującego. Jej palec ześliznął się na spust.

– Czego panowie chcą?

Szeryf zdjął kapelusz z głowy i przytrzymał go przed sobą. Zmierzył strzelbę wzrokiem, po czym się odezwał.

– Proszę pani, czy możemy wejść do środka? Obawiam się, że przynosimy złe wieści.

W tym momencie dotarła do niej prawda. Po co innego Campbell przychodziłby tu z szeryfem? Najpierw zaczęły jej się trząść nogi, a potem drzenie przeniosło się w górę ciała, spotęgowało ból w brzuchu, tak że zrobiło jej się słabo, a następnie wspięło się do głowy, aż zaczęło szumieć jej w uszach.

Wiedziała, co jej powiedzą. Nie było potrzeby, żeby wchodzili do domu, straszili jej syna i żeby wszyscy udawali, że potrafią być dla siebie uprzejmi.

– Proszę po prostu powiedzieć, co panowie mają do powiedzenia, i jechać dalej.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Campbell wzruszył ramionami i przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć, że ani trochę nie dba o to, w jaki sposób załatwią sprawę. Szeryf poruszył głową potakująco i zwrócił się z powrotem w stronę Mei Lien.

– Z żalem muszę panią poinformować, że parowiec, na którym znajdował się pani mąż, odnaleziono przewrócony na bok na wyspie Lopez. W środku znaleziono ciało kapitana. Wczoraj przez parę godzin przeszukiwaliśmy statek i dzisiaj rano nasi ludzie znowu tam wrócili, ale nie znaleźliśmy ani śladu ciała pani męża czy pozostałych pasażerów. Bardzo mi przykro.

Mei Lien poczuła, jak ogarnia ją ciemność. To pewnie Campbell spowodował ten wypadek. To przez niego jej mąż zaginął. Przez niego woda zabrała jej Josepha, podobnie jak na jego rozkaz odebrała jej wszystkich ludzi, których kiedykolwiek kochała.

Nagle w niewytłumaczalny sposób zniknął jej strach przed Campbellem. Zniknęło nerwowe napięcie, jakie odczuwała w jego obecności. Zniknęła fizyczna potrzeba, żeby spuścić oczy, kiedy

podchodził. Zniknęła potrzeba ukrywania się przed nim.

Nie dbała już o to, co może jej zrobić. I tak zrobił już najgorsze, co mogła sobie wyobrazić. Najpierw zabrał jej ojca i babkę, a teraz męża.

Z dna tego długiego tunelu doszedł ją dziki krzyk i wiedziała, że wyszedł on z niej samej, chociaż tego nie czuła. Przez mgłę bólu zobaczyła samą siebie, jak podnosi strzelbę i mierzy w twarz Campbella.

– Ty ich zabiłeś! – usłyszała, jak krzyczy po chińsku. – Zabiłeś Josepha. Zabiłeś ojca i babkę i próbowałeś zabić też mnie. Nigdy więcej, biały diable! – Pociągnęła za spust.

Kiedy się otrząsnęła, leżała twarzą do ziemi na ganku, szeryf wbijał jej kolano w plecy, a w obie dłonie wpijały jej się drzazgi. Ciemna zasłona, która na nią wcześniej spadła, teraz zniknęła i zobaczyła wyraźnie całe otoczenie. Strzelba leżała koło niej, ale szeryf kopnął ją zaraz tak, że spadła z ganku na ziemię. Campbell się odezwał, ale nie była w stanie rozróżnić słów.

Nie dbała o to, że szeryf ją popchnął i spowodował, że chybiła. Tak naprawdę nie chciała zabić Campbella, bo wtedy nie byłaby lepsza od niego. A ona zawsze będzie lepsza.

Nie dbała już o nic. Złożyła ręce pod twarzą, oparła o nie czoło i pozwoliła, żeby łzy napłynęły jej do oczu. Kapały cicho na szorstkie deski ganku, ale jej było wszystko jedno. Zapragnęła, żeby jej ciało roztopiło się i przeciekło przez podłogę.

– Chodź, Duncan – usłyszała głos szeryfa. – Wykonaliśmy swoje zadanie.

– Ona próbowała mnie zabić, szeryfie. Powinien pan ją zamknąć.

– E tam, nie miała złych zamiarów. To tylko rozpacz.

Przez łomot obolałego serca usłyszała, jak mężczyźni odwiązują lejce i wsiadają na swoje konie, a Campbell przez cały czas przekonuje towarzysza, że powinien ją zaaresztować. Wiedziała, że gdyby była białą kobietą, wnieśliby ją do środka, daliby herbaty, wezwali jedną ze swoich żon, żeby przysłała dotrzymać jej towarzystwa. Chińska kobieta nie zasługiwała na taką życzliwość.

Ale szczerze mówiąc, była z tego zadowolona. Jedyne, czego teraz chciała, to żeby wszyscy zostawili ją samą z jej cierpieniem.

Mężczyźni wyjechali z obejścia i zniknęli. Mei Lien leżała bez ruchu, wiedząc, że kiedy podniesie głowę, będzie musiała stawić czoła rzeczywistości.

Zgrzytnął zamek w drzwiach, skrzypnęły zawiasy. Zamarła. Jak mogła zapomnieć o Yan-Tao? Co udało mu się usłyszeć?

– Mamo?

Wytarła szybko twarz rękawem i usiadła plecami do syna. Dopiero po trzech głębokich oddechach zebrała się na odwagę, żeby się odwrócić.

Jej syn wyglądał, jakby był chory. Jego zazwyczaj okrągła twarz obwisła jak u staruszka. Oczy miał czerwone i podkrążone, a w środku czaił się cień, który, jak podejrzewała, widać było też w jej spojrzeniu.

– Co usłyszałeś?

Wyszedł na ganek i pozwolił, żeby drzwi się za nim zatrzasnęły, a jego broda zadrżała.

– Ojciec... – przerwał i potarł przedramieniem nos – nie żyje? – Jego twarz skurczyła się, a z małego gardła wyrwał się szloch.

Mei Lien otworzyła ramiona, a on rzucił jej się na kolana i przycisnął twarz do jej piersi. Z jego ciała buchnął głośny płacz, który przeszywał ją na wskroś.

Za to też Campbell był odpowiedzialny. Właśnie zabił dzieciństwo jej syna z podobnym skutkiem, jak gdyby strzelił mu w głowę.

– Wszystko będzie dobrze, Yan-Tao – szepnęła, głaszcząc go po włosach i kołysząc w ramionach. – Jakoś sobie poradzimy. Zobacysz.

Kołysała go dalej i próbowała pocieszyć najlepiej, jak mogła, a sama czerpała pocieszenie z ciepła jego małego ciała na jej kolanach. Raz po raz mówiła uspokajająco, że wszystko będzie dobrze.

Ale w momencie, kiedy wypowiadała te słowa, czuła przenikającą ją do głębi świadomość, że już nigdy nic nie będzie dobrze.

Rozdział dziewiętnasty

Piątek, 27 lipca – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas

—Spodziewałem się, że cię tu znajdę.

Inara odwróciła się zaskoczona dźwiękiem głosu Daniela i zobaczyła, jak mężczyzna wychodzi z cienia lasu na plażę, gdzie spędziła ostatnie pół godziny, snując plany na temat nowego pomostu, przy którym goście mogliby cumować swoje łodzie i skąd wyruszałiby na wycieczki kajakowe. Kiedy przyszedł Daniel, skończyła właśnie zapisywać sobie w notatniku, żeby przejrzeć później oferty nowych kajaków i innego potrzebnego sprzętu, którym zastąpiłaby starocie z garażu.

– Wcześniej przyjechałeś. Cieszę się. – Wyszła mu naprzeciw. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też. – Daniel odszukał ustami jej wargi, a ona zatopiła się w jego objęciach.

Odgłos fal przypominał jej, gdzie się znajdują. Odsunęła się odrobinę i odwróciła w stronę wody, ale jej zmysły nadal były pełne Daniela.

– Zobacz, wróciła.

– Kto?

– Ta foka, o której ci opowiadałam. Ta, która pojawia się prawie za każdym razem, kiedy tu przychodzę. To ona. – Inara przyglądała się, jak szara głowa nurkuje w lśniąca toń i wypływa kilka sekund później tylko po to, żeby spojrzeć prosto na nich, a potem zrobić to jeszcze raz, zupełnie jak popisujące się dziecko.

– Myślisz, że to samica?

– Nie wiem, ale tak czuję. – Inara zastanowiła się nad tym. Odkąd po raz pierwszy zobaczyła fokę w swojej zatoczce, poczuła z nią jakąś więź. Siostrzaną więź.

Wzruszyła ramionami i uwolniła się z objęć Daniela, żeby podnieść upuszczony notatnik.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś, ale mam też kilka rzeczy do zrobienia, zanim będę mogła poświęcić ci całą swoją uwagę.

Na jego twarz wypłynął przewrotny uśmiech, który dowodził, że w tym momencie mężczyzna myślał tylko o jednym.

– W takim razie lepiej od razu pozwolę ci się zabrać do pracy, żebyś szybciej skończyła. Mogę rozłożyć się z laptopem na stole w kuchni?

– Jasne. W lodówce jest mrożona herbata i ciastka, które przysłała dzisiaj rano Sophie. Nie powinno mi to zająć więcej niż godzinę.

– A nad czym pracujesz?

Inara przytuliła notes do piersi.

– Nad planem biznesowym. To jedno z wymagań, jakie tata postawił przy udzielaniu mi pożyczki, więc muszę to zrobić jak najszybciej. Zajmuje to więcej czasu, niż przypuszczałam, i miałam nadzieję, że cisza plaży pomoże mi się skupić.

Ostatni raz spojrzała na fokę, po czym razem z Danielem skierowała się w stronę chłodnego cienia lasu.

– Problem w tym, że ciągle przychodzą mi do głowy nowe pomysły, które wymagają wprowadzenia poprawek do planu finansowego i do harmonogramu budowy.

– Nie słyszałem dotąd o żadnym twoim pomysle, który nie byłby wart dodatkowej pracy. – Szli, trzymając się za ręce w tak naturalnym geście, jakby od lat byli razem. – Mogę ci jakoś pomóc?

Zmusiła się, żeby skupić się na jego pytaniu, a nie na tym, że głaskał kciukiem jej dłoń.

– Jeśli nie znasz kogoś, kto sprzedaje i instaluje bezpieczne, a jednocześnie tanie windy, to obawiam się, że nie.

Właśnie na tej części planu utknęła z powodu zbyt wysokich kosztów. Rozważała odpuścić sobie wind, ale ponieważ wszystkie pokoje gościnne znajdowały się na pierwszym i – kiedyś, jeśli budżet pozwoli na rozbudowę – na drugim piętrze, musiała dostosować hotel do potrzeb osób niepełnosprawnych. Goście na pewno będą chętnie korzystać z wind, a obsłudze znacznie usprawni to pracę, jednak koszty były niewyobrażalne. Powoli zaczynała sobie uświadamiać, że będzie musiała pozyskać kolejnego inwestora, nawet jeśli we wrześniu jej tata zaakceptuje projekt.

„Nie – upomniała samą siebie – nie jeśli, tylko kiedy”. Kiedy jej tata zaakceptuje projekt. Musiała myśleć pozytywnie. Oczywiście, że tata będzie zadowolony z jej pracy i wydłuży termin spłaty pożyczki. Musi to zrobić.

– Mogę ci teraz powiedzieć, czego dowiedział się mój zespół, czy mam to zachować na później? – zapytał Daniel, zatrzymując jej rozpędzone myśli.

Stopy Inary stanęły w miejscu, a gardło ścisnęła niewidzialna pięść. „A co, jeśli jego zespół dowiedział się o...”.

Nie, nie będzie nawet o tym myśleć. Mogli odkryć cokolwiek na temat rękawa czy Mei Lien.

Od czasu spotkania z tatą bez przerwy śnili jej się zamordowani Chińczycy. Budziła się w środku nocy, serce waliło jej w piersi, a płuca próbowały złapać oddech. Czasami pomiędzy wyobrażenia ciał pływających w wodzie wplatał się obraz rozbitego samochodu matki i słyszała wtedy czyjś okrutny śmiech, choć nigdy nie mogła zobaczyć czyj.

Obwinała się już za śmierć matki, a teraz ogarniała ją szalona myśl, że w jakiś sposób jest też odpowiedzialna za życie wszystkich tych ludzi zepchniętych ze statku w objęcia śmierci, że jest też odpowiedzialna za los Mei Lien.

Wiedziała, że nie mogła nic zrobić, żeby zapobiec tej rzezi, bo kiedy się ona dokonywała, nie było jej jeszcze nawet na świecie. Ale mimo to odczuwała prawdziwe poczucie winy i udrękę.

Zmusiła stopy do ruchu.

– Czego się dowiedzieli?

Daniel zatrzymał się przed nią i chwycił ją za obie ręce. Przez drzewa ponad ich głowami przenikały promienie słońca i pokrywały jego twarz plamami światła i cienia. Jego oczy zatańczyły na myśl o niespodziance, którą dla niej miał, a ona zapragnęła odpowiedzieć mu własnym podekscytowaniem. Ale zamiast tego odczuwała śliską oleistość strachu.

– Wiem, co stało się z Josephem.

– Z mężem Mei Lien?

Nachylił się do niej.

– Moi studenci twierdzili, że przeszukali wszystkie gazety z tamtego okresu, ale kiedy trafiliśmy na doniesienia o ciałach, coś mi mówiło, żebym jeszcze raz je przejrzał. Znalazłem go w malutkiej notce zamieszczonej siódmego października tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku w lokalnej gazecie „The Islander”.

– Co o nim napisali?

– Mam w samochodzie wydruk, żebyś mogła przeczytać później całość, ale w skrócie chodzi o wypadek parowca „Teaser” i o to, że poszukiwania rozbitków zawieszono. Wszyscy pasażerowie

zostali uznani za zaginionych, a dalej wymieniono ich nazwiska. Jest wśród nich Joseph McElroy.

– A nie ma Mei Lien ani Yan-Tao?

– Nie ma nic na ich temat. Prawdopodobnie płynął sam. Poszperałem jeszcze trochę i dowiedziałem się, że ten parowiec odbywał regularne rejsy na trasie Port Townsend–Friday Harbor–Eastsound i Bellingham. Wieczorem trzydziestego września tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku złapała go burza i znaleziono go później wywróconego na burtę na plaży na wyspie Lopez. W sterówce znajdowało się ciało kapitana, ale wszyscy pozostali, którzy tamtego dnia wsiedli na pokład w Port Townsend, zaginęli.

– Czyli Mei Lien została wdową z małym synkiem i bez środków do życia? W jaki sposób udało jej się w ogóle przeżyć?

Oczy Daniela straciły blask, a jego stopy się poruszyły. Odpowiedział cichym głosem:

– Mam nadzieję, że do tego dojdziemy, ale równie dobrze możemy nigdy się tego nie dowiedzieć. Znalazłem jeszcze jeden artykuł o tej katastrofie i jest w nim informacja, że Joseph McElroy miał siostrę, która mieszkała w Tacomie. Mój zespół już jej szuka, podobnie jak jakichkolwiek śladów obecności Mei Lien i Yan-Tao w tamtej okolicy w latach, które nastąpiły po wypadku.

Nagle w Inarze pojawiła się nadzieja.

– Czyli możliwe, że Mei Lien dobrowolnie opuściła wyspę?

Daniel zmarszczył twarz.

– Jak to „dobrowolnie”? Przecież sprzedała ziemię twojej rodzinie, tak?

Dziewczyna uświadomiła sobie swój błąd.

– No tak, oczywiście. Chodziło mi tylko o to, że musiało jej tu być ciężko samej. Ale mimo wszystko był to dla niej jedyny dom. – Nienawidziła siebie za to, że go oszukuje.

Wyglądało na to, że Daniel jej uwierzył, i poszli razem w stronę domu.

– Co ty na to, żebyśmy odpoczęli w ten weekend od rozmów o Mei Lien? I o rękawie, i o Josephie, i o wszystkim, co się z nimi wiąże? – Chciała, żeby na ten jeden weekend stali się normalną parą, która rozmawia o normalnych sprawach.

Kątem oka zauważyła, że Daniel się uśmiecha.

– I tak powiedziałem ci już wszystko, czego się dowiedziałem – zgodził się. – A co byś chciała robić zamiast tego?

Idąc przez las, zaczęli przerzucać się pomysłami. Im dalej odchodzili od wody, tym cieplejsze stawało się powietrze. Słony zapach wodorostów ustępował powoli ciepłej woni gałęzi cedrowych, zaprawionej aromatem suchych igieł, które chrzęściły pod ich stopami. Im bardziej zbliżali się do domu, tym wyraźniej Inara czuła zapachy placu budowy i swojego nowego życia – świeże trociny, gryząca bejcę, spaliny z diesla w wózku widłowym, którym zdejmowano palety glazury z platformy ciężarówki.

Zapachy te ściągnęły ją z powrotem na ziemię i wyrwały z przytłaczającego lęku i smutku, które wypełniały ją, kiedy myślała o Mei Lien. Odetchnęła głęboko, przeganiając resztki mroku z serca i z myśli, szczęśliwa, że musi się zajmować hotelem.

– Co ty na to, żebyśmy zaczęli ten weekend od kolacji w Inn at Ship Bay? – zapytał Daniel, kiedy przechodzili obok fontanny. – Ja stawiam.

Inn at Ship Bay było nazwą restauracji znajdującej się w Eastsound, o której rozpisywały się liczne lokalne i ogólnokrajowe magazyny, a Inara umierała z ciekawości, żeby ją wypróbować, ale ze względu na hotel nie mogła sobie na to pozwolić. Ścisnęła go za rękę.

– Byłoby genialnie. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Odwrócił się do niej dokładnie w momencie, kiedy wyciągnęła szyję, żeby go pocałować, więc całus wylądował na jego ustach. Z westchnieniem poddała się płomieniowi, który zawsze wybuchał między nimi w takich chwilach, nie przejmując się wcale, że

Tom albo któryś z robotników może ich zobaczyć.

Kiedy skończyli się całować, Daniel oparł głowę o jej czoło.

– Albo możemy zostać dzisiaj w domu.

Odepchnęła go filuternie.

– Nie ma mowy – powiedziała, po czym zniżyła głos i dodała: – Ale możemy jechać do Eastsound wczesnym wieczorem.

Oczy mu rozbliły, a usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Brzmi nieźle.

Sama jego obecność sprawiała, że Inarze było lżej na sercu. Z hotelem szło jej dobrze, a o historii Mei Lien dowiedzą się kiedyś wszystkiego, co trzeba. Teraz mogła sobie odpocząć i cieszyć się obecnością Daniela, która była taka przyjemna.

Jakąś częścią siebie czuła się okropnie, że ukrywa przed nim prawdę, podczas gdy on tak dużo czasu poświęca na badanie sprawy rękawa, chociaż nic z tego nie ma. Oczywiście, że zasługuje na prawdę. Szczególnie wobec ich pogłębiającej się relacji. Ale jeszcze nie teraz. Później będzie miała mnóstwo czasu, żeby pomyśleć, w jaki sposób powiedzieć mu o rodzinnej tajemnicy.

Rozdział dwudziesty

Czwartek, 9 sierpnia – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas

Inara weszła przez drzwi frontowe i zatrzymała się na półpiętrze, żeby ogarnąć wzrokiem swoje dzieło.

Hotel, jej własny hotel, kształtował się na jej oczach. Plany, które dwa miesiące temu były tylko planami, stawały się rzeczywistością. Z miejsca, gdzie stała, widać było położony niżej hol i nową ścianę, która została dobudowana, żeby oddzielić go od powiększonej powierzchni restauracyjnej z tyłu. Na dalekim końcu pierwszego piętra, ponad restauracją, tam, gdzie kiedyś była otwarta przestrzeń z widokiem na galerię z parteru, Inara dostawiła ściany i urządziła kolejny pokój gościnny. Dzięki temu całość sprawiała cieplejsze, bardziej przytulne wrażenie.

Nie mogła już, stojąc tu, przy wejściu, spojrzeć przez dom na przestrzał na tylne podwórko i dalej na zatokę, ale nie ujmowało to willi uroku. Goście i tak będą mieli mnóstwo okazji, żeby cieszyć się tym widokiem z innych miejsc. A powiększona powierzchnia restauracyjna pozwoli jej sprowadzić jakiegoś obiecującego szefa kuchni i stworzyć restaurację, która sama w sobie stanie się równie atrakcyjnym celem podróży, co hotel.

Taki przynajmniej był zamysł.

Jeśli ojciec wcześniej go nie zrukuje.

„Nie – nauczyła samą siebie – nie myśl tak”. Postanowiła znaleźć kolejnego inwestora, żeby uzależnić się od ojca. Przerazała ją trochę myśl o częściowym oddaniu kontroli nad projektem, ale wiedziała jednocześnie, że nigdy nie zdecyduje się na współpracę z kimś, komu nie będzie ufać i kto nie będzie myślał podobnie jak ona. Będzie ostrożna przy dokonywaniu wyboru.

Przez ostatnie półtora tygodnia wykonała niezliczone telefony do wszystkich bliższych i dalszych znajomych, o których pomyślała, że mogliby być zainteresowani wejściem razem z nią w biznes hotelarski, ale wszyscy jej odmówili. Potem obdzwoniła ludzi, których nie знаła, a tylko o nich czytała i podziwiała ich za etykę biznesową, ale do tej pory nie miała szczęścia.

Wykształcenie i nazwisko dodawały jej wiarygodności, ale nie miała jeszcze udokumentowanych osiągnięć zawodowych w hotelarstwie. Nikt nie miał ochoty podejmować takiego ryzyka.

Nie poddawała się jednak. Musiał być na świecie ktoś, kto ma kupę pieniędzy i będzie chciał zainwestować w hotel i restaurację. Ktoś, kto podobnie jak ona poczuje magię wyspy i będzie chciał urzeczywistnić wizję ciotki Dahlii i jej własną.

Inara podniosła wzrok na pierwsze piętro i popatrzyła na ośmioro drzwi do pokoi gościnnych z zawieszonymi już mosiężnymi numerkami. Powiesiła je pomimo ostrzeżeń Toma, że robotnicy będą jeszcze wynosić drzwi przed przystąpieniem do kładzenia kafelków, chodników i instalowania nowych kominków gazowych.

Mimo wszystko ani trochę nie żałowała swojego wysiłku. Hotel w końcu wyglądał jak hotel i widok ten podbudował jej słabnącą pewność siebie.

Oznaczało to, że nadszedł właściwy moment na rozpoczęcie drugiego etapu poszukiwań inwestora. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do swojego brata.

– Właśnie wychodzę na drinka. Masz dwie minuty. O co chodzi?

– Myślisz, że mi się uda? Z hotelem? – Nie planowała zaczynać w taki sposób, ale skoro tak jej wyszło, to musiała to pociągnąć. – Bo tata uważa, że nie.

– Jak to „tata uważa, że nie”? Oczywiście, że w ciebie wierzy. Poczekaj, dzwoni do mnie.

Czekając na linii, przeszła przez skrzydło biblioteczne do swojego domu. W momencie kiedy zamykała za sobą drzwi łączące willę z jej kuchnią, Nate znowu się odezwał.

– Przepraszam. Chciał się tylko dowiedzieć, czy jadę do restauracji razem z nim.

– Tata idzie z tobą na drinka?

– Świątujemy. Sprawa Yǒu Yì została wreszcie zamknięta. PGM jest teraz dumną firmą-matką Linii Żeglarskich Yǒu Yì, które obejmują swoim zasięgiem południowo-wschodnią Azję, a już niedługo także Australię.

– Cytujesz mi swój komunikat prasowy?

– Tu mnie masz.

– No to gratuluję. Wiem, że wszyscy ciężko pracowaliście na to przejęcie.

– Dzięki. Ale wracając do twojej sprawy: co tam się właściwie dzieje?

Opadła na kanapę w salonie i położyła stopy na stoliku, zmęczona po całym dniu czyszczenia szalunku wodą pod ciśnieniem, co miało przygotować dom na przyszłotygodniowe malowanie.

– E, zapomnij. Tak naprawdę dzwoniłam, żeby się dowiedzieć, czy znasz kogoś, kto chciałby wejść w biznes hotelarski. Może na przykład ten facet z twojego stowarzyszenia studenckiego, który jest dalekim krewnym Hiltonów? Masz z nim jeszcze kontakt?

– Chodzi ci o Alexa? Tak, ale co ty właściwie chcesz zrobić?

Westchnęła.

– Jeśli tata cofnie mi pożyczkę, wypadam z interesu. A ja Kocham to miejsce, Nate. Nie chcę go stracić.

Usłyszała, jak jakiś głos w tle mówi mu, że powinien już wychodzić. Odezwał się znowu.

– Dobrze, wspomnę mu o tym. To wszystko?

– Jeszcze jedna rzecz – powiedziała szybko, bo właśnie przyszedł jej do głowy pewien pomysł. – Przyjedziesz z tatą na początku września, żeby zobaczyć posiadłość i wszystko, co udało mi się tu zrobić? Weź ze sobą Jennifer i chłopców. Zostańcie na długi weekend.

– Z przyjemnością. Zapytam jeszcze Jennifer, czy na pewno jesteśmy wtedy wolni.

– Dzięki – powiedziała, mając nadzieję, że jej brat domyśli się, że nie dziękuje mu tylko za chęć przyjazdu na wyspę.

– Nie ma problemu. Naprawdę muszę już kończyć.

– Idź. Baw się dobrze. – Rozłączyła się i siedziała z zamkniętymi oczami, dając sobie jeszcze ostatnią chwilę, zanim wstanie i zacznie wykonywać kolejne telefony.

Jeszcze trzy tygodnie. Tylko tyle czasu zostało jej na zamienienie tego miejsca w coś tak niesamowitego, żeby jej tata nie chciał rezygnować z możliwości zainwestowania w biznes hotelarski.

Albo, jeśli spojrzeć na to z innej perspektywy, miała trzy tygodnie na znalezienie inwestora i partnera biznesowego, dzięki któremu nie będzie już potrzebowała pieniędzy ojca.

Ta druga opcja była dużo bardziej zachęcająca. Woląca już oddać część własności komuś obcemu, niż stracić całą posiadłość. A jeśli jej tata w końcu się przekona, zawsze może podziękować inwestorowi, zanim jeszcze cokolwiek podpisze. Czułaby się jednak znacznie lepiej, gdyby miała kogoś w zanadrzu.

Zerknęła na zegar. Do końca dnia pracy zostało jeszcze tylko pół godziny. Wystarczająco dużo czasu, żeby wykonać przynajmniej jeden telefon.

Z mocnym postanowieniem, że dzięki tej rozmowie zabezpieczy przyszłość sobie i hotelowi, podniosła się i poszła do kuchni, gdzie zostawiła swoje notatki.

Szybko przekartkowała notes, znalazła listę potencjalnych inwestorów i nie zwlekając ani przez chwilę, żeby przypadkiem nie stchórzyć, wstukała do telefonu kolejny numer z listy.

O piątej uznała się za pokonaną. Na ten moment.

Kiedy wykreślała ostatnie nazwisko z listy, komórka zadzwoniła jej w rękę.

Przekonana, że to jeden z inwestorów do niej oddzwania, przywołała na twarz uśmiech i odebrała.

– Aloha! Wróciliśmy. – Usłyszała głos, który na pewno nie należał do żadnego inwestora.

– Liv! – Uśmiechnęła się szczerzej i poszła nalać sobie mrożonej herbaty, żeby zabrać ją na ganek i rozmawiając z siostrą, cieszyć się ostatnimi gorącymi chwilami dnia. – Jak było na Maui? Dzieci nurkowały?

Zaczęły rozmawiać o wycieczce i o postępach w budowie hotelu. Inara siedziała na wyłożonej poduszkami huśtawce na ganku, stopy oparła o drewnianą barierkę i rozkoszowała się ciepłem i świeżym powietrzem. Lato na wyspach było szczytem doskonałości.

– A właśnie, kiedy wróciłam, czekała na mnie wiadomość od tego artysty, któremu zleciliśmy wykonanie posągu Duncana Campbella – powiedziała Olivia. – Ma już gotową glinianą formę, więc idę do niego w sobotę, żeby ją zobaczyć i upewnić się, że zrobił to, o co nam chodziło, zanim zabierze się do odlewania w wosku i brązie. Chcesz iść ze mną?

Inara zupełnie zapomniała o październikowym otwarciu parku. Na samą myśl o tym zaczęła się denerwować. Publiczne oddanie honorów człowiekowi, który, jak wiedziała, był mordercą, to ostatnia rzecz, w jaką chciała się angażować. Ale w jaki sposób mogłaby teraz temu zapobiec?

– Hm, jasne. I tak będę wtedy w mieście. Jadę poznać rodzinę mojego chłopaka. – Kolejna rzecz, którą się denerwowała.

– Chłopaka? Jak długo mnie nie było?

Zadowolona ze zmiany tematu, Inara opowiedziała siostrze, co działo się ostatnio w jej życiu prywatnym.

– Cieszę się, że kogoś masz – odezwała się Olivia, kiedy Inara skończyła mówić. – Zaslugujesz na szczęście.

W jej głosie było coś – może miłość, jaką rozpoznała nagle Inara – co przypomniało jej o mamie. Tego lata bardzo wiele rzeczy kojarzyło jej się z mamą, a Inara nie była jeszcze w stanie powiedzieć, czy jest to dla niej bardziej oczyszczające czy bolesne. Może i jedno, i drugie. – Dzięki, Liv.

– A jak tam twój rękaw?

Była to dosyć gwałtowna zmiana tematu, ale Inara zdołała odpowiedzieć.

– Dobrze. Dowiedzieliśmy się paru rzeczy o kobiecie, która go stworzyła, chociaż nadal pozostaje sporo niewiadomych.

– Na przykład?

– Na przykład to, że między ciałami i demonami, które pływają w wodzie, została wyhaftowana uśmiechnięta kobieta. O co może tu chodzić?

– Hmm. To dziwne.

– Podejrzewam, że ta kobieta drwi sobie z kogoś, bo wszyscy zginęli, a ona jedna przeżyła.

– Z kogo miałyby sobie drwić?

Ups. Musi uważać, bo inaczej powie coś, czego nie wolno jej mówić. Liv nie wie, co zrobił Duncan Campbell, i nie może się dowiedzieć.

– Oj, nie wiem – odpowiedziała Inara wymijająco. Potem, chcąc zakończyć rozmowę, zanim znowu się na czymś potknie, powiedziała: – Muszę kończyć, Liv. Jak już będę w mieście, to zadzwonię do

ciebie w sprawie oględzin tego posągu.

Rozłączyła się, zanim jej siostra zdążyła cokolwiek powiedzieć. Rzuciła telefon na stolik obok i ukryła twarz w dłoniach.

Boże, to wszystko zaczynało ją przerastać. Tajemnice, wykręty, pamiętanie, kto co wie i co komu można powiedzieć, zamartwianie się przyszłością hotelu, emocjonalna karuzela. Zebrało się już tego tyle, że miała ochotę wszystko rzucić. Rzucić badanie historii rękawa, rzucić prace nad hotelem, rzucić mężczyznę, którego okłamywała. Wszystko. Było tego za dużo.

Nad jej głową rozległ się krzyk, a kiedy spojrzała w górę, zobaczyła samicę bielika, która szybowała do gniazda na tle przeraźliwie błękitnego nieba, ujętego w ramy Mount Constitution po jednej stronie i willi z otaczającymi ją ogromnymi, wiecznie zielonymi drzewami po drugiej. Widok ten sięgnął w głąb jej serca i podziałał kojąco na znękaną duszę.

Potrzebowała tego miejsca. Niezależnie od tego, czego jeszcze się dowiedzą albo co się stanie z hotelem, ona już na zawsze zostanie złączona z wyspą. Mimo wszystko było to jedyne miejsce, w którym czuła się w pełni sobą.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Niedziela, 12 sierpnia – czasy obecne
Beacon Hill, Seattle

—Zajrzyj do środka – powiedział Daniel zza kierownicy swojego volvo. Odwrócił wzrok od drogi, żeby spojrzeć na Inarę, a ona dostrzegła w jego oczach podstęp. – Nie uwierzysz.

Zastanawiając się, o co mu chodzi, spojrzała na niebieski skoroszyt, który rzucił jej na kolana. Jechali właśnie do domu jego matki w Beacon Hill, gdzie Inara miała poznać ją, jego babcię i jego siostrę Cassie. Strasznie się bała, że popełniają błąd, że to się dzieje za szybko, ale on ciągle jej powtarzał, żeby się nie martwiła.

Z wysiłkiem powstrzymywała drżenie rąk, a poza tym chciało jej się sikać.

– Może powinniśmy odłożyć to na kiedy indziej.

Sięgnął ponad drążkiem zmiany biegów i złapał ją za rękę.

– Będzie dobrze, obiecuję. Zobaczysz, że cię pokochają.

– Często to robisz? Przyrowadzasz kobiety do domu, żeby poznały twoją rodzinę?

Ścisnął jej dłoń, po czym puścił, żeby położyć rękę z powrotem na kierownicy i wejść w zakręt. Promienie słoneczne wpadły przez szybę i odbiły się od jego okularów przeciwsłonecznych.

– Przyznaję, że w mojej kulturze przedstawienie najbliższemu osobie, z którą człowiek się spotyka, to poważny krok. Często robi się to dopiero, kiedy, no wiesz, zaczyna się rozmawiać o małżeństwie.

Mimo że próbowała ukryć panikę, jaką wzbudziły w niej jego słowa, musiała chyba wydać jakiś odgłos, bo Daniel uśmiechnął się do niej przewrotnie.

– Uspokój się, nie mam pierścionka w kieszeni. – Wyłączył radio. – Może i takie są zwyczaje w mojej kulturze, ale moja rodzina zawsze miała do tego luźniejsze podejście. Cassie i ja ciągle przyrowadzamy kogoś do domu na obiad.

Czy to miało ją uspokoić?

– Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz moją mamę – ciągnął dalej, zanim zdążyła się odezwać. – Jesteś do niej bardzo podobna, wiesz? Obie jesteście niezwykle odważne, a kiedy się wam dostanie, zawsze się podnosicie. Mama ostro walczyła o to, żeby dojść do tego, co osiągnęła, zupełnie jak ty ze swoim hotelem.

Nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. Zanim cokolwiek wymyśliła, Daniel już mówił dalej.

– Ale powinienem chyba ostrzec cię przed moją babcią. Może ci się wydać... krytycznie nastawiona. To nic osobistego. Ona po prostu ma taki sposób na sprawdzanie, czy ktoś myśli o mnie poważnie.

Znowu zrobiło jej się słabo.

– Dzięki za ostrzeżenie. – Przyglądała mu się przez chwilę z boku. – Myślę, wiesz?

– O czym myślisz?

– O tobie poważnie.

Odwrócił głowę w jej stronę, po czym znowu spojrzał na drogę. Na jego twarz wypłynął powoli uśmiech i pogłębił linie wokół ust. Podobne zmarszczki pokazały mu się wokół oczu, na wpół widoczne

zza okularów.

– W takim razie bez problemu poradzisz sobie z moją babcią.

Inara spuściła głowę i udawała, że patrzy na zamknięty skoroszyt na swoich kolanach. Nie była pewna, czego się właściwie spodziewała, kiedy mu to powiedziała, ale, do jasnej ciasnej, na pewno było to coś więcej niż „dasz sobie radę z babcią”.

Chcąc ukryć swoje zmieszanie, otworzyła skoroszyt i znalazła w nim czarno-białe zdjęcie nastoletniego Chińczyka w stroju historycznym, jakby prosto ze straganu w wesołym miasteczku. Tylko że na tym zdjęciu chłopak nie był przebrany za kowboja. W zamian za to miał na sobie ciemne spodnie, marynarkę i melonik charakterystyczny dla mężczyzny z klasy robotniczej z końca dziewiętnastego wieku. Było w nim coś znajomego, ale Inara nie potrafiła go rozpoznać.

– Kto to jest?

Daniel zatrzymał się na światłach i spojrzał na nią znacząco.

– To Yan-Tao McElroy.

– Naprawdę? – Inara wykrzyknęła zduszonym głosem i szybko zwróciła wzrok z powrotem na fotografię. Młody mężczyzna stał dumnie wyprostowany z rękami złożonymi z przodu na wysokości talii. Podbródek miał uniesiony w wyrazie uporu, a jego oczy zdawały się wpatrywać wyzywająco w fotografa. Czy był to po prostu młodzieńczy bunt, czy też ogólne podejście do świata, jakie musiał przyjąć, żeby przejść przez życie, które otrzymał?

I jakie to było życie?

Przyjrzała mu się z bliska. Chłopak wyglądał na naście lat. Co najmniej trzynaście. A to oznaczało, że przeżył. Przeżył lata spędzone na wyspie Orcas i jeszcze dłużej. Duncan go nie zabił.

Spłynęło na nią poczucie ulgi, od którego zakręciło jej się w głowie.

– Gdzie to znalazłeś?

Światło zmieniło się na zielone i Daniel przejechał przez skrzyżowanie.

– Pamiętasz siostrę Josepha z Tacomy? Udało nam się odnaleźć jej rodzinę – nazywają się Bascomb – i dotarliśmy do jej wnuczki, która nadal mieszka w Tacomie. Powiedziała nam, że matka opowiadała jej o corocznych wakacyjnych podróżach parowcem na wyspę Orcas, gdzie razem ze swoją siostrą bliźniaczką bawiła się z ich młodszym azjatyckim kuzynem.

Inara poczuła, jak rośnie jej serce.

– Czyli nie zostali sami po tym, jak Joseph zginął.

– No, niekoniecznie – odpowiedział pokrętnie Daniel. Wrzucił kierunkowskaz i skręcił w dzielnicę mieszkalną. – Wnuczka była przekonana, że żaden Chińczyk nigdy nie wszedł do domu jej babci. Okazuje się, że jej dziadek należał do Komitetu Piętnastu w Tacomie, czyli do grupy ludzi odpowiedzialnych za wypędzenie wszystkich Chińczyków z miasta w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku. Niektórzy uważają, że przyczynili się oni również do wydarzeń w Seattle, które miały miejsce rok później.

– Jeśli to prawda, to siostrze Josepha i jej mężowi na pewno nie podobało się to, że Joseph ożenił się z Chinką.

Daniel pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy.

– Właśnie. W każdym razie wnuczce powiedziano, że kuzyn i ciotka jej matki zginęli razem z wujem w katastrofie statku.

– Ale najwyraźniej tak nie było. – Podniosła zdjęcie, które było tego dowodem.

Daniel nie powiedział już nic do chwili, kiedy płynnym ruchem zaparkował samochód przy krawężniku przed domem w stylu rustykalnym z zadbanym ogródkiem.

– Siostra Josepha okłamała swoją rodzinę. Cała ta historia wydała mi się podejrzana, więc kazałem swoim ludziom przejrzeć rejestry z okolicznych sierocińców i domów dziecka. Tam właśnie go znaleźliśmy.

– Gdzie?

– W waszyngtońskim Zakładzie Poprawczym w Chehalis. – Zgasił silnik i ogarnęła ich cisza, jakby znaleźli się w bańce mydlanej. – Przyjmowali tam młodocianych przestępców i sieroty w wieku od ośmiu do osiemnastu lat. Z tego, co czytałem, wydaje się, że była to dobra szkoła. Poza normalnym programem edukacyjnym i religią chrześcijańską, przyuczali dzieciaki do takich zawodów jak stolarstwo czy rolnictwo.

– Czyli został osierocony. Czy to oznacza, że Mei Lien zginęła razem z Josephem?

– Też o tym pomyślałem, więc przeczytałem jeszcze raz sprawozdania z wypadku i dochodzę do wniosku, że jednak nie. Myślę, że spotkał ją inny los.

– Przydarzyło jej się coś złego.

Głos Daniela zabrzmiał bardzo cicho, kiedy w końcu odpowiedział:

– Tak, możliwe.

Coś zastukało w okno Inary, tak że aż podskoczyła. Odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętą kobietę, mniej więcej w jej wieku, z długimi, prostymi, czarnymi włosami, która machała do nich przez szybę.

– To Cass. Chodź. – Daniel wyskoczył z samochodu i szybko obszedł go dookoła, żeby uściskać siostrę.

Inara musiała dosłownie potrząsnąć głową, żeby przenieść się myślami w teraźniejszość. Wsunęła zdjęcie Yan-Tao do torby i wysiadła z samochodu.

– Cass, przedstawiam ci Inarę – powiedział Daniel do siostry, kiedy Inara do nich dołączyła. Obejmował Cass ramieniem. – Inaro, to jest moja siostra, Cassie.

Inara wyciągnęła rękę.

– Miło cię poznać. Twój brat dużo mi o tobie opowiadał.

– On kłamie – roześmiała się Cassie, ściskając rękę Inary. – A ja chcę się dowiedzieć wszystkiego o twoim hotelu. Daniel twierdzi, że to niesamowite, ile udało ci się zrobić w tak krótkim czasie.

– Jesteś uroczy – powiedziała Inara do Daniela, przyjmując jego wyciągniętą rękę. Potem zwróciła się do Cassie: – Mam przy sobie zdjęcia, jeśli cię to interesuje. A co u ciebie? Daniel mówił, że jesteś w trakcie trudnej sprawy. Jak ci idzie?

Na wspomnienie pracy w Cassie zaszła subtelna zmiana, która przemieniła ją z wesołej siostry w onieśmielającą prawniczkę. Na przekór poważnemu wyrazowi twarzy kobieta wzruszyła ramionami.

– Mój klient chce odebrać byłej żonie opiekę nad dwójką swoich dzieci, bo zostawiła je same na trzy godziny w gorącym samochodzie zaparkowanym przed jakąś speluną. Sprawa powinna być już dawno załatwiona, ale zrobiła się skomplikowana. – Potrząsnęła głową i rozszerzyła usta w uśmiechu. – Ale nie mówmy o tym.

Weszła między nich, wzięła ich pod ramiona i pociągnęła w stronę domu.

– Mama i babcia stoją pewnie z nosami przyciśniętymi do szyby i próbują cię zobaczyć, Inaro. Chodźmy wybawić je z kłopotu.

Na te słowa żołądek Inary skurczył się dwa razy bardziej niż przedtem. Daniel najwyraźniej wyczuł jej skrzępowanie, bo w chwili, kiedy weszli do wyłożonego kafelkami przedsionka, otoczył ją ramieniem i przycisnął mocno do siebie.

Dom pachniał cytrynami i czymś pieczonym. Inara ledwo zdążyła zauważyć utrzymany w kolorach ziemi salon, a już Daniel popchnął ją przez pustą kuchnię i przez szklane przesuwne drzwi do ogrodu za domem.

Kiedy wyszli na zewnątrz, szczupła, czarnowłosa kobieta, która stała przy grillu ze szczypcami w dłoni, odwróciła się w ich stronę. Uśmiechnęła się na powitanie.

– Daniel, przyjechałeś!

Położyła szcypce na stole i podeszła do nich z wyciągniętymi ramionami. Kiedy przytuliła do siebie Daniela, Inara poczuła zapach lilii. Matka Daniela była mniej więcej tego samego wzrostu co ona i miała na sobie rybaczkę khaki w kant i jasnoniebieską bluzkę. Jej czekoladowe oczy popatrzyły na Inarę z zaciekawieniem.

– A ty jesteś pewnie Inara. Witaj. Mam na imię Margaret.

Inara uścisnęła jej rękę i podziękowała za zaproszenie, zauważając mimowolnie, z jak wielkim wdziękiem porusza się Margaret Chin i jak swobodnie czuje się we własnej skórze i w obecności wszystkich dookoła.

– Pozwól, że przedstawię cię mojej babci – powiedział Daniel, po czym położył jej rękę na plecach i poprowadził delikatnie w stronę tekowego stołu, przy którym siedziała starsza kobieta zajęta krojeniem cytryn.

– *Nāinai*, to jest Inara. Inaro, Vera Chin, moja babcia.

Drobna kobieta nawet nie drgnęła na swoim krześle, więc Inara okrążyła stół i wyciągnęła rękę, którą siwowłosa kobieta niechętnie uścisnęła.

– To dla mnie zaszczyt.

– Mhmf. – Vera przygarbiła z powrotem plecy i wróciła do swoich cytryn.

Inara zerknęła na Daniela. Ale on tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że w taki właśnie sposób zachowuje się normalnie jego babcia, co wcale nie poprawiło nastroju Inary. Wróciła na drugą stronę stołu, do Daniela, i usiadła na krześle, które dla niej wysunął. Vera strzeliła w jej stronę oczami i znowu wróciła do krojenia.

– Mam nadzieję, że lubisz łososia, Inaro – powiedziała Margaret, podchodząc do nich ze szcypcami w dłoni. – Myślałyśmy, żeby przyrządzić dla ciebie jakieś tradycyjne chińskie danie, takie jakie serwuję w swoich restauracjach, ale postanowiłyśmy jednak skorzystać z tego, że jest sezon na czawyczę.

– Uwielbiam każdy gatunek łososia. A jeszcze w tym roku go nie jadłam.

– Tak czy inaczej, kiedyś będziesz musiała spróbować tajszańskiego kurczaka z glinianego garnka, jakiego robi mama – powiedział Daniel, ściskając czule wolną rękę matki. – Jest w tym najlepsza. A przygotowanie tej potrawy zajmuje cały dzień.

Chcąc sprawić im przyjemność, Inara uśmiechnęła się i powiedziała, co zresztą było prawdą:

– Tak się składa, że już go kiedyś jadłam. Jest znakomity. Mój ojciec często zaprasza klientów do Toisan, pani Chin. Cała moja rodzina uwielbia pani restaurację.

– Moja droga, mów mi Margaret. Vero, cytryny są idealne. Pokroisz też te ogórki? – poprosiła i zwróciła się z powrotem do Inary: – Jak nazywa się twój ojciec? Może go znam.

Inara poczuła się nagle spięta, ale próbowała to ukryć, spoglądając na swoje kolana i wygładzając nieistniejącą zmarszczkę.

– Charles Erickson. Jest szefem Pierwszej Grupy Morskiej.

Margaret zastanawiała się przez chwilę.

– Wiem, oczywiście, kto to jest, ale raczej go nie poznałam. Chyba czytałam gdzieś niedawno, że PGM zostało założone przez słynnego Duncana Campbella, czy to prawda?

Inara poczuła, jak jej uśmiech tężeje. Naprawdę nie miała ochoty myśleć tego wieczoru o Duncanie i martwić się, żeby jej kłamstwa się nie wydały.

– Tak. Moje korzenie sięgają daleko w historię Seattle.

Potem celowo spojrzała na grilla, z którego przez boczny otwór wydobywał się aromatyczny dym, i powiedziała:

– Ten łosoś pachnie nieziemsko. W jaki sposób go przyrządzasz?

Margaret podeszła do grilla i z wprawą przekreśliła rybę, wzniecając w powietrzu kłęby dymu.

– Moczę kawałki drewna olchy w wodzie, a potem zawijam je w folię aluminiową i kładę na węglach, żeby zapach dymu przeszedł przez łososia posmarowanego wcześniej masłem czosnkowym.

Od samego zapachu ślinka napłynęła Inarze do ust.

– Szkoda, że nie pozwoliłaś mi przynieść nic do obiadu.

Po raz pierwszy odezwała się Vera.

– Ty jesteś gościem. Nie gotujesz.

– Napijesz się wina, Inaro? – zapytała Cassie, wchodząc do ogrodu z tacą kieliszków, czym wybawiła Inarę od konieczności odpowiadania zrzędlivej babci.

– Tak, poproszę.

– Powiedz nam coś o sobie, Inaro – powiedziała Margaret, biorąc kieliszek od córki, i usiadła u szczytu stołu. – Daniel mówił, że odnawiasz posiadłość rodzinną na wyspach San Juan.

– To prawda. Chcę ją zamienić w hotel butikowy.

– A na której wyspie?

– Orcas.

– Ojej, uwielbiam wyspę Orcas. – Margaret oparła się wygodnie na krześle i zaczęła sączyć wino. – Dzieciaki, pamiętacie, jak pojechaliśmy kiedyś na camping nad jezioro Cascade na Orcas? Ty miałeś jakieś jedenaście lat, Danielu, a ty, Cassie, sześć.

Rozmowa skierowała się na ich przygody na wyspach San Juan, przeplatane pytaniami, jakie zadawali Inarze na temat hotelu. Celowo nie wspominała ona o niepewnej sytuacji finansowej przedsięwzięcia i opisywała wszystko tak, jakby nie było wątpliwości, że następnego lata hotel zostanie otwarty. Pomimo wcześniejszego zdenerwowania spostrzegła, że się rozluźniła i dobrze się czuje w towarzystwie wszystkich obecnych, nawet zrzędlivej babci.

Później, kiedy siedzieli wokół stołu ogrodowego z talerzami wypełnionymi łososiem, ziemniakami, pieczywem i trzema rodzajami sałatek, Margaret podniosła swój kieliszek.

– Za naszą nową przyjaciółkę, Inarę, którą z radością poznajemy.

Inara wypijała, czując się jednocześnie zaszczycona i skrępowana, bo nie wiedziała, czy powinna odwzajemnić się gospodarzom wzniesieniem jakiegoś toastu na ich cześć. Zanim zdążyła na coś się zdecydować, odezwała się Cassie.

– Opowiedzcie nam, jak się poznaliście. Czy to nie było na uniwersytecie?

– Chodzisz na wykłady Daniela, Inaro? – zapytała Margaret między jednym kęsem a drugim.

– Nie – odpowiedział za nią Daniel. – Inara przyszła do mnie z problemem badawczym i od razu przypadliśmy sobie do gustu, prawda? – Ścisnął ją pod stołem za kolano.

Uśmiechnęła się do niego i odpowiedziała przekornie:

– Tak właśnie było, z tym że na początku wzięłaś mnie za natarczywą studentkę i próbowałaś mnie spławić.

Ogród wypełnił się śmiechem Cassie.

– Nie dziwi mnie to. Pewnie nadal był myślami w chińskich dynastiach, czy o czym tam miał wtedy wykład.

Daniel wyglądał na zbitego z tropu, więc Inara poklepała go po ramieniu i się uśmiechnęła.

Na ratunek przyszła synowi Margaret.

– To jakie badania prowadzicie?

Inara była zaskoczona, że Daniel jeszcze im nie powiedział. Posłała mu pytające spojrzenie, ale on tylko wzruszył ramionami, więc sama odpowiedziała na pytanie Margaret.

– Próbujemy wyjaśnić sprawę niezwykłego wyszywanego rękawa, który był ukryty pod schodami na

mojej rodzinnej posiadłości. – Potem opowiedziała im, w jaki sposób znalazła haftowany materiał i jak odzyskała Daniela po napisanym przez niego artykule.

Razem z Danielem opisali wygląd rękawa i wszystko, co wiedzieli o Mei Lien.

– Czyli po prostu zniknęła? – zapytała Cassie, zbierając puste talerze w stos. – Jej mąż zginął, a jej syn został wysłany do sierocińca. I nikt nie wie, co się z nią stało?

Daniel pokiwał głową, oparł się na krzesło i skrzyżował ręce na brzuchu.

– Pewien mieszkaniec wyspy napisał w swoim dzienniku, że widział, jak chłopiec zabiera część rzeczy i opuszcza wyspę w towarzystwie ciotki. Było to w tym samym roku, w którym zginął jego ojciec, w okolicach Święta Dziękczynienia. Ani słowa o matce. Autor dziennika stwierdził, że uradował się na widok wyjazdu „tego brudnego Azjaty”.

To obraźliwe określenie sprawiło, że rodzina Daniela spochmurniała, w szczególności Cassie. Ale kiedy siostra Daniela się odezwała, Inara zorientowała się, że nie było to spowodowane rasistowskim wyrażeniem, tylko czymś zupełnie innym.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ciotka zabrała go z domu i porzuciła w sierocińcu? – Jej idealnie ukształtowane brwi zniknęły pod grzywką. – Co za człowiek mógłby zrobić coś takiego?

Inara przechyliła głowę na bok, bo nagle uświadomiła sobie, że przez cały czas była tak skupiona na Mei Lien, że ani przez moment nie pomyślała, jak koszarne musiało być to wszystko dla dziecka. Jak bardzo chłopiec musiał czuć się opuszczony. I zdradzony.

Siedmioletni syn Nate'a, Luke – rozkosznie wredny siostrzeniec Inary – był teraz w tym samym wieku co Yan-Tao, kiedy to wszystko się wydarzyło. Inara prędzej sama by sobie podcięła żyły, niż pozwoliłaby, żeby jakaś krzywda spotkała tego niewinnego chłopca. Nigdy, niezależnie od okoliczności, nie porzuciłaby go w sierocińcu.

Miała ochotę spojrzeć jeszcze raz na twarz chłopca, więc zapytała pozostałych:

– Chcecie zobaczyć zdjęcie Yan-Tao, do którego dotarł Daniel? – Sięgnęła do torby.

– To ostatni ślad, jaki po nim znaleźliśmy – powiedział Daniel, kiedy Inara położyła niebieski skoroszyt na stole i otworzyła go. – W rok po zrobieniu zdjęcia nie był już wymieniony w żadnych dokumentach szkolnych.

Yan-Tao wyglądał na bardzo smutnego. Inara podała zdjęcie Margaret, ale wzrok zwróciła na Daniela.

– Tego mi nie powiedziałaś. Jak myślisz, co się z nim stało?

Wzruszył ramionami i oparł się znowu na krzesło.

– Miał czternaście lat. W tamtych czasach to wystarczyło, żeby mógł znaleźć pracę i zacząć utrzymywać się samemu. Mógł przenieść się gdziekolwiek. Nadal go szukamy.

Margaret podała zdjęcie Verze.

– Biedne dziecko – powiedziała.

Vera popatrzyła na fotografię i zmarszczyła brwi.

– To nie jest jakieś tam biedne dziecko. To mój teść.

Daniel potrząsnął głową.

– Babciu, to nie jest twój teść. To Yan-Tao McElroy.

Cassie przerwała zbieranie naczyń i stanęła za krzesłem babci, żeby spojrzeć na zdjęcie.

Vera ściągnęła usta. Ostrzegawcze spojrzenie, jakie rzuciła Danielowi, mówiło wyraźnie, że dobry wnuk nigdy nie poprawia swojej babki.

– Mylisz się. To jest mój teść, Ken Chin, w czasach młodości. Jestem tego pewna.

Na dźwięk tego imienia Inara zamarła. Odwróciła się do Daniela i zobaczyła, że wygląda na tak samo oszołomionego jak ona. Ken. Kenneth. Imię to było wymienione na akcie urodzenia Yan-Tao jako

drugie. Czy możliwe, żeby to była ta sama osoba?

„Absurdalny pomysł” – stwierdziła. To już by był zbyt duży zbieg okoliczności.

Daniel powoli zwrócił się ku swojej babci, miał rozszerzone oczy.

– Masz zdjęcie swojego teścia z czasów młodości?

Vera uniosła brwi i przechyliła głowę na bok, tak jakby miała do czynienia z kimś bardzo głupim. Trzepnęła zdjęcie wierzchem dłoni.

– Mam je tutaj.

Daniel nie zmienił wyrazu twarzy.

– Nie, czy masz inne zdjęcie? Żebyśmy mogli je porównać.

Z wyrazem nieskończonej odrazy względem wnuka Vera podniosła się i odwróciła, żeby wejść do domu. Po raz pierwszy Inara zobaczyła ją na stojąco i uświadomiła sobie, że kobieta nie może mieć więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Poruszała się zaskakująco szybko jak na osiemdziesięciopięcioletkę.

– No – burknęła, kiedy doszła do szklanych drzwi. – Idziecie?

Spojrzeni na siebie nawzajem i jak jeden mąż wstali, żeby wejść za nią do środka przez przesuwne drzwi. Obchodząc po drodze stół, Inara zabrała z niego pozostawione przez staruszkę zdjęcie.

Vera poprowadziła ich po schodach na piętro, gdzie z korytarza wchodziło się do czterech sypialni i do wspólnej łazienki. Inara z łatwością mogła stwierdzić, który pokój należał kiedyś do Daniela, bo przez otwarte drzwi zobaczyła na ścianie plakat z Kenem Giffreyem Juniorem i drugi, z lśniącym, czerwonym Chevroletem Corvette. Umierała z ciekawości, żeby wejść do pokoju i przekonać się, jaki był Daniel w dzieciństwie, ale on już rozkładał schody prowadzące na strych.

– Idź – rozkazała wnukowi drobna kobieta i machnęła niecierpliwie ręką. – W skrzyni w rogu.

– Potrzebujesz pomocy? – zawołała Inara, patrząc podejrzliwie w ciemną dziurę, w której zniknął Daniel. Z pajakami jeszcze by sobie poradziła. Z myszami nie za bardzo.

– Nieee – odskrzyknął Daniel. – Znalazłem.

Usłyszeli skrzypnięcie, a potem huk. Chwilę później Daniel pojawił się z oprawionym w popękana zieloną skórę albumem w rękach.

– Wygląda na to, że w tej skrzyni jest sporo ciekawych rzeczy. Czy to wszystko należało do Kena?

Vera kiwnęła głową i wzięła z rąk Daniela album.

– Tak. Kiedy zmarł, posprzątailiśmy jego mieszkanie i znaleźliśmy tę skrzynię w schowku. Miałam zamiar przejrzeć któregoś dnia jej zawartość, ale aż do dzisiaj zupełnie o niej zapomniałam.

Daniel ponownie zniknął, a Vera otworzyła album. Bez słowa obróciła go w stronę Inary.

– Sama zobacz. To jest chłopak z waszego zdjęcia. Jestem tego pewna.

Inara wzięła album i przyjrzała się z bliska ziarnistej fotografii w odcieniu sepia, którą Vera wskazała swoim artretycznym palcem. Margaret i Cassie stanęły po obu jej stronach.

Zdjęcie miało nierówne brzegi, tak jakby przez całe lata było wszędzie noszone, zanim w końcu trafiło do albumu. Inara dostrzegła na odbitce grupkę pięciu Chińczyków, którzy stali koło jakiejś maszyny załadowanej ziemią. W tle widać było duży wiktoriański dom, chwiejący się niebezpiecznie na szczycie stromego wzgórza, które przypominało pustynne wzniesienia, ale najwyraźniej znajdowało się w Seattle, bo za mężczyznami rozciągał się znajomy widok na Elliott Bay i pasmo Gór Olimpijskich w oddali.

– To ten po lewej z łopata – powiedziała Vera z głośnym chrząknięciem i skrzyżowała ręce na piersi. – Pracują przy Denny Regrade. To była jego pierwsza praca w Ameryce po tym, jak przyплыnął z Chin. To musiało być jakoś w okolicach tysiąc dziewięćset dziewiątego roku. Wtedy, kiedy odbyła się światowa wystawa Alaska Yukon Pacific, na którą poszedł. – Jej głos wypełniła duma. – Specjalnie na tę

okazję pożyczyl garnitur, i lubił opowiadać o półnagich mężczyznach z Polinezji oraz o wspaniałej chińskiej ekspozycji.

O projekcie Denny Regrade Inara uczyła się w szkole. Po wielkim pożarze Seattle z tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, który całkowicie zniszczył główną dzielnicę biznesową miasta, ojcowie założyciele, a wśród nich Duncan Campbell, zdecydowali, że strome wzgórza miejskie trzeba obniżyć, a mokradła, które znajdowały się wtedy w centrum miasta, w miejscu obecnego placu Pioneer, trzeba zasypać. Wyrównanie terenu rzeczywiście sprawiło, że poruszanie się po mieście stało się znacznie łatwiejsze. Istniejące budynki, jak ten, który tkwił na szczycie wzgórza na zdjęciu, zostały albo przeniesione w inne miejsca, albo wyburzone.

Inara musiała przyznać, że chłopak z lewej strony był bardzo podobny do tego, który widniał na przyniesionym przez nią zdjęciu.

Cassie nachyliła się nad fotografią i patrzyła to na nią, to na zdjęcie Yan-Tao McElroya.

– Są do siebie bardzo podobni – powiedziała z nutą niedowierzania w głosie i spojrzała na babcię. – Ale to nie może być ta sama osoba. Mówiłaś, że pradziadek spędził dzieciństwo w Chinach. W Pekinie.

Vera się wyprostowała.

– Tak było. Był najmłodszym synem urzędnika cywilnego czwartego stopnia. Dzięki swoim koneksjom mógł przybyć do Ameryki jako kupiec w czasach Aktu o Wykluczeniu. Otworzył swój pierwszy sklep niedługo po zrobieniu tego zdjęcia. – Jej oczy uciekły na bok. – On nie lubił mówić o swojej przeszłości, ale dowiedziałam się tego wszystkiego od swojego męża, który był bardzo dumny z ojca.

– Możliwe, że kłamał – odezwała się Cassie, zgadując myśli Inary.

Vera wydała zduszony okrzyk i uderzyła dłońmi o swoje wąskie uda, a Inara ucieszyła się, że to nie ona wypowiedziała te słowa.

– Chinowie nie kłamią!

Cassie tylko wzruszyła ramionami, nieporuszona tym upomnieniem, odsunęła się od albumu i spojrzała zaciekawiona w górę schodów.

– Co on tam robi tak długo?

– Daniel, zejdź tu do nas i powiedz, co o tym myślisz – zawołała Margaret w stronę strychu. Popatrzyła z niepokojem na córkę i teściową, po czym podeszła do schodów i spojrzała w górę. – Daniel?

W ciemnym otworze ukazała się twarz mężczyzny. Nie było na niej uśmiechu.

– Chodźcie zobaczyć te rzeczy. Są niesamowite.

Margaret spojrzała pytająco na Inarę, a potem na Cassie i Verę, po czym zwróciła się z powrotem do Daniela.

– Kto? My wszystkie?

Daniel nie odpowiedział. Kiwnął głową z roztargnieniem i ponownie zniknął. Cassie wzruszyła ramionami, przeszła koło babci i szybko wspięła się na górę. Margaret spojrzała na Verę z uniesionymi brwiami.

– Chcesz, żebym ci pomogła?

Vera potrząsnęła głową i podreptała do krzesła opartego o ścianę koło stolika z rodzinnymi zdjęciami.

– Poczekam tutaj. Moje stare kolana nie nadają się na taką wspinaczkę.

Margaret rzuciła Inarze spojrzenie, które potwierdziło jej podejrzenie, że kolana Very są w jak najlepszym porządku, a kobieta po prostu nie ma ochoty wchodzić na strych.

– Idziemy?

Inara powstrzymała uśmiech i podążyła za Margaret w górę po rozchybotanych schodach. Na strychu zobaczyła plamę światła, które rozchodziło się od gołej żarówki przymocowanej do belki. Daniel i Cassie klęczeli przy poobijanej drewnianej skrzyni, wyciągali z niej różne przedmioty i rozkładali je na podłodze dookoła.

– Jeśli Ken Chin i Yan-Tao McElroy byli naprawdę tą samą osobą, to w tych rzeczach możemy znaleźć coś, co naprowadzi nas na losy Mei Lien. – Daniel nie przestawał wyciągać różnych przedmiotów i układać ich na podłodze wokół siebie. – Pomóżcie mi przejrzeć to wszystko.

Ubrania, zdjęcia w ramkach i bez ramek, skórzana obroża dla psa, stara para butów i różne inne drobiazgi – we wszystkich tych przedmiotach szemrały nieopowiedziane nigdy historie. Spod wystrzępionego kocyka wystawała wycięta w drewnie łódka, najwyraźniej dziecięca zabawka. Inara z zaciekawieniem przysiadła obok rodzeństwa na podłodze i sięgnęła po łódkę. Została ręcznie wycięta i polakierowana, żeby nie nasiąkała wodą. Drewno ściemniało od zużycia i zaokrągliło się na brzegach. Dziewczyna niemalże miała przed oczami obraz małego Yan-Tao, bawiącego się tą łódką na jej plaży.

Właśnie w tym momencie Cassie wydała stłumiony okrzyk, który przyciągnął uwagę Inary do wystrzępionego kocyka. Pod warstwą kurzu i brudu dostrzegła misterny haft, który wydał jej się znajomy.

Daniel podniósł materiał, który rozwinął się i ukazał jeszcze więcej wyszywanych wzorów. Właściwie to każdy jego skrawek był pokryty haftem.

Inara spojrzała w osłupieniu na Daniela.

– Czy to możliwe, żeby...? – Nie była w stanie skończyć pytania. To było zbyt nieprawdopodobne.

Daniel rozwinął delikatnie pozostałą część materiału i rozłożył go na podłodze z dala od innych przedmiotów i skrzyni.

– O mój Boże.

Inarze odjęło mowę. Przez głowę przelatywało jej zbyt wiele myśli naraz, żeby zdążyła ubrać którąkolwiek z nich w słowa. Jedyne, na co było ją stać, to wpatrywanie się w misternie wyszywaną szatę, w której brakowało lewego rękawa.

Wnioski napłynęły tak gwałtownie, że cały strych zaczął wirować wokół niej, a powietrze uleciało jej z płuc.

Jej przodek nie tylko zamordował setki niewinnych ludzi – zamordował ludzi blisko spokrewnionych z Danielem.

Jeśli teraz powie prawdę jemu i jego rodzinie, zniszczy to jej związek. Jego rodzina pozwie jej rodzinę i wszyscy będą zrujnowani.

Daniel ją znenawidzi. Znenawidzi samo jej istnienie i wszystko, co za nim stoi, bo jej rodzina zbudowała swoją fortunę na krwi, która płynie teraz w jego żyłach. A co gorsza, ona wiedziała o tych morderstwach i zataiła je przed nim.

Ale musiała przecież chronić swoich bliskich i pamięć własnej matki. I musiała zrobić to nawet kosztem własnego związku.

Przełknęła ślinę i z całych sił starała się nie zwymiotować, choć czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. „Głęboki oddech. Głęboki oddech”.

– To wygląda jak akt własności jakiegoś domu – odezwała się Margaret, przerywając atak paniki Inary. – Spójrz, Inaro, to gdzieś na wyspie Orcas. – Podała jej plik pożółkłych kartek.

Inara wzięła je, starając się powstrzymać drżenie rąk, i przebiegła wzrokiem tekst prawniczy, a jednocześnie czuła, jak jakaś niewidzialna pięść ścisną jej czaszkę.

– To mój dom – wychrypiała. Nic dziwnego, że kobieta z urzędu nie znalazła dokumentów przekazania własności. Przez te wszystkie lata ten akt leżał schowany wśród rzeczy małego chłopca. I, o Boże, to był dowód na to, że Yan-Tao stał się Kenem Chinem. I na to, że Rothesay nie należało do niej. Było własnością rodziny Chinów.

– Pokaż mi to. – Cassie wstała i wzięła papiery z rąk Inary. Przez chwilę czytała w milczeniu, po czym podniosła wzrok. – Dziadek Ken to Yan-Tao McElroy.

Cała trójka Chinów zaczęła mówić jednocześnie, a Inara poddała się sile, która ciągnęła ją w dół. Osunęła się na kolana na podłogę i nie była w stanie nic robić, tylko patrzeć na rozemocjonowaną rodzinę i poddawać się własnym uczuciom, które zaczynały ją dusić.

Jako pierwszy zwrócił na nią uwagę Daniel. Spojrzał w jej kierunku z uśmiechem, który momentalnie zmienił się w wyraz zaniepokojenia.

– Co się stało, Inaro?

– Rothesay – tylko tyle zdołała z siebie wydusić.

Zajął mu to chwilę, ale z jego twarzy wyczytała, że w końcu zrozumiał.

– Martwisz się, że przez to wszystko stracisz Rothesay. – Odwrócił się do siostry. – Cass, czy ten akt własności jest ważny?

Cassie popatrzyła z troską na Daniela, a potem na Inarę i w uspokajającym geście położyła jej rękę na ramieniu.

– Och, Inaro, nie przejmuj się. Ten akt był kiedyś ważny, ale w naszym kraju obowiązuje prawo przejęcia własności przez zasiedzenie, więc teraz posiadłość należy w pełni do ciebie. Nie możemy ci jej zabrać i wcale byśmy tego nie chcieli.

Margaret i Daniel potwierdzili te słowa, ale Inara i tak czuła, że nie jest prawowitą właścicielką Rothesay. Ta ziemia zawsze była własnością Mei Lien i nadal do niej należała, bez względu na to, jaki los ją spotkał.

Rozdział dwudziesty drugi

Niedziela, 12 sierpnia – czasy obecne
Dom Chinów, Seattle

– Szkoda, że nie wzięłam ze sobą rękawa – wymamrotała Inara, choć ani trochę tego nie żałowała.

Daniel chciał przyrzeć się szacie bliżej, więc zeszli wszyscy na dół, do jadalni, a on przykrył stół czystym prześcieradłem z szafy matki.

Rzucił teraz Inarze uśmiech, w którym jaśniało podekscytowanie.

– Nie ma problemu. Mam w samochodzie zdjęcia. – Zwrócił swoje rozemocjonowane spojrzenie z powrotem na szatę, a jednocześnie wygrzebał z kieszeni džinsów kluczyki do samochodu. – Cass, przyniesiesz mi je? Są w mojej teczce w bagażniku.

Cassie zaczęła marudzić, ale zrobiła to, o co prosił ją brat, i po krótkiej chwili wróciła z teczką, którą położyła na krześle najbliżej niego.

– Nie wiem, dlaczego tak się wszyscy ekscytujecie tą brudną szmatą. Gdybym wiedziała, że tam jest, to już dawno bym ją wyrzuciła – burknęła Vera z kąta, ale Inara zauważyła, że kobieta usadowiła się w miejscu, z którego mogła wszystko dobrze widzieć i słyszeć.

Inara też pożałowała, że Vera nie wyrzuciła szaty.

A myśl ta sprawiła, że poczuła się jak zdrajczynie.

– Jest strasznie brudna. – Cassie pochyliła się nad szatą, uważając, żeby jej nie dotknąć. – Ale chyba nie nosiłby stroju z jednym rękawem? Wyglądałby komicznie.

– Jeśli dała mu go jego matka, to może nosił go przy sobie jak ukochany kocyk. – Margaret pogłaskała Cassie po plecach. – Pamiętasz ten twój, który wystrzepił się od noszenia?

Daniel nic nie powiedział, tylko otworzył teczkę i wyciągnął z niej stos fotografii i parę bawełnianych rękawiczek. Włożył rękawiczki i pochylił się nad szatą, nie zajmując się na razie zdjęciami.

– Została uszyta w takim stylu, jak przypuszczałem. To smocza szata, ale bez emblematu rangi urzędnika i bez smoków – powiedział Daniel, choć Inara nie była pewna, czy mówi do nich czy do siebie samego.

Z trudem przełknęła ślinę i zmusiła się do skoncentrowania na szacie, a nie na szalejącym w jej głowie przerażeniu.

Strój miał u góry coś, co wyglądało na kołnierzyk mandaryński. Lewa poła nakładała się na prawą, a pod prawym ramieniem szata była zapinana na kołki zrobione z zaplecionych nici. Prawy rękaw zwęzał się ku dołowi i kończył mankietem, który miał częściowo zasłaniać dłoń. „Końskim kopytem”, jak określił go Daniel, takim samym jak mankiet na znalezionym przez nią rękawie.

Materiał był upstrzony plamami i rozdarciami. Był tak znoszony i pożółkły, że nie była pewna, czy na początku w ogóle pasował do jaskrawoblękitnego jedwabiu jej rękawa, choć domyślała się, że pewnie tak było.

Pomimo zniszczenia materiału szczegóły wyhaftowanych wzorów były wyraźnie widoczne. Na prawym rękawie nici, które kiedyś miały zapewne żywe barwy, a teraz zrobiły się matowe i brudne,

przedstawiały białego mężczyznę trzymającego w ramionach dziecko o ciemniejszej skórze. Oboje uśmiechali się szeroko, tak że widoczne były nawet zęby mężczyzny. Trochę wyżej, w okolicach ramienia, dziecko wyrosło na chłopca, który stał z jedną ręką opartą na głowie czarnego psa. Obaj znajdowali się na ganku domu i patrzyli, jak mężczyzna prowadzi konia zaprzężonego do pług.

Inara poczuła, że na ramionach pojawia jej się gęsia skórka – rozpoznała na tym obrazie dom Dahlii jeszcze bez dobudowanej do niego willi.

Chłopiec z rękawa to zapewne Yan-Tao, który przygląda się, jak Joseph orze ten sam kawałek ziemi, na którym znajduje się teraz jej ogródek warzywny.

– Jak widzicie – odezwał się do nich Daniel, całkowicie pochłonięty oględzinami – na dole znajduje się dwudziestocentymetrowy pas wypełniony scenami prawdopodobnie z Pekinu z czasów cesarstwa i dynastii Qing. Widzicie ten budynek? Wygląda jak główna brama do Zakazanego Miasta od zewnątrz. W tamtych czasach nie było nic takiego w Ameryce. Jeśli to Mei Lien jest autorką haft ów na szacie, a wszystko na to wskazuje, to możemy założyć, że uwieczniła tu historię swojej rodziny, a nie osobiste doświadczenia, ponieważ sama urodziła się w Seattle.

Ponad tym pasem aż do połowy stroju, gdzie znajdowałyby się talia noszącego, widniały sceny o charakterze znacznie bardziej wiejskim. Daniel wskazał rząd czegoś, co wyglądało jak jakieś budy albo chaty zbite z desek.

– Gdyby trafiło to na moje biurko, zanim poznałem tę historię, mógłbym przysiąc, że to jakaś wioska w Chinach. Spójrzcie na azjatyckie twarze tych mężczyzn, którzy siedzą wokół stołu ustawionego najprawdopodobniej przed jakimś sklepem wielobranżowym.

– A ten człowiek? – zapytała Inara, wskazując na mężczyznę w czarnym garniturze i w kapeluszu w stylu amerykańskim albo brytyjskim, który przechodził po przeciwnej stronie drogi.

– Podobnie, gdybym nie wiedział, że zrobiła to Mei Lien, byłbym przekonany, że to biznesmen albo zagraniczny ambasador, który przyjechał z wizytą do Chin. Ale to jest najprawdopodobniej Seattle w czasach sprzed brukowanych ulic i ceglanych budynków.

– Spójrzcie na te drzewa na grzbiecie ponad miastem. – Cassie wskazała fragment położony wyżej na szacie. – Domyślam się, że zanim Seattle zostało zbudowane, tutejsze tereny były całkiem porośnięte lasem.

– Pomyślcie o historycznym znaczeniu tej szaty – wyszeptała Margaret. – Nie tylko dla naszej rodziny, ale dla całego Seattle. To zdumiewające.

– Jeśli to jest Seattle, to tutaj wyżej musi być wyspa Orcas – zastanowiła się głośno Inara i natychmiast tego pożałowała. Im więcej się dowiadywali, tym prędzej Daniel połączy fakty i domyśli się, że jej rodzina ponosi odpowiedzialność za koszarne sceny przedstawione na lewym rękawie. Musiała zacisnąć dłonie w pięści, żeby nie złapać w tym momencie szaty i nie wybiec z domu.

Daniel obszedł stół dookoła, żeby lepiej się przyjrzeć części piersiowej stroju.

– Wydaje mi się, że masz rację. Spójrz na tego mężczyznę. Ma taką samą twarz jak ten z prawego rękawa i jest ona tak szczegółowo wyhaftowana, że jej właściciel na pewno jest kimś ważnym. Obejmuje ramieniem Chinę, która, jeśli mnie wzrok nie myli, wygląda znajomo. Jej twarz wydaje się taka sama jak u tonącej kobiety na rękawie Inary.

– Czyli to jest Joseph i Mei Lien? – spytała Margaret. Inara wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Myślę, że tak.

Rodzina Daniela zamilkła i po raz pierwszy w życiu spojrziała na małżeństwo, od którego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, się wywodziła. Inara przebiegła wzrokiem haft w poszukiwaniu widoków z Rothesay.

Były wszędzie. Linia plaży, a nawet rodzaj skał i białe muszle. Strone z bocznej pokrytej wiecznie

zielonym lasem góry, która wznosiła się za sadem jabłkowym. Ku zdumieniu Inary była tam nawet lśniąca głowa foki, która patrzyła na samotną kobietę stojącą na plaży.

I... chata.

Co do chaty nie mogło być wątpliwości. Wyglądała dokładnie tak samo jak ta, w której Inara bawiła się jako dziecko ze swoim rodzeństwem. Była to ta sama chata, którą dzisiaj zarastał las, której dach się zapadł, a ściany z bali wyścielała warstwa mchu.

– Spójrzcie na ramię, na miejsce, w którym został odcięty lewy rękaw. – Margaret wskazała je palcem, ale uważała, żeby nie dotknąć delikatnego materiału. – Wygląda tak, jakby nici stopniowo robiły się coraz ciemniejsze, jakby było tam zachmurzone niebo albo głęboka woda.

Wszyscy podeszli bliżej lewej strony szaty, gdzie brakowało rękawa, żeby zobaczyć to, co Margaret im pokazywała. Tuż nad fragmentem, w którym znajdowało się dokładne odwzorowanie domu Dahlii, niebo rzeczywiście wyglądało niespokojnie, jakby od strony brakującego rękawa nadciągała burza. Z tej samej strony znajdowały się też pierwotne ziemie Campbella. I z pewnością nie był to zbieg okoliczności.

Ciemne, burzliwe niebo pasowało do obrazu, jaki Inara zapamiętała ze swojego rękawa.

Nawet po znalezieniu aktu własności jej domu, jakąś częścią siebie Inara chciała wierzyć, że to tylko zbieg okoliczności. Ale ten dowód był niepodważalny. Daniel pochodził w prostej linii od ludzi, których jej przodek zamordował z zimną krwią.

Mei Lien – a może zrobił to Yan-Tao? – schowała rękaw jako dowód przeciwko rodzinie, która ponosiła odpowiedzialność za tamtą zbrodnię, żeby któregoś dnia sprawiedliwość została wymierzona. Teraz Inara musiała zdecydować, co z tym zrobić.

– Inaro, mogłabyś podać mi te zdjęcia? – Wzdrygnęła się na dźwięk swojego imienia, podniosła wzrok i zobaczyła, że Daniel wskazuje na plik, który leży na stole koło jej biodra.

Czy zdoła przejść taką odległość? Daniel stał zaledwie trzy kroki od niej, ale ona nie mogła zapanować nad roztrzęsionymi nogami. Nie ma wyjścia.

Z trudem przełknęła ślinę, po czym udało jej się zrobić to, o co prosił Daniel, z lekkim tylko zachwianiem. Kiedy jego osłonięte rękawiczką palce dotknęły jej dłoni, spojrzała mu w oczy i napotkała w nich czuły uśmiech, przeznaczony specjalnie dla niej.

Ku jej zaskoczeniu oczy zapiekły ją od łez, więc szybko popatrzyła z powrotem w dół, na szatę. Miała nadzieję, że Daniel pomyśli sobie, że podobnie jak pozostali chce jak najszybciej dowiedzieć się czegoś więcej.

Daniel przejrzał plik fotografii, a kiedy znalazł tę, której szukał, ostrożnie odłożył resztę na bok. Głośno wypuścił powietrze z płuc, zdradzając, jak bardzo się denerwuje, i położył zdjęcie na stole, w miejscu, gdzie powinien znajdować się lewy rękaw.

Wyhaftowana historia przeszła płynnie z materiału na fotografię.

Daniel ponownie otworzył swoją teczkę i wyciągnął z niej szkło powiększające. Bez słowa wyjaśnienia pochylił się nad miejscem, w którym szata łączyła się ze zdjęciem, i przyglądał mu się przez kilka minut.

Kiedy z powrotem się wyprostował, jego twarz była pełna zdumienia.

– Pasuje. Cięcia wydają się do siebie pasować, choć dla pewności wolałbym przymierzyć sam rękaw do szaty. Ale strzępy cięć wyglądają tak samo. Tak jakby z jakiegoś powodu ktoś wziął nożyczki i odciął rękaw.

– Dlaczego ktoś miałby to robić? – zastanowiła się głośno Margaret, choć wszyscy obecni wiedzieli, że nie ma odpowiedzi na to pytanie.

To znaczy wszyscy poza Inarą. Ona była w stanie podać bardzo dobry powód, dla którego Mei Lien odcięła ten konkretny fragment i go ukryła.

Możliwe, że po prostu zdecydowała się oszczędzić synowi koszmaru tamtych wydarzeń, ale Inara miała przeczucie, że właściwa przyczyna była zupełnie inna.

Mei Lien wiedziała, że jej wróg, Duncan Campbell, wymyśli jakiś sposób, żeby odebrać im dom. Jej mąż zginął, a w tamtych czasach Chińczycy nie mieli prawa do posiadania ziemi w stanie Waszyngton. Może Yan-Tao mógłby odziedziczyć dom i ziemię, skoro był w połowie biały, ale w jaki sposób matka miała go utrzymywać do czasu osiągnięcia dorosłości?

Nie, coś mówiło Inarze, że Mei Lien celowo ukryła rękaw w tamtym domu, prawdopodobnie żeby znalazł go któryś z potomków Campbella. Chciała, żeby prawda wyszła na jaw. Chciała, żeby rodzina Campbella cierpiała, tak jak cierpiała jej własna rodzina.

Może nie publicznie, bo jaki potomek Campbella rozgłosiłby świadomie tak szkodliwą tajemnicę? Jednak prywatnie rodzina czułaby się zdruzgotana.

Tak jak Inara w tym momencie.

Mei Lien nie wiedziała tylko, że osoba, która znajdzie rękaw, będzie uczuciowo związana z jej własnym potomkiem.

Tak się jednak stało w przypadku Inary, i jeśli wystarczy jej rozsądku, zakończy ten związek, zanim zrujnuje przez to swoją rodzinę. Zanim Daniel dowie się więcej i poczuje się zraniony przez jej kłamstwa.

Ale jak mogła to teraz zakończyć? Rodzina Chinów miała takie samo prawo, a może i większe niż Inara, żeby dalej badać sprawę, nawet jeśli ona się wycofa.

Vera, która jak dotąd milczała, obeszła teraz stół i stanęła obok niej. Inara wzięła głęboki oddech i przygotowała się wewnątrz na wszystko, cokolwiek kobieta zamierzała jej powiedzieć.

– Chcę zobaczyć, gdzie znalazłaś ten rękaw. Chcę pojechać do twojego domu.

– Vero, nie bądź niegrzeczna – upomniała ją Margaret, ale Inara zauważyła, że zrobiła to bez przekonania.

Spojrzała na Daniela i zobaczyła na jego twarzy zapał, którego blask sprawił, że serce się w niej ścisnęło. Przełknęła ślinę, żeby powstrzymać mdłości, i kiwnęła głową.

– Będę zaszczycona, jeśli przyjedziecie zobaczyć mój dom. W końcu kiedyś należał do waszej rodziny.

– W przyszły weekend? – naciskała Vera.

Inara zauważyła, że tym razem Margaret już jej nie skarciła.

– Oczywiście. Przyszły weekend będzie w porządku.

W tym momencie wszyscy zaczęli mówić naraz, uzgadniając swoje plany zawodowe i zmiany, jakie musieli w nich poczynić, żeby przyjechać na Orcas. Inara przyglądała się twarzom wokół stołu. Każda z nich miała cechy, które upodabniały ją do innych, a teraz Inara zdawała sobie sprawę z tego, że cechy te mogły zostać odziedziczone po Mei Lien.

Czyli po kobiecie, którą prawdopodobnie zamordował jej praprapradziadek.

Margaret, Cassie i Vera stały blisko siebie i rozmawiały jednocześnie o szacie, o hotelu i o swoich nowo odkrytych przodkach.

Kiedy Inara spojrzała ponad stołem na Daniela, zobaczyła, że on również patrzy na nią, i serce skurczyło jej się w piersi. Wtedy Daniel się uśmiechnął, a jego oczy wypełniły się czułością, która świadczyła o tym, że wspólna historia zrodziła w nim poczucie szczególnej bliskości.

Ale w jego wzroku było jeszcze coś, co przestraszyło ją nawet bardziej. Wyglądało to na miłość.

Odwróciła się zawstydzona.

Rozdział dwudziesty trzeci

Czwartek, 16 sierpnia – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas

Przez ostatnie cztery dni, od kiedy Inara dowiedziała się, że Yan-Tao McElroy i Ken Chin byli jedną i tą samą osobą, pogrążyła się całkowicie w pracy nad hotelem. Po powrocie z Seattle natychmiast spakowała rękaw i przesłała go ekspresem do Daniela, żeby jego zespół mógł go dalej badać, skoro wiadomo już było, że pochodzi z szaty należącej do rodziny Chinów. Następnie Inara wyrzuciła z głowy myśli o rękawie, o Mei Lien, o Yan-Tao, a nawet o Danielu.

Wmawiała sobie, że zrobiła to dlatego, że do umówionego z ojcem terminu zostały jej tylko dwa krótkie tygodnie i musiała skupić się wyłącznie na hotelu. Za kilkanaście dni przyjedzie tata, żeby obejrzyć jej dzieło, i podejmie decyzję, czy dalej będzie je finansował, czy nie.

A musiał się na to zdecydować, po prostu musiał. Nie udało jej się znaleźć innego inwestora. Pozostało jej więc mieć nadzieję, że kiedy tata zobaczy to miejsce i wszystko, co z nim zrobiła, w końcu uwierzy w swoją córkę i w jej wizję. A kiedy to nastąpi, ona będzie mogła spokojnie skończyć renowację i wyznaczyć datę otwarcia hotelu na przyszłe lato.

Teraz, kiedy na dwa tygodnie przed terminem pomyślała o ojcu, uświadomiła sobie, że powinna do niego zadzwonić i dowiedzieć się, czy planuje przyjechać w piątek czy w sobotę.

Niedługi czas, jaki pozostał jej od teraz do świątecznego weekendu, minus dwa dni, kiedy będzie gościć rodzinę Chinów, wykorzysta na dokończenie jak największej liczby spraw. W żadnym z pokoi gościnnych nie było jeszcze mebli, ale w tym tygodniu zostaną położone wykładziny, dzięki czemu hotel będzie sprawiał wrażenie znacznie bardziej wykończonego.

Odłożyła na tackę wałek, którym malowała łazienkę na parterze, i przeszła przez restaurację na tylne patio, z dala od hałasów budowlanych. Na zewnątrz nawet w cieniu robiło się coraz goręcej, a Inara z rozkoszą wyciągnęła się w stronę słońca.

Usadowała się na niskim kamiennym murku oddzielającym patio od trawnika i wybrała w telefonie numer do biura ojca.

– Inara? Dawno się nie odzywałaś. – Ojciec brzmiał, jakby był zirytowany i rozproszony, co było u niego normalne w środku dnia pracy. – Co słyhać?

– Cześć, tato. – Starła się utrzymać swobodny ton głosu. – Dzwonię, żeby się dowiedzieć, jakie masz plany na weekend ze Świętem Pracy. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz, co udało mi się tu zrobić.

– Weekend ze Świętem Pracy? O czym ty mówisz? – Usłyszała stłumione odgłosy zza zakrytej dłonią słuchawki i zorientowała się, że ojciec rozmawia z kimś, kto jest u niego w pokoju.

Odczekała chwilę, po czym odpowiedziała mu na pytanie.

– Przyjeżdżasz wtedy zobaczyć hotel i podjąć decyzję w sprawie pożyczki, pamiętasz? – Żołądek jej się skurczył. Wstała i zaczęła chodzić wzdłuż patio.

– Nie mogę, Naruniu. Lecę wtedy do Hongkongu.

Starając się nie stracić cierpliwości, zaproponowała:

– To w takim razie w kolejny weekend. Wtedy będziesz mógł przyjechać, prawda?

Usłyszała w telefonie westchnienie, które potwierdziło jej obawy. On w ogóle nie zamierzał przyjeżdżać.

Pomimo słońca poczuła, jak całe jej ciało przenika chłód, więc otuliła się wolną ręką.

– Tato, o co chodzi?

– Posłuchaj, pomysł z zamianowaniem Rothesay w hotel był genialny. Praca, jaką wykonałaś tam tego lata, pozwoli przyciągnąć poważniejszych nabywców. Sieci hotelowe, ośrodki wczasowe. Pieniądze, które w to zainwestowałem, pomogą ci uzyskać wyższą cenę za posiadłość.

– Tato, ja nie chcę jej sprzedawać. Chcę sama prowadzić ten hotel.

– Inara, co ty wiesz o prowadzeniu hotelu? Nic. – Przerwał, po czym prawie natychmiast odezwał się znowu chłodnym głosem. – Cieszę się, że przez całe lato dobrze się bawiłaś przy sprzątanii posiadłości, ale już czas, żebyś wzięła się za prawdziwą pracę.

Wściekłość paliła ją od środka.

– Czyli na przykład w Starbucksie?

– No właśnie. – Wydawał się zadowolony. – Zadzwoń do Lacey z agencji Luxe i wystaw posiadłość na sprzedaż. Im wcześniej, tym lepiej.

– Nie sprzedaję jej. – Nie wiedziała, jak to zrobić, ale na pewno uda jej się jakoś znaleźć inwestora. Albo przynajmniej uzyskać pożyczkę. Musi się jakoś udać.

– Inara – warknął ojciec. – Nie stać mnie, żeby dalej cię utrzymywać. Przykro mi. Domknięcie umowy z Yǒu Yì pochłonęło więcej pieniędzy, niż przewidywałem. Nawet gdybym chciał wejść z tobą w biznes hotelarski, teraz po prostu nie dam rady.

Zanim się odezwała, musiała poczekać, aż serce, które podeszło jej do gardła, wróci na swoje miejsce.

– Czyli to koniec?

– Tak. To koniec. Żądam zwrotu pożyczki.

– Nie mógłbyś czegoś wymyślić? Ten hotel bardzo dużo dla mnie zna...

– Nie, Inaro – przerwał jej. – Przez ostatnich parę miesięcy wspominałem o nim kilku swoim współpracownikom. Myślę, że szybko znajdziesz nabywcę.

– Rothesay nie jest na sprzedaż. – Nie czekała już na jego odpowiedź. Uderzyła w ekran telefonu, żeby się rozłączyć, i opuściła rękę wzdłuż ciała. Nie była w stanie się ruszyć, więc tylko wpatrywała się w wodę widoczną pomiędzy drzewami, podczas gdy w jej piersi łązy toczyły zaciętą walkę ze wściekłością.

Czy on w ogóle kiedykolwiek brał ją na poważnie, czy przez całe lato spełniał jedynie jej zachcianki i nigdy nie miał tak naprawdę zamiaru dać jej szansy? To, że przejęcie Yǒu Yì kosztowało go więcej, niż mógł w tym momencie wydać, mogło być kłamstwem. Możliwe, że był to tylko pretekst, żeby zmusić ją do sprzedaży hotelu i do znalezienia pracy. Może, podobnie jak Duncan Campbell, chciał tylko jak najwięcej zarobić?

Potarła oczy zaciśniętymi dłońmi. To śmieszne. Całe to szalone lato robiło z niej teraz wariatkę. Ojciec ją kochał. Chciał dla niej jak najlepiej. Nie raniłby jej w ten sposób, gdyby nie miał po temu rzeczywistego powodu.

Ale mimo wszystko czuła się zraniona.

Słońce zaczynało już zbyt mocno grzać, więc odwróciła się, żeby wrócić do domu, ale zatrzymała się i popatrzyła jeszcze na willę.

Straciła ją. Pomimo zawziętej deklaracji, którą właśnie złożyła ojcu, nie miała wyboru – musiała wystawić posiadłość na sprzedaż. Ale jeszcze nie teraz. Zanim to zrobi, jeszcze przynajmniej raz spróbuje znaleźć kogoś, kto mógłby jej pomóc. Na pewno coś wymyśli.

Na razie nie miała jednak pieniędzy, żeby opłacić swoich robotników. Lepiej jeszcze dzisiaj powie Tomowi, żeby odesłał ich do domów.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła w stronę prowadzących do restauracji drzwi francuskich z zamiarem znalezienia Toma, a po drodze świadomie wyłączyła tę część siebie, która powoli umierała.

Jakiś czas później, kiedy ostatni pick-up odjechał w stronę głównej drogi i zniknął za drzewami, Inara usiadła na schodkach przed domem Dahlii tak wyczerpana, że jedyne, na co ją było stać, to wpatrywanie się w willę. Wyglądała ona jak upiorna skorupa niedoszłego hotelu, nic więcej.

Tak długo siedziała tam zapatrzona, że zupełnie straciła rachubę czasu. Do rzeczywistości przywrócił ją nagle dzwonek telefonu.

W pierwszym odruchu miała ochotę poczekać, aż włączy się poczta głosowa, ale potem zobaczyła, że to Daniel, i uświadomiła sobie, że potrzebuje usłyszeć jego głos, usłyszeć, jak mówi jej, że wszystko będzie dobrze.

– Mama i babcia bardzo się cieszą na ten weekend, o niczym innym nie rozmawiają.

Jego głos był pełen dobrego humoru i nagle Inara zdała sobie sprawę, że nie chce mu mówić o tym, że straciła fundusze i że najprawdopodobniej będzie zmuszona do sprzedaży posiadłości. Musiała jeszcze sama to przemyśleć, zanim porozmawia z kimkolwiek, nawet z Danielem.

– Nie będzie im przeszkadzało, że będą nocować u mnie w domu, skoro hotel nie jest jeszcze gotowy? Mam dwa pokoje dla gości, a na dole jest rozkładana sofa.

– Brzmi świetnie. A właśnie, mam nowe informacje na temat Kena. To znaczy Yan-Tao. Nadal nie mogę uwierzyć, że jestem z nim spokrewniony.

Nie była już w stanie dłużej ukrywać swojego bólu.

– Bardzo bym chciała się wszystkiego dowiedzieć, ale widzę, że Tom do mnie macha. Pewnie czegoś potrzebuje. – Przełknęła ślinę, próbując rozluźnić ucisk w gardle, który pojawił się wraz z kłamstwem. – Oddzwonię do ciebie później, dobrze?

– Dobrze. Muszę jeszcze zadzwonić do mamy i dogadać się co do soboty rano. – Przerwał. – Ta wycieczka wiele znaczy dla mojej rodziny, Inaro. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Dla mnie też wiele to znaczy. Porozmawiamy później. – Rozłączyła się, zanim głos załamał jej się pod ciężarem wszystkiego, o czym mu nie mówiła.

Nie miała już nic do roboty, a poza tym męczył ją widok pustego hotelu, więc postanowiła pójść nad zatokę.

Woda na pewno przyniesie jej ukojenie. A samotność pomoże wymyślić, co ma robić dalej.

Rozdział dwudziesty czwarty

Październik 1894

Farma McElroyów, wyspa Orcas

Dla Mei Lien dni, które nastąpiły po śmierci Josepha, powoli stawały się rozmytą plamą. Razem z Yan-Tao wypełniali swoje obowiązki domowe i robili, co mogli, żeby pomóc sobie nawzajem przetrwać każdy dzień. Pierwszego wieczoru Mei Lien znowu poczuła przyzywanie wody i uległa mu, wiedząc, że spotka tam ducha Josepha.

Jednak kiedy tylko dotarła nad zatokę, ogarnęła ją i zaczęła dusić nagła panika, podobnie jak tamtej nocy, dawno temu, dusiły ją demony, które próbowały ją zabrać. Natychmiast wróciła do domu i wśliznęła się do łóżka obok Yan-Tao, obiecując sobie, że już nigdy nie spuści syna z oczu. Już nigdy nie zostawi go samego.

Następnego wieczoru zabrała Yan-Tao ze sobą nad wodę i odtąd robiła to codziennie. Duchy wołały głośno, żądając, żeby przychodziła.

Yan-Tao siadał na głazie i słuchał, jak matka rozmawia z przodkami, jak rozmawia z Josephem. Niedługo później dołączył do niej nad brzegiem wody. Pokazała mu, jak składać ofiary duchom, żeby zapewnić im pożywienie na drogę w zaświaty. Nauczyła go szukać znaków obecności Josepha w zwierzętach, w złotych liściach pływających po powierzchni wody i w samej wodzie.

Razem wszędzie widzieli Josepha. Był w koniach, które rżały do nich cicho każdego ranka, jakby chciały pocieszyć ich pod jego nieobecność. Był we mgle, która napływała spomiędzy drzew i otulała farmę niczym kokon. Był w każdej desce i w każdym gwoździu domu, który dla nich zbudował, żeby zapewnić im ciepło i bezpieczeństwo.

Życie stało się otępiałym powtarzaniem obowiązków, posiłków i krótkich chwil poświęconych wspomnieniom. Mei Lien nie mogła spać. Kiedy zamykała oczy, czuła dojmującą pustkę w miejscu, w którym powinien być Joseph. Odczuwała jego nieobecność niemalże jak brak ręki. Zamiast walczyć z samotnością, poddawała się jej i każdego wieczoru spędzała całe godziny na wyszywaniu swojej historii dla syna i, jak sobie to teraz uświadomiła, dla męża.

Zbliżała się do końca. Idealnie by było, gdyby miała jeszcze rok na dokończenie pracy, ale obawiała się, że nie zostało jej aż tyle czasu. Brzuch bolał ją teraz bez przerwy, a rwanie i kłucie walczyły nieustannie o jej uwagę. Nie miała już ochoty na jedzenie i udawała tylko, że je, aby Yan-Tao nie pytał, dlaczego nie jest głodna.

Haft wymagał jeszcze trochę pracy, ale – póki miała siłę – pozdejnowała fragmenty jedwabiu z rami i zszyła je w odświętną szatę, w którą ubierze się kiedyś Yan-Tao. Lewy rękaw, najtrudniejszy do wykonania z powodu historii, którą postanowiła na nim przedstawić, był jedyną nieozdobioną jeszcze częścią stroju. Mimo to przyszyła go do szaty.

Mijały tygodnie. Zimny wiatr z zachodu omiatał wyspę, skuwając lodem ziemię i strumień, więc każdego wieczoru Mei Lien i Yan-Tao musieli przynosić sobie wodę na następny dzień. Pomimo wzmózonych wysiłków nie byli w stanie zebrać we dwoje całych plonów, przez co marchewki, dynie, ziemniaki, a nawet jabłka na drzewach gniły albo czerniały od mrozu. Zapasy solonego mięsa,

przechowywanego w pomieszczeniu na mleko, szybko się kurczyły.

Któregoś ranka Mei Lien wyszła nakarmić świnie i kurczaki i znalazła je wszystkie martwe w zagrodach. Ich rozlana krew zdążyła zamarznąć na zmrożonej ziemi, co świadczyło o tym, że zostały zabite poprzedniego wieczoru, zanim spadła temperatura. Mei Lien nic nie słyszała.

Rzezi dokonano w taki sposób, żeby wyglądało, jakby sprawcami były zwierzęta z ostrymi zębami i pazurami, a nie człowiek z nożem, ale kobieta zobaczyła ślady butów w zamrzniętym teraz błocie. Ślady, które prowadziły w stronę posiadłości Campbella.

Teraz, kiedy nie było już Josepha, Duncan pozwalał sobie na więcej, żeby przejąć jej ziemię. Mei Lien zaczęła cała dygotać ze strachu, ale udało jej się wejść do domu i wziąć strzelbę. Od tego czasu nie rozstawała się z nią.

Miesiąc po odejściu męża – liczyła czas nie od momentu, kiedy dowiedziała się o jego śmierci, tylko od chwili, kiedy opuścił farmę – Mei Lien doiła krowę w oborze, tępo powtarzając te same ruchy. Zimny wiatr świszczął w szparach między balami i przypominał jej, że Joseph miał zamiar uszczelnić ścianę, zanim zima przyjdzie na dobre. Będzie musiała znaleźć jakiś sposób, żeby zrobić to sama. Sięgnęła do strzyka krowy, żeby go pociągnąć, i w tym momencie uderzyła w nią fala bólu.

Cierpienie wstrząsało jej ciałem tak intensywnie i szybko, że dostała zawrotów głowy. Przed oczami zamigotały jej plamki światła, a przyływ mdłości sprawił, że skóra zaczęła lśnić od potu. Z jękiem oparła się o krowę, jednak zwierzę odsunęło się na bok, tak że Mei Lien poczuła, jak leci do przodu, ale nie mogła nic zrobić, żeby powstrzymać upadek.

Wylądowała na wiadrze na mleko, wyróciła je i osunęła się na słomę wyściełającą klepisko. Ból raz po raz rozdzierał jej ciało, a Mei Lien nie mogła zrobić nic, jak tylko próbować go przetrzymać. Gwałtownie odchyliła głowę na bok, w samą porę, żeby opróżnić żołądek. Po policzkach spływały jej łzy. Strach ogarnął jej ciało i na przemian okrywał je potem i przenikał chłodem.

Własne ciało wydało jej się obce. Jakby kierował nim jakiś diabelski dręczyciel. Jedyne, co była w stanie zrobić, to przeczekać i mieć nadzieję, że przeżyje.

Musiała przeżyć. Yan-Tao jej potrzebował. Była dla niego wszystkim.

Uczepiła się w myślach obrazu ukochanej twarzy syna, aż w końcu ustąpiły mdłości, drżenie i rwanie w brzuchu, pozostawiając ją wyczerpaną i obolałą, ale żywą.

Zostawiła mleko, żeby wsiąkło w ziemię, i zaczęła się czołgać w stronę drzwi obory, zapominając o strzelbie. W końcu dotarła do domu, gdzie Yan-Tao spał już mocno w pokoju na piętrze.

Wiedziała, że czeka ją długa noc, bo nie mogła już dłużej zaprzeczać prawdzie, którą tak długo przed sobą ukrywała. Czas zapomnieć o obronie ziemi przed Campbellem, a nawet o zabezpieczeniu żywności na zimę. Pozostały już tylko dwie sprawy, na których musiała się teraz skupić: po pierwsze dokończyć haft, po drugie wymyślić plan, który pozwoli zapewnić Yan-Tao bezpieczeństwo. Już niedługo zostanie zmuszona do tego, czego obiecała sobie nigdy nie robić – będzie musiała zostawić swoje dziecko samo.

Mei Lien umierała.

*

Rano miała gotowy plan.

Jej pierwszą myślą było spakowanie tylu rzeczy, ile uda się załadować na wóz, i złapanie pierwszej barki płynącej do Victorii, Whatcom czy Port Townsend, gdzie znajdzie chińską rodzinę, która zgodzi się zaadoptować Yan-Tao.

Poszła do stajni, żeby zaprząć konia do wozu, przyprowadzić go przed dom i zacząć pakować rzeczy.

Zdołała dojść zaledwie do boksu konia, kiedy uświadomiła sobie, że jej plan jest skazany na niepowodzenie. Nie była w stanie się wyprostować, a co dopiero dać sobie radę z koniem ciągnącym

ciężki wóz. Jeśli w ogóle udałoby jej się go załadować, co było wątpliwe.

Płacząc z bólu i frustracji, wróciła do domu, skuliła się na sofie, wpatrzyła w tańczące cienie, które rzucała na ścianę jej lampka, i pomyślała o swoich ograniczonych możliwościach.

Musiała działać natychmiast. Nie mogła skazać Yan-Tao na to, że niedługo znajdzie martwe ciało matki. Byłby wtedy zmuszony do radzenia sobie samemu na świecie, zmuszony do obrony przed machinacjami Campbella. Nie miała ani cienia wątpliwości, co zrobiłby Campbell, kiedy tylko rozeszłaby się wiadomość, że ona nie żyje. Od razu by tu przyszedł, zażądałby ziemi dla siebie i pozbyłby się jedyne żyjącego członka rodziny, która kiedyś tu mieszkała. Kiedy teraz o tym pomyślała, zaskoczyło ją, że do tej pory nie pozbył się jeszcze ich obydwojga i nie zajął posiadłości.

Prędzej sama zabrałaby Yan-Tao w zaświaty, niż zostawiłaby go w rękach Campbella.

I wtedy dotarło do niej, co powinna zrobić.

Gdy tylko światło poranka zaczęło przenikać do pokoju, zmusiła się do wstania i poczłapała do kuchni. Ponieważ wieczorem nie rozebrała się przed pójściem do łóżka, nie musiała teraz siłować się z ubraniami.

– Yan-Tao, czas wstawać! – zawołała w górę schodów. Tak szybko, jak pozwalało jej na to wycieńczone ciało, przygotowała dla syna śniadanie składające się z ryżu, który został z kolacji, zmieszanego z pokrojonym jabłkiem. Gdyby Joseph dotarł z Port Townsend do domu, miałyby jeszcze cynamon do posypania, ale zastąpiła go łyżką cukru. – Yan-Tao! – zawołała jeszcze raz.

Zszedł ciężko po schodach, trąc oczy piąstkami.

– *Nǐ hǎo*, mamó.

– *Nǐ hǎo*, *hǔzǐ*. – Kiedy siadał na krześle, Mei Lien przyjrzała się jego twarzy i zobaczyła, że jest spuchnięta, jego oczy przekrwione, a zaschnięte w kącikach łzy zostawiły ślady aż do linii włosów. Niewidzialna pięść, która zazwyczaj chwyciła ją za brzuch, teraz ścisnęła za pierś, tak że do jej oczu też napłynęły łzy.

– Myślałeś o ojcu? – zapytała łagodnie, choć znała odpowiedź.

Pokiwał głową, ale nie podniósł wzroku znad swojego ryżu.

– Ja też o nim myślę. Tęsknię za nim. – Niewidzialna pięść wspięła się na wysokość jej gardła i zdusiła słowa. Przełknęła ślinę, ale ucisk się nie zmniejszył. Zacisnęła oczy.

– Chciałbym, żeby wrócił do domu.

Mei Lien otworzyła oczy i spojrzała na syna. Był idealnym połączeniem jej samej i Josepha: miał krótkie, czarne włosy, mocną szczękę i okrągłe policzki. Już tylko jego twarz zachowała tę dziecięcą krągłość, niedługo z dziecka wyrośnie na wysokiego, szczupłego pół chłopca, pół mężczyznę. Ale ona już tego nie zobaczy. Nigdy się nie dowie, jakim mężczyzną się stał.

Poczuła w gardle wzbierające mdłości. Przełknęła ostrożnie ślinę i zaczęła oddychać powoli i głęboko, żeby je powstrzymać, ale mimo to jej żołądek się zbuntował i nie pozostawił jej wyboru – musiała podbiec do zlewu i zwymiotować żółcią, bo nic innego nie miała w brzuchu.

– Jesteś chora, mamó?

Mei Lien zamknęła oczy i oparła się czołem o brzeg zlewu. Do tej pory udawało jej się ukrywać przed synem najgorsze objawy choroby.

– Tak, jestem – odpowiedziała w końcu, nie poruszając się.

– Połóż się. Zajmę się tobą. – Usłyszała zgrzyt krzesła i wiedziała, że zaraz do niej podejdzie, gotowy wziąć na siebie obowiązki pana domu.

Gdyby tylko było to takie proste.

Pomimo drżenia, jakie odczuwała w całym ciele, wyprostowała się i odwróciła przodem do niego. Stał obok z podniesioną brodą i wyprostowanymi plecami, z zamiarem wzięcia na swoje ramiona ciężaru, którego nie powinien nosić w tak młodym wieku. Tylko jego oczy zdradzały strach.

„Przestań o tym myśleć – skarciła samą siebie. – Musisz pomóc mu być silnym, bo inaczej nie przeżyje”.

Teraz ona ściągnęła łopatki, uniosła podbródek i zmusiła się do uśmiechu.

– Dziękuję, że chcesz się mną zająć, ale obawiam się, że to, co mi dolega, nie przejdzie od odpoczynku. – Ujęła jego słodką twarzyczkę w dłonie i popatrzyła mu w oczy, próbując wyryć w jego duszy miłość, jaką do niego czuła, żeby poprowadziła go przez wszystko, co miało nadejść. – Yan-Tao, ja umieram. Przykro mi.

Potrząsnął głową, nie dowierzając jej słowom.

Ona pokiwała swoją.

– Taka jest prawda.

Jego twarz skurczyła się w jej dłoniach i chłopiec padł jej w ramiona, a czołem uderzył ją boleśnie w pierś. Na szczęście Mei Lien oparła się plecami o zlew i nie upadła. Otoczyła go ramionami i poddała się szlochowi, który znowu ścisnął ją za gardło.

Osunęli się razem na podłogę i płakali nad niesprawiedliwością swojego życia. Nad Josephem, który powinien być teraz z nimi. Nad dzieciństwem Yan-Tao, które właśnie się skończyło. Niezależnie od tego, co się stanie, chłopiec będzie teraz zmuszony, żeby dorosnąć. I będzie z tym zupełnie sam.

Mei Lien płakała nad swoim dzieckiem, które potrzebowało matki i ojca, a w ciągu paru miesięcy traciło ich oboje.

Płakała nad sobą i nad wszystkimi, którzy zostali siłą wyrwani z jej życia.

Po długim czasie poczuła, jak jej łzy wysychają, i zobaczyła, że Yan-Tao też przestał płakać. Zostali tam, gdzie byli, matka i syn, przytuleni do siebie w jednej z ostatnich takich chwil, i tylko oddychali sobą nawzajem. Jego zapach – chłopięca woń potu i świeżego powietrza – wypełniał ją, rozdzierał jej serce i jednocześnie dodawał sił.

– Kocham cię, Yan-Tao – powiedziała do czubka jego głowy i pomyślała o tych wszystkich momentach, kiedy powinna była mu to powiedzieć, i o tym, że nigdy nie powiedziała tego Josephowi. – Choćby nie wiem, co się stało, zawsze pamiętaj, że cię kocham.

– Ja też cię kocham, mamó – wymamrotał w jej pierś.

Uścisnęła go jeszcze raz i odsunęła od siebie.

– Teraz mamy ważne zadanie do wykonania i nie uda mi się to bez ciebie. Weź swój płaszcz i poczekaj na mnie na zewnątrz.

Otarł oczy i spojrzał na nią z niepewnością. Potem skinął głową, szybko się odsunął i podniósł, żeby zrobić to, o co go prosiła. Wiedziała, że w tym momencie stracił wszystko, co jeszcze miał w sobie z małego chłopca.

*

– Szyśćset. Nic ponad to. – Campbell pociągnął nosem i splunął na ziemię, nie spuszczając jej z oczu.

Mei Lien trzymała Yan-Tao mocno za rękę, czerpiąc siły z jego dotyku. Stali na podwórku przed domem Campbella, który był jeszcze mniejszy niż chata, w której mieszkał Joseph, kiedy go poznała. Pole i maleńki sad, przez które przeszli, żeby się tu dostać, były ograniczone wystającymi skałami i gęstym lasem, który rósł na niemalże pionowym zboczu góry. Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata Campbell tak bardzo pragnął ziemi Josepha.

Teraz miał ją dostać razem z budynkami, dobytkiem, zatoką, ze wszystkim.

Potrząsnęła głową.

– Panie Campbell, oboje wiemy, że moja farma jest warta o wiele więcej, i oboje wiemy, że znajdę

nabywcę, jak tylko ogłoszę, że chcę ją sprzedać. Czy naprawdę chce pan, żeby ktoś inny kupił to, co miał pan na oku przez te wszystkie lata?

Cały czas starała się trzymać uniesiony podbródek i wyprostowane plecy, żeby nie zobaczył w niej ani śladu słabości. Gdyby wiedział, jak bardzo jest chora, zdałby sobie sprawę, że nie miała szans znaleźć innego nabywcy. Musiała sprzedać ziemię natychmiast.

Campbell zmierzył ich wzrokiem, a jego usta wykrzywiły się z niesmakiem, ale Mei Lien nie spuściła oczu. Mężczyzna spojrział przez ramię na swoją chatę, a potem na grządkę z ziemniakami, a ona wiedziała, że myśli o tym, jak bardzo chce jej ziemi. Nie odezwała się, czekała, aż on przerwie milczenie.

Zrobił to z ciężkim westchnieniem.

– Dobrze. Zapłacę dziwińćset za wszystko.

Pokiwała głową, ale jeszcze nie skończyła.

– Do piątku przyniesie pan pieniądze i pozwoli pan mi i mojemu synowi mieszkać tam do końca roku, czyli jeszcze przez dziewięć tygodni. Zgoda?

Jego oczy się zwęziły, a on zrobił krok naprzód.

– Lepiej, żeby pierwszego stycznia już was tam nie było, bo inaczej wyrzucę was ze swojej ziemi.

Nie cofnęła się nawet w obliczu jego agresji.

– Niech się pan nie martwi, do tego czasu zdążymy odejść.

– W takim razie zgoda.

Wyciągnęła rękę, tak jak wiele razy widziała, że robili to jej ojciec i Joseph przy ubijaniu interesów. Campbell spojrział na nią z uniesionymi brwiami, uśmiechnął się pod nosem i odwrócił.

– Przyjadę, kiedy tylko zbiorę pieniądze – powiedział, po czym zniknął w zacienionej chacie, odprawiając ich tak, jakby w ogóle ich tu nie było.

Mei Lien ścisnęła dłoń Yan-Tao.

– Czas wracać.

Ruszyli razem w długą drogę do domu – każdy krok wydawał się Mei Lien bolesny i wyczerpujący, ale konieczny.

Za pięć dni dostanie pieniądze, których potrzebuje Yan-Tao, żeby zacząć nowe życie. Odhaczyła w myślach pierwszy punkt swojego planu. Nadszedł czas, żeby zająć się kolejnym.

Rozdział dwudziesty piąty

Piątek, 9 listopada 1894

Farma McElroyów, wyspa Orcas

Mei Lien usłyszała, że jej szwagierka nadjeżdża, na długo zanim ją zobaczyła. Zwiastowały to podekscytowane okrzyki Yan-Tao, szczekanie psa, skargi Elizabeth.

Od jakiegoś czasu leżała całymi dniami na sofie w salonie, sypiała, kiedy pozwalał jej na to ból, i pomagała Yan-Tao w obowiązkach domowych, również kiedy pozwalał jej na to ból, czyli nie za często. Pozostałe momenty dnia i nocy spędzała na haftowaniu. Ból bólem, siły siłami, ale musiała przecież skończyć szatę. Poprzedniej nocy, na długo po tym, jak Yan-Tao zasnął, przyszyła do niej ostatni rękaw. Nadal wymagał trochę pracy, ale wiedziała, że nie może już dłużej z tym czekać.

Gasła bardzo szybko. Jej ciało wyniszczało się samo od wewnątrz. Miała tę świadomość, ale nie chciała się nad tym zatrzymywać. Ani nad pożegnaniami z synem. Robiła co w jej mocy, żeby przedłużyć chwile spędzane z Yan-Tao, jednak przyjazd Elizabeth oznaczał koniec odsuwania w czasie tego, co musiało się stać.

– Mama leży w domu. – Doszedł ją z podwórka głos Yan-Tao, który udzielał gościowi informacji. – Jest chora. – To ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z taką żałością, że Mei Lien musiała rozmasować ból, jaki wywołało w jej piersi.

– A gdzie jest twój ojciec? Spodziewałam się, że zobaczę go w porcie. – Krytyczny głos Elizabeth rozbrzmiewał teraz głośniejsze, co uprzedziło Mei Lien, że wchodzi na ganek i za chwilę znajdą się w środku. Uniosła się na drżących rękach, a kościstymi palcami przeczesła włosy, które opadały jej luźno na ramiona.

Powinna była się wykąpać przed przyjazdem Elizabeth.

– Nie słyszała ciocia o ojcu? – zapytał Yan-Tao, po czym otworzył drzwi i wszedł do środka przed ciotką. – Ojciec...

– Yan-Tao – przerwała mu Mei Lien. – Idź zaparzyć nam herbaty i przynieś te ciastka, które upiekłe... upiekliśmy. – Wstyd jej było przyznać się przed Elizabeth, że jej siedmioletni syn wszystko za nią gotuje i piecze.

– Mój Boże, May, jak ty wyglądasz. – Elizabeth zatrzymała się w płaszczu i rękawiczkach przy drzwiach i z lekko wydętą wargą ogarnęła spojrzeniem żonę brata i cały pokój. – I co to za okropny zapach?

– Zapach? – Mei Lien nic nie czuła.

Elizabeth pokręciła głową i przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć, że jej szwagierka jest idiotką. Potem podeszła szybko do okna i otworzyła je na oścież, wpuszczając do środka chłodny, listopadowy wiatr, który zaczął kąsać wrażliwe ciało Mei Lien.

Zamiast dać upust skardze, jaką miała na końcu języka, Mei Lien naciągnęła na ramiona koc, który wcześniej z siebie zrzuciła.

– Dziękuję, że przyjechałaś.

Elizabeth posłała jej uszczypliwe spojrzenie i usadowiła się na brzegu krzesła po drugiej stronie

pokoju.

– Napisałaś w telegramie, że to pilne, chociaż nie potrafię sobie wyobrazić niczego wystarczająco pilnego, żebym musiała zostawiać moje dziewczynki pod opieką gosposi i podróżować w tak okropnej pogodzie.

Mei Lien już zaczynała przewracać oczami, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Córki Elizabeth miały po siedemnaście lat i przez te kilka dni świetnie sobie poradzą z dbaniem o siebie i o ojca. Elizabeth sama chwaliła się w swoim ostatnim liście, że jedna z nich, Priscilla, jeśli pamięć Mei Lien jej nie myliła, miała niedługo wyjść za mąż.

Chora przełknęła palące uczucie, które bez przerwy próbowało dopełznąć jej do gardła.

– Potrzebuję twojej pomocy, Elizabeth.

Uniesione już brwi kobiety wystrzeliły tak wysoko, że zniknęły pod rondem jej czarnego kapelusza.

– Zdążyłam zauważyć. Gdzie jest Joseph?

Mei Lien musiała odwrócić wzrok, żeby zebrać siły na to, co miała teraz powiedzieć. W pierwszym miesiącu po śmierci męża była tak oszołomiona, że nie pomyślała o powiadomieniu Elizabeth. A potem, kiedy uświadomiła sobie, jak mało czasu zostało jej samej, doszła do wniosku, że informację tę najlepiej będzie wykorzystać do zrealizowania jej planu wobec Yan-Tao.

Gdyby Elizabeth wiedziała wcześniej, że jej brat nie żyje, na pewno by nie przyjechała.

– Bardzo mi przykro, że muszę ci o tym powiedzieć – zaczęła Mei Lien, z całych sił starając się trzymać prosto, bo za chwilę miało nastąpić parę najważniejszych w jej życiu minut. – Joseph nie żyje. W zeszłym miesiącu zaginął w cieśninie podczas sztormu.

Elizabeth zakryła usta rękami i potrząsnęła głową z niedowierzaniem, a jej oczy się rozszerzyły.

– Zawiadomiłabym cię wcześniej, ale byliśmy pogrążeni w tak wielkiej żałobie, że... – Pozwoliła, żeby słowa jej uciekły, bo wiedziała, że żadne z nich nie odda tego, co naprawdę czuje.

– Proszę, mamó, twoja herbata – oznajmił Yan-Tao, stawiając tacę na stoliku, który podsunął bliżej usadowionej na sofie Mei Lien. Zanim zdążyła go o to poprosić, napełnił jej filiżankę i postawił w zasięgu jej ręki. Potem zwrócił się do ciotki: – Z czym podać cioci herbatę?

Zdawała się go nie słyszeć, więc Yan-Tao powtórzył pytanie. Elizabeth zamrugała kilka razy, po czym opuściła drżące ręce na kolana.

– Z mlekiem i z cukrem. Dziękuję, Kenneth.

Yan-Tao pokiwał głową, przyzwyczajony do tego, że ciotka nazywa go jego „białym” imieniem. Wsypał jej do herbaty resztkę cukru, jaka im została, i dolał mleka, które tego ranka przyniósł od krowy. Mei Lien uśmiechnęła się do syna, dając mu do zrozumienia, że jest z niego dumna. Gdyby nie jego wysiłki, nie miałoby mleka. Ani herbaty. Ani w ogóle nic do jedzenia.

Kiedy obsłużył ciotkę, Mei Lien wyciągnęła do niego rękę, a gdy ją chwycił, zamknęła oczy i rozkoszowała się przez chwilę tym prostym gestem.

– Dziękuję, Yan-Tao. Zajmij się teraz swoimi obowiązkami na zewnątrz, a ja porozmawiam z Elizabeth.

Jego mała ręka zadrżała w jej dłoni, oznajmiając, że dokładnie wie, o czym będą rozmawiać. Trzeba mu jednak oddać, że kiwnął tylko dzielnie głową, przeprosił i wyszedł z domu. Mei Lien patrzyła na wychodzącego syna i poczuła, jak na usta cisną jej się słowa, którymi miała ochotę przywołać go z powrotem, ale nie pozwoliła im się wydostać.

Kiedy zniknął za drzwiami, skupiła całą swoją uwagę na herbacie, usiłując powstrzymać brzęczenie filiżanki o spodeczek, kiedy podnosiła ją do ust. Ponad jej brzegiem zobaczyła, że Elizabeth na nią patrzy. W jej oczach dostrzegła wszystkie pytania, których się spodziewała. Już czas.

Drżącymi rękami odstawiła herbatę na miejsce, tak że na spodeczek wylało się tylko parę kropel.

– Elizabeth, kiedy prosiłam cię, żebyś przyjechała, chciałam powiedzieć ci nie tylko o twoim

bracie, ale też o tym, że ja sama umieram.

Szwagierka pokiwała głową, tak jakby przez cały czas o tym wiedziała. W tym momencie Mei Lien uświadomiła sobie, jak strasznie musi wyglądać. Wygładziła zmarszczkę na spódnicy i przeszła do rzeczy.

– Jako że jesteś jedyną żyjącą krewną Yan-Tao, chciałabym cię prosić, żebyś zabrała go ze sobą, kiedy będziesz wyjeżdżać.

Filizanka Elizabeth brzęknęła o spodeczek, kiedy kobieta odstawiła ją na stolik.

– Słucham?

– Proszę, żebyś zabrała Yan-Tao i zapewniła mu dom do chwili, kiedy dorośnie.

– Nie mogę tego zrobić! – Elizabeth skoczyła na równe nogi, podeszła do okna, zatrzęsnęła je, po czym obróciła się w stronę Mei Lien, wykręcając ręce na wysokości talii. – Przykro mi, May, ale wiesz, że mój mąż za nic nie wpuściłby go do naszego domu.

– Elizabeth, to jest dziecko twojego brata – przypomniała jej, że wszystkich sił starając się nie okazywać swojego gniewu, ale nie do końca jej się to udawało.

– Nie, to nie jest rozwiązanie – ciągnęła Elizabeth, tak jakby Mei Lien w ogóle się nie odezwała. Zaczęła chodzić po pokoju ze spuszczoną głową. – Musi być jakiś inny sposób.

– Yan-Tao jest niezwykle pracowity. Będzie bardzo pomocny w domu albo w stoczni twojego męża. Może zarobić na swoje utrzymanie. Poza tym dam ci środki na pokrycie kosztów opieki.

Na te słowa Elizabeth podniosła gwałtownie głowę.

– Jak duże środki?

– Pięćset dolarów – odpowiedziała, odejmując to, co zapłaciła za telegram i za niewielkie zakupy spożywcze w mieście, a także kwotę, którą chciała dać bezpośrednio Yan-Tao. – Sprzedałam farmę sąsiadowi.

Mei Lien nie była w stanie powstrzymać napięcia, jakie pojawiło się w jej ciele na myśl o Campbellu i o tym, jak zapukał do jej drzwi dokładnie pięć dni po zawarciu umowy. Bez słowa, z typową dla siebie arogancją, wręczył jej pieniądze i plik dokumentów. Wystarczyło, że rzuciła na nie okiem, a potwierdziły się jej obawy – chciał, żeby podpisała przekazanie własności. Tego dnia pozwoliła mu dostrzec swoją chorobę i zdołała się go pozbyć bez podpisywania czegokolwiek. Nie wiedziała, czy się to uda, ale miała nadzieję, że jeśli nie podpisze żadnych dokumentów, sprzedaż będzie budziła wątpliwości prawne, dzięki czemu Yan-Tao będzie mógł domagać się kiedyś zwrotu posiadłości, jeśli tylko tego zechce. Zdawała sobie sprawę, że jej taktyka jest pokrętna, ale nie dbała o to. Robiła tylko co w jej mocy, żeby zabezpieczyć przyszłość syna, a i tak nie było tego wiele.

– Przyznaję, że pieniądze byłyby pomocne – powiedziała Elizabeth i opadła z powrotem na krzesło, cały czas wykręcając sobie dłonie w rękawiczkach – ale nie sądzę, żeby Kenneth był z nami szczęśliwy. On... nie jest taki jak my.

Mei Lien poczuła tak silny przyptyw gniewu, że musiała zrzucić z siebie koc.

„Nie – powiedziała do siebie samej, w porę odzyskując panowanie nad złością. – Nie mogę tego zepsuć. To jedyna szansa dla Yan-Tao”.

Jej brzuch przeszył tak gwałtowny ból, że zwinęła się w kłębek na sofie. Nie zwracając uwagi na przerażenie, jakie pojawiło się na twarzy Elizabeth, ze względu na syna spokojnym głosem przekonywała ją dalej.

– Jedyne, o co proszę, to żebyś zapewniła mu bezpieczeństwo, wyżywienie i ubranie do czasu, kiedy osiągnie pełnoletniość. Elizabeth, proszę. Przez pamięć dla Josepha.

Na wspomnienie o bracie i o jego śmierci Elizabeth osłabła na krześle. Zniknęła sztywno wykrochmalona suknia, ściągnięte łopatki, zadarty nos. Po raz pierwszy Mei Lien zobaczyła ją od strony, która świadczyła o tym, że była kimś więcej niż tylko surową, skorą do osądów bigotką. Była też siostrą,

która straciła brata i która cierpiała.

– Chciałabym, żebyś przejrzała rzeczy Josepha – powiedziała Mei Lien, kiedy Elizabeth ocierała oczy chusteczką wyciągniętą z kieszeni spódnicy. – Weź, co tylko chcesz.

– Dziękuję. – szwagierka pociągnęła nosem i wstała, nadal ukrywając twarz za chusteczką. – Chciałabym zostać sama. Gdzie mam spać?

– W sypialni mojej i Josepha. Nie daję już rady wchodzić po schodach.

Elizabeth kiwnęła głową i już miała się odwrócić, ale Mei Lien odezwała się szybko, zanim tamta zdążyła się ruszyć.

– A co z Yan-Tao? Weźmiesz go?

Elizabeth opuściła rękę, którą zasłaniała zaczerwienioną twarz, a Mei Lien zobaczyła, że smutek wyłobił wokół jej ust nowe zmarszczki.

– Och, May... – westchnęła głośno, unikając jej wzroku. – Daj mi się nad tym zastanowić.

Mei Lien patrzyła, jak szwagierka znika w kuchni, a potem słuchała jej ciężkich kroków na schodach, zaciskając przez cały czas drżące ręce, żeby nie rzucić czymś o ścianę. To, co powiedziała Elizabeth, zabrzmiało tak, jakby miała odmówić, a tym samym przyczynić się do pewnej śmierci Yan-Tao. Kiedy zabraknie matki, nie będzie miał nikogo. Nie będzie miał domu.

Mei Lien wiedziała, co zrobi Campbell, jeśli dowie się, że Yan-Tao mieszka tu po umówionym terminie.

Nagle poczuła się, jakby ktoś obdzierał jej ciało ze skóry. Chwyciła poduszkę, przycisnęła ją do piersi i skuliła się wokół niej. Ból nie chciał ustąpić.

Świadoma, że Elizabeth znajduje się tuż nad nią, zatopiła twarz w poduszce i jęknęła.

Siostra Josepha była jej jedynym planem dla Yan-Tao. Poza nią nie miała nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować.

Herbata zwarzyła jej się w żołądku i wystrzeliła w górę. Mei Lien odrzuciła poduszkę, upadła na kolana na podłogę, ponad wiecznie obecny kubek, i wymiotowała, dopóki nic już w niej nie zostało.

Zbyt wyczerpana, żeby przejmować się tym, co sobie pomyśli Elizabeth, kiedy zejdzie na dół, skuliła się na podłodze.

Zasnęła, próbując wymyślić jakiś sposób na ocalenie przyszłości Yan-Tao, na uratowanie mu życia.

*

– Wypij to, May. To ci pomoże.

Mei Lien poczuła przy ustach kubek, a po brodzie coś jej pociekło. Jakiś głos nie przestawał do niej mówić i wyciągać jej ze snu, w którym płynęła razem z Josephem jego łodzią. Mąż właśnie mówił jej coś ważnego, a ten irytujący głos ciągle ją rozpraszał.

– May, musisz się obudzić. Obudź się!

Kobieta wydała z siebie jęk sprzeciwu, ale właścicielka głosu uderzyła ją w oba policzki, co sprawiło, że do oczu gwałtownie napłynęły jej łzy. Zamrugła i podniosła powieki.

Elizabeth objęła ją ramieniem, żeby ją podtrzymać. Mei Lien leżała z powrotem na sofie, zawinięta w koc. Okno ponad nią było ciemne, co oznaczało, że nastąpiła już noc. Przespała cały dzień. Straciła czas, który mogła przeznaczyć na pracę nad haftem albo na przytulanie małego ciała Yan-Tao, zanim będzie już za późno.

– Yan-Tao? – Uniosła się z wysiłkiem, chcąc usiąść prosto.

– Śpi. Jest środek nocy. – Elizabeth sięgnęła po coś ze stołu i wróciła do niej z kubkiem wody. – Masz, napij się tego. Kaszlałaś przez sen. Potrzebujesz wody.

Kubek dotknął jej ust i Mei Lien wypła mały łyk. Kiedy woda dotarła do jej wrażliwego żołądka,

kobieta zakrzuszyła się i odwróciła głowę.

– Wystarczy.

Elizabeth odstawiła kubek, po czym położyła Mei Lien z powrotem na poduszce.

– Naprawdę jesteś chora, prawda?

– Mówiłam ci przecież.

Usta Elizabeth ściągnęły się z niezadowolenia, ale Mei Lien nie żałowała swojego karcącego tonu. Szwagierka odmówiła zapewnienia bezpieczeństwa jej synowi. Nie musiała już być uprzejma.

– Idź do łóżka. Nie potrzebuję, żebyś mnie niańczyła.

Elizabeth wyprostowała plecy, po czym odeszła do kuchni. Mei Lien usłyszała brzęk naczyń i garnków, ale zignorowała to. Miała teraz ważniejsze zajęcie.

Poruszając się powoli, bo szybkie ruchy zbyt ją męczyły, usiadła na skraju sofy, gdzie czekała na nią rama hafciarska z szatą. Ostrożnie zdjęła ochronny materiał i odsłoniła jedwab razem z wzorami, które wyszywała na nim pieczołowicie przez ostatnich siedem lat.

Chwyciła igłę między kciuk i palec wskazujący i już miała przebić materiał, żeby kontynuować wzór, kiedy jej uwagę przykuł inny fragment stroju. Delikatnie odłożyła igłę i przesunęła szatę, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Na części piersiowej, zaledwie parę centymetrów od rękawa, nad którym teraz pracowała, znajdował się fragment, gdzie wyhaftowała swoje życie z Josephem.

Po raz pierwszy spojrzała na szatę tak, jakby była ona dziełem jakiejś innej kobiety. Tło stanowił niebieski jedwab, na którym pracowała, ale wyszyła na nim tak wiele wzorów w tak różnych kolorach, że błękit nie był prawie nigdzie widoczny.

Babka na pewno nie rozpoznałaby ręki, która stworzyła ten haft. Kiedy jeszcze pracowały razem, Mei Lien robiła małe, idealnie równe ściegi, tak jak została nauczona. Ale na przestrzeni lat oddaliła się od tego, czego się kiedyś nauczyła, i straciła dyscyplinę pracy. W miejscu, w którym przedstawiła swój dom, ściegi były małe, ciasne i równe, tak jak trzeba, co umożliwiała dostrzeżenie struktury drewna na słupach ganku. Ale tam, gdzie za domem rósł las, ściegi nie odpowiadały już konwencji. Obok małych i prostych pojawiały się dwa razy dłuższe, które odchodziły od innych pod kątem. Wydawały się luźne, poplątane, wymykające się kontroli. Obrażliwe.

Mei Lien zamknęła oczy, żeby tego nie widzieć. Nie miała czasu na poprawianie swojej pracy. Nie miała czasu na naprawianie błędów i jednocześnie na dokończenie historii, zanim siły opuszczą ją całkowicie.

A niedokończenie nie wchodziło w grę. Planowała już teraz mieć skończoną szatę, żeby Yan-Tao mógł zabrać ją ze sobą, ale jej się nie udało. Nie był to jednak problem, bo tę część swoich działań też obmyśliła.

Jej plan był precyzyjny. Nie było w nim miejsca na błędy, a jak dotąd pojawiły się już dwa: odmowa Elizabeth i jej haniebna praca.

Powinna dać za wygraną. W tym momencie. Powinna zawinąć szatę i wrzucić ją na dno zatoki, bo nie nadawała się dla ludzkich oczu. Dla żadnych oczu, a już na pewno nie dla oczu jej syna. To miał być dar dla niego, jedyna nić łącząca go z przeszłością rodziny i z historią jego przyjścia na świat. Ta haftowana szata, którą zgodnie z zamysłem jej syn miał włożyć w dniu swojego ślubu, była mapą prowadzącą do jego korzeni i do odpowiedzi na pytania, jakie może sobie kiedyś zadać.

Ale Mei Lien zawiodła.

– Och, jakie ładne.

Kobieta gwałtownie podniosła głowę i otworzyła oczy. Elizabeth stała nad nią i wycierała ręce w ścierkę kuchenną, przyglądając się przy tym uważnie świadectwu jej porażki.

Mei Lien natychmiast sięgnęła po materiał ochronny, żeby zasłonić szatę przed jej wzrokiem.

– Nie, zaczekaj. Co to jest? Czy to Joseph?

Mei Lien opuściła materiał z powrotem, a jednocześnie pomyślała, jak bardzo znosi tego, że zawsze czuje się wobec swojej szwagierki jak służąca. Nie znosiła w sobie tego, że nawet teraz usłuchała Elizabeth.

– Tak, to on, trzyma małego Yan-Tao. Zobaczyłam ich tak któregoś dnia na polu w lecie, po tym, jak Yan-Tao się urodził. Wyglądało, jakby Joseph pokazywał synowi całe gospodarstwo, żeby mały wiedział, gdzie wylądowała jego dusza.

– Joseph wygląda na szczęśliwego.

Mei Lien ponownie spróbowała zakryć szatę.

– Skąd wiesz? To tylko haft.

Elizabeth złapała materiał ochronny i powstrzymała ją przed naciągnięciem go na szatę i zasłonięciem haftu.

– Nie widzisz tego, prawda?

Mei Lien opuściła ręce na kolana w geście poddania się.

– Czego nie widzę?

Zamiast odpowiedzieć, Elizabeth, nie zwracając uwagi na protesty Mei Lien, zdjęła szatę z ramy, zniosła ją na drugą stronę pokoju i podniosła.

– Teraz popatrz – rozkazała. – Widzisz?

Zamiast spojrzeć na swoją żenującą pracę, Mei Lien wbiła wzrok w szwagierkę.

– Uważaj z tym.

Elizabeth podniosła szatę wyżej.

– May, spójrz na Josepha. To wygląda prawie jak zdjęcie, tylko w kolorze. Nie miałam pojęcia, że potrafisz robić takie rzeczy.

Mei Lien spojrzała i poczuła, jak serce w niej zamiera. Z tej odległości Joseph wyglądał jak żywy i uśmiechał się do niej. Trzymał swojego nowo narodzonego syna, a z jego twarzy biły radość i duma. Oczy Mei Lien zasnuły się łzami i musiała je zamknąć, żeby nie patrzeć na obraz męża.

Woda nie powinna była go zabierać. Powinien być tu, razem z ich synem, i pomagać Mei Lien w walce z tym, co ją zabijało. Powinien być tutaj i obejmować mocno ich oboje.

Ale nie było go, a niedługo nie będzie także i jej.

– Elizabeth, proszę – zaczęła ją błagać z zamkniętymi nadal oczami. – Proszę, weź ze sobą Yan-Tao, kiedy będziesz wyjeżdżać. Nie mam siły szukać kogo innego. Zrób to przez wzgląd na brata, który bardzo kochał swojego syna. Proszę.

Cisza. Cisza tak bardzo się przedłużała, że Mei Lien była pewna, że Elizabeth wyszła z pokoju. Kiedy otworzyła oczy, żeby się upewnić, zobaczyła, że jej szwagierka stoi przy ramie hafciarskiej ze wzrokiem utkwionym w twarz swojego brata na szacie.

– Wezmę go – wyszeptwała. Potem, zanim Mei Lien zdążyła zareagować, obróciła się twarzą do niej. – Wezmę go – powtórzyła głośniej. – Ale nie pozwolę, żeby ludzie dowiedzieli się, że jest z nami spokrewniony. Nie wyobrażasz sobie, co zrobiłby mój mąż, gdyby... – nie dokończyła zdania.

– Dziękuję, Elizabeth. – Do oczu znowu napłynęły jej łzy. – Zadbam o to, żeby był gotowy do wyjazdu, kiedy tylko będziesz chciała.

Elizabeth nie okazywała żadnych emocji. Kiwnęła tylko głową i wyszła pospiesznie z pokoju.

– Wyjeżdżamy rano – powiedziała przez ramię, jeszcze zanim weszła do kuchni.

Mei Lien poczuła, jak otwiera się pod nią przepaść. To jest jej ostatnia noc z synem w domu. Jutro rano nastąpi ostatni moment, kiedy będzie mogła spojrzeć na jego słodką, łagodną twarz, pocałować delikatne policzki, przytulić szczupłe ciało.

– Elizabeth – zawołała, podnosząc się z sofy.

– Co? – Z wejścia do kuchni doszedł ją rozdrażniony głos.

– Pomóż mi wejść po schodach. Chciałabym spać dzisiaj z synem.

Bruzdy wokół ust Elizabeth pogłębiły się, ale nic nie powiedziała, tylko pomogła Mei Lien wejść po ciemku po schodach.

Kiedy doszły na górę, Mei Lien była wyczerpana i drżała z wysiłku. Położyła się na łóżku obok Yan-Tao i otuliła sobą jego pogrążone we śnie ciało. Skupiła całą swoją uwagę na tym, żeby wyryć jego obraz w każdej komórce swojego ciała. Wdychała każdy jego oddech do swoich płuc. Chłopięcy zapach potu przenikał i wypełniał najciemniejsze zakątki jej duszy.

Matka nigdy nie powinna być zmuszona do żegnania się z własnym dzieckiem.

*

Poranek nadszedł zbyt szybko, a wraz z nim pospieszne pakowanie bagaży, żeby Elizabeth z Yan-Tao dojechali na czas do portu i zdążyli na jedyny statek pasażersko-towarowy, jaki odpływał tego dnia. Dla Mei Lien każda chwila, która prowadziła do rozstania z synem, była coraz bardziej bolesna. Dolna warga piekła ją i smakowała krwią w miejscu, w którym za mocno ją przygryzała.

Zbyt dużo chciała mu jeszcze powiedzieć, zbyt dużo chciała zrobić.

Brakowało jej czasu.

Leżała na jego łóżku i czuwała nad tym, jak pakował swoje rzeczy do skrzyni, którą Joseph zrobił na jej własne ubrania, kiedy byli jeszcze nowożeńcami.

„Powinieneś tu być, Josephie” – pomyślała nie po raz pierwszy tego ranka.

– Mamo, czy Mutt może jechać ze mną? – zapytał Yan-Tao, myśląc o psie, który chodził za nim krok w krok.

– To nie zależy ode mnie. Musisz zapytać Elizabeth.

Chłopiec ostrożnie włożył do skrzyni drewnianą łódkę, którą wyciął dla niego Joseph, po czym zamknął wieko z głębokim westchnieniem.

– Jesteś pewna, że muszę z nią dzisiaj jechać? Kto się tobą zajmie?

Mei Lien świadoma, że później będzie miała dużo czasu na odpoczynek, wstała z wysiłkiem i podeszła do niego.

– Synu – odezwała się, kładąc ręce na jego ramionach. – Poradzę sobie. Chciałabym, żebyś przy odjeździe zapamiętał mnie taką, jaką byłam kiedyś – pełną życia, a nie tę wyniszczoną skorupę, jaką się stałam.

Ogarnęła ją fala bólu pochodzącego nie z jej ciała, tylko z serca, a nogi zaczęły jej drżeć do tego stopnia, że musiała usiąść na brzegu łóżka. Przygarnęła chłopca do siebie i posadziła go sobie na kolanach, tak jak wtedy, kiedy był małym dzieckiem.

– Synu, żyj szczęśliwie i kochaj mocno.

Zająknęła się na tych słowach, bo usłyszała w nich echo głosu ojca, który wypowiedział je nie tak wiele lat wcześniej. Przycisnęła syna do siebie.

– Yan-Tao, obiecaj mi jedną rzecz. Obiecaj mi, że będziesz silny i szlachetny. Pracuj ciężko jak twój ojciec i szukaj wszędzie wokół siebie znaków naszej obecności. Kiedy nadejdzie mój czas, znajdę sposób, żeby być blisko ciebie.

Chłopiec zadrżał i pociągnął nosem. Mei Lien poczuła, jak w odpowiedzi w jej oczach wzbierają łzy, ale zwalczyła ogarniający ją smutek. Na wszystko przyjdzie czas.

– Szukaj mnie w liściach, w chmurach, w ptakach. Nie wiem, w jaki sposób do ciebie przyjdę, ale na pewno to zrobię. Nigdy nie będziesz sam, Yan-Tao. Nigdy.

Chłopiec wybuchnął szlochem, przekręcił się i zarzucił jej ramiona na szyję. Jego łzy popłynęły jej

po karku, a ona zamknęła oczy, żeby lepiej zapamiętać to uczucie. Głaskała go po plecach, a dłońmi wyczuwała żebra, które kiedyś pokryją się mięśniami. Ogarnęła ją fala rozpacz.

Nie. Otworzyła oczy. Nie, nie może się jeszcze poddać. Musi być dzielna ze względu na syna.

Jakiś odgłos przyciągnął jej uwagę do drzwi, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Elizabeth stoi przy wejściu i dłonią w rękawiczce zasłania sobie usta, a jej oczy wydają się zaskakująco wilgotne. Kiedy jednak zorientowała się, że Mei Lien na nią patrzy, szybko opuściła rękę i podniosła głowę.

– Już czas – powiedziała z lekkim zająknięciem. Uciekła wzrokiem w bok i zajęła się swoim kapeluszem.

Mei Lien jeszcze po raz ostatni przycisnęła syna do siebie.

– Nie zapomnij tego, czego cię nauczyłam. Nigdy nie zapomnij. Obiecasz mi to?

Pokiwał głową, kiedy odsuwała go od siebie, a jego mokrą od łez twarz wykrzywiło cierpienie.

– O... obiecuję – powiedział z urywanym oddechem, który o mało co nie doprowadził go do kolejnego ataku płaczu, ale chłopiec pozbierał się w sobie.

– Kenneth, dasz radę znieść skrzynię?

Yan-Tao spojrział przez ramię na ciotkę, a potem znowu na Mei Lien. Wiedziała, że jego myśli krążą wokół imienia, którym zwróciła się do niego Elizabeth. Poczawszy od tego dnia, nikt nie nazwie go już nigdy Yan-Tao.

Mei Lien poczuła, jak jej oddech też się urywa, ale mocno przełknęła ślinę i nie pozwoliła, żeby wyrwał jej się szloch.

– Tak – odpowiedział dzielnie Yan-Tao.

– Słucham? – zapytała Elizabeth z uniesionymi brwiami.

Chłopiec skłonił głowę.

– Tak, proszę pani. Dam radę znieść skrzynię.

„No to się zaczyna” – pomyślała Mei Lien i pożałowała, że nie ma innego wyjścia.

Yan-Tao zaczął zmagać się ze skrzynią i ciągnąć ją w dół po schodach, tak że podskakiwała na każdym stopniu i zostawiała głębokie rysy i szczyrby, a Mei Lien szła za nim, opierając się ciężko na ramieniu Elizabeth. Po kuchni biegł w kółko pies, podekscytowany całym zamieszaniem.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Mei Lien zobaczyła, że Elizabeth załadowała na wóz Josepha pudła z jego ubraniami, lusterko, którego używał do golenia, i fotel bujany, który zrobił, kiedy Mei Lien była w ciąży. Patrzyła na te wszystkie przedmioty zebrane bezładnie na wozie i każdy z nich obracała w pamięci, tak jakby go właśnie dotykała.

Ale było jej obojętne, że Elizabeth je zabiera. Już lepiej, żeby zrobiła to ona niż Campbell.

Poczuła nagłą wściekłość i uczepliła się jej, wiedząc, że doda jej ona sił na nadchodzące chwile. Lepiej płonąć z gniewu, niż tonąć we łzach.

– Czekaście! – zawołała, przypominając coś sobie. – Nie jedźcie. Jeszcze jedna rzecz.

Tak szybko, jak pozwalało jej na to osłabione ciało, pobiegła do salonu i podeszła do ramy hafciarskiej, na której leżała szata, tak, jak poprzedniego wieczoru zostawiła ją Elizabeth.

Nie zastanawiając się nad swoją decyzją, chwyciła nożyce i odcięła niedokończony rękaw, który został na ramie, a nad podłogą zawisła jego poszarpana krawędź.

Resztę wyszywanej szaty zwinęła starannie w mały pakunek, owinęła go ciasno w materiał ochronny i związała kawałkiem nici do haftowania. Kiedy się odwróciła, Yan-Tao i Elizabeth stali ramię w ramię w drzwiach do kuchni.

– To dla ciebie, Yan-Tao. To nasze wspólne dziedzictwo i najważniejsza rzecz, jaką ci kiedykolwiek dałam. Dbaj o to. – Spojrzała na Elizabeth. – Pomożesz mu to chronić?

Elizabeth pokiwała głową w milczeniu.

Mei Lien to wystarczyło. Wręczyła zawiniątko synowi.

– Chciałam dać ci całą szatę, ale nie miałam czasu na jej dokończenie. Historia, którą na niej opowiedziałam, nie jest pełna. Dokończę wyszywać rękaw i zostawię go dla ciebie w twojej sekretnej kryjówce, żeby Bok Guey go nie znalazł. Wrócisz tu po niego, kiedy dorośniesz, dobrze?

Pokiwał głową i spojrzał na nią podbiegłymi krwią oczami.

– Wiesz o mojej kryjówce?

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Jestem twoją matką. – Musiała przerwać i powoli nabrać powietrza do płuc, zanim była w stanie mówić dalej. – Kocham cię, Yan-Tao. Jeśli miałbyś zapamiętać tylko jedną rzecz, to zapamiętaj właśnie to.

– Ja też cię kocham, mamó – wyjąkał i znowu się rozpłakał.

– Musimy już jechać – burknęła Elizabeth. – Według rozkładu statek odpływa o dziesiątej. Spóźnimy się.

– Żegnaj, Yan-Tao. – Mei Lien odsunęła od siebie syna i zmusiła swoje ręce, żeby go puściły.

Chłopiec potrząsnął głową przez łzy.

– Nie, nie pojedę. Nie mogę cię zostawić.

– Musisz. Nie możesz tu zostać.

Jego twarz się skurczyła.

– Ale mamó, przecież mogę ci pomóc. Mogę sprawić, że wyzdrowiejesz. Zobaczysz!

Mei Lien poczuła w ciele bolesny skurcz i znajomą zapowiedź wzbierających mdłości. Przycisnęła dłoń do brzucha i pochyliła ramiona, żeby złagodzić ból.

– Jedyne, co możesz dla mnie zrobić, to odjechać i dać mi radość ze świadomości, że masz przed sobą przyszłość. No, jedźcie już.

– Mamó, nie! – Znowu rzucił się do niej, ale tym razem nie ustąpiła. Złapała go za ramiona i powstrzymała gwałtowny zryw.

– Nie, Yan-Tao. Nie możesz zostać. No już. – Odwróciła go delikatnie od siebie i popchnęła. – Jedźcie.

Elizabeth obróciła się na pięcie i wyszła przez tylne drzwi na podwórko, gdzie czekał na nich koń zaprzężony do wozu. Yan-Tao podążył za nią powoli z głową tak odwróconą, żeby cały czas mieć matkę w zasięgu wzroku.

– *Zài jiàn*, Yan-Tao.

– *Zài jiàn*, mamó. – Z głową spuszczoną tak nisko, że jego czarne włosy zasłaniały mu oczy, Yan-Tao powłókł się na podwórko i wspiął się na wóz obok ciotki. Pies wskoczył za nim. Elizabeth pozwoliła mu tam zostać.

Mei Lien oparła się o węgierek w drzwiach kuchennych, bo poczuła się, jakby ktoś wyrwał jej serce z piersi i rzucił je na wóz razem z resztą jej życia. Gdy patrzyła, jak jej syn przytula do siebie wyszywany jedwab i powoli poddaje się kołysaniu wozu, każdą cząstką swojego ciała pragnęła móc przywołać go z powrotem.

Ale on musiał jechać. To była jego jedyna szansa na przyszłość.

W chwili, kiedy wóz wyjeżdżał z farmy, Yan-Tao odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na matkę, i unióś dzielnie swoją małą rękę w geście pożegnania. Mei Lien też podniosła dłoń, po czym, chcąc oszczędzić im obojgu tej tortury, odwróciła się i zamknęła drzwi, żeby chłopiec nie mógł już na nią spojrzeć ani ona na niego.

Oparła się o drzwi i zamknęła oczy. Nagle przeniosła się z własnego domu na pogrążony w mroku pokład parowca. Zobaczyła samą siebie, jak siedzi na barierce, gotowa do skoku w dół, w zimną wodę.

Za nią stał jej ojciec z posiniaczoną i przekrwioną twarzą, wykrzywioną z bólu, którego przyczyną nie były wcale rany, tylko pożegnanie z córką. Mei Lien patrzyła, jak jej młodsze wcielenie wyciąga rękę do ojca i błaga go, żeby pozwolił jej zostać, ale on potrząsa głową i nakazuje swoim rysom twarzy ukryć rozpacz.

Potem uniósł ręce i zepchnął ją z barierki w skłębiony ocean.

Ze swojej obecnej perspektywy Mei Lien zobaczyła, jak całe ciało ojca zdaje się zapadać w sobie. Tylko dzięki barierce zdołał utrzymać się na nogach i patrzeć w wodę w poszukiwaniu córki.

– *Zài jiàn*, Mei Lien – wyszeptał w zimną noc.

Kobieta znalazła się z powrotem w swojej kuchni i poczuła, jak dobrze jej znana ciemna otchłań ciągnie ją w dół. Niezdolna do walki z nią, osunęła się na brudną drewnianą podłogę i wyszeptała:

– Żegnaj, ojcze. Żegnaj, mój synu.

Rozdział dwudziesty szósty

*Sobota, 18 sierpnia – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas*

— **A** my przez te wszystkie lata myśleliśmy, że nie mówił o swojej przeszłości, dlatego że był papierowym synem. – Margaret pochyliła się, żeby wziąć scone'a z talerza, który Inara postawiła na stoliku.

– Kto to jest papierowy syn? – Inara też sięgnęła po jeszcze ciepłą bułeczkę i ugryzła ją, siadając koło Daniela. Mimo że unikała go przez ostatnich kilka dni, teraz cieszyła się, że przyjechał.

Odpowiedziała jej Vera.

– Za czasów Aktu o Wykluczeniu Chińczyków do Stanów przyjmowano tylko wybranych obywateli chińskich, takich jak kupcy czy dyplomaci. Jednym ze sposobów, w jaki wielu Chińczyków obchodziło to prawo, było kupno dokumentów, które stwierdzały, że dany człowiek jest synem obywatela Stanów Zjednoczonych.

– Powiedzmy, że był sobie chiński kupiec ze statusem obywatela Stanów Zjednoczonych – weszła jej w słowo Margaret. – Taki człowiek jechał na kilka lat do Chin, a kiedy wracał, mówił urzędnikom, że w tym czasie ożenił się i miał kilkoro dzieci. W rzeczywistości sprzedawał tam tylko dokumenty, które wiele lat później, przyjeżdżając do Ameryki, nabywcy przedstawiali jako dowód, że są jego synami. Byli nimi tylko na papierze, ale i tak to działało.

Inara pokiwała głową w zamyśleniu. Zbyt wielu ludzi ciężko pracowało, żeby dostać się do tego kraju, tylko po to, żeby spotkać się później z okrutnym traktowaniem. Na samą myśl serce jej się krajało.

Zaczęła się przysłuchiwać, jak Daniel opowiada rodzinie o postępach swojego zespołu w badaniu sprawy Yan-Tao/Kena. Była prawie tak samo nie na bieżąco jak pozostałe kobiety, ponieważ od paru dni nie rozmawiała z Danielem. Tak było jej łatwiej.

Tego wieczoru miała zamiar powiedzieć Danielowi, że straciła pożyczkę od ojca. Nie powinna była go unikać, tak jak to robiła przez ostatnich parę dni, ale potrzebowała czasu na przetrwanie tego, że poniosła porażkę w tej jedynej sprawie, na której jej w życiu zależało.

Na samą myśl poczuła, jak przenika ją palący wstyd. Jej własny ojciec uważał, że nie jest w stanie wybudować i poprowadzić hotelu. Według niego nadawała się tylko do pracy w firmie o ugruntowanej pozycji, w której w razie potrzeby ktoś poprowadziłby ją za rękę. A on najwyraźniej widział taką potrzebę.

Gdyby tylko nie spędziła tylu lat na robieniu tego, czego on od niej oczekiwał, może wcześniej odkryłaby w sobie zamiłowanie do wysp i do hotelarstwa. Gdyby tylko pracowała podczas studiów i wtedy spłaciła długi studenckie, może teraz sama kwalifikowałaby się do pożyczki. Gdyby tylko... Gdyby tylko.

Teraz, kiedy był tu Daniel, tęskniła za tym, żeby mu o tym wszystkim opowiedzieć, usłyszeć jego opinię, doświadczyć jego wsparcia. Potrzebowała poczucia, że nie jest sama.

Ale to później. Kiedy jego rodziny nie będzie w pobliżu.

Przytuliła się do jego boku na kanapie, na której siedzieli razem, pod oknem w jej salonie – „nie,

w salonie Dahlii" – poprawiła się. Już nie był jej.

Poczuła, że potrzebuje punktu zaczepienia dla swoich poplątanych emocji, więc wsunęła rękę w dłoń Daniela. Spojrzał na nią, a jego twarz złagodniała w uśmiechu. Potem ścisnął jej dłoń i na nowo podjął to, o czym mówił swojej rodzinie, która zgromadziła się tu po rozpakowaniu bagaży w pokojach gościnnych na górze.

– Byłem przekonany, że Ken Chin był papierowym synem, a Yan-Tao obywatelem amerykańskim z urodzenia – powiedział Daniel – więc nie myślałem w ogóle o tym, żeby poszukać ich w księgach imigracyjnych. Ale w tym tygodniu, tak dla pewności, wysłałem swoją asystentkę do siedziby NARA, Narodowej Administracji Archiwów i Zasobów przy Sand Point Way. Tak jak przypuszczałem, nic nie znalazła.

– A co z aktem urodzenia? – Cassie siedziała w fotelu koło kominka, który dobudował do domu Duncan. Jej długie włosy były spięte w luźny kok, a nogi w designerskich jeansach wsunęła pod siebie. Sprawiała wrażenie, jakby czuła się jak we własnym domu, a Inara zastanawiała się, czy gdyby zmrużyła oczy, Cassie wyglądałaby jak Mei Lien w swojej chacie.

Daniel pokiwał głową w odpowiedzi na pytanie siostry.

– Znajduje się w rejestrach stanowych pod nazwiskiem Yan-Tao Kenneth McElroy. Nadal nie wiemy, skąd się wzięło nazwisko Chin. Mamy tylko hipotezę, że postanowił je zmienić, kiedy uciekał z sierocińca, żeby nikt nie mógł go znaleźć.

– To popularne nazwisko – odezwała się Vera ze swojego miejsca na kanapie naprzeciwko Inary. Wypiła łyk herbaty oolong, którą przyniosła w prezencie i którą Inara od razu zaparzyła i podała razem z kupionymi w sklepie scone'ami.

– Wiecie co? – powiedziała nagle Inara, patrząc na bułeczki. – Nie myślałam o tym, kiedy postanowiłam podać wam scone'y, ale ten poczęstunek łączy w sobie dwie strony waszej rodziny. McElroy był Szkotem, prawda?

Najwyraźniej żadne z Chinów nie pomyślało o swoich szkockich przodkach, bo wszyscy spojrzeli na nią z różnie okazywanym zdumieniem.

– Mei Lien powinna była wyszywać na kilcie – zażartowała Cassie.

Margaret zwróciła się do swojej teściowej.

– Dlaczego wierzyliśmy w te wszystkie opowieści, które sięgały aż do starożytnych Chin? Kto je wymyślił?

Vera zacisnęła usta, a jej wzrok uciekł za okno.

– Może opowieści ze strony żony Kena pomieszały się z jego historią. Wiecie, to była córka jednej z najbogatszych i najbardziej wpływowych chińskich rodzin w Seattle na przełomie wieków.

Wszyscy pokiwali głowami, tak jakby to wytłumaczenie miało sens, ale Inara dostrzegła, że Vera unika patrzenia im prosto w oczy. Może to ona wymyśliła te wszystkie opowieści.

– Vero – odezwała się z wahaniem, bo starsza kobieta nadal nie była do niej przyjaźnie nastawiona. – Czy mogłabyś opowiedzieć nam coś więcej o swoim teściu Kenie? Jaki on był?

Otoczone zmarszczkami oczy Very były utkwione w oknach i w drodze podjazdowej na zewnątrz, ale Inara wiedziała, że kobieta spogląda w przeszłość.

– Był człowiekiem, który wszędzie nosił ze sobą ciężar trudnej przeszłości. – Bezwiednie rozcierała sobie złożone na kolanach artretyczne dłonie. – Zapytałam go kiedyś o jego rodziców, bo miałam nadzieję, że gdzieś się potknie i przyzna, że jest papierowym synem, albo w najlepszym wypadku opowie mi o swoim dzieciństwie w Chinach. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Odwrócił się ode mnie bez słowa, ale zdążyłam jeszcze dostrzec ogarniający go smutek. Tak jakby myśl o rodzicach wywoływała w nim fizyczny ból. Mój mąż powiedział, żebym nigdy więcej nie zadawała takich pytań. I już nie zadawałam.

– Ale coś tam wiedziałam – ciągnęła, patrząc prosto na Inarę. – Fascynowała go woda, choć śmiertelnie się jej bał. Kochał fontanny, spacerował nad zatoką albo nad jeziorem, uwielbiał nawet myć ręce pod kranem, ale kategorycznie odmawiał pływania. Nikt nie wiedział dlaczego.

– Bo woda zabrała mu ojca – powiedziała cicho Inara, pochłonięta opisem Very. Przez kilka długich chwil nikt się nie odzywał.

W końcu Margaret potrząsnęła głową i szepnęła:

– Biedny chłopiec.

Teraz z kolei Inara spojrzała za okno, wędrując myślami po całej posiadłości i zastanawiając się, czy Mei Lien była gdzieś tu pogrzebana. Czy jej syn patrzył, jak ginie z ręki Duncana Campbella? Czy kiedykolwiek dowiedzą się, co się stało?

– Myślę, że lata, które spędził w tym domu, były dla niego szczęśliwe – powiedział Daniel, przerywając ciężkie milczenie. – Przez siedem lat miał i ojca, i matkę, a do tego całą tę ziemię, na której mógł się bawić.

Inara odwróciła się od okna i zobaczyła, jak Vera przytakuje z rzeczową miną, tak jakby właśnie postanowiła, że słowa Daniela są zgodne z prawdą.

Inara odchrząknęła, żeby pozbyć się ucisku, który nadal czuła w gardle, i zmusiła swój głos do swobodnego tonu.

– Co powiecie na spacer po posiadłości?

Wszystkie panie Chin skoczyły na równe nogi, jakby tylko czekały na tę propozycję.

Zaczęła od domu Dahlii i od pokazania im, gdzie znalazła rękaw. Wszyscy po kolei zajrzeli z latarką do dziury pod schodami. Cassie zapytała o zadrapania i szczyrby na każdym stopniu – niedoskonałości, które Inara odkryła dopiero niedawno, kiedy Tom zerwał ze schodów wykładzinę.

– Może pochodzą z czasów Mei Lien – zastanowiła się głośno. – To bardzo możliwe.

Potem oprowadziła ich po piętrze i wyjaśniła, że późniejsze pokolenia dodały do domu skrzydło, dzięki któremu zmienił się układ małych pokoi i powstał salon dla mieszkającej tu służby.

Potem pokazała im ogród warzywny, bo sądząc po obrazkach na szacie, z pewnością uprawiali go też kiedyś Mei Lien i Yan-Tao. Margaret spędziła sporo czasu na szperaniu wśród ziół i warzyw, które zasiała Dahlia, a Inara przywróciła niedawno do życia. Była nimi tak zachwycona, że Inara obiecała dać jej przed wyjazdem, co tylko będzie chciała.

Już miała wprowadzić swoją wycieczkę przez drzwi kuchenne do willi, ale zmieniła zdanie i zamiast tego poprowadziła gości na tyły domu i dalej do lasu. Zatrzymała się przy rozpadającej się chacie.

– Myślę, że tutaj mieszkali Joseph i Mei Lien, zanim zbudowali dom.

– Czy to tutaj urodził się Ken? – Margaret w swoich kremowych spodniach i złotej bluzce wyglądała zupełnie nie na miejscu pośród plam światła padających na dywan z jodłowego i cedrowego igliwia.

Inara potrząsnęła głową.

– Według dokumentów, które udało mi się znaleźć, dom został zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku. Ken urodził się w lecie kolejnego roku, więc można bezpiecznie stwierdzić, że przyszedł na świat już w nowym domu.

Vera stała z rękami opartymi o wąskie biodra, a wzrokiem przebiegała całe otoczenie.

– Z czego oni tu żyli? Przecież tu nie ma nic poza lasem.

– Joseph był rolnikiem – wyjaśniła Inara. – Myślę, że w miejscu, w którym stoją teraz willa i garaż, znajdowała się kiedyś stodoła McElroyów i zagrody dla zwierząt. Poza tym warzywniak był prawdopodobnie większy niż obecnie.

Wskazała ręką na wschód.

– Tereny po drugiej stronie drogi, gdzie mieszka teraz mój budowlaniec Tom, były kiedyś sadami rodziny McElroyów. Może później Tom pozwoli wam się po nich przejść, jeśli jesteście zainteresowani.

Vera pokiwała głową.

– Ja jestem.

– Chcecie zobaczyć plażę? – zapytała Inara i nagle poczuła się skrępowana. Właśnie oprowadzała tę rodzinę po posiadłości, która od ponad stu lat znajdowała się w rękach jej rodziny, a jednak miała wrażenie, że to im bardziej się ona należy niż jej. To była ziemia Mei Lien, a nie Campbellów/ Ericksonów.

A niedługo będzie należała jeszcze do kogo innego.

Ale nie powinna teraz o tym myśleć. To był dzień rodziny Chinów. Skierowała się w stronę ścieżki prowadzącej na plażę.

– Chodźcie zobaczyć zatokę. To moje ulubione miejsce na całej posiadłości.

Poszli za nią gęsiego przez las i dotarli na plażę w kształcie półksiężyca, gdzie w ciągu ostatnich dwóch dni Inara spędziła dużo czasu na rozmyślaniu.

W chwili kiedy zeszła z niewielkiej skarpy na kamienie, ogarnęło ją uczucie spokoju.

To miejsce miało w sobie coś niezwykłego. To za nim będzie najbardziej tęsknić.

Inara zamrugała, żeby odpędzić niepotrzebne myśli, odwróciła się i zobaczyła, że Margaret i Vera dostrzegły gniazdo bielika położone wysoko nad plażą i spoglądały w górę, pokazując je sobie nawzajem. Cassie przeszła się wzdłuż brzegu i rzucała teraz kamienie do wody. Daniel uśmiechnął się do Inary z pełnym wdzięczności spojrzeniem, po czym ścisnął ją za rękę.

Odwzajemniła uśmiech i przytuliła się do jego boku. Pomyślała sobie, że to właśnie była rodzina, do której powinna należeć ta posiadłość. W żyłach Daniela i Cassie płynęła krew Mei Lien. To oni powinni się tu przeprowadzić i sprawić, że to miejsce nabierze znowu znaczenia. Powinni rozpocząć tam, gdzie skończyła Mei Lien, tak jakby Campbellów/ Ericksonów w ogóle tu nie było.

Czy jednak mogli sobie na to pozwolić? Margaret była co prawda właścicielką dwóch restauracji, które odnosiły sukcesy, ale Inara widziała przecież jej dom. Kobieta nie była bogata, a osoba, która mogłaby zainwestować w Rothesay, musi mieć głębokie kieszenie, żeby utrzymać się na powierzchni, dopóki hotel nie zacznie na siebie zarabiać.

Chociaż... Inara przełknęła ślinę, bo do głowy przyszła jej właśnie nowa myśl. Może źle się do tego wszystkiego zabrała? Może nie potrzebowała wcale inwestora z branży hotelarskiej, tylko restauratorskiej? Kogoś, kto będzie chciał otworzyć fantastyczną nową placówkę na wyspie Orcas, która byłaby dodatkowo połączona z hotelem butikowym. Nawet jeśli taka osoba nie będzie miała wystarczających funduszy, żeby wykończyć cały hotel, zawsze byłby to jakiś początek.

A może mogliby skoncentrować się na otwarciu restauracji jeszcze tej jesieni i w tym samym czasie dalej wykańczać hotel? Gdyby starannie wszystko zaplanowała, a może na dodatek znalazła sobie współlokatora, który dzieliłby z nią koszty utrzymania, dochody z restauracji umożliwiłyby im wzięcie pożyczki na całą resztę.

Ale co z jej kredytem studenckim? Pierwszą ratę musi przecież zapłacić już w przyszłym miesiącu.

Odroczenie. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Złożyłaby wniosek o odroczenie spłaty w związku z trudnościami finansowymi, żeby odłożyć konieczność zapłaty jeszcze o kilka miesięcy. Miała nadzieję, że aż do czasu, kiedy hotel zacznie przynosić zyski.

Przynajmniej nie musiałyby od razu sprzedawać tego miejsca.

Nadzieja, jakkolwiek nikła by była, odżyła z powrotem w jej sercu, a ona powitała ją z radością. Odwróciła się do Daniela, ale zobaczyła, że Vera idzie w ich stronę, więc nic nie powiedziała.

– Dziękuję za to, że nas tu przyprowadziłaś – powiedziała Vera ze smutnym wyrazem twarzy, który przypominał Inarze o wszystkim, przez co przechodziła ta rodzina, kiedy dowiadywała się stopniowo

o swojej historii. Przyglądała się, jak Vera odwraca się znowu przodem do wody i przebiega wzrokiem lśniąca powierzchnię.

Czyżby staruszka szukała śladów swojej zaginionej babki?

*

Kiedy Inara wchodziła razem z Margaret do kuchni w willi, pomiędzy drzewami wiły się jeszcze pasemka mgły i bawiły się w chowanego z porannym słońcem, które już niedługo je stamtąd przepędzi. Inara przyszła tu, żeby dać Margaret jeszcze jedną okazję do obejrzenia pomieszczeń restauracyjnych, bo zmrok i szybko nadchodząca pora kolacji skróciły im na to czas poprzedniego wieczoru.

Inara pstryknęła włączniki światła i patrzyła z satysfakcją, jak twarz Margaret się rozjaśnia. Poza pracami wykończeniowymi kuchnia i pomieszczenia restauracji, która zajmowała teraz całą tylną połowę parteru, były skończone.

Margaret była wyraźnie zachwycona wszystkim, co oglądała, przemierzając ze znanostwem pomieszczenia i dotykając wyciągów kuchennych, lad chłodniczych i wózków piekarniczych.

– Masz sprzęt Vulcan Hart! Sama go używam w moich restauracjach. Współpracujesz z profesjonalnym szefem kuchni? – Margaret przesunęła placami po zimnej, stalowej krawędzi pieca.

Inara otuliła lodowatymi dłońmi kubek z herbatą, który ze sobą przyniosła.

– Nie. Szukałam po prostu tego, co jest aktualnie najlepsze na rynku.

Margaret pokiwała głową, po czym weszła do chłodni i do magazynu na suche produkty, przez cały czas nie przestając zasypywać Inary pytaniami. Dziewczyna odpowiadała na nie wszystkie, a jednocześnie była coraz bardziej przekonana co do swoich kolejnych posunięć.

Spędziła już trzy dni na przyzwyczajaniu się do myśli o utracie hotelu, ale nadal była daleka od zaakceptowania tego faktu. Miała wiele powodów, dla których nie chciała opuszczać tego miejsca, a najważniejszym z nich było to, że nie dokończyła tu pewnych spraw. Była winna Mei Lien dalsze odkrywanie jej historii. Była winna Dahlii realizację jej marzenia. Była winna swojej mamie powtórne wypełnienie Rothesay życiem i radosnymi głosami.

A sobie była winna walkę o własne szczęście. Była tu szczęśliwa. Nie czuła się jeszcze gotowa na rezygnację, a jej najnowszy pomysł mógł sprawić, że nie będzie ona konieczna.

– Co tutaj będzie? – zawołała w jej stronę Margaret, sprowadzając ją z powrotem na ziemię. Matka Daniela stała teraz w ciemności niedaleko pomieszczeń przechowalni, gdzie niedawno wyburzono ściany, a sufi ty otwierały się na trzy poziomy w górę, aż do strychu.

Inara podeszła do niej.

– Tutaj zainstalujemy windy. Chodzi o dostosowanie się do potrzeb osób niepełnosprawnych i o wygodę zarówno gości, jak i personelu. Drogie jak cholera.

Wróciły do kuchni, a Margaret podeszła do okna panoramicznego i wyjrzała przez nie na patio i na trawnik za willą, na którym w kroplach rosy błyszcząły promienie słoneczne.

– Łał, chciałabym mieć codziennie w pracy taki widok.

– Możesz mieć – Inara uśmiechnęła się do zmieszanej Margaret. – Nie jesteś przypadkiem zainteresowana prowadzeniem tutaj restauracji i może przy okazji posiadaniem udziałów w hotelu?

Margaret zmarszczyła brwi.

– O czym ty mówisz?

Inara poczuła nagłe zdenerwowanie i potarła nieistniejącą plamkę na ladzie.

– Nie mam pieniędzy, żeby kontynuować to przedsięwzięcie. Dwa dni temu odesłałam robotników do domu. Jeśli nie znajdę partnera biznesowego, będę musiała wszystko sprzedać. A ty masz doświadczenie, znajomości...

– Prosisz mnie, żebym została twoją partnerką?

Przytaknęła i zmusiła się do spojrzenia Margaret w oczy.

– Jeśli masz pieniądze albo przynajmniej zdolność kredytową, jakiej byśmy potrzebowały. – Uświadomiła sobie, że wybiega za bardzo w przód. – Trzeba by pomyśleć o wielu szczegółach, ale gdybyś była zainteresowana, z przyjemnością przedyskutowałabym je z tobą. Wiem już, że uwielbiam twoją kuchnię, i chociaż znamy się dopiero od tygodnia, mam dobre przeczucia co do współpracy między nami. Oczywiście, gdybyś ty była zainteresowana współpracą ze mną.

To była głupota. Niby dlaczego Margaret miałyby mieć większą ochotę na prowadzenie z nią interesów niż którykolwiek z inwestorów, jacy odrzucili jej propozycję, albo niż jej własny ojciec?

– Słuchaj – odezwała się Inara, zanim Margaret zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Zapomnij o tym. Stawiam cię tylko w niezręcznej sytuacji. Wracajmy do domu na śniadanie.

Margaret nie poruszyła się ani nic nie powiedziała, tylko przechyliła głowę na bok i rozejrzała się po kuchni tak, jakby się nad czymś zastanawiała. Kiedy się w końcu odezwała, jej słowa zaskoczyły Inarę.

– Zastanawiam się nad połączeniem kuchni azjatyckiej z lokalną. Produkty prosto od rolnika, sezonowe, w miarę możliwości z upraw regionalnych.

Inara zamarła.

– Czy ja dobrze rozumiem to, co ty mówisz?

Margaret uśmiechnęła się szeroko.

– Mówię tylko, że pomysł mnie zaciekawił i bardzo chciałabym dowiedzieć się więcej. Oczywiście najpierw muszę porozmawiać z moimi finansistami.

Inara miała ochotę ją wyciąłować, ale ograniczyła się do uścisku. W odruchu wdzięczności zarzuciła Margaret ręce na szyję.

– Dziękuję! Mamy tak dużo do omówienia...

– Co się tu dzieje?

Inara odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach stoi Daniel ubrany w luźne szare spodnie od dresu i bordowy T-shirt uniwersytecki, który opina mu klatkę piersiową.

Rozpromieniła się na jego widok.

– Możliwe, że będziemy z twoją mamą partnerkami biznesowymi.

Podszedł do niej i objął ją delikatnie ramieniem.

– A co z twoim tatą?

Wzruszyła ramionami, tak jakby nie miało to większego znaczenia.

– Zażądał zwrotu pożyczki.

Oczy Daniela pociemniały, a ona wiedziała już, że nie dał się zwieść jej udawaniu i że zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo ją to dotknęło.

– Przykro mi. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Chciała to zrobić poprzedniego wieczoru, ale do późna rozmawiali z jego rodziną, tak że nie miała nawet okazji. Odsunęła się i skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie wiem. Chyba ze wstydu.

– Tak czy inaczej – odezwała się Margaret, dołączając do nich przy drzwiach. – Mamy dużo spraw do omówienia, ale ja muszę najpierw porozmawiać z księgową i z prawnikiem, jeśli w ogóle dodzwonię się do któregoś z nich w niedzielę rano. – Skierowała się do drzwi, ale zatrzymała się, żeby spojrzeć jeszcze raz na Inarę. – Już nie mogę się doczekać.

Inara odpowiedziała uśmiechem.

– Ja też.

I w tym momencie przypomniała sobie o Mei Lien i o tej części historii, którą zataiła przed Danielem i jego rodziną. Musiała powiedzieć im o wszystkim i postanowiła zrobić to teraz. I tak zbyt długo z tym zwlekała. Z tatą porozmawia później. Chinowie mieli prawo wiedzieć.

– Zaczekaj, Margaret, nie idź jeszcze. Muszę wam obojgu coś powiedzieć.

Inara poczuła się nagle, jakby stanęła na skraju klifu, który opada prosto w bezdenne, czarne wody morza Salish, więc odwróciła się i wyjrzała przez okno, żeby zebrać myśli.

– Pamiętacie tę scenę z rękawa, na której wszyscy ci ludzie pływają w wodzie dookoła parowca?

– Oczywiście – odpowiedział Daniel z nutą oszołomienia w głosie.

Zanim zdążyłaby stracić odwagę, wyrzuciła z siebie wszystko, co miała do powiedzenia.

– Mój praprapradziadek Duncan Campbell zamordował każdego Chińczyka, który znalazł się na pokładzie. Wyrzucił ich za burtę. Z tego, co wiem, Mei Lien była jedyną osobą, której udało się ocaleć.

Popatrzyła w dół, na swoje palce, które nerwowo wykręcała, i zapragnęła znaleźć się gdziekolwiek indziej.

– Ojciec powiedział mi, że Duncan był rasistą, który uważał, że Chińczycy są zbyt brudni, żeby przebywać na pokładzie jego statku. Bardziej go obchodziło zarabianie na białych pasażerach i dochodowych towarach niż życie niewinnych Chińczyków. Waszych przodków.

Margaret wydała stłumiony okrzyk. Zakryła ręką usta i wpatrywała się w Inarę z przerażeniem.

Inara chciała mieć pewność, że powiedziała już wszystko, zanim cisza zaczęłaby się zbyt długo wydłużać.

– Taki właśnie mężczyzna wybudował tę willę, a ja muszę ze wstydem przyznać, że był on moim przodkiem. Mój ojciec nie chce, żeby prawda wyszła na jaw, ale ja musiałam wam powiedzieć. Zrozumiem, jeśli zmieni to twoje zamiary co do restauracji.

Daniel nie poruszył się, ale w jego spojrzeniu widziała narastający gniew, który wyostrzał mu rysy i wrywał ją z jego serca.

– Nie pomyślałaś, żeby wspomnieć mi o tym trochę wcześniej?

– Chciałam, ale bałam się, co sobie pomyślisz albo co zrobisz. Taka informacja zrujnowałaby moją rodzinę. Zrujnowałaby PGM i naraziłaby wielu ludzi na utratę pracy. Proszę, zrozum to. Nie mogłam ci powiedzieć.

Daniel zamknął oczy, tak jakby nie chciał na nią patrzeć. Skrzyżował ręce na piersi i zdawał się cały drżeć ze złości, choć nie wykonał żadnego innego ruchu.

– Skąd wiesz, że ich zamordował?

Inara opowiedziała o dokumentach, które znalazła w archiwach PGM-u, i o rozmowie z ojcem. Niczego nie pominęła.

Usta Margaret zacisnęły się w wąską kreskę, ale kobieta nic nie powiedziała, tylko spoglądała na syna z zaniepokojeniem. Daniel przestąpił z nogi na nogę i potrząsnął głową.

– Nie mogę pojąć, jak ktokolwiek mógłby być zdolny do czegoś takiego, a już szczególnie krewny kobiety, którą kocham. I naprawdę nie rozumiem, jak twoja rodzina, jak ty możesz utrzymywać to w tajemnicy. – Jego słowa ucichły, a on dalej potrząsał głową, jakby w zagubieniu.

Kobiety, którą kocha? On ją kochał?

– Ja... powinnam była ci powiedzieć. – Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, ale kiedy zobaczyła, że wyraźnie zeszywniał, skrzyżowała tylko ręce na piersi. – Przepraszam.

Daniel nadal wpatrywał się w nią pozbawionym emocji wzrokiem, więc zwróciła się do Margaret.

– Rozumiesz mnie? – Boże, to brzmiało tak, jakby błagała ich o wybaczenie. I uświadomiła sobie, że właśnie to robi. Od tego, co się teraz stanie, zależała jej przyszłość.

Margaret przyjrzała się swojemu synowi, po czym z westchnieniem zwróciła się z powrotem do

Inary.

– Mam dużo do omówienia ze swoją rodziną, ale muszę ci powiedzieć, że jestem bardzo zawiedziona. Chyba zostawię was samych. – Delikatnie ścisnęła Daniela za rękę i wysunęła się cicho za drzwi.

Mężczyzna nie odzywał się przez długą chwilę, więc Inara zwróciła się do niego błagalnie:

– Proszę cię, Danielu.

– Wydawało mi się, że mamy szansę – powiedział w końcu ochrypłym głosem. – Naprawdę. Ale nie mogę być w związku z kimś, kto nie jest wobec mnie szczery.

Jego słowa przeszyły boleśnie jej serce. Właśnie tego się obawiała.

– Ale...

– Koniec z nami. – Spojrzał jej w oczy wzrokiem pozbawionym wyrazu. – Powinnaś była mi powiedzieć, Inaro. Ale nie zrobiłaś tego. A teraz ja muszę wziąć pod uwagę to, co będzie najlepsze dla mojej rodziny, czyli dowiedzieć się więcej o tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Z twoją pomocą czy bez niej.

– Co innego mogłam zrobić? – Zdała sobie sprawę z tego, że krzyczy, jednak nie obchodziło jej to. – Paliło mnie to od środka i żałuję, że nie mogę jakoś tego naprawić, ale nie mogę. Po prostu się nie da.

Potrząsnął głową z obrzydzeniem.

– Możesz przyznać się do tego razem z twoją rodziną. Możesz przeprosić rodziny ofiar.

Po tych słowach obrócił się na pięcie i podszedł do drzwi kuchennych, ale odwrócił się jeszcze raz do niej.

– A, i możesz zapomnieć o współpracy z moją matką. – Zatrzaskał za sobą drzwi.

Inara poczuła, jak wszystko w niej zamiera, i nie miała odwagi się poruszyć z obawy, że mogłaby się rozpaść na tysiące kawałków.

W tym momencie, jak nigdy w życiu, żałowała, że nie ma przy niej matki, która mogłaby ją pocieszyć i powiedzieć, co powinna teraz zrobić. Przez całe życie nosiła w sobie otwartą ranę, udawała, że jest normalną dziewczyną, i dziwiła się, że nikt nie widzi, jak bardzo krwawi. Brakowało jej gwiazdy przewodniej, jaką była opieka matki, i odczuwała ten brak każdą najmniejszą cząstką swojego ciała. A teraz narozrabiała. Kiedy w końcu postanowiła zacząć żyć na własnych warunkach, a nie tak, jak chciałby jej ojciec, nie okazała się wystarczająco dobra.

Nie była wystarczająco dobra, żeby udało jej się z hotelem, nie była wystarczająco dobra, żeby utrzymać przy sobie miłość Daniela, nie była wystarczająco dobra, żeby jej ojciec w nią uwierzył. Nie była wystarczająco dobra, żeby naprawić krzywdy wyrządzone kilka pokoleń wcześniej.

Nie było już żadnej nadziei. Podjęła ryzyko i wszystko straciła.

Rozdział dwudziesty siódmy

Czwartek, 23 sierpnia – czasy obecne
Posiadłość Rothesay, wyspa Orcas

Inara kopnęła samotną szyszkę, która leżała na trawie, i patrzyła, jak wpada w gąszcz krzewów jeżynowych wzdłuż krawędzi trawnika. Podeszła kawałek dalej, aż do miejsca, gdzie trawa przechodziła w piasek, a zaraz potem w ostre skały, które trzymały wodę w bezpiecznej odległości. Był przypływ i wygłodniałe fale rozбивały się o brzeg kilka metrów pod jej tenisówkami.

Miała ochotę podejść jeszcze bliżej.

Obróciła się na pięcie i skierowała na ścieżkę prowadzącą na plażę. Wychodząc z lasu, przestraszyła czaplę, która stała na płyciźnie i szukała obiadu. Ptak poderwał się z wody z klekotem i przeleciał nad drzewami. Inarą wstrząsnął dreszcz, który przypomniał jej o zabranii ze sobą swetra, kiedy będzie się tu jutro wybierać.

W dniu, w którym Daniel odjechał razem ze swoją rodziną, uświadomiła sobie, że przepadła jej ostatnia szansa na zatrzymanie posiadłości. Następnego ranka zadzwoniła do agencji Luxe Realty, żeby wystawić ziemię na sprzedaż, i od tamtej pory nie robiła praktycznie nic poza codziennym chodzeniem na plażę. Czasami siedziała w ciszy i rozmyślała. Od czasu do czasu ciskała kamieniami w ciemną głębię, żeby sprawdzić, czy potrafi rzucić za najdalsze skały, które wystawały z wody przy odpływie.

Rozmyślała o zawodach, które mogłaby podjąć, o książkach, które mogłaby napisać, o dalekich ładach, które mogłaby zwiedzić. Odgrzebywała wspomnienia z dzieciństwa i próbowała znaleźć w nich wytłumaczenie dla potrzeby kontroli, jaką miał w sobie jej ojciec, i dla wielkiej siły, która pozwoliła jej matce zrobić to, do czego Inara nie była zdolna – zachować rodzinną tajemnicę i dzięki temu pomóc tak wielu ludziom.

Ale najczęściej rozmyślała o Mei Lien i o wyszywanym rękawie, który nadal prześladował jej myśli i sny. Wiedziała, że prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczy, bo był u Daniela, a ona nie miała z nim kontaktu. Ale nie przeszkadzało jej to. Daniel powinien go zatrzymać.

Tablica z napisem „Na sprzedaż” stanęła przed willą w środę i tego samego dnia wieczorem, gdy tylko Inara wróciła z plaży, znalazła na ladzie w kuchni wizytówki agentów – dowód na to, że Rothesay odwiedzili potencjalni nabywcy.

Mimo że spodziewała się ich i potrzebowała ich pieniędzy, odczuła tę obecność jak zbezczeszczenie, tak jakby byli złodziejami, którzy zakradli się do jej uświęconego miejsca w momencie, kiedy była najbardziej bezbronna.

Przesiadywała więc sama na plaży i czekała na telefon, który oznajmi jej, że znalazł się nabywca. Telefon, który wszystko zakończy.

A na dodatek tego ranka dostała pocztą pięćdziesięciodolarowy czek z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, który był obiecany przez Daniela wynagrodzeniem za pożyczenie rękawa i o którym zupełnie zapomniała. Leżał teraz podarty na strzępy w koszu na śmieci, pod skórką od banana.

Delikatny podmuch wiatru zmarszczył powierzchnię wody i przyniósł zapach palonego drewna. Po drugiej stronie zatoki ktoś rozpałił sobie ognisko. Inara postanowiła, że też to robi. Tu, na plaży, tak jak

robiła kiedyś jej mama.

Z torby, którą zostawiła na kamieniach, dobiegł ją dzwonek telefonu. Na jego dźwięk poczuła nagły skurcz w żołądku. Odwróciła się od wody i wygrzebała komórkę.

– Halo?

– Inara, tu Nathan.

Zmusiła się do radosnego tonu.

– Cześć, starszy bracie. Powiedz dzieciakom, że przygotowałam już kajaki na przyszły weekend! – Zaprosiła ich na weekend, na który przypadało Święto Pracy, żeby jeszcze po raz ostatni przed sprzedażą mogli nacieszyć się posiadłością. Miała też przyjechać Olivia z rodziną.

– Posłuchaj. Dzwonię w sprawie taty.

Poczuła, jak uśmiech znika jej z twarzy.

– O co chodzi?

– Jest w szpitalu. Źle z nim.

Inara nagle poczuła się, jakby nie była dwudziestoczworoletnią kobietą, tylko piętnastoletnią dziewczynką, której właśnie powiedziano, że zginęła jej matka.

– Co się stało? – zapytała szeptem, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Dzisiaj rano w pracy dostał zawału serca. Podłączyli go do urządzenia, które utrzymuje go przy życiu, ale jego stan jest niestabilny. Możliwe, że nie przeżyje tej nocy. Powinnaś przyjechać.

– Oczywiście. Złapię pierwszy samolot z wyspy. – Rozłączyła się, opuściła ręce wzdłuż ciała i zamknęła oczy. To nie działało się naprawdę. Jej tata nie mógł umrzeć. W tym tygodniu była na niego tak wściekła, że nie odbierała jego telefonów. Kiedy po raz ostatni powiedziała mu, że go kocha?

Wpatrywała się w wodę i walczyła z paniką, która wzbierała w niej i w każdej chwili mogła wybuchnąć. „Tata! Tata mnie potrzebuje”. Odwróciła się i ruszyła biegiem do domu.

Kiedy dotarła do asfaltowej drogi i zobaczyła przed sobą willę w całej okazałości, prawda uderzyła w nią z taką siłą, że musiała się zatrzymać.

Nie chodziło jej tylko o hotel. Chciała też stworzyć dla swojej rodziny miejsce, w którym jej członkowie mogliby się spotykać, odzyskać tamtą bliskość, która istniała między nimi za życia jej mamy. Chciała, żeby tata tu przyjechał, żeby zobaczył, ile miłości włożyła w ten stary budynek, i zdecydował, że chce być częścią tego przedsięwzięcia. Nate i Olivia też. Jedna wielka szczęśliwa rodzina.

W obecnej sytuacji możliwe, że nigdy do tego nie dojdzie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Czwartek, 23 sierpnia – czasy obecne
Centrum Medyczne Harborview, Seattle

Opuszczone żaluzje broniły dostępu promieni zachodzącego słońca do pokoju i sprawiały, że pojedyncza lampa, jaka paliła się nad szpitalnym łóżkiem, przypominała reflektor rzucający światło na kruchą sylwetkę przykrytą białą pościelą. Z gardła Inary wyrwał się szloch, gdy już od drzwi spostrzegła, jak mały i słaby wydaje się jej ojciec z rurkami podpiętymi do nosa i ramienia. Urządzenie obok łóżka piszczało cicho przy każdym nieśmiałym uderzeniu jego serca. Inara podeszła do łóżka.

– Tato?

– Śpi. – Odwróciła się i zobaczyła, jak jej brat wychodzi z cienia w rogu pokoju. Wyglądał, jakby postarzał się o dwadzieścia lat od czasu, kiedy go ostatnio widziała. Nie miał na sobie marynarki ani krawata, a jego koszula była cała wymięta. Włosy miał zmierzwione, twarz zszarzałą i obwisłą, a pod oczami cienie. – Cieszę się, że przyjechałaś.

Uścisnęła go, nie spuszczając taty z oczu.

– Jak on się czuje?

Klatka piersiowa Nate'a uniosła się i opadła z westchnieniem.

– Kiepsko. Zbyt dużo uszkodzeń. To już tylko kwestia czasu.

Odsunęła się w nagłym przypływie gniewu.

– Dlaczego nie poszukasz kogoś, kto może mu pomóc? Co to ma znaczyć, że to tylko kwestia czasu? Zaraz kogoś znajdę. – Sięgnęła do torebki po telefon, żeby namierzyć najlepszego kardiochirurga w kraju.

Nate położył rękę na jej dłoni, żeby ją powstrzymać.

– Nikt mu już nie pomoże. Jego serce jest za słabe na operację.

Wszystko w niej zamarło, a jej uszy wypełnił cichy krzyk.

– Czyli tata umiera?

Na szyi Nate'a poruszyło się jabłko Adama.

– Tym razem możemy się przynajmniej pożegnać.

Na wspomnienie o matce Inara poczuła, jak nogi prawie się pod nią załamały, ale przynajmniej Nate osiągnął swój cel. Z uczuciem osłabienia sięgnęła po rękę ojca, uniosła ją i przytrzymała między swoimi dłońmi.

– Cześć, tato. To Inara. – Jego skóra była ciepła, ale nie przypominała w dotyku ręki ojca. Jego dłoń była silniejsza. Jego dłoń odwzajemniłaby uścisk.

– Przypuszczają, że nie przeżyje nocy. – Nate przeszedł na drugą stronę łóżka i położył rękę na głowie taty, tak jakby to on był tu ojcem. – Olivia i Jen pojechały po dzieci, a Adam operuje. Jeszcze o niczym nie wie.

– Przywiozą tu dzieciaki? Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Nate potrząsnął głową, nie spuszczając wzroku z ojca.

– Nie wiem, ale myślę, że muszą się pożegnać z dziadkiem, mimo że nie będą do końca rozumiały,

co się dzieje.

Nowa fala bólu sprawiła, że w oczach Inary wezbrały łzy, które potoczyły się po policzkach. Z dziadkiem. Jej tata był wspaniałym dziadkiem i bardzo kochał te dzieciaki. Były jeszcze tak małe, że pewnie za parę lat nie będą go pamiętać. Może z wyjątkiem Willa, najstarszego syna Olivii. Ale Will ma dopiero dziewięć lat – nawet on nie zapamięta, ile razy dziadek grał z nim w karty, uczył uderzać piłeczkę golfową albo ukrywał się w doskonale widocznych miejscach, gdy bawili się w chowanego, żeby młodsze dzieci się nie przestraszyły.

A jej dzieci, jeśli kiedyś będzie je miała, nie poznają go wcale.

– Hej, co to w ogóle ma być? – Tata sprawiał wrażenie, jakby nie mógł złapać oddechu, ale jego głos rozległ się zaskakująco głośno w ciszy pokoju. – Zakaz płakania.

– Tato! – Ostrożnie, żeby nie zaczepić o rurki, pochyliła się i przytuliła go, wdzięczna, że jeszcze jest z nimi. – Jak się czujesz?

Poklepał ją delikatnie rękami po plecach, a Inara wiedziała, że to jedyne, na co go teraz stać. Wyprostowała się, ale znowu złapała go za rękę.

– Nate mówi, że niedługo przyjadą dzieci.

– To dobrze, dobrze. – Zakaszła, a jego twarz wykrzywiła się z bólu. – Wody.

Pomogła mu się napić z małego, białego kubeczka ze słomką, który stał na stoliku obok łóżka. Kiedy skończył, położył z powrotem głowę i zamknął oczy. Ból wyżłobił mu białą rysę dookoła ust. Nigdy w życiu Inara nie czuła się tak bezsilna.

– Prześpij się jeszcze, tato. Odpocznij.

Potrząsnął głową.

– Muszę z tobą porozmawiać, Nara.

Spojrzała pytająco na Nate'a, ale on tylko wzruszył ramionami.

– O czym?

Tata przeszył ją swoim szaroniebieskim wzrokiem.

– O Starbucksie.

„Och nie, proszę”. Musi mu powiedzieć, zanim on zacznie mówić dalej.

– Tato, ja nigdy nie chciałam zajmować się biznesem międzynarodowym. Robiłam to tylko ze względu na cie...

– Wiem – przerwał jej. – Przez cały czas byłem tego świadomy, a i tak ci na to pozwoliłem. Ale teraz powinnaś zająć się tym, co daje ci szczęście. Jesteś pewna co do tego hotelu?

Była tak zaskoczona, że nie zdołała się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

– Tak. Mówisz poważnie?

Tata ścisnął ją za rękę, co sprawiło, że do oczu znowu napłynęły jej łzy.

– W takim razie właśnie tym powinnaś się zająć. – Ponownie zakaszła. – Kiedy... odejdę, będziesz miała wszystko, czego ci trzeba, podobnie jak Nate i Olivia. Zadbalem o to. Jeśli hotel rzeczywiście jest tym, czego pragniesz, zajmij się nim. Masz moje błogosławieństwo.

Kiedy tata umilkł, Inara poczuła, że ma mętlik w głowie. Będzie mogła zatrzymać hotel. Tego właśnie chciała, ale nie w ten sposób.

– Przepraszam, że namieszałem. – Jego głos zabrzmiał jeszcze słabiej, a Inara uświadomiła sobie, że ojciec zużywa resztki swoich sił na tę rozmowę.

– Ćśś, tato. Już dobrze. Nie musisz nic mówić.

Potrząsnął głową i pociągnął ją za rękę, żeby nachyliła się bliżej.

– Przestraszyłem się, kiedy znalazłaś rękaw – wyszeptał. Jego załzawione oczy błagały ją o zrozumienie. – Widziałem, jak prawda podziałała na twoją mamę. Zmieniła ją, przygasiła. Nie

chciałem, żeby to samo stało się z tobą. Pomyślałem, że jeśli zabiorę cię z wyspy, cała ta sprawa ucichnie.

– Chodziło ci o rękaw? Nawet wtedy, kiedy z wyprzedzeniem zażądałeś zwrotu pożyczki? – Potrząsnęła głową w oszołomieniu i już miała mówić dalej, kiedy przypomniała sobie, że w pokoju jest Nate, który nic nie wie o rodzinnej tajemnicy. Zapytała, ostrożnie dobierając słowa: – Zrobiłeś to wszystko przez... przez Duncana?

Zmęczone spojrzenie ojca przeniosło się na Nate'a, a potem znowu na nią. Zacisnął wargi, po czym powiedział:

– Powiedz mu. Olivii też. Powinni się dowiedzieć, ale nie teraz. – Z wysiłkiem przeniósł drugą rękę ponad swoim ciałem, żeby uścisnąć ją obiema dłońmi. – Wiesz, że bardzo przypominasz mi swoją matkę? Jesteś do niej taka podobna. A ja jestem z ciebie cholernie dumny. – Jego dolna warga zadrżała.

Inara rozplakała się i tylko pokiwała głową w odpowiedzi.

Ojciec puścił jej rękę i otarł sobie oczy.

– Żałuję, że nie zobaczyłem twojego hotelu.

– Jeszcze możesz to zrobić, tato – powiedziała z naciskiem. – Po prostu się nie poddawaj.

Uśmiechnął się do niej smutno i zamknął oczy.

– Nie mogę, Naruniu. Jestem zbyt zmęczony.

Inara nie była w stanie powstrzymać szlochu. Nate wyciągnął rękę ponad ojcem, żeby pogłodzić ją pocieszająco po ramieniu, ale niewiele to nie pomogło.

Kiedy w końcu się opanowała, zobaczyła, że ojciec nadal ma zamknięte oczy, więc odwróciła się, żeby znaleźć sobie jakieś krzesło. Powstrzymał ją jego głos.

– Nara. Książka... na moim stoliku nocnym.

Inara spojrzała zdezorientowana na stolik przy łóżku, ale zobaczyła na nim tylko pudełko z chusteczkami i kubeczek z wodą ojca.

– Jaka książka, tato?

– W domu. Będiesz wiedziała.

W tym momencie weszła Olivia z dwójką swoich dzieci, a zaraz za nią Jennifer ze swoimi. Cała rodzina stłoczyła się w małym pokoju, żeby czuwać, a dorośli na zmianę schodzili z dziećmi do kafeterii albo wychodzili na zewnątrz. Tata raz po raz tracił przytomność, a koło dziesiątej lekarz powiedział im, że zapadł w śpiączkę i prawdopodobnie już się nie wybudzi.

Zmarł przed jedenastą.

*

Inara popchnęła podwójne drzwi, które prowadziły do pokoju ojca. Dwa ostatnie dni były wypełnione telefonami do znajomych i rodziny, spotkaniami z przedsiębiorcą pogrzebowym, prawnikami ojca i jego doradcą finansowym. Wiązanki kwiatów i kartki z kondolencjami zdawały się przychodzić bez przerwy, a dzwoniący nieustannie ludzie nagrywali się na pocztę głosową. Lokalna stacja telewizyjna przeprowadziła wywiad z Nate'em na temat ich taty, ale Inara na szczęście nie musiała w tym uczestniczyć. Po ustaleniu wszystkich szczegółów ceremonii, która miała się odbyć następnego dnia, dziewczyna uświadomiła sobie, że nie zostało jej już nic do roboty.

Wtedy przypomniała sobie o książce.

Kiedy otworzyła drzwi do sypialni ojca, jej zmysły wypełnił słodki, pikantny zapach jego wody kolońskiej, a oczy zapiekły ją od łez, choć myślała, że zdążyła już wszystkie wypłakać. Może to nie był dobry pomysł.

Była strzępem człowieka. Jeśli nie płakała z powodu taty, to do łez doprowadzały ją wspomnienia

o mamie, a nawet o Danielu. Strata ojca przywołała z powrotem ból spowodowany śmiercią matki, a potem, co tylko pogarszało sprawę, raz po raz sięgała po telefon, żeby zadzwonić do Daniela, a chwilę później przypominała sobie, że ze sobą zerwali. Została sama ze swoją rozpaczą i ledwo się trzymała.

Zamknęła oczy i nabrała głęboko powietrza, pozwalając, żeby ogarnęło ją poczucie obecności ojca. Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest tu razem z nią, siedzi oparty o zagłówek łóżka i czyta gazetę. Jako mała dziewczynka Inara przychodziła tu w sobotnie i niedzielne poranki, kiedy jej rodzice wylegiwali się w pościeli z gazetą. Wskakiwała między nich, wtulała się w ich ciepło i poddawała poczuciu bezpieczeństwa i szczęścia, spowita zapachem wody kolońskiej ojca i lawendowego kremu do rąk matki.

Zapach matki zniknął wiele lat temu – Boże, jak jej go brakowało – ale wodę kolońską ojca było tu jeszcze mocno czuć, tak jakby dopiero co się nią spryskał przed wyjściem do pracy.

Inara westchnęła, otworzyła oczy i przeszła po miękkim dywanie do łóżka. Tutaj znowu emocje dały o sobie znać. Na gładkim, drewnianym blacie stolika nocnego leżały okulary do czytania. Czerwone światełko na zegarku cyfrowym wskazywało, że budzik nadal jest ustawiony na piątą rano. Przy pustej szklance na wodę leżała samotna pigułka, tak jakby tata zapomniał jej rano wziąć. A obok lampki znajdowała się stara książka, która nie przypominała zwykłych lektur ojca, bo nie była oprawiona w błyszczącą okładkę z uśmiechniętą twarzą jakiegoś znanego przedsiębiorcy.

To musiała być ta książka, którą kazał jej wziąć.

Podniosła ją i obróciła w dłoniach, siadając na skraju łóżka. Książka była oprawiona w popękaną, brązową skórę i kilka razy obwiązana przez środek rzemykiem. Jakiś dziennik? Czy jej tata prowadził dziennik?

Spomiędzy postrzępionych stron wystawała żółta karteczka samoprzylepna, na której widniały litery „ARZE” wypisane ręką ojca.

„ARZE”. Arze. Inarze?

Wzięła głęboki oddech, rozwiązała rzemyk i rozchyliła delikatne kartki w miejscu oznaczonym karteczką. Znalazła tam słowa: „Dać Inarze”.

„No dobrze, tato. Co chciałeś mi pokazać?”

Kiedy odkleiła karteczkę i przyjrzała się oznaczonej stronie, poczuła, jak oddech więźnie jej w gardle na widok daty wypisanej kobiecą ręką u góry strony. „3 lutego, 1895”.

Czyj to był dziennik? Przewróciła kartki na początek i ze zdumieniem odczytała nazwisko: „Gretna MacTavish Campbell, Wyspa Orcas, Stan Waszyngton”.

Gretna Campbell była żoną Duncana Campbella i babką Dahlii. To u niej stwierdzono nerwicę, która zatrzymała ją na stałe na wyspie, podczas gdy jej mąż podróżował w interesach do Seattle i z powrotem. Wszystko wskazywało na to, że była sąsiadką Mei Lien i pierwszą kobietą, jaka zamieszkała w domu Dahlii po tym, kiedy Mei Lien go opuściła.

Tata powiedział Inarze, że tego typu wspomnień nigdy nie było, a nawet jeśli kiedyś istniały, to już dawno kazał Dahlii się ich pozbyć. Okłamał ją.

Pospiesznie pstryknęła włącznik lampki i podstawiła książkę pod światło, żeby lepiej widzieć wyblakłe odręczne pismo...

Nowy dom, dużo większy niż nasz poprzedni, nie wystarcza mojemu mężowi. Ciągle mówi o rozbudowie, która pozwoliłaby nam przyjmować gości, jak on to ujmuje. Muszę przyznać, że dużo bardziej odpowiada mi obecny spokój i wcale nie cieszy mnie perspektywa sprowadzania tu obcych ludzi.

Inara przerwała czytanie. Gretna pisała tu o domu Mei Lien. Najwidoczniej Duncan od początku planował wybudować Rothesay. Zaczęła czytać dalej...

Nowy dom jest cudowny. Mimo że mieszkała tu przed nami tamta Chinka – co jest przyczyną nieustannej udręki Dunacana i powodem, dla którego kazał służbie wyszorować każdy skrawek budynku, zanim wprowadziliśmy się do niego w zeszłym miesiącu – bardzo mi się podoba przestrzeń, jaką teraz mamy. Kuchnia wychodzi na ogród, który sam w sobie jest dosyć duży w porównaniu z grządką, jaką miałam na naszej starej ziemi. Dzieci uwielbiają biegać po całym terenie i bawić się tu po skończonych obowiązkach.

A skoro mowa o Chince, to naprawdę nie powinnam się śmiać, ale niezmiennie bawi mnie obserwowanie, jak każdy najmniejszy odgłos sprawia, że Duncan podskakuje ze strachu. Wygląda na to, że kobieta zniknęła bez słowa. Duncan powiedział mi, że po raz ostatni widział ją, kiedy dostarczał jej pieniądze za ziemię. Nie zauważył wtedy nic niepokojącego i nie przebywał tu długo. Od tamtego dnia nikt już jej nie widział – Duncan wie, bo popytał po ludziach, tak bardzo był zdeterminowany, żeby ją znaleźć i upewnić się, że opuściła to miejsce. A ona po prostu zniknęła. Z tego, jak Duncan wzdryga się na każdy dźwięk i unika ciemnych zakamarków, wnoszę, że jest przekonany, jakoby przydarzyła jej się jakaś tragedia i teraz kobieta straszyła w naszym domu.

Jestem pewna, że skłoni go to do przyspieszonego wybudowania tej jego wspaniałej willi, żeby nie musiał mieszkać w tych ścianach. Co do mnie, jestem całkiem zadowolona.

W tym momencie Inara uświadomiła sobie jedną rzecz i aż opuściła książkę na kolana. Duncan nie wiedział, co się stało z Mei Lien. A to oznaczało, że jej nie zabił.

Duncan nie zabił Mei Lien!

Nadal nie miała pewności, co się z nią stało, ale wiedziała przynajmniej, że Chinka nie zginęła z rąk jej praprapradziadka. Nie zmieniało to faktu, że był on winien śmierci setek innych ludzi, ale akurat nie kobiety, którą Inara zdążyła poznać i na której zaczęło jej zależeć. Może i było to dziwactwo, ale ten fakt dużo dla niej znaczył.

– Inara? Wszystko w porządku?

Podniosła wzrok i zobaczyła, że w drzwiach stoi Nate. Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że jej twarz jest mokra od łez. Otarła je palcami i się roześmiała.

– On jej nie zabił, Nate.

Zobaczyła, jak na jego twarz wypływa zdumienie, i przypomniała sobie, że jej brat nie ma pojęcia, o czym ona mówi. Poklepała brzeg łóżka obok siebie, a kiedy Nate usiadł przy niej, opowiedziała mu o swoim skrywanym lęku, że ich przodek zamordował Mei Lien z powodu jej ziemi.

– Ale tata miał tutaj ten dziennik i jest w nim napisane, że Duncan nie wiedział, co się stało z Mei Lien, co oznacza, że jej nie zabił. Czy to nie cudowne?

Nate uniósł brwi i spojrzał na nią tak, jakby wątpił o jej zdrowiu psychicznym.

– Ale dlaczego w ogóle pomyślałaś, że Duncan mógł ją zamordować? Miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić każdą ziemię, jaką by tylko chciał.

– Płaczecie tu sobie beze mnie? – spytała z wyrzutem Olivia, wchodząc do pokoju, ubrana w spodnie w kant i wykrochmaloną bluzkę. Wskoczyła do nich na łóżko. – Ja też chcę.

Inara roześmiała się i przesunęła tak, żeby oprzeć się o zagłówek obok siostry.

– A co wy tu w ogóle robicie? – spytała Olivia.

Jej brat i siostra spojrzeli na siebie, po czym Nate odezwał się ostrożnie:

– Próbowałem do ciebie dzwonić, ale nie odbierałaś. Pomyślałem, że powinniśmy się tu spotkać i zacząć podejmować decyzje, co zrobimy z wszystkimi rzeczami taty i z tym domem.

– Zostawił to całej naszej trójce?

Nate pokiwał głową.

Inara nie była jeszcze gotowa, żeby zacząć się nad tym zastanawiać, więc ulżyło jej, kiedy Olivia

zmieniła temat.

– Czy ja dobrze słyszałam, jak mówiliście, że ktoś kogoś zamordował?

Nate przypomniał sobie o tym i spojrzał groźnie na Inarę.

– Ona myślała, że Duncan Campbell zabił Chinkę, która wyhaftowała ten rękaw spod schodów. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Inara przytuliła do siebie kolana.

– Kiedy badałam sprawę rękawa, dowiedziałam się czegoś, co tata kazał mi zachować w tajemnicy, czegoś, co zrobił Duncan. Nawet mama o tym wiedziała i nikomu nic nie mówiła. Przed śmiercią tata kazał mi wam powiedzieć. Chyba doszedł do wniosku, że prawda musi wyjść na jaw.

Jej rodzeństwo wymieniło między sobą zdezorientowane spojrzenia, więc przeszła od razu do swojej opowieści i wyjawiała im wszystko, co wiedziała o nocy, kiedy Duncan kazał wyrzucić za burte trzysta pięćdziesiąt osób i w ten sposób je zgładzić. Kiedy jeszcze mówiła, Olivia w przerażeniu zakryła usta rękami. Nate potrząsał głową z niedowierzaniem.

– Myślę, że powinniśmy opowiedzieć ludziom prawdziwą historię, niezależnie od tego, ile czasu minęło od tamtych wydarzeń – powiedziała im na koniec. – Pomyślcie o tych wszystkich rodzinach, które nigdy się nie dowiedziały, co się stało z ich najbliższymi. Wiem, że może to wpłynąć na sposób, w jaki ludzie postrzegają mamę, tatę i wszystkich Campbellów przed nimi, ale i tak uważam, że to ważne, żeby świat dowiedział się prawdy.

A myśląc o Danielu, dodała jeszcze:

– Powinniśmy przeprosić.

– Zgadzam się – powiedział Nate. Olivia także przytaknęła.

Inara pogłaskała okładkę dziennika.

– Myślę, że prawda niszczyła tatę od wewnątrz podobnie jak mnie. Chyba właśnie dlatego postanowił mi to dać. Żeby mi przekazać, że zmienił zdanie co do rodzinnej tajemnicy.

– Myślę, że masz rację – powiedziała Olivia i wyciągnęła do niej rękę.

Inara uścisnęła ją, obdarzając siostrę wdzięcznym uśmiechem.

– Możecie mi wierzyć albo nie, ale jest coś jeszcze. – Mocno przełknęła ślinę. – Odkryliśmy, że syn Mei Lien był pradziadkiem Daniela, więc musiałam w końcu zdradzić mu prawdę o tamtych wydarzeniach. Rozstaliśmy się przez to, że wcześniej go okłamałam. Nie wiem, co jego rodzina myśli o tym wszystkim, ale chciałabym, żeby jedno z was się z nimi skontaktowało i zapytało, czy pomogą nam wyjawić prawdziwą historię.

– Oczywiście – zgodził się Nate. – To świetny pomysł.

Olivia spojrzała na siostrę z dziwnym wyrazem twarzy.

– No co? – zapytała Inara, czując się nagle atakowana.

Olivia potrząsnęła głową, a jej pomalowane na różowo usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Jestem z ciebie taka dumna. Nie wiem, czy kiedykolwiek ci to mówiłam, ale naprawdę tak jest.

Nieoczekiwany komplement sprawił, że Inarze znowu napłynęły do oczu łzy, ale uśmiechnęła się i przytuliła do siostry.

– Dzięki, Liv. Czy to znaczy, że mi pomożesz?

– Oczywiście. I myślę, że masz rację. Tata pewnie doszedł do wniosku, że prawda powinna wyjść na jaw. – Na potwierdzenie swoich słów poklepała dziennik leżący na kolanach Inary. – Ale może pomyślimy o tym po pogrzebie?

– Dobry pomysł. – Inara podniosła dziennik i przytuliła go do piersi, żeby złagodzić ból, który znowu się w niej pojawił na wspomnienie o pogrzebie ojca. – Nie przeszkadza ci to, Nate? To na ciebie spadnie większość konsekwencji, bo jesteś nowym dyrektorem generalnym PGM-u i w ogóle.

Rozczochrał jej włosy ręką, tak jak to robił, kiedy byli jeszcze dziećmi.

– Dam radę.

– Dziękuję, Nate. – Ścisnęła go za rękę, a potem sięgnęła po dłoń Olivii. – I tobie też, Liv. – Trzymając ich za ręce, odetchnęła jeszcze raz zapachem ojca i pożałowała, że nie ma go tu z nimi.

– Nie wiem jak wy, ale ja jednak nie czuję się na siłach, żeby dzisiaj podejmować jakiegokolwiek decyzje. – Nate wstał. – Głosuję za kolacją i filmem u mnie w domu. Co wy na to?

– Świetny pomysł. – Inara skierowała się do drzwi razem z rodzeństwem.

Nate zatrzymał się jeszcze w progu i odwrócił się, żeby spojrzeć na sypialnię.

– Wydaje się, jakby dopiero co wyszedł, prawda?

W odpowiedzi Inara wsunęła dłoń w jego rękę i bez słowa zgasiła światło.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Środa, 26 grudnia 1894

Farma McElroyów, wyspa Orcas

Mei Lien odcięła drżącymi rękami nitkę i opadła słabo na sofę.

Skończone.

Wreszcie.

Przez czterdzieści sześć dni odkąd wyjechał Yan-Tao nie robiła nic poza wyszywaniem. Kiedy była głodna, sięgała po miskę zimnego ryżu, która stała koło ramy hafciarskiej. Kiedy dostawała mdłości, wymiotowała do wiadra stojącego na podłodze, którego zwykle nie opróżniała przez parę dni z rzędu. Kiedy była zmęczona, spała tak krótko, jak tylko mogła, ponieważ miała jeszcze przed sobą dużo pracy. Kiedy dopadał ją ból, pracowała mimo wszystko.

Musiała zacząć haftować w rękawiczkach, bo od nieustannego pocierania o igłę i nici na palcach utworzyły jej się bąble, które po jakimś czasie popękały i zaczęły krwawić, a ona nie chciała, żeby krew kapiała na jedwab. Nigdy nie znalazła żadnego innego zastosowania dla kobiecych rękawiczek, które Joseph kiedyś jej kupił.

Bolało ją całe ciało. Oczy piekły. W głowie pulsowało. Nie liczyło się nic poza tym, żeby dokończyć haft, zanim będzie za późno.

A teraz był wreszcie skończony. W przedstawionej scenie nie brakowało już żadnego szczegółu. Był to obraz, który zaczęła wyszywać siedem lat temu, ale nigdy nie uznała, że jest naprawdę gotowy. Teraz już był. Opowiedziała na nim wszystko, łącznie z historią swojej śmierci, którą widziała jasno przed sobą.

Siedziała bez ruchu i tylko jej oczy wędrowały po wyhaftowanej scenie. Przedstawiała ona tę noc, która zmieniła wszystko. Był tam statek. Campbell. Ojciec. Babka. Woda – skłębiona, wciągająca, szydercza. A pod falami widoczna była sama Mei Lien, unoszona prądem, z rozpostartymi rękami i nogami, uśmiechnięta.

Ten uśmiech nie był planowany. Mei Lien chciała, żeby scena odzwierciedlała całą grozę i udrękę, jakie tamta noc na nią sprowadziła. Planowała w ogóle nie wyszywać rysów twarzy, żeby ukazać swoje zatracenie. Ale na sam koniec, zaledwie parę minut temu, dodała ten uśmiech i dopiero teraz, po fakcie, uświadomiła sobie, dlaczego to zrobiła.

Tamta noc, pomimo całej swojej grozy, dała jej Josepha, a potem Yan-Tao, co znaczyło, że historia skończyła się szczęśliwie. Ale to była tylko część.

Pozostała część miała dopiero nadejść. Przez te wszystkie lata Mei Lien czuła przyciąganie wody. Słyszała, jak przodkowie wzywają ją szumem fal, widziała, jak sięgają po nią ramionami prądów. I w końcu dzisiaj woda dostanie to, co osiem lat temu zostało jej podstępem zabrane. Dziś wieczorem dostanie Mei Lien.

Kobieta uśmiechnęła się do tej myśli, bo woda była jej przeznaczeniem, a przed nim nie da się uciec. Woda zatrzymała ojca, babkę i Josepha, więc właśnie tam znowu się z nimi spotka.

Ostrożnie odcięła nici, którymi jedwab był przymocowany do ramy, i złożyła skończony rękaw

w mały kwadrat. Żałowała, że nie mogła dać go Yan-Tao wtedy, kiedy dostał resztę szaty, ale przynajmniej miał w swoich rękach większą część opowieści, a któregoś dnia wróci po brakujący fragment.

Potem delikatnie, jakby otulała dziecko, zawinęła rękaw w koszulę Josepha, którą zachowała specjalnie w tym celu. Nie było w niej nic wyjątkowego poza tym, że Joseph miał ją na sobie ostatniego dnia swojej obecności na farmie. W tej właśnie koszuli wyobrażała go sobie Mei Lien, kiedy myślała o ich ostatnim wspólnym dniu. Miała nadzieję, że Yan-Tao też będzie to pamiętał, kiedy wróci, żeby odszukać haft.

Na koniec wstała i pokuśtykała do kuchni, skąd wzięła kawałek ceraty i sznurek kuchenny, żeby zawinąć i związać pakunek.

Zanim opuściły ją siły, dojrzała do schodów, które prowadziły na górę, do sypialni, i niemalże upadła na najniższy schodek, tak słabe były jej nogi. Przed nią znajdował się drugi stopień, porysowany przez lata użytkowania. Na środku deski, w miejscu, gdzie uderzyła w nią skrzynia podróżna Yan-Tao, widniała świeża rysa. Gwoździe, które mocowały stopień do podstawy schodów, poluzowały się albo zostały poluzowane, tego nie była pewna, i tkwiły teraz pod różnymi kątami w swoich otworach. Przesunęła po nich ręką, ale nie mogła się zdecydować na oderwanie deski.

Nigdy nie otwierała tej tajemnej skrytki. Należała ona do Yan-Tao i zawierała w sobie wszystko to, co mały chłopiec uważał za swoje skarby. Mei Lien nie miała pojęcia, czy zabrał coś stąd przed odjazdem, czy też znajdzie teraz wszystko, co ukrył tu razem ze swoimi marzeniami i chłopięcymi tajemnicami. Nie wiedziała, czy chce znaleźć skarby, czy pustkę – jedno i drugie sprawiłoby jej ból.

Potrząsnęła głową. Nie miała teraz czasu na sentymenty.

Szarpnęła mocno za schodek i zaczęła poruszać nim na boki, aż w końcu gwoździe puściły, a deska została jej w rękach. Położyła ją na wyższym schodku i zajrzała do środka.

Ciemno, ale nie pusto.

W dziurze utworzonej przez pierwszy i drugi stopień znajdowały się starannie ułożone szyszki, kamienie i gałązki, które musiały mieć szczególne znaczenie dla jej syna. Na podłodze leżał wciśnięty pod pierwszy schodek spłowiały, zielony kocyk, który Yan-Tao wszędzie ze sobą nosił, kiedy był malutki. Kurz i dziury sprawiały, że kocyk był prawie nie do poznania, ale ona od razu domyśliła się, co to jest.

W migoczącym świetle lampki zobaczyła jeszcze coś, co wisiało na gwoździu wbitym w boczną ściankę skrytki. Poczowała sprzeciw swojego obolałego ciała, ale mimo to oparła się na jednej ręce, a drugą sięgnęła do dziury po cienki sznurek i zdjęła go z gwoździa. Kiedy zobaczyła, co Yan-Tao tam powiesił, do oczu ponownie napłynęły jej łzy.

Wyszywana portmonetka jej ojca. Ta sama, którą wcisnął jej w rękę na pokładzie parowca i kazał ukryć pod materiałem opasującym piersi. Zupełnie o niej zapomniała.

Gula, która rosła jej w gardle, nagle pękła, a ona wybuchnęła szlochem. Yan-Tao powinien tu być. Jej synek nie powinien być zmuszony do opuszczenia matki w tak niedługim czasie po stracie ojca. Powinien tu być i nadal zbierać skarby do swojej tajnej skrytki.

To było niesprawiedliwe. Całe jej dorosłe życie składało się z następujących po sobie tragedii, a teraz jedna z nich dotknęła jej niewinne dziecko.

Jeszcze raz wsunęła rękę do dziury, chwyciła zapomniany kocyk i zwinęła go w dłoniach. Przytuliła do niego twarz i zapłakała w miękką bawełnę, czując, jak serce pęka jej od czystej tortury poczucia bliskości z synem, które nie było jednak wystarczające. W kocyku pozostał jeszcze cień chłopięcego zapachu. Uczepiła się go, jakby był dla niej droższy niż życie, i zaszlochała.

Kiedy nie pozostało w niej już nic poza ogromną pustką, otarła łzy skrajem spódnicy i przypomniała sobie, po co tu przyszła. Żeby zostawić synowi jego dziedzictwo w miejscu, w którym na pewno je znajdzie.

Zostawiła sobie kocyk Yan-Tao na kolanach, podniosła zawiniątko z wyszywanym rękawem i ostrożnie wcisnęła je pod pierwszy schodek, na miejsce kocyka. Potem z drzeniem uniosła dwa palce do ust, pocałowała je i przycisnęła do zawiniątka w nadziei, że Yan-Tao poczuje jej miłość w dniu, w którym wróci, żeby odszukać paczuszkę.

Chciała jeszcze położyć kocyk koło zawiniątka, ale się zawahała. Nie była w stanie go oddać. Oddała już tak wiele, że chyba tę jedną pamiątkę mogła sobie zostawić. Yan-Tao na pewno to zrozumie i jej wybaczy.

Podjęła decyzję i wcisnęła kocyk za gorset sukni, żeby mieć go blisko serca. Zsunął jej się od razu na wysokość talii. Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, jak bardzo suknia na niej wisi, jak bardzo schudła. Żebra wystawały jej jak u bezdomnego psa, a nadgarstki wyglądały na cienkie i delikatne jak gałązki. Wiedziała, że gdyby spojrzała w lustro – czego nie zrobi – zobaczyłaby w nim nieznaną kobietę.

Ku własnemu zaskoczeniu nie przejęła się swoim wyniszczonym ciałem. Już niedługo nie będzie go potrzebowała, a duchy, które ją kochają i na nią czekają, nie dadzą się zmylić powłoce skóry, włosów i kości i bez trudu rozpoznają jej duszę.

Sięgnęła do gorsetu, podciągnęła kocyk i zawiązała go sobie wokół szyi. Tu i tak było lepiej. Dzięki temu Yan-Tao był jeszcze bliżej, mogła poczuć jego zapach. Potem zawiesiła sobie jeszcze na szyi portmonetkę ojca. Ona też powinna wrócić do wody, tam było jej miejsce.

Mei Lien przeniosła schodek z powrotem tam, gdzie powinien być, i starannie wpasowała poluzowane gwoździe w odpowiednie dziury. Teraz musiała tylko zabezpieczyć stopień, żeby nie odkrył go Campbell ani nikt inny. Tę część planu miała dokładnie przemyślaną, bo gdyby Campbell znalazł skrytkę, na pewno zniszczyłby wszystko, co się w niej znajdowało.

Jeszcze jedno zadanie. „Dasz radę” – powiedziała sama do siebie. Musiała dać radę.

Skrzynkę z narzędziami Josepha znalazła tam, gdzie ją zostawiła – wsuniętą za piec koło słoików. Wydała jej się teraz znacznie cięższa niż dwa miesiące temu, kiedy ją tam chowała, ale powoli udało jej się przeciągnąć ją po podłodze pod schody. Pot spływał jej po ciele, ale nie pozwoliła sobie na odpoczynek.

Z siłą, jakiej u siebie nie podejrzewała, zaczęła wbijać gwoździe w schodek, żeby przymocować go do podstawy, a jednocześnie starała się robić to tak, żeby nie odróżniał się zbyt od innych. Potem jeszcze dla równowagi dodała parę gwoździ do dolnego stopnia.

Nic więcej nie mogła już zrobić. Tyle musiało wystarczyć.

– Dobrze się spisałaś, May.

Nie zdziwiła się, choć dźwięk głosu w pustym pokoju powinien był ją przestraszyć. Czowała się tak, jakby przez cały czas się go spodziewała.

Odwróciła się z młotkiem w dłoni i zobaczyła stojącego za nią Josepha. Uśmiechnął się do niej z taką miłością w oczach, że ona też uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– Wiedziałam, że po mnie wrócisz.

Wyciągnął do niej rękę.

– Nigdy cię nie zostawiłem.

Sięgnęła do jego dłoni. Jednak w chwili, kiedy powinna była poczuć jego dotyk, jej ręka przeszła przez niego i przypomniawszy sobie, że Joseph jest już tylko duchem.

Z uśmiechem na twarzy włożyła narzędzia z powrotem do skrzynki i zaciągnęła ją na miejsce za piecem.

– Jestem już prawie gotowa, Josephie – powiedziała do ducha męża, dosuwając skrzynkę do końca.

– Twoja matka już nie może się doczekać, aż cię zobaczy – dobiegł ją w odpowiedzi głos ojca.

Mei Lien odwróciła się gwałtownie i zobaczyła, że duch Josepha odszedł, a zamiast niego pojawił

się jej ojciec, silny i zdrowy, taki, jak go zapamiętała z czasów, kiedy mieszkali w Seattle.

– Ojcie! Tęskniłam za tobą. – Pokuśtykała w jego stronę, ale zatrzymała się w połowie drogi, wiedząc, że i tak nie będzie mogła go przytulić, choć tak bardzo tego pragnęła. – Jak się masz?

Jego uśmiech przygasł.

– Żałuję, że twoje życie nie potoczyło się inaczej, córko.

Mei Lien potrząsnęła głową.

– Niepotrzebnie, ojcie. Jest tak, jak powinno być. – Rozejrzała się po kuchni i zdała sobie sprawę z tego, że nie ma już po co dłużej się ociagać. Skończyła to, co miała tu do zrobienia. – Jestem gotowa do drogi.

Spojrzała z powrotem w miejsce, w którym przed chwilą stał jej ojciec, ale już go tam nie było.

– Do zobaczenia w wodzie – szepnęła do pustego pokoju.

Przeszła przez cały dom i starannie pogasiła tych kilka lamp, których używała. Potem zwróciła się jeszcze do duchów, które mogły tu mieszkać:

– Pilnujcie, proszę, haft u dla Yan-Tao.

W odpowiedzi poczuła, jak ogarnia ją fala spokoju, i wiedziała, że jej prośba zostanie spełniona.

Nadszedł czas. Powoli, walcząc z bólem, podeszła do tylnych drzwi i wyszła na ciemne podwórko. Bezksiężycowe niebo migotało setkami gwiazd, ale las wokół domu przypominał czarną otchłań.

Nie zawahała się. Wiedziała, dokąd idzie, i miała świadomość, że nic, co mogło czaić się w ciemności, nie wyrządzi jej krzywdy. Jej obecność w tym miejscu była uzasadniona. Czekala na nią rodzina.

Mei Lien zatrzymała się tuż nad wodą i zaczęła nasłuchiwać. Fale rozbijały się o skalistą plażę. Coś przemknęło w poszyciu lasu za jej plecami, a od strony góry dobiegło ją pohukiwanie sowy. Poza tym nie słyszała nic. Ani głosu ojca, ani Josepha.

Nie przestawała jednak do nich mówić, kiedy w pełnym ubraniu wchodziła do atramentowej wody.

– Idę, idę – szepiała w kółko, a chłód owijał się dookoła jej nóg i wciągał jeszcze głębiej. W lodowatym powietrzu widziała swój oddech. – Idę.

Jej brzuch buntował się przeciwko przenikliwemu zimnu, ale Mei Lien się nie zatrzymała. Zaczęły jej się trząść ręce i nogi, a zęby szczykały, kiedy mówiła, ale wiedziała, że to tylko przejściowe.

W końcu, kiedy woda sięgnęła jej do szyi, na której miała zawiązany kocyk Yan-Tao, zobaczyła ich wszystkich. Josepha. Ojca. Babkę. A nawet własną matkę. Otoczyli ją, tak jakby od zawsze tu na nią czekali, i wypełnili ją ciepłem i światłem.

Jeszcze jeden krok i woda zamknęła się nad jej głową.

Rozdział trzydziesty

Środa, 29 sierpnia – czasy obecne
Lake Union, Seattle

Dwa dni po pogrzebie ojca, wczesnym rankiem, Nate w drodze do pracy podrzucił Inarę do terminalu wodolotów Kenmore Air, co oznaczało, że była tam godzinę przed swoim odlotem. Na szczęście po drugiej stronie parkingu był Starbucks, gdzie mogła zabić trochę czasu, więc po załatwieniu odprawy skierowała się właśnie tam.

Zamówiła chai tea latte i wybrała stolik na zewnątrz, żeby popatrzeć, jak nad Lake Union wstaje dzień. Ze swojego miejsca widziała południowy brzeg jeziora, gdzie stało Muzeum Historii i Przemysłu, które za jakiś czas zacznie przyciągać zwiedzających, ale na razie było jeszcze puste. Może któregoś dnia, po tym jak razem z rodzeństwem wyjawią to, co wiedzą, w tym właśnie budynku będzie przedstawiona prawdziwa historia Chińczyków z Seattle. Może sama skontaktuje się z muzeum i to zaproponuje.

Przesunęła wzrok na wschód i zobaczyła, że słońce wspięło się na szczyt Wzgórza Kapitońskiego i już niedługo nagrzeje powietrze, w którym czuć było jeszcze nocny chłód. U stóp wzniesienia wił się sznur samochodów, które zmierzały do miasta na kolejny dzień pracy.

Seattle było piękne, ale mimo to Inara tęskniła do swojej plaży oddalonej od ludzi, hałasu i ruchu ulicznego. Chciała znowu usłyszeć delikatny szum wiatru w lesie, a nie pomruk samochodów czy krzyk mew grzebiących w koszach na śmieci. Chciała zobaczyć wschód słońca nad Mount Constitution, a nie nad budynkami z betonu i stali, które wyznaczały teraz jej wschodni horyzont.

Potrzebowała samotności, żeby przetrwać to wszystko, co zmieniło się w jej życiu w ciągu ostatnich kilku dni. Tęskniła za ojcem. Nadal nie poradziła sobie z faktem, że odszedł.

Poza tym brakowało jej Daniela. Tęskniła za jego uśmiechem z pojedynczym dołeczkiem i za kosmykiem włosów, który zawsze spadał mu na oczy. Brakowało jej tego, żeby pod koniec każdego dnia usłyszeć jego głos.

Popijała swoje latte i patrzyła, jak niebo rozjaśnia się do letniego błękitu. Rozstanie z Danielem pewnie wyjdzie jej na dobre. Potrzebowała czasu, żeby w samotności przeżyć żałobę po ojcu, żeby dostosować swoje plany hotelowe do budżetu, który zyskała teraz w nieoczekiwanym spadku.

Czuła się rozdarta między radością i cierpieniem. Z jednej strony nic nie dałoby jej więcej szczęścia niż to, że mogła zatrzymać hotel. W końcu zrealizuje swoje marzenie! Ale z drugiej strony kosztowało ją to utratę ojca.

Wolałaby sto razy stracić Rothesay niż jego.

Sprawdziła godzinę na telefonie. Jeszcze czterdzieści pięć minut do odlotu. Jęknęła cicho i w ramach pocieszenia przypomniała sobie samej, że w porze lunchu będzie już w domu. Właściwie to powinna zadzwonić do Toma i zaprosić go do siebie, żeby od razu mogli przystąpić do pracy. Wybrała jego numer.

Był zaskoczony jej telefonem, ale na szczęście miał wolne popołudnie. Rozłączyła się i wsunęła komórkę z powrotem do kieszeni, ciesząc się, że Tom nie złożył jej kondolencji. Doprowadzały ją one do

skraju wytrzymałości.

– Inara!

Odwróciła się na dźwięk swojego imienia, ale nikogo nie zobaczyła. Wołanie się powtórzyło:

– Inara, tutaj.

Spojrzała we właściwym kierunku i ze zdumieniem zobaczyła nie kogo innego jak Margaret Chin, która szła w jej stronę od terminalu. Pomachała do Inary jedną ręką, bo drugą przyciskała złotą torebkę do swojego szytego na miarę bordowego kostiumu.

Inara wstała i podeszła, żeby się z nią przywitać, przez cały czas zastanawiając się, co Margaret Chin robi o tej porze nad Lake Union, ubrana, jakby wybierała się na spotkanie biznesowe.

– Dzień dobry, Margaret – powiedziała w ramach przywitania i uścisnęła kobietę, która nadal okazywała jej życzliwość, pomimo bólu, jaki Inara zadała jej synowi. A właściwie całej jej rodzinie.

– Niełatwo się z tobą skontaktować – odpowiedziała Margaret, odwzajemniając uścisk. – Nie masz w zwyczaju odbierać telefonów?

Inara się wzdrygnęła.

– To był trudny tydzień.

W oczach starszej kobiety pojawił się wyraźny smutek.

– Na pewno. Tak mi przykro z powodu twojego ojca. Słyszałam, że pogrzeb był bardzo piękny.

Inara skinęła głową w podziękowaniu, ale nic nie powiedziała.

– Twój brat powiedział mi, że cię tu znajdę. – Ruszyła w kierunku stolika, od którego wstała Inara. – Usiądziemy?

Wracając na swoje miejsce, Inara poczuła, jak przechodzi ją nieprzyjemny dreszcz.

– Wszystko w porządku z Danielem?

Margaret poklepała ją po dłoni.

– Danielowi nic nie jest. Chodzi o ciebie i o mnie.

– Co masz na myśli?

Margaret skrzyżowała swoje zgrabne nogi i popatrzyła na Inarę z lekkim uśmiechem.

– Czy tamtego ranka, kiedy zaproponowałam mi współpracę przy hotelu i prowadzenie restauracji, mówiłaś poważnie?

Inara dała sobie czas na przetworzenie w myślach tego pytania. Czy ona dobrze usłyszała słowa Margaret?

– T...tak, ale muszę przyznać, że moja sytuacja finansowa uległa teraz zmianie.

Margaret zacisnęła wargi i zdawała się nad czymś zastanawiać. Potem otworzyła torbę, którą postawiła sobie na kolanach, wyciągnęła z niej nieduży segregator i rozłożyła go przed Inarą.

– To jest zestawienie, które przygotowałam, żeby pokazać ci próbne menu, zapotrzebowanie na personel, pomysły na wystrój wnętrza, a przede wszystkim przewidywane koszty otwarcia restauracji. Z tego, co wiem, w twoim hotelu nadal będzie trzeba prowadzić restaurację, a ja jestem najlepszą osobą, jaką mogłabyś znaleźć. Poza tym bardzo mi zależy na tym, żeby przenieść się na jakiś czas na Orcas i móc z tobą pracować, jeśli zechcesz mnie przyjąć.

W lekkim oszołomieniu Inara zaczęła przeglądać zawartość segregatora, a z każdą stroną rosło jej zainteresowanie.

– Na razie nic nie obiecuję, ale gdybyśmy się na to zdecydowały, to mogłybyśmy chyba wyremontować kawałek drugiego piętra, żebyś miała gdzie mieszkać.

Margaret zamachała ręką w powietrzu.

– Nie, nie. Mój agent już szuka mi jakiegoś mieszkania w Eastsound.

– A co z twoimi tutejszymi restauracjami? Co z rodziną?

– Będę jeździć tam i z powrotem, ale większość swojego czasu mogę z powodzeniem spędzać na Orcas, przynajmniej przez tych kilka lat, dopóki nie znajdę szefa kuchni, któremu będę mogła spokojnie powierzyć menu i którego obie polubimy.

Inara widziała jeszcze jedną, największą przeszkodę, o której Margaret dotąd nie wspomniała. Wbiła wzrok w swoje kolana.

– A co z Danielem? Czy on wie, że chcesz ze mną współpracować?

– Powiedział mi, że byłabym głupia, gdybym w to nie weszła. Tak naprawdę to sam chciałby z tobą porozmawiać. Podwiózł mnie tu.

Inara podniosła gwałtownie głowę i podążyła za wzrokiem Margaret w stronę parkingu. Daniel stał oparty o metalową barierkę i obserwował je z rękami w kieszeniach. Oczy zasłaniał mu kosmyk czarnych włosów, właśnie tak, jak lubiła. Poczwała nieodpartą chęć, żeby mu go odgarnąć.

Mimo nerwowego drżenia, jakie zawładnęło jej ciałem, udało jej się jakoś wstać. Nie pamiętała jak, ale nagle znalazła się tuż przed Danielem i ledwo powstrzymywała swoje ciało przed przyłgnięciem do niego.

– Daniel. Dobrze cię widzieć.

Miękkie usta, które tak kochała, rozszerzyły się w uśmiechu zdolnym złamać jej serce, gdyby tylko nie zostało już wcześniej złamane. Nie poruszył się, żeby jej dotknąć, ale w jego oczach dostrzegła ciepło.

– Ciebie też. Tęskniłem za tobą.

Te słowa przeszły jej serce, a oczy zapiekły ją od łez. Podeszła o krok bliżej, chcąc go dotknąć, ale się zatrzymała. Za wcześnie.

Odsunęła się, spojrzała na chodnik i zauważyła, że ktoś upuścił tam pięciocentówkę.

– Daniel, przepraszam, że nie powiedziałam ci o...

– Słuchaj, nie musisz przepraszać – przerwał jej. – Okropnie się zachowałem w stosunku do ciebie i to ja cię przepraszam. Spójrz na mnie, Inaro.

A co jeśli on tylko udaje miłego, żeby pomóc matce? „Nie rób sobie nadziei, Inara”. Mimo to podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu wypełnionym wspomnieniami wszystkich wspólnych dni, jakie spędzili na pracy, i wspólnych nocy – w swoich ramionach.

Wśród dźwięków ruchu podmiejskiego i przeszywających krzyków mew Inara przyznała się przed sobą do prawdy – nadal chciała z nim być, niezależnie od wszystkiego, co poszło między nimi nie tak.

– Twój brat zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Powiedział mi, że zamierzacie wyjawić to, co zrobił Duncan Campbell. – Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i kopnął kępkę trawy, która wyrastała z pęknięcia w asfalcie. – Proszę, nie rozgłaszajcie tej historii tylko ze względu na mnie. Nie chcę, żeby wasza rodzina cierpiała.

„Więc nadal mu zależy!”.

– Dziękuję, ale rozmawiałam z Nate'em i z Olivią i stwierdziliśmy, że przyszedł na to czas. W przyszłym miesiącu złożymy oświadczenie. – Skrzyżowała ręce na piersi, żeby ukryć swoje zakłopotanie. – Bardzo dużo by to dla mnie znaczyło, gdybyś był razem z nami.

Oczy mu rozblęły.

– Będę. Razem z całą swoją rodziną. – Podniósł rękę i ujął Inarę za policzek. – Bardzo mi ciebie brakowało.

Poddała się jego dotykowi i zamknęła oczy. Nagle poczuła jego usta na swoich i zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem tego, jak dobrze było znaleźć się znowu w jego ramionach. Dała się ponieść pocałunkowi i całym ciałem przyłgnęła do Daniela.

Poczucie rzeczywistości przywróciło im dopiero głośne chrząknięcie. Spojrzeli na siebie nawzajem

i roześmiali się, po czym odwrócili się do Margaret, która została przy stoliku. Uśmiechała się, a Inara mogłaby przysiąc, że jej oczy były wilgotne.

– Zanim oboje na dobre odpłyniecie, pozwólcie sobie przypomnieć, że Inara ma za chwilę lot, a ja cały czas czekam na jej odpowiedź.

Restauracja. Kiedy zobaczyła Daniela, całkiem o niej zapomniała.

Inara poczuła nagle, że wszystko znalazło się na swoim miejscu – ręka Daniela wokół jej ramion, a tuż obok Margaret z segregatorem pełnym pomysłów. Chciała, żeby jej hotel był miejscem spotkań rodzinnych. Teraz, kiedy ojciec odszedł, jej pierwotna wizja nie ma szans się ziścić, ale nie oznacza to wcale, że ona nie może zmienić swojej definicji rodziny.

Hotel Rothesay będzie miejscem dla rodzin – jej, Chinów i wszystkich, które będą tam przez lata przyjeżdżać.

– Inara? Twój lot? – przypomniła jej Margaret.

„Lot!”. Panika zrzuciła ją z obłoków. Wyciągnęła telefon i zobaczyła, że jeśli nie chce przegapić samolotu, powinna zmierzać już do doku hydroplanu.

– Muszę już iść – powiedziała i po raz pierwszy pożałowała, że czeka na nią Tom. – Ale moja odpowiedź brzmi oczywiście: „tak”. O niczym bardziej nie marzę, niż żebyś prowadziła moją restaurację. Kiedy mogłabyś przyjechać?

Matka Daniela skoczyła na równe nogi i chwyciła Inarę w ramiona.

– Dziękuję! Zobaczysz, będzie cudownie!

Inara uścisnęła ją w odpowiedzi.

– Dziękuję, Margaret. Za wszystko.

Kobieta odsunęła się, a jej uśmiech wskazywał na to, że zrozumiała.

– Nie ma za co. A teraz idź na swój lot. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Inara spojrzała niezdecydowana na doki, a potem znowu na Daniela. Widząc jej wewnętrzne rozdarcie, mężczyzna popchnął ją delikatnie i powiedział:

– Wpadnę do ciebie w weekend. Mamy trochę czasu do nadrobienia.

Na te słowa wspięła się na place i złożyła mu na ustach pocałunek, który musiał wystarczyć im na kolejne dwa dni. Potem złapała swoją torbę i pobiegła na hydroplan, który miał zawieźć ją do domu.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Sobota, 6 października – czasy obecne
Park Nadbrzeżny, Seattle

Inara przysłuchiwała się, jak Nate przemawia do tłumu zgromadzonego na otwarciu nowego parku nadbrzeżnego. Komunikaty prasowe, które wcześniej rozesłali, obiecywały, że podczas uroczystości otwarcia nastąpi niecodzienne obwieszczenie, ale zszokowane twarze większości obecnych świadczyły o tym, że nikt nie spodziewał się tego, co przed chwilą usłyszał.

Z błyszczącą w jesiennym słońcu Elliott Bay za plecami i wznoszącą się daleko na południu Mount Rainer, Inara opowiedziała o tragicznym życiu Mei Lien i o roli swojego praprapradziadka w zamordowaniu setek ludzi. Nie przemilczała niczego przed nagrywającymi wszystko kamerami i wiedziała – wszyscy wiedzieli – że wiadomość ta rozniesie się po całym świecie, a ludzkie zszokowanie i oburzenie odbiją się na jej rodzinie i na PGM-ie. Miała nadzieję, że oświadczenie, które odczytywał właśnie Nate, pomoże ludziom zrozumieć smutek i głęboki żal, jaki uczynki przodka wzbudzały w ich własnej rodzinie.

– Park ten nie będzie poświęcony, zgodnie z pierwotnym planem, pamięci Duncana Campbella – powiedział Nate, a Inara wstrzymała oddech, czekając na jego dalsze słowa. – Niniejszym poświęcam go pamięci wszystkich tych, którzy tamtego tragicznego dnia stracili życie, i nadaję mu imię kobiety, która zadbała o to, żeby prawda nie została zapomniana. Panie i panowie, daję wam Park imienia Mei Lien McElroy.

Po tych słowach odsłonięto pomnik ustawiony na środku parku i oczom zebranych ukazała się chińska kobieta z brązu, która smutnym wzrokiem wpatrywała się w morze, a w rękach trzymała zwój tkaniny. Inara usłyszała obok siebie zduszony okrzyk Margaret i wiedziała, że kobieta zwróciła uwagę na rysy twarzy pomnika. Inara dała rzeźbiarzowi zdjęcie Cassie jako wzór do wizerunku Mei Lien. Miał zaledwie miesiąc na stworzenie nowej rzeźby, więc kosztowało ich to ogromne pieniądze, ale dla tego jednego momentu było warto.

– Och, Inaro, ten pomnik jest piękny. – Margaret wzięła ją w objęcia, ale nie spuszczała wzroku z posągu.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Dlaczego chciałaś, żeby wyglądała jak Cassie? – zapytał Daniel, który stał koło niej z drugiej strony i patrzył, jak jego siostra pozuje do zdjęć przy pomniku, podczas gdy filmują ją kamery telewizyjne, a reporterzy zarzucają pytaniami o nowo odkrytą przodkinię.

Inara się roześmiała.

– Myślisz, że jej to przeszkadza?

– Ani trochę. – W głosie Daniela było coś, co sprawiło, że zerknęła na niego i zobaczyła, że mężczyzna patrzy na nią z czułością. – Dziękuję ci za to. Za to wszystko.

Inara wiedziała, że Daniel ma świadomość, jak trudne będą dla jej rodziny kolejne dni i tygodnie. Wiedziała też, że nawet w najgorszych chwilach będzie przy niej. Przysunęła się do niego i go pocałowała.

– Dziękuję.

– Ja też mam dla ciebie niespodziankę w Rothesay – wyszeptał z głową opartą o jej czoło.

Inara się odsunęła.

– Mam nadzieję, że wrócę tam w przyszłym tygodniu, ale na razie muszę zostać i wesprzeć Nate'a i Olivie w tym, co się tu będzie teraz działo...

– Nie martw się – przerwał jej. – Zostanę z tobą tyle, ile to potrwa, a jak będziesz wracać, ja też pojedę. Nie ma pośpiechu. Ale wydaje mi się, że teraz jesteś potrzebna. – Kiwnął głową w stronę Nate'a otoczonego wianuszkami ludzi, którzy zarzucali go pytaniami i oskarżeniami, tak jakby to on, a nie Duncan, był tu winny.

– Lepiej pójść mu pomóc. Zobaczymy się później w Toisan, tak?

– Mama obiecała, że poczeka z kolacją, dopóki wszyscy nie przyjdziecie. Możecie tu spędzić tyle czasu, ile będzie trzeba. – Pocałował ją jeszcze ostatni raz i popchnął w stronę czekającego tłumu.

Inara zebrała się w sobie, podeszła do Nate'a i położyła mu rękę na ramieniu, żeby wiedział, że jest z nim, po czym przywołała na twarz uśmiech przeznaczony dla tłumów. Olivia podeszła do niego z drugiej strony. Razem stawia czoła temu, co ich teraz czeka, i zrobią co tylko w ich mocy, żeby przywrócić spokój ludziom wstrząśniętym ich obwieszczeniem.

*

– Jestem wyczerpana, ale bardzo się cieszę, że wróciłam – powiedziała Inara do Daniela, wysiadając tydzień później z jego samochodu zaparkowanego przed Rothesay. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, w końcu dobrze się poczuła z myślą, że to jej dom. Wróciła do domu. – Dzięki, że prowadziłeś.

– Żaden problem. Zobacz, mama musi jeszcze tu być. – Ruchem głowy wskazał na samochód stojący przed głównym gankiem i na światła w oknach od frontu. – Chodźmy się przywitać.

Inara zostawiła swoje torby w bagażniku i obeszła samochód, żeby wsunąć rękę w dłoń Daniela i razem z nim przejść do hotelu w ten chłodny, niebieski wieczór. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy wszystko, co Tomowi i jego robotnikom udało się zrobić w ciągu tych trzech tygodni, które spędziła w Seattle. Zostałyby tam jeszcze dłużej, ale Nate niemalże sam ją spakował i wypchnął za drzwi.

– Mamy już wszystko pod kontrolą – powiedział w nawiązaniu do PR-owej katastrofy, jaką ich oświadczenie wywołało w PGM-ie. – Zatrudniłem zespół badawczy Daniela, żeby zaczął ustalać tożsamość ofiar i szukać ich żyjących krewnych. Najgorsze już za nami. Jedź. Zostań w końcu hotelarką.

Inara roześmiała się, słysząc to określenie, i uściśnięła go na pożegnanie. Hotelarka. Tak, to będzie właśnie jej tytuł. Uznała, że do niej pasuje.

– Mamo, jesteś tu? – zawołał Daniel, kiedy weszli do środka głównymi drzwiami.

– Jest pewnie na tyłach w kuchni i cię nie słyszy... – dziewczyna umilkła, kiedy zauważyła matkę Daniela, stojącą w niedawno wyłożonym terakotą holu, między recepcją a dużą, szklaną gablotą, której Inara nigdy przedtem nie widziała. Uśmiech na twarzy Margaret sprawił, że Inara jeszcze raz spojrzała na gablotę i na jej zawartość. W tym momencie odjęło jej mowę. – Czy to...

– Tak, niespodzianka dla ciebie – odpowiedział Daniel, nie czekając, aż Inara dokończy pytanie. – Oczyszcziliśmy szatę i powiesiliśmy ją na manekinie krawieckim razem z twoim rękawem. Gablota ma regulowaną temperaturę i wilgotność, więc jeśli ci się podoba, może spokojnie zostać w hotelu.

Inarze udało się jakoś zejść po schodach, przejść przez hol i zbliżyć się do gabloty. Dopiero wtedy uderzyła ją pełna wymowa szaty i rękawa. Zostały wreszcie złączone, tutaj, w miejscu, w którym Mei Lien włożyła w nie całe swoje serce i duszę.

Mimo że szata została oczyszczona, nadal była pozółkła ze starości i miejscami wytarta. Kontrast między nią a rękawem był znaczący i jasno pokazywał, jak wielką miłością właściciel darzył ten strój.

Niezależnie od tego, czy Yan-Tao nosił go, czy nie, na pewno był on dla niego niezwykle cenny, prawdopodobnie dlatego, że uszyła go dla niego matka. Brzeg szaty wyglądał nawet na wystrzępiony od ciągnięcia się po ziemi.

Inara nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego Mei Lien albo Yan-Tao odcięli rękaw i go ukryli. „Ale jakie to ma właściwie znaczenie?”. Cieszyła się, że tak się stało, bo dzięki temu ona i każdy, kto wejdzie do hotelu, będzie mógł zobaczyć, jak wspaniałe były kiedyś kolory całej szaty. Rękaw niemalże błyszczał w świetle, które Daniel zamontował w gablocie, a żywe barwy nici ukazywały zapisaną w nich historię w sposób prawie trójwymiarowy.

Sama szata też kryła w sobie wiele opowieści. Więcej niż można było wcześniej przypuszczać, co Inara uświadomiła sobie, obchodząc gablotę dookoła i oglądając strój ze wszystkich stron. Postanowiła, że w ciągu kilku kolejnych dni poświęci trochę czasu na dokładne przyjrzenie się szacie. Czy to jest zajac? „Później”. Przyjrzy się temu później.

Inara obejrzała się i zobaczyła, że Daniel i Margaret na nią patrzą.

– Jesteście pewni, że chcecie mi ją dać? Vera nie chce jej sobie zatrzymać? Albo muzeum?

Margaret ścisnęła ją za ramię.

– Uważamy, że to ty powinnaś ją dostać. Chcemy ci w ten sposób podziękować za odkrycie historii naszej rodziny.

– Szata jest piękna. – Dziewczyna objęła i uścisnęła Margaret, a ponad jej ramieniem uśmiechnęła się do Daniela. – Bardzo wam dziękuję – powiedziała jeszcze raz.

Jakiś czas później szła z Danielem przez ciemny las na plażę. Po tych kilku nerwowych i pełnych emocji tygodniach potrzebowała odzyskać spokój, jaki zawsze przynosiło jej to miejsce.

– Cieszę się, że wyjawiliśmy prawdę. Po prostu czuję, że to było właściwe, wiesz? – powiedziała do Daniela, kiedy wyszli pomiędzy drzew na plażę, a jej oddech zarysował się w zimnym, wieczornym powietrzu. Zgasła latarkę, bo księżyc świecił tak mocno, że było jasno jak w dzień.

W milczeniu podeszli nad niski brzeg wody i stanęli w księżycowej smudze, która biegła przez zatokę.

– Wiesz co? – powiedziała przyciszonym głosem, bo wieczór aż się prosił o ciszę. – To dziwne, że ze wszystkich ludzi, których mogłam poprosić o pomoc w kwestii rękawa, trafiłam właśnie na ciebie, a potem okazało się, że masz osobisty związek z całą tą sprawą.

– Ja też o tym pomyślałem – przyznał, przytulając Inarę mocno do siebie, żeby ją ogrzać. – Myślę, że Mei Lien i Yan-Tao mieli z tym coś wspólnego, jeśli jesteś w stanie w to uwierzyć.

Pomyślała, że podobnie mogło być z Dahlią, która sprowadziła ją z powrotem w to miejsce, żeby mogła odnaleźć tożsamość, którą straciła razem z matką.

– Tak – odpowiedziała. – Chyba jestem w stanie w to uwierzyć.

Spojrzała do góry na jasny księżyc i zastanowiła się na głos:

– Jak myślisz, co się z nią stało? Wiemy tylko, że Duncan jej nie zabił.

Poczuła, jak Daniel wzrusza ramionami, choć nie spuściła wzroku z księżyca.

– Możliwe, że nigdy się nie dowiemy – odpowiedział łagodnie.

Nagle Inarze przyszła do głowy myśl, która sprawiła, że odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Myślisz, że Mei Lien nie przeszkadzałoby to, że jesteśmy razem? Może nie spodobałoby jej się, że związałeś się z krewną Campbella?

Daniel wpatrywał się w wodę i zdawał się rozważać tę sprawę, a jego rysy wyostriły się w świetle księżyca. Potem jego twarz złagodniała.

– Myślę, że nie ma nic przeciwko. Wydaje mi się, że przebaczyła twojej rodzinie.

Inara się roześmiała.

– Mówisz tak, jakby nadal tu była.

Daniel się nie zaśmiał. Odwrócił się tylko w jej stronę, tak że zobaczyła jego zamyślony wyraz twarzy.

– Wydaje mi się, że jest – powiedział. – Nie czujesz tego?

Inara przestała się śmiać.

– Coś jest w tej plaży, prawda? Myślałam, że tylko ja to czuję.

Teraz z kolei Daniel się uśmiechnął, ale nie był to uśmiech skierowany do niej, tylko w przeszłość, do kobiety, która zostawiła im swoją historię na wyszywanym rękawie.

– Ja też to czuję.

Przyciągnął ją do siebie i uniósł jej podbródek.

– To ty odkryłaś jej historię i sprowadziłaś jej rodzinę z powrotem do domu. I to ty uczyniłaś jej praprawnuka bardzo szczęśliwym mężczyzną.

Jego usta przylgnęły do jej warg, były ciepłe i spragnione. Inara zanurzyła się w jego objęciach i odpowiedziała na jego pragnienie swoim własnym.

Nad zatoką rozległ się plusk wody, który wraz z echem dotarł do miejsca, gdzie stali przytuleni do siebie na plaży, i Inara wiedziała już, że Daniel się nie myli.

Mei Lien nie miała nic przeciwko.

Postowie

Inspiracja do napisania tej powieści zrodziła się, kiedy podczas badania historii wysp San Juan trafiłam na stary dziennik jednego z osadników, a w nim na opowieść o dziewiętnastowiecznych przemytnikach z wysp. Podobno jeden z nich zobaczył kiedyś, że płynie za nim statek strażniczy. Nie chciał, żeby złapano go z nielegalnymi Chińczykami na pokładzie, więc ogłuszył ich kijem i wyrzucił ciała za burtę.

Opowieść ta krążyła mi po głowie przez całe lata, a wraz z nią wiele pytań. Dlaczego przemycano właśnie Chińczyków? Dlaczego ich mordowano? Jaka historia kryje się za tym wszystkim?

Potem dowiedziałam się o Akcie o Wykluczeniu Chińczyków z 1882 roku, czyli o ustawie imigracyjnej, która zabraniała wstępu do Stanów Zjednoczonych ludziom należącym do rasy chińskiej, z wyjątkiem części kupców, którzy nadal byli wpuszczani. Następnie w 1892 roku uchwalono Akt Geary'ego, który wprowadzał dyskryminację wszystkich chińskich imigrantów. Te dwa akty zostały zniesione dopiero w 1943 roku wraz z uchwaleniem ustawy publicznej nr 199, która pozwalała Chińczykom na wstęp do Stanów Zjednoczonych w ramach ścisłego systemu kwotowego. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku nastroje antychińskie były tak silne, że biali mieszkańcy wielu miast od południowej Kalifornii po Kolumbię Brytyjską, a na wschód aż po Wyoming i Kolorado, siłą, a często także z wykorzystaniem przemocy, wypędzali wszystkich Chińczyków. Powszechne stały się lincze, strzelaniny i śmiertelne pobicia.

Im więcej się dowiadywałam, tym bardziej byłam przerażona czystkami etnicznymi, do jakich wtedy dochodziło, i faktem, że nie wspomniano o nich ani słowem w moich podręcznikach do historii.

Powieść ta, choć stanowi dzieło fikcyjne, została oparta na prawdziwych wydarzeniach. Chińscy mieszkańcy Seattle, ponad trzysta pięćdziesiąt osób, z których wiele było prawowitymi obywatelami Stanów Zjednoczonych, rzeczywiście zostali wypędzeni z miasta 7 lutego 1886 roku. W obawie o swoje życie wykupili miejsca na parowcu „Queen of the Pacific” („Królowa Pacyfiku”), który płynął do San Francisco. Zanim jednak statek zdążył opuścić port, interweniował gubernator Watson C. Squire, który nakazał antychińskiemu zbiorowisku zaniechać przemocy i ogłosił stan wyjątkowy. Sędzia Roger S. Greene przeprowadził rozmowy ze wszystkimi Chińczykami, łącznie z tymi, którzy opłacili już podróż parowcem, i poinformował każdego z nich, że ma prawo zarówno wyjechać, jak i zostać w Seattle. Mówił, że jeśli ktoś postanowi zostać, będzie chroniony.

Chińczycy, którzy zdecydowali się nie opuszczać Seattle, zostali odprowadzeni do swoich domów pod eskortą wojska, milicji i kadetów uniwersyteckich, wezwanych, żeby chronić chińskich obywateli przed wściekłym tłumem, który nadal domagał się wypędzenia ich z miasta. Po kilku miesiącach niepokojów społecznych do Seattle wrócił spokój. Podczas zamieszek zginęła tylko jedna osoba i był to biały demonstrant. Chińczycy, którzy zdecydowali się na opuszczenie miasta, bezpiecznie dotarli do San Francisco.

Ponieważ Seattle było wyjątkiem na mapie Stanów Zjednoczonych, w swojej powieści postanowiłam zgotować jego chińskim mieszkańcom los podobny do tego, jaki spotkał Chińczyków z innych miast, i uczcić tym samym pamięć wszystkich tych, którzy stracili życie gdzie indziej.

Pytania do dyskusji w grupie

Porozmawiajcie o roli, jaką odgrywa w powieści przynależność rasowa. Czy we własnym życiu doświadczyłaś przejawów dyskryminacji rasowej? Czy według ciebie stosunki rasowe poprawiły się przez tych ponad sto lat, które upłynęły od czasów Mei Lien? Dlaczego?

Porozmawiajcie o decyzji, jaką podjęła Mei Lien, żeby ukryć siebie i syna na farmie, a tym samym unikać kontaktu z innymi ludźmi. Czy na jej miejscu postąpiłabyś podobnie? Dlaczego?

Czy przed przeczytaniem książki słyszałaś o „wypędzeniach” Chińczyków z amerykańskich i kanadyjskich miast? Podziel się swoją wiedzą. Jeśli nie wiedziałaś wcześniej o tych wydarzeniach, powiedz, jak zareagowałaś na wiadomość o tego rodzaju czystkach etnicznych.

Jednym z istotnych tematów Jedwabnej opowieści są relacje rodzinne. Pod jakim względem Mei Lien i Inara mają twoim zdaniem podobne doświadczenia rodzinne? Pod jakim względem się one różnią?

Zarówno Mei Lien, jak i Inara są zmuszone stawić czoła śmierci bliskich. Porozmawiajcie o podobieństwach i różnicach w ich przeżywaniu żałoby i w sposobach na uczczenie pamięci zmarłych. Czy w ich zachowaniu jest coś, co cię zaskakuje?

Sceneria wyspy jest ważnym elementem obu wątków powieści. Czy twoim zdaniem Mei Lien i Inara mają podobne odczucia związane z wyspą Orcas? Z czego wynikają podobieństwa, a z czego różnice?

Porównaj relacje między ojcami i córkami w powieści. W jaki sposób mogłyby się one twoim zdaniem ukształtować, gdyby matki obu kobiet przeżyły?

Kiedy Mei Lien znalazła ciało babki na plaży i uświadomiła sobie, że jej rodzina naprawdę została zamordowana, poczuła, że umarła też pewna część jej serca, a to z kolei nigdy nie pozwoli jej w pełni pokochać Josepha. Czy twoim zdaniem rzeczywiście tak się stało? Czy tobie zdarzyło się kiedyś stracić bliską osobę i poczuć, że razem z nią umarła jakaś część ciebie?

Inarze trudno jest zaakceptować fakt, że jej przodek popełnił potworną zbrodnię. Czy twoim zdaniem jest ona w stanie uwolnić swoją rodzinę od winy za ten haniebny czyn? Co byś zrobiła, gdybyś odkryła, że jeden z twoich otaczanych szacunkiem przodków dopuścił się jakiegoś niechlubnego uczynku?

„Wypędzenie” Chińczyków miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie w historii Stanów Zjednoczonych, co zamknięcie siłą rdzennej ludności Ameryki w rezerwach. Co mogłabyś sądzić o tych wydarzeniach, gdybyś żyła w tamtych czasach? Czy jesteś w stanie podać przykłady podobnych czystek etnicznych, do których dochodzi w dzisiejszych czasach w którymkolwiek kraju?

Inara odrzuca ofertę pracy w Starbucksie, żeby otworzyć, a potem poprowadzić, hotel butikowy na wyspie Orcas. Co motywuje ją do podjęcia tej decyzji? Jaka decyzję podjęłabyś w podobnej sytuacji? Weź pod uwagę takie sprawy jak bezpieczeństwo, zobowiązania rodzinne, lokalizacja, zobowiązania społeczne i spokój finansowy.

Z którą postacią – z Mei Lien czy z Inarą – łatwiej było ci się zidentyfikować? Dlaczego? Która z nich wydaje ci się bardziej autentyczna?

Co byś zrobiła, gdybyś odziedziczyła dużą posiadłość rodzinną?

Ze względu na szczególny sposób postrzegania otaczającego świata Inara uważa ciotkę Dahlię, Gretnę Campbell i siebie samą za rodzinne „dziwaczki”. Czy czułaś się kiedyś jak dziwaczka? Czy podobnie jak Inara byłaś w stanie to zaakceptować? Wyjaśnij.

Mei Lien widzi swoich bliskich w otaczających ją zwierzętach. W końcowej scenie powieści Daniel i Inara słyszą, jak foka pluszcze w wodzie, i czują, że Mei Lien nie ma nic przeciwko ich związkowi. Czy według ciebie bliscy mogą wracać po śmierci pod postacią zwierząt, które wchodzą z nami w interakcje? Gdybyś mogła wrócić w ten sposób po śmierci, jakim zwierzęciem chciałabyś być i dlaczego?

Jak wyobrażasz sobie dalsze losy bohaterów książki? Czy Inara i Daniel zostaną razem? Czy hotel i restauracja odniosą sukces? Czy uczynek Duncana Campbella będzie miał wpływ na życie bohaterów, a jeśli tak, to jaki?

Znalezienie wyszywanego rękawa zmienia kolejność życia Inary, ponieważ jego misterne piękno i tajemnicza historia nie dają jej spokoju. Czy natrafiłaś kiedyś na przedmiot – lub znajdujesz się w jego posiadaniu – który miał na ciebie podobny wpływ?

Jednym z tematów powieści jest poczucie przynależności i akceptacji. Mei Lien jest wykluczana z powodu swojej rasy. Ciotka Dahlia została wysłana na wyspę z powodu swojej orientacji seksualnej. Inara wybrała taki, a nie inny kierunek studiów, żeby sprawić przyjemność ojcu i dorównać rodzeństwu pod względem sukcesu zawodowego. W jaki sposób ty sama walczyłaś w swoim życiu o akceptację?

Inara nie może się zdecydować, czy postąpić zgodnie z życzeniem ojca i zachować prawdę w tajemnicy, czy wyjawić ją, wiedząc, że wyrządzi przez to krzywdę ludziom, na którym jej zależy. Co ty byś zrobiła w podobnej sytuacji?

Gdyby Mei Lien przeżyła, co mogłaby twoim zdaniem zrobić, żeby utrzymać siebie i syna? W jaki sposób potoczyłyby się ich losy i jak zmieniłoby się wtedy życie Yan-Tao?

Mei Lien ubiera się jak chłopak, żeby móc swobodnie i bezpiecznie poruszać się po Seattle. Po ślubie z Josephem zaczyna ubierać się w kobiece stroje, ale nie czuje się w nich dobrze. Jak myślisz, czy jej preferencje ubraniowe są odzwierciedleniem głębszego problemu związanego z płcią? O czym mogłyby świadczyć?

Z tego, co wiemy o zajęciach w sierocińcu, możemy się domyślać, jak wyglądało tam życie Yan-Tao/Kena, a to, co opowiada rodzinie Vera, pozwala przypuszczać, jak potoczyły się jego późniejsze losy w Seattle. Jak myślisz, czy odnalazł on szczęście? Biorąc pod uwagę to, czego dowiedziałaś się z powieści, a także to, co wiesz o historii dwudziestego wieku, spróbuj sobie wyobrazić, jak wyglądało życie Yan-Tao/Kena.

Inara podejrzewa, że Vera Chin sama wymyśliła fałszywą historię rodzinną, według której Ken dorastał w Chinach, a po

1900 roku wyemigrował do Seattle. Vera twierdzi, że musiała zajść jakaś pomyłka, ale Inara zastanawia się, czy za opowieściami Very nie stoi jej poczucie dumy. Zastanów się nad historią własnej rodziny i nad tym, kto ją przekazuje. Czy masz podstawy, żeby wątpić w wiarygodność niektórych opowieści rodzinnych? Czy są wśród nich historie szokujące, lecz bez wątpienia prawdziwe?

Jak myślisz, czy Yan-Tao/Ken wrócił kiedykolwiek na wyspę, żeby spróbować odzyskać rękaw, który matka zostawiła w jego tajemnej skrytce? Dlaczego? A jeśli wrócił, to dlaczego spotkało go niepowodzenie?

Co zainspirowało Cię do napisania Jedwabnej opowieści?

Kiedy w 2002 roku badałam historię wysp San Juan na potrzeby powieści historycznej, jaką wtedy pisałam, natrafiłam na informację o przemytniku, który tak bardzo nie chciał zostać przyłapany na nielegalnym przewożeniu Chińczyków, że wolał ogłuszyć ich kijem, a ciała wyrzucić za burtę. Ta koszmarna historia chodziła za mną przez lata. Kiedy dowiedziałam się o próbie wypędzenia całej społeczności Chińczyków z Seattle, wszystko zaczęło układać mi się w głowie i już niedługo miałam gotową opowieść o Mei Lien.

Zawsze fascynowały mnie książki, które mówią o wydarzeniach historycznych i o ich wpływie na życie współczesnych bohaterów, więc od razu wiedziałam, że chcę przedstawić tę opowieść w dwóch równoległych wątkach. Historia Inary wyrosła z jej powiązania z Mei Lien przez dom i przez rękaw, który w nim znalazła (więcej na ten temat dalej), jak również z osobistego powiązania rodzinnego, jakie odkrywa w trakcie badania sprawy rękawa. Postanowiłam, że Inara będzie budować hotel butikowy, ponieważ sama od zawsze uwielbiałam podróże i turystykę i tak sobie myślę, że fajnie by było prowadzić jakiś nieduży hotel, więc kazałam Inarze zrobić to za mnie.

Dlaczego postanowiłaś, że Mei Lien posłuży się haftem do opowiedzenia swojej historii?

Na początku miałam prawdziwy problem z wymyśleniem „przedmiotu”, który mógłby powiązać wątek historyczny ze współczesnym (poza domem, oczywiście), więc poszłam z tym kłopotem na spotkanie grupy pisarskiej. Jedna ze znajomych pisarek, Carol, powiedziała mi o wyszywanym chińskim rękawie, który wisi oprawiony w jej domu. Po dalszych poszukiwaniach dowiedziałam się, że szerokie, wyszywane chińskie opaski na rękaw są często sprzedawane w Chinach jako pamiątki. Rękawy te różnią się jednak znacznie od tego, który stworzyła Mei Lien. Kazałam jej uszyć całą suknię – łącznie z wąskim rękawem zakończonym końskim kopytem – na wzór smoczycich szat noszonych przez wysokich urzędników w czasach dynastycznych. Spodobała mi się też myśl, że babka opowiadała Mei Lien o swoim życiu w Chinach, a ona postanowiła uczcić to dziedzictwo, wyszywając je na stroju przeznaczonym dla syna. Uczepiła się mnie jednak wizja samotnego rękawa i dlatego jest to jedyne, co Inara znajduje pod swoimi schodami.

Historia jest opowiadana zarówno na planie historycznym, jak i współczesnym. Czy któryś z nich był dla ciebie trudniejszy do stworzenia?

Najtrudniejsze do napisania były dla mnie sceny współczesne, te z Inarą. Kiedy pisałam wątek Mei Lien, udawało mi się całkiem zanurzyć w tamtych czasach wraz z typowymi dla nich wyzwaniem, sposobem mówienia, ubierania się itd. Z wielką przyjemnością wyszukiwałam informacje o tym, co ludzie jedli w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, jak się ubierali, w jaki sposób podróżowali itp. Fascynowały mnie też różnice kulturowe z tamtych czasów. Wzdrygałam się za każdym razem, kiedy wstukiwałam do tekstu rasistowskie wyzwiska, choć stanowią one prawdę historyczną, i czułam się wtedy wdzięczna za to, że żyję w czasach, kiedy Amerykanie są bardziej tolerancyjni

w stosunku do różnych ras, płci, religii, orientacji seksualnych i grup etnicznych. Albo przynajmniej starają się być.

Myślę, że trudność w pisaniu współczesnych scen polegała na tym, że chciałam uczynić je równie ciekawymi, co historyczne, a w wątku historycznym było bardzo wiele rzeczy, które okazały się dla mnie interesujące i wymagające. Żeby było mi łatwiej, napisałam najpierw wszystkie rozdziały historyczne, a potem wszystkie współczesne, tak jakby były to dwie osobne książki. Potem poprzeplatałam je ze sobą, a w niektórych miejscach po kilka razy zmieniałam kolejność, żeby cała powieść miała sens.

Dlaczego postanowiłaś umiejscowić historię Mei Lien na wyspie Orcas?

Od początku wiedziałam, że moja bohaterka skończy na jednej z wysp San Juan, bo tam właśnie miał miejsce przemyt chińskich imigrantów, a poza tym uwielbiam te tereny i bardzo lubię spędzać tam czas, nawet jeśli dzieje się to tylko w mojej wyobraźni. Wyspę Orcas wybrałam po przeczytaniu fascynującego dziennika jednego z osadników, dzięki któremu przeniosłam się w czasie właśnie na tę wyspę. Jeśli kogoś to interesuje, to książka nosi tytuł *The James Francis Tulloch Diary 1875–1910* (Dziennik Jamesa Francisa Tullocha z lat 1875–1910), a zawarte w niej wspomnienia zostały zebrane i zredagowane przez Gordona Keitha. Wnikliwym czytelnikom odpowiadam od razu: tak, to ten sam James Tulloch, który objął w powieści pozycję listonosza, kiedy mieszkańcy wyspy odebrali ją Josephowi.

Czy w książce pojawiają się rzeczywiste postacie? Czy wzorowałaś swoich bohaterów na ludziach, którzy naprawdę istnieli?

Tak, i nieźle się bawiłam przy wplataniu rzeczywistych postaci w moją powieść. Poza Jamesem Tullochem, o którym już wspomniałam, pojawili się też:

Kapitan Herbert Beecher, który zawiózł Josepha i Mei Lien do Port Townsend. W rzeczywistości był on kapitanem parowca pływającego między wyspami i synem słynnego protestanckiego kaznodziei i abolicjonisty Henry'ego Warda Beechera, a także siostrzeńcem Harriet Beecher Stowe, autorki powieści *Chata wuja Toma*. Spodobał mi się pomysł, żeby to właśnie Herbert pomógł Mei Lien, bo pochodził z rodziny znanej z tego, że udzielała pomocy ofiarom rasizmu.

Baron, właściciel sklepu w Port Townsend, który pomógł zorganizować ślub Josepha i Mei Lien, był głównym dostawcą okrętowym w Port Townsend i jednym z większych zaopatrzeniowców dla rozległego przemysłu drzewnego w rejonie zatoki Puget. Wielu drwali korzystało też z usług bankierskich jego firmy. W rzeczywistości nazywał się D.C.H. Rothschild, a w jego domu znajduje się obecnie otwarte muzeum.

Pastor Gray, o którym wspomina Joseph, naprawdę chodził od drzwi do drzwi i prosił mieszkańców wyspy Orcas o pieniądze na budowę nowego kościoła episkopalnego w Eastsound. Kościół ten stoi tam do dzisiaj.

W jakich tematach musiałaś się doksztalić, żeby napisać tę książkę?

Przeczytałam wszystko, co tylko mogłam znaleźć, na temat chińskiego haftu, ubioru i zwyczajów, na temat historii wysp San Juan, historii Seattle, zwyczajów jedzeniowych pod koniec dziewiętnastego wieku, technik budowlanych z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, chińskiego jedzenia, parowców, czystek etnicznych wymierzonych w Chińczyków w różnych miastach Stanów Zjednoczonych itd. Odwiedziłam Muzeum Pacyfiku i Azji Wing Luke w Seattle, żeby przeczytać wszystko, co tam mają na temat zamieszek antychińskich, a także transkrypcje ustnych relacji ludzi, którzy byli świadkami tego zdarzenia. Zwiedziłam też archiwa muzeum, żeby dowiedzieć się, jak bezpiecznie

przechowywać i obchodzić się z tekstyliami. Odwiedziłam muzea historyczne wyspy San Juan i wyspy Orcas, z których wyszłam z tonami notatek i zdjęć. Przeczytałam stopy książek na temat historycznych budynków, żeby znaleźć ten, który nadawałby się na Rothesay, a potem postanowiłam jednak wzorować się na domu z filmu Dźwięki muzyki. Przeczytałam niezliczone powieści z chińskimi bohaterkami i książki historyczne o chińskich osadnikach na Wybrzeżu Północno-Zachodnim, jak również o życiu chińskich kobiet w całych Stanach, żeby lepiej zrozumieć ich doświadczenia. Całe to poszukiwanie informacji zrodziło we mnie przekonanie, że im więcej człowiek wie na jakiś temat, którym wcześniej nie za bardzo się interesował, tym bardziej jest nim zafascynowany.

Czy podczas wyszukiwania informacji do tej książki miałas jakieś interesujące doświadczenia?

Traf chciał, że akurat kiedy zgłębiałam temat doświadczeń Chińczyków w Ameryce, dowiedziałam się o wyjątkowej kolacji, organizowanej w Muzeum Wing Luke, i szybko się na nią zgłosiłam. Któregoś ciepłego lipcowego wieczoru w 2010 roku wzięłam udział w spotkaniu odbywającym się pod hasłem: „Nóżki wieprzowe, oliwki, pestki arbuza, czyli jedzenie chińskich Amerykanów w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku”, prowadzonym przez Maxine Chan, antropolożkę jedzenia i kulturoznawczynię z Seattle, która każde danie okraszała jego historią i mnóstwem wyjaśnień. Wśród potraw, jakie tam jadłam, znalazła się kandyzowana skórka pomelo z wieprzowiną, jajka na parze, nóżki wieprzowe i wiele innych. Więcej informacji i zdjęcia z tej kolacji można znaleźć na mojej stronie internetowej www.kelliestes.com.

Z którą bohaterką powieści czujesz się najbardziej związana?

Można by pomyśleć, że moja odpowiedź będzie brzmiała: „z Inarą” – przecież obie jesteśmy białe i żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. W rzeczywistości czuję jednak, że dużo bliższa jest mi Mei Lien. Od pierwszego słowa, jakie napisałam z jej perspektywy, zaczęło mi na niej bardzo zależeć i nie mogłam znieść tych wszystkich okropności, przed którymi ją stawiałam. Obie jesteśmy matkami, a kiedy pisałam scenę, w której Mei Lien żegna się z Yan-Tao, wyobraziłam sobie, że sama muszę to zrobić w stosunku do jednego z moich synów, więc dogłębnie odczułam cały jej ból. Tak naprawdę to – jakkolwiek głupio by wyglądało, że autor tak żywo reaguje na własną prozę – do tej pory czuję ucisk w gardle, kiedy czytam ten fragment. Zmagania Mei Lien są mi obce, potrafi ę się jednak wczuć w jej cierpienie spowodowane dwukrotną utratą rodziny i w to, że znalazła w sobie siłę, żeby zrobić, co trzeba.

To twoja pierwsza powieść, która została wydana. W jaki sposób zostałaś autorką książek? Czy zawsze chciałaś być pisarką?

Zawsze uwielbiałam czytać, byłam pożeraczką książek, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym pisać powieści, które tak kocham. Pisarze byli dla mnie ludźmi, którzy prowadzili odległe, magiczne życie, niemające nic wspólnego z moim własnym. Zmieniło się to, kiedy poznałam kobietę, która została później moją szwagierką i która powiedziała mi, że właśnie pisze romans. Kobieta z krwi i kości, która pisze książkę? To tak się da? Więc ja też spróbowałam i choć miałam świadomość, że czeka mnie jeszcze ogrom nauki, to wiedziałam, że właśnie tym chcę się zajmować przez resztę swojego życia.

Skończyłam studia z zarządzania biznesem na Uniwersytecie Stanu Arizona, a potem pracowałam w firmie produkującej samoloty, gdzie zajmowałam się kupnem części i zarządzaniem umowami. Podobała mi się ta praca, ale nie byłam nią zafascynowana, więc nie było mi trudno odejść, kiedy mój mąż zaproponował, że będzie mnie utrzymywał, podczas gdy ja zajmę się pisaniem i wychowywaniem dzieci. To doświadczenie sprawiło, że z łatwością wczułam się w sytuację Inary, kiedy uświadomiła

sobie ona, że praca w Starbucksie nie byłaby dla niej pasjonująca. W ciągu czternastu lat, jakie upłynęły od momentu, kiedy zrezygnowałam z pracy, do sprzedaży tej książki, napisałam sześć powieści, wzięłam udział w niezliczonych warsztatach i konferencjach poświęconych pisaniu, a do tego wychowałam dwóch synów, którzy spędzają teraz całe dni w szkole, dzięki czemu ja mogę skupić się na swoich książkach. I znowu szczęśliwy traf – zyskuję więcej czasu na pisanie właśnie w momencie, kiedy moje powieści zaczynają być wydawane!

Co jest według ciebie najtrudniejsze w byciu pisarką?

Dla mnie najtrudniejsze jest znalezienie równowagi między pisaniem a całą resztą codziennych obowiązków. Mam wrażenie, że dokładnie w momencie, w którym osiągam wreszcie tę równowagę, coś się zmienia, a ja muszę zaczynać od nowa. Dopóki mam w domu dzieci, zawsze będą one dla mnie priorytetem. Gdybym się nie pilnowała, z łatwością mogłabym spędzać całe dni na udzielaniu się w ich szkołach, załatwianiu różnych spraw, gotowaniu obiadów... i nagle okazałoby się, że nie mam czasu ani energii na pisanie. Nauczyłam się, żeby rezerwować sobie codziennie czas na pisanie – im wcześniej w ciągu dnia, tym lepiej (to samo dotyczy ćwiczeń fizycznych) – i żeby stawiać sobie cotygodniowe cele, a jeśli nie uda mi się ich zrealizować, to mam zasadę, że nie odpoczywam w trakcie weekendu.

Skąd czerpiesz pomysły na książki?

Pomysły przychodzą do mnie z każdej strony, a zwracanie uwagi na wszystko i wszystkich dookoła w poszukiwaniu okruszków inspiracji to dla mnie prawdziwa przygoda. Od programów telewizyjnych i filmów, przez rozmowy zasłyszane w sklepie spożywczym, po artykuły z gazet i tabliczki na budynkach... We wszystkim tkwi potencjalna powieść. Prowadzę teczkę, w której trzymam artykuły i notatki ze wszystkiego, co mnie zainteresuje: od opisów różnych zawodów, przez zdjęcia biżuterii, po całe pomysły na fabułę. Kiedy jestem gotowa do pracy nad nową książką, otwieram tę teczkę i patrzę, co iskrzy. Zazwyczaj zbieram kilka pomysłów, które wydawały mi się wcześniej materiałem na osobne książki, a tak naprawdę są tylko różnymi wątkami jednej, dużo bardziej złożonej historii. Lubię też robić sobie listy tematów, które mnie w danym momencie fascynują, i wprowadzać je do moich powieści, żeby czerpać z nich radość. W przypadku tej książki na liście znajdowała się historia wysp San Juan, próba wypędzenia Chińczyków z Seattle, historia Seattle, hotele butikowe, lato, woda i las. W mojej następnej książce pojawi się pewnie aktywność fizyczna, kuchnia wegańska i kobiece przyjaźnie.

Potrafisz haftować?

Nie, nie jestem tak utalentowana. Zanim zaczęłam pracować nad tą książką, nigdy nie interesowałam się haftem. Podobnie jak w przypadku innych rzeczy, których wydawało mi się, że nie lubię, odkryłam, że im więcej się o tym dowiadywałam, tym bardziej zaczynało mi się to podobać. Mam teraz u siebie ubrania ozdobione haftem, a niedawno dostałam zabytkowy wyszywany chiński rękaw jako prezent od szwagierki, która zainspirowała mnie do pisania. Co do haftowania samej... Kto wie? Może kiedyś się tego nauczę.

Co byś doradziła początkującemu pisarzowi?

Zacznij od tego, żeby pisać tak często, jak to możliwe, i bierz udział w warsztatach, konferencjach i spotkaniach grup pisarskich, żeby jak najwięcej się nauczyć. Bądź otwarty na krytykę. Czytaj książki o rzemiośle pisarza. Czytaj swoich ulubionych autorów i zwracaj uwagę na strukturę tekstu, dobór słownictwa, fabułę, konflikt fabularny, rozwój postaci itp. Pisz jeszcze więcej. A potem, kiedy już dobrze

poznasz „zasady” pisanie, zapomnij o nich i usłysz swój własny głos, swoją własną historię. Przed tą książką napisałam cztery romanse i jedną powieść kobiecą, przy czym za każdym razem trzymałam się ściśle zasad. A kiedy zaczęłam pracować nad tą opowieścią, odpuściłam sobie to wszystko, tak że nie wiedziałam nawet, na której półce ta książka może stać w księgarni. Wszystko zaczęło się układać dopiero podczas redakcji. Zaufaj sobie, zaufaj swojemu głosowi, zaufaj historii, która do ciebie przyjdzie, a odniesiesz sukces. A poza tym nie spiesz się. Upłynie więcej czasu, niż ci się wydaje, zanim książka będzie gotowa, ale to nie szkodzi.

Podziękowania.

Bardzo wiele osób miało swój udział w inspirowaniu mnie, w kształtowaniu powieści i w dodawaniu mi odwagi przy pisaniu – im wszystkim chciałabym serdecznie podziękować.

Dziękuję mojemu mężowi, Chadowi, i naszym dwóm synom, którzy przez cały czas wierzyli, że moje powieści zostaną kiedyś wydane. Świątowali ze mną każdy etap tworzenia wszystkich nieopublikowanych książek, jakie kiedykolwiek napisałam, a w szczególności świętowali kolejne etapy powstawania tej powieści – od ukończenia pierwszego manuskryptu po podpisanie umowy z wydawcą i oddanie ostatecznej wersji. Dziękuję za to, że mnie tak kochacie i dajecie mi czas i przestrzeń na pisanie. (Przy okazji dziękuję też Xboxowi i LEGO za to, że moje dzieci miały się czym zająć, kiedy pisałam!)

Nie wiem, jak się odwdzińczyć mojej agentce Beth Miller za to, że tak wcześnie złapała ducha tej opowieści i pomogła mi nadać jej właściwy kształt. Dziękuję za to, że we mnie wierzyłaś.

Jestem też nieskończenie wdzięczna moim wydawczyniom: Shanie Drehs i Annie Michels za to, że pokochały moją opowieść i dodały jej blasku. Uwielbiam z Wami pracować! Według mnie cały zespół redakcyjny wydawnictwa Sourcebooks to superbohaterowie i dziękuję każdemu, kto przyczynił się do powstania tej książki.

Ogromnie dziękuję moim znajomym pisarkom, które pomagały mi w wymyślaniu fabuły i rozwiązywaniu problemów pisarskich. Dziękuję Wam: Cherry Adair, Christino Arbini, Kiro Brady, Kristine Cayne, Rebecca Clark, Carol Costantino, Leso Dragon,Carolynn Estes, Heather Higgins, Julio Hunter, Emmo Locke, Laurie London, Dono Sarkar i Shelli Stevens. Wasza przyjaźń, wsparcie i nasze sesje pisarskie bardzo wiele dla mnie znaczą. Carol, dziękuję Ci za to, że zapoznałaś mnie z wyszywanymi chińskimi opaskami na rękaw, które stały się inspiracją dla tej opowieści. Dziękuję!

Odpowiedzialność za wszelkie nieścisłości i niedopatrzienia w kwestiach naukowych ponoszę wyłącznie ja. Dziękuję przy tym za pomoc specjalistom: Williamowi Barbourowi, specjaliście medycyny sądowej, za informacje o ciałach zmarłych i o ich rozkładzie, Eirenii z Muzeum Wyspy Orcas, Bobowi Fisherowi z Muzeum Wing Luke oraz autorom zapisków osadników, którzy ożywili dla mnie wyspy San Juan z końca dziewiętnastego wieku.

Kilka moich bliskich przyjaciółek czytało pierwsze wersje tej powieści, a ich szczegółowa krytyka pozwoliła mi nadać opowiadaną przez mnie historii wyrazistość i kierunek. Dziewczyny, mam nadzieję, że wiecie, jak bardzo sobie cenię Waszą szczerą i przemyślaną opinię. Dziękuję Wam, Rebecca Clark, Melynie Elvidge, Laurie London i Dono Sarkar.

Dono, byłaś pierwszą osobą, dzięki której uwierzyłam, że jestem „prawdziwą” pisarką, i przez te wszystkie lata ani razu nie pozwoliłaś mi pomyśleć, że może być inaczej. Mam nadzieję, że wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Na koniec chciałabym podziękować stowarzyszeniom pisarzy Romance Writers of America i Pacific Northwest Writers Association. Dzięki obu tym organizacjom nauczyłam się bardzo wiele o rzemiośle i biznesie pisarskim.

Notka o autorce

Kelli Estes dorastała we wschodniej części stanu Waszyngton, czyli w regionie słynącym z sadów jabłkowych. Następnie rozpoczęła studia na Uniwersytecie stanu Arizona i nauczyła się żyć w sąsiedztwie wody, w miejscu, gdzie mogła wreszcie doświadczyć wszystkich czterech pór roku. Po ukończeniu studiów zamieszkała w Seattle. Przez cztery lata zajmowała się handlem częściami do samolotów, po czym zdobyła się w końcu na odwagę, żeby spróbować swoich sił w pisaniu. Sześć rękopisów, dwoje dzieci i czternaście lat później, wraz z wydaniem *Jedwabnej opowieści*, spełniło się jej marzenie o karierze literackiej.

Obecnie Kelli mieszka z mężem i dwoma synami w miejscu oddalonym od Seattle o trzydzieści minut drogi. Jeśli akurat nie pisze, uwielbia udzielać się w szkołach swoich dzieci, czytać, podróżować, wychodzić coś zjeść na mieście, ćwiczyć (żeby spalić całe to jedzenie) i dowiadywać się coraz więcej o zdrowiu i o dobrym odżywianiu. Więcej o Kelli na www.kelliestes.com.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Posłowie](#)

[Pytania do dyskusji w grupie](#)

[Wywiad z autorką](#)

[Podziękowania](#)

[Notka o autorce](#)

[Strona redakcyjna](#)